

R.D.WINGFIELD

FROST i ZASTRASZONE MIASTO

Przełożyła Agnieszka Lipska-Nakoniecznik

WTOREK, NOCNA ZMIANA (1)

Była jesienna, przejrzysta noc, a zimny wiatr wstrząsał co chwila gałęziami drzew. Stojący w cieniu człowiek drżał. Dłonie w lateksowych rękawiczkach miał wilgotne, a po ukrytej pod maską twarzy spływały krople gorącego potu. Wkrótce powinien ją zobaczyć. Dotknąć jej. Ona nie dostrzeże zakapturzonej postaci, schowanej w najgłębszym mroku. Nie zauważy jego obecności aż do momentu, gdy będzie za późno.

Na początku myślał, że to pułapka zastawiona przez policję. Dziewczyna, młoda dziewczyna w mundurku szkolnym, spacerująca samotnie o jedenastej w nocy w Denton Woods... Ale skąd policja miałaby wiedzieć, że on zjawi się akurat tutaj? Do pozostałych napadów doszło w całkiem innej okolicy, daleko stąd. Zresztą w jaki sposób mogliby się domyślić, że to właśnie młode dziewczęta podniecały go do obłędu? Gliniarze o niczym nie mieli pojęcia. Był dla nich za sprytny. O wiele za sprytny. Wezwali go na przesłuchanie, a potem oczyścili z wszelkich podejrzeń. Nawet dziękowali mu za współpracę.

Absolutnie jednak nie zamierzał podejmować ryzyka. Tylko głupcy ryzykują. Jak zawsze starannie zbadał teren. Nic. Cisza. W promieniu wielu, wielu mil był tylko on i ta dziewczyna. Dziewczynka! Dziewczynka w mundurkowych włamań, więc skoroszyt leżący na jego biurku z każdym dniem robił się coraz grubszy. To przez nie raport dotyczący nierozwiązanych przestępstw w danym okręgu wyglądał wyjątkowo nieciekawie.

Z góry dobiegła kolejna salwa śmiechu. Szef policji musiał wygłosić któryś ze swoich mało śmiesznych dowcipów, a Mullett pewnie od razu posikał się w gacie. Frost ze smutkiem popatrzył na sufit, a potem nagle się rozpromienił. Z pewnością szef policji i Mullett nie będą tam tkwić do końca imprezy. Jak tylko wyjdą, on natychmiast uda się na górę i z nawiązką odbije sobie stracony czas. Spokojnym krokiem podszedł do biurka, żeby poczęstować Wellsa papierosem.

- No, Jack. - Wells cofnął się gwałtownie, kiedy płomień zapalniczki Frosta przypalił mu nos. - Nigdy w życiu nie zgadniesz, jaki jest ostatni wymysł Mulletta. Jego zdaniem nasz hol wygląda zbyt ponuro i w związku z tym mamy się postarać o jakieś cholerne kwiatki.

Frost słuchał go jednym uchem. Z niewiadomego powodu w pamięci ujrzał twarz Bena Cornisha. Martwe oczy patrzyły z wyrzutem, jakby chciały powiedzieć, że inspektor coś przeoczył. Nagle Frost doszedł do wniosku, że wcale nie powiedział Wellsowi, czyje ciało znalazł w toalecie.

- Ben Cornish? Och, nie... - Wells skulił się na krześle. Cornish był jednym ze stałych bywalców posterunku, choć nigdy nie chodziło o poważne zarzuty... Naruszenie porządku publicznego, pijaństwo i chuligaństwo... Ostatnio coraz częściej bywał pod wpływem narkotyków. Twardych narkotyków. - Trafił do nas zaledwie kilka dni temu. Na miłą zalatywało od niego metamfetaminą, a poza tym był chudy jak szczapa. Dałem mu funta, żeby sobie kupił coś do żarcia.

- Wątpię, czy kupił jedzenie, Bill. Moim zdaniem od dobrych kilku tygodni nie jadł nic porządnego. Kiedy zobaczyłem go dziś wieczorem, wyglądał jak ofiara strajku głodowego w obozie koncentracyjnym w Bergen-Belsen. Pewnie jutro podczas sekcji okaże się, że jego żołądek jest zupełnie pusty. Cokolwiek kupił za twojego funta, trafiło prosto do jego żyły przez zardzewiałą igłę.

- Na pewno jego matka fatalnie to przyjęła. Frost uderzył się w czoło otwartą dłonią.

- Niech to jasny szlag! Wiedziałem, że zapomniałem o czymś ważnym! Będę musiał do niej skoczyć... Czy są jakieś szanse, żebym najpierw dostał herbatę?

- Zaraz powinna być gotowa - powiedział Wells z zadowoleniem. - Webster właśnie ją parzy.

Frost ze zdziwienia cofnął się o krok. - Jak ci się udało go zmusić?

- Zwyczajnie. Po prostu wydałem mu rozkaz. Zresztą dlaczego miałby odmówić? Przecież jest tylko cholernym posterunkowym.

- Być może teraz jest posterunkowym - mruknął Frost. - Ale jeszcze nie tak dawno był inspektorem i pewnie często zdarza mu się myśleć, że nadal nim jest.

Obiekt tej rozmowy, dwudziestosiedmioletni posterunkowy Martin Webster, kręcił się po umywalni, napełniając zniszczony czajnik gorącą wodą z kranu, żeby szybciej się zagotowała. Wrzucił na cynową tacę sześć względnie czystych kubeczków i wysiorbał resztę mleka z kartonu.

Czy właśnie taka rola była mu przeznaczona? Chłopaczka do parzenia herbaty? Sześć miesięcy wcześniej był szkolnym. I w takich ciemnych, grubych pończochach. Nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat „...Dziewczynka w wieku szkolnym, młoda i niewinna, nieświadoma tego, jak pięknie rozwija się jej ciało...”. Tak samo jak bohaterka jego ulubionej książki, którą trzymał schowaną w swojej sypialni... Co to było?!

Zastygł w kompletnym bezruchu i wyteżył słuch. W przeraźliwej ciszy rozległo się jedynie łomotanie jego serca. Potem coś usłyszał. W ciemności coś się poruszało. Napiął wszystkie mięśnie, gotów w każdej chwili zerwać maskę i rzucić się do ucieczki. Tylko maska mogła go zdradzić. Bez niej policja nie miałaby niczego. Żadnych śladów, żadnych wskazówek. Niczego. Nawet jeśli doprowadzą do spotkania twarzą w twarz z jego ofiarami, i tak żadna nie zdoła go zidentyfikować. Pierwsze, co odczuwały, gdy dochodziło do spotkania z nim, to nagła duchota i ciemność, kiedy czarna płachta spadała na głowę, a potem zacisk jego palców na gardle, coraz silniejszy, coraz bardziej dławiący... Jednej z dziewcząt - drugiej, a może trzeciej, dokładnie nie pamiętał - udało się wyswobodzić, ale zdążyła zobaczyć jedynie maskę, bo zaraz potem uderzeniami pięści pozbawił ją przytomności. Ten czarny kaptur, który całkowicie zakrywał jego włosy, twarz i szyję... Gazety nazwały go „Diabłem w kapturze”. Dzisiejszy nagłówek będzie wyglądał mniej więcej tak: „«Diabeł w kapturze» znów atakuje. Uczennica ostatnią ofiarą”. Uwielbiał czytać w prasie artykuły na swój temat. Dzięki temu czuł się kimś ważnym.

Wsunął się głębiej w cień drzewa. Wciąż był spięty, wylapywał każdy, nawet najcichszy dźwięk. Powtórzył się dziwny odgłos. Szelest, trzask łamanej gałązki. Odruchowo podniósł rękę do maski, starając się odgadnąć, co to mogło być. Potem rozległo się posapywanie i chrząknięcie, i coś małego zaczęło się przedzierać przez leśne poszycie. Jakieś nieduże zwierzę. Może borsuk, ale zdecydowanie nie człowiek. Wyraźnie się uspokoił. Znowu czuł zapach własnego potu i wzbierającego w nim podniecenia. Już niedługo powinien usłyszeć jej kroki.

Co za hańba, że musiał skrzywdzić właśnie ją. Była tak młoda, tak niewinna... Jak cudownie byłoby, gdyby poddała się bez protestu, z szeroko otwartymi i pełnymi zdziwienia oczyma. „Z początku była przerażona, ale stopniowo, w miarę jak doświadczała nowych, podniecających doznań i niewiarygodnych odczuć, które poznała dzięki niemu, zaczęła jęczeć z rozkoszy, otwartymi ustami chwytając powietrze, aż w końcu przyciągnęła go bliżej...”.

Tymi słowami autor książki opisywał reakcję dziewczynki, która przeżywała swój pierwszy raz. Ona także była jeszcze uczennicą.

Teraz doleciał do niego inny dźwięk. Suchy trzask zeschniętych liści na ścieżce, zgniatanych przez czyjeś szybkie, nerwowe kroki.

To była ona. Jego dziewczynka. Znowu wstrzymał oddech. Stał bez ruchu, napinając wszystkie mięśnie...

Gotów w każdej chwili skoczyć.

*

Posterunkowy David Shelby, lat dwadzieścia pięć, żonaty, ojciec dwojga małych dzieci, trząsł się z zimna i przestępował z nogi na nogę, podczas gdy wiatr, który szalał na opustoszałej, bocznej ulicy, znalazł pustą puszkę po piwie i zrobił sobie z niej grzechotkę. Posterunkowy zerknął na zegarek. Dwadzieścia po jedenastej. Zaczął się zastanawiać, kogo dyspozytor tutaj przyśle. Miał nadzieję, że nie wpadną na pomysł, żeby przysłać detektywa inspektora Allena; zresztą ktokolwiek to będzie, lepiej żeby przyjechał jak najprędzej. Posterunkowy miał dziś w planach o wiele ciekawsze zajęcia i nie zamierzał tkwić tu w nieskończoność, pilnując trupa.

Nad jego głową w porywach wiatru kołysał się emaliowany znak zawieszony na misternie kutej, żelaznej konstrukcji jak ciało skazańca na szubienicy i przy każdym wahnięciu skrzypiał dziwnie. Na nim wielkimi literami napisano słowo PANOWIE, a znajdująca się poniżej strzałka wskazywała schody prowadzące w dół. Metalowa krata za plecami Shelby'ego, powyginana i wyrwana z zawiasów, nie spełniała już swej pierwotnej funkcji. Teraz każdy mógł wejść na zniszczone, wykończone mosiądzem schodki, które wiodły w przepastną ciemność publicznych toalet, zbudowanych w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym roku na polecenie rady miasta Denton dla uczczenia Brylantowego Jubileuszu Królowej Wiktorii.

Gdzieś z dali doleciał odgłos zbliżającego się samochodu. Reflektory błysnęły oślepiająco, gdy koła zachlapanego błotem, granatowego forda cortiny załomotały na nierównym bruku. Samochód w ostatniej chwili zahamował i zatrzymał się tuż przed wozem patrolowym Shelby'ego. Drzwi otworzyły się i wygramoliła się z nich jakaś parszywie wyglądająca postać w brudnym, nieprzemakalnym płaszczu z udrapowanym dookoła szyi równie brudnym szalikiem. Gość wyglądał na czterdziestkę z niezłym okładem, a jego zniszczona przez słońce twarz upstrzona była mnóstwem piegów. Łysiejącą na czubku głowę otaczał wianuszek kręconych, jasnobrązowych włosów. Shelby powitał go uśmiechem, szczęśliwy, że przysłano niefrasobliwego inspektora Jacka Frosta, a nie tę złośliwą świnię, Allena, który z pogardą traktował każdego człowieka w mundurze i pewnie od razu zaczęłby zadawać niewygodne pytania.

Wiatr znowu napotkał na swej drodze puszkę po piwie i potoczył ją po jezdni w stronę inspektora, a ten wymierzył jej solidnego kopniaka. Nieszczęsna puszka poszybowała w powietrzu, gwizdnęła Shelby'emu koło ucha, odbiła się od pierwszego stopnia i stoczyła po schodach w nieprzeniknioną ciemność.

- Gol! - wrzasnął Frost i pokłusował w stronę wejścia do toalet.

Shelby uśmiechnął się od ucha do ucha, a potem skierował światło latarki w głąb czeluści.

- Czy chce pan tam zejść, inspektorze?

Wolał jak najprędzej mieć to za sobą, ale Frost najwyraźniej nigdzie się nie spieszył.

- Po co ten pośpiech, synu? Jeśli ten gość nie żyje, to z pewnością na nas poczeka. Nawiasem mówiąc, włożyłem dziś swoje najlepsze ubranie i nie chcę go upaprać wcześniej, niż to będzie absolutnie konieczne.

Odpiął guziki płaszcza, ukazując światu prawie całkiem nowy garnitur w niebieskie prążki i świeżo odprasowane spodnie z budzącymi szacunek kantami. Dziś wieczorem na posterunku odbywało się pożegnalne przyjęcie. Po dwudziestu ośmiu latach służby na emeryturę odchodził inspektor George Harrison i z tej okazji w kantynie posterunku urządzano wielką fetę. Co prawda Frost oficjalnie pełnił dzisiaj służbę, niemniej uparł się, że weźmie udział w zabawie i niecierpliwie czekał na pierwszą sposobność, żeby wymknąć się na górę. To właśnie dlatego ślubny garnitur w niebieskie prążki został po latach wydobyty z wypełnionego kulkami na mole więzienia. Frostowi nie w smak była gorliwość tego nowicjusza, Shelby'ego, który akurat dzisiaj musiał znaleźć jakiegoś zawszonego nieboszczyka.

Z głębi przepastnych kieszeni wyłowił wymiętą paczkę i wyłuskał z niej ostatniego papierosa.

- A teraz odpowiedz mi na parę pytań, synu. Jak to się stało, że go znalazłeś, i czemu, do diabła nie wpadło ci do głowy, że lepiej udawać, że go nie widzisz, i zostawić tę przyjemność dla porannej zmiany?

- No cóż, panie inspektorze... Przejeżdżałem tędy, bo jestem dziś na służbie, i wtedy zauważyłem, że ktoś wyłamał stalową kratę, która zwykle odcinała dostęp do podziemi...

- Nie tak prędko! - zawołał Frost. - Wiesz przecież, że rozmawiasz ze zramolałym, starym durniem. Co ci strzeliło do łba, żeby się zapuszczać o tej porze w jakąś pieprzoną boczną uliczkę?

- To część mojego rewiru - odparł z urazą posterunkowy. - Muszę sprawdzać, co tu się dzieje.

- Doprawdy, wielce chwalebne i godne polecenia. - Frost prychnął z pogardą i wypluł na chodnik kawałek tytoniu, który utkwiał mu między zębami. - Ale zapamiętaj sobie: kiedy następnym razem w kantynie będzie impreza, masz się trzymać głównych ulic. A teraz streszczaj się, synu, bo wychlają nam całe piwo, zanim dobrniesz do sedna sprawy.

- Tak więc zatrzymałem samochód, wysiadłem i sprawdziłem, co tu się stało. -
Mówiąc to, znów skierował światło latarki na pociętą kratę. Obaj podeszli bliżej, żeby
dokładnie się jej przyjrzeć. - Jak pan widzi, kłódka została wyrwana.

Frost ledwie rzucił na nią okiem, za to zaraz potem z namaszczeniem spojrzął na swój
zegarek. Shelby od razu zrozumiał aluzję. Postarał się przyspieszyć tok narracji.

- Jak pan wie, te toalety zamykane są o ósmej wieczorem.

- Nie wiem - warknął Frost. - Zawsze sikam w bramach sklepów.

- Jednak uznałem, panie inspektorze, że lepiej to dokładnie sprawdzić - ciągnął
niezrażony niczym Shelby. Frost prychnął z nieukrywaną irytacją.

- Co sprawdzić? Czy przypadkiem ktoś nie sika poza wyznaczonymi godzinami?

- Na dole jest mnóstwo miedzi i ołowianych rur, inspektorze - zauważył Shelby. -
Pomyślałem, że być może chodzi o kradzież.

- Wybacz mi, synu - przeprosił Frost. - Masz całkowitą rację. Mów dalej, a ja
postaram się trzymać gębę na kłódkę.

- Już niewiele zostało do opowiadania, panie inspektorze. Zszedłem na dół i znalazłem
tego włóczęgę. Leżał na podłodze i wyglądał na martwego. Tu w pobliżu mieszka doktor
Cadman, więc skoczyłem, żeby go przyprowadzić.

Inspektor z lubością zaciągnął się papierosem.

- Szkoda, że nie wezwałeś ambulansu, żeby go sobie zabrali, bo wtedy szpital
musiałby się zająć tą sprawą.

- Inspektorze, ale ja myślałem, że być może jeszcze da się go uratować! Doktor z
sąsiedniej ulicy mógł dotrzeć na miejsce o wiele szybciej niż ambulans.

Frost z ponurą miną skinął głową.

- Znowu masz rację, synu. Szkoda, że musisz mieć rację akurat wtedy, kiedy w
kantynie koledzy piją na umór... Co powiedział ten szarlatan?

- Doktor Cadman znalazł krwiak u podstawy czaszki. Jego zdaniem przyczyną śmierci
był silny cios w głowę.

Zmarkotniały nagle Frost wpatrzył się w pustą przestrzeń. Dobrze znał doktora
Cadmana. Aż za dobrze. Cadman przez wiele lat leczył jego żonę. To właśnie on postawił
diagnozę, że powtarzające się bóle żołądka to zaledwie niestrawność, i z uporem godnym
lepszemu sprawę przepisywał jej miksturę z mięty pieprzowej, aż wreszcie ból stał się nie do
zniesienia i musiała iść do szpitala.

- Więc mówisz, że to jakiś stary włóczęga?

- Tak jest, inspektorze. Nieraz widziałem, jak łąził po okolicy, ale nawet nie wiem, jak się nazywał.

- Przypuszczam, że już dłużej nie można odwlekać tej okropnej chwili. - Frost zgasił papierosa i wsadził niedopałek z powrotem do pudełka. - Lepiej zejdźmy na dół, zanim ludzie pomyślą, że próbujesz mnie poderwać.

Z dłonią zaciśniętą na mosiężnej poręczy schodził ostrożnie, kierując się światłem latarki Shelby'ego, po wklęsłych, kamiennych stopniach, zniszczonych przez kroki tysięcy osób, które zbiegały tędy w pośpiechu. Odbity echem, monotony plusk wody z każdą chwilą przybierał na sile.

- Czy wiesz, który lekarz ma do nas przyjechać?

- Doktor Slomon, panie inspektorze. Proszę uważać na ten stopień! Jest trochę naderwany.

- Slomon?! - krzyknął Frost. - Ten zarozumiały smarkacz? Wszystko chciałby mieć zrobione tak, jak mu napisali w jego cholernych książkach. Założę się, że od razu możemy pożegnać się z przyjęciem.

Stanął na posadzce i wrzasnął ze strachu, kiedy coś zimnego i mokrego wślizgnęło mu się do buta.

- Do stu tysięcy diabłów, Shelby, tu jest pełno wody! Mogłeś mnie uprzedzić, do jasnej cholery!

- Kiedy zaglądałem tu poprzednim razem, było jej znacznie mniej - odparł Shelby. Odbicie światła latarki tańczyło po pofalowanej powierzchni, która miękko opływała najniższy stopień schodów. - Jeden ze zbiorników jest przepełniony, a ciało denata blokuje odpływ rury kanalizacyjnej.

- Robi się coraz ciekawiej - zauważył Frost z goryczą. - No więc, gdzie on jest?

Shelby zakołysał latarką i strumień światła omiół skuloną w kącie postać w przemoczonym ubraniu.

- Obawiam się, panie inspektorze, że trzeba będzie zamoczyć buty, żeby się do niego dostać.

Z chlupotem brnęli przed siebie; tymczasem woda znalazła w butach Frosta parę dziur, o których ich właściciel nie miał zielonego pojęcia, i przy okazji przypomniła mu o kaloszach leżących beczynnym na tylnym siedzeniu auta. Spiętrzony w kącie wzgórek na pierwszy rzut oka wyglądał jak kłęb szmat, ale światło latarki wydobyło z mroku ludzką twarz. Twarz nieżywego człowieka. Leżał na plecach w rynnie odchodzącej od rzędu pisuarów, a jego długie, zmierzwiłone włosy podskakiwały na lekko falującej wodzie. Otwarte

szeroko oczy ze stoickim spokojem patrzyły prosto w oślepiający strumień światła latarki. Z otwartych ust sączyła się ślina, spływając na brodę i straszliwie brudny płaszcz, który na kilometr śmierdzał wymiocinami i przetrawionym, tanim winem. Każdy mógł pomyśleć, że to ciało jakiegoś bezdomnego - włóczęgi, który wczłogał się w ciemny kąt, żeby tam dokonać żywota. Frost wpatrzył się w zniszczoną, zapadłą ze zmęczenia twarz, która chyba dawno nie widziała wody i mydła, bo pokryta była grubą warstwą lepkiego brudu.

- Wielki Boże, to przecież Ben Cornish! - wykrzyknął nagle.

- Czy pan go zna, inspektorze? - zapytał Shelby.

- Owszem, znam - odparł z powagą Frost. - I pan też by go znał, posterunkowy, gdyby więcej czasu spędzał pan w pracy, a mniej tracił na rozglądanie się za dziewczynami.

Nawet po ciemku widać było, że Shelby zarumienił się po uszy. Do tej pory wierzył, że jego słabość do płci pięknej jest dobrze strzeżonym sekretem, lecz najwyraźniej nic nie mogło ująć uwagi pozornie roztrzępanego inspektora Frosta.

- On być może wygląda na rozpadającego się staruszka, ale w rzeczywistości nie jest wiele starszy od ciebie, Shelby.

Pochylił się i zanurzając rękę w wodzie, wsunął ją pod głowę nieboszczyka. Jego palce delikatnie badały lepkie, pokryte krwią miejsce, gdzie kości czaszki przesunęły się pod wpływem jakiegoś nacisku.

- Ciężko mu się żyło od czasu, gdy parę lat temu rodzina wyrzuciła go z domu. Najpierw uzależnił się od wina - taniego sikacza z dodatkiem metamfetaminy albo chirurgicznego spirytusu - a potem zaczął brać heroinę.

- Heroinę! - zawołał Shelby. Światło latarki przesunęło się po wymizerowanej postaci, która leżała u jego stóp. - To dość drogi nałóg.

- No cóż, jego wygląd raczej nie wskazuje na to, żeby wydawał kasę na takie nonsensowne rzeczy jak mydło czy jedzenie - zauważył Frost. - Kiedyś był z niego uroczy dzieciak. Prawdziwy mały skurwysyn. Spójrz, jak wygląda teraz!

Trącił czubkiem buta bezwładne ciało, a potem odwrócił się. Błysnęła zapalka. To Frost zapalał niedopałek papierosa.

- Pewnie nie wpadłeś na pomysł, żeby przeszukać mu kieszenie?

- Jeszcze nie - przyznał posterunkowy. - Wygląda dość niechlujnie.

- No cóż, raczej nie ma co liczyć, że jakimś cudem będzie czysty, skoro pływa w sikach. Czy jest jakiś sposób, żeby zakręcić tę przeklętą wodę? Sięga mi już do połowy łydek i powoli zaczynam się czuć jak jakiś cholerny pasażer „Titanica”.

Z chłupotem Shelby powędrował w odległy koniec pomieszczenia. Frost został sam w ciemności.

- Panie inspektorze, wydaje mi się, że zawór jest właśnie tutaj.

- Oszczędź mi swoich błyskotliwych komentarzy, synu. Po prostu zakręć wodę.

Światło latarki Shelby'ego podskoczyło kilka razy, a następnie skierowało się w górę, w kierunku zbiornika z lanego żelaza, którego zadaniem było splukiwanie w określonych odstępach czasu rzędu pisuarów. Teraz zbiornik był wypełniony po brzegi, a woda przelewała się ponad krawędzią i spływała po ścianie. Shelby zanurzył rękę, kilka razy poruszył zatyczką, pociągając ją na przemian w górę i w dół, i nagle zbiornik zagulgotał, wypuścił wodę, a potem na nowo napełnił się i odciął dopływ. Zadowolony z siebie Shelby wrócił do Frosta.

- Gotowe, panie inspektorze - oświadczył z dumą. - Jeśli uda nam się przesunąć ciało, odpływ rury powinien się odblokować i woda spłynie do kanalizacji.

- Lepiej go nie ruszać, synu. Wiesz chyba, jak cholernie upierdliwym gnojkiem potrafi być nasz policyjny konował. A teraz sprawdźmy, czy uda się nam znaleźć włącznik światła. Slomon na pewno zacznie jęczeć, że tu jest za ciemno.

Ukradkiem spojrzął na zegarek. Cholera, ile jeszcze czasu będzie musiał tu sterczeć, zanim wreszcie pojedzie na imprezę? Gdzie się podziewa ten przeklęty Slomon?

W odpowiedzi na to pytanie od strony schodów dobiegł tupot kroków, a czyjś zirytowany głos zawołał:

- Hej! Jest tam kto?

Shelby skierował światło latarki na schody, żeby przybysz mógł bezpiecznie zejść. Doktor Slomon - niewysoki, gruby i przemądrzały osobnik w kosztownym płaszczu z wielbłądziej wełny - z odrazą spojrzął w głąb mrocznego pomieszczenia, podczas gdy Frost z trudem przedzierał się przez stojącą wodę.

- Inspektor Frost! Właściwie powinienem się tego spodziewać. Muszę przyznać, że pasuje pan jak ulał do tego miejsca.

Pod rozpiętym płaszczem Frost zauważył starannie zawiązany krawat i elegancki czarny garnitur.

- Doktorze, niepotrzebnie zadał pan sobie trud, żeby tak się wystroić. Zupełnie wystarczyłyby jakieś stare ciuchy.

Slomon uśmiechnął się cierpko.

- Chyba wie pan, że właśnie jechałem na przyjęcie pożegnalne na cześć inspektora Harrisona, kiedy dostałem wezwanie do was. Mam nadzieję, że to nie zajmie wiele czasu.

- Też mam taką nadzieję - mruknął Frost. - Niech pan tam zaczeka, próbujemy znaleźć kontakt.

W pierwszej chwili zdawało się, że absolutnie nie uda się włączyć żadnej z lamp, ale w końcu światło latarki padło na kilka przewodów, które prowadziły w dół i znikwały w małej drewnianej skrzynce, opatrzonej napisem: „Włączniki - trzymać zamknięte”. Zgodnie z instrukcją drzwiczki szafki zaopatrzone zostały w potężną kłódkę, która równie dobrze mogła strzec dostępu do podziemi Banku Angielskiego.

- Jest zamknięta - oznajmił Shelby.

- Nie wydaje mi się - odparł Frost, brnąc w jego stronę, żeby z bliska rzucić okiem na szafkę. Nagle z ciemności dobiegł odgłos szarpnięcia, trzask rozdieranego drewna, a potem kłódka rąbnęła o podłogę.

- No widzisz - zauważył Frost. - Wcale nie jest zamknięta.

Rozłupane drzwiczki stanęły otworem, ujawniając zawartość szafki: niezliczone rolki papieru toaletowego z pieczętką rady miasta Denton, olbrzymią butlę ze środkiem dezynfekcyjnym i dwa mosiężne przełączniki przykręcone śrubami do ściany. Wystarczyły dwa kliknięcia i oblepione muchami żarówki umieszczone wysoko pod samym sufitem bez entuzjazmu podjęły walkę z wszechobecną ciemnością.

Frost uważnym wzrokiem obrzucił otoczenie - brudne, pokryte plamami kabiny z pisuarami, w których popękana beżowa glazura stopniowo zmieniała kolor na nieprzyjemny odcień brązu; miedziane rury ze skorupą zielonego nalotu; zalaną wodą posadzkę z kamienia i unoszące się na powierzchni substancje, którym lepiej było nie przyglądać się z bliska. Z tyłu, za rzędem ciemnozielonych drzwi, wyposażonych w automaty na monety, znajdowały się sedesy. Ktoś niedawno rozłupał jeden z nich, a wyrwany spod klamki automat smętnie zwisał na obluzowanych wkrętach. Otwarte na oścież skrzydło odsłaniało potłuczony sedes wypchany po brzegi podartymi gazetami i kawałek bezbarwnego sznurka zwisający z rezerwuaru, który zapewne miał zastąpić skradziony dawno temu łańcuszek.

- To tylko moje zdanie - zastrzegł Frost - ale po ciemku było tu znacznie romantyczniej.

Z powrotem ruszył w stronę ciała.

- Tutaj jest pański pacjent, doktorze. Będę zobowiązany, jeśli zechce się pan pospieszyć. Ja też chciałbym wreszcie dotrzeć na to przyjęcie.

Policyjny chirurg nie wykonał najbliższego ruchu, który sugerowałby, że zamierza zejść z ostatniego stopnia. Najpierw z obrzydzeniem popatrzył na brudną wodę, przez którą musiałby się przedzierać, a potem na własne buty z kosztownej, lakierowanej skóry.

- Czy wiadomo, kto to jest?

- Nazywa się Ben Cornish, doktorze - odpowiedział posterunkowy. - Wyrzutek społeczny, ćpun i alkoholik. Sypiał, gdzie popadnie.

Słomon skinął głową.

- Rozumiem. A dlaczego panowie podejrzewacie, że jego śmierć nastąpiła z przyczyn innych niż naturalne?

- Nie byłem pewien, czy rzeczywiście nie żyje, więc przyprowadziłem tu doktora Cadmana. To on stwierdził, że zgon nastąpił w skutek silnego uderzenia w podstawę czaszki.

Brwi Słomona natychmiast powędrowały w górę. - Tak? W jaki sposób doszedł do tak nadzwyczajnych wniosków?

- Myślę, że po prostu chciało mu się tu podejść i obejrzeć ciało - wtrącił się Frost, który powoli zaczynał tracić cierpliwość. - Raczej nie da się tego zrobić na odległość, nie schodząc z ostatniego schodka.

Policzki Słomona wyduły się jak dwa balony.

- Nie będzie mnie pan pouczał, Frost, jak należy przeprowadzać badanie - warknął ze złością. - Te marnoty z medycyny ogólnej zwykle nie mają pojęcia, o czym mówią. Nawet stąd widzę, że najbardziej prawdopodobną przyczyną zgonu było zakrztuszenie się własnymi wymiocinami. I nie mam zamiaru brudzić sobie ubrania w cuchnącej brei, żeby potwierdzić to, co i tak wydaje się oczywiste. Czy jest jakiś sposób, żeby pozbyć się stąd tej śmierdzącej wody?

- Trzeba przesunąć zwłoki, bo nieboszczyk zatkał odpływ kanalizacyjny - wyjaśnił Frost.

- No to go przesuniecie, do cholery! Chyba macie tyle oleju w głowie, żeby domyślić się, co należy zrobić! A jeśli będziecie go ruszać, to równie dobrze możecie przysunąć go bliżej schodów.

I pomyśleć, że to mówi ten bydlak, który zawsze żąda, żeby wszystko odbywało się zgodnie z przepisami, pomyślał Frost.

- Posterunkowy, proszę wziąć go za ramiona - powiedział. - Ja wezmę za nogi.

Gdy tylko dźwignęli ciało, woda zawirowała i zaczęła spływać.

- To przypomina mi pewne zdarzenie, kiedy jeszcze byłem stójkowym - oznajmił Frost, stękając pod ciężarem bezwładnego ciała. - Musiałem wydostać z kanału martwego faceta. Leżał tam cholernie długo i wzdęło go tak, że wyskoczył na powierzchnię. Chwyciłem trupa za rękę, żeby go wyciągnąć... i nagle ta ręka oderwała się od reszty. Stałem tam jak ostatni głupek, podczas gdy on znowu opadł na dno.

Obaj, Shelby i Slomon, skrzywili się na znak, że najsmakowitsze kąski ze wspomnień inspektora absolutnie nie przypadły im do gustu.

- Tak będzie dobrze, doktorze? - Frost upuścił zwłoki tuż u podnóża schodów, a sam zaczął wytrząsać wodę z rękawów.

Slomon potwierdził skinieniem głowy. Pochylił się, z niesmakiem popatrzył na twarz nieboszczyka, a następnie przechylił mu głowę, tak żeby obmacać palcami podstawę czaszki. To badanie naprawdę zajęło mu niewiele czasu.

- Tak jak myślałem. - Posłał Frostowi pełen satysfakcji uśmiešek. - Obrażenia głowy nie były przyczyną śmierci ani nie zostały spowodowane zadaniem ciosem. Prawdopodobnie powstały wówczas, gdy przy upadku uderzył głową o posadzkę.

Rozejrzał się dookoła, a następnie wskazał jakiś błyszczący przedmiot, który spoczywał na podłodze pod ścianą.

- Coś pan przeoczył, inspektorze. Jakie to szczęście, że przynajmniej ja mam oczy otwarte, kiedy jestem na służbie.

Frost zaklął pod nosem, podczas gdy Shelby wyjął z kanału odpływowego potłuczoną butelkę po winie. Nie mogli zauważyć jej wcześniej, ponieważ leżała ukryta pod powierzchnią brudnej wody.

Slomon wyciągnął rękę, odebrał butelkę od posterunkowego i ostrożnie przytknął ją do nosa. Delikatnie powąchał, a potem skinął głową z zadowoleniem, że wykazał się taką przenikliwością i sprytem.

- To wino doprawione odrobiną alkoholu przemysłowego. Skuteczna mieszanka, co do tego nie ma wątpliwości.

Wręczył butelkę Frostowi, żeby sam sprawdził, ale Frost uwierzył mu na słowo i przekazał ją posterunkowemu.

- Upił się tak, że stracił przytomność - kontynuował Slomon tonem eksperta. - Potem zadławił się własnymi wymiocinami. Oczywiście wydam polecenie, żeby w szpitalu jutro z samego rana zrobili sekcję, ale przekonacie się, że potwierdzą moją diagnozę.

Zerknął na zegarek.

- Oho, przykro mi, ale impreza nie może dłużej czekać. Zostawiam panów, żebyście tu trochę posprząkali - oznajmił i kłaniając się na pożegnanie, pobiegł po schodach prosto w rześkie, nocne powietrze.

- Szkoda, że to tobie nie mogą zrobić tej sekcji, draniu

- zamruczał Frost. Jeszcze raz szybko rozejrzał się po niezbyt przyjemnym otoczeniu. Coś nie dawało mu spokoju. Gdzieś z tyłu głowy uporczywie odzywał się malutki

dzwoneczek, żeby zasygnalizować jakieś niedopatrzenie. Znów popatrzył uważnie dookoła, tym razem bez pośpiechu, ale to w niczym mu nie pomogło. Zresztą dlaczego tak się przejmował? Lekarz orzekł, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, on zaś mógł spokojnie udać się na przyjęcie.

- Czy wiadomo, gdzie szukać jego krewnych? - spytał Shelby i otworzył notatnik.

- Owszem. Matka i brat mieszkają w Denton - powiedział Frost. - Na posterunku jest ich adres.

- Ktoś będzie musiał zanieść im tę nowinę, inspektorze...

- Shelby urwał na chwilę i z nadzieją popatrzył na Frosta.

- Ja nigdy nie byłem dobry, jeśli o to chodzi.

Frost westchnął ciężko. Dlaczego zawsze przypadają mu w udziale takie paskudne zadania? W jaki sposób ma powiedzieć matce, że jej starszy syn zadławił się wymiocinami i umarł w publicznej toalecie? Ostatni raz rzucił okiem na stos ociekających wodą szmat, zwinięty u jego stóp, i z wyrzutem potrząsnął głową.

- Benie Cornishu, ty głupi sukinsynu!

Obojętne spojrzenie nieboszczyka przeszywało go na wylot.

- W porządku, Shelby. Sam zaniosę starszej pani tę przykrą wiadomość. Ty zajmiesz się sprowadzeniem ambulansu, żeby zabrał ciało do kostnicy, i poczekasz tu, dopóki nie przyjedzie. Nie chcę, żeby przypadkiem jakiś pijak wysikał się na zwłoki.

Puścił się kłusem po schodach, a Shelby, który nie miał najmniejszego zamiaru zostać sam na sam z nieboszczykiem, deptał mu po piętach. Na powierzchni dopadł ich wiatr, który wciąż czaił się w zaułkach ulic. Frost odetchnął głęboko.

- Prawda, że świeże powietrze ma niesamowity zapach?

Rozejrzał się po opustoszałej ulicy. Czyżby tylko wydawało mu się, że jest pusta? Miał wrażenie, że kątem oka dostrzega jakieś poruszenie przy tylnym wejściu do sklepów przy Market Square. Zupełnie jakby ktoś dał nura w mroczny korytarzyk, żeby pozostać niezauważonym. Zwrócił uwagę na minę Shelby'ego, który także zauważył czyjąś obecność, ale dokładał wszelkich starań, żeby zachować kamienną twarz. Dziwne, pomyślał Frost. Bardzo dziwne. Zastanowił się, o co chodzi Shelby'emu, ale... Ostatecznie chciał dotrzeć na przyjęcie, zanim zabraknie piwa...

Machnął na pożegnanie i wszedł do samochodu. Kiedy sadowił się na fotelu kierowcy, mokre nogawki oblepiały mu nieprzyjemnie łydki, a przy naciśnięciu sprzęgła i gazu z przesiąkniętych wodą skarpetek wycisnęło się trochę wody. Na tylnym siedzeniu, na żółtej okładce „Daily Mirror”, leżały kalosze, suche jak pieprz i zupełnie nieużywane.

Zawrócił. Udało mu się przy tym tylko raz zahaczyć zderzakiem o brzeg krawężnika. Gdy mijał budynek z cegły ze skrzypiącym emaliowanym znakiem, przekonał się, że z jezdni nie widać kraty blokującej wejście do podziemi. Znajdowała się mniej więcej w połowie schodów, więc zauważenie jej z drogi było absolutnie niemożliwe. Mimo to Shelby twierdził, że dostrzegł ją właśnie z samochodu. Tak jawne kłamstwo wywołało lekki niepokój inspektora Frosta, ale po chwili doszedł do wniosku, że pewnie istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie, które może poczekać, podczas gdy przyjęcie absolutnie nie może. Głuche dudnienie muzyki dyskotekowej dobiegającej z kantyny wybiegło mu na spotkanie i uderzyło z całą siłą, gdy tylko skręcił w Market Square.

*

Była strasznie zdenerwowana. Księżyc - biały krążek, twardy jak diament - wisiał na bezchmurnym niebie. Jego blask sprawiał, że na ścieżce było widno jak w dzień, za to okoliczne krzewy skrywał głęboki mrok. Dręczyła ją niewyraźna, lecz niedająca spokoju świadomość zagrożenia. Jakby ktoś czaił się w cieniu drzew. Wsadziła rękę do kieszeni i zacisnęła palce na pilniku do paznokci. Może pilnik nie jest najlepszą bronią, ale jeśli ktoś spróbuje cokolwiek jej zrobić, użyje go jak noża.

Jednak nie miała szans go użyć. Napastnik był stanowczo zbyt szybki. W pewnej chwili za jej plecami rozległ się lekki szelest i zanim zdążyła się odwrócić, coś czarnego zakryło księżyc i połyskujące na niebie gwiazdy. Otworzyła usta do krzyku, ale wtedy czyjeś palce złapały ją za gardło. Ścisnęły coraz mocniej i mocniej.

W jej głowie rozległ się krzyk, głośny i pełen sprzeciwu.

Ale tylko ona go słyszała.

WTOREK, NOCNA ZMIANA (2)

Sierżant Bill Wells, łysiejący mężczyzna o smutnej twarzy, podniósł głowę i wyszczerzył zęby, z irytacją patrząc na sufit, skąd dobiegał hałas. Impreza rozkręciła się na dobre. Właśnie tam powinien teraz być. Powinien bawić się do upadłego, zamiast tkwić za biurkiem i starać się ogarnąć wszystko, co akurat działo się w okręgu, w dodatku przy beznadziejnie małej liczbie ludzi do pomocy.

Był jednym z nielicznych pechowców w całym okręgu Denton, którzy w tę szczególną noc - noc wspaniałego przyjęcia - zostali zmuszeni do pracy. Najbardziej nie w porządku wydawało się to, że kto jak kto, ale właśnie on powinien być dziś na górze. Dziś wypadał jego wolny dzień, lecz w ostatniej chwili komendant okręgu z sobie tylko wiadomych powodów zmienił grafik dyżurów i Bill Wells wylądował na służbie, podobnie jak inspektor Jack Frost. Frost wcale się tym nie zmartwił, bo i tak zamierzał wymknąć się na przyjęcie, niezależnie od

wykazu dyżurów. To mogło się udać, jeśli człowiek ma na sobie cywilne ciuchy, a nie ten cholerny mundur. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, pomyślał z goryczą sierżant Wells.

Zredukowana załoga mogła dać sobie radę pod jednym warunkiem - że noc upłynie raczej spokojnie. Faktycznie, wszyscy wyruszający na obchód otrzymali instrukcje, żeby nie szukać na siłę kłopotów, spokojnie odejść, jeśli takowe się przydarzą, i przymykać oko na wszelkie drobniejsze przestępstwa. Ale atmosfera zrobiła się gorąca już na samym początku, bo w podziemnej toalecie odkryto zwłoki mężczyzny, a jak wiadomo dyżur, który źle się zaczyna, zwykle kończy się jeszcze gorzej.

Poza tym cholerny telefon dzwonił prawie bez przerwy, co wcale nie ułatwiało mu życia. Przeważnie dzwoniли zdenerwowani obywatele, żeby poskarżyć się na dobiegający zza okna hałas. To było niesprawiedliwe. Koledzy na górze bawili się w najlepsze, a on w tym czasie musiał wysłuchiwać różnych głupstw.

Telefon znów się odezwał. Wells chwycił słuchawkę i palcem zatkał drugie ucho, żeby cokolwiek słyszeć przez dzikie wrzaski i dobiegającą z wyższego piętra muzykę.

- Czy byłaby pani łaskawa powtórzyć, madam? Niestety, źle panią słyszałem.

Kobieta po drugiej stronie zaczęła trajkotać z podnieceniem, ale mimo że Wells przyciskał tak mocno słuchawkę do ucha, że aż zaczęło go boleć, za nic nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi.

- Najmocniej przepraszam, ale czy mogłaby pani chwilę zaczekać?

Zatkał dłonią mikrofon i żeby dać upust złości, wywołanej przez mnóstwo różnych powodów, wrzasnął na młodego posterunkowego Colliera, który właśnie z mozołem wystukiwał raport na stareńkiej maszynie do pisania Underwood.

- Collier, może byś dla odmiany zrobił coś pożytecznego? Kopnij się na górę i powiedz tym pijanym leniom, żeby się trochę uciszyli. Niektórzy starają się pracować.

Zanim jednak Collier zdążył się poruszyć, drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się i w progu pojawiła się wysoka, wyprostowana postać komisarza Mulletta, komendanta okręgu Denton. Z błyszczącymi czarnymi włosami, przystrzyżonymi po wojskowemu wąsikami i w okularach w rogowej oprawie komisarz wyglądał raczej na zamożnego biznesmena niż na policjanta. Na dzisiejszy wieczór włożył mało wyszukany strój: uszyty przez krawca szary garnitur, koszulę w srebrne ciapki i krawat w niebiesko-perłowym kolorze. Wells i Collier natychmiast wyprężyli się jak struny, ale Mullett machnął ręką, żeby stanęli na spocznij. Na dźwięk dudniącej muzyki dyskotekowej skrzywił się niemiłosiernie. Czuł, że głowa zaczyna mu pękać, ale postarał się dzielnie znieść tę drobną niedogodność.

Ostatecznie dzisiejszej nocy był tylko jednym z policjantów, wszystko jedno, czy mu się to podobało, czy nie.

- Sierzancie Wells, wygląda na to, że nasi chłopcy dobrze się bawią! - krzyknął na cały głos, żeby przekrzyczeć piekielny łomot. - Czy to wam nie przeszkadza?

- Ależ skąd, panie komendancie - gładko skłamał Wells i podsunął słuchawkę w stronę posterunkowego, żeby ten dalej prowadził rozmowę. - Fajnie, że koledzy miło spędzają czas... Choć raz, dla odmiany.

Mullett skinieniem głowy wyraził swoją aprobatę. Rozglądał się po obskurnym holu. Obejrzał twarde drewniane ławki i plakat informujący o Zagrożeniu Stonką Ziemniaczaną, który smętnie wisiał na jednej ze ścian.

- Nie wiem, jak to się stało, ale dotąd nie zauważyłem, że nasz hol wygląda strasznie ponuro. To źle wpływa na stosunki międzyludzkie. Jak myślicie, sierzancie, może by go tak czymś ożywić? Na przykład postawić parę roślin w doniczkach albo jakieś kwiatki?

- Tak jest, panie komendancie, to świetny pomysł - odparł Wells, błagalnie wznosząc oczy ku niebu. Po cholere jakież pieprzone kwiatki! On jest policjantem, a nie durnym projektantem wnętrz!

- Czy inspektor Frost jest gdzieś w pobliżu? - zaniepokoił się Mullett. Miał nadzieję, że dostanie przeczącą odpowiedź. Osobiście wolał, żeby Frost ze swoim nieuprasowanym ubraniem, brudnymi butami, brakiem jakichkolwiek manier i wątpliwym poczuciem humoru nie pokazywał się, kiedy przybędzie szef policji.

- Wyjechał w teren w sprawie śledztwa, panie komendancie. W publicznej toalecie na Market Square znaleziono zwłoki.

W publicznej toalecie! Mullett zatrząsł się, jakby ktoś go uderzył. To paskudne śledztwo w sam raz pasowało do tak obmierzłej osoby jak Frost, ale przynajmniej dzięki temu nie będzie go na widoku, gdy pojawią się wyjątkowo ważni goście.

Pochylił się w stronę sierżanta, żeby podzielić się tą wspaniałą nowiną.

- Sierzancie Wells, szef policji powiedział, że być może zajrzy tutaj, żeby osobiście pożegnać się z George'em Harrisonem. Proszę zlecić któremuś ze swoich ludzi, żeby wyglądał na ulicę...

- Nie mam nikogo w rezerwie, panie komendancie - wtrącił z pośpiechem Wells. - Dziś mam do pomocy tylko jednego posterunkowego i we dwóch musimy prowadzić wszystkie sprawy.

Wskazał na młodego Colliera, który najwyraźniej nie poczynił wielkich postępów w rozmowie z rozwścieczoną kobietą.

- On z pewnością sobie poradzi. - Mullett rozpromienił się; nie miał zamiaru dać się wciągnąć w dyskusję o drobnych problemach kadrowych. - Proszę mnie powiadomić, jak tylko samochód komisarza wyjedzie z za tamtego narożnika. Będę na górze z naszymi chłopcami. - Na chwilę zamilkł, a potem dorzucił łagodniejszym tonem: - Przykro mi, Wells, że musiałem wyznaczyć was na dzisiejszą zmianę, ale niewielu ludziom mogę w pełni zaufać, że porządnie wykonają swoją robotę, zwłaszcza w sytuacji ciągłych niedoborów personalnych.

Wells mruknął coś wymijająco.

Mullett popchnął wahadłowe drzwi, jednocześnie uzbrajając się w cierpliwość. Nigdy nie należał do miłośników życia towarzyskiego, oczywiście dopóki chodziło o funkcjonariuszy niższych rangą, i z pewnością nie zjawiłby się tu dziś wieczorem, gdyby nie obiecana wizyta szefa policji. Wyprostował ramiona, a potem pomknął w górę schodów, zupełnie jak żołnierz ruszający do ataku.

Wells odprowadził go groźnym spojrzeniem, poganiając w myślach stekiem obraźliwych słów: No jasne... Idź, idź! Zabaw się, ty cholerna mendo! Gównu cię to obchodzi, że my, biedne głupki, wypruwamy sobie flaki, żeby ze wszystkim nadażyć!

Nagle zauważył zaniepokojoną minę Colliera, który wciąż trzymał w ręku słuchawkę.

- O co chodzi, Collier? Chyba potrafisz poradzić sobie z tak prostą rzeczą jak rozmowa przez telefon?

- Sierzancie, ona nie chce ze mną rozmawiać i zaczyna być trochę nieprzyjemna. Mówi, że życzy sobie rozmawiać z oficerem.

Nad ich głowami rozległ się jakiś huk, poprzedzony brzękiem tłuczonego szkła. Wells miał nadzieję, że to Mullett potknął się o skrzynki z piwem.

- Powiedz jej, że w pobliżu nie ma oficera. Wszyscy są na górze i chleją do upadłego.

Ze złością wyrwał słuchawkę z ręki Colliera.

- Idź i patrz, czy nie nadjeżdża rolls szefa policji... i postaraj się gdzieś znaleźć te pieprzone kwiatki.

- Kwiatki? - Collier uniósł pytająco brwi, ale na widok miny sierżanta roztropnie postanowił nie czekać na odpowiedź.

Tymczasem Wells zatkał sobie palcem jedno ucho i przytknął słuchawkę do drugiego.

- Tak, madam, w czym mogę pani pomóc? - zapytał uprzejmym tonem.

- Co zamierzacie zrobić w sprawie tego piekielnego hałasu? - zapiszczał zdenerwowany kobiecy głosik. - Mam troje dzieci i żadne z nich nie może zmrużyć oka!

- Zaraz się tym zajmiemy - obiecał Wells.

Ruchomy panel, który łączył hol z dyspozytornią, przesunął się i w szparze ukazała się głowa dyżurnego, posterunkowego Ridleya.

- Sierzancie, mam na linii Dave'a Shelbyego. Pyta, w jakiś sposób ma dostarczyć tego umarlaka do kostnicy. Załoga karetki nie chciała go nawet dotknąć. Powiedzieli, że zabrudzi im cały ambulans.

- Inspektor Frost zajmuje się tą sprawą - oświadczył Wells.

- Nie mogą skontaktować się z inspektorem Frostem, sierzancie. Nie zgłasza się na wezwania przez radio.

- Typowe - prychnął sierżant. - Można mu zaufać. Zawsze gdzieś znika, gdy tylko zaczynają się kłopoty.

Przejechał wzrokiem drukowaną listę przedsiębiorców pogrzebowych.

- Powiedz Shelby'emu, żeby spróbował u Mawkinsa z High Street. Są tani, niezbyt wybredni i bez przerwy błagają, żeby podesłać im jakąś robotę.

- Jasne.

Panel bezszelestnie zasunął się z powrotem.

Wells właśnie notował w dzienniku ostatnią rozmowę telefoniczną, kiedy nagle do jego uszu dotarło irytujące stukanie. Podniósł wzrok. Ktoś ośmielił się pukać ołówkiem w blat biurka, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wściekłym ruchem poderwał głowę i ujrzał tego nowego gliniarza, tę wiecznie nadąsaną świnię... Brodaty posterunkowy Webster jak zwykle patrzył spode łba i zawzięcie pukał. Wells z furią wyrwał mu ołówek i cisnął nim o podłogę, a potem przysunął twarz na kilka cali do twarzy posterunkowego.

- Nigdy więcej tego nie róbcie, Webster - ostrzegł. - Jeśli chcecie, żebym zwrócił na was uwagę, macie zawołać mnie po imieniu, a potem grzecznie czekać, aż będę łaskaw wam odpowiedzieć. Zrozumiano?

- Tak jest, sierzancie, zrozumiano. - Webster prawie wypluł te kilka słów.

- Czego chcecie?

- Chcę się dowiedzieć, gdzie się podział ten kretyn Frost. Podobno mam z nim pracować. Dwie godziny temu zwałił na mnie całą robotę, którą gromadził chyba od pół roku, i powiedział, że za chwile wraca. No i od tego czasu siedzę w tym chlewie, to znaczy w jego biurze, i czekam. Złośliwy uśmiech przemknął przez twarz sierżanta.

- A co w takim razie chcielibyście robić, posterunkowy? Webster zacisnął zęby, żeby nie okazać zirygowania. Te kmiotki przy lada okazji z dziecinną radością podkreślały słowo „posterunkowy”, a on nie mógł dać po sobie poznać, że sprawia mu to przykrość.

- Chciałbym dostać coś do roboty, sierzancie.

- W porządku. - Wells uśmiechnął się. - W takim razie zróbcie herbatę.

- Co takiego?!

- Nie dostaniemy herbaty z kantyny, bo dziś te rozkosze są niedostępne dla zwykłych śmiertelników, więc trzeba będzie zaparzyć ją ręcznie. Chyba to zadanie nie uwłacza godności byłego inspektora? Czajnik jest w umywalni, tak samo jak reszta rzeczy. Zaparzcie esencję dla sześciu osób.

Nie czekając na odpowiedź, opuścił wzrok i powrócił do wpisywania zgłoszenia do książki raportów. Webster nawet się nie ruszył. Wells podniósł głowę.

- Jakiś problem, posterunkowy? Czy w rozkazie było coś niezrozumiałego?

Twarz Webstera stężała od tłumionej furii.

- Czy dobrze zrozumiałem, że chce pan, żebym zrobił herbatę? - odezwał się takim tonem, jakby sierżant złożył mu niemoralną propozycję.

Wells cisnął pióro i odwzajemnił pełne wściekłości spojrzenie.

- Tak, posterunkowy. Czy to powód do obrazy?

- Owszem - warknął Webster, wskazując kciukiem młodego Colliera, który krążył koło drzwi i co chwila z niepokojem wyglądał na ulicę. - A co z nim? Czemu on nie może tego zrobić?

- Ponieważ właśnie wykonuje pilne zadanie dla komisarza Mulletta. Zresztą dlaczego akurat on miałby robić za chłopca do parzenia herbaty, a nie wy? Jesteście równi rangą... Obaj jesteście posterunkowymi... A może już całkiem o tym zapomnieliście, co?

- Nie - burknął Webster. - Nie zapominałem. Zupełnie jakby te cioty pozwoliły mu zapomnieć! Odwrócił się na pięcie i trzaskając drzwiami, wyszedł z holu.

To powinno ci pokazać, gdzie twoje miejsce, ty cholerny gnojku, pomyślał Wells. Od razu poczuł się lepiej. W końcu udało mu się wyładować część tłumionej od dawna frustracji.

Podekscytowany Collier biegł w jego stronę.

- Sierżancie, nadjeżdża samochód szefa policji!

- No cóż, tylko nie zsikaj się w gacie, Collier. Leć na górę i powiadom komisarza. Tylko migiem!

Wells obciągnął mundur i wyprostował się jak struna. Jeszcze zdążył zastukać do dyspozytorni, żeby uprzedzić kolegów o przybyciu szefa policji.

I właśnie wtedy telefon na jego biurku wydał z siebie ostrzegawcze kaszlnięcie. Wells spiorunował go wzrokiem, żeby nie ważył się zadzwonić, ale bezczelny aparat najwyraźniej miał to w nosie. W dodatku tak samo postąpił drugi telefon. Niech to szlag! Już wcześniej Wells zaplanował sobie krótką wymianę zdań z komisarzem, która powinna wyglądać

następująco - szef, rozglądając się po wyludnionym korytarzu, mówi: „Cóż to, sierżancie? Wszystko na pańskiej głowie?”, on zaś odpowiada: „Tak jest, panie komisarzu, ale daję sobie radę. Mógłbym sam prowadzić ten posterunek, gdyby zaszła taka potrzeba...”. Wtedy szef policji uśmiecha się z aprobatą i zapisuje w pamięci, że na tutejszym posterunku pracuje policjant, który z pewnością zasługuje na awans. Zamiast tego komisarz - ubrany w nieskazitelny strój wieczorowy - wpadł do holu jak burza, krótkim skinieniem głowy powitał Wellsa i zwrócił mu uwagę, że powinien szybciej odbierać telefony.

Pierwszy zadzwonił mężczyzna, który mieszkał w domu czynszowym przeznaczonym dla starszych obywateli, na dalekim końcu Arberry Road. Jakiś idiota w sportowym aucie jeździ z rykiem silnika tam i z powrotem po całym osiedlu, rozgniatając trawniki i budząc śpiących staruszków. Wells zapisał adres i obiecał, że podejmie stosowne kroki. Jeszcze nie zdążył dobrze odłożyć słuchawki, kiedy telefon znów zadzwonił. Odebrał rozmowę z drugiego aparatu. Następny starszy wiekiem obywatel skarżył się na to samo co poprzedni.

- Tak jest, już się tym zajmujemy - obiecał i sięgnął do pierwszego telefonu. Kolejny stary dureń żądał, żeby policja natychmiast zrobiła porządek z tym chuliganem w sportowym samochodzie.

Zapisując szczegóły, Wells ze złością zauważył, jak szef policji zatrzymuje się, żeby wymienić kilka uprzejmości z młodym Collierem, chociaż właśnie ten szczył powinien odbierać te pieprzone telefony, zamiast łaścić się do szefa. Za plecami Colliera kręcił się komendant okręgu, który specjalnie pofatygował się na dół, żeby powitać dostojnego gościa i odprowadzić go na piętro, gdzie jakimś cudem chór ochrypniętych głosów znacznie zmniejszył siłę rażenia.

Przez ten cały czas nieznośny staruszek po drugiej stronie linii gadał trzy po trzy na temat sportowych wozów i niewydolności policji, której nigdy nie ma tam, gdzie akurat jest potrzebna.

- Jak sądzę, panie Hickmann, nie udało się panu zapisać numerów tamtego samochodu? - wtrącił, kiedy jego rozmówca zrobił pauzę dla nabrania oddechu.

- Nie - odparł starszy pan. - Ale powinniście z łatwością go namierzyć, bo zgubił tablicę rejestracyjną, kiedy uderzył w kosz na śmieci.

- W porządku, panie Hickmann, bardzo panu dziękuję - odparł Wells, zapisując wszystko w dzienniku. - Zaraz wyślemy tam wóz patrolowy...

Zanotował jeszcze czas przyjęcia wezwania - dwudziesta druga pięćdziesiąt trzy - i podał notatkę do dyspozytorni.

Ridley, dyżurny oficer, sprawdził mapę na ścianie. Arberry Road. Charlie Alpha powinien być tam najszybciej. Wcisnął włącznik mikrofonu.

- Dyspozytor do Charlie Alpha. Zgłoście się, proszę.

*

Starszy mężczyzna w budce telefonicznej odłożył słuchawkę na widelki i podłubał palcem w otworze, z którego wypadały zwracane monety, w nadziei, że znajdzie tam drobny pieniążek. Niestety, nic nie było. Zadrzał, bo wiatr właśnie znalazł stłuczoną szybę w przeszklonych drzwiach budki, a on był tylko w piżamie i płaszczu, który chwilowo pełnił funkcję szlafroka, i na bosych stopach zmarzniętych już na kość miał zawiązane byle jak buty.

Ten chuligan w sportowym wozie... Już drugą noc z rzędu mieszkańcy osiedla musieli znosić ten hałas. Pisk opon, ryk klaksonu i gonitwę między domami, jakby facet znajdował się na torze wyścigowym Silverstone. Dziś było nawet gorzej niż wczoraj, bo samochód wyskoczył z jezdni i na ukos przecinał trawniki oraz rabaty z kwiatami. Chyba chciał skrócić sobie drogę. Potem rozległ się piekielny huk, bo w końcu rąbnął w kosz na śmieci; metalowy pojemnik przeleciał ładnych kilka jardów, a następnie kilka razy uderzył o bruk. Ale to oznaczało klęskę rajdowca amatora. Siła uderzenia oderwała od samochodu tablicę rejestracyjną. Teraz policja powinna bez trudu go odnaleźć. Hickmann miał nadzieję, że zabiorą mu dożywotnio prawo jazdy, a oprócz tego wlepią mandacik na kilkaset funtów. Albo nawet lepiej - wsadzą drania do ciupy. A w ogóle to powinni przywrócić karę chłosty. Wtedy ci szaleńcy zastanowiliby się dwa razy, zanim zakłóciliby spokój niewinnych ludzi.

Nie słyszał zbliżającego się samochodu. Był już w połowie jezdni, kiedy sparaliżował go oślepiający blask reflektorów. Klakson zapiszczał ostrzegawczo, żeby przechodzień czym prędzej wynosił się z drogi, ale starszy pan poruszał się zbyt wolno, a samochód nadjeżdżał szybko.

W zwolnionym tempie ujrzał, jak auto skacze na niego; widział każdy szczegół chłodnicy, która dosłownie rosła w oczach, a potem poczuł straszliwe, druzgoczące uderzenie. Przedni reflektor roztrzaskał mu głowę. Ból był nie do zniesienia. Przerażliwy, wręcz niewyobrażalny. Litościwie nie trwał długo, bo masywna chmura czerwieni i czerni wymazała wszystko i czuł, jak pustka wciąga go coraz głębiej i głębiej...

Sąsiadka, która widziała tę scenę z okna, spostrzegła, że samochód zwolnił, jakby kierowca zastanowił się, co teraz należy zrobić, a potem dodał gazu i odjechał, pozostawiając na jezdni żałosny, poskręcany stos szmat. Nie miała w domu telefonu, więc wybiegła i zaczęła walić do sąsiednich drzwi, jednocześnie wołając, żeby ktoś wezwał karetkę.

Zamieszanie postawiło na nogi wielu okolicznych mieszkańców, ale żona Hickmanna nie obudziła się. Była nieco przygłucha, więc spała głęboko przez cały czas, przekonana, że mąż leży przy niej.

Kobieta, która była świadkiem wypadku, nakryła prześcieradłami zakrwawione ciało staruszka i czekała na karetkę. Przyjechała w ciągu czterech minut od chwili, gdy któryś z sąsiadów zadzwonił pod 999. Był to ten sam ambulans i ci sami sanitariusze, którzy odmówili zabrania z publicznej toalety przesiąkniętych wymiocinami zwłok. Ostrożnie ułożyli Hickmanna na noszach i w ciągu mniej niż trzydziestu sekund byli już w drodze do szpitala. Na zakręcie minęli radiowóz Charlie Alpha, któremu dopiero teraz udało się dotrzeć na miejsce.

Wóz patrolowy wyhamował tuż przed budką telefoniczną, w ostatniej chwili unikając wjechania w kałużę krwi i resztki roztraskanego reflektora. Posterunkowy Jordan zabrał się do zbierania zeznań świadków, podczas gdy jego partner, posterunkowy Simms, został oddelegowany do odnalezienia urwanej tablicy rejestracyjnej. Wtedy ktoś przypomniał sobie o żonie Hickmanna. Jedna z sąsiadek poszła razem z Simmsem obudzić ją i przekazać tragiczną wiadomość.

*

Max Dawson, dyrektor generalny Dawson Electronics - wielkiego, nowoczesnego kompleksu fabryk w nowym Denton Trade Estate, musnął delikatnie kierownicę rolls-royce'a silver cloud i samochód posłusznie skręcił w prywatną drogę wiodącą do domu. Sunąc do garażu, mruczał z zadowoleniem, a jego właściciel czuł, że także ma ochotę pomruczeć. Doroczna impreza firmowa dla załogi - kolacja połączona z tańcami - udała się jak nigdy dotąd. Żona Maksa, która zwykle przy takich okazjach odgrywała rolę rozpieszczonego bachora, tym razem zachowywała się jak należy i nawet udało jej się ograniczyć picie alkoholu do czterech drinków. Poza tym wszystkie przemowy i prezentacje wypadły tak dobrze, że nie było się do czego przyczepić.

Ukradkiem zerknął na Clare, która siedziała w fotelu obok. Z jakiegoś powodu przez cały wieczór wydawała się podenerwowana; bezmyślnie bawiła się paskiem od torebki i paliła jednego papierosa za drugim. Ale przynajmniej zachowywała się jak żona dyrektora, a nie jak flądra, którą może poderwać pierwszy lepszy kierowca ciężarówki. Z pewnością wyglądała olśniewająco w króciutkiej, czarno-czerwonej sukience wieczorowej. Być może nawet zbyt króciutkiej. W pewnej chwili zauważył, że dwaj przedstawiciele handlowi dosłownie pożerają ją wzrokiem, a potem chichoczą, wymieniając jakieś uwagi. Zakotował w pamięci ich nazwiska. Ciekawe, czy przy końcu miesiąca także będzie im do śmiechu.

Światła na zewnątrz rezydencji lśniły pełnym blaskiem, aby odstraszać nieproszonych gości, ale wewnątrz domu tonęło w ciemności. Zegar kwarcowy na desce rozdzielczej pulsował rytmicznie, wskazując godzinę dwudziestą trzecią trzydziści jeden. Ukochana córeczka Karen spędzała dzisiejszą noc w domu przyjaciółki. Z pewnością jest już w łóżku, pomyślał. Piętnastoletnia Karen, słodka i niezepsuta, która dzięki Bogu nie odziedziczyła po matce pewnych mniej przyjemnych cech charakteru.

Dotknął lekko przycisku pilota i brama garażu poszybowała w górę, żeby wpuścić do środka srebrzystego rolls-royce'a.

- Jesteś w domu - powiedział do Clare, która zdążyła zamknąć oczy.

Pierwotnie ten dom był farmą wybudowaną w dziewiętnastym wieku, ale jego wnętrze zostało całkowicie wypatroszone i przerobione. To przedsięwzięcie kosztowało prawie dziewięćdziesiąt tysięcy funtów, lecz okazało się strzałem w dziesiątkę. Na rynku nieruchomości pełno było klientów, którzy już na wstępie oferowali za niego więcej niż ćwierć miliona.

Weszli do przestronnego, dwupoziomowego salonu. Na środku pysznił się wielki, otwarty kominek z kamienia, wystarczająco obszerny, by można na nim upiec przysłowiowego wołu, gdyby tylko palenisko było prawdziwe. Max przycisnął włącznik i gazowe płomyki natychmiast ożyły, liżąc chciwie wyrzeźbione polana. Ciepło w mgnieniu oka rozeszło się po całym wnętrzu, a przyjemny, migający czerwono-płask spotęgował dobre samopoczucie dyrektora; nawet widok Clare, idącej prosto do barku, żeby nalać sobie drinka, zirytował go tylko w niewielkim stopniu. No cóż, najważniejsze, że udało jej się opanować namiętność w czasie uroczystości. Resztę można pozostawić bez komentarza.

- Zadzwoń do Taylorów, żeby upewnić się, czy u Karen wszystko w porządku - oznajmił.

- A co miałyby być z nią nie tak? - prychnęła Clare.

To zwykła zazdrość, pomyślał. Ostatnimi czasy takie uwagi zdarzały się coraz częściej. Rozluźniając krawat, podszedł do telefonu i szturchnął palcem odpowiednie przyciski.

Rodzice Debbie byli już w łóżku. W końcu jej ojciec odebrał telefon. Ziewał tak głośno, że w pierwszej chwili nie bardzo zrozumiał, co Dawson do niego mówi.

- Nie, Max, Karen u nas nie ma. Myślałem, że jest z tobą.

Dawson z niedowierzaniem wpatrywał się w aparat. Czy ten kretyń do reszty postradał zmysły?

- O czym ty mówisz, do diabła? - wybuchnął. - Miała iść do kina razem z Debbie, a potem u was przenocować. Tak zostało ustalone.

- Wiem. - Taylor ziewnął. - Debbie czekała przed Odeonem, ale Karen się nie zjawiła. W związku z tym przypuszczaliśmy, że pojechała z tobą na przyjęcie.

- Przypuszczaliście?! Do jasnej cholery, czemu w takim razie nie zadzwoniłeś, żeby sprawdzić?!

- No wiesz... Tak myśleliśmy...

- Ty pieprzony gnoju! - ryknął Dawson z twarzą czerwoną z gniewu. - Nie rozłączaj się!

Położył słuchawkę i pomknął po schodach do pokoju Karen. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi, żeby zajrzeć do środka. Zasłony były zaciągnięte, a w pokoju panował kompletny bezruch i cisza. W ciemnościach nikt nie oddychał. Przesunął palcami po framudze, aż znalazł włącznik światła. Łóżko Karen było puste i starannie zasłane. Nikt nie leżał na nim od rana. Z powrotem zbiegł ze schodów, chwycił słuchawkę i wrzasnął do przerażonego Taylora:

- Nie ma jej w domu! Jeśli cokolwiek złego przydarzyło się mojej córce, to przysięgam, że cię zabiję, ty skurwysynu!

Dosłownie trząśł się z wściekłości.

- O co chodzi? - Clare złapała go za ramię. - Gdzie jest Karen?

- Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć. - Podniósł do ucha słuchawkę. - Czy Debbie jest w domu?

- Oczywiście, Max... Ale już śpi.

- To ją obudź, ty głupcze! Być może wie, dokąd poszła Karen.

Chwile oczekiwania zdawały się przeciągać w nieskończoność, strach walczył z gniewem o palmę pierwszeństwa, a Clare znów pozęgłowała w stronę barku, żeby uzupełnić zawartość szklaneczki.

- Twoja córka zaginęła - warknął opryskliwie. - A ty potrafisz myśleć jedynie o tym, żeby się nawalić.

Clare wybuchnęła płaczem, ale on odwrócił się i niecierpliwie czekał na Debbie.

*

Biegł przez las, wyęzając wzrok i słuch. Nagle rozległ się krzyk. Przeszywający do szpiku kości dźwięk, który wydarł dziurę w gładkiej materii ciszy. Ale teraz wszędzie panował spokój... Taki spokój, jaki nocami bywa w lesie - wypełniony szelestami, pomrukami i pojękiwaniem. Czasem, jeśli akurat dopisało mu szczęście, mruczenie i jęki były oznaką, że

jakaś para przyszła tu uprawiać miłość; że gdzieś w pobliżu są spragnieni siebie kochankowie, napaleni, mokrzy od potu i zbyt zajęci sobą, żeby dostrzec, że ktoś ich podgląda. Co oni wyprawiali... Wręcz nie do uwierzenia... A niektóre dziewczyny były bardziej rozpustne niż faceci. Znacznie bardziej.

Wcisnął się między krzaki, żeby pobiec skrótem. Znał w tym lesie wszystkie skróty. Nagle dostrzegł coś czarnego w wysokiej trawie. Podniósł to coś. Biustonosz. Z czarnej koronki, z głębokimi miseczkami. Zatrząsk wisiał na jednej nitce. Widocznie komuś zabrakło cierpliwości, żeby grzebać się przy tych wszystkich maleńkich haftkach. Przytulił do policzka miękki materiał i powoli przesunął w górę i w dół, a potem starannie złożył biustonosz i schował głęboko do kieszeni.

Teraz przedzierał się przez jeszcze gęstsze krzaki. Blask księżyca padał na coś srebrzyście białego. Zesztywniał i przez dłuższą chwilę stał w kompletnym bezruchu. To była biel obnażonego ciała. Wstrzymując oddech, wyćwiczonym od dawna ruchem bezszelestnie podsunął się bliżej i rozsunął gałęzie, żeby lepiej widzieć.

Matko Boska!

Na ziemi tuż przed nim leżało nagie ciało młodej dziewczyny. Usta i podbródek znikły pod warstwą zakrzepłej krwi. Całe ciało pokrywała sieć świeżych, zielonych siniaków. Wokół na trawie walały się strzępki ubrania. Szybko przykucnął, żeby jak najbardziej się skurczyć - na wypadek gdyby sprawca tego strasznego czynu wciąż jeszcze czał się w pobliżu. Nasłuchiwał. Nic. Absolutna cisza.

Przysunął się o kilka cali, żeby móc jej dotknąć. Ciało było zimne. Lodowato zimne. Przywarł uchem do zakrwawionych ust, ale nie poczuł nawet śladu oddechu. Powoli jego oczy powędrowały przez posiniaczone i krwawiące ciało w dół, w stronę jej ud i nóg. Miała na sobie czarne, grube pończochy, wskutek czego jej uda wydawały się bielsze, niż były w rzeczywistości. Porwane części garderoby wyglądały na rodzaj mundurka szkolnego. Odziane w czarne pończochy nogi dziewczyny przyciągały go nieodparcie... Na górze każdej z nich dostrzegł szeroką czerwoną podwiązkę - podwiązkę, która miała być widoczna. Zawsze przypuszczał, że szkolny strój jest o wiele mniej seksowny. Ta panienska musiała być prawdziwą małą flirciarą. Z pewnością zasługiwała na wszystko, co ją spotkało.

Jakie to musi być wspaniałe, myślał, mieć na własność kochankę tak cichą i uległą jak ta... Nigdy wcześniej nie dotykał nagiej dziewczyny. Kiedy patrzył, jak inni mężczyźni pieszczą swoje partnerki, bawią się czule ich włosami i uprawiają z nimi seks, pocił się jak szczur i jęczał, ekscytując się cudzym podnieceniem. On jeszcze nigdy nie dotknął

dziewczęcego ciała. Przynajmniej nie tak, jak chciał. Klęcząc obok dziewczyny, czule pogłaskał płaski brzuch.

Gdzieś obok trzasnęła gałązka. Natychmiast się rozejrzył. Nic. Ale nie powinien tego robić. Przypuśćmy, że ktoś go zobaczy, jak dotyka nieżywej dziewczyny. Zobaczy i doniesie na policję. A policja dojdzie do wniosku, że to jego dzieło. Poderwał się z klęczek i odsunął od ciała, a potem nagle odwrócił się i przez krzaki pobiegł z powrotem na ścieżkę, która prowadziła do domu, do bezpiecznej przystani.

Kiedy mijał budkę telefoniczną, doszedł do wniosku, że powinien zadzwonić na posterunek. Powiedzieć im, co widział. Nie ujawni, kim jest, ale jeśli coś pójdzie źle... Jeśli zaczną go podejrzewać, zawsze będzie mógł powiedzieć: „To właśnie ja do was dzwoniłem. Czy zrobiłbym tak, gdybym ją zabił?”. Tak, tak będzie najmądrzej. I całkiem sprytnie. Wsadził rękę do kieszeni, żeby pogłodzić miękką koronkę czarnego biustonosza.

*

Sierżant Wells trącił łokciem posterunkowego Colliera i podbródkiem wskazał mu drzwi, które otwierały się bardzo, bardzo powoli. Jack Frost na palcach wsunął się do środka, najwyraźniej mając nadzieję, że uda mu się przemknąć na górę do kantyny bez zwracania na siebie czyjejkolwiek uwagi. Nieświadomy faktu, że ktoś go obserwuje, chyłkiem przemierzył całą długość holu i nawet zdążył popchnąć drzwi prowadzące na klatkę schodową. Do środka wtargnęła gwar wesołych głosów zmieszany z oparami alkoholu.

Wells wyczekał do ostatniej chwili i dopiero wtedy rzucił granat.

- Możesz zapomnieć o zabawie, inspektorze. Mullett siedzi na górze.

- Co?

Frost zamarł w pół kroku. Obracając się na pięcie, o mały włos nie stracił równowagi.

Miał minę chłopaczka z kościelnego chóru, który został przyłapany na czytaniu „Penthouse’a” ukrytego w śpiewniku z psalmami.

- Bill, ty sukinsynu! Mało brakowało, a wystraszyłybyś mnie na śmierć... - zaczął, ale nagle dotarło do niego znaczenie tego, co powiedział Wells. Mullett postawił sprawę jasno: w zabawie może wziąć udział tylko ta część załogi, która w danym dniu ma wolne. - Mullett? Jest na górze? - Uważnie patrzył w twarz sierżanta w nadziei, że kolega robi mu kawał.

- Przykro mi, Jack. Pewnie pije jak gąbka i liże tyłek szefowi policji, podczas gdy ty i ja musimy tkwić na dole i odwalać za wszystkich czarną robotę.

- Co za pieprzony pech! - mruknął Frost z goryczą. Posterunkowy Ridley odsunął panel i nie ruszając się z dyspozytorni, zawołał Frosta.

- Inspektorze, Dave Shelby podał przez radio, że pański nieboszczyk właśnie został odwieziony do kostnicy. Sekcję przeprowadzą jutro punktualnie o dziesiątej.

- Wspaniale - odparł Frost. - Jak wiadomo, oglądanie przed obiadem zawartości cudzych jelit cudownie zaostrza apetyt.

Odwrócił się w stronę młodego Colliera, który właśnie wymachiwał gotowymi raportami z włamań. - Jeszcze dwa przypadki, inspektorze.

- Rzuć je na moje biurko, synu. Wsadzę je do skoroszytu z nalepką „Włamania - sprawy nierozwiązane”, jeśli będzie tam miejsce. Jeśli nie, po prostu wyrzucę je do kosza.

W Denton od pewnego czasu zapanowała prawdziwa plaga drobnych włamań i kradzieży. Wszystkie trwały dosłownie kilka chwil i chyba dokonywano ich pod wpływem impulsu - brakowało wskazówek, odcisków palców czy świadków zdarzenia. Łupem padały zwykle małe sumy, więc dopóki nie udało się schwycić sprawcy na gorącym uczynku, policja tak naprawdę niewiele mogła zrobić. Kiedy liczba zgłoszonych włamań wzrosła do ponad osiemdziesięciu - niezgłoszonych było prawdopodobnie drugie tyle - Mullett zdecydował, że szkoda marnować czas doświadczonych policjantów, wysyłając ich na miejsce przestępstwa. I tak nie było tam czego oglądać - zwykle czekał zirytowany właściciel domu i pusta szuflada, wazon, portmonetka albo puszka na herbatę, w której przechowywano pieniądze. Zamiast tego przygotowano dla pokrzywdzonych standardowy formularz z pytaniami dotyczącymi szczegółów włamania. Potem te formularze były pobieżnie przeglądane, umieszczane w archiwum, po czym szybko o nich zapominano. Jack Frost był formalnie odpowiedzialny za śledztwo w sprawie inspektorem. Detektywem inspektorem Martinem Websterem, cudownym dzieckiem policji w Braybridge. Braybridge było sporej wielkości miastem, odległym od Denton o jakieś czterdzieści trzy mile.

Przeniesienie go do tej pieprzonej dziury, Denton, stanowiło część kary, jakby sam fakt zdegradowania do stopnia posterunkowego nie był wystarczającym poniżeniem. Jednak najgorsze okazało się oddanie go pod opiekę tego głupiego, niedbałego idioty z prowincji. W Braybridge ktoś taki jak Jack Frost nie mógłby nawet zostać posterunkowym, nie mówiąc już o stopniu inspektora. Jak to się stało, że taki pajac otrzymał awans na inspektora? Ktoś tam próbował mu wmówić, że facet dostał medal, ale Webster nie uwierzył w ani jedno słowo... No, chyba że zaczęli dawać medale za brak kompetencji. Komisarz Mullett, komendant okręgu Denton, wydawał się nie lubić ani Frosta, ani Webstera. „Wcale się nie cieszę, że mam pana u siebie - powiedział mu wprost. - Zgodziłem się na to jedynie pod przymusem. Wystarczy jedno zaniedbanie i z miejsca pan stąd wylatuje...”

Jak ktoś taki jak Frost zdołał nakłonić Mulletta, by ten poparł jego wniosek o awans? Webster uśmiechnął się smutno. Przypuszczalnie wystarczyło jedynie to, że Frost nie wtoczył się pijany na posterunek, rycząc wniebogłosy, i ani razu nie dał w mordę wyższemu stopniem oficerowi. Na samo wspomnienie prawa ręka zaczęła mu drżeć i znów poczuł ból w kostkach dłoni. Tak mocno walnął w pysk głównego inspektora Heptona, że przez chwilę myślał, czy nie połamał sobie kości ręki.

Do końca życia będzie pamiętał tamtą noc. Dzień wcześniej paskudnie pokłócił się z Janet, swoją ówczesną żoną. Ich sprzeczki stawały się coraz bardziej gwałtowne, ale ta zdecydowanie była najgorsza ze wszystkich. Janet nie miała pojęcia, jak fatalnie układa mu się w pracy. Na posterunek coraz częściej wpływały skargi, że Webster w okropny sposób traktuje podejrzanych. Zgoda, może czasami bywał odrobinę zbyt gorliwy, ale dzięki temu uzyskiwał konkretne rezultaty. Ale wtedy jeden po drugim zdarzyły się dwa incydenty, z których jeden z więźniów wyszedł z podbitym okiem, a drugi z posiniaczonymi żebrami. Obaj zgodnym chórem skarżyli się na „brutalność policji”. Do użycia przemocy doszło podczas aresztowania, bo podejrzani stawiali opór i w związku z tym każdy zarobił po parę kusańców, jednak główny inspektor Hepton wolał dać wiarę im, niż zaufać jednemu z własnych oficerów. Zagroził Websterowi, że zostanie wycofany z pracy w wydziale kryminalnym i z powrotem trafi do służby mundurowej.

O żadnej z tych spraw Janet nie miała pojęcia. Wiedziała jedynie, że mąż bywa zgorzkniały, łatwo wpada w złość i zdarza mu się wybuchnąć gniewem. Teraz już nie potrafił sobie przypomnieć, od czego zaczęła się ich ostatnia kłótnia. Atmosfera robiła się coraz gorętsza, aż w końcu nie wytrzymał i rzucił pod adresem Janet kilka soczystych wyzwisk. Zareagowała gwałtownie - z całej siły uderzyła go w twarz. Bez wątpienia zasłużył sobie. Właśnie dlatego tak cholernie trudno było mu się z tym pogodzić - bo zasłużył na to jak wszyscy diabli. Powinien był wtedy odpuścić sobie, przeprosić i błagać ją o wybaczenie. Ale on zareagował impulsywnie i bez zastanowienia oddał policzek. Jego dłoń trafiła ją prosto w usta, rozcinając wargę, która natychmiast zaczęła obficie krwawić. Błada jak ściana Janet rzuciła mu spojrzenie pełne pogardy, niespiesznym krokiem wyszła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Potem zadzwoniła jej matka, żeby mu powiedzieć, że Janet ma zamiar od niego odejść. Wówczas powinien był schować dumę do kieszeni i pójść jej szukać, ale zamiast tego wolał poużalać się nad samym sobą. Przy okazji opróżnił całą zawartość barku, aż wreszcie dostał małego rozumu.

Kiedy w końcu nieogolony i z nabiegłymi krwią oczyma chwiejnym krokiem wtoczył się na posterunek, akurat był tam główny inspektor Hepton - cholerny Hepton, który już na niego czekał. Zagroził mu drogę i coś tam pieprzył nieprzyjemnym, zgrzytliwym głosem. Webster miał wrażenie, że sam ten dźwięk szoruje mu po nerwach, zupełnie jakby ktoś drapał paznokciami po szkolnej tablicy.

A potem wszystko się zamazało. Pamiętał tylko, jak rzucił się bez opamiętania i na oślep uderzył pięścią. Potężny cios obrócił Heptona dookoła własnej osi, cisnął na szafę z aktami, po której zaatakowany osunął się na podłogę. I nagle pokój wypełnił się ludźmi, którzy krzyczeli coś z wściekłością i przytrzymywali mu ręce z tyłu. Potem ktoś musiał odwieźć go do domu, ponieważ przypominał sobie, że obudził się we własnym łóżku i że głowa dosłownie pękała mu z bólu, jakby wbijano w nią klin. Wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że to były tylko koszmarny majaki, wywołane przez nadużycie alkoholu. Ale Janet nie leżała obok w łóżku. Dom był pusty, z szaf znikły jej ubrania, a jego pięść puchła i bolała jak wszyscy diabli.

Za karę czekało go zawieszenie w czynnościach służbowych, sąd dyscyplinarny, zdegradowanie do stopnia posterunkowego i przeniesienie do Denton - do Jacka Frosta, który bezsprzecznie zasługiwał na miano największego matola pod słońcem.

- Webster, jak długo jeszcze będziesz się pieprzył z tą cholerną herbatą?

Dobiegający z holu głos Wellsa przywrócił mu poczucie rzeczywistości. Umywalnię zasnuwał gęsty obłok pary, wszystkie kontury wydawały się rozmazane i niewyraźne, a czajnik gwizdał z całych sił. Towarzystwo na górze ryczało ze śmiechu. Boże, ile by oddał teraz za jednego drinka. Tylko jednego. Ale dostał ostrzeżenie. Wystarczy, że choćby raz zjawi się na służbie pod wpływem alkoholu...

Wyłączył palnik gazowy i zaparzył herbatę.

W holu Frost i Wells nadal siedzieli razem i narzekali na swój smutny los. Młody Collier sterczał przy maszynie do pisania i korektorem nanosił poprawki na wydrukowany raport z taką werwą, jakby malował ścianę. Frost spuścił wzrok, kiedy Webster wręczał mu kubek z herbatą. Dręczyło go poczucie winy, bo wiedział, że powinien był zabrać z sobą posterunkowego, kiedy został wezwany w sprawie Bena Cornisha. Zresztą może byłoby lepiej, gdyby go wziął, bo w takim wypadku to Webster musiałby łązić tam i z powrotem w mokrej, cuchnącej brei. Jednak z drugiej strony perspektywa nieoglądania choć przez chwilę jego wiecznie skrzywionej gęby także wydawała się kusząca. Teraz uśmiechnął się i przysunął do siebie kubek. - Dzięki, synu. Wygląda znakomicie. Wells wziął swoją porcję herbaty bez komentarza, lecz Collier, który oderwał wzrok od raportu, bez namysłu rzekł:

- Bardzo dziękuję, inspektorze... Och, najmocniej przepraszam, chciałem powiedzieć „posterunkowy”... Ta uwaga wywołała przytłumiony chichot sierżanta.

Twarz Webstera stężała. Śmiejcie się, barany. Jeszcze nadejdzie mój czas. Załomotał w panel, a kiedy Ridley odsunął ruchomą ścianę, wcisnął do środka przydziałowy kubek. Dyżurny skinął głową na znak podziękowania, a potem zawołał do Wellsa:

- Sierżancie, facet, który padł ofiarą wypadku drogowego - tego, w którym sprawca uciekł z miejsca zdarzenia - został przewieziony do Denton General Hospital. Raczej nie dają mu szans na przeżycie. Ach, byłbym zapomniał... Znaleźiono tablicę rejestracyjną samochodu, który go potrącił.

- Znaleźiono tablicę rejestracyjną! - wykrzyknął Frost z udawanym podekscytowaniem i siorbnął łyk herbaty.

- Nareszcie mamy jakiś ślad. Nigdy dotąd nie miałem takiego fartu, żeby sprawca zgubił tablicę. Zwykle cieszę się jak wariat, jeśli uda mi się znaleźć dwóch świadków, którzy zgadzają się co do koloru samochodu.

Nagle zamarł; ręka trzymająca kubek tuż przy ustach wyraźnie zadrżała.

- Posłuchajcie - wyszeptał.

Wszyscy zastygli bez ruchu. Na górze panowała cisza - no, względna cisza. Nie słychać było muzyki ani tupotu nóg.

Frost odstawił kubek, podbiegł do drzwi prowadzących na schody i otworzył je na całą szerokość.

- Do widzenia, panie komisarzu... Dziękujemy za odwiedzin... - wołały pomieszane głosy.

Szef policji i komendant Mullett wychodzili z przyjęcia. Frost uśmiechnął się pod nosem. Gdy tylko zamkną się za nimi drzwi, popędzi na górę jak wygłodniały żeglarz, który wpada do burdelu z darmową kartą wstępu.

Telefon wybrał sobie akurat ten moment, żeby zadzwonić.

- Odbierz, Collier - polecił szorstko Wells. Nie miał zamiaru przegapić drugiej okazji na zamienienie kilku słów z szefem policji. Ale Collier zdążył już zająć strategiczną pozycję przy wyjściu i wyprężony na baczność trzymał otwarte drzwi, żeby przełożeni mogli swobodnie opuścić budynek. Mały lizus, pomyślał z obrzydzeniem Wells.

Webster ukrył się w biurze, a Jack Frost zwyczajnie gdzieś zniknął, jak zwykle gdy Mullett pojawiał się w zasięgu wzroku. I znowu tylko Wells mógł odebrać ten cholerny telefon.

Mullett i szef policji zjawili się w holu, otoczeni oparami znakomitej whisky i dymem drogich cygar. Szef coś mówił, Mullett słuchał z przejęciem i co chwila kiwał głową.

- Jak zwykle ma pan absolutną rację, panie komisarzu - mruzczał, i nie miało żadnego znaczenia, czy w ogóle słyszał, o co szefowi chodzi.

Przy drzwiach szef zatrzymał się na moment. Obrzucił Colliera pełnym aprobaty uśmiechem.

- Ma pan u siebie bardzo zmyślnych chłopców, komendancie - zwrócił się do Mulletta.

- Jak zwykle ma pan absolutną rację - odparł Mullett, dziwiąc się, dlaczego sierżant Wells rzuca mu mordercze spojrzenia.

Wells przełożył słuchawkę do drugiej ręki, żeby zapisać szczegóły zgłoszenia.

- Rozumiem, proszę pana. No cóż, przede wszystkim proszę się nie denerwować. Za moment wyślę do pana naszego inspektora.

Odwiesił słuchawkę.

Zabawa na górze rozkręcała się na dobre. Znowu słyhać było muzykę z adapteru. Jack Frost wysunął się ze swojej kryjówki w dyspozytorni i pospieszył w kierunku schodów. Gdy tylko otworzył drzwi prowadzące na klatkę schodową, dźwięk stał się mocniejszy i bardziej donośny.

Jednak nie było mu dane tam dotrzeć.

- Jack, możesz zapomnieć o imprezie! - zawołał za nim Wells. - Mam dla ciebie nowinę. Właśnie zgłoszono zaginięcie nastoletniej dziewczyny.

WTOREK, NOCNA ZMIANA (3)

Frost pędził tuż za Websterem do czekającej na parkingu cortiny. Z góry spoglądały na nich jasno oświetlone okna kantyny. W roztargnieniu Webster wsunął się na fotel obok kierowcy i wyciągnął wygodnie nogi - tak jak to robił w dawnych dobrych czasach, kiedy woził go posterunkowy. Frost otworzył drzwi od strony pasażera i bez żenady zwrócił mu uwagę.

- Coś mi się zdaje, synu, że usiadłeś na moim fotelu.

Mrucząc pod nosem jakieś mało pochlebne słowa, Webster przesunął się na właściwe miejsce, stosowne dla niższego rangą funkcjonariusza. W ponurym milczeniu słuchał zagmatwanych uwag Frosta, które należy jechać.

Wreszcie Frost zdecydował się podjąć niewdzięczny temat.

- Być może to, co powiem, będzie dla ciebie niespodzianką, chłopcze, ale tak się składa, że twoja szacowna osoba nie jest dla nas atrakcją miesiąca.

Webster od razu zeszywniał. Akurat nie był w nastroju odpowiednim do wysłuchiwania krytycznych uwag pod swoim adresem, zwłaszcza od takiego gnojka jak Frost.

- Co pan miał na myśli, inspektorze?

- Tylko tyle, że od chwili przyjazdu zachowujesz się jak rozpieszczony bachor. Zdaję sobie sprawę, że nasze towarzystwo nie jest darem niebios dla kogoś, kto został zdegradowany i wyrzucony z rodzimej jednostki, ale czemu nie spróbujesz choć trochę ułatwić nam zadania? Gdybyś od czasu do czasu zechciał się uśmiechnąć, wszystkim od razu byłoby przyjemniej.

- Traktuję ludzi tak samo jak oni mnie - prychnął Webster, naciskając hamulec, bo właśnie światła zmieniły się na czerwone. - Rzygać mi się chce, kiedy muszę cierpliwie znosić te wasze głupie teksty typu: dziękuję, inspektorze... Och, bardzo przepraszam, chciałem powiedzieć „posterunkowy”.

- Mały Collier na pewno nie chciał ci zrobić przykrości - odparł Frost.

- Nie chodzi tylko o Colliera. - Webster dodał gazu, kiedy zapaliło się zielone. - Chodzi o wszystkich, a zwłaszcza o sierżanta Wellsa. Mam wrażenie, że ponížanie mnie sprawia mu ogromną frajdę.

- On zachowuje się tak nie bez przyczyny. Bill Wells tak bardzo chce zostać inspektorem, że prawie mi go żal. Zaliczył wszystkie wymagane egzaminy, ale komisja do spraw awansu wciąż odrzuca jego kandydaturę. Kiedy więc spotyka kogoś, kto był inspektorem - czyli kimś, kim on nigdy nie będzie - ale zaprzepaścił wszystko przez własną głupotę, za dopust Boży uważa konieczność kontaktowania się z kimś takim.

- Poza tym jest jeszcze inspektor Allen... - zaczął Webster.

- Och, inspektor Allen to prawdziwy skurwysyn - przerwał mu Frost. - W ogóle większość inspektorów to zwyczajne świnię. Założę się, że ty też taki byłeś.

Wyjrzał przez lepką od brudu przednią szybę.

- Skręć tutaj w prawo.

Webster zakręcił i zahamował gwałtownie, bo reflektory wydobyły z mroku ścianę z cegły, która dziwnym trafem znalazła się tuż przed maską. Wjechali w ślepią uliczkę.

- Przepraszam - mruknął Frost. - Chciałem powiedzieć „w lewo.”

Głupi sukinsyn, pomyślał Webster, z najwyższym trudem wycofując auto z ciasnego zaułka.

- Jeszcze jedno. Dlaczego zostałem celowo pominięty dziś wieczorem przy śledztwie w sprawie tego nieżywego narkomana?

- Dlatego że ja jestem starym, głupim durniem, który rzadko kiedy załatwia sprawę tak jak należy - odparł Frost z rozbijającą szczerością. - Bardzo mi przykro z tego powodu, synu, mówię całkiem szczerze.

Wspomnienie o Benie Cornishu znów obudziło w nim poczucie winy. Wiedział, że nie był wystarczająco dokładny. Myślał jedynie o tym, żeby jak najszybciej wydostać się z tamtej śmierdzącej dziury i pójść na przyjęcie. Poza tym tam nie było nic niezwykłego. Przypadkowy zgon, jak orzekł doktor. A jednak coś wciąż nie dawało mu spokoju, kołatało się gdzieś na obrzeżach mózgu... Zamknął oczy, starając się jak najwierniej odtworzyć tamtą scenę. Brud, zwłoki... Przemoknięte do cna ubranie... Właśnie, ubranie! Miał wrażenie, że podszewka kieszeni płaszcza była nieznacznie wyciągnięta, jakby ktoś w nich grzebał. Mimo to Shelby z całym przekonaniem twierdził, że nawet nie dotknął zwłok. Co prawda nieraz się zdarzało, że policjant ukradkiem przeszukiwał kieszenie nieboszczyka i zatrzymywał dla siebie to, co tam znalazł, jednak Frost natychmiast odrzucił taką możliwość. Shelby mógł być wszawym gliniarzem, ale na pewno nie był złodziejem. Nawiasem mówiąc, czy Ben mógł mieć przy sobie coś tak cennego, żeby warto było wkładać ręce w jego przesiąknięte wymiocinami kieszenie?

Pokręcił głową i szybko wymazał z pamięci tamten obraz. Nagle przyszło mu do głowy, że nie pojechał do matki Bena, by przekazać jej tę smutną wiadomość. Westchnął ciężko. Tyle było spraw, na które brakowało czasu... A to przypomniało mu o...

- Czy udało ci się skończyć te pieprzone statystyki przestępstw? - zapytał z nadzieją.

- Nie - odparł Webster. - Dane, które mi pan podałeś, są całkiem bez sensu.

Frost ponuro skinął głową. Dla niego tamte liczby także nie miały sensu i właśnie dlatego zlecił to zadanie posterunkowemu. Zestawienia statystyczne regularnie co miesiąc przyprawiały go o ból głowy. W tym miesiącu Mullett znowu dostał burę w kwaterze głównej hrabstwa, ponieważ pomimo wcześniejszych zapewnień statystyki z okręgu Denton znowu nie dotarły na czas. Mullett wściekł się, bo nie znosił, kiedy coś takiego zdarzało się w jego jednostce, i z kolei zmył głowę Frostowi, a urzędnicy z kwatery niechętnie zgodzili się przesunąć termin o trzydzieści sześć godzin. Termin upływał jutro.

- To pierwsza rzecz, jaką trzeba będzie się zająć, synu... Jak tylko wrócimy z sekcji... Musimy się zdobyć na ten wysiłek...

Webster nic nie powiedział. Frost zawsze miał dobre zamiary, ale kiedy nadejdzie rano i trzeba będzie zabrać się do statystyk, nagle przypomni sobie o czymś niecierpiącym zwłoki, co każe mu natychmiast opuścić posterunek i w dodatku zabrać ze sobą Webstera. Webster bardzo chciał pokazać się z jak najlepszej strony, ale jego wysiłki zmierzające do

odzyskania dawnej rangi inspektora były niweczone przez bałaganiarstwo i niekompetencję tego beznadziejnego idioty.

- Tutaj w lewo! - wrzasnął Frost w ostatniej chwili. Webster szarpnął kierownicą i kalosze leżące na tylnym siedzeniu z hukiem spadły na podłogę.

Frost wychylił się do tyłu, żeby je podnieść.

- Trzeba będzie posprzątać trochę ten samochód. Zajmiemy się tym, jak tylko uda się nam skończyć te cholerne statystyki.

Wysoko przed nimi wznosił się ogromny dom; cała posiadłość tonęła w powodzi światła.

- To właśnie jest rezydencja Dawsonów, synu. Cała naprzód.

*

Max Dawson czekał na nich w otwartych drzwiach frontowych. Ledwie rzucił okiem na policyjne legitymacje, którymi machnęli mu przed oczyma, i niemal wepchnął ich do środka, skąd przez podwójne drzwi weszli do salonu.

Dwupoziomowy salon, który biegł prawie przez całą długość parteru, był wystarczająco przestronny, by pomieścić sterowiec. W powietrzu unosił się mocny zapach kosztownej skóry, ciężka woń cygar i pieniędzy... Mnóstwa pieniędzy. Co za miła odmiana po tych śmierdzących pisuarach na High Street, w której nie czuło się żadnego z wymienionych zapachów, pomyślał Frost.

Dolna część - wyłożona drogą, dębową boazerią, wykończoną na wysoki połysk - mieściła bar tak wielki jak kontuar w pubie, tylko o wiele lepiej wyposażony, a olbrzymi kominek z kamienia, ze sztucznym, lecz wyglądającym na naturalne polanem, buzował zasilanymi przez gaz płomieniami, które z rykiem znikwały w szerokim gardle ceglanego komina. Wśród przedmiotów godnych uwagi był także gigantyczny ekran telewizora udający sekretarzyk chippendale, który za naciśnięciem guzika wynurzał się ze ściany, a także wart przynajmniej pięć patyków wykonany na zamówienie zestaw stereo, ustawiony w ręcznie robionych szafkach w stylu regencji. Mlecznoczekoladowa wykładzina skrywała grubą gumową warstwę izolacyjną. Na jej tle znakomicie prezentowały się głębokie, miękkie, skórzane sofy w kolorze kremowym i brązowym.

Na podwyższeniu stał pełnowymiarowy stół do snookera, z górnym oświetleniem, stojakiem na kije i tablicą do zapisywania wyników gry. Jedna z sąsiadujących z nim ścian obudowana była czymś, co wyglądało na półki pełne oprawionych w skórę książek ze złożonymi brzegami, a co prawdopodobnie ukrywało ścienny sejf. Wzdłuż drugiej stały

otwarte szafki, gdzie wystawiono na pokaz sportowe karabinki, rewolwery i strzelby z kolekcji gospodarza.

Dawson od razu przeszedł do sedna sprawy.

- Moja córka została uprowadzona - powiedział i pstryknął palcami w stronę krzesel, co zapewne miało być zaproszeniem do zajęcia miejsc. - Będę współpracował z policją, ale od razu stawiam sprawę jasno: jeśli porywacz wystąpi z żądaniem okupu, zamierzam go zapłacić. Obchodzi mnie jedynie bezpieczeństwo córki.

Dopiero wtedy zreflektował się i wskazując siedzącą przy kominku kobietę, dodał:

- Moja żona.

Dawson - wciąż w wieczorowym ubraniu, ale z rozwiązanym krawatem - był niskim, przysadzistym mężczyzną w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat, z przerzedzającymi się włosami, oczyma o twardym spojrzeniu i zaciśniętymi bezlitośnie ustami. Jego żona, Clare, wydawała się znacznie młodsza i ze swoimi ciemnymi włosami i kremową skórą sprawiała wrażenie całkiem niebrzydkiej. Miała najbardziej zmysłowe usta, jakie Frost kiedykolwiek widział.

- No dobrze - oświadczył Frost, rozpinając płaszcz przeciwdeszczowy. - Porozmawiajmy teraz na temat szczegółów.

Zabrzęczał dzwonek u drzwi. Dawson podbródkiem nakazał żonie wstać i otworzyć.

- To muszą być Taylorowie. Wpuść ich. Posłusznie podreptała w kierunku wejścia.

- Chcę, żeby panowie posłuchali, co ma do powiedzenia koleżanka Karen - wyjaśnił Dawson.

W czasie gdy czekali na ich przyjście, Webster wstał z miejsca i wszedł na górny podest. Chciał obejrzeć z bliska kolekcję broni. Wyjął ze stojaka karabin Lee Enfield Mark III i zmrużył oko, żeby spojrzeć przez wizjer.

- Czy to oryginalny egzemplarz, proszę pana? - spytał.

- Oczywiście, że nie, do jasnej cholery! - warknął Dawson. - Wszystkie są podróbkami. Oryginalne egzemplarze trzymam pod kluczem.

- Zakładam, że posiada pan zezwolenie na broń - kontynuował posterunkowy, najwyraźniej zapominając, że to nie on prowadzi śledztwo.

Zdenerwowany odejściem od głównego tematu Dawson szarpnął szufladę podłużnego kredensu i wyciągnął z niej zwitek dokumentów.

- Psiakrew, jasne, że mam! Chce pan tracić czas na oglądanie zezwoleń czy też raczej porozmawiamy o mojej zaginionej córce?

Webster z oślim uporem wyciągnął rękę po dokumenty. Frost zwawo wkroczył do akcji, zanim posterunkowy zdążył wejść na zastrzeżony dla niego teren.

- Możemy oszczędzić panu zbędnych formalności - oświadczył nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Z wyraźną niechęcią Webster ustąpił. W porządku, ty gnoju. Możesz mnie poniżyć, ile dusza zapragnie, pienił się w myślach, nie zastanawiając się nad tym, że te uczucia aż nazbyt wyraźnie malują się na jego twarzy.

Clare Dawson powróciła do salonu w towarzystwie pana Taylora - małego, nerwowego człowieczka z cienkimi wąsikami, który szedł, ociągając się, jakby nie był pewien, jak zostanie przyjęty. Ścisnął dłoń swojej córki Debbie, której twarz skrywał kaptur grubej bawełnianej bluzy.

- Max, strasznie mi przykro z powodu tego nieporozumienia - powiedział i wyciągnął rękę na powitanie.

- Nieporozumienia?! - burknął Dawson, odtrącając jego dłoń. - Ty ohydna kreaturo! Jeśli Karen przydarzyło się cokolwiek złego, skrećę ci...

- Na pewno nic jej nie jest, Max - wtrąciła jego żona, żeby przywrócić spokój.

Dawson okręcił się na pięcie i poczerwieniał z gniewu.

- A ty co, nagle zostałeś pieprzonym jasnowidzem?! Skąd wiesz, do cholery, że nic jej nie jest? Nawet cię to za bardzo nie obchodzi!

Zamilkł na moment i po chwili ze zniecierpliwieniem machnął ręką, jakby w ten sposób miał zamiar przeprosić obecnych.

- Przepraszam. Ostatnio jestem przepracowany... Spojrzawszy na Taylora i jego córkę, przywołał na usta wymuszony uśmiech.

- Usiądźcie, proszę.

Debbie rozpięła bluzę i zsunęła ją z ramion. Pod spodem miała zielony pulower z długimi rękawami. Frost ujrzał poważną dziewczynkę w okularach, z włosami zaplecionymi w dwa cienkie warkoczyki. Sprawiała wrażenie na wpół śpiącej, przestraszonej i na pewno młodszej niż piętnastoletniej.

- No dobrze - zdecydował. - Możemy zaczynać, żeby Debbie jak najszybciej wróciła do łóżka.

Podniósł głowę, żeby sprawdzić, co robi Webster, i ku swojemu niezadowoleniu przekonał się, że znów kręci się w pobliżu szafki z bronią.

- Jak sądzicie, posterunkowy, czy będziecie mogli poświęcić trochę cennego czasu na sporządzenie kilku notatek?

Webster rzucił mu przez całą długość salonu wściekłe spojrzenie, ale posłusznie wyjął notes.

- Karen została porwana - powiedział Dawson. - W domu ukrywał się jakiś mężczyzna. Widziałaś go, Debbie, zgadza się?

- No cóż, przynajmniej tak mi się wydawało - wyszeptała dziewczynka. Wydawała się zbyt onieśmielona, żeby spojrzeć na kogokolwiek, i wciąż opuszczała głowę.

- Jak to, wydawało ci się?! - wrzasnął ze złością Dawson. - Powiedziałaś mi przez telefon, że widziałaś w oknie jakiegoś faceta! - Z furią odwrócił się i napadł na Taylora:

- Kazałeś jej zmienić zeznania, co?

- Proszę wszystkich o zachowanie spokoju - błagał Frost.

- To zaczyna być zbyt zagniatwane. Niestety, nie bardzo orientuje się w szczegółach, więc proszę powoli wyjaśnić mi wszystko od początku do końca. Czy mógłby pan zacząć jeszcze raz i nie używać zbyt wielu długich słów? - zwrócił się do Dawsona.

- Jestem dyrektorem generalnym Dawson Electronics. Dziś wieczorem w mojej firmie odbywała się roczna impreza, kolacja połączona z zabawą taneczną, w której razem z żoną brałszy udział. W związku z tym, że do późna miało nas nie być w domu, zostało ustalone, że nasza córka Karen prosto ze szkoły pójdzie z Debbie do kina Odeon - na *Breakdance* czy jakiś inny film tego typu, ponieważ obie mają bzika na punkcie tańca - a potem do domu Debbie, gdzie miała spędzić noc. Ja i żona wróciliśmy do domu krótko po wpół do dwunastej i wtedy zadzwoniłem do Taylora, żeby zapytać, czy u Karen wszystko w porządku. Taylor powiedział mi, że wcale jej nie widzieli. Debbie zjawiała się przed kinem o ustalonej porze, ale Karen nie przyszła. Debbie czekała i czekała, ale w związku z tym, że Karen się nie zjawiała, a projekcja lada moment miała się zacząć, weszła do środka sama, żeby obejrzeć film.

- Chwileczkę! - zawołał Frost. - Powiedział pan, że Debbie czekała przed kinem? Wydawało mi się, że miały tam pójść razem prosto ze szkoły?

- Debbie, opowiedz inspektorowi, jak to było - poprosił Dawson.

- Szkoła została zamknięta w porze lunchu - wyjaśniła Debbie, nie podnosząc głowy. - Wszystkie zostałyśmy odesłane do domów. Nauczyciele zaczęli strajk.

- Słyszycie państwo? - zagrzemiał Dawson. Znów trząśnięty jak galareta, ledwie powstrzymując wybuch gniewu. - Nauczyciele zaczęli sobie pieprzony strajk! Gdyby pracowali u mnie, wywaliłbym większość na zbity pysk! Proszę zauważyć, że nie mówimy tutaj o jakiejś państwowej, nędznej szkółce, tylko o St. Mary College!

Frost skinął głową. St. Mary's College był bardzo ekskluzywną i piekielnie drogą prywatną szkołą dla dziewcząt, gdzie chodziły córki okropnie bogatych ludzi.

- Jak gdyby nigdy nic wywalają dzieci na ulicę, zamykają szkołę na cztery spusty i nawet nie raczą powiadomić o tym rodziców! - kontynuował rozwścieczony Dawson. - Jeśli z tego powodu Karen przydarzyło się coś złego, pozwę do sądu tę pieprzoną szkołę i zedrę z nich ostatniego pensa!

Dawson dalej wygłaszał pełną pasji tyradę, Frost zaś w tym czasie powędrował spojrzeniem w stronę pani domu, która po cichu napełniała swoją szklaneczkę. Musiał przyznać, że była z niej niezła laska. Przypuszczalnie miała z piętnaście lat mniej niż mąż, ale trudno to było ocenić z pewnością - te bogate ptaszki wiedzą, jak spowolnić procesy starzenia. Króciutka, czarno-czerwona wieczorowa sukienka ukazywała całe akry ciepłego ciała w kremowym odcieniu, które aż prosiło się o dokładne zbadanie. Gdyby ktoś bardzo chciał się przyczepić, mógłby uznać ją za odrobinę zbyt pulchną, niemniej sprawiała wrażenie cieplej i chętniej kobietki, zupełnie jak te dmuchane lalki sprzedawane w sex-shopach. Marnuje się przy takim mężu, pomyślał Frost. Założę się, że sypia z nią tylko wtedy, gdy ma to przewidziane w rozkładzie dnia. „11.02-11.04 seks z żoną, jeśli pogoda pozwoli”. Frost oderwał od niej wzrok i napotkał spojrzenie Webstera. On także po cichu prowadził inwigilację. Frost popatrzył z ukosa na posterunkowego i mrugnął znacząco, a wtedy Webster pospiesznie odwrócił się i z nadmiernym zainteresowaniem wpatrzył we własny notes.

- Rozumiem, że wszystkie uczennice zostały odesłane do domów w porze lunchu? - odezwał się Frost.

- Tak. Debbie szła razem z Karen aż do bramy wjazdowej i tam umówiły się na spotkanie przed Odeonem.

- Która to była godzina, Debbie?

- Mniej więcej za piętnaście druga - powiedziała do dywanu.

- Pan pewnie w tym czasie był w pracy?

- Psiakrew, to chyba jasne!

- A pani, pani Dawson?

Clare już otworzyła usta, ale mąż nie miał zamiaru dopuścić jej do głosu.

- Moja żona była w tym czasie u fryzjera. W tym sęk. Dom był pusty, a mimo to Debbie widziała...

- Debbie sama powie nam, kogo widziała - przerwał mu Frost i uśmiechnął się promiennie do młodej panienki. - Powiedz nam, skarbie, co się wydarzyło, a ten brzydki pan z paskudną brodą wszystko ładnie zapisze.

Ostatnia uwaga została wygłoszona na użytek Webstera, ponieważ notes posterunkowego wyglądał na podejrzenie mało używany.

Debbie mówiła tak cicho, że musieli pochylić się w jej stronę, żeby cokolwiek usłyszeć.

- Zostawiłam Karen przy bramie na początku dróżki dojazdowej... Mój dom jest trochę dalej... Kiedy odwróciłam się, żeby pomachać na pożegnanie, zobaczyłam... To znaczy, pomyślałam, że widzę... kogoś w oknie sypialni Karen. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, bo nie wiedziałam, że w domu nie powinno nikogo być.

- Czy to był mężczyzna, czy kobieta? - zainteresował się inspektor.

Debbie z uporem wpatrywała się w podłogę.

- Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że mężczyzna. Zasuwał zasłony. Widziałam go tylko przez ułamek sekundy.

- Zasuwał zasłony? Masz na myśli, że zasłony w oknie były rozsunięte, a ten człowiek je zasuwiał, tak?

- Tak. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam. Nie przypuszczałam, że to będzie aż tak ważne.

Frost podrapał się w brodę.

- Czy widziałaś, jak Karen wchodzi do domu?

- Nie, ale widziałam, jak idzie w stronę wejścia.

- O której umówiłyście się przed kinem?

- O wpół do szóstej.

- Byłaś punktualnie?

- Nawet pięć minut wcześniej. Czekałam aż do szóstej... Właśnie o tej godzinie zaczynał się film. Karen nie było, więc weszłam sama.

- Czy zdziwiło cię to, że nie przyszła?

Raptownie zamrugła oczami ukrytymi za szkłem okularów.

- Tak. Od paru tygodni była mocno podekscytowana tym filmem. Zresztą ją też. Poza tym nie mogła się doczekać, kiedy będzie u mnie nocować.

- Masz jakiś pomysł, dokąd mogła pójść?

- Nie. - Debbie potrząsnęła głową. - Nie mam pojęcia.

- Dzwoniliśmy do wszystkich jej przyjaciółek - wtrącił Dawson. - Dla mnie to jasne jak słońce. Karen została porwana. Jakiś facet był w domu i czekał na nią.

- Dziękujemy, Debbie - powiedział łagodnie Frost. - Bardzo nam pomogłaś. A teraz wracaj do domu i idź spać. Jeśli coś przyjdzie ci do głowy, powiedz tacie, a on do mnie zadzwoni.

Grzebał w kieszeni, dopóki nie znalazł zmiętej wizytówki z zagiętymi rogami, którą wręczył Taylorowi. Clare odprowadziła gości do drzwi, a w tym czasie Frost poprosił o fotografię Karen.

Dawson wyciągnął kolorowe zdjęcie spod szklanego blatu inkrustowanego kolorową mozaiką stolika do kawy i podał je inspektorowi. Frost obejrzał je uważnie i przekazał Websterowi. Z fotografii spoglądała na nich dziewczynka w wieku szkolnym, z ciemnymi, starannie uczesanymi włosami, z promienną buzią o lekkiej tendencji do pokrywania się piegami, z zadartym nosem i uśmiechem od ucha do ucha. Podobnie jak Debbie miała piętnaście lat i podobnie jak ona wyglądała o wiele młodziej.

- Uroczy dzieciak - zauważył Frost. - Kiedy zostało zrobione to zdjęcie?

Dawson pstryknął palcami w kierunku Clare.

- Mniej więcej sześć albo siedem miesięcy temu - odparła posłusznie.

- Ile dokładnie lat ma państwa córka? - dopytywał się Webster, zapisując na odwrocie zdjęcia wszystkie szczegóły.

- W ostatni czwartek skończyła piętnaście - odezwał się Dawson.

- Dziękuję. - Frost uśmiechnął się. - A teraz, pani Dawson, chciałbym zadać pani parę pytań.

Drgnęła, usłyszawszy skierowane do siebie pytanie. Szklanka wysunęła się jej z ręki, ale w ostatniej chwili zdążyła ją złapać. Potem próbowała zapalić papierosa zapalniczką w kształcie rycerza ze spuszczoną przyłbicą, ale miała wyraźne kłopoty z trafieniem w płomień. Wreszcie papieros zatlił się, ale ona wciąż ścisnęła w ręku statuetkę i bezmyślnie włączała ją i wyłączała.

- Tak, inspektorze?

Wydawała się zdenerwowana, to zrozumiałe, i ogólnie dość nerwowa, ale... W jej zachowaniu było coś jeszcze. Jakaś nadmierna nieśmiałość, ukradkowe, rozbiegane spojrzenia. Taki sam wyraz Frost widział na twarzy Dave'a Shelby'ego. Później przypomniał sobie, w jaki sposób doszedł do tego, co ją łączy z Shelbym... Choć oczywiście z zupełnie innych powodów.

- O której godzinie wyszła pani z domu?

- Chodzi o dzisiejszy wieczór?

- Oczywiście, że nie chodzi o żaden inny cholerny wieczór, ty durna babo! - wrzasnął na nią mąż. Wyrwał jej z ręki zapalniczkę i odstawił na półkę nad kominkiem, wysoko poza jej zasięgiem. - Inspektor pyta, o której wyszłaś do tego pieprzonego fryzjera, żeby umyć włosy i ułożyć fryzurę.

- Och, bardzo przepraszam... Wizyta była wyznaczona na godzinę drugą. Wysłałam z domu parę minut po pierwszej.

Frost zerknął pospiesznie na Webstera, żeby sprawdzić, czy eksinspektor robi notatki, a potem pytał dalej.

- A o której pani wróciła?

- O piątej, może trochę później.

- Więc na umycie i ułożenie włosów potrzeba aż trzech godzin?! W życiu nie przypuszczałem, że to trwa tak długo.

- Och, u fryzjera byłam około godziny, a potem przeszłam się po mieście, zajrzałam do kilku sklepów. W końcu usiadłam w Aster's Department Store, żeby napić się herbaty.

- Czy po powrocie do domu zauważyła pani coś niezwykłego? Czy miała pani wrażenie, że ktoś tu był podczas pani nieobecności?

Przez chwilę zastanawiała się, a następnie zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie, nic.

Frost podziękował uśmiechem i z powrotem odwrócił się do jej męża.

- Proszę pana, sugeruje pan, że córka została uprowadzona. Rozumiem, że do chwili obecnej nikt nie kontaktował się z panem w tej sprawie? Nikt nie dzwonił ani nie przedstawiał żadnych żądań?

- Nie, nie było żadnych prób... Jak na razie. Ale będą, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Jestem bogaty... Prawdę powiedziawszy, cholernie bogaty. Moja córka zaginęła, a w domu ukrywał się jakiś mężczyzna i czekał na jej powrót. Nie trzeba być geniuszem, żeby domyślić się, że została stąd zabrana siłą.

Frost odchylił się do tyłu i wpatrzył się w wysokie sklepienie sufitu - w belki doskonale udające prawdziwy dąb, w potężny kryształowy żyrandol. Skubiąc bliznę na policzku, jeszcze raz rozmyślał o wszystkich faktach. Teoria Dawsona o porwaniu dziewczynki wcale go nie przekonała. Gdyby dziecko rzeczywiście zostało uprowadzone, sprawca natychmiast zadzwoniłby do rodziców i zażądał, żeby nie powiadamiać policji. Upłynęło już ponad dziesięć godzin od zniknięcia Karen, a wciąż nikt nie usiłował nawiązać kontaktu z Dawsonami. Nie, Frost stanowczo nie kupował tego scenariusza.

Webster w milczeniu obserwował starego durnia, który najwyraźniej na suficie szukał inspiracji do dalszych działań. Spójrzcie na niego, pomyślał z pogardą. Nie ma zielonego pojęcia, co teraz robić. No cóż, nawet jeśli inspektor nie miał pomysłów, to Websterowi z pewnością ich nie brakowało. Nagle zatrzasnął notes i podniósł się z krzesła.

- W porządku, panie Dawson. Debbie widziała jakiegoś mężczyznę w pokoju pańskiej córki, więc chyba najlepiej będzie zacząć od rzucenia okiem na jej sypialnię.

Frost zacisnął usta, ale po paru sekundach odprężył się i zmusił do uśmiechu. Wysuwając się z miękkich objęć kremowo-brązowej sofy, odezwał się łagodnym głosem:

- To na górze, zgadza się, panie Dawson?

Clare wysączyła ostatnią kropelkę ze szklanki i chwiejnie podniosła się z miejsca.

- Zaprowadzę panów.

Poszli za nią szerokimi, wyłożonymi ładnym chodniczkiem schodami na pierwsze piętro. Opięta suknia pani domu nie tylko podkreślała ponętne kształty; zdawała się czule badać tajemnice jej ciała, wpijając się w rowek między zgrabnymi pośladkami. Idący z tyłu panowie mieli wspaniałe widowisko, czego pewnie Webster by nie zauważył, gdyby Frost nie trącił go łokciem.

Po krótkim spacerze po głębokim niemal do kolan dywanie wyściełającym podest znaleźli się przed drzwiami w perłowym odcieniu, które Clare otworzyła. Włączyła światło i cofnęła się o krok, żeby wpuścić ich do środka. Nadal było zbyt mało miejsca, żeby panowie mogli swobodnie przejść, ale Clare udawała, że tego nie dostrzega.

- To jest pokój Karen.

- Dziękujemy, pani Dawson. - Frost wziął ją pod rękę i skierował w stronę korytarza. - Teraz proszę nas zostawić samych. Zawołamy, jeśli czegoś będzie nam brakowało. Bo ty, kochanie, dość jasno dałaś nam do zrozumienia, czego ci brakuje - dodał grubiańsko, kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi.

Webster zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Już zdążył się przyzwyczać do niesmacznych komentarzy i uwag o ludziach, z którymi się spotykali. Ale tym razem uznał, że Frost stanowczo przesadza. Nie wypada kpić z matki, której dziecko zostało porwane.

W tym czasie Frost wyciągnął się na łóżku Karen i podskoczył kilka razy, żeby sprawdzić giętkość sprężyn, potem znalazł w kieszeni na wpół wypalonego papierosa i z ulgą przytknął do niego płomień zapalniczki.

- No cóż, zdaje się, chłopcze, że chciałeś przeszukać ten pokój, więc go sobie przeszukuj. Jeśli znajdziesz coś ważnego, na przykład uciętą rękę albo jeszcze ciepły biustonosz z nietkniętą zawartością, to daj mi znać. Obudź mnie, gdybym przypadkiem zasnął.

Zamknął oczy i rozluźnił mięśnie.

- Miałem nadzieję, że zechce mi pan pomóc.

- Och, to chyba ty miałeś pomagać mnie, jeśli dobrze pamiętam? - rzekł Frost niewinnie, jakby wcale nie zauważył ironii Webstera. - Moim zdaniem jest jeszcze lepszy sposób. Będę pomagał, schodząc ci z drogi.

I ułożył się wygodnie.

Kto tu potrzebuje pomocy, pomyślał z pogardą Webster.

Pokój Karen był szczytem marzeń każdej nastolatki, wyjętym prosto z magazynu dla wyższych sfer. Sufit został pomalowany na niebiesko i upstrzony mnóstwem srebrnych gwiazd. Wzdłuż jednej ściany stała robiona na zamówienie meblościanka, w której mieścił się sprzęt grający, magnetowid i mały, czternastocalowy telewizor, połączony z klawiaturą komputera.

Naprzeciwko, za przesuwanymi drzwiami w kolorze jasnego dębu, znajdowała się garderoba, która zajmowała całą długość ściany. Webster odsunął drzwi, ukazując rzędy sukienek i płaszczyków wiszących na wieszakach. W osobnej przegródce pyszniła się biała suknia baletnicy, zalotnie szeleszcząca przy każdym dotknięciu, a obok niej leżał kostium kota i trzy pary trykotów bez rękawów. Starannie ustawione rzędy pantofelków i baletek zajmowały całą podłogę garderoby.

Webster przesunął się w kąt pokoju, w stronę małego biurka ustawionego naprzeciw podwójnego regału na książki. Na blacie leżały dwa zeszyty do ćwiczeń w niebieskich okładkach, z nazwiskiem Karen starannie wykaligrafowanym na wierzchu każdego z nich. Otworzył pierwszy z brzegu. „Gdybym była premierem, to po objęciu urzędu od razu zlikwidowałbym biedę w całym kraju...” - przeczytał zdanie napisane schludnym pismem Karen. Z powrotem rzucił zeszyt na biurko.

Frost ciągle rozwał się na łóżku i spod na wpół przymkniętych powiek obserwował kłęby dymu z papierosa, które jak obłoki szybowwały pod rozgwieżdżonym sufitem.

- W porządku, synu. Jeśli masz jakąś teorię, to możesz się nią podzielić.

- Cóż, jeśli dziewczynka została porwana... - zaczął Webster.

- Porwana! - Frost prychnął pogardliwie i wyciągnął rękę po zeszyty z ćwiczeniami. - Chciałbym, synu, żeby to była prawda. Jakieś miłe, nieskomplikowane śledztwo w sprawie porwania i być może Mullett zapomniałby o tym, że znowu nie zrobiłem na czas tych zawszonych statystyk przestępstw.

- Ale Debbie Taylor widziała mężczyznę... Frost westchnął ciężko.

- Tak... Osobiście bardzo żałuję, że go widziała. Bo widzisz, chłopcze, to cholernie gmatwa wszystkie moje teorie. Ja uważam, że Karen wróciła do domu, przekonała się, że nikogo tu nie ma, i doszła do wniosku, że nadarza się świetna okazja, żeby dać nogę.

- To znaczy uciec, tak?

- Właśnie. Nastolatki bez przerwy uciekają z domu, zwłaszcza jeśli rodzice ciągle wodzą się za łby, tak jak dwoje naszych czarujących gospodarzy.

- Ojciec faktycznie wygląda na skończoną świnię - odparł Webster. - Ale moim zdaniem matka jest w porządku.

- W porządku?! - krzyknął inspektor. - Córka znika bez śladu, a ona tylko myśli o tym, żeby cyckami wypolerować nam guziki! Pamiętasz, jak musieliśmy ocierać się o nią, żeby wejść do sypialni? Zaręczam ci, że gdybyś jej zaproponował, bez oporów zgodziłaby się na szybki numerek. Ci ludzie nie są warci, żeby na nich splunąć. Synu, Karen uciekła, ale wystarczy kilka nocy na świeżym powietrzu i brak czystych majteczek, żeby przypełzła tu z powrotem i grzecznie skończyła swój porywający esej o zwalczaniu biedy na świecie.

- Ale ten facet...

Frost przesunął zębami po dolnej wardze.

- No właśnie, co z tym facetem?

Podszedł do okna, zwracając uwagę, że zasłony są rozsunięte. Debbie mówiła, że jakiś mężczyzna je zasuwał... Frost otworzył okno i wyrzucił na zewnątrz papierosa, a potem wychylił się jak najdalej, żeby dojrzeć koniec podjazdu, który łagodnie opadał w kierunku bramy wjazdowej. Wreszcie udało mu się ustalić, gdzie mogła stać Debbie, kiedy rozstawiała się z Karen. Z niechęcią musiał przyznać, że jeśli w oknie stał jakiś mężczyzna, Debbie rzeczywiście mogła dostrzec go z drogi. Wycofał się do pokoju i starannie zamknął okno.

- Jeśli to było porwanie, to skąd porywacz wiedział, że Karen wcześniej wróci ze szkoły? - zauważył po namyśle Webster. Zastanawiał się przez chwilę, a potem odpowiedział sam sobie: - No, chyba że porywaczem był któryś z nauczycieli.

- W tej szkole pracują same kobiety - odparł Frost, wsadzając do ust następnego papierosa. - Chociaż trzeba przyznać, że niektóre z nich noszą wąsy. Jedynym mężczyzną w tym gronie jest dozorca, ale on dobiega siedemdziesiątki... Psiakrew! - zaklął jak szewc, bo palcem trafił na dziurę w kieszeni płaszcza.

- Co się stało? - zainteresował się Webster.

- Mam dziurę w kieszeni i chyba zgubiłem zapalniczkę. Nie pamiętasz, kiedy używałem jej ostatnim razem?

- Jakieś pięć minut temu. Musi leżeć obok łóżka.

Frost opadł na kolana i zaczął gładzić miękkie włosy kudłatego dywanika. Kiedy ręką badał obszar pod łóżkiem, nieoczekiwanie trafił na coś dziwnego. Stało tam nieduże, metalowe pudełko, owinięte w jasnoniebieski pokrowiec imitujący skórę. Na wieczku widniał

napis, że to Bikini Styler do Miejsc Intymnych, który pozwala pozbyć się zbędnego owłosienia zgodnie z wymogami najnowszej mody, preferującej wyjątkowo skąpe kostiumy. Pstryknięciem uchylił pokrywkę i zajrzał do środka.

- Wiesz, synu, w tym pudełku jest jakaś dziwaczna maszynka do golenia.

Podał ją Websterowi, który tylko pokiwał głową.

- To się nazywa Bikini Styler.

- Wiem. - Frost nadal szukał swojej zapalniczki. - To akurat jest napisane na pudełku, ale mimo to nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

Webster sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Niektóre z tych modnych kostiumów kąpielowych, które noszą młode dziewczęta... Dolne części tych kostiumów są dość mocno wycięte... Odsłaniają dolne partie brzucha... Prawdę powiedziawszy, bardzo dolne partie brzucha...

Frost gapił się na niego bezmyślnie, a potem nagle uniósł brwi, jakby wreszcie załapał.

- Chyba nie masz na myśli...? Chcesz mi wmówić, że kobiety naprawdę golą się tam, na dole, zanim włożą majtki od kostiumu? - Patrzył na Webstera z rozbawieniem. - Chyba jaja sobie robisz.

- Ale to szczerza prawda - upierał się Webster. - Moja żona też używała takiej golarki...

- Na samo wspomnienie w jego oczach błysnęło coś na kształt żalu. - W bikini wyglądała jak bóstwo.

Frost spojrział na filigranowe urządzenie i z niemym podziwem pokręcił głową.

- Teraz rozumiem. Szkoda, że w szpitalu nie mieli czegoś w tym guście, kiedy mi wycinano ślepą kiszkę. Przed operacją przysłała do mnie pielęgniarka, zdecydowanie wyglądająca na krótkowidza, i zaczęła mnie golić maszynką, która raczej nadawała się do poderżnięcia komuś gardła. Wtedy po raz pierwszy w życiu naprawdę się modliłem.

Z trzaskiem zamknął wieko pudełka i wsunął je pod łóżko, dziwiąc się w duchu, do czego takie urządzenie mogło być potrzebne piętnastoletniej uczennicy.

- Przy pańskiej lewej nodze - powiedział Webster i palcem wskazał zaginioną zapalniczkę.

Frost podniósł ją z podłogi, zapalił papierosa i z powrotem rzucił się na łóżko. Po chwili ziewnął jak hipopotam.

- Mógłbym tak przeleżeć całą noc, synu, zwłaszcza gdyby młodziotka Karen, niewinna, słodka i świeżo ogolona, wsunęła się obok mnie pod prześcieradło...

Odwrócił głowę. I wtedy zauważył zdjęcia. Dwie fotografie, które stały na nocnej szafce, podparte miniaturowym cyfrowym budzikiem z wizerunkiem Snoopy'ego.

Usiadł, żeby dokładnie się im przyjrzeć. Na pierwszej z nich Karen, w swojej białej sukni baletnicy, stała na czubkach palców z wyciągniętymi w bok rękoma i wyglądała jak sama słodycz albo uosobienie niewinności. Druga została zrobiona gdzieś na plaży, bo w tle było jasnoniebieskie niebo i iskrzący się od słońca piasek. Debbie - bez okularów, płaska jak deska w swoim jednoczęściowym, granatowym kostiumie - sprawiała wrażenie niesamowicie zakłopotanej, jakby fotograf przyłapał ją nagą; długonoga, apetycznie zaokrąglona Karen uplasowała się tuż obok w kuszącej pozie, uśmiechając się do obiektywu zmysłowymi ustami odziedziczonymi po matce. Na sobie miała mocno wycięty, dwuczęściowy kostium, który miękko opływał jej młode, ponętne ciało. To była zupełnie inna Karen, całkiem niepodobna do powściągliwej uczennicy z poprzedniego zdjęcia.

- Ani śladu zarostu - mruknął Frost. Jeszcze raz przyjrzał się z bliska swojej zdobyczy, zanim przekazał ją Websterowi.

Posterunkowy skrzywił się z niesmakiem. Wystarczyło wspomnieć o czymkolwiek, co kojarzyło się z seksem, a Frost był gotów zamęczyć człowieka na śmierć. Ale ta fotografia zdecydowanie przedstawiała dziewczynkę w zupełnie innym świetle. Inaczej niż inspektor, Webster nie do końca wierzył, że pannica opuściła rodzinny dom z własnej i nieprzymuszonej woli. Oczywiście był pewien sposób, żeby to sprawdzić. Webster poprosił Frosta, żeby zechciał na chwilę podnieść się z łóżka, a następnie pogrzebał pod poduszką i zajrzał pod prześcieradła.

- Moim zdaniem w tym łóżku nie znajdziesz Karen - zauważył Frost, obserwując jego poczynania. Sam wysunął szufladę z nocnej szafki i przetrząsał jej zawartość.

- Sprawdziłem tylko, czy jest tam jej piżama - prychnął Webster. - Jeśli faktycznie związała z domu, to raczej wzięła ją ze sobą. Niczego tutaj nie ma - dodał z wyraźnym rozczarowaniem.

- Ale to jeszcze nie świadczy o tym, że zabrała piżamę. - Frost z powrotem zatrzasnął szufladę. - Być może Karen, tak jak Marilyn Monroe, do łóżka idzie ubrana tylko w odrobinę perfum...

Podniósł wierzchnie prześcieradło i przyciągnął je do nosa.

- Wiesz, co ci powiem, mój kosmaty chłopcze... Ona używa bardzo zmysłowych perfum. Pachną mniej więcej tak jak substancja, którą stosują farmerzy, żeby zachęcić świnie do parzenia się. Żona Mulletta dosłownie się nimi oblewa.

Webster powąchał prześcieradło. Rzeczywiście, ten zapach wydawał się odrobinę zbyt intensywny jak na piętnastolatkę. W ciągu jednej sekundy zmienił zdanie na temat Karen.

- Czy możemy zajrzeć do łazienki, żeby zobaczyć, czy jej szczoteczka i przybory toaletowe także wyparowały? - zapytał. - Żadna dziewczynka nie ucieknie bez szczoteczki i pasty.

- Dobry pomysł - przytaknął Frost. - Strasznie chce mi się sikać.

Pierwsze drzwi, które otworzyli na próbę, prowadziły do sypialni państwa domu. Na jej środku pyszniło się olbrzymie łóżko z baldachimem, a ściany wyłożone były takim samym aksamitem jak pokrycie łóżka. Następne drzwi otwierały się na pokój kąpielowy, wyłożony czerwonymi płytkami włoskiego marmuru. Wewnątrz znajdowała się ogromna, okrągła wanna, wpuszczona w podłogę, która równie dobrze mogła służyć za basen do pływania. Krany przy wannie wykonane były z czystego złota, podobnie jak kran przy umywalce. Czerwony dywan został tak dobrany kolorem, żeby pasował do kafelków, a ręczniki pasowały do dywanu.

Frost z nieukrywanym podziwem rozglądał się dookoła.

- Wiesz, synu, gdybym to ja miał w domu taką łazienkę, to chodziłbym sikać gdzie indziej.

Szafka łazienkowa była schowana za lustrem nad umywalką. Webster otworzył ją i przeglądał stojące w środku rzeczy, kiedy nagle drzwi otworzyły się na całą szerokość i do środka wtargnął Dawson. Widok Webstera grzebiącego w szafce zdecydowanie mu się nie spodobał.

- Kto panu pozwolił przeglądać nasze osobiste rzeczy?!

- Proszę pana, chcieliśmy tylko sprawdzić, czy szczoteczka do zębów należąca do pańskiej córki jest na miejscu - wyjaśnił cierpliwie Webster. Znalazł stojak z dwiema szczoteczkami, jedną czerwoną i jedną zieloną, i pokazał je Dawsonowi. - Czy któraś z nich jest własnością Karen? To bardzo ważne, proszę pana.

- Szczoteczka Karen jest pomarańczowa. - Dawson odepchnął posterunkowego i sam ze zniecierpliwieniem przetrząsnął szafkę. - Powinna gdzieś tu być.

W końcu odwrócił się ku drzwiom i wrzasnął do żony, żeby zechciała pofatygować się na górę.

- Szczoteczka Karen... - warknął, gdy tylko Clare przekroczyła próg. - Gdzie się podziała szczoteczka Karen?

Odsunął się na bok, żeby dopuścić ją do szafki.

Wspinając się na czubki palców, zjrzała do środka i przesunęła na bok kilka drobiazgów.

- Gdzieś tu powinna być... - mruknęła.

- Nie pytam, gdzie powinna być, tylko gdzie jest - opryskliwie odparł Dawson. - Najwyraźniej to ważne.

- Nie ma jej tutaj - oznajmiła w końcu Clare. - Nie ma żadnej z rzeczy Karen. Ani kosmetyczki, ani myjki, ani pasty do zębów...

Webster oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona. Trochę to irytujące, pomyślał, ale wygląda na to, że teoria Frosta się sprawdziła. Dziewczynka naprawdę uciekła z domu.

- Jeśli Karen zabrała rzeczy osobiste, to moim zdaniem opuściła ten dom z własnej woli - oświadczył Frost bez ogródek zdumionym rodzicom.

Twarz Dawsona poczerwieniała, dopasowując się barwą do kafelków z włoskiego marmuru.

- Czy mam rozumieć, że Karen uciekła z domu? Człowieku, jest pan skończonym idiotą. Cholernym idiotą. Nie zna pan mojej córki. Ona kochała swój dom i na pewno nie zrobiłaby czegoś podobnego.

- Mnóstwo nastolatków robi takie rzeczy, panie Dawson - wtrącił się Webster. - I niekoniecznie musi to być związane z sytuacją w domu. Czasami w grę wchodzi kłopoty w szkole... Albo zerwanie z chłopakiem.

Dawson patrzył na posterunkowego w taki sposób, jakby ten był kompletnym imbecylem.

- Z chłopakiem? Moja Karen? Na litość boską, to jeszcze dziecko. Ona ma zaledwie piętnaście lat! A ten facet, którego widziała Debbie? Co to było, pańskim zdaniem? Przywidzenie? Seksualna fantazja rozbudzonej nastolatki?

- Wcale nie jestem przekonany, proszę pana, że Debbie kogokolwiek widziała - rzekł Frost. - Sama miała wątpliwości.

Zapiął płaszcz przeciwdeszczowy na znak, że jest gotów do wyjścia.

- Więc zamierzacie, panowie, zostawić tę sprawę własnemu biegowi?

- Szczerze mówiąc, niewiele można tu zrobić - przyznał Frost. - Opublikujemy rysopis Karen, roześlemy jej fotografię, będziemy prosić, żeby ludzie zwracali uwagę, jeśli gdzieś ją zobaczą. Nie sądzę, żeby długo przebywała poza domem.

Z dołu dobiegł dźwięk telefonu. Dawson pstryknął na żonę, żeby odebrała, ale gdy Frost zasugerował, że być może dzwoni Karen, sam popędził do aparatu. Frost opadł ciężko

na stołeczek przed toaletką i zapalił trzydziestego ósmego w tym dniu papierosa. Uśmiechnął się przyjaźnie do stojącej przed nim kobiety.

- Pani Dawson, czy może chce nam pani o czymś powiedzieć, dopóki męża nie ma w pobliżu?

Clare zbieła jak płótno, ale natychmiast odzyskała równowagę.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli - odparła, udając zdziwienie.

Frost wzruszył ramionami.

- Wychodzi na to, że się pomyliłem.

Podniósł się z miejsca, bo właśnie wrócił Dawson.

- To do pana... Z posterunku w Denton. Może pan rozmawiać z aparatu w pokoju Karen.

Okazało się, że to Bill Wells. Ku uciesze Frosta w tle wciąż słychać było odgłosy zabawy. Jeszcze miał szansę dołączyć do towarzystwa.

- Cześć, Jack - odezwał się Wells swoim zwykłym, ponurym tonem. - Możesz swobodnie rozmawiać?

- Tak - potwierdził Frost.

- Jak tam śledztwo w sprawie Karen Dawson?

- Na razie nic. Jej starszerek uważa, że córka została porwana, ale ja jestem się gotów założyć, że po prostu nawiała z domu.

- Nie bądź taki pewien, Jack, że nic się jej nie stało. Być może ją znaleźliśmy.

Frost wstrzymał oddech. Nagle ogarnął go chłód i lęk.

- Być może...?

- Mieliśmy przed chwilą anonimowy telefon. Jakiś facet powiedział, że w Denton Wood leży ciało dziewczyny. Chyba lepiej będzie, jeśli pojedziesz sprawdzić.

Dawson wsadził głowę przez uchylone drzwi.

- Czy coś jest nie w porządku, inspektorze?

- Nie - skłamał gładko Frost. - Po prostu jest coś, czemu należy się przyjrzeć. Być może trochę później będę musiał tu wrócić. Jak tylko się czegoś dowiemy, damy panu znać.

WTOREK, NOCNA ZMIANA (4)

Dobiegający z góry rytm muzyki pulsował głośniejsz niż dotąd i nic nie wskazywało, żeby zabawa zmierzała do rychłego końca. Wells nasłuchiwał tupania, wrzasków, wybuchów śmiechu i brzęku rozbijanego szkła. Banda pieprzonych chuliganów, pomyślał z odrazą, usiłując usłyszeć, o co chodzi rozmówcy.

- Bardzo przepraszam, ale na zewnątrz jest jakieś zamieszanie. Czy byłby pan łaskaw powtórzyć wszystko?

Mężczyzna mówił ledwie słyszalnym szeptem.

- Znalazłem ciało. W Denton Woods. Ciało dziewczynki.

Wells zeszywniał. Następne zwłoki! Pomyśleć, że jeszcze niedawno prosił opatrzność, żeby ta noc upłynęła miło i spokojnie. Wolną ręką zastukał w panel dzielący go od dyspozytorni, a kiedy Ridley odsunął ścianę, na migi dał mu znać, żeby podniósł słuchawkę.

- Więc mówi pan, że znalazł ciało dziewczynki? - Wells wziął do ręki długopis, gotów zapisać wszelkie szczegóły.

- Zgadza się. To była bardzo młoda dziewczyna... Właściwie jeszcze dziecko.

Dziecko! Myśli sierżanta poszybowały w kierunku poprzedniego zgłoszenia, które niedawno wpisywał do raportu. Piętnastoletnia Karen Dawson znikła ze swojego domu dziś po południu.

- Rozumiem, proszę pana. A gdzie dokładnie pan ją znalazł?

- Już powiedziałem. W Denton Woods. Nieopodal głównej ścieżki, za kępą krzaków.

- Ale gdzie, w jakiej okolicy? Musi nam pan podać dokładne umiejscowienie.

Nastąpiła chwila przerwy, a potem rozległo się ciche kliknięcie i na linii zapadła głucha cisza. Rozmówca przerwał połączenie. Wells także odłożył słuchawkę.

- Cholera jasna! - zaklął na cały głos.

- Według mnie to jakiś wariat - zawyrokował Ridley, odwieszając wewnętrzny telefon.

Sierżant pokiwał głową. Fałszywe alarmy zdarzały się niemal codziennie; dzwonili jacyś żartownisie, którzy z sobie tylko znanych powodów mieli urazę do organów wymiaru sprawiedliwości i czerpali przyjemność z faktu, że mogą zmarnować policji trochę czasu i pieniędzy. Ale nie wolno podejmować ryzyka. Każde powiadomienie musiało być traktowane jako prawdziwe aż do momentu, gdy sprawdzono, że jest inaczej.

- Jakie wozy patrolowe wchodzą w grę? - zapytał dyżurnego.

Ridley nie musiał sprawdzać na mapie, bo odpowiedź była dość prosta. Biorąc pod uwagę, że połowa załogi piła na umór piętro wyżej, w teren mogły wyjechać tylko dwa samochody. W dodatku jeden z nich - ten, którym jechał posterunkowy Shelby - nie zgłaszał się na wezwanie. To było całkiem podobne do Shelby'ego.

- Sierżancie, mamy do dyspozycji jedynie Charlie Alpha, ale akurat zostali wysłani do jakiejś lokalnej burdy na osiedlu staruszków.

„Lokalna burda” oznaczała w żargonie policyjnym domową awanturę lub niewielkie zakłócenie porządku publicznego.

- Mogą o tym zapomnieć - usłyszał od sierżanta. - Chcę, żeby Charlie Alpha natychmiast zawrócił do Denton Woods.

Wells kipił ze złości, więc ulżył sobie, kopiąc z całej siły nogę biurka.

- Jeden pieprzony wóz patrolowy! Do jasnej cholery, jak mam zapewnić porządek w okręgu o takiej powierzchni, skoro został mi do dyspozycji jeden zawszony samochód?

Ridley wyłączył się na moment, żeby nie słyszeć dalszych przekleństw. Nacisnął palcem wskazującym przycisk wywołujący Charlie Alpha i czekając na zgłoszenie się załogi, zapytał niebacznie:

- Dokąd dokładnie mają jechać w tym Denton Woods?

- Skąd mam wiedzieć, do wszystkich diabłów? - wybuchnął Wells. - Czy ja jestem jakimś pieprzonym jasnowidzem, czy co? Sam słyszałeś, co facet powiedział - nieopodal głównej ścieżki, za kępą krzaków.

W głośniku coś zatrzeszczało.

- Charlie Alpha do dyspozytorni! Zgodnie z poleceniem jedziemy na osiedle emerytów. Odbiór.

- Charlie Alpha, zapomnij o tamtym wezwaniu. Natychmiast kierujcie się do Denton Woods i zaczynajcie wstępne poszukiwania. Dostaliśmy anonimowy telefon, że w lesie leży ciało zamordowanej dziewczynki. Gdzieś za kępą krzaków, nieopodal głównej ścieżki. Odbiór.

Czekał z palcem nad przyciskiem, aż Charlie Alpha zacznie domagać się podania dokładnej lokalizacji.

- Dyżurny, czy możesz podać nam bardziej precyzyjne namiary? W Denton Woods jest mnóstwo głównych ścieżek, które biegną wzdłuż i w poprzek całego lasu!

- Charlie Alpha, podałem wam wszystko, co mamy - rzucił do mikrofonu zirytowanym tonem, choć w tej sytuacji wydawało się to całkiem uzasadnione. - Bez odbioru!

Usłyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi. Wells wszedł do środka.

- Ale tam jest ze czterysta akrów tego cholernego lasu! Mile ścieżek i tysiące pieprzonych krzaków... - upierał się Charlie Alpha.

Wells już miał tego dosyć. Bez namysłu wyrwał słuchawkę z rąk dyspozytora.

- No to co, Charlie Alpha? Przynajmniej możecie sobie wybrać. A teraz jazda tam i przestańcie się wyklócać, do jasnej cholery!

- Bez odbioru - pospiesznie wykrztusił Charlie Alpha. Ridley wsadził znacznik auta w zakreślony na zielono obszar na mapie ściennej.

- Sierzancie, będzie im potrzebna pomoc... Jak uważasz, czy powinniśmy przerwać chłopcom zabawę?

Wells, zmarszczywszy nos, zamyślił się głęboko. Perspektywa wtargnięcia na górę wydawała się kusząca, bardzo kusząca. Te pijane łobuzy z pewnością zasłużyły sobie na to, żeby wyrzucić ich z ciepłego, przytulnego miejsca w ciemność i zimno, i kazać przetrząsać las. Ale jeśli okaże się, że chodzi o kretyński żart, a on postawił na nogi połowę posterunku - w dodatku w godzinach nadliczbowych - to chłopcy nigdy nie przestaną się z niego nabijać. Mullett całymi tygodniami będzie mleć ozorem na ten temat. Z drugiej jednak strony, jeśli facet rzeczywiście znalazł zwłoki dziecka, a on, Wells, zlekceważy wezwanie... Jęknął rozdzierająco. Z tak popieprzonej sytuacji nie było dobrego wyjścia.

Żeby rozegrać sprawę w możliwie najbardziej bezpieczny sposób, postanowił, że przede wszystkim zadzwoni do Jacka Frosta. Być może chodziło o tamtą zaginioną dziewczynkę, a poza tym, jeśli inspektor zdecyduje, że potrzeba mu ludzi do pomocy, to będzie musiał sam o nich poprosić. Nie namyślając się dłużej, podniósł słuchawkę i wybrał numer posiadłości Dawsonów.

- Halo? Tu policja okręgu Denton. Przepraszam, że niepokoję pana o tak późnej porze, ale czy mógłbym zamienić kilka słów z detektywem inspektorem Frostem?

Światła na skrzyżowaniu zamrugały wściekłą czerwienią, ale Webster zupełnie je zignorował. Wcisnął gaz do dechy i jak huragan przemknął przez skrzyżowanie.

- Zwolnij, synu... - zamruczał Frost. - Mamy do przeszukania czterysta akrów lasu. Tych kilka sekund naprawdę nie ma większego znaczenia.

Jednak prośba Frosta została potraktowana mniej więcej w taki sam sposób jak następne światła, bo Webster znowu wcisnął do oporu pedał gazu. Patrząc, jak uliczne latarnie migają za szybą przy prędkości siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę, Frost sprawdził, czy pas bezpieczeństwa mocno trzyma, a następnie pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu fotografii zaginionej dziewczynki. Ponurym wzrokiem wpatrzył się w dziewczęcą buzię. Mam nadzieję, że to nie jest ciało Karen Dawson, powiedział sobie w duchu. Nie zniósłby, gdyby to właśnie on musiał zanieść nieszczęsnemu ojcu wiadomość o śmierci córki. Właśnie, wiadomość! Usiadł prosto i zaciśniętą pięścią uderzył w deskę rozdzielczą.

- Psiakrew! Powinniśmy pojechać do staruszki Bena Cornisha, żeby zawiadomić ją o śmierci syna... Która jest godzina?

Webster przekręcił rękę opartą na kierownicy tak, żeby zobaczyć zegarek.

- Dziesięć po pierwszej.

Frost wyraźnie się odprężył. Na szczęście było za późno, żeby zrobić to jeszcze dziś.

- Zajmiemy się tym jutro z samego rana. To będzie pierwsza rzecz do załatwienia, jak tylko wyjdziemy z sekcji... - Zawahał się przez moment. - Czy umiesz rozmawiać z rodzinami o tego typu sprawach, synu?

- Nie! - zawołał szybko Webster. Niech Frost nie wyobraża sobie, że zwali na niego to niewdzięczne zadanie!

- Szkoda. - Inspektor westchnął. - Bo prawdę mówiąc, ja jestem w tym całkiem beznadziejny. W jaki sposób należy powiedzieć matce, że jej syn nie żyje? Że udusił się własnymi rzygami i że po śmierci moczył się jak gąbka w cudzych szczynach? Nie ma sposobu, żeby to ubrać w ładne słowa.

Właśnie zbliżyli się do czarnej, gęstej ściany lasu. Frost przetarł mankietem przednią szybę i wyrzwał na zewnątrz, starając się w tej ciemności odnaleźć radiowóz Charlie Alpha.

- Chyba są tam, synu! - zawołał w pewnej chwili, wskazując czarno-białego forda sierrę, stojącego na poboczu. Webster zgrabnie zatrzymał cortinę tuż za nim.

Wiatr uderzył im prosto w twarze, gdy tylko opuścili przytulne wnętrze auta. Frost okręcił szalik mocniej dookoła szyi i wetknął obie ręce do kieszeni, gdy po omacku posuwali się ścieżką, próbując odnaleźć Jordana i Simmsa, załogę Charlie Alpha. Webster pierwszy zauważył w pewnej odległości podskakujące światła dwóch latarek.

Ścieżka zakręcała i wiła się między drzewami, więc dopiero po pięciu minutach dotarł do nich szmer przyciszonych głosów. Jeszcze jeden ostry zakręt i tuż przed sobą ujrzeli dwóch mundurowych, Jordana i Simmsa. Z postawionymi na sztorc kołnierzami płaszczy stali przy pniu potężnego dębu, z lubością zaciągając się dymem z papierosów. Widok detektywów chyba kompletnie ich zaskoczył, bo natychmiast cisnęli na ziemię niedopałki i z minami winowajców stanęli na baczność.

- Ciężko pracujecie, jak widzę - odezwał się Frost. W odpowiedzi obaj uśmiechnęli się rozbijająco. - Czy przyjechał pan, inspektorze, żeby nam pomóc? - spytał Jordan, który nosił opadające wąsy, upodabniające go do meksykańskiego bandyty.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jeszcze nie udało się wam jej znaleźć?

- Znaleźć? Jakiś smutny fiut wydzwania na posterunek i mówi, że za krzakami leży ciało dziewczyny, a ja i Simms mamy po ciemku przeszukiwać ładne kilkaset akrów lasu? Cholerny absurd.

Frost wetknął mu pod nos fotografię Karen Dawson.

- Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że to ten dzieciak. Dziewczynka ma piętnaście lat i dziś w okolicach pierwszej po południu znikła ze swojego domu.

Obaj posterunkowi w świetle latarki przyjrzeni się uważnie fotografii.

- A dlaczego to miałyby być ona? - spytał Simms, o twarzy okrągłej jak księżyc w pełni. - Każdego tygodnia przynajmniej dwadzieścia pańienek rusza w świat.

- Bo kiedy wracała ze szkoły do domu, w oknie jej domu zauważono nieznanego mężczyznę. Od tamtej pory ślad po niej zaginął - wtrącił Webster.

Głowy obu chłopców zgodnie odwróciły się w jego kierunku. Nigdy wcześniej nie widzieli tego kolesia z brodą.

- Czy to ty jesteś tym eksinspektorem? - zapytał Simms. - Tym, którego wykopano z Braybridge?

Następny skurwieli! Uwziął się, żeby ze mnie szydzić, pomyślał Webster i odruchowo zacisnął pięści.

- A jeśli tak, to co?

- To nic. Po prostu miałeś, bracie, pecha - skomentował Simms.

Dąb dawał dobre schronienie przed wiatrem, więc nikomu nie spieszyło się, żeby stamtąd wyjść. Frost poczęstował wszystkich papierosami i tylko Webster niecierpliwie pokręcił głową na znak, że nie ma ochoty palić. Zapalniczka Jordana okrążyła całe towarzystwo.

Webster wpatrzył się w ciemną masę drzew, które zdawały się rozciągać na przestrzeni wielu mil.

- We czwórkę nie mamy najmniejszych szans. Trzeba poprosić dyspozytora o przysłanie dodatkowych ludzi do pomocy.

Frost wypuścił z płuc smugę dymu, którą wiatr natychmiast pochwyił i porozdzierał na dziesiątki małych niteczek.

- Poszukiwanie na pełną skalę musi zostać właściwie przygotowane, a i tak nie mogłoby się zacząć przed nastaniem dnia. Proponuję więc, żebyśmy najpierw sami trochę się tu pokręcili, chyba że ktoś ma lepszy pomysł.

Z nadzieją popatrzył na dwóch mundurowych, ale oni bezradnie pokręcili głowami, całkiem pochłonięci obserwowaniem zwisających nad nimi gałęzi dębu. Ostatecznie płacono im za to, żeby wykonywali rozkazy, a nie za wymyślanie strategicznych planów.

- W porządku. - Frost wreszcie otrzeźwiał. - Wobec braku dowodów, że facet, który dzwonił, kłamał, możemy założyć, że gdzieś tam leży jakaś dziewczyna - żywa albo martwa. Skoro więc zapuszczamy się w świat hipotez, to popuścmy wodze fantazji i przyjmijmy, że

jest żywa... Nie tylko żywa... Jest wyuzdaną, drżącą z podniecenia nimfomanką z wielkim biustem, która tylko czeka, aż któryś z panów ją odnajdzie, żeby z rozkoszą obdarować go swoimi wdziękami...

Jordan i Simms uśmiechnęli się od ucha do ucha. Przynajmniej ten Frost zawsze potrafił przedstawić sprawę w interesujący sposób.

- A więc... - ciągnął Frost - zatrzymajcie w pamięci ten podniecający obrazek, podczas gdy przez moment skoncentrujemy uwagę na osobie tego gościa, który potknął się o nią i zadzwonił na posterunek.

Upuścił na ziemię niedopałek i przygniótł go obcasem.

- Jest późny wieczór. Czego może szukać taki facet o tej porze między krzakami? Odpowiedź wydaje się dość oczywista: chce się wysikać. Albo jest zbyt skromny, albo po prostu wstydzi się wystawiać na pokaz przyrodzenie, więc decyduje się załatwić potrzebę na łonie natury za jakimś dogodnym krzakiem. No i znajduje tam leżącą na wznak nimfę. Powstrzymuje naturalny odruch i co sił zasuwa w stronę najbliższego telefonu, żeby zadzwonić po gliniarzy. Jak to brzmi?

Chłopcy popatrzyli po sobie. Ich zdaniem wersja Frosta była całkiem prawdopodobna.

- Sierżant Wells powiedział, że ten gość dzwonił z budki

- kontynuował Frost.

- Zauważyłem jakąś budkę telefoniczną tam, gdzie zaparkowaliśmy samochód - wyrwał się Webster.

- Tu wszędzie dookoła pełno jest pieprzonych budek - ponuro powiedział Jordan.

- Możemy zacząć gdziekolwiek. To miejsce jest tak samo dobre jak każde inne. Będziemy się posuwać wzdłuż głównej ścieżki, po drodze sprawdzając okoliczne krzaki. Jeśli niczego nie uda się znaleźć, przejdziemy do następnej budki, a jak po paru godzinach ta zabawa nam się sprzykrzy, zadzwonimy na posterunek, żeby przysłali tu większą ekipę.

To Simms ją znalazł. Przez czysty przypadek, ponieważ założenia Frosta okazały się całkowicie błędne. Po prostu zaplątał się w gąszcz kolczastych jeżyn i po uwolnieniu się z ich szponów zatoczył szeroki łuk, żeby nie wpaść w następne zarośla. Przepłynął się przez lukę między dwoma krzewami i...

I właśnie tam ją znalazł. Biała jak śnieg i nieruchoma, leżała na wznak. Była całkiem naga, a jej zimne ciało w chropowatym blasku księżyca połyskiwało jak najczystsze srebro.

- Tutaj! - wrzasnął z całych sił. - Tutaj!

Skierował latarkę ku niebu, żeby wskazała drogę w otchłani lasu jak latarnia morska, a potem ukląkł i skierował strumień światła na twarz ofiary. Na ten widok przeszył go dreszcz.

Patrzył na napuchniętą, krwawą miazgę, na podbite i podbiegłe krwią oczy, na złamany nos... Krew sącząca się z nosa zdążyła już zakrzepnąć i uformowała lepka maskę w dolnej partii twarzy i na szyi.

Całe ciało pokrywały krwawe smugi; trudno było znaleźć choć kawałek ciała, który nie byłby pokryty świeżymi siniakami. Dookoła na trawie wałały się strzępy zdartego z niej odzienia. Dziewczyna wyglądała na martwą. Ostrożnie dotknął ciała. Było zimne jak lód. Pochylił ucho nad zmasakrowanymi ustami i wstrzymał oddech, starając się odkryć choćby najlżejszy ślad życia. Na początku nie słyszał niczego, jedynie dudnienie własnego serca, ale potem z umęczonych płuc wymknęło się leciutkie rżenie. Zesztywniałymi z wrażenia palcami zaczął grzebać przy guzikach własnego płaszcza, żeby okryć nim dziewczynę.

Za nim rozległ się trzask łamanych gałęzi. To Frost przedzierał się przez leśne poszycie. Webster deptał mu po piętach.

- Ona jeszcze żyje - wydusił z siebie Simms. - Jakiś skurwiel kopnął ją prosto w twarz.

Frost upadł na kolana i sam sprawdził. Na szyi wyczuł wyraźny puls. Z satysfakcją odwrócił się do Webstera.

- Połącz się przez radio z posterunkiem. Niech szybko przysyłają tu ambulans. I możesz przekazać sierżantowi Wellsowi moje komplementy oraz informację, że przyjęcie właśnie dobiegło końca. Mamy następną ofiarę gwałtu.

Kiedy Webster rozmawiał z dyspozytorem, Frost postanowił sprawdzić, jak rozległe są obrażenia dziewczyny. Spojrzenie na jej twarz wymagało sporej odwagi. Ktoś musiał ją kopnąć, i to dość mocno, bo nos wydawał się złamany, podobnie jak szczeka.

Jordan przybiegł na miejsce ostatni. Spojrzał na nią i zadrzał.

- Popatrzcie, co ten kutas wyprawiał z jej szyją - powiedział Frost i wskazał na sińce, które wrzynały się głęboko w miejscach, gdzie palce gwałticiela zacisnęły się na tyle mocno, by ofiara straciła przytomność.

- Podobne znaki jak ostatnim razem - beznamiętnie zauważył Simms. - Pamiętacie tę pielęgniarkę, która została zgwałcona na polu golfowym? Ale jej przynajmniej nie potłukł tak mocno.

Webster wyłączył radio i wsunął je do kieszeni.

- Karetka już jedzie.

Frost, wciąż schylony nad ofiarą, burknął coś na znak, że przyjął to do wiadomości, a potem kazał Simmsowi wyjść na drogę i przyprowadzić sanitariuszy na miejsce.

- Czy to Karen? - spytał Webster, ale zaraz się skrzywił i odwrócił głowę, bo Frost odsunął się na bok. Teraz sam mógł ocenić, jaką krzywdę wyrządził ten bydlak bezbronnej dziewczynie.

- Jeśli to faktycznie ona, to w niczym nie przypomina Karen z fotografii - mruknął inspektor. - Biedactwo, dostała kopa prosto w twarz. Chciałbym zostać na pięć minut sam na sam z tym skurwielem.

Ściągnął z niej płaszcz, żeby raz jeszcze obejrzeć obrażenia. Była zupełnie naga, jeśli nie liczyć grubych, czarnych pończoch, podtrzymywanych przez czerwone, seksowne podwiązki. Pończochy były krótkie, sięgały nieco nad kolano, a dalej rozciągał się okropnie długi odcinek białego uda. Ten widok przypominał inspektorowi nieprzyzwoite francuskie pocztówki, które oglądał w dzieciństwie. Tam też było mnóstwo czarnej bielizny, połączonej z bielą nagich ciał. Ciało dziewczyny, podobnie jak jej twarz, było poznaczone olbrzymimi, zielonożółtymi siniakami. Delikatnie przesunął dłońmi po jej bokach. Wydawało mu się, że wyczuł pod palcami złamane przynajmniej dwa żebra. Pod jego dotykiem jęknęła słabo.

Czy to możliwe, że miał przed sobą młodą Karen? Nie było sposobu, żeby domyślić się tego z jej twarzy. Dziewczynka wyglądała na zbyt dobrze rozwiniętą jak na piętnaście lat, ale w tych czasach dziewczynki zdawały się dojrzewać coraz wcześniej. Zmarszczył brwi i pochylił się do przodu. Sutki. Było w nich coś dziwnego. Kolor zupełnie się nie zgadzał. Wyciągnął chusteczkę i potarł. Na materiale został czerwony ślad. Szminka. Wstał i wpatrzył się w chusteczkę, jakby nie wierzył własnym oczom. Niemożliwe, to na pewno nie była ona.

- Zgadza się, to Karen! - zawołał Webster. Pokazał Frostowi szkolny blezer, który przed chwilą znalazł w trawie. - Wszędzie dookoła leżą jakieś fragmenty mundurku.

Światło jego latarki wydobywało z mroku słomkowy kapelusik, spodenki gimnastyczne i majtki w ciemnoniebieskim kolorze.

- Panie inspektorze, a ja znalazłem to. - Jordan wyciągnął z kępy pokrzyw plastikową torbę na zakupy. Frost sięgnął w głąb i przejrzał zawartość... Sweter, dżinsy, biustonosz... Kompletna zmiana ubrania. W portmonetce było srebro wartości mniej więcej jednego funta, zniszczony klucz typu yale i trzy paczki prezerwatyw.

Szkolny mundur, czerwone podwiązki, pomalowane sutki i prezerwatywy... To wszystko nie miało sensu. W dodatku ten zniszczony klucz, z którego obłaziła warstwa chromu, wcale nie pasował do eleganckich drzwi w domu Dawsonów... Z powrotem włożył wszystko do torby. Gdzie, do diabła, podziała się ta karetko? O tej porze już dawno powinni tu być. Jak w odpowiedzi zza drzew przypląsnęło przeszywające zawodzenie syren.

Głęboko zamyślony poszedł po śladach zgniecionej trawy w stronę krzaka, pod którym ukrył się gwałciciel w oczekiwaniu na swoją ofiarę. Spojrzał na pusty odcinek ścieżki, starając się poznać tok myślenia człowieka, który potrafił w tak okrutny sposób skrzywdzić dziecko.

Usłyszał dobiegające z kieszeni, przytłumione dźwięki. Ktoś próbował połączyć się z nim przez radio.

- Sierżant Wells do inspektora Frosta.

- Tak, Bill, o co chodzi?

- Mam wiadomość od inspektora Allena. Jest już w drodze z całym swoim zespołem. Powiedział, że macie niczego nie dotykać, dopóki się tam nie pojawi.

- Nie dotknę nawet własnego fiuta - obiecał Frost.

- Czy to Karen Dawson, Jack? - spytał Wells. - Jej ojciec wydzwaniał do mnie co pięć minut i pyta, czy mam nowiny.

- Trudno powiedzieć. Ten skurwysyn przerobił jej twarzyczkę w taki sposób, że równie dobrze może być kimkolwiek... Karen, Bo Derek albo starą Indianką. Pomęcz ojczulka jeszcze trochę. Być może będziemy chcieli, żeby pomógł nam zidentyfikować córunię. Pojadę do niego, jak tylko dowiem się czegoś pewnego. Bez odbioru.

Z powrotem wepchnął radio do kieszeni. Nic dziwnego, że Allen przejmuje śledztwo. Inspektor Allen był odpowiedzialny za całość dochodzenia w sprawie „Diabła w kapturze” i z pewnością wyprosi stąd Frosta w tej samej sekundzie, w której dotrze na miejsce.

Gdzieś daleko trzasnęły drzwi samochodu. Zaraz potem przez krzaki przedarł się Simms, żeby zawiadomić, że sanitariusze zaraz się tu zjawią.

- Czy chce pan, inspektorze, żebyśmy się z Jordanem trochę się rozejrzeli? Może sprawdzimy, czy coś uda się znaleźć?

Frost pokręcił głową.

- Dostałem rozkaz, żeby niczego nie dotykać. Allen już tu jedzie, więc należy się spodziewać, że lada moment sprawca zostanie aresztowany.

Stojący za jego plecami Webster uśmiechnął się od ucha do ucha. Tajemnicą poliszynela było, że Frost i Allen nie przepadają za sobą; jednak powściągliwy i w każdym calu profesjonalny Allen był detektywem z prawdziwego zdarzenia, przeciwnie niż ten pajac w nieprzemakalnym płaszczu. W swojej poprzedniej jednostce Webster z sukcesem prowadził kilka dochodzeń w sprawie gwałtu. Jutro rano poprosi o przeniesienie do zespołu Allena.

- Gdzie wy jesteście, do wszystkich diabłów?!

Zza krzaków dobiegł krzyk któregoś z sanitariuszy, którzy potykając się, brnęli przez ciemny las. Simms potrząsnął latarką jak bileterka w teatrze, która prowadzi na miejsce spóźnialskich widzów.

- Tędy! - ryknął na cały głos, a potem dodał szeptem, zwracając się do inspektora:

- Zwrócił pan uwagę, że w tej dziewczynce jest coś dziwnego?

- Masz na myśli pomalowane cycki?

- Nie, panie inspektorze. Coś zupełnie innego... Znacznie niżej.

- Jeśli tam było coś jeszcze, to muszę przyznać, że mi umknęło.

Jeszcze raz odciągnął płaszcz, którym nakryta była ofiara, a Simms skierował w dół światło latarki.

- Simms, za każdym razem kiedy jej się przyglądam, czuję się jak stary rozpustnik. Na co mam patrzeć tym razem?

Strumień światła przesunął się w dół i zatrzymał się.

- O rany... - wykrzyknął Frost, ogromnie zdumiony. Zrzucił płaszcz na ciało dziewczynki i wyprostował się.

- Pewnie jesteś za młody, Simms, żeby mówić ci takie rzeczy, ale ten sposób strzyżenia jest znany nam, światowym mężczyznom, jako „stylowe bikini”. W tym celu panie kupują nawet specjalne golarki. Żona Webstera miała taką i, o ile wiem, właśnie dlatego biedak zdecydował się zapuścić brodę. Nie miał ochoty golić się tą samą maszynką co ona.

Zawołał Webstera, żeby mu pokazać swoje odkrycie.

- To musi być ona - zawyrokował posterunkowy. - To musi być Karen.

Ale Frost ciągle nie był przekonany.

- To raczej nie jest pogoda na stroje bikini, synu. Mimo wszystko lepiej będzie ściągnąć do szpitala ojca Karen, tak na wszelki wypadek.

Sanitariusze precyzyjnie się między nimi, sprawnie przełożyli dziewczynę na nosze i przykryli czerwonym kocem.

- Czy ktoś z was jedzie z nią? - spytał jeden z sanitariuszy.

- Nie - odparł Frost. - Ale jak tylko będziemy mogli, natychmiast podeślemy do szpitala którąś z policjantek.

Ledwo karetka ruszyła z miejsca, pod ścianę lasu zajechał z rykiem silników konwój wiozący inspektora Allena i jego ludzi. Nocną ciszę zastąpił gwar podekscytowanych głosów i trzaskanie drzwiczek samochodów, ale cały zgiefk ucichł w mgnieniu oka, kiedy ponad wszystko wybił się krzyk inspektora. Allen nakazał powrót do aut.

- Niech nikt nie śmie się ruszyć, dopóki nie powiem, że można.

Allen nie życzył sobie, żeby gromada podchmielonych koleśków zdeptała mu ślady, zanim zdąży rzucić na nie okiem - zwłaszcza że niektórzy mieli naprawdę dobrze w czubie.

Detektyw inspektor Allen - żyłasty facet o chudej, zgorzkniałej twarzy, do której przylgnął szyderczy uśmieszek - sprawiał wrażenie całkiem przytomnego, bystrego i gotowego do działania, mimo, że dobrze po północy wyciągnięto go z suto zakrapianego przyjęcia. Jego zastępca, sierżant Vic Ingram, lekko chwiał się na nogach i z daleka roztaczał przenikliwą woń whisky. Był to przysadzisty i absolutnie pozbawiony wdzięku mężczyzna w wieku dwudziestu dziewięciu lat, dotknięty nieszczęściem w postaci wyjątkowo podłego charakteru z wyraźną skłonnością do mściwości.

Od pierwszego wejrzenia znienawidził nowego kolegę, Webstera. Z widoczną przyjemnością zadawał mu pamięciowe zadania i żądał natychmiastowych odpowiedzi. Jeśli Webster zawahał się choćby przez chwilę, niezmiennie spotykał się z drwiącym komentarzem. „Trochę za wolno jak na inspektora, prawda? No cóż, słoneczko, teraz jesteś zaledwie posterunkowym, ale zdaje się, że nawet to przerasta twoje możliwości”. Ostatnimi czasy krążyły plotki, że Ingram ma kłopoty w domu, na co zdaniem większości kolegów zasłużył sobie jak diabli. Jego żoną była szałowa babka, budząca gorące pożądanie wśród męskiej części załogi posterunku i w zasadzie wszyscy zgadzali się z opinią, że Ingram nie zasługuje na tak wspaniałą kobietę.

- Pozwoliłeś, żeby ją stąd zabrano! - wykrzykiwał Allen, kiedy powiedziano mu, że dziewczyna już odjechała. - Chciałem ją zobaczyć.

- No to trzeba się było pospieszyć - odparł Frost.

- Opowiedz w skrócie to, czego jeszcze nie wiem - polecił zwięźle Allen.

Nie wystawiaj mnie na próbę, pomyślał Frost, ale posłusznie opowiedział, jak ją znaleźli i jakie obrażenia odniosła.

Allen słuchał uważnie, jednocześnie rozglądając się dookoła. Kiedy ujrzał, że Webster zignorował jego rozkazy i trzyma w ręku szkolny, dziewczęcy kapelusik, podniósł brew i spojrzał wymownie na Ingrama. Ingram w lot zrozumiał, o co chodzi. Podsunął się w stronę Webstera i bez ostrzeżenia wyrwał mu go z rąk.

- Ty cholerny ciemniaku, nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? Inspektor Allen zabronił cokolwiek ruszać.

Webster wyjął z kieszeni zaciśnięte pięści, gotów zareagować na tę zniewagę bez oglądania się na konsekwencje.

- Kogo nazywasz ciemniakiem, pijany durniu?

Nagle Frost jak anioł pokoju wcisnął się pomiędzy nich.

- No, chłopcy, już wystarczy! Mamy pilniejsze sprawy do załatwienia.

- Słyszał pan, inspektorze? - Ingram od razu odwołał się do wyższej instancji. - On nazwał mnie pijanym durniem!

- Sierzancie, on miał na myśli wyłącznie to, że jest pan durniem i że jest pan pijany - wyjaśnił Frost. - Absolutnie nie chodziło o brak szacunku dla pańskiej szacownej osoby.

Zerkając przez ramię, polecił Websterowi, żeby zaczekał na niego w samochodzie.

Ingram aż palił się do bitki, choć wyraźnie miał kłopoty z zachowaniem równowagi. Groźnym wzrokiem mierzył odchodzącego Webstera, który posłusznie ruszył w stronę auta, ciężko stawiając każdy krok. Jednak Allen postanowił zachowywać się tak, jakby nic się nie zdarzyło. Jakim cudem ten Frost zawsze potrafił znaleźć najlepsze wyjście z każdej nieprzyjemnej sytuacji?

- Rozumiem, że według pana ofiarą jest ta zaginiona nastolatka, Karen Dawson?

Frost skulił ramiona.

- To całkiem możliwe. Trzeba ściągnąć ojca do szpitala, żeby ją zidentyfikował.

- Proszę dać mi znać, jak tylko uzyska pan potwierdzenie. Wpadnę tam później.

Widząc, że Frost nie zamierza ruszyć się z miejsca, dodał jeszcze:

- Dziękuję, inspektorze, to wszystko.

Po powrocie do auta zastał Webstera siedzącego za kierownicą. Posterunkowy dosłownie pienieł się ze złości. Frost udał, że tego nie widzi, i jak zwykle wślizgnął się na swoje miejsce.

- Jedziemy do Denton General Hospital... Pierwsza w lewo, a potem cały czas główną drogą...

Webster ruszył z piskiem opon, a Frost wyjął z kieszeni nadajnik i połączywszy się z dyspozytorem, przekazał, żeby skontaktować się z Maksem Dawsonem i poprosić go o przyjazd do szpitala. Wsunął radio na miejsce, z powrotem oparł się wygodnie o zagłówek fotela i grzebiąc głębiej w kieszeni w poszukiwaniu papierosa, rzekł wreszcie:

- Ten Ingram to niebezpieczny dupek, synu. Aż się prosi o kłopoty. Nie pozwól mu się sprowokować.

Webster mruknął coś pod nosem. Nie odrywał wzroku od drogi, szukając skrętu w lewo.

- Chyba nie muszę ci przypominać, że wystarczy, żebyś raz przywalił komuś, i natychmiast wylatujesz z jednostki - kontynuował Frost. - A dla ciebie jest to równoznaczne z

wyrzuceniem z policji. Poza tym pamiętaj, że Ingram to wielki, silny bydlak, który bez wysiłku mógłby zrobić z ciebie pasztet.

- Niech mi pan oszczędzi tego kazania - mruknął Webster, wściekle kręcąc kierownicą, żeby wjechać na główną drogę.

- To nie jest kazanie - odrzekł Frost. - Potraktuj to jako dobrą radę starej Cyganki.

Zdążyli już ujechać całkiem spory kawałek drogi, kiedy nagle Frost wyrzwał za okno.

- Synu, czy ja powiedziałem „w lewo”? Cholera, chciałem powiedzieć „w prawo”...

*

Budynek, w którym obecnie mieścił się Denton General Hospital, był pierwotnie zaprojektowany na potrzeby przytułku i, podobnie jak miejskie toalety, zbudowano go w czasach panowania królowej Wiktorii, kiedy wszystko miało być solidne i trwałe. Taki też był ten gmach: mocny i masywny jak więzienie, lecz pozbawiony wszelkiego uroku, nie wspominając o choćby odrobinie komfortu. Przez lata tu i ówdzie dobudowano dodatkowe skrzydła, doczepiono przybudówki, i teraz całość wyglądała jak rozlazła mieszanina rozmaitych stylów komunalnej architektury. Szpital znajdował się na przedmieściach Denton, a jego bryłę przytłaczał olbrzymi, fabryczny komin, który wystawał z kotłowni, gdzie - zdaniem Frosta - w krematoryjnym piecu palono głównie amputowanymi kończynami.

Na Maksa Dawsona czekali w stróżówce - malutkiej, oddzielonej przepierzeniem komórce, mieszczącej się tuż za drzwiami przy głównym wejściu. Nocny stróż, starszek o bystrym spojrzeniu i z poplamionymi tytoniem wąsami morsa, nalał do trzech emaliowanych kubeczków płyn w kolorze krezotu, następnie dolał mleka i dosypał parę łyżeczek cukru z puszki z napisem „sterylne materiały opatrunkowe”. Frost zawsze wiedział, gdzie można za darmo załapać się na herbatę, niezależnie od pory dnia czy nocy.

- No to smacznego, panie Frost - oznajmił portier, podsuwając inspektorowi kubek. - I dla pana także, młody kolego.

Webster uśmiechnął się na znak podziękowania. Wypili, zamrugali oczyma i wzdrygnęli się, jakby przeszył ich prąd.

- I jak, panie Frost, smakowało? - spytał portier.

- Znakomite, Fred. Czy musimy się wpisać w rejestrze trucizn?

Starszek zarechotał, ukazując światu dziąsła w bardziej intensywnym odcieniu brązu niż herbata, którą pił przed chwilą.

- Przez pana mamy dziś w nocy ręce pełne roboty - zauważył, skręcając domowym sposobem papierosa wypełnionego ciemnym tytoniem, wydobytym z kapciucha. - Najpierw

ten stary włóczęga, który trafił prosto do kostnicy, potem biedne, zgwałcone dziecko, a na koniec gość, którego ktoś rozjechał i jakby nigdy nic uciekł z miejsca wypadku.

- Mam nadzieję, że w związku z tym dostanę swój zwykły rabat - odparł Frost, wyciągając rękę po dodatkową porcję herbaty. - Hej, Fred! Zdaje się, że masz klienta!

Ktoś energicznie zapukał w płytę z mlecznego szkła zasłaniającą wejście do portierni. Stróż odsunął drzwi i na progu stanęła młoda kobieta, na oko w wieku dwudziestu paru lat. Jej biust wyglądał imponująco - przynajmniej dziewięćdziesiąt centymetrów z okładem - a burzę ciemnych włosów przeplatały pasma o lekko kasztanowym odcieniu. Ubrana była w niebieski płaszcz przeciwdeszczowy, przecięty w poprzek przez biały pasek torebki, którą nosiła na ramieniu. Na widok inspektora w oczach kobiety zapaliły się figlarne ogniki.

- Witam pana, panie Frost.

Frost zerwał się na równe nogi, omal nie wywracając krzesła.

- Wielkie nieba! Toż to nasza Sue w ciemnoniebieskich majtasach! Co tu porabiasz, Sue? Wiesz chyba, że po północy nikt nie przeprowadza testów ciążowych?

Uśmiechnęła się, ukazując rząd zębów równie doskonałych jak jej figura.

- Wysłał mnie inspektor Allen. Mam zostać z tą zgwałconą dziewczyną, dopóki nie odzyska przytomności, a potem spróbować wyciągnąć z niej zeznanie. Allen powiedział, że pan zna wszystkie szczegóły.

Frost opowiedział w skrócie, o co chodzi, dodając, że dziewczyna nie została zidentyfikowana, ale że człowiek, który być może jest jej ojcem, już jedzie do szpitala. Kątem oka zauważył, że Webster szeroko otwartymi oczyma przygląda się nowej znajomej i że jego wzrok wyraża pełną aprobatę, a jęzor wisi mu prawie do pasa. Po raz pierwszy widział swojego asystenta bez jego zwykłej, wiecznie nadąsanej miny.

- Wybacz, Sue, powinienem był cię przedstawić. Ten zarośnięty dżentelmen obok mnie to posterunkowy Webster.

- Wiem... Widziałam pana w komisariacie. - Obdarzyła go uroczym uśmiechem, po którym poczuł w łędźwiach przyjemny dreszczyk. - Jestem Sue. Posterunkowa Sue Harvey.

- Zaprowadź Sue na oddział ofiar wypadków - zwrócił się Frost do Webstera. - Sala C trzy.

I znów po raz pierwszy Webster wykonał polecenie bez zwykłego ociągania się.

Gdy odeszli, Frost wrócił do picia herbaty. Sączył ją małymi łykami, podczas gdy portier upajał się nieziemskim smakiem swojego skręta.

- Bywał pan tu częstym gościem, kiedy pańska żona leżała na oddziale, panie Frost - odezwał się w końcu.

- Racja, Fred.

- Jak ona się ma? Lepiej?

- Nie. - Frost pokręcił głową. - Wcale nie lepiej. Główne drzwi otworzyły się na oścież i na wyłożonej terakotą podłodze korytarza zadudniły czyjeś niespokojne kroki. Frost podniósł się z krzesła i wyszedł na spotkanie Maksa Dawsona, który dosłownie trząsł się z gniewu. Obok, w byle jak narzuconym na ramiona futrze ze srebrnych lisów, stała jego żona. Po jej policzkach ciekły łzy.

- Czy to prawda? - zasyczał Dawson. - Czy to prawda? - Właśnie chcielibyśmy, żeby państwo to potwierdzili

- oświadczył Frost i odciągnął Dawsona na bok. - Chyba byłoby lepiej, proszę pana, gdyby pańska żona została tutaj.

- Nie - sprzeciwiła się ostro Clare. - To moja córka. Chcę być razem z nią.

- Czy ona bardzo źle się czuje? - spytał Dawson, kiedy szli w kierunku windy.

- Została dość mocno pobita. Wydaje mi się, że ma złamany nos, szczękę i parę żeber. Dawson ze świstem wciągnął powietrze.

- Kiedy znajdziecie już tego łajdaka, który jej to zrobił, chciałbym go dostać w swoje ręce - odezwał się błagalnym tonem.

- Myślę, że będzie pan musiał stanąć w kolejce - odparł Frost i zatrzymał się, bo usłyszał za sobą czyjeś pospieszne kroki.

- Panie Frost! - zawołał portier. - Telefon do pana. Z sali C trzy. Mówią, że to pilne.

Lodowata ręka strachu ścisnęła serce inspektora. Karen Dawson leżała na sali C trzy. Czy to możliwe, że właśnie umarła? Proszę, Boże, nie pozwól jej umrzeć. Państwo Dawson biegli tuż za nim, obserwując uważnie jego reakcję. Podniósł słuchawkę i odwrócił się do nich plecami, żeby nie mogli dostrzec jego twarzy.

- Tu Frost. Słucham - powiedział cicho.

Po drugiej stronie odezwał się głos Susan Harvey.

- Inspektorze, jestem na sali obok tej zgwałconej dziewczyny. Chyba wspominał pan, że Karen Dawson ma tylko piętnaście lat?

- Owszem, Sue. Czemu pytasz?

- W takim razie to nie może być ona. To przecież nie jest dziewczynka, to kobieta... Ma przynajmniej trzydzieści lat.

Trzydzieści lat! Niech to diabli, pomyślał Frost.

- Czy jesteś tego pewna, Sue? - spytał na głos. - Bo są tu ze mną jej rodzice.

- Nie ma żadnych wątpliwości, inspektorze.

Frost z powrotem oddał słuchawkę Fredowi, wziął kilka głębokich oddechów, a następnie powoli odwrócił się do państwa Dawson.

Max Dawson wielkimi krokami przechadzał się po korytarzu; najwidoczniej nie mógł znaleźć sobie miejsca, czekając na moment, aż zaprowadzą go do córki. Jego żona, która zdążyła przycupnąć na jednej ze stojących pod ścianami drewnianych ławek, na widok Frosta podniosła się i starała odczytać z wyrazu jego twarzy, czego się dowiedział.

Uśmiechnął się do obydwójga, co - jak miał nadzieję - powinno im dodać nieco otuchy.

- Pani Dawson, wszystko jest w porządku. W porządku...

Dawson przepchnął się do przodu.

- Jak to „w porządku”? Jak cokolwiek może być „w porządku”? Moja córka została pobita i zgwałcona, a pan opowiada bzdury, że coś jest w porządku?!

Frost jeszcze raz wziął głęboki oddech, a potem bez zastanowienia rzucił się na głęboką wodę.

- Obawiam się, że niepotrzebnie państwa fatygowaliśmy. Dziewczyna, która padła ofiarą gwałtu, na pewno nie jest pańską córką.

Clare na moment przestała oddychać, a potem zanosła się histerycznym śmiechem. Mąż chwycił ją za ramiona i brutalnie potrząsnął, ale nie przyniosło to pożądanego skutku. Clare nadal śmiała się jak szalona. Wreszcie wymierzył jej policzek. Twardy, brzmiały jak wystrzał w pistoletu dźwięk odbił się echem po długim korytarzu. Sapnęła, odruchowo podnosząc rękę do twarzy, a potem wybuchnęła płaczem i osunęła się na ławkę.

Dawson przez jakiś czas nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń.

- Więc to nie jest moja córka? - powiedział wreszcie.

- Nie. Okazało się, że jest od niej znacznie starsza. Na twarzy Clare pojawił się wyraz zatroskania.

- Ale to może być Karen - upierała się. - Ona jest bardzo dobrze rozwinięta jak na swój wiek. Musimy to sprawdzić.

Zerwała się z miejsca i w panice usiłowała przepchnąć się obok Frosta w kierunku windy i dalej, na oddział. Delikatnie ją powstrzymał.

- Pani Dawson, to nie może być Karen... Ta kobieta ma przynajmniej trzydzieści lat, być może więcej.

Dawson zastygł w bezruchu i z otwartymi ze zdumienia ustami gapił się na Frosta.

- Czy ja dobrze słyszę? Myślał pan, że ta kobieta - trzydziestoletnia kobieta - może być moją córką? Moja żona i ja omal nie zwariowaliśmy, kiedy nam powiedziano, że nasza

córka została pobita i zgwałcona, a przez ten czas... Przez ten cały czas chodziło o trzydziestoletnią kobietę!

Frost mógł jedynie wycofać się, powłócząc nogami i mamrocząc pod nosem, jak bardzo jest mu przykro. Marzył, żeby Dawson wreszcie pojechał do domu i pozwolił mu w samotności przeżywać upokorzenie.

Nagle Dawson gwałtownie rzucił się do przodu i chwycił inspektora za klapy marynarki.

- Przykro panu?! Tylko tyle ma nam pan do powiedzenia?!

Ze wzgardą odepchnął go, a potem teatralnym gestem wytarł ręce o przód własnego płaszcza.

- Ty głupi, bezmyślny, niekompetentny durniu, nie mam zamiaru brudzić sobie rąk.

Wziął pod rękę łkającą żonę i poprowadził w kierunku wyjścia. Przed samymi drzwiami zatrzymał się raz jeszcze.

- Lepiej znajdź moją córkę, ty zawszony skurwielu - powiedział, po czym obydwójce znikli w ciemności.

Frost bez sił opadł na ławkę, wciąż jeszcze nagrzaną od ciepła pani Dawson, i poszukał w kieszeni papierosa. Na przeciwległej ścianie dostrzegł tabliczkę z napisem „Prosimy nie palić”. Marszcząc brwi, spojrzał na czerwone litery na białym tle, a potem cofnął rękę.

- Skoro prosicie... - powiedział głośno.

Usłyszał, jak ktoś głośno chrząka. Podniósł głowę. Obok stał Webster.

- Słyszałeś, synu? Webster pokiwał głową.

- Bezmyślny, niekompetentny dureń... - powtórzył Frost. - On ma rację. Właśnie taki jestem.

Jeszcze raz wyciągnął z kieszeni fotografię Karen i uważnie się jej przyjrzał. Musi znowu zacząć myśleć o niej jako o uczennicy, zbyt młodej na chłopców albo na noszenie w torebce prezerwatyw. Kim więc była ta anonimowa ofiara gwałtu i skąd to przebranie?

Ciężko dźwignął się z ławki.

- Chodźmy, synu - mruknął. - Trzeba zajrzeć na tę salę C trzy i zobaczyć, czy uda się nam czegoś dowiedzieć.

- Ale to nie jest nasze dochodzenie - zaprotestował Webster.

- Wiem, synu. Problem w tym, że jestem cholernie wścibskim skurwielem.

Sue Harvey czekała na nich przy drzwiach sali C trzy - maleńkiej salki szpitalnej z zaledwie czterema łózkami.

- Właśnie są przy niej lekarze - wyszeptała, wskazując na ostatnie łóżko, odgrodzone od reszty zasłonami.

Po kilku minutach zasłony odsunęły się energicznie i wyłonił się zza nich nieduży człowieczek o azjatyckich rysach, ubrany w biały fartuch. Towarzyszyła mu pielęgniarka z nocnej zmiany. Za ich plecami na łóżku spoczywała nieruchomo skurczona, biała postać. Pielęgniarka szepnęła coś na ucho lekarzowi, wskazując na stojących przy wejściu detektywów. Przesunął po nich zmęczonym spojrzeniem i podszedł bliżej.

- Doktorze, jak ona się czuje? - spytał Frost.

- Jest wciąż nieprzytomna. Oberwała pięścią, potem została kopnięta prosto w twarz i mocno pobita. Ma pęknięte dwa żebra, złamany nos, uszkodzoną szczękę i czaszkę na wysokości linii włosów. Dodatkowo jest cała posiniaczona i ogólnie kontuzjowana. Na zewnętrznej stronie gardła, które notabene jest paskudnie napuchnięte, widać kilka siniaków, które świadczą o tym, że sprawca dusił ją gołymi rękoma. Oczywiście, krwiaki i zasinienia powstały także wewnątrz ciała. Według mnie najpierw została podduszona i straciła przytomność, a następnie, kiedy już leżała na ziemi, była bita i kopana.

- Czy do pobicia doszło przed czy po tym, jak została wykorzystana seksualnie?

Lekarz zmarszczył brwi i spojrzał ze zdziwieniem.

- Wykorzystana seksualnie? Kto powiedział, że została wykorzystana seksualnie? - Odwrócił się w stronę pielęgniarki i wyciągnął ręce, jakby chciał u niej szukać potwierdzenia.

- Czy ja wspomniałem cokolwiek na ten temat?

Teraz z kolei Frost zmarszczył brwi i zdziwił się.

- Czy chce pan powiedzieć, że nie została zgwałcona?

- Zgwałcona?! Jeśli moja pacjentka zostałaby zgwałcona, to czy uważa pan, że byłbym na tyle głupi, żeby o tym nie powiedzieć?

Frost potrząsnął głową, a następnie przesunął rękoma po twarzy. To nie mieściło mu się w głowie!

- Czy jest pan absolutnie pewien, doktorze? Może zechciałby pan jeszcze raz rzucić okiem?

Mały człowieczek z oburzeniem wyprostował się na całą, niezbyt imponującą wysokość.

- Mam rozumieć, że kwestionuje pan moje kompetencje, inspektorze? Przebadalem ją i zdecydowanie nie zauważyłem oznak niedawnego współżycia ani też prób wymuszenia aktu seksualnego siłą. Najwyraźniej nie zamierza pan przyjąć do wiadomości tego, co

powiedziałem, więc jeśli zechce mi pan wybaczyć... Mam jeszcze innych pacjentów, którymi muszę się zająć.

Przecisnął się między nimi i wypadł z sali, tak że furkotały za nim poły białego fartucha.

Frost podrapał się w głowę, starając się znaleźć jakiś sens w tym, czego nieoczekiwanie się dowiedział.

- Nie została zgwałcona? Więc facet zdarł z niej wszystkie ciuchy, a potem jej nie tknął? To zupełnie jakbyś obrał z papierka marsa, a potem doszedł do wniosku, że nie masz ochoty go zjeść.

- Być może coś mu przeszkodziło, zanim zdążył na serio zabrać się do roboty - zasugerował Webster.

- Przeszkodziło?

- Na przykład ten typek, który potem dzwonił anonimowo... Może wpadł na nich w krytycznym momencie?

Frost potarł podbródek.

- Wiesz co, synu? Nie kupuje tego. Rzuciłem okiem na jej ciuchy. Nie zauważyłem na nich śladu krwi, a to znaczy, że dziewczyna została skopana i zbita, kiedy już była nago. Jeśli miał czas, żeby ją sprać, to tym bardziej miał czas na odbycie stosunku.

Wzruszył ramionami.

- Ale, tak jak powiedziałeś, to nie nasza sprawa. Pozwólmy, żeby inspektor Allen rozwiązał ją po swojemu.

Drzwi salki otworzyły się na oścież i do środka wjechały nosze na kółkach, zręcznie kierowane przez sanitariusza z oddziału chirurgicznego, który zamierzał zabrać pacjentkę na operację. W głębi korytarza Frost nagle dostrzegł inspektora Allena, z nieodłącznym sierżantem Ingramem u boku. Obaj zdecydowanym krokiem zmierzali w tym właśnie kierunku. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie kręcić się w pobliżu, kiedy Allen dowie się o jego pomyłce co do wieku ofiary, więc szybko rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu drogi ucieczki. Machnąwszy ręką do Sue, popchnął Webstera do tylnych drzwi, za którymi kryły się kiepsko oświetlone schody prowadzące na długi, wijący się w nieskończoność korytarz.

- Widzę, że zna pan tu różne tajemne przejścia - zauważył Webster.

- Moja żona leżała w tym szpitalu - wyjaśnił Frost. - Wtedy przychodziłem tu codziennie.

Posterunkowy przypomniał sobie, jak mówiono mu o tym, że żona Frosta niedawno umarła, i pomyślał, że lepiej nie drażnić tematu. Skręcili w prawo w jakiś główny korytarz, wzdłuż którego znajdowały się wejścia do kolejnych oddziałów.

Nagle Frost zatrzymał się i wskazał na coś palcem.

- No proszę! Podobno najciemniej jest pod latarnią.

Webster ujrzał młodego policjanta o ciemnych, kręconych włosach i niedużych wąsikach, pogrążonego w ożywionej konwersacji ze śmiesznie młodą pielęgniarką z nocnej zmiany, której spod czepeczka wymykało się niesforne pasemko włosów. Webster rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie jego nazwisko, ale w ostatnim czasie przedstawiano go tak wielu ludziom... I nagle już miał. David Shelby, żonaty ojciec dwojga małych dzieci, znany ze swojej słabości do płci pięknej. Frost określał to bardziej dosadnie. Zwyczajny kurwiarz, mówił bez ogródek.

Czując na sobie spojrzenie inspektora, Shelby szybko wyszeptał do dziewczyny parę słów, po których oblała się rumieńcem, a potem na cały głos dodał:

- Bardzo siostrze dziękuję.

Dziewczyna przemknęła obok Frosta, rzucając mu w przelocie przepaszający uśmiezek.

- Trzymaj się od niego z daleka, skarbie! - zawołał za nią Frost. - Wieczorami zdarza mu się napastować mężczyzn w publicznej toalecie! Mógłbyś spróbować zrobić sobie przerwę choćby na pięć minut? - dodał, odwracając się do Shelby'ego. - W końcu od tego oślepniesz, synu.

Shelby uśmiechnął się nerwowo.

- Po prostu wypełniam sobie czas, inspektorze. Ostatecznie jestem szanowanym obywatelem i to na dodatek żonatym.

- Och, pozory często mylą - parsknął Frost. - Tak czy owak, co tutaj robisz?

Shelby wskazał kciukiem na przeszkłone, wahadłowe drzwi za plecami.

- Przyjechałem karetką razem z tym gościem, którego ktoś rozjechał na pasach. Właśnie go operują.

Frost zajrzał przez świetlik, ale niewiele zdołał zauważyć. W środku kręciło się mnóstwo ludzi w zielonych ubraniach, którzy pracowali w kompletnej ciszy. Jeden z nich wydawał się od góry do dołu wysmarowany krwią.

- Dobrze, że to nie moja działka... To przypomina prawdziwą rzeźnię.

Spojrzał ponad ramieniem Shelby'ego w głąb korytarza, na siedzącą tam samotną, starszą kobietę. Sprawiała wrażenie przestraszonej i mocno zdezorientowanej.

- To żona tego gościa - wyszeptał Shelby. - Spała, kiedy wydarzył się wypadek. Nawet nie wiedziała, że mąż wyszedł z łóżka, aż do chwili gdy któraś z sąsiadek zapukała, żeby powiedzieć jej, że właśnie potrącił go samochód.

- Biedaczka... - mruknął Frost. - Są jakieś szanse? Shelby wzruszył ramionami.

- Ma zgruchotaną czaszkę, duży krwotok wewnętrzny, a poza tym - siedemdziesiąt osiem lat.

- Podobno ten samochód, który go przejechał, zgubił tablicę rejestracyjną. Czy już wiadomo, kto siedział za kierownicą?

- Nie mam pojęcia, panie inspektorze. Nie bardzo jestem na bieżąco. Inspektor Allen ściągnął wóz patrolowy, żeby mieć dodatkową pomoc przy poszukiwaniach tego gwałciciela.

- Czekaj, to mi o czymś przypomniało... - Frost pochylił się i spojrzał mu prosto w oczy. - Czy przypadkiem nie miałeś dziś w planie jakiejś randki?

Shelby wyraźnie drgnął.

- Co pan ma na myśli?

- Ta kobieta, która została napadnięta... Może akurat byłeś w Denton Woods ze swoją małą policyjną pałką?

Cień ulgi przemknął przez twarz posterunkowego.

- Nie, panie inspektorze - odparł z wymuszonym uśmiechem. - To nie byłem ja.

Ty masz coś na sumieniu, chłopcze, doszedł do wniosku Frost, i przez chwilę myślałeś, że wiem, o co chodzi. No cóż, nie wiem. Nie jestem tak mądry... Nie potrafię nawet dostrzec różnicy pomiędzy piętnastoletnią uczennicą a trzydziestoletnią kobietą.

W drodze powrotnej do samochodu musieli przejść obok tamtej starszej kobiety. W przelocie złapała Frosta za rękę i mocno ścisnęła.

- Mój mąż... - wyszeptała przez łzy. - Właśnie jest operowany. Proszę mi powiedzieć, on z tego wyjdzie, prawda?

- Oczywiście, że tak. - Uśmiechnął się do niej. - Na pewno wszystko będzie w porządku.

Pogłaskał ją po ramieniu, żeby dodać jej otuchy, po czym ruszył w dalszą drogę.

- Dlaczego pan ją okłamał? - spytał z wyrzutem Webster. - Przecież on umiera.

- To w takim razie wróć, do jasnej cholery, i sam jej to powiedz - warknął Frost.

WTOREK, NOCNA ZMIANA (5)

- Nie potrafię podać panu żadnego rysopisu - powiedział mężczyzna. - Wcale go nie widziałem.

- Musiał pan coś widzieć - upierał się Wells. - Jak mamy go aresztować, skoro nikt nie wie, jak on wygląda?

Zadzwonił telefon.

- Ridley, odbierz z łaski swojej! - wrzasnął z całej siły sierżant Wells. - Jestem chwilowo zajęty!

Człowiek, z którym rozmawiał, został obrabowany pod groźbą użycia noża w chwili, gdy wybierał gotówkę z bankomatu przy banku Bennington.

- Przyłożył mi nóż do pleców, a potem wyrwał pieniądze i uciekł. Zanim nabrałem odwagi, żeby rozejrzeć się dookoła, już go nie było.

- Był niski, wysoki, gruby, chudy, biały, żółty? - dociekał Wells.

- Mogę jedynie powiedzieć, że cholernie szybko biega - odparł mężczyzna. - Zasuwał z moimi pieniędzmi w takim tempie, jakby mu ktoś soli na ogon nasypał.

Telefon dzwonił jak oszalały.

- Proszę mi wybaczyć na chwilę - powiedział w końcu Wells. Otworzył drzwi na korytarz i jeszcze raz ryknął jak najgłośniej: - Ridley!

Z toalety dobiegły jakieś gulgoty i burczenia, a potem zjawił się Ridley, dopinając po drodze pas.

- Ten cholerny telefon dzwoni i dzwoni - warknął Wells.

- Wiesz przecież, że jestem tu sam, co?

- Chyba mam prawo od czasu do czasu pójść się wysikać - zbuntował się posterunkowy.

- Nie wtedy, kiedy mamy problemy kadrowe - odparł krótko Wells i powrócił do swojego rozmówcy. - Proszę mi powiedzieć, panie Skinner, ile pieniędzy panu ukradziono.

- Czterdzieści pięć funtów. Dokładnie dziewięć banknotów pięciofuntowych.

- Czy wie pan, gdzie się podział inspektor Frost?! - zawołał Ridley, przyciskając do piersi mikrofon.

- To ty siedzisz w dyspozytorni - odburknął Wells. - Powinieneś wiedzieć, gdzie jest każdy z będących na służbie funkcjonariuszy.

Tym razem Allen stanowczo przesadził, pomyślał ze złością. Kiedy okazało się, że w Denton Woods doszło do próby gwałtu, inspektor Allen zebrał dosłownie wszystkich będących do dyspozycji policjantów. Nawet młody Collier otrzymał rozkaz wyruszenia do akcji, przez co na miejscu został tylko Wells i dyspozytor, posterunkowy Ridley, żeby we dwóch prowadzić cały komisariat. Nie zasługiwał, żeby wziąć udział w tym zawszonym przyjęciu, ale gdy zdarzyła się podbramkowa sytuacja, nagle doceniono jego umiejętności.

- W „The Coconut Grove” doszło do napadu połączonego z rabunkiem. Skradziono ponad pięć tysięcy funtów.

- Cholerny pech - mruknął Wells. - Co prawda ten dżentelmen stracił tylko czterdzieści pięć funtów, ale był tu pierwszy.

Nagle drzwi wahadłowe prowadzące do holu otworzyły się z impetem na całą szerokość i do środka wpadł Frost w wieczorowym stroju z przemoczonymi nogawkami. Na eleganckie ubranie narzucił codzienny płaszcz przeciwdeszczowy oraz nieodłączny szalik. Tuż za nim biegł ten nowy koleś - brodaty eksinspektor Webster.

Ridley machnął w jego stronę słuchawką.

- Panie Frost!

Webster skierował się od razu do biura, żeby na nowo zacząć przygotowywanie statystyk przestępstw, a Frost podszedł do dyspozytora.

- Tak, Ridley, o co chodzi?

- Panie Frost, w „The Coconut Grove” zdarzył się rabunek.

- Przepraszam, ale dziś wieczorem zajmuję się wyłącznie zwłokami leżącymi w publicznych szaletach - odparł inspektor. Ridley spojrział na niego z wyrzutem, więc Frost od razu się zreflektował. - W porządku. Proszę zanotować wszystkie szczegóły.

Wielkim krokami przemierzył hol i szybko dotarł do korytarzyka.

- Webster! - ryknął. - Słyszysz mnie? Znowu wychodzimy!

Kątem oka zauważył Wellsa, który właśnie walczył z maszyną do pisania, żeby przygotować raport. - Jak leci, sierżancie? Wszystko w porządku?

- Nie, do jasnej cholery - opryskliwie odezwał się Wells. - Nic nie jest w porządku, a ja nie mam czasu na głupawe pogawędki.

- Wyobraź sobie, że widziałem kobietę z uszmińkowanymi cyckami - oznajmił Frost.

- Czy wysłucha pan wreszcie, co mam do powiedzenia na temat napadu? - zdenerwował się mężczyzna, który dopiero co został okradziony.

- Chwileczkę, proszę pana. - Wells niecierpliwie machnął ręką, jakby facet był jakimś natrętnym intruzem, który przeszkadza w prywatnej rozmowie. - Coś ty widział, Jack?!

Zanim oślepiony jaskrawym światłem biurowych lamp Webster zdążył mrugnąć, raport ze statystykami przestępstw wrócił do szafy na dokumenty, a on sam znowu siedział za kierownicą forda cortiny i jechał gdzieś przed siebie w ciemną noc. Mijając obrzeża lasu, zauważyli tańczące wśród drzew światełka podobne do robaczek świętojańskich - to zespół Allena kontynuował żmudne poszukiwania.

„The Coconut Grove” było częścią wielkiego kompleksu rozrywkowego położonego na przedmieściach Denton, tuż za północną ścianą lasu. Kompleks ów składał się z wielu klubów, barów, restauracji, salonów do gry w bingo, teatru, pawilonu sportowego i mnóstwa innych przybytków tego typu. Policja podejrzewała, że właściciel centrum na boku zajmuje się także dostarczaniem prostytutek, gotowych spełnić najbardziej wyszukane żądania klientów, ale nigdy nie udało się zdobyć żadnych konkretnych dowodów. Ten ziemski raj był własnością niejakiego Harry’ego Baskina, gościa o bardzo wątpliwej reputacji, który oprócz tego miał sieć punktów bukmacherskich.

Baskin kupił ziemię pod centrum rozrywki za śmiesznie niską cenę. Nikt nie podejrzewał, że uda mu się zdobyć zezwolenie na budowę, ponieważ zgodnie z nowym planem zagospodarowania przestrzennego ten właśnie obszar miał zostać przeznaczony do celów rolniczych. Ale ku zdumieniu wszystkich zezwolenie zostało wydane. Parę miesięcy później przewodniczący komitetu planowania przestrzennego złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska i po odejściu na emeryturę wyjechał na Bahamy. Kilku cyników głośno sugerowało, że między tymi dwoma wydarzeniami istnieje jakiś związek, ale nikt nie ośmielił się powtórzyć tego w obecności Baskina. Ludziom, którzy okazali się na tyle mało przewidujący, żeby z nim zadrzeć, podejrzanie łatwo zaczęły się przydarzać różne nieprzyjemne wypadki.

Harry Baskin! Webster intensywnie zastanawiał się, gdzie i kiedy słyszał to nazwisko.

- Czy to on prowadzi punkty bukmacherskie? Frost skinął głową.

- Ma trzydzieści siedem sklepów na terenie całego kraju i potrafi w subtelny sposób skłonić ociągających się dłużników do uregulowania swoich zobowiązań. Na przykład ktoś taki budzi się rano i znajduje swojego psa z poderżniętym gardłem albo jakimś zbiegiem okoliczności jego samochód staje w płomieniach... Ot, takie drobne trącanie łokciem dla odświeżenia pamięci. Zaręczam ci, że nikt przez dłuższy czas nie ośmielił się ociągać ze spłatą należności.

Z głównej drogi skręcili w kierunku olbrzymiego, świetlnego napisu, który kusił przejeżdżających: TĘDY DOJEDZIESZ DO BAJKOWEGO CENTRUM, GDZIE WSPANIALE SPĘDZISZ WOLNY CZAS! Jeszcze jeden ostry zakręt i przed nimi wyrosła gromada budynków, wyłożonych błyszczącymi, czarno-białymi płytkami sztucznego marmuru. Między nimi jarzyły się gustowne kolorowe neony: BINGO... TO I OWO... STRIPEASE... Większość otaczających centrum budynków była pogrążona w ciemności, lecz Frost zręcznie skierował Webstera przez parking do położonego z tyłu

sektora, gdzie dyskretny błękitny neon wskazywał, że właśnie tu mieści się THE COCONUT GROVE.

Przez obrotowe drzwi weszli do pogrążonego w przyćmionym świetle foyer, gdzie jakaś góra cielska zagroziła im drogę. Wykidajło - muskularny ekszapaśnik wciśnięty w frak - obserwował pochłapaną błotem cortinę, gdy wjeżdżała na parking, i widział wysiadających z niej mężczyzn. Rozkazy, jakie otrzymał od pana Baskina, wydawały się dość jasne: nie wpuszczać nikogo, kto mógłby stać się przyczyną ewentualnych kłopotów, a ci dwaj wyglądali, jakby stwarzanie problemów było ich specjalnością. Zwłaszcza ten koleś w wygniecionym płaszczu przeciwdeszczowym nie wzbudzał zaufania.

- Przepraszam, panowie. Tylko członkowie klubu... - zaczął i jak taran ruszył do przodu, żeby z powrotem wypchnąć ich na zewnątrz.

- American Express. - Frost machnął mu przed nosem służbową legitymacją. - Powiedz panu Baskinowi, że ma gości.

Wykidajło mruknął parę słów do wewnętrznego aparatu, a potem poprowadził ich korytarzykiem do drzwi, na których wisiała tabliczka: POMIESZCZENIE PRYWATNE. WSTĘP WZBRONIONY. Na górze podświetlony, czerwony napis głosił: ZAJĘTE. PROSZĘ NIE WCHODZIĆ. Wykidajło zapukał delikatnie i po chwili czerwone litery zgasły i na ich miejscu pojawił się zielony komunikat: PROSZĘ WEJŚĆ.

Baskin - ciemny, o śniadej cerze, na oko wyglądający na trzydzieści kilka lat - jeździł na obrotowym krześle wzdłuż olbrzymiego biurka, na którym nie stało nic poza talerzem z resztkami kanapki z wędzonym łososiem. Miał na sobie granatowy strój wieczorowy, a spod lekko podwiniętych rękawów marynarki wysuwały się masywne spinki do koszuli z czystego złota, które przy każdym ruchu dzwoniły jak para kajdanek. Wszyscy poza mną odstawili się dziś jak na bal, pomyślał Frost. Jego spodnie wciąż były mokre aż do kolan, a w butach przy każdym kroku nieprzyjemnie chlupotało.

Na wyłożonej orzechowym drewnem ścianie za plecami Baskina wisiał szereg fotografii różnych osobistości, które gościły w centrum rozrywki. Bokserzy, gwiazdy filmowe, gwiazdy muzyki pop... Każdy z nich wymieniał serdeczny uścisk dłoni z uśmiechniętym od ucha do ucha Harrym Baskinem lub wręczał mu przeznaczony na cele charytatywne czek.

Ale w tym momencie Harry Baskin wcale się nie uśmiechał. Jego twarz pociemniała z furii, a spojrzenie rzucone spod nastroszonych brwi powinno skłonić kogoś takiego jak Webster do natychmiastowego wystartowania w biegu na sto jardów i wygrania go bez wysiłku. Nie wydawał się specjalnie cieszyć z widoku inspektora Frosta.

- Och, to pan, inspektorze...

- Obawiam się, Harry, że masz rację - przyznał Frost. Nie czekając na zaproszenie, usiadł w fotelu dla interesantów i zaczął wycierać spodnie w tapicerkę, żeby osuszyć je z nadmiaru wilgoci. - Wszyscy gliniarze z prawdziwego zdarzenia są dziś zajęci przy śledztwie w sprawie gwałtu. Dziś późnym wieczorem w Denton Woods napadnięto kobietę... Mam nadzieję, że masz na ten czas żelazne alibi?

- Na litość boską - zaczął Baskin błagalnym tonem, jednocześnie pstrykając palcami w stronę drzwi, żeby pozbyć się ochroniarza. - Mogę mieć każdą laskę, jaką zechcę. Nawet nie muszę się ruszać z za tego biurka. Same przychodzą pod drzwi i dopraszają się, żeby je przelecieć.

Zgrabnym ruchem cisnął resztki kanapki do kosza na śmieci.

- Mam dziś naprawdę cholernie paskudną noc. Najpierw pieprzona striptizerka nie zjawia się na występie, potem podobno znakomity szef kuchni przypala pasztet, a następnie jakiś skunks mnie okrada. Więc proszę wybaczyć, ale nie jestem dziś w najlepszym nastroju do żartów. Kto to jest, do diabła? - dodał, wyciągając palec w kierunku Webstera.

Frost przedstawił posterunkowego.

Na dźwięk jego nazwiska Baskin uśmiechnął się słabo.

- Webster! Gliniarz, którego wyrzucono na zbity pysk z posterunku w Braybridge! Cholera, dziś wieczorem zebrały się tu wszystkie okoliczne szumowiny... Niech pan uważa na niego, panie Frost. Podobno uwielbia bić inspektorów.

Webster bardzo się starał zachować obojętny wyraz twarzy, ale z każdą sekundą wzbierał w nim coraz większy gniew. Jeszcze chwila i nie wytrzyma.

Frost odwzajemnił uśmiech i przyjaźnie spojrział na właściciela klubu.

- Harry, on także uwielbia bić drobnych oszustów, więc na twoim miejscu starałbym się go nie drażnić. Jak dostaniesz celny cios w pachwinę, to te damy, o których wspominałeś, na próżno będą pukać do twoich drzwi... Co ty na to, żebyśmy przeszli do spraw służbowych?

Baskin wstał i starannie wyprostował zagniecenia na nienagannie skrojonej marynarce.

- Proszę za mną.

Przez labirynt korytarzy poprowadził ich w stronę biura, mieszczącego się tuż przy tylnym wyjściu. Na drewnianych drzwiach widać było świeże ślady głębokich nacięć. Webster przyklęknął na jedno kolano, żeby przyjrzeć się im z bliska, a Baskin popatrzył na niego ze wzgardą.

- Nie rób sobie kłopotu i nie wyjmuj szkła powiększającego, synku - zadrwił. - To robota moich chłopców. Musieliśmy użyć siekiery, żeby dostać się do środka. Cholernie dobre drzwi... Teraz nadają się do wyrzucenia.

Otworzył cholernie dobre drzwi i pokazał ukrytą za nimi małą, ciasną komórkę. Betonowa podłoga, wymalowane szarą emulsją ściany, pod sufitem malutkie okienko zagrodzone solidnymi, żelaznymi prętami... Tanie biurko z dębowego drewna i niepasujące do niego krzesło z twardym oparciem dopełniały wystroju wnętrza. Na biurku stał telefon i przełącznik, z którego wychodziło mnóstwo różnych przewodów.

Baskin sprawdził, czy narożnik biurka nie jest przypadkiem zakurzony, ale dla pewności jedwabną chusteczką z wyhaftowanym monogramem strzepnął niewidzialne pyłki i dopiero wtedy usiadł.

- Większość naszych spraw handlowych załatwiamy za pomocą czeków i kart kredytowych, ale w obrocie jest także całkiem sporo gotówki. To zapycha nam kasę, więc każdej nocy dwa razy musimy ją opróżniać. Przynosimy forszę tutaj, gdzie jest liczona i sprawdzana, a potem ochroniarz odwozi ją do nocnego sejfów w banku Bennington. Przez cały czas forsa jest pilnowana przez uzbrojonego ochroniarza, który zamyka się tu od środka. Rzućcie okiem na drzwi.

Obaj detektywi obejrżeli drzwi, które wyposażone były w dwa solidne rygle - na górze i na dole - podwójny zamek antywłamaniowy i grubą, metalową kratę, która wsuwała się w zestaw uchwyty wpuszczonych w betonowe ściany.

- Proste, ale skuteczne zabezpieczenie - mówił dalej Baskin, machając nogą. - Ładujemy pieniądze do specjalnych worków dostarczanych nam przez bank, a potem drugi z ochroniarzy biegnie po samochód, żeby zawieźć worki do nocnego sejfów.

- Czy za każdym razem wieziecie pieniądze tym samym samochodem? - pytał Webster.

- Czy ja wyglądam na skończonego głupka, synku? - odparł Baskin kpiąco. - Jeśli ktoś chce mnie obrabować, musi nieźle się namęczyć, to pewne. Każdej nocy jedzie inny wóz, wyjeżdża o różnych porach i nigdy nie wybiera tej samej trasy.

- A kto o tym decyduje?

- Ja, synku, tylko ja. I do ostatniej chwili trzymam to w tajemnicy.

- Nie zwracaj się do mnie w ten sposób - warknął Webster.

- Ojej, jaki wrażliwy, mały skurwiel. - Baskin się uśmiechnął.

Frost, nie zwracając na nich uwagi, przeszedł na ukos przez pokój. Na ścianie za biurkiem wisiała kolekcja czarno-białych, błyszczących fotografii. Na wszystkich w

kuszących pozach przeciągały się nagie kobiety - większość występowała w klubie w charakterze striptizerek. Badając z bliska urodę owych dam, Frost wrócił do tematu.

- Czyli jednego z ochroniarzy zamykałeś w środku, a drugi przyprowadzał w tym czasie samochód... Co potem?

- Auto podjeżdżało wprost pod tylne wyjście. Kierowca pędem wracał do budynku i wystukiwał na drzwiach wcześniej ustalony sygnał. Koleś siedzący wewnątrz zgarniał torby z pieniędzmi, odblokowywał drzwi i w ciągu pięciu sekund siedział z kasą w samochodzie i jechał do banku.

- Czy co noc zmieniał pan sygnał? - Webster nie dawał za wygraną.

- Oczywiście, do jasnej cholery! Sam go wymyślałem i do ostatniej chwili nikt nie miał najmniejszego pojęcia, jaki będzie. Jeśli koleś siedzący w środku słyszał właściwy rytm, otwierał drzwi; jeśli nie, przyciskał guzik, który uruchamiał cały system alarmowy. Dzisiejszej nocy obowiązywał następujący kod.

Baskin wystukał na blacie biurka krótką sekwencję szybko następujących po sobie uderzeń.

- Jeśli o mnie chodzi, to nauczyłbym się tego w jednej chwili - odparł Frost, najwyraźniej bardziej zainteresowany fotkami nagich ślicznotek niż jakimkolwiek rabunkiem.

- Wiesz, Harry, ten szyfr faktycznie jest bezpieczny w obsłudze. Absolutnie go nie zmieniaj.

Baskin wzniosł oczy ku niebu.

- Panie Frost, pańskie wyrafinowane poczucie humoru rozbawia mnie do łez. No cóż, umówmy się, że dzisiejszy szyfr nie był aż tak prosty, zgoda? Croll zamknął się w środku z ponad pięcioma tysiącami funtów, a jego kumpel, Harris, wyszedł przyprowadzić samochód. I wiecie co? Nagle okazuje się, że jest pilny telefon do pana Harrisa ze szpitala w Denton. Z oddziału intensywnej terapii... Sprawa życia i śmierci. Więc te zakute łby z foyer wzywają go do telefonu. Harris idzie tam, podnosi słuchawkę, a jakaś kurwa mówi mu: „Proszę minutkę poczekać, zaraz poproszę do telefonu kardiologa”. A tak się składa, że jego staruszka faktycznie ma słabiutką pikawkę, więc Harris gładko przetyka tę nowinę i jak ostatni dureń czeka.

- Kto rozmawiał z nim przez telefon? - zainteresował się Frost. - Kobieta czy mężczyzna?

- Kobieta, przypuszczalnie uważał, że to pielęgniarka, cholerna dziwka! W każdym razie ten idiota, ten skończony kretyn, ten koński wypierdek, czeka diabli wiedzą ile czasu, aż ten skurwiol kardiolog podejdzie do telefonu. Po sześciu minutach ogłuszającej ciszy dociera do jego ptasiego mózdzku, że być może ktoś próbuje wystrychnąć go na dudka. Odkłada

sluchawkę i wybiera numer do domu swojej staruszki... A ona odbiera telefon, rześka i radosna, i zdrowa jak nigdy! I wtedy on mało nie dostaje zawału. Pędem biegnie tutaj, wystukuje na drzwiach szyfr... I nic. Cisza. Próbuje jeszcze raz. Dalej nic. Wreszcie zbiera się na odwagę, żeby przyjść do mnie i o wszystkim opowiedzieć. Razem z chłopcami biegniemy do tylnego wyjścia. Po prawie dziesięciu minutach walenia młotem kowalskim i siekierą wreszcie udało nam się wyrąbać przejście, i co? Niespodzianka, niespodzianka! Forsa rozplynęła się w powietrzu, zapomniany przez wszystkich Croll leży na podłodze z wyrazem zadziwienia na tej swojej głupiej mordzie, a z rozbitego łba cieknie mu krew. Zaraz potem rozboleła go noga, bo dostał ode mnie solidnego kopa.

Frost wsadził papierosa do ust i potarł zapałkę o blat biurka.

- Więc co tu się stało? Jak to możliwe, że zawiódł absolutnie bezpieczny szyfr?

Baskin wpatrzył się w wierzch blatu i zaślinionym paluchem spróbował zetrzeć ślad po zapałce Frosta.

- To pan ma mi to wyjaśnić, inspektorze. Karetka zabrała tego idiotę do szpitala, zanim udało mi się cokolwiek z niego wyciągnąć.

Wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę i dalej tarł ślad na blacie biurka.

- Wie pan, do jasnej cholery, że to nie zejdzie?!

Frost wypuścił w tamtym kierunku potężny kłęb dymu, który zasłonił zadrapanie.

- Mówiłeś, że jak on się nazywał?

- Croll... Tom Croll. - Baskin od razu zauważył, że inspektorowi wyraźnie drgnęła powieka. - Tylko niech mi pan nie mówi, że on figuruje w waszej kartotece! Ze zatrudniłem tu do pilnowania moich pieniędzy jakiegoś byłego skazańca! Jeśli tak, to przysięgam, że mu nogi z dupy powyrywam!

- Harry, żyj i pozwól żyć innym. - Frost starał się ułagodzić jego gniew. - Jeśli on nie miał nic przeciwko temu, że pracuje dla kanciarza, to czemu ty miałbyś się wzbraniać się przed zatrudnianiem kogoś podobnego do siebie? Tommy Croll odsiedział ładny kawałek czasu, ale tylko za jakieś drobne wykroczenia. Brakuje mu jaj, żeby zdobyć się na jakiś większy wyczyn, jak na przykład okradanie własnego szefa. A gdzie jest drugi strażnik, Harris? Ten, który odebrał telefon?

Baskin nagle z wielkim zainteresowaniem zaczął obserwować swoje zapinki do mankietów, które w świetle lampy lśniły złotym blaskiem.

- On... eee... On miał drobny wypadek... Eee... Wpadł na drzwi... Trochę rozbił sobie nos, no i może podbił ślepią... Wysłałem go do domu, żeby poleżał i wrócił do zdrowia.

- Harry, jesteś okropnym pracodawcą - oznajmił Frost bez ogródek. - Mam nadzieję, że Harris pozwie cię za to do sądu.

- Jaka dokładnie suma została skradziona? - wtrącił się Webster, bo przyszło mu do głowy, że Frost wciąż zadaje mnóstwo pytań, ale nie poruszył podstawowych kwestii.

- Pięć tysięcy sto trzydzieści dwa funty - wyrecytował Baskin. - To jeden z naszych gorszych wieczorów. Przy końcu tygodnia nieraz zbliżamy się do dwudziestu patyków.

Webster zanotował te szczegóły.

- O której godzinie doszło do napadu?

- Jakies pięć po jedenastej - niedbale odpowiedział Baskin.

Frost, który wciąż nie mógł oderwać oczu od uroczych piersi i zgrabnych pup panienek wiszących na ścianie, obrócił się na pięcie.

- Pięć po jedenastej?! - wykrzyknął z niedowierzaniem. - To przecież ponad cztery godziny temu!

Baskin rozłożył ręce.

- No i co z tego? Początkowo w ogóle nie zamierzałem wciągać do tego policji, ale mój niezwykle drogi prawnik przekonał mnie, że jeśli doszło do popełnienia przestępstwa, to nie mam wyboru. Pańska obecność tutaj ma służyć jedynie dopełnieniu formalności, żeby zadowolić ubezpieczające nas firmy. Co to jest dla mnie jakieś parszywe pięć tysięcy? Tyle co nic. Mogę łatwo przeboleć tę stratę, ale nie mogę zapomnieć o upokorzeniu. To, że ktoś wyciągnął mi z portfela trochę pieniędzy, to jeszcze małe piwo, ale jeśli ktoś kradnie mi dobre imię, zasługuje, żeby połamać mu nogi. Sam rozprawię się z tym skurwielem. Niech pan tylko zapisze szczegóły sprawy, pójdzie do baru i zamówi sobie drinka na koszt firmy, a potem pojedzie do domu i o wszystkim zapomni. Czarną robotę proszę zostawić mnie.

Ale Frost pokręcił głową.

- Wybacz, Harry, ale od czasu do czasu sami lubimy przywalić aresztowanym. To jedna z nielicznych przyjemności, jaka nam jeszcze została. W co były zapakowane te twoje pieniądze?

W kącie stała czarna dyplomatka z włókna szklanego. Baskin podniósł ją wysoko i pokazał detektywom.

- To były dwie takie walizeczki. - Wyciągnął rękę, żeby Frost mógł z bliska obejrzeć dyplomatkę, ale Frosta już tam nie było. - Gdzie się podział ten stary dureń?

- Stary dureń jest tutaj - odezwał się spod biurka głos inspektora. Frost na klęczkach niemal tarł nosem jedną z fotografii. - Po prostu podziwiam twoją kolekcję, Harry.

Baskin nawet nie próbował ukrywać pogardy.

- Jeśli nieprzyzwoite zdjęcia tak pana podniecają, inspektorze, to pewnie będę mógł znaleźć jeszcze dla pana kilka innych. Ale może najpierw zechciałby się pan skoncentrować na naszej sprawie?

Nie odrywając wzroku od zdjęcia roznegliżowanej panienki, Frost zapytał, czy w czasie gdy zdarzył się rabunek, ktoś zauważył cokolwiek odbiegającego od normy.

- Psiakrew, to przecież jasne, że nikt niczego nie widział. Jakiś skurwiel znika z moimi pięcioma tysiącami, a nikt nie zwraca na to najmniejszej uwagi!

Frost nagle stracił zainteresowanie dla sprawy. Zerwał jedną z fotografii ze ściany i podszedł z nią bliżej światła.

Ten kretyn zaczyna dzieciinnieć na starość, pomyślał z pogardą Webster. Najlepiej będzie, jeśli sam zajmę się dochodzeniem. Otworzył drzwi i przeszedł krótką drogę dzielącą go od tylnego wyjścia. Po kilku krokach znalazł się na parkingu, gdzie nocny wiatr cisnął mu prosto w twarz parę garści lodowatego deszczu. Mimo późnej pory wciąż stało tu kilka aut. O jedenastej zero pięć, kiedy kradziono pieniądze, cały obszar był pewnie zatłoczony wjeżdżającymi i wyjeżdżającymi samochodami gości. Człowiek, który szedł w stronę jednego z wozów z dwiema dyplomatkami z włókna szklanego, być może ukrytymi w fałdach płaszcza przeciwdeszczowego, z pewnością nie przyciągnął niczyjej uwagi.

Cofnął się do środka budynku, żeby uciec przed nawałnicą, i wpadł na Harry'ego Baskina, który stał w progu, ściskając w zębach olbrzymie cygaro.

- Zostawiłem twojego inspektora, żeby dalej ślinił się na widok tej kurwy. Przypuszczam, że biedak nie miał kobiety od czasu, gdy umarła jego żona, i to powoli zaczyna mu się rzucać na mózg.

Odepchnął na bok Webstera, żeby popatrzeć na samochód, który właśnie skręcił z głównej drogi i rozchlapując na wszystkie strony kałuże, pędził na ukos przez parking.

- Kto to jest, do wszystkich diabłów?

Nowym samochodem okazał się ford escort, jeden z wozów patrolowych. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn i z pochylonymi głowami biegło w kierunku głównego wejścia. Kiedy mijali lampę, Webster poznał, co to za jedni. Inspektor Allen i jego uroczy zastępca, sierżant Ingram. Chyłkiem wycofał się do biura, żeby ostrzec Frosta.

Inspektor siedział na rogu biurka i sprawiał wrażenie całkiem zadowolonego z siebie. Na wiadomość o przybyciu Allena zareagował chrząknięciem, ale kiedy do biura wrócił Baskin, porwał z biurka fotografie striptizerki i spytał właściciela klubu, czy zdjęcie było retuszowane. Baskin zmarszczył brwi.

- Co pan ma na myśli?

- Ta dama jest pozbawiona owłosienia tam, gdzie można by się spodziewać obecności włosów łonowych.

Baskin odebrał od niego fotografię i trzymał ją na odległość wyciągniętej ręki.

- Czy pan o niczym nie ma pojęcia? Striptizerki muszą się nieco upiększyć, zanim wyjdą na scenę pokazywać się publiczności. Nagie ludzkie ciało wygląda dość odpychająco, jeśli zostawić je tak, jak wygląda w naturze, jak pan zapewne wie.

Frost upuścił na podłogę niedopałek papierosa i stanął na nim całym ciężarem.

- Powiedział pan wcześniej, że jedna ze striptizerek nie zgłosiła się dziś do pracy?

- Zgadza się. Paula Grey. Występuje w kostiumie uczennicy.

Frost odwrócił się do Webstera z miną artysty, który właśnie zakończył występ na scenie i teraz oczekuje na zasłużone brawa, a Webster okazał się na tyle uczciwy, żeby go docenić. Ten stary dureń wcale nie był tak głupi, za jakiego chciał uchodzić.

- Paula Grey występuje jako uczennica - ciągnął Baskin. - Dzięki temu te lubieżne stare kozły na widowni czują dreszczyk podniecenia na myśl, że obserwują młodą, soczystą dziewczynkę, w dodatku nieletnią, która dla nich się rozbiera. Szczerze mówiąc, podczas jej show musimy przygaszać światła, żeby nikt nie zauważył, ile naprawdę ta starucha ma lat... Ostatecznie w tym biznesie nie chodzi o to, żeby odstraszać pszczoły od miodu.

Nagle wpadła mu do głowy jakaś nieoczekiwana myśl.

- Hej, chyba nie sugeruje pan, że ona miała coś wspólnego z tym rabunkiem, co?! - zawołał po chwili milczenia, a potem już trzymał się tego tematu. - Chociaż... Niech pan zaczeka. To w zasadzie ma sens. Powinienem kapnąć się że coś nie gra, jak tylko nie zjawiała się na swoim numerze. Wiedziała, jak u nas to wszystko wygląda... To ona mogła udawać tę pielęgniarkę przy telefonie!

- Nie, nie mogła - zdecydowanie odparł Frost. - W czasie gdy pana okradano, ona leżała bez przytomności w lesie, a nasz słynny gwałcieł znany jako „Diabeł w kapturze” upiększał jej buźkę swym ciężkim buciorem.

Inspektor pokrótce opowiedział mu, co się wydarzyło wczorajszego wieczora, a Baskin słuchał, od czasu do czasu kręcąc głową.

- Ale kto przy zdrowych zmysłach chciałby gwałcić Paulę, inspektorze? Może ją pan mieć w każdej chwili za cenę paczki fajek, a jeśli przypadkiem nie będzie pan miał przy sobie kasy, to ona panu pożyczy.

Podsłoczył z irytacją, bo w tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wtargnął Allen z Ingramem.

- Co jest, do diabła?! To prywatne biuro! Wynoście się, i to już!

Allen zupełnie zignorował te wrzaski i ponad ramieniem Baskina wpatrzył się w postać stojącą przy biurku.

- Co tutaj robisz, Frost? Uprzedzałem cię przecież, że to moja sprawa!

Baskin spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Psiakrew, chyba nie zamierzacie urządzać mi tutaj bijatyki, co? Znajdźcie tylko tego kolesia, który mnie obrabował, a potem możecie podzielić się pieniędzmi.

- Obrabował? Ciebie? - wykrzyknął Allen. Usta mu drżały, kiedy na siłę próbował zdusić uśmiech. - O rany, co za tragedia! Na ile cię skubnęli, Baskin? Mam nadzieję, że nie chodzi o jakąś znaczną sumę, co?

Zaniósł się bezgłośnym śmiechem, a Ingram posłusznie poszedł w ślady swego mistrza.

- Już przerobiłem wszystkie bzdety z tym błaznem - parsknął Baskin, wskazując podbródkiem Frosta. - Jeśli nie przyjechał pan tutaj w sprawie moich pieniędzy, to o co właściwie chodzi, do wszystkich diabłów?

Allen skrzyżował ramiona i z zadowoloną z siebie miną zaczął kołysać się na piętach. Zagryzał wargi, żeby powstrzymać się od chichotu. Z jakąż rozkoszą poinformuje Frosta, że dziewczynka, którą wziął za piętnastoletniego dzieciaka, w rzeczywistości była starzejącą się prostytutką z niezłym przebiegiem. Jakim trzeba być idiotą, żeby popełnić taką pomyłkę?

- Panie Baskin, czy zna pan niejaką Paulę Grey? Zanim jednak Baskin zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

Frost jak na złość wtrącił swoje trzy grosze.

- Paula Grey? Cholera, skądś znam to nazwisko! - Z udawanym skupieniem popukał się w czoło, a potem triumfalnie pstryknął palcami. - Mam! Paula Grey to ta striptizerka występująca w szkolnym mundurku! Pracuje u Harry'ego. To właśnie ją napadnięto dziś wieczorem w Denton Woods. Wiedziałeś o tym, Allen?

Allen był zupełnie zbity z tropu. Nawet przestał się kołysać.

- Cholera jasna, oczywiście, że wiedziałem. Właśnie przed chwilą złożyła zeznania. Ale skąd ty wiedziałeś?

Frost skromnie wzruszył ramionami.

- Och, wystarczyła odrobina dedukcji.

- Czy to prywatna rozmowa, czy można się przyłączyć? - z irytacją spytał Baskin.

Allen natychmiast skoncentrował uwagę na właścicielu klubu.

- Pańska pracownica, Paula Grey, została dziś w nocy napadnięta i bestialsko pobita. Powiedziała nam, że zagroził jej pan zwolnieniem z pracy, gdyby kiedykolwiek spóźniła się na swój występ.

- Tak było - potwierdził Baskin.

- Dzisiaj przypadkiem zasnęła, więc żeby zaoszczędzić trochę czasu, już w mieszkaniu włożyła sceniczny kostium i pobiegła skrótem przez las - kontynuował Allen ponurym tonem.
- To właśnie tam doszło do napadu. Jakiś skurwysyn skoczył na nią, zarzucił jej na głowę szmatę, a potem dusił tak długo, aż straciła przytomność.

Baskin wyjął z ust cygaro i strząsnął na podłogę kropelkę śliny, która wisiała przy ustniku.

- Jeśli facet liczył na jakąś ładną, młodą laseczkę, to musiał nieźle się rozczarować, kiedy zdjął tę szmatę z twarzy Pauli. Pewnie biedaczka będzie musiała w przyszłym miesiącu wyciągnąć wszystkie pieniądze, jakie odłożyła na emeryturę.

- Wiesz co, Harry? Masz serce równie wielkie i gorące jak piec krematoryjny w naszym szpitalu - zauważył Frost.

- On ma rację - powiedział Ingram i wysunął się na środek pokoju. - Naszym zdaniem właśnie dlatego stłukł ją, zamiast zgwałcić. Podniecają go tylko młode i niewinne panienki, a Paula najwyraźniej budziła w nim odrazę.

Zły błysk w oku Allena ostrzegł Ingrama, że drogo przyjdzie mu zapłacić za podkradanie pomysłów przełożonego.

Webster pomyślał, że warto wykorzystać okazję i spróbować wkraść się w łaski Allena. Być może dzięki temu uda mu się załatwić przeniesienie spod komendy Frosta do o niebo lepszego zespołu.

- Panie inspektorze, jak się udało przeszukiwanie lasu? - zapytał przymilnym tonem.

- Przeszukiwanie?! - wrzasnął Allen. - Nic mi nie mów o przeszukiwaniu lasu! To była zwykła farsa! Wątpię, czy chociaż połowa ludzi była trzeźwa. Odwołałem całą akcję aż do jutra rana.

Odwrócił się do Frosta.

- Zarządziłem na dziewiątą rano odprawę. Byłeś na miejscu zdarzenia, kiedy znaleziono ofiarę, więc chcę, żebyś także przyszedł.

- Oczywiście - odpowiedział Frost, zastanawiając się w duchu, czy uda mu się choć na chwilę przyłożyć głowę do poduszki. - Ale od razu uprzedzam, że będę musiał dość szybko wyjść. O dziesiątej mam sekcję.

Oznajmił Baskinowi, że zjawi się tu jutro, kiedy tylko zdobędzie zeznania obu ochroniarzy, po czym skinął na Webstera - który od dłuższej chwili wymieniał z Ingramem nieprzyjazne spojrzenia - że czas się stąd zbierać. Byli już prawie przy drzwiach, kiedy Allen rzucił na pożegnanie:

- Frost, pamiętasz o raporcie ze statystykami przestępstw, który ma być gotowy na jutro rano? Wiesz, że to ostatni moment, jeśli dane w ogóle mają zostać wprowadzone do komputera.

- Oczywiście - odparł Frost, chociaż w głębi duszy wrzeszczał z przerażenia. Pieprzone statystyki! Kto miał teraz czas na takie bzdury? Chciał jak najszybciej się ich pozbyć, a skończyło się na tym, że zupełnie o nich zapomniał. Szybko zamknął drzwi, zanim Allen zdążył przypomnieć sobie o czymś jeszcze.

Idąc na ukos przez parking, ze schyloną głową dla ochrony przed ostro tnącym deszczem, Frost polecił Websterowi, żeby zabrał się do statystyk natychmiast, gdy wrócą na posterunek.

- Oczywiście - odparł mechanicznie Webster. Zdaje się, że dzisiejszego wieczora to słowo było wyjątkowo często używane.

Ale nie dotarli na posterunek. Dyspozytor zawrócił ich do Denton General Hospital, żeby poszukali mężczyzny, który grasował w pobliżu kwater pielęgniarek.

Ridley strasznie przeproszał inspektora.

- Przykro mi, że muszę zwalić na pana tę robotę, ale nie mam nikogo innego.

- Posterunkowy Ridley, mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że przez pana nie zdążę przygotować na czas statystyk przestępstw - oznajmił Frost poważnym tonem. Z całej siły starał się nie dać po sobie poznać, jak ucieszyła go ta wiadomość.

WTOREK, NOCNA ZMIANA (6)

- To było coś okropnego! - zawołała malutka pielęgniarka. - Miał takie czerwone, paskudne oczy... i cały się ślinił!

Ja też bym się ślinił, ślicznotko, gdybym cię zobaczył w stroju pramatki Ewy, pomyślał Frost. Malutka pielęgniarka miała na sobie króciutką koszulę nocną i była strasznie podekscytowana. Jeszcze raz przeżywała całą historię, dzieląc się nią z trzema koleżankami, z których żadna nie miała więcej niż dwadzieścia lat, za to wszystkie były w mniejszym lub większym stopniu roznegliżowane.

- Zdjęłam z siebie wszystko... Zupełnie wszystko... Wtedy zauważyłam, że zasłony nie są zaciągnięte. Podeszłam do okna, a on stał tuż za nim!

Miał bydlak szczęście, pomyślał z zazdrością Frost. Przez grono słuchaczek przebiegł dreszcz zgrozy.

- Krzyknęłam - kontynuowała. - Wydawało mi się, że on próbuje dostać się do środka, i od razu pomyślałam o tamtej zgwałconej pielęgniарce. Naprawdę, nigdy w życiu tak się nie bałam!

Frost pochylił się do przodu i pogłaskał ciepłą, drżącą rączkę.

- Nie martw się, skarbie. Na pewno go znajdziemy.

Do porządku przywołało go znaczące pokasztywanie siostry Plummer, której występowała w roli eunucha stojącego na straży haremu. Natychmiast wycofał się na przyzwoitą odległość. Siostra Plummer była przełożoną hotelu pielęgniarek - kościstą kobietą po pięćdziesiątce o ostrej, wąskiej twarzy i okrągłych, podejrzliwych oczkach.

- Wygląda dokładnie jak tamta wiedźma, która goliła mnie do operacji - zwierzył się Frost Websterowi. - Chyba wydawało jej się, że męski członek to taka rączka, za którą się łapie, żeby podnieść faceta z łóżka.

Webster wrócił do budynku. Dość pobieżnie przeszukał okolice hotelu.

- Ani żywej duszy - oznajmił. On też wolałby zostać sam z na wpół rozebranymi siostrami i wysłać Frosta, żeby płatał się po ciemku w deszczu i zimnie.

Krótką koszulka nocna malutkiej pielęgniarki zaczęła zsuwać się jej z ramion, a prześliczne, prężne i młode piersi w precudnie kremowym odcieniu wynurzały się cał po calu jak szczyty górskie zza chmur. Frost właśnie rozważał różne warianty dalszego prowadzenia przesłuchania, dzięki czemu mógłby przeciągać je w nieskończoność, kiedy nagle strażniczka haremu wtrąciła się do rozmowy.

- Siostro, proszę poprawić ubranie!

W ten sposób położono kres nadziejom inspektora.

- Sądząc po kierunku, w którym uciekał, musiał się ukryć w głównym budynku szpitala - powiedziała malutka pielęgniarka.

Ciekawe, dlaczego dopiero teraz to mówi, pomyślał ze złością Webster.

- Czy nie powinien pan rozpocząć przeszukania gmachu szpitala? - spytała panna Plummer. - Najwyższy czas, żeby siostry poszły już do łóżek. Jutro czeka je ciężki dzień.

Co prawda siostrzyczki wyglądały na całkiem rozbudzone, ale Frost rozumiał aluzję.

- Przeczyszemy cały teren, tak że nawet mysz się nie prześlizgnie - zapewnił. - Na pewno go znajdziemy, jeśli jeszcze nie zdążył się stąd ewakuować.

Razem z Websterem ruszyli z powrotem w stronę głównego budynku.

- Czy naprawdę chce pan szukać tego gościa? - zaniepokoił się Webster.

Frost uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Chyba nie myślisz, synu, że mówiłem serio, co? Powiedziałem tak tylko po to, żeby uszczęśliwić tę malutką siostrzyczkę. Jestem gotów dać głowę, że facet nie kręci się w pobliżu. Przypuszczalnie jest już ładny kawał drogi stąd.

- Ale nie może być pan tego pewien.

- Zgoda, synu - przyznał Frost. - Jednak szpital to istne mrowisko, więc nawet jeśli on tu jeszcze jest, i tak go nigdy nie znajdziemy. Równie dobrze można nie zawracać sobie głowy szukaniem.

- A jeśli to nasz gwałcieciel? - upierał się Webster, który bezwzględnie postanowił załatwić tę sprawę jak należy.

- Już ma na sumieniu jedną pielęgniarkę.

- Gwałcieciel, chłopcze? - Frost prychnął z pogardą.

- Czy naprawdę sądzisz, że człowiek, który rozbiera do naga młodzieńkę, niewinne dziewczętą i gwałci je w okrutny sposób, zadowoli się patrzeniem przez okno? Ten facet jest zwykłym podglądaczem, któremu wystarczy widok kawałka nagiego, białego uda, i ja wcale mu nie zazdroszczę. Tamta pielęgniarka była po prostu przypadkową ofiarą, jeśli chcesz znać moje zdanie.

O czwartej nad ranem szpital okazał się wyludnionym i ponurym miejscem. Frost powiedział Websterowi, że o tej porze umiera więcej pacjentów niż o jakiegokolwiek innej.

- Jeśli usłyszysz, że jedzie wózek, to są spore szanse, że właśnie przewożą ciało do kostnicy.

Wolno posuwali się przez labirynt korytarzy; mijali oddziały oświetlone jedynie przez lampki na biurkach pielęgniarek nocnej zmiany, przechodzili obok zaniepokojonej rodziny jakiegoś pacjenta, która właśnie rozmawiała z doktorem o azjatyckich rysach. Doktor coś im tłumaczył i ze smutkiem kręcił głową.

- Oho, znowu ktoś umarł - mruknął Frost, kiedy znaleźli się obok pustych butli na tlen i wyładowanych czerwonymi szpitalnymi kocami wózków.

Właśnie zbliżali się do korytarzyka prowadzącego do wyjścia, kiedy nocną ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk jednej z pielęgniarek.

Natychmiast rzucili się w tamtą stronę; Frost z trudem łapał oddech i szybko został daleko z tyłu za swoim pomocnikiem.

- Tam! - wrzasnął Webster.

Jakaś siostra, pobladła z przerażenia, potykając się, pędziła na oślep przed siebie. Na widok biegnących do niej dwóch nieznajomych mężczyzn stanęła jak wryta i otworzyła usta do krzyku. Webster dopadł do niej pierwszy.

- W porządku, siostrzo, jesteśmy z policji! - zawołał, machnąwszy jej przed oczyma legitymacją służbową. - Co się stało?

Zbyt przerażona, by mówić, spoglądała to na Frosta, to na Webstera, i w końcu drżącą ręką wskazała na otwarte w głębi korytarza drzwi do magazynu.

- Tam jest mężczyzna... Weszłam po czyste prześcieradła... On wygląda po prostu strasznie...

- Zaraz to sprawdzimy.

Webster ostrożnie wsunął się w ciemną gardziel składziku i po omacku poszukał włącznika światła. Fluorescencyjne świetlówki z wyraźną niechęcią budziły się do życia o tak nieludzkiej godzinie, ale w końcu zatrzeszczały i bez entuzjazmu zalały wnętrze zimnym, błękitnym blaskiem.

Wewnątrz sporego pomieszczenia pod ścianami stały wysokie drewniane regały, pełne starannie poskładanych koców, zmian pościeli, gumowych podkładów i poduszek. Ani śladu intruza-lubiężnika. Webster przespacerował się dookoła.

- Nikogo tu nie widzę - powiedział do pielęgniarki, która niecierpliwie kręciła się przy wejściu. Teraz, kiedy miała już towarzystwo, jej strach wyraźnie zmalał, więc bez większych oporów zgodziła się wejść do środka. Rozglądała się po wszystkich kątach, żeby im udowodnić, że miała rację i że wcale jej się nie wydawało.

- Naprawdę widziałam tu jakiegoś faceta - twierdziła z uporem.

Frost wszedł za nimi i od razu zmarszczył nos.

- Chryste, jak tu śmierdzi... - mruknął i powoli zaczął oglądać półki. Robił to tak starannie, że nic nie mogło ujść jego uwagi. - Moje czujne oko dostrzegło... Kogoś, kto przyczaił się na samej górze... Tam!

Webster popatrzył w kierunku wskazywanym przez Frosta, ale niczego nie zauważył. Chwycił więc drewniane podpórki i potrząsnął z całej siły, jakby strząsał jabłka z drzewa.

- Wyłaż, draniu... Złaż natychmiast albo ściągnę cię siłą.

Sterna prześcieradeł na górnej półce podniosła się i zsunęła na podłogę. Spod nich wyłonił się brudny, brązowy płaszcz, a potem para zaczerwienionych oczu, która przyglądała się im podejrzliwie. Webster odwrócił się z odrazą, bo fala potwornego smrodu buchnęła mu prosto w twarz.

- Nikomu nie robię krzywdy - zaskomłał nieznajomy.

- Nie robisz krzywdy? - wrzasnął na niego Frost. - A kto zasmrodził cały magazyn?

- Czego tu szukasz? Prochów? - dopytywał się Webster, kiedy starszy mężczyzna - na oko dobrze po sześćdziesiątce - sztywno gramolił się na dół.

Niewysoki, przygarbiony człowieczek miał małe zaczerwienione oczy, głęboko osadzone w twarzy, tłustej od brudu i szarej od dawno niegolonej szczeciny. Wielgachny, ozdobiony siecią czerwonych żyłek nos domagał się pilnie chusteczki, a splątane włosy opadały na sztywny od brudu kołnierz brązowego płaszcza, który został uszyty całe wieki temu, w dodatku na kogoś znacznie większego. Ręce, ozdobione czarnymi i połamanym paznokciami, wyciągnęły się po wypchaną plastikową torbę na zakupy, którą mężczyzna na wszelki wypadek przycisnął do piersi.

Wystarczyło jedno pociągnięcie nosem, żeby Frost go rozpoznał.

- Psiakrew, Wally, czy szpital nie ma dość własnych drobnoustrojów, że przynosisz mu w prezencie swoje?

- Panie Frost, jestem już starym człowiekiem. Szukałem tylko jakiegoś kąta, żeby przytulić na noc skołataną głowę.

Na czubku nosa zalsniła podejrzana kropelka, ale jej właściciel soczyście pociągnął nosem, co na pewien czas oddaliło niebezpieczeństwo.

- I znalazłeś ten kąt na parapecie okna sypialni pielęgniarek?

- Nie miałem pojęcia, że tam ktoś jest... Słowo honoru. Po prostu przypadkiem rzuciłem okiem do środka, a ona w tej samej chwili popatrzyła na mnie...

- To brzmi prawie jak cytaty z *Przeminęło z wiatrem* - zakpił Frost. - No więc, jeśli nie chodziło o podglądanie pielęgniarek, to czego tam szukałeś? I co masz w tej torbie?

Wyciągnął rękę, ale Wally błyskawicznie cofnął się o krok i z całej siły przytulił do siebie torbę. Frost z pewnym trudem wysupłał ją spomiędzy zaciśniętych, lepkich paluchów i zajrzał do środka. Jakieś szmaty, parę kęsów jedzenia i trzy czwarte butelki wina.

- Mam nadzieję, że nie podwędziłeś komuś tych rarytasów - zauważył Frost, odkorkowując butelkę i podejrzliwie wachając jej zawartość. - Czy to alkohol metylowy, czy ten specyfik, w którym marynuje się ludzkie narządy? Czy właśnie po to tu się zakradłeś?

- Przysięgam na grób mojej matki, panie Frost - zajęczał włóczęga. - Nie przyszedłem tutaj, żeby kraść.

Kolejne potężne pociągnięcie nosem zapobiegło upadkowi następnej kropelki, która właśnie zamierzała okazać posłuszeństwo prawu ciężenia Newtona.

- Jestem tylko biednym człowiekiem, który szukał schronienia na tę paskudną noc.

- No cóż, tutaj raczej go nie znajdziesz - powiedział Frost. - Lepiej sam stąd wyjdź, bo inaczej każe cię wykopać.

- Inspektorze, wie pan, że mam już swoje lata. Jeśli wywali mnie pan na ten ziąb, to na pewno zginę.

- Obiecanki cacanki! Czemu więc nie poszedłeś tam, gdzie zwykle nocujesz?

- Bo nie mogłem. Przed wejściem stał policjant.

- Policjant? - zapytał Frost. - Czekaj... A gdzie ty sypiasz, jeśli wolno wiedzieć?

- W publicznej toalecie przy Market Square. Ben Cornish i ja kimamy sobie w jednej z kabin.

- Już więcej nie będziesz z nim kimał - poinformował go Frost i jak najdelikatniej przekazał smutną nowinę.

Włóczęga chyba naprawdę przejął się śmiercią kolegi, bo wsparł się na drewnianym stelażu, jakby nagle zabrakło mu sił.

- Byliśmy dobrymi kumplami, inspektorze, on i ja. Ben nie jadał jak należy. Był ćpunem. Widziałem, jak wstrzykiwał coś sobie taką zardzewiałą igłą. Powtarzałem w kółko, że w końcu go to zabije, ale nie chciał słuchać.

Przez moment milczał, jakby nasza go jakaś niewesoła refleksja, a potem dodał już nieco innym tonem:

- Czy znalazł pan przy nim jakąś forszę? Bo widzi pan, Ben miał zamiar dać mi trochę kasy na jedzenie. Obiecał.

- Przykro mi, Wally. Nie miał przy sobie złamanego pensa. Prawdę mówiąc, przepuścił wszystko, co miał - odparł Frost. - A teraz wynoś się.

Włóczęga jeszcze bardziej posmutniał.

- Powinien pan mnie aresztować, panie Frost... Wsadzić mnie do celi choć na tę jedną noc. Ja widziałem tamtą pielęgniarkę... Patrzyłem na jej ciało. Miałem ochotę ją zerznąć. Obudziła we mnie pożądliwe myśli. Naprawdę zasłużyłem, żeby mnie przymknąć!

- Nie powinieneś być stamtąd uciekać, Wally. Ta mała powiedziała, że wpadłeś jej w oko... A teraz już zmykaj, bo inaczej wylecisz stąd na kopach.

- Inspektorze, proszę! Niech pan tylko popatrzy, jaka pogoda na dworze! Jeśli mnie pan wyrzuci, podpisze pan mój wyrok śmierci!

Dramatycznym gestem wskazał na okno. Jak na zawołanie wiatr sieknął po szybie lodowatym deszczem. Wbrew zdrowemu rozsądkowi Frost ustąpił.

- No dobrze, Wally. Idź na posterunek i powiedz sierżantowi Wellsowi, że kazałem cię przymknąć na tę noc. Powiedz, że według mnie jesteś członkiem międzynarodowego gangu zajmującego się przemytem diamentów.

Wally wymamrotał jakieś słowa podziękowania i uśmiechnął się z wdzięcznością, aż zatrzeszczała zakrzepła wokół ust warstwa brudu. Patrzyli, jak noga za nogą wlecze się korytarzem w stronę wyjścia, przyciskając do siebie plastikową torbę, w której mieścił się cały jego dobytek. Nagle przed oczyma Frosta pojawiła się martwa twarz Bena Cornisha, a jego nieżywe oczy mówiły wciąż to samo: „Ty pieprzony durniu... Coś przeoczyłeś”. Dopiero później doszedł do wniosku, że Wally podał mu na tacy gotową odpowiedź, ale wtedy tego nie dostrzegł.

Nagle zorientował się, że Webster coś do niego mówi.

- O co chodzi, synu?

W odpowiedzi posterunkowy podstawił mu pod nos swój zegarek cyfrowy.

- Dwadzieścia po czwartej. Moim zdaniem powinniśmy wracać na posterunek.

Frost skrzywił się na samo wspomnienie. Powrót na posterunek oznaczał żmudną pracę przy przygotowywaniu tych pieprzonych statystyk przestępstw i jeszcze gorsze zawracanie głowy przy raportach z wyliczeniem nadgodzin oraz całe góry innej papierkowej roboty, którą pilnie należało się zająć... Zaczął intensywnie myśleć. Z pewnością można było jeszcze coś wykombinować, zamiast jak para baranów wracać na posterunek. Nagle przypomniał sobie o Tommym Crollu, ochroniarzu z „The Coconut Grove”. Chyba można zorganizować mu przesłuchanie w szpitalu? Może dzięki temu uda się zmarnować kolejną godzinę.

- Szukam faceta o nazwisku Croll - zwrócił się do pielęgniarki, która właśnie wyciągała z półki kilka koców.

- Trafił do was dziś w nocy z urazem głowy.

- Ma pan szczęście, inspektorze. - Pielęgniarka uśmiechnęła się. - Leży na moim oddziale. Ale jest bardzo późno...

- dodała, patrząc na swój mikroskopijny zegarek.

- Nie prosiłbym o to, siostrze, gdyby to nie było ważne

- rzekł z powagą. Zresztą czy było coś ważniejszego od uniknięcia ślęczenia nad statystykami przestępstw?

W ślad za nią poszli do niewielkiej salki, gdzie przy biurku oświetlonym jedynie osłoniętą lampką przycupnęła młodziutka uczennica szkoły medycznej. Z niepokojem przyglądała się podwójnemu rzędowi łóżek, na których spali, posapowali boleśnie albo jęczeli

jej pacjenci. Najwyraźniej miała nadzieję, że żaden z nich nie zacznie umierać przed powrotem jej starszej koleżanki.

- Wszystko w porządku - zameldowała z ulgą. Zanim zdążyła cokolwiek dodać, jeden z pacjentów zawołał ją i zaraz zaczął wymiotować krwią.

- Następny kandydat do kostnicy - szepnął Frost do Webstera.

- Pan Croll leży na ostatnim łóżku - rzuciła w biegu pielęgniarka, kiedy razem z uczennicą szkoły medycznej spieszyła do chorego.

Podeszwy butów skrzypiały na wypolerowanej na wysoki połysk posadzce, gdy na palcach skradali się do oddalonego łóżka. Spał na nim mężczyzna o twarzy łasicy, a jego czoło ozdabiał szeroki plaster. Frost odczepił kartę choroby i uważnie ją przestudiował.

- Hmm... Chyba już wypoczął. Obudź go, synu, tylko delikatnie.

Delikatne budzenie w wykonaniu Webstera przypominało trzęsienie ziemi o sile dziesięciu stopni w skali Richtera. Croll prychnął, zagulgotał w półśnie i nagle otworzył oczy. Rzucając naokoło trwożliwe spojrzenia, starał się zidentyfikować mającące w mroku ciemne sylwetki i po omacku szukał lampki nocnej. Gdy tylko światło padło na twarze gości, zamrugał ze zdziwienia.

- Cześć, Tommy - powitał go Frost, wspaniałomyślnie udając niezbyt szczere zaniepokojenie. - Jak się czujesz?

Przyciągnął krzesło do łóżka i usiadł, nie czekając na zaproszenie.

- Inspektor Frost! - Croll sięgnął pod poduszkę i wyłowił stamtąd swój zegarek. - Jest kwadrans po czwartej rano!

- Wiem - zgodził się z nim Frost. - Gdy tylko powiedziano mi, że tu jesteś, rzuciłem wszystko i przybiegłem, żeby zobaczyć, jak się miewasz. Jesteś bohaterem, Tommy. Cholernym bohaterem.

- Bohaterem? - niepewnie powtórzył Croll. Nigdy nie wiedział, czy inspektor kpi, czy mówi serio.

- Mam na myśli to, że walczyłeś jak lew, żeby ocalić pieniądze pana Baskina. Jak tam twoja głowa?

Croll dotknął ostrożnie plastra i skrzywił się.

- Paskudnie, panie Frost... Czuję się tak, jakby w mózg wbijało mi się tysiące rozgrzanych do czerwoności noży.

Frost ze współczuciem pokiwał głową i popatrzył na to, co działo się na sali. Obie pielęgniarki zdołały jakoś uspokoić pacjenta i teraz poprawiały mu łóżko i wygładzały pościel.

- Powiedz nam, Tommy, jak to się stało.

- Nie ma co opowiadać, panie Frost. To wszystko stało się tak nagle.

- Dokładnie to samo mówią wszystkie moje przyjaciółki, Tommy.

Croll zmusił się do uśmiechu. W obecności Frosta zawsze czuł się niepewnie. Poza tym bardzo chciał wiedzieć, kim jest ten brodaty osobnik, który kręcił się za plecami inspektora. Miał tak ponurą minę, że zdaniem Crolla mógł być właścicielem zakładu pogrzebowego.

- Więc było tak... - zaczął. - Bert jak zwykle poszedł, żeby przyprzewieźć samochód, a ja zamknąłem się w środku. Mniej więcej po pięciu minutach usłyszałem sygnał. Naturalnie pomyślałem, że to Bert.

- Naturalnie - zgodził się Frost.

- Odblokowałem i otworzyłem na oścież drzwi, żeby mógł wejść, i nagle łup! Ktoś walnął mnie mocno w głowę gdzieś koło ucha.

- Widziałeś tego gościa, który cię uderzył? - zapytał ten z brodą.

- Nie... Ale cholernie dobrze go poczułem - odparł Croll, delikatnie dotykając plastra.

- Od razu straciłem przytomność. Następne, co pamiętam, to to, że jakimś cudem znalazłem się tutaj i głowa pękała mi z bólu. Potrafię znosić ból, panie Frost, ale tym razem miałem wrażenie, że czaszka rozłupała mi się na dwoje.

- Wiesz, widziałem raz faceta z rozłupaną czaszką - powiedział Frost. - Autobus przejechał mu dokładnie po głowie - piętrus, pełen pasażerów. W dodatku na dolnym pokładzie osiem osób stało, bo nie było miejsc siedzących. Przez moment słychać było, jak coś chrzęści i chlupocze, a ułamek sekundy później krew i mózg trysnęły we wszystkich kierunkach. Oczy dosłownie wyskoczyły mu z oczodołów. Później znaleźliśmy je w rynsztoku. Muszę przyznać, że tamtego wieczora nie bardzo miałem ochotę na kolację.

Na samo wspomnienie tej chwili na ustach inspektora pojawił się uśmiech, ale zaraz zgasł.

- Lepiej powiedz, co zrobiłeś z pieniędzmi, Tommy? Croll wciąż jeszcze drżał, wyobrażając sobie nieszczęśnika z takim wdziękiem opisanego przez Frosta. Nagły przeskok od tematu do tematu całkiem wytrącił go z równowagi.

- Z pieniędzmi? Z jakimi pieniędzmi, panie Frost?

- Mówimy o pięciu tysiącach stu trzydziestu dwóch funtach, które ty i Bert Harris podwędziliście swojemu pracodawcy - dodał ten z brodą.

- Niech mnie powiesz, jeśli kłamię, panie Frost - zaczął Croll, kładąc rękę na sercu, ale Frost zdążył mu przerwać, zanim zaczął na dobre kusić los.

- To przecież jasne, że zrobił to ktoś, kto wiedział, jakie zwyczaje panują w klubie. Ktokolwiek to był, musiał znać zarządzenia i hasło na dzisiejszą noc. Wiemy, że hasło znały tylko trzy osoby: pan Baskin, Bert i ty...

Głowa Crolla z powrotem osunęła się na poduszki. Popatrzył z urazą na inspektora, chcąc pokazać, jak bardzo czuje się dotknięty.

- To okrutne, co pan mówi, panie Frost. Proszę na mnie spojrzeć - zostałem ranny podczas wykonywania obowiązków służbowych. Mało brakowało, a rozwalono by mi głowę na kawałki.

- A jednak nikt jej nie rozwalił - tłumaczył cierpliwie Frost. - Jeśli twój mózg obryzgałby podłogę w biurze pana Baskina i dodatkowo wymalował szlaczek na ścianach do połowy ich wysokości, to cóż, wówczas pewnie uwierzyłbym ci na słowo, ale tak...

Zanim Croll zorientował się, co się święci, Frost błyskawicznie wyciągnął rękę i zerwał mu plaster z czoła. Croll wrzasnął, zakrywając ranę otwartą dłonią, ale było już za późno. Frost zdążył ją zobaczyć.

- Tommy, szkoda plastra na to zadrapanie... Widziałem ukąszenia zadane w miłosnym szale przez bezzębne kobiety, po których pozostawały głębsze i bardziej krwawe ślady.

- Bo ja doznałem głównie obrażeń wewnętrznych, panie Frost! - Croll przyłożył palec do czoła, żeby sprawdzić, czy zostanie na nim krwawy ślad. - Takich rzeczy nie widać gołym okiem.

Na sali zapanowało poruszenie. Doktor Azjata, który najwyraźniej był dziś jedynym dyżurującym lekarzem w całym szpitalu, wpadł jak burza i od razu podszedł do łóżka umierającego pacjenta. Frost dostrzegł, że cały przód fartucha młodej pielęgniarki był czerwony od krwi. Druga z sióstr przygotowywała właśnie aparat do transfuzji. Na migi pokazała inspektorowi, że jego obecność przeszkadza im w pracy.

- Jutro pogadamy sobie na ten temat, Tommy - powiedział, odsuwając się od łóżka. Croll usiadł prosto.

- Panie Frost, ja tego nie zrobiłem. Przysięgam...

- Wierzę ci. - Frost się rozpromienił. - Jeszcze powiedz mi, gdzie ukryłeś pieniądze, a uwierzę ci bez zastrzeżeń.

Na głównym korytarzu musieli przycisnąć się plecami do ściany, żeby przepuścić sanitariusza pchającego wózek z pacjentem. Pacjent, którego głowa napuchnięta była od bandaży uformowanych w zgrabny turban, był niemal tak samo biały jak one i wyglądał na stuletniego staruszka.

Był to starszy mężczyzna poszkodowany w wypadku, którego sprawca uciekł z miejsca zdarzenia.

*

O godzinie czwartej czterdzieści pięć rano posterunek policji w Denton prezentował się równie atrakcyjnie jak mauzoleum. Kwiaty, które dostarczono na polecenie Mulletta, tylko potęgowały ten żałobny nastrój, a wyludnione korytarze rozbrzmiewały nieprzyjemnym echem. Całą załogę stanowiły jedynie dwie osoby: sierżant Wells i posterunkowy Ridley, pełniący obowiązki dyspozytora. Wells, skulony przy biurku w recepcji, gapił się w komputer takim wzrokiem, jakim spogląda się na tykającą bombę.

Tablica rejestracyjna auta, którego kierowca zbiegł z miejsca wypadku, została przekazana do sprawdzenia. Dane wprowadzono do ogromnego banku pamięci w centralnym systemie komputerowym w Swansea i właśnie teraz na monitorze pojawił się wynik wyszukiwania.

Rejestracja: ULU 63A

Kategoria podatkowa: Prywatny/ Do przewozu osób

Marka/ Model: Jaguar 3.4

Kolor: niebieski

Właściciel: Roger Charles Miller

Adres: 43 Halley House, Denton

Komputer zapomniał dodać, że nazwisko Rogera Millera oznaczało kłopoty. Poważne kłopoty. Smarkacz był synem sir Charlesa Millera, członka parlamentu z okręgu wyborczego Denton, a sir Charles sprawiał wszystkim jeszcze większe kłopoty niż jego synalek. Miał pieniądze i wpływy; do niego należało wiele różnorodnych przedsiębiorstw, od firm zajmujących się ochroną mienia, przez wydawnictwa prasowe aż do komercyjnych stacji radiowych. W należących do siebie gazetach stale krytykował pracę policji, przez co jego szacowna osoba była przysłowiowym wrzodem na tyłku szefa policji. I właśnie syn sir Charlesa, Roger, dwudziestoletni rozpuszczony bachor, trzepnął samochodem siedemdziesięcioośmioletniego Alberta Hickama, który teraz walczył ze śmiercią.

Wells wykręcił szyję, żeby sprawdzić, czy Ridleyowi udało się nawiązać kontakt z detektywem inspektorem Frostem.

- Dyspozytor do inspektora Frosta. Proszę się zameldować.

Ridley powtarzał w kółko tych kilka słów, co chwila pstrykając przełącznikiem, ale w odpowiedzi słyszał tylko szum i trzaski.

- Wciąż nikt się nie zgłasza, sierżancie.

- Cholera! - warknął Wells, sięgając po słuchawkę. Zaczął wykręcać numer domowy telefonu Mulletta, ale zmienił zamiar i cisnął słuchawkę na widełki. - Jak myślisz, czy powinienem dzwonić do komendanta?

- Sam musisz o tym zdecydować, sierzancie - brzmiała dyplomatyczna odpowiedź Ridleya. - Ostatecznie to ty robisz dziś za szefa.

- Wcale nie ja, do jasnej cholery! To Frost ma dziś dyżur! Ostatecznie to on jest oficerem.

Znów wyciągnął rękę w stronę telefonu i znów się zawahał. Przez Frosta znalazł się w sytuacji, z której właściwie nie było dobrego wyjścia. Jeśli obudzi Mulletta, ryzykuje, że zostanie skarcony za przeszkadzanie mu w odpoczynku i za brak inicjatywy. A jeśli nie zadzwoni, Mullett może powiedzieć: „Gdzie pański zdrowy rozsądek, sierzancie? Jeśli w sprawę jest zamieszany ktoś tak ważny jak sir Charles, to chyba wystarczy odrobinę pomyśleć, żeby wiedzieć, że należy mnie poinformować”. W każdym wypadku komisarz miał gotową wymówkę, żeby znowu odrzucić podanie sierżanta o awans.

Wells miał wrażenie, że za chwilę się załamie i zacznie płakać nad niesprawiedliwością losu, kiedy nagle jego uwagę przyciągnął jakiś nad wyraz nieprzyjemny zapach. Powoli odwrócił głowę, żeby zlokalizować źródło smrodu.

Jakaś postać w znoszonym brązowym płaszczu powoli wlokła się w jego stronę, zaciskając dłonie na krawędzi plastikowej torby na zakupy.

- Przyszedłem do aresztu - powiedział Wally Peters. - Pan Frost kazał mi się zgłosić.

Zanim Wells zdążył znaleźć odpowiednie słowa wyrażające zdziwienie, z dyspozytorni dobiegł podekscytowany okrzyk Ridleya.

- Sierzancie, przyjechał pan Frost!

Wells okręcił się na krześle akurat na czas, by zobaczyć, jak Frost z Websterem przepychają się przez drzwi.

- Jestem, panie Frost - oznajmił z dumą włóczęga.

- Wiem - odparł Frost. - Wyczuliśmy cię już na początku Bath Hill. Muszę pędzić - dorzucił i pomknął w głąb korytarza.

- Chwileczkę, inspektorze! - zawołał Wells i pobiegł za nim.

W biurze Frosta paliły się wszystkie światła. Wells z ulgą pospieszył w tamtą stronę. Otworzył drzwi, ale w środku był tylko Webster, który marszcząc brwi, przyglądał się leżącej na biurku Frosta tablicy rejestracyjnej.

- O co chodzi, sierzancie? - spytał, biorąc ją do ręki. Wells machnął ze zniecierpliwieniem.

- Nie twój interes. Gdzie jest inspektor? Mamy tu podbramkową sytuację.

Webster odłożył tablicę i usiadł przy swoim biurku.

- Mówił coś na temat wydalania gazów.

- Wydalania gazów? - Wells ciężko usiadł na krześle Frosta. - Czy on sobie jaja robi, do jasnej cholery? Facet podobno jest inspektorem, więc czemu nie zachowuje się jak na inspektora przystało?

- Mówisz jak nasz ukochany komendant okręgu - zauważył Frost, wtaczając się do środka z tacą, na której pełno było wszelakich dóbr: pasztecików, kanapek, frytek, plasterków smażonej szynki i solonych orzeszków ziemnych. Z wypchanych kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza dochodziło podejrzane brzęczenie.

- No, chłopaki, czas na imprezę - oznajmił i odsunął na bok stos papierów, żeby zrobić miejsce na tacę.

Z kieszeni, które na pozór wydawały się całkiem nieduże, wyciągał puszkę po puszcze, nieskończone zapasy miniaturowych buteleczek z wysokoprocentowymi trunkami, a nawet sporą paczkę drogich cygar.

- Zapraszamy na zabawę, sierżancie - powiedział. Wells szeroko otworzył oczy.

- Gdzieś ty to dostał, Jack?

- W kantynie. Zostało po imprezie.

Wciąż jeszcze wyciągał zapasy, bo alkohol schował także w wewnętrznych kieszeniach marynarki. Z dumą obrzucił spojrzeniem swoją zdobycz.

- Nie zaprosili nas na to zasrane party, więc my nie zaprosimy ich na nasze.

W górnej szufladzie szafy na dokumenty znalazły się trzy lekko wyszczerbione emaliowane kubeczki, które wkrótce wypełniły się siedmioletnią whisky. Jeden z tych kubeczków został wręczony sierżantowi, drugi Websterowi.

- Poczęstujcie się tonikiem i orzeszkami. Niestety, nie mam ani trochę lodu.

Webster ze złością spojrział na swój kubek i zdecydowanie go odsunął.

- Czy usiłuje pan być dowcipny?

Tym razem to Frost zrobił zdziwioną minę. A potem coś mu zaświtało.

- O rany, przepraszam! Ślubowałeś powstrzymać się od spożywania napojów alkoholowych? I pewnie nie zadajesz się z facetami, którzy lubią sobie chlapnąć, mam rację?

Wells zareagował nerwowym chichotem, a mars na twarzy Webstera wyraźnie się pogłębił.

Frost podzielił między siebie i Wellsa zawartość kubka Webstera, a następnie podsunął mu tacę z przekąskami.

- No cóż, synu, przynajmniej poczęstuj się kanapką albo weź parę orzeszków.

Webster tylko pstryknął palcami na znak, że dziękuje.

- Jeśli nie chcesz jeść, to idź i posiedź trochę w recepcji - polecił Wells.

Ledwie na korytarzu ucichł odgłos ciężkich kroków posterunkowego, Wells zręcznie przesiadł się na jego miejsce i w mgnieniu oka zjadł parę plasterków sera i trochę czipsów o smaku młodej cebulki, a następnie splukał to wszystko solidnym łykiem whisky. Czuł się zadowolony i szczęśliwy. Wcale ta dzisiejsza nocna zmiana nie należała do najgorszych. Teraz bez powodzenia usiłował przypomnieć sobie, dlaczego miał taki zły humor, kiedy Frost wrócił na posterunek.

Frost nacisnął przycisk łączący go bezpośrednio z dyspozytornią.

- Posterunkowy Ridley? Jeśli chce pan wziąć udział w dobrej zabawie, to proszę natychmiast się zgłosić do biura inspektora Frosta.

Odłożył słuchawkę i zapalił jedno z drogich cygar.

- I co, Bill, dobrze się bawisz? Jedyne, czego nam teraz brakuje do szczęścia, to marynowanych cebulek i nagich kobiet.

- Nic nie szkodzi, jeśli zabraknie cebulek. - Wells zachichotał, rozpinając kołnierz munduru. Doszedł do wniosku, że w biurze Frosta panuje niesamowity upał. Pomacał kaloryfer, ale ten okazał się całkiem zimny. Starając się rozwikłać tę zagadkę, nagle przypomniał sobie, o czym pragnął rozmawiać z inspektorem.

- Jack, mamy podbramkową sytuację. Wiesz coś o wypadku, którego sprawca nawiał?

- Owszem - przytaknął Frost, wypuszczając w powietrze kółka dymu równie wielkie jak opony samochodowe. - Widzieliśmy w szpitalu tego staruszka. Biedak rzygał krwią.

- Więc on jeszcze żyje?

Frost wyjął z ust cygaro i wepchnął na jego miejsce pełną garść orzeszków.

- Tak ledwie, ledwie. Szczerze mówiąc, bardzo wątpię, czy powinni mu szykować śniadanie.

- Cholera... - mruknął Wells i jednym haustem opróżnił zawartość kubeczka. Jego najgorsze przewidywania okazywały się prawdą. - Jeśli chodzi o tę tablicę rejestracyjną, to już dostaliśmy odpowiedź z bazy danych. Samochód jest własnością Rogera Millera.

Frost powoli odstawił kubek.

- Czy to syn sir Charlesa?

- Tak - odparł Wells płaczącym tonem, z żałością spoglądając w głąb pustego naczynia. - To niebezpieczna sprawa, Jack. Bardzo niebezpieczna. Jeśli popełnimy choćby najdrobniejszy błąd, zostanie z nas mokra plama.

Ostatnie dwa słowa udało mu się wyraźnie wypowiedzieć dopiero za którymś razem.

- Roger Miller... - powtórzył Frost, a w jego oczach pojawił się dziwny błysk. - No cóż, jeśli uda się nam przyskrzynić tego małego drania, ta noc nie będzie całkiem stracona.

Rozległo się delikatne pukanie i do środka nieśmiało zajrzał posterunkowy Ridley.

- Wspominał pan coś o drinku, panie Frost?

- Nie tylko o drinku. - Frost od razu nalał mu poczwórną porcję whisky. - Zapraszamy na imprezę, na prawdziwą uroczystość. Mam zamiar aresztować dzisiejszej nocy pewnego ustosunkowanego dupka. Poczęstuj się kanapkami.

Ridley podziękował i zabrał swojego drinka oraz kanapkę z szynką do dyspozytorni.

- Jak to skończysz, to wróć po więcej! - krzyknął za nim Frost, wgrzyzając się w pasztecik. Po chwili zarówno on, jak i biurko byli zasypani białymi płatkami francuskiego ciasta.

Stojący na biurku telefon wybrał sobie akurat ten moment, żeby zadzwonić.

- Zamknij się! - rozkazał mu Frost. - Nie przeszkadzaj w zabawie.

Ale telefon nie dawał za wygraną. W końcu Frost musiał strząsnąć okruszki jedzenia i podnieść słuchawkę.

- Frost... W porządku, proszę przełączyć... - Wysłuchał w milczeniu. - Dziękuję za wiadomość. Dobrej nocy.

Odłożył słuchawkę na widełki i odwrócił się do Wellsa.

- Dzwonili ze szpitala, Bill. Przed chwilą zmarł człowiek potrącony przez samochód Rogera Millera.

Wells poderwał się na równe nogi.

- Lepiej zadzwoń do Mulletta, Jack. Ta sprawa robi się wybuchowa jak dynamit.

Frost machnął, żeby z powrotem siadał na krześle, a potem napełnił kubek sierżanta.

- Pieprz Mulletta, Bill. Chcę to załatwić po swojemu. Podeszedł do drzwi i krzyknął w głąb korytarza, żeby Webster wracał do biura.

- Wkładaj płaszcz, synu, bo czeka nas mały spacer. Idziemy aresztować kupę gówna o nazwisku Miller.

- Miller? - powtórzył Webster, zdejmując płaszcz z wieszaka. - Czy ma pan na myśli Rogera Millera?

- A co wiesz na jego temat? - dopytywał się Wells.

- Widziałem to nazwisko na biurku Colliera, w związku ze zgłoszeniem kradzieży samochodu. Kiedy wychodził, zostawił większość raportów nieskończonych, jak zapewne pan wie, sierżancie Wells.

Wells nie wiedział. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby cokolwiek sprawdzać.

- Psiakrew, mam tylko dwie ręce. Nie potrafię robić pięciu rzeczy naraz.

Frost odstawił kubek i całą uwagę skupił na osobie Webstera.

- Powtórz wszystko od początku, jasno i wyraźnie. Czy chcesz mi powiedzieć, że na biurku Colliera leży nieukończony raport dotyczący kradzieży samochodu? Że ten cholerny Roger Miller dzwonił dziś wieczorem, żeby zgłosić, że ktoś podwędził mu jaguara?

Webster skinął głową.

- To nie jest moja wina, Jack - zaprotestował Wells bez przekonania. - Nie miałem czasu sprawdzać mu biurka. Allen nie miał prawa zabierać stąd Colliera.

- Nieważne, czyja to wina - mruknął Frost. - O której godzinie dzwonił ten Miller?

Webster wyszedł i po chwili wrócił z raportem w rękę.

- O jedenastej dwadzieścia cztery.

Z piersi Frost wyrwało się westchnienie ulgi. Starszy pan został przejechany o dziesiątej pięćdziesiąt osiem.

- Gówniarz potracił pieszego na pasach, a potem zgłosił kradzież auta. Czy on naprawdę sądzi, że ktoś tutaj nabierze się na te nędzne sztuczki?

- Czy zechce mi pan łaskawie powiedzieć, o co właściwie chodzi? - wtrącił z przekąsem Webster.

Frost podniósł się z krzesła i sięgnął po swój płaszcz przeciwdeszczowy.

- To Roger Miller przejechał tego staruszka, którego widzieliśmy w szpitalu.

- Rozumiem - mruknął Webster.

Okręcając szalik dookoła szyi, Frost krzyknął do Ridleya, żeby skontaktował się przez radio z posterunkowym Shelbym.

- Shelby właśnie przyjechał! - wrzasnął dyspozytor. - Jest w szatni.

Frost popędził korytarzem we wskazanym kierunku. Shelby właśnie upychał coś w swoim schowku i na dźwięk czyichś kroków okręcił się na pięcie.

- Przez pana o mało nie umarłem ze strachu, inspektorze! - zawołał, zatrzasnąwszy szybko drzwiczki i przekręcając klucz.

Hej, pomyślał Frost, co ty znowu kombinujesz, chłopcze? Gdyby miał trochę czasu, na pewno poświęciłby tej sprawie więcej uwagi.

- Mam dla ciebie zadanie, Shelby. Zajrzyj do mojego biura. Zaraz.

Wróciwszy do siebie, zastał Wellsa, który dzielnie walczył ze skutkami trzech wypełnionych po brzegi kubeczków whisky; sierżant powtarzał gromkim głosem, że przede wszystkim należy powiadomić pana Mulletta.

- Pozwól, że najpierw aresztuję gnoja, a potem porozmawiam z Mullettem.

- Panu Mullettowi z pewnością się to nie spodoba.

- Nie sądzę, żebym chodził po tym świecie wyłącznie po to, żeby uszczęśliwić pana Mulletta - odparł Frost. Shelby wszedł tuż za nim i teraz głodnym wzrokiem mierzył drinki i jedzenie stojące na biurku.

- Bierz kanapkę i popij tym - powiedział inspektor, opróżniając swój kubek. Napełnił go whisky i podał posterunkowemu. - Tylko nie sącz. Wypij wszystko jednym haustem, bo zaraz stąd wychodzisz. Facet potrącony w wypadku nie żyje. Czy są jacyś świadkowie, którzy mogliby zidentyfikować kierowcę?

Shelby ugryzł potężny kęs kanapki.

- Nie, panie inspektorze. Wszyscy widzieli jedynie odjeżdżający z rykiem silnika samochód.

- Sprawdziliśmy tablicę rejestracyjną - powiedział mu Frost. - Auto jest własnością Rogera Millera, syna członka parlamentu. Gnojek usiłuje wcisnąć nam ciemnotę, że jego wóz został skradziony i że to wcale nie on siedział za kierownicą, kiedy zdarzył się wypadek.

Wcisnął Shelby'emu do ręki niedokończony raport o kradzieży samochodu.

- Chcę, żebyś sprawdził wszystkie szczegóły, potem sprawdził je jeszcze dwa razy, a następnie jeszcze raz. Zrozumiano? Mamy do czynienia ze szczególnie nieuczciwym łajdakiem. Chcę wyprzedzać go o krok.

- Tak jest, panie inspektorze. - Shelby podniósł kubek w geście imitującym salut.

- Chcę przyszpilić tego skurczybyka, jasne?

- Nie jesteś obiektywny, Jack - zauważył Wells, dziwiąc się, czemu znowu zaczyna go boleć głowa. - Być może ten chłopak jest czysty jak łza.

- Nie komplikuj, Bill... Nie mam czasu na takie bzdury jak obiektywizm. Hickman nie żyje, a Miller jest winny jak wszyscy diabli. - Pomasaował bliznę na policzku, żeby tchnąć w zmartwiałe tkanki trochę życia. - Cały problem polega na tym, że muszę przedstawić dowody.

Powtórnie okręcił szyję szalikiem i już był w połowie drogi do wyjścia, gdy nagle o czymś sobie przypomniał. Wrócił do biura i wepchnął do kieszeni płaszcza większość miniaturowych buteleczek.

- Na naszym posterunku kręci się mnóstwo złodziei - wyjaśnił, a potem wziął jedną z buteleczek i wręczył ją sierżantowi. - Wyślij to na dół do Wallyego Petersa z najlepszymi pozdrowieniami ode mnie. Powiedz mu, żeby wypił na pożegnanie Bena Cornisha.

Wells nie wytrzymał.

- Nie mam zamiaru rozpijać aresztantów, Jack! - wybuchnął. - Zresztą znasz Wallyego. Jak tylko powącha drinka, będzie nam przez całą noc szczał na podłogę w celi.

- To twój problem. Chcesz, żeby każdy był jakimś pieprzonym ideałem - odparł Frost z naganą w głosie.

WTOREK, NOCNA ZMIANA (7)

Roger Miller mieszkał w Halley House - nowo wybudowanym, wielopiętrowym apartamentowcu, w którym znajdowały się ekskluzywne mieszkania z pełną obsługą hotelową. Webster zaparkował cortinę obok budki telefonicznej po drugiej stronie ulicy i wyrżał przez okno na niebotyczną wieżę Halley House, która zdawała się w nieskończoność podążać w stronę nocnego nieba. O tej godzinie jedynymi światłami w budynku było oświetlenie znajdującego się na parterze holu.

- Jak wygląda pański plan działania? - zwrócił się do inspektora.

W odpowiedzi Frost chrząknął i przesunął się na fotelu. Zwykle nie opracowywał żadnych planów. Jego metoda była całkiem prosta: zamykał oczy, opuszczał głowę i ruszał do ataku.

- Nie zastanawiałem się nad tym, synu - przyznał uczciwie. - Wejdzimy, pogadamy chwilę z chłoptasiem i zobaczymy, co będzie dalej.

- Gdybym to ja odpowiadał za tę operację, to raczej nie wspominałbym o wypadku - zauważył Webster zgryźliwie, jakby chciał przekonać Frosta, że jego sposób działania jest tym jednym właściwym. - Niech myśli, że przyszlśmy w sprawie rzekomo skradzionego samochodu.

- I co chcesz przez to osiągnąć?

- Może uda nam się uśpić jego czujność, a kiedy facet przestanie się pilnować, rąbniemy go tą sprawą ucieczki z miejsca wypadku.

- A wtedy on pęknie i przyzna się do wszystkiego, tak jak na filmach o Perrym Masonie? - Frost z powątpiewaniem wyduł usta. - Obawiam się, synu, że jesteś w błędzie. On będzie wiedział, po co przyszlśmy, już w chwili, gdy przytkniemy nasze lepiące się paluchy do dzwonka przy drzwiach.

- Skąd niby ma wiedzieć? - upierał się Webster.

- Ponieważ raczej rzadko się zdarza, żeby dwaj faceci z wydziału kryminalnego wpadali na towarzyską pogawędkę o tak wczesnej porze tylko dlatego, że poprzedniego wieczora ktoś pożyczył sobie samochód delikwenta.

W zamyśleniu wystukał palcami na desce rozdzielczej jakąś prostą melodię.

- Ale w związku z tym, że nie udało mi się wymyślić nic lepszego, spróbujemy tego, co proponujesz. Ty poprowadzisz przesłuchanie, a ja od czasu do czasu będę wtrącał błyskotliwe uwagi, ilekroć muza zechce złapać mnie za jaja.

- Jeśli mam go przepytować, to muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia - zauważył Webster, który był gorącym zwolennikiem przygotowywania się do operacji.

- Jego ojciec ma forsy jak lodu, zasiada w parlamencie, a oprócz tego jest nadętym, obleśnym skurwysynem. Mistrz Roger jest dokładnie takim synalkiem, na jakiego zasługuje nadęty, obleśny skurwysyn - aroganckim, obrzydliwym gnojkiem, któremu być może uda się uniknąć odpowiedzialności za popełnienie morderstwa ze względu na koneksje starego. A jeśli to nie wystarczy, żebyś serdecznie go znienawidził, to dodam, że zwykle udaje mu się wrywać fantastyczne laseczki z wielkimi cyckami i sutkami sterzącymi sztywno jak obolały kciuk.

- Wygląda na prawdziwego małego czarusia - odparł Webster. - Ale mimo to uważam, że dam sobie z nim radę.

Frost odpiął pas bezpieczeństwa i otworzył drzwi.

- Jestem pewien, że sobie poradzisz, synu. Ale jeśli będziesz miał chęć mu przykopać, to nie zapomnij w porę mnie ostrzec, żebym zdążył odwrócić się w inną stronę. Potem będę mógł przysiąc, że nagle oślepiłem i niczego nie widziałem... No chodź, najwyższy czas się stąd ruszyć.

Wiatr usiłował z powrotem wcisnąć ich do auta, kiedy z pochylonymi głowami biegli na ukos przez jezdnię. Dwudziestotrzy piętrowy budynek był tak skonstruowany, że u jego podstawy wciąż powstawały zawirowania powietrza, którym przechodnie musieli stawiać czoło.

Trzy marmurowe schodki prowadziły do podwójnych drzwi ze szkła i brązu, zamkniętych na zamek przeciwwłamaniowy, które można było otworzyć kluczem lub bezpośrednio z apartamentu, jeśli lokator zwolnił przycisk. Frost potrząsnęła drzwiami z całej siły, aż szkło zagrzechotało, ale zamek nie ustąpił. Przez szklaną tafłę widzieli włożony czerwonym dywanem hol, biurko w recepcji i szybkobieżną windę. Wmurowana obok drzwi tablica z przyciskami domofonów umożliwiała połączenie z poszczególnymi apartamentami. Do Millera należał lokal oznaczony numerem czterdziestym trzecim. Frost szturchnął odpowiedni guzik, lecz nie przyniosło to spodziewanego efektu. Spróbował jeszcze raz, a potem cofnął się o parę kroków i zadarł głowę, żeby popatrzeć na rząd okien. W ani jednym nie zapaliło się światło.

- Wszyscy śpią - mruknął Webster.

- Nie wszyscy, synu - zapewnił go Frost. - Jeśli ty byś zabił jakiegoś nieszczęsnego staruszka, to zapewniam, że nie położyłbyś się spać. Siedziałbyś w kącie trzeźwy jak gwizdek i wymyślał kłamstwa, które należy powiedzieć glinom, kiedy dobiorą ci się do skóry.

Jeszcze raz nacisnął domofon i przez dobrą minutę opierał się o niego całym ciężarem.

- To powinno obudzić tego pedała.

Ale dźwięk domofonu nikogo nie obudził. Żadnej odpowiedzi.

- Albo go tam nie ma, albo uparł się, żeby nie reagować.

- No cóż, jeśli się nie pofatyguje do drzwi, to niewiele więcej możemy zrobić - zauważył Webster.

Frost cofnął palec i uważnie przyjrzał się tablicy domofonowej. Na samym dole znajdował się przycisk oznaczony napisem „Dozorca”. Frost zastanowił się przez chwilę, a potem leciutko uśmiechnął.

- Chodź z wujkiem Jackiem, synu, a on pokaże ci niezawodny sposób, jak dostać się do czyjś mieszkania. Z pewnością nie uczyli cię tego w szkole policyjnej.

Zastanawiając się, co stary dureń wykombinował tym razem, Webster posłusznie poszedł za nim do budki telefonicznej znajdującej się po przeciwnej stronie ulicy. Frost owinał chusteczką do nosa słuchawkę telefonu i wybrał numer posterunku policji w Denton.

- Posterunek policji w Denton. - W słuchawce rozległ się zmęczony głos sierżanta Wellsa.

- Dzwonię sprzed tego nowego budynku Halley House - odezwał się szeptem Frost. - Na czwartym piętrze na balkonie jest jakiś mężczyzna, który wyraźnie próbuje włamać się do jednego z apartamentów.

- Czy może pan podać mi swoje nazwisko? - zdążył zapytać Wells, ale Frost starannie wytarł słuchawkę i rozłączył się.

- A teraz wracamy do samochodu, synu. Szybko!

W aucie Frost zawisł nad odbiornikiem radiowym w pełnym niecierpliwości oczekiwaniu. Złapał słuchawkę natychmiast, gdy tylko rozległ się sygnał połączenia.

- Dyspozytornia do inspektora Frosta. Proszę się zgłosić.

- Frost.

- Tu posterunkowy Ridley, inspektorze. Dostaliśmy przed chwilą wiadomość, że ktoś próbuje się włamać do mieszkania w Halley House. Pan jest gdzieś w pobliżu, zgadza się?

- Dokładnie pod budynkiem - odparł Frost. - Zaraz się tym zajmę.

*

Dozorca, Uriah Heep - pełen uniżoności typek w grubym, szarym szlafroku - ziewał jak hipopotam, dzwoniąc pękiem kluczy godnym strażnika w Bastylii.

- To bardzo denerwujące, proszę pana - oświadczył. - Lokatorom nie spodoba się to ani trochę. Ale jak to możliwe, że ktoś wspiął się po balkonach aż na czwarte piętro?

- Ci włamywacze są jak koty. Dostaną się wszędzie - odparł Frost, który pragnął, żeby dozorca oddał mu klucze i po prostu sobie poszedł. - To był trzeci z rzędu balkon na czwartym piętrze.

- Pójdę tam z panem - zaofiarował się dozorca. - Nie chcę, żeby ktoś zakłócał spokój któremuś z moich lokatorów. Przez takie rzeczy dom zaczyna się cieszyć złą sławą.

Jednak Frost szybko odrzucił tę uprzejmą ofertę. - On może być uzbrojony. Nie chcemy narażać pana na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Pęk kluczy wylądował w ręku inspektora.

- Dziękuję panu. Jeśli usłyszysz pan strzały, proszę zadzwonić pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

Winda z cichym pomrukiem pomknęła w stronę czwartego piętra i wysadziła ich na czerwono-czarnej wykładzinie, która skutecznie tłumiała odgłosy kroków. Bezszelestnie zmierzali do matowych drzwi oznaczonych numerem czterdzieści trzy. Frost jedną ręką nacisnął dzwonek i jednocześnie drugą załomotał. Odczekał parę sekund, a następnie powtórzył całą operację jeszcze raz.

- Posłuchaj! - wykrzyknął z afektacją, jak kiepski aktor. - Czy mi się zdaje, czy ktoś wzywa pomocy?

Zanim Webster zdążył odpowiedzieć, że absolutnie niczego nie słyszy, Frost otworzył drzwi zapasowym kluczem i wszedł do środka.

- Panie Miller?

Cisza. Przesunął ręką po framudze, żeby znaleźć włącznik i apartament zalała powódź światła. Mieszkanie wyglądało na puste. Znaleźli się w olbrzymim salonie, którego ściany udekorowane były kolorowymi odbitkami przedstawiającymi dawne modele samochodów wyścigowych; na środku wisiał oryginalny plakat reklamujący Grand Prix z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku na starym torze wyścigowym w Brookland.

Na wycieraczkę leżały dwa listy. Frost schylił się, żeby je podnieść. Jeden był jakimś okólnikiem adresowanym do wszystkich lokatorów, drugi zaś wyciągiem z miejscowego oddziału banku Bennington.

- Albo facet nie zadaje sobie trudu, żeby odbierać pocztę, albo dziś wieczorem nie zdążył zajrzeć do domu - odparł, rzucając listy na miejsce.

- W każdym razie tutaj go nie ma - odparł Webster. - Lepiej już chodźmy.

- Spokojnie, synu, spokojnie... - Frost przesunął się na palcach w stronę na wpół otwartych drzwi, które prowadziły do sypialni. Łóżko była starannie zasłane; najwyraźniej dziś w nocy nikt w nim nie spał.

Nad łóżkiem wisiał oprawiony w aluminiową ramę sztych przedstawiający parę nagich kochanków. Klęczeli naprzeciwko siebie, z rozchyłonymi ustami w oczekiwaniu na pocałunek, a widok ich ciał wzruszał aż do granicy bólu. Frost przez dłuższą chwilę przyglądał się im z pełną uwagą, a potem zaczął szperać w szufladach biurka.

Webster stawał się coraz bardziej niespokojny i zdenerwowany. Nie mieli prawa tutaj przebywać, nie mówiąc o grzebaniu w prywatnych rzeczach. Jeśli Miller niespodziewanie wróci do domu i zastanie ich w swoim mieszkaniu, to może donieść na nich Mullettowi, a wtedy...

- Musimy już stąd iść - zauważył rozdrażnionym tonem. - Nie powinniśmy tutaj być.

- My nie, synu - zgodził się Frost. - Ale mistrz Roger powinien. Zgodnie z tym, co przeczytałem w raporcie dotyczącym kradzieży, nasz chłoptaş właśnie wybierał się do łóżka, kiedy zorientował się, że w samochodzie została teczka z dokumentami. Zszedł na dół, żeby ją przynieść i, *presto*, jaguar zniknął jak senne marzenie. Więc czemu nie leży w łóżku i nie wyplakuje sobie oczu?

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznał Webster, posuwając się w kierunku drzwi. - Może porozmawiamy o tym na posterunku... Co pan wyrabia, na litość boską?

- Nic. Po prostu jestem wścibski jak diabli.

Frost otworzył suwane drzwi, za którymi kryła się olbrzymia garderoba, ukazując rzędy kosztownych garniturów, upchanych ciasno na wieszakach obok jedwabnych, szytych na miarę koszul, oznaczonych haftowanym monogramem RM.

- Powiedz mi, synu, czy ten widok nie wzbudza w tobie nienawiści?

Na podłodze w idealnym szyku, jak żołnierze podczas musztry, stały tuziny skórzanych butów robionych u szewca, błyszczące na przemian brązem i kolorem kremowym. Frost przymierzył pierwszą z brzegu parę.

- Jak sądzisz, czy Roger zauważy, że czegoś tu brakuje? - spytał.

Webster skrzyżował ramiona i czekał, aż inspektor przestanie się wyglupiać. Jego niespokojne spojrzenie wciąż biegło w stronę drzwi, jakby spodziewał się, że lada chwila wtargnie tu Roger Miller i zażąda wyjaśnień.

- W porządku - oznajmił w końcu Frost. - Już widziałem wszystko, co chciałem zobaczyć... Pieprz te raporty z nadgodzinami, synu - dorzucił, spoglądając na zegarek.

- Proponuję wracać do domu.

Ja też, do jasnej cholery, pomyślał Webster.

Zwrócili pęk kluczy zdenerwowanemu do nieprzytomności dozorca. Biedak przez cały czas siedział przy telefonie, wytyczając słuch w oczekiwaniu na odgłosy strzelaniny, która - w połączeniu ze zwłokami dwóch policjantów - nadałaby temu miejscu fatalny rozgłos.

- Wydaje się, że na górze wszystko w porządku - oznajmił Frost i od razu zapytał, gdzie lokatorzy trzymają samochody.

- Na podziemnym parkingu - odparł dozorca. - Dlaczego pan pyta?

- Lepiej będzie rzucić okiem, co tam się dzieje. Być może ten drań zamierza skraść jakiś drogi samochód.

Dozorca zawiózł ich do piwnicy służbową windą. Czterdzieści kilka aut spokojnie stało na miejscach oznaczonych numerami apartamentów ich właścicieli.

- Co pan spodziewał się tu znaleźć? - zakpił Webster.

- Jaguara ociekającego krwią? Chyba nie sądzi pan, że chłopak był na tyle głupi, żeby go tu zostawić?

- Nigdy nie wiadomo, kiedy dopisze ci szczęście - odparł Frost i odwrócił się do dozorca. - Gdzie jest miejsce pana Millera?

- Tam w rogu. Właśnie tam stoi jego samochód.

Frost obrzucił Webstera pełnym triumfu spojrzeniem. Przecisnęli się między autami, żeby dotrzeć do miejsca oznaczonego numerem czterdziestym trzecim. Ale zaparkowany tam samochód zdecydowanie nie był niebieski i nie był jaguarem. Na oznaczonym skrawku parkingu stał czarny porsche.

- Oczywiście, że to jest samochód pana Millera - upierał się dozorca. - Przecież widzę, jak codziennie jeździ nim do pracy.

- A co z jego jaguarem? - dopytywał się Frost.

- Och, tu dla każdego lokatora jest tylko jedno miejsce parkingowe. Pan Miller parkuje jaguara za rogiem, tuż obok przecznicy.

Webster nawet nie zadał sobie trudu, żeby ukryć uśmiezek. Dokładnie tę samą lokalizację podał Miller, składając zeznanie w sprawie kradzieży. Na razie wyglądało na to, że jego wersja o zaginięciu auta może okazać się prawdziwa.

Frost ze skulonymi ramionami powlókł się do windy, która dowiozła ich na poziom parteru. Wtedy przypomniał sobie o jeszcze jednym ważnym pytaniu.

- Czy dziś pan Miller także pojechał do pracy czarnym porsche?

- Tak - potwierdził dozorca. - Sam widziałem. Webster nie mógł zrozumieć, dlaczego Frost rozpromienił się, słysząc te słowa.

Wrócili przez jezdnię do cortiny, z której od dłuższego czasu rozlegało się brzęczenie radia.

- Dyspozytornia do inspektora Frosta - błagał głos Billa Wellsa.

- Frost.

- Dzięki Bogu, że wreszcie udało mi się ciebie dorwać, Jack! Właśnie rozmawiałem z panem Mullettem na temat tamtego wypadku. Pan Mullett zaleca daleko posuniętą ostrożność. Powiada, żebyś pod żadnym pozorem - powtarzam, pod żadnym pozorem - nie próbował się skontaktować z Rogerem Millerem. Chce, żeby ta sprawa została załatwiona w białych rękawiczkach i absolutnie zgodnie z literą prawa. Więc proszę cię, Jack. Trzymaj się od tego z daleka.

- Ależ oczywiście - odparł Frost urażonym tonem. - Nawet nie śniło mi się niepokoić Millera bez wyraźnego pozwolenia pana Mulletta.

Wręczył zestaw słuchawkowy Websterowi, żeby ten odłożył go na miejsce.

- Na dzisiaj mam już dość, synu. Wracamy do domu.

ŚRODA, RANNA ZMIANA (1)

Sala odpraw na posterunku policji w Denton wyglądała o wiele gorzej niż zwykle. Wciąż nosiła ślady nocnego balowania, podobnie jak większość zgromadzonych w niej oficerów. Puste szklanki i przepełnione popielniczki zajmowały każdy wolny skrawek powierzchni na krzesłach i parapetach, a nawet część podłogi. Schowany w kącie kosz na śmieci wywrócił się, wysypując całą zawartość. Zmięte opakowania po zakąskach, na wpół zjedzone kanapki i rozmaite odpadki wpadły prosto w lepką, dużą kałużę piwa.

Wewnątrz zdążył się już zgromadzić mniej więcej tuzin policjantów - jedni w mundurach, inni w cywilu. Niektórzy z nich sprawiali wrażenie lekko osłabionych i zdecydowanie mało przytomnych. Większość sęczyła kawę przyniesioną w plastikowych kubeczkach, a konwersacje prowadzone niewyraźnym szeptem dotyczyły głównie kaca, kłopotów żołądkowych i samej zabawy.

Detektyw inspektor Allen stał przed drzwiami na korytarzu i obserwował dużą wskazówkę zegarka, która pomalutku zbliżała się do pełnej godziny. Punktualność stanowiła obsesję inspektora Allena, więc nie zamierzał wchodzić do sali wcześniej niż o dziewiątej. Jeszcze trzydzieści sekund. Lekko zirytował go fakt, że inspektor Frost jeszcze nie raczył się zjawić, choć jego brodaty pomocnik od dłuższego czasu siedział na jednym z krzesel i starał się wyglądać na kogoś lepszego niż pozostali.

Allen sięgnął do klamki. W chwili gdy wskazówka na zegarze ściennym drgnęła i zegar wybił pełną godzinę, otworzył z zamachem drzwi i wkroczył do środka.

- Witam, panie i panowie. Proszę o uwagę.

Wdrapał się na podium, gdzie już czekał Ingram, czuwając nad rozłożonymi aktami i pisemnymi rozkazami, które zostały powielone w wielu egzemplarzach. Tuż za jego plecami znajdowała się olbrzymia mapa ścienna, a na tablicy wisiały przypięte zdjęcia poprzednich pięciu ofiar gwałciciela - dokładnie tak, jak życzył sobie inspektor.

W sali zapadła cisza jak makiem zasiał.

Allen zamilkł na chwilę, popatrzył na lekko zielonkawe twarze, a potem zmarszczył nos. Wewnątrz panował niesamowity zaduch, składający się głównie ze zwietrzałego piwa i zatęchłego dymu papierosów. Inspektor sam nie palił i nikt z podwładnych nie mógł liczyć na jego pobłażliwość w tej kwestii.

- W tym pokoju śmierdzi - warknął. - Niech ktoś otworzy okno.

Collier wygramolił się z krzesła i uchylił jeden z lufcików.

- Powiedziałem „otworzyć okno”! - wrzasnął Allen. - Świeże powietrze jeszcze nikomu nie zaszkodziło!

Collier posłusznie otworzył oba skrzydła na pełną szerokość i do środka z rykiem wtargnął lodowaty podmuch. Zgromadzeni w sali policjanci zatrzęśli się z zimna, co inspektor skwitował pełnym satysfakcji uśmiechem. To powinno do reszty otrzeźwić tę bandę skurczybyków, pomyślał. Jeszcze raz przeszukał wzrokiem salę w nadziei, że gdzieś zauważy brudny płaszcz przeciwdeszczowy i szalik w kolorze rdzawoczerwonym.

- Czyżby inspektor Frost nie raczył zaszczycić nas swoją obecnością? No trudno, w takim razie zaczniemy bez niego.

Delikatnie kołysząc się na piętach, przesuwał spojrzenie z twarzy na twarz, żeby sprawdzić, czy wszyscy są odpowiednio skoncentrowani.

- Ci z was, którzy brali udział w pożegnalnym party pana Harrisona, wiedzą, że nasz stary przyjaciel, znany jako „Diabeł w kapturze”, zeszłej nocy znów zaatakował kolejną ofiarę. Nie dawał znaku życia od dobrych sześciu miesięcy, więc jak wszyscy miałem nadzieję, że zdecydował się zaprzestać działalności albo że przytrafił mu się jakiś mrozący krew w żyłach wypadek z nożem do krojenia mięsa... Niestety, jak widać, on tylko czekał na stosowną chwilę. Ostatniej nocy zaatakował swoją szóstą ofiarę, Paulę Grey, która pracuje w „The Coconut Grove” w charakterze striptizerki występującej pod pseudonimem Paula Niegrzeczna Dziewczynka.

Ktoś parsknął śmiechem. Allen zmierzył obecnych lodowatym spojrzeniem w poszukiwaniu osoby winnej obrazie majestatu.

- Czy powiedziałem coś śmiesznego?

Umilkł, czekając na śmiałka, który odważyłby się mu odpowiedzieć, ale ponieważ nikt taki się nie znalazł, po chwili podjął wątek:

- Powiedziałem, że ta kobieta nazywa się Paula Grey, ale jest znana także jako Nellie Drake, Sadie Kendall i Mollie Patrick. Pod każdym z tych nazwisk była kilkakrotnie sądzona za nagabywanie obcych mężczyzn - konkretnie pod zarzutem oferowania im swojego ciała za niewielką sumę pieniędzy. Tę informację dodałem tak na marginesie, bo ostatniej nocy Paula Grey nikogo nie zaczepiała. Szła z miejsca zamieszkania do pracy.

Wydaje się, że punktualność nie jest najmocniejszą stroną panny Grey. Kilka razy zdarzyło się, że spóźniła się na swój występ, więc jej szef, Harry Baskin, dżentelmen znany z łagodnego usposobienia, ostrzegł, że jeśli zdarzy się to jeszcze choćby raz, bez namysłu wywali ją na zbity pysk. Ostatniej nocy panna Grey zasnęła. Obudziła się dopiero o dziesiątej trzydzięci pięć, podczas gdy jej występ w „The Coconut Grove” powinien się zacząć o jedenastej piętnaście. Chcąc nadgonić stracony czas, już w domu umalowała się jak do występu, włożyła sceniczny strój - czyli kostium uczennicy - i pobiegła skrótem przez Denton Woods. Panie i panowie, często wam powtarzam, że najkrótsza droga nie zawsze znaczy najszybsza.

Wziął ze stołu wskaźnik i odwrócił się do mapy.

- Panna Grey opuściła swoje mieszkanie mieszczące się przy Forest View o dziesiątej pięćdziesiąt. Pobiegła tą ulicą, następnie skręciła w las i weszła na tę ścieżkę.

Wskaźnik wydrapywał na mapie trasę, jaką przemierzyła ofiara.

- W tym miejscu zeszła ze ścieżki i skręciła w boczną dróżkę, która powinna z powrotem doprowadzić ją do głównej drogi. Ale nigdy tam nie dotarła.

Gdzieś z tyłu sali doleciał trzask zapalniczki. Allen zamarł. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się odwrócić.

- Mam nadzieję, że nikt nie zamierza palić podczas mojej odprawy - powiedział groźnym tonem. Za jego plecami ktoś pospiesznie zdmuchnął zapalniczkę. Allen odprężył się i kontynuował.

- Panna Grey doszła do miejsca, gdzie ścieżka zakręca, i właśnie tu czekał na nią ten skurwysyn. Zastosował dokładnie tę samą taktykę co zawsze. Najpierw szmata na głowie, a potem duszenie gołymi rękoma aż do utraty przytomności. Potem odciągnął ją ze ścieżki na bok, za kępę krzaków, o, mniej więcej tutaj... - Wskaźnik szturchnął konkretne miejsce na

mapie. - Tu zdarł z niej ubranie i zostawił w samych pończochach. Ale w tym momencie, ku zdziwieniu wszystkich, nie wyłączając samej ofiary, odstąpił od utartego zwyczaju. Nie zgwałcił jej, lecz okrutnie skopał i pobił, łamiąc nos, szczękę i parę żeber.

Pięć minut przed godziną pierwszą w nocy sierżant Wells odebrał telefon od anonimowego mężczyzny, który zgłosił, że w lesie leży ciało dziewczyny. Nie mamy pojęcia, kim jest ten człowiek, ale zamierzamy się tego dowiedzieć. Na wezwanie przyjechał Charlie Alpha z posterunkowymi Simmsem i Jordanem. Później dołączyli do nich inspektor Frost i inspektor... Och, najmocniej przepraszam... posterunkowy Webster, nasz uciekinier z okręgu Braybridge.

Uśmiechnął się na widok miny Webstera, który z trudem tłumił w sobie gniew, a potem poczekał chwilę, aż ucichną chichoty.

Odwracając się do mapy, usłyszał, jak ktoś po cichu otwiera i zamyka drzwi. Oczywiście, pewnie jak zwykle Frost próbował niepostrzeżenie wślizgnąć się do środka.

- Jak to uprzejmie z pańskiej strony, że wreszcie raczył nas pan zaszczyścić - zaczął z sarkazmem, ale zaraz potem z przerażeniem usłyszał hurgot krzesel. Wszyscy zrywali się z miejsc, żeby stanąć na baczność. - Najmocniej przepraszam, panie komisarzu - powiedział szybko. - Myślałem, że to pan Frost.

Mullett - ubrany w mundur koloru miętowego, który wyglądał tak, jakby przyniesiono go prosto od krawca - uśmiechnął się łaskawie na znak, że przyjmuje przeprosiny, a następnie skinął ręką, żeby obecni usiedli. Potem sam zajął miejsce w tylnym rzędzie, skrzyżował ramiona i przywołał na twarz wyraz intensywnej koncentracji.

- Proszę kontynuować, inspektorze.

- Rozmawiałem z ofiarą w szpitalu - mówił dalej Allen. - Podobnie jak wszystkie jej poprzedniczki nie potrafiła powiedzieć dosłownie nic na temat swojego napastnika. Mam nadzieję zadać jej dalsze pytania dzisiaj, kiedy chirurdzy trochę ją pozszywają, ale w obecnej sytuacji wiemy tylko tyle, że sześć kobiet zostało napadniętych, a my nie mamy nawet przybliżonego portretu sprawcy. Z próbek nasienia udało się ustalić jedynie, że gwałciciel ma krew grupy zero, czyli taką samą jak mniej więcej czterdzieści cztery procent męskiej populacji.

Nagle drzwi sali odpraw otworzyły się na całą szerokość i do środka chwiejnym krokiem wślizgnął się spóźniony przybysz. Po drodze zahaczył nogą o pustą puszkę po piwie, która potoczyła się między rzędami krzesel aż do podium, gdzie zatrzymała się na bucie Allena. Inspektor delikatnie odsunął ją na bok. Nie podniósł wzroku. Nie musiał. Nie było wątpliwości, kto mógł aż tak bardzo się spóźnić.

- Witam pana, panie Frost. Niestety musieliśmy zacząć bez pana.

- Nic nie szkodzi - oświadczył Frost wielkodusznie. - Całkiem zapomniałem o tej pieprzonej odprawie. Ale chyba nie chcesz jej ciągnąć w nieskończoność, prawda? O dziesiątej muszę być na sekcji. Cholernie tu zimno - dodał. Bez skrępowania podszedł do okna, zatrzasnął je, a potem przyciągnął wolne krzesło do ostatniego rzędu, usiadł i zapalił papierosa.

Oczy Allena zalsniły. Oto nadarzyła się niebywała okazja, żeby w obecności komendanta dać prztyczka koledze.

- Nie lubię, kiedy ktoś pali podczas moich odpraw, panie Frost.

- Racja. - Frost rozpromienił się, przesuwając papierosa do drugiego kącika ust. - Ja też nie lubię, jak ludzie zaczynają mleć ozorami, kiedy palę, ale jakoś muszę to wytrzymać.

Salwa śmiechu, która nastąpiła po tych słowach, szybko ucichła pod jednym lodowatym spojrzeniem. Frost uśmiechał się od ucha do ucha, wypuszczając kłęby dymu tak gęste, jak to tylko było możliwe. Z rozbawieniem trącił w bok sąsiada i dopiero wtedy ku swemu przerażeniu przekonał się, kto siedzi obok. Mullett, elegancki w swoim nienagannym mundurze z błyszczącymi guzikami, spoglądał na niego z chłodną dezaprobatą.

- Po odprawie proszę pana na słówko, inspektorze - zasyczał.

- Tak, szefie, oczywiście - wyjąkał Frost, wijąc się na swoim krześle. Teraz gorzko żałował, że nie usiadł gdzie indziej.

Allen uśmiechał się od ucha do ucha. Nadszedł odpowiedni moment, żeby trochę natrzeć uszu temu bezczelnemu typowi i wystawić go na pośmiewisko.

- Zanim zdążyłem dotrzeć na miejsce zdarzenia, ambulans zabrał ofiarę do szpitala. Pan Frost, który miał okazję dokładnie się jej przyjrzeć, powiedział mi, że poszkodowana ma piętnaście lat. Podczas krótkiej przejażdżki karetki musiała zestarzeć się o dwadzieścia trzy lata, ponieważ kiedy ujrzałem ją w szpitalu, była trzydziestoosmioletnią kobietą. Nie potrafię wyjaśnić, jak mogło dojść do popełnienia tak istotnej omyłki, ale jestem pewien, że inspektor Frost wszystko nam wytłumaczy.

Cofnął się o krok, szerokim gestem zapraszając Frosta do zajęcia miejsca na podium.

Na ustach Frosta zastygł grymas, który miał udawać uśmiech. Ten grymas mówił wyraźnie „ty sukinsynu”, ale twarz Frosta przybrała wyraz całkowitej obojętności. Jak gdyby nigdy nic spokojnym krokiem wszedł na podium i obiema rękoma oparł się o stół, przyzymkając oczy dla ochrony przed obłokiem papierosowego dymu.

- Jak był łaskaw wspomnieć inspektor Allen, zeszłej nocy zachowałem się jak niekompetentny matoł - nie pierwszy raz i z pewnością nie ostatni. Na miejsce przyjechaliśmy

prosto z domu państwa Dawson, których córka, piętnastoletnia Karen, zaginęła bez wieści. Nikt nie widział jej od wczorajszego popołudnia, kiedy w porze lunchu wyszła ze szkoły. Kobieta znaleziona w lesie była całkowicie naga. Jej twarz została zmiażdżona kopniakiem i pokryta była zaschniętą krwią, która sączyła się z ran. Dookoła na trawie walały się fragmenty garderoby, która bezsprzecznie wyglądała na szkolny mundur, więc pochopnie wyciągnąłem błędne wnioski. Nie powinienem był popełnić tak cholernie głupiego błędu, ale jednak go popełniłem.

Przerwał na moment, wyciągnął z ust niedopałek i użył go do zapalenia następnego papierosa.

- Jak wyglądało miejsce zbrodni, gdy tam dotarliśmy?

Jak już mówiłem, z wyjątkiem pończoch ta biedna dziewczyna nie miała na sobie niczego. Leżała na plecach, a zerwane z niej ubranie było podarte na strzępy. Obok stała zwykła plastikowa torba na zakupy, w której znajdowała się kompletna zmiana ubrania i kosmetyczka. To wszystko, co mogę wam powiedzieć.

- Dziękuję, inspektorze - rzekł Allen, powracając na swoje miejsce na podium. Frost kątem oka dostrzegł jedno puste krzesło w pierwszym rzędzie i od razu pozełgował w tamtym kierunku. Tym razem udało mu się odsunąć od Mulletta na bezpieczną odległość.

- Jakies pytania? - odezwał się Allen. Człowiek w cywilnym ubraniu siedzący w środkowym rzędzie podniósł rękę.

- Czy wiadomo, dlaczego dziewczyna nie została zgwałcona, panie inspektorze?

Allen skinął głową.

- Mam pewną teorię, jeśli o to chodzi.

Wskazał na pięć fotografii przypiętych na czarnej tablicy.

- Tutaj widzicie państwo pięć pierwszych ofiar naszego gwałciciela. Numer jeden - Peggy Leyton, lat dziewiętnaście, uczennica szkoły medycznej, zgwałcona czwartego kwietnia, gdy szła na skróty przez pole golfowe. Numer dwa - Sarah Finch, lat osiemnaście, pracownica biurowa, zgwałcona piątego kwietnia, także na polu golfowym. Następnie mamy ofiary numer trzy i cztery... Genette Scott, nigdzie niezatrudniona, ma skończone dwadzieścia lat, ale wygląda o wiele młodziej, i Kate Brown, studentka, także dwudziestolatka. Obie napadnięto i zgwałcono w Meads Park, odpowiednio dwudziestego i dwudziestego pierwszego kwietnia. Ostatnią jest Linda Alwood, sprzedawczyni, lat dziewiętnaście, zgwałcona drugiego marca na terenach nieużytków znajdujących się w pobliżu Denton Factory Estate. Do wszystkich napadów doszło w odległości mniej więcej ośmiu mil od Denton Woods, ale poza tym łączy je jeszcze jedno. Wszystkie ofiary były bardzo młode, a

niekiedy wyglądały na jeszcze młodsze. Panie i panowie, moja teoria dotycząca „Diabła w kapturze” brzmi następująco: faceta podnieca jedynie młode, jędrne ciało. Może uprawiać seks wyłącznie z młodziutkimi dziewczynami, więc kiedy zobaczył Paulę Grey, która w podskokach biegła przez las w swoim szkolnym mundurku, musiał pomyśleć, że oto zgarnął pełną pulę. Wydawało mu się, że upolował ładniutką, delikatną dziewczinę, i wpadł w szal, kiedy przekonał się, że trafiła mu się stara, przechodzona dupa. Stare kobiety zawsze budziły w nim wstręt.

Siedzący w swoim kącie Webster z przekonaniem pokiwał głową. Teoria Allena wydawała mu się sensowna. Mógł nienawidzić go jako człowieka, lecz musiał przyznać, że Allen jest cholernie dobrym oficerem. Ukradkiem zerknął na Frosta, rozwalonego w pierwszym rzędzie krzesel, który wyglądał tak, jakby całą noc spędził w rynsztoku. Nie można nawet porównywać obydwu inspektorów, pomyślał. Jeden jest policjantem z prawdziwego zdarzenia, a drugi zwykłym śmieciem.

Allen schylił się i podniósł z podłogi zwitek ciuchów, które następnie cisnął na stół.

- To jest ubranie, które dziewczyna miała na sobie przed atakiem.

Schylił się ponownie i postawił obok ubrania białą plastikową reklamówkę.

- A to jest torba, którą niosła w rękę. Mamy zdjęcia modelki podobnej do Pauli Grey, ubranej dokładnie w ten strój i z tą torbą. Każdy z was dostanie odbitkę. Chcę, żebyście sprawdzili wszystkie domy w pobliżu Forest View i przy drodze, która prowadzi do lasu. Chcę, żeby te zdjęcia obejrzał każdy mieszkaniec tej okolicy. Czy ktoś z nich widział poprzedniego wieczora dziewczynę ubraną w taki strój? Jestem przekonany, że trzydziestoosmioletnia, dobrze rozwinięta kobieta ubrana w szkolny mundurek przyciągnęła czyjś wzrok. Może ktoś ją widział? Może zwrócił uwagę na mężczyznę, który szedł jej śladem albo wyraźnie się nią interesował? Czy w pobliżu kręcili się jacyś obcy? Może ktoś szedł przez las w zeszłym tygodniu i spostrzegł przyczajonego, dziwnie zachowującego się mężczyznę? Może znajdziecie jakąś kobietę, która została napadnięta, ale tego nie zgłosiła? Panie i panowie, to ma być dokładne, wielopłaszczyznowe śledztwo. Jestem pewien, że nie muszę wyliczać szczegółowo pytań, które powinniście zadać. Wszyscy świadkowie, nawet ci, którym wydawało się, że cokolwiek widzieli, mają zostać przywiezieni na posterunek, żebym osobiście mógł zadać im parę pytań. Zrozumiano?

Odpowiedziały mu potakujące pochrząkiwania.

- Podzieliłem was na kilka zespołów. Sierżant Ingram poda wam wszystkie szczegóły, kiedy będziecie stąd wychodzić. Zespół A będzie chodził od drzwi do drzwi i zadawał pytania, zespół B przeszuka cal po calu miejsce napadu, a zespół C znajdzie i przyprowdzi

na przesłuchanie wszystkie znane nam osoby, które dopuściły się przestępstw na tle seksualnym - nawet te, które z jakichś powodów zostały wyeliminowane we wcześniejszym śledztwie. Jakież pytania?

Wyczekująco rozejrzał się dookoła, ale nikt się nie odezwał.

- W porządku. W takim razie możecie zaczynać.

Szurając, ruszyli ku drzwiom, po drodze mijając Ingrama, który wręczał każdemu kartkę z wykazem zadań oraz przydziałem do zespołu, kiedy nagle Allen warknął:

- Stać!

Wszyscy stanęli jak wryci i odwrócili się, z wyjątkiem Frosta, który już zdążył dotrzeć do swojego biura. Allen dopiero teraz przypomniał sobie o Mulletcie, który samotnie siedział w ostatnim rzędzie.

- Czy zechce pan coś powiedzieć, panie komendancie, zanim ludzie wyruszą do akcji?

Mullett wstał i wyszczerzył w uśmiechu niewiarygodnie białe zęby.

- Tylko „powodzenia!” - zagrział tubalnie jak pastor, który daje znak do rozpoczęcia turnieju gry w wista.

Tupiąc i postukując obcasami, wycofywali się na korytarz, w zaciśniętych dłoniach miętosząc skopiowane notatki z odprawy i przydziały zadań. Allen systematycznie układał w skoroszycie materiały i czekał, aż Ingram zdejmie z tablicy zdjęcia, kiedy Mullett niepostrzeżenie prześlizgnął się w ich kierunku.

- Znakomita odprawa, inspektorze. Jest pan wzorem dla nas wszystkich.

- Dziękuję, panie komendancie - odparł Allen, choć te pochwały natychmiast obudziły w nim czujność. Wziął od Ingrama fotografie, odprawił go krótkim skinieniem głowy, a następnie jak najlepszy aktor odegrał scenę sprawdzania na zegarku, która godzina. - Czy chciał pan ze mną rozmawiać, panie komendancie? Mam dość napięty rozkład dnia. Pismaki podniosą krzyk pod niebiosa, kiedy usłyszą o naszej małej nocnej zabawie w lesie. Już widzę te tytuły: „«Diabeł w kapturze» atakuje po raz kolejny... Policji nie udało się trafić na żaden ślad”.

Mullett ze współczuciem pokiwał głową, ale wyraźnie miał chęć zdystansować się od jakichkolwiek słów krytyki pod adresem policji.

- Proszę mi nie wspominać o prasie, inspektorze. Mój telefon dosłownie urywa się, a wszystko z powodu tego nieszczęsnego wypadku, którego sprawca zbiegł... Prasa, szef policji, nawet sam sir Charles Miller.

Spojrzał na Allena w taki sposób, jakby spodziewał się, że ta lista znakomitości wywarła na nim odpowiednie wrażenie.

Ale Allen znowu niedwuznacznie popatrzył na zegarek.

- Czy właśnie w tej sprawie chciał się pan ze mną widzieć?

Komisarz utkwiał spojrzenie w ścianie, kilka cali nad głową inspektora Allena.

- Nad jakimi sprawami pracuje pan w danym momencie?

Oczy Allena zwęziły się w dwie szparki.

- Chyba nie zamierza pan dorzucić mi jeszcze czegoś? Usiłuję odnaleźć naszego gwałciciela i ślęczę nad tą sprawą przez wszystkie godziny, jakimi dobry Bóg zechciał nas obdarzyć. Nie mam czasu na nic innego.

- W pełni doceniam pańskie zaangażowanie - odparł Mullett. Wykręcił się do tyłu, żeby spojrzeć na olbrzymią mapę okręgu wiszącą na ścianie. Najwyraźniej nadal wolał uniknąć bezpośredniego kontaktu wzrokowego z inspektorem. - Chciałbym, żeby przekazał pan śledztwo w sprawie gwałtów inspektorowi Frostowi.

Allen popatrzył na komendanta tak, jakby sądził, że ten nagle postradał zmysły.

- Po moim trupie!

- Tylko na parę dni, inspektorze Allen.

- Nie zgodzę się nawet na parę minut, bo dokładnie tyle czasu trzeba, żeby Frost wszystko spieprzył.

W podnieceniu chodził po sali wielkimi krokami, od czasu do czasu energicznie uderzając w dłoń zaciśniętą pięścią.

- Ale dlaczego? Niech mi pan powie dlaczego? Mullett podniósł dłoń, żeby uspokoić to wzburzenie.

- Bo mam dla pana inne zadanie... Coś, co wymaga całego pańskiego talentu, taktu i doświadczenia.

- Och, doprawdy? - odparł Allen ostrożnie, jakby z góry wiedział, że musi to być coś diabelnie trudnego.

- Czy wie pan coś na temat wypadku drogowego, którego sprawca zbiegł z miejsca zdarzenia?

- Tylko tyle, że jest w to zamieszany Roger Miller.

- To jeszcze nic pewnego. Roger Miller twierdzi, że to nie on prowadził, ponieważ samochód został wcześniej skradziony.

Allen wygładził papiery w teczce i wsadził ją pod ramię.

- Bzdury! - walnął prosto z mostu.

Mullett skrzywił się niemiłosiernie. Brak ogłady zawsze budził w nim odrazę.

- Jego ojciec, sir Charles Miller, jest przekonany o niewinności syna.

- Trudno sądzić, żeby sir Charles był aż tak głupi.

Komisarz przysunął sobie krzesło i usiadł, uprzednio starannie podciągając nogawki spodni, żeby nie zagnieść kantów ostrych jak brzytwa.

- Allen, to sprawa absolutnie najwyższej wagi. Dziś rano sir Charles zadzwonił do szefa policji i w rezultacie szef zadzwonił do mnie do domu. Jeśli to śledztwo znajdzie swój finał w sądzie, sir Charles zamierza zaangażować najlepszych prawników.

- Przywilej bogatego człowieka - prychnął Allen.

- Fakt, inspektorze. Ale jeśli sprawa nie będzie należycie przygotowana, dobry prawnik rozniesie nas na strzępy, a to rzuci niekorzystne światło na całą jednostkę. Nie życzę sobie, żeby do tego doszło.

- Jeśli dostaniemy dobrego prokuratora, na pewno nic takiego się nie wydarzy.

- W porządku - odparł Miller. - W takim razie wyłożę karty na stół. Istnieje niewielka szansa, że Roger Miller mówi prawdę i że faktycznie skradziono mu samochód. Jeśli uda nam się dowieść, że chłopak jest niewinny, zaskarbimy sobie wdzięczność jego ojca... Do tej pory sir Charles był znany ze swojej niechęci do policji. Proszę pomyśleć, jaki zaszczyt to nam przyniesie, jeśli tak znaczny człowiek zmieni swoje stanowisko.

- A jeśli nasze śledztwo wykaże, że jego syn jest winny jak cholera? - spytał Allen.

- Wtedy przynajmniej zjawimy się w sądzie z niezbitymi dowodami. W każdym wypadku oficer prowadzący zostanie doceniony.

Jednak Allen umiał być przenikliwy.

- Czyżby? Z całym szacunkiem, panie komendancie, ale jest pan naiwny jak dziecko. Ta sprawa to prawdziwa polityczna bomba. Sir Charles Miller ma mnóstwo wrogów, także wśród ludzi na wysokich stanowiskach, i jeśli namiętności zostaną rozgrzane do odpowiedniej temperatury... Biedny, starszy człowiek zostaje przejechany na śmierć przez synalka bogacza. Gdy oczyścimy Rogera, podniesie się wrzask, że policja ochrania przestępcę, a jeśli dowiedziemy, że jest winny... No cóż, to chyba nie jest tajemnicą, że sir Charles potrafi być mściwą świnią, jeśli akurat ma na to ochotę. Na pewno wykorzystywał wszelkie dostępne środki, byle odegrać się na człowieku, który schwytał i posłał za kratki jego ukochanego chłopczyka. W każdym wypadku oficer prowadzący znajdzie się na przegranej pozycji, więc nie chcę maczać w tym palców.

Mullett wciągnął policzki i intensywnie myślał. Nadeszła pora, żeby rzucić na szalę cały swój autorytet.

- Obawiam się, że to, czego pan chce, a czego nie chce, nie ma najmniejszego znaczenia. Po ustaleniach poczynionych z szefem policji sir Charles zadzwonił tu dziś rano.

Uzyskał ode mnie obietnicę, że śledztwo będzie prowadził starszy oficer, a to oznacza, że w grę wchodzi wyłącznie pan. Nie mogę wyznaczyć do prowadzenia sprawy nikogo w randze niższej od inspektora.

Zatem sir Charles pofatygował się, żeby osobiście zadzwonić, a być może obiecał wpaść z wizytą, pomyślał Allen. To dlatego ten nieskazitelny mundur ujrzał światło dzienne po długim czasie spędzonym wśród kulek na mole.

- Powiedział pan, że nie może powierzyć śledztwa komuś w randze poniżej inspektora? Niech więc wyznaczy pan Frosta!

Odpowiedział mu pogardliwy śmiech.

- Frosta? Do sprawy, która wymaga takiej finezji?

Allen przysunął się bliżej komisarza i zniżył głos do szeptu.

- Proszę się nad tym dobrze zastanowić. Jeśli prowadzący sprawę oficer tak czy inaczej ma zostać poszkodowany, to Frost wydaje się idealnym kandydatem... - Umilkł, a po chwili dodał z naciskiem: - On będzie tym jednym, dzięki któremu większość ocaleje.

Mullett myślał nad tym, co usłyszał. Być może nadarzy się okazja, żeby pozbyć się stąd tego uciążliwego typu. Taka perspektywa wydawała się kusząca. Bardzo kusząca. Ale w jaki sposób miałby przedstawić to straszdyło sir Charlesowi i przekonać go, że to najlepszy oficer w jednostce?

- Niestety, inspektorze. Nie ma mowy. Bardzo mi przykro, ale wyznaczam pana do tego zadania.

Wtedy Allen spokojnie wyciągnął z rękawa asa, którego zachowywał na taką ewentualność.

- Chyba wie pan, komendancie, że jeśli do prasy przecieknie informacja, że zabiera pan starszemu i doświadczonemu oficerowi poważne śledztwo w sprawie gwałtu, a w zamian każe mu szukać dowodów na niewinność rozpuszczonego bachora, który przypadkiem jest synalkiem członka parlamentu, to ta historia wywrze na opinii publicznej fatalne wrażenie? Naprawdę fatalne.

Mullett popatrzył na Allena. Allen spojrział na Mulletta. Spojrzenie komendanta mówiło jasno: „Nie odważysz się”, a Allen odpowiadał bez ogródek: „Proszę spróbować”.

Komisarz pierwszy spuścił wzrok. Wstał i wielkimi krokami przechadzał się po sali odpraw, w zamyśleniu drapiąc się palcem wskazującym w podbródek. Nagle wpadła mu do głowy jakaś błyskotliwa myśl, bo zatrzymał się, a potem wolno odwrócił do Allena.

- Allen, po dłuższym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że rzeczywiście Frost idealnie się do tego nadaje. Doskonale zna miejscowe stosunki, jest... eee... - Urwał, bo zabrakło spraw, które przemawiałyby na korzyść inspektora Frosta.

- Został odznaczony Krzyżem Świętego Jerzego - podsunął Allen.

Krzyż świętego Jerzego! Niewiarygodne, a jednak prawdziwe. W zeszłym roku Frost niespodziewanie natknął się w banku Bennington na uzbrojonego rabusia, który podczas napadu wziął zakładniczkę. Facet wyraźnie był pod wpływem narkotyków i trzymał na muszce młodą kobietę z niemowlęciem na ręku. Widocznie Frost doszedł do wniosku, że broń to tylko atrapa, bo spróbował wyrwać pistolet, i otrzymał postrzał w twarz. Jednak mimo to zdołał obezwładnić napastnika i za swój czyn został odznaczony Krzyżem Świętego Jerzego - cywilnym odpowiednikiem Krzyża Wiktorii. Sam Frost rzadko o tym wspominał, a cenny medal leżał wciśnięty między duperelami w jednej z szuflad biurka, na którym panował wieczny nieład. Ale na sir Charlesie ten fakt z pewnością wywrze korzystne wrażenie, pomyślał Mullett... „Sir Charles, oto jeden z moich najlepszych ludzi... Jak pan wie, został odznaczony Krzyżem świętego Jerzego”.

Z uśmiechem zwrócił się do Allena.

- Tak, Frost jest zdecydowanie najlepszym kandydatem. Allen pospiesznie opuścił salę, nie czekając, aż Mullett zmieni zdanie. Mullett popędził do swojego biura, po drodze wydając polecenie panie Smith, żeby wyjęła zastawę z najlepszej porcelany. Tylko najlepsze rzeczy były wystarczająco dobre dla kogoś tak znacznego jak sir Charles.

Frost siedział przy biurku i grzebał w stertach papierów, zupełnie jak gospodyni domowa, która trafiła na wyprzedaż atrakcyjnych artykułów, jednak nie znalazł żadnej szczególnie korzystnej oferty, jedynie raporty z nadgodzinami i statystyki przestępstw, które powinny zostać odesłane poprzedniego wieczora. Ułożył je na samym wierzchu innych dokumentów spiętrzonych na tacy. Tak czy inaczej będzie musiał znaleźć na to czas. Wziął do ręki ostatni raport dotyczący włamania, przejrzał pobieżnie i ruszył do szafy, gdzie zamierzał go położyć obok mnóstwa całkiem podobnych raportów.

Dane właściciela domu: pani LU Carey Adres: 26 Sunford Road, Denton

Miejsce przestępstwa (jeśli inne niż wymienione): jak wyżej Lista utraconych przedmiotów (z wyjątkiem pieniędzy), wraz z podaniem przybliżonej wartości: zero

Skradzione pieniądze: siedemdziesiąt dziewięć funtów

Na pierwszy rzut oka ten raport niewiele się różnił od pozostałych. Szybkie włamanie i równie pospieszne opuszczenie okradanego domu, tym razem z łupem w wysokości siedemdziesięciu dziewięciu funtów. Złodzieje zawsze zabierali gotówkę - miała konkretną

wartość i trudno było wysledzić jej losy, wskutek czego namierzenie przestępcy wydawało się wręcz niewykonalnym zadaniem. Frost pociągnął nosem. Znał Lii Carey. Była niezarejestrowaną, jednoosobową firmą udzielającą niewielkich pożyczek, którymi zwykle wspierała gospodynie domowe, bez szemrania spłacające wygórowane raty. Nigdy dotąd nie zdarzyło się jej stracić siedemdziesięciu dziewięciu funtów. Frost pożałował, że złodziej nie zdołał ukraść więcej. I nagle dostrzegł, że słowo „funty” zostało pracowicie wydrapane przez piszącego raport oficera i zastąpione słowem „suwereny”. Siedemdziesiąt dziewięć suwerenów! Frost nie miał pojęcia, jaki obecnie jest rynkowy kurs złotych monet, ale tyle musiało być warte sporo ponad cztery tysiące funtów, biorąc pod uwagę choćby wartość samego kruszcu. Może nawet więcej, jeśli rzeczywiście pochodziły z epoki wiktoriańskiej i były w dobrym stanie. Bez namysłu wsadził raport do kieszeni. Niechybnie jeszcze dziś rano warto zadzwonić w tej sprawie do mamuski Carey.

Ktoś mocno kopnął w drzwi, a kiedy otworzyły się na oścież, do środka wkroczył Webster z dwiema filiżankami herbaty. Wyraz jego twarzy dobitnie świadczył o tym, jak bardzo cieszy go otrzymywanie takich zadań, które, jak wiadomo, wymagają sprawności umysłowej i doskonałej pamięci.

- Wielkie dzięki, synu - mruknął Frost Już dawno przekonał się, że najlepiej jest ignorować srogie miny posterunkowego, jego gniewne spojrzenia i nieustające grymasy. Długopisem zamieszał herbatę i pociągnął solidny łyk.

- Smakuje jak kocie szczyny - skonstatował i obrócił się na krześle. - Pamiętam, że dziś rano mieliśmy zrobić coś ważnego, ale za cholerę nie potrafię sobie przypomnieć, co to było.

- Zapewne chodzi o tego nieboszczyka znalezionego w publicznej toalecie. Mieliśmy poinformować jego matkę o śmierci syna.

- Tak jest! - wykrzyknął Frost.

- Poza tym dzwonił pan Dawson.

- Dawson? - zdumiał się Frost. - A któż to taki?

- Ojciec Karen, zaginionej uczennicy. Chciał się dowiedzieć, czy mamy coś nowego, więc powiedziałem, że puściliśmy w obieg jej rysopis.

Frost z zadowoleniem kiwnął głową.

- No tak... Młoda, kształtna i w dodatku świeżutko wygolona Karen... Jeśli to dziewczę szybko się nie odnajdzie, spróbujemy pod nieobecność tatusia uciąć sobie pogawędkę z jej mamusią. Wiemy o Karen jedną czy dwie rzeczy, które za cholerę mi do siebie nie pasują.

Nagle jego uwagę przyciągnęła leżąca na biurku notatka, ręcznie napisana i zakreślona na czerwono jako ważna. Przeczytał ją, marszcząc ze zdziwienia czoło.

- Godzina dziesiąta? Chyba nie spodziewamy się o tej porze wizyty pani Thatcher?

- Sekcja - wyjaśnił ostrożnie Webster.

Frost wrzucił fusy po herbacie do kosza na śmieci i sięgnął po swój nieprzemakalny płaszcz.

- Życie jest jednym, nieprzerwanym pasmem przyjemności... Chodź, synu, nie wolno nam się spóźnić.

Nagle drzwi się otworzyły i na progu stanął Mullett. Miał minę, która absolutnie przeczyła twierdzeniu, że życie w ogóle może sprawiać komukolwiek przyjemność. Frost błyskawicznie zdjął z tacy statystyki przestępstw i ułożył na środku biurka, jakby przez cały ranek ciężko nad nimi pracowali.

- Proszę o wybaczenie, szefie. Nie miałem pojęcia, że to pan.

Mullett sztywno kiwnął głową i rozejrzał się po pokoju. Boże, cóż to za śmietnik! Wszędzie sterty najróżniejszych papierzysk, nawet na parapecie, gdzie w miejscu przytrzymywały je dwa brudne kubki po herbacie. Po podłodze walały się solone orzeszki, a tu i ówdzie trafiały się resztki frytek.

- Inspektorze, pańskie biuro wygląda jak chlew. Odrażający, paskudny chlew!

- Właśnie mieliśmy zabrać się do sprzątania, kiedy zapukał pan do drzwi - skłamał z wdziękiem Frost. - Synu, uprzątnij to paskudztwo z tamtego krzesła, żeby szef miał gdzie usiąść.

Webster usunął ze wskazanego mebla stos akt z zagiętymi rogami, rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby je położyć, i w końcu zdecydował, że jedynym kawałkiem wolnej powierzchni jest blat jego biurka. Podsunął krzesło komisarzowi, ale tamten tylko parsknął z pogardą. Nie zamierzał ryzykować, że zabrudzi sobie śliczny nowy mundur. Kątem oka na tacy z przychodzącymi dokumentami zauważył raporty dotyczące nadgodzin.

- Panie Frost, krążą słuchy, że w zeszłym miesiącu pańscy ludzie nie dostali stawek za nadgodziny.

- Owszem - zgodził się inspektor. - To wszystko wina tego pieprzonego komputera. Zawsze coś z nim jest nie tak.

Zagapił się na Mulletta, ale zaraz przypomniało mu się, że dziś rano jest strasznie zajęty.

- Szefie, czy przyszedł pan po to, żeby walnąć mnie w jaja, czy też wydarzyło się coś istotnego? Mam dziś cholernie dużo rzeczy do załatwienia. Za pół godziny w prosektorium zaczną wycinać filety z Bena Cornisha i wydaje mi się, że powinienem przy tym być.

- Mam dla pana coś ważniejszego niż tamto - warknął Mullett. - Roger Miller... Wypadek, którego sprawca uciekł... Wyznaczam pana do tego zadania.

- Znakomicie, szefie - uradował się Frost. - Nie ma sprawy, wsadzę do paki tego małego skurczybyka, przekona się pan.

Mullett zacisnął zęby i pożałował, że tak łatwo dał się przekonać Allenowi.

- Nic nie rozumiesz, Frost - wycedził i w krótkich słowach wyjaśnił, czego się po nim spodziewa.

*

Sierżant Johnson, pełniący służbę na rannej zmianie, zszedł do aresztu, żeby sprawdzić, jak się miewają zatrzymani. Trochę się zirytował na wieść, że Frost pozwolił zostać na noc Walhiemu Petersowi, choć rezultat tej łaskawości był łatwy do przewidzenia. Cela była mokra, jakby ktoś polał ją wodą.

- Inspektorze! - ryknął surowo, kiedy Frost z Websterem szli przez hol w drodze na parking.

- Tak, Johnny? - odrzyknął od drzwi Frost.

- Na dole siedzi jeden z pańskich przyjaciół. Zasikał całą celę i śmierdzi tam teraz jak w kloace.

Frost z udawanym zakłopotaniem zmarszczył brwi.

- A co robi w celi pan Mullett? - zapytał.

ŚRODA, RANNA ZMIANA (2)

Kręcił się niecierpliwie po holu w pobliżu skrzynki na listy, a kiedy tylko posłaniec przecisnął gazetę przez wąski otwór, chwycił ją i chciwie przejrzał nagłówek. Tytuł największego artykułu brzmiał: MAKABRYCZNY WYPADEK AUTOKARU - PIĘĆ OSÓB NIE ŻYJE. Nic na temat ataku. Coraz szybciej odwracał stronę po stronie, a jego spojrzenie galopowało po rozmaitych tytułach. Nic. Z powrotem wrócił na pierwszą stronę. I wtedy to znalazł. Cztery zamazane linijki, wciśnięte w ostatniej chwili na samym dole w prawym rogu. „Atak w lesie w Denton. Późnym wieczorem kobieta została napadnięta i zgwałcona w Denton Woods. Policja szuka mężczyzny, którego uważa się za sprawcę podobnych ataków, do jakich doszło niedawno w najbliższej okolicy”.

Cztery linijki! Czuł, że za chwilę się rozplacze. To było strasznie nie fair. Czytanie o tym po fackie było przecież częścią przyjemności! Czasami któraś z gazet zamieszczała

wywiad z napadniętą dziewczyną, w której ofiara opisywała swoje przerażające doświadczenia. Wtedy na nowo ogarniało go podniecenie.

Cztery linijki. Cztery nędzne linijki. Zresztą tym razem gazeta kłamała. Napisali, że ją zgwałcił. Nie zrobił tego.

Nie mógł. Wybrał ją, bo był pewien, że ma do czynienia z młodą, nietkniętą dziewczyną, ale się pomylił. Okazała się zwykłą dziwką. Brudną suką z uszmińkowanymi cyckami, która sprzedawała się przypadkowym facetom i prawdopodobnie była już zarażona jakąś paskudną chorobą. Dwa dni wcześniej próbowała go poderwać. Kurwa, dziwka. Włożyła szkolne ciuchy, żeby go zwabić w pułapkę.

Wściekłym ruchem zmiął gazetę i cisnął ją w kąt przy drzwiach. Potem poszedł do łazienki, żeby wyciągnąć ze schowka dobrze już podniszczoną książkę. Czas płynął nieubłaganie. Dziś w nocy spróbuje ponownie. Poszuka młodszej. Otworzył książkę i zaczął czytać.

*

Wcześniej ustalili, że nieprzyjemne sprawy należy załatwić w następującej kolejności: po pierwsze, zadzwonić do pani Cornish i przekazać wiadomość o śmierci syna, po drugie, dotrzeć na sekcję. Ale jeśli chodzi o Frosta, to wszelkie ustalenia zazwyczaj ulegały zmianie. Uparł się, że najpierw musi sprawdzić inne pilne wezwanie.

- Mała zmiana planów, synu - oświadczył. Wyciągnął raport z kieszeni i w skrócie opowiedział Websterowi o Lii Carey i kradzieży należących do niej suwerenów.

- Czy możemy zrobić sobie małą przerwę i załatwić po drodze tę drobnostkę? To nie powinno potrwać dłużej niż kilka minut.

Webster spojrział na zegarek. Nie było możliwości, żeby na czas dojechali na sekcję. Już i tak byli spóźnieni, a tymczasem Frost wymyślał następny objazd.

- Zaparkuj tam, synu. Pod tamtą latarnią.

Na Sunford Street stał rząd ponurych segmentów. Wysiedli z auta, przeszli na ukos przez chodnik i zatrzymali się na ganku domu oznaczonego numerem dwadzieścia sześć. Ten dom wyglądał jeszcze gorzej niż domy sąsiadów. Frost zastukał kołatką i po chwili usłyszeli dobiegające ze środka szuranie, a następnie ochrypnięty kobiecy głos zapytał, kim są i czego tu szukają.

- Kuba Rozpruwacz i Hannibal Lecter - zawołał Frost przez otwór w skrzynce na listy.

- No chodź, Lii, wpuść nas. Cholernie dobrze wiesz, kim jesteśmy. Już kiedy zatrzymaliśmy się na parkingu, czułem, że gapisz się przez zaciągnięte zasłony.

W odpowiedzi usłyszeli dzwonięcie łańcuchów, odgłos przekręcanego w zamku klucza i zgrzyt odsuwanych blokad, a potem skrzypnięcie drzwi. Naprzeciwko nich stała niewysoka, żylasta kobiecina w zjedzonym przez mole futrze, zarzuconym na przydługą koszulę nocną. Krawędź koszuli była czarna od brudu, ponieważ zawsze ciągnęła się po podłodze. Całości stroju dopełniała źle dopasowana i niepasująca do reszty brązowa peruka z nylonu, w bąbelkowym stylu wprowadzonym przez Shirley Tempie. Kiwała się na wszystkie strony, ilekroć jej właścicielka zechciała pokręcić głową. Twarz kobiety pokrywała co najmniej centymetrowa warstwa makijażu, a jej policzki uróżowane były tak mocno, że przypominały policzki klauna. Na oko miała przynajmniej siedemdziesiąt lat, ale równie dobrze mogła się już zbliżać do osiemdziesiątki.

- Powiedz mamusce, że gliny już tu są - powitał ją Frost.

- Wolne żarty - odcięła się. - Gdzie byłeś, kiedy mnie ograbiano?

- Taplałem się w sikach w męskiej toalecie - wyjaśnił. - No to jak, Lii, czy możemy wejść?

Zaprowadziła ich do salonu na parterze w przedniej części segmentu - zimnego, zawilgoconego pudełka, zagraconego ciężkimi, rzeźbionymi meblami, które dawno temu polakierowano na kolor ciemnego dębu. Na środku pokoju kulawy stół ugiął się pod ciężarem starych gazet, związanych sznurkiem. Wyposażone w zestaw lichtarzy pianino przycupnęło skromnie w kącie; na nim także spoczywał stos związanych gazet, bardziej okazały, niżby wypadało. Jedyne okno ukryte było pod ciężką aksamitną zasłoną, szczelnie zaciągniętą, żeby przypadkowi przechodnie nie mieli szansy rzucić okiem na znajdujące się wewnątrz skarby.

Frost przejechał kciukiem po jednej z pośliskłych stron.

- Wygląda na to, że pan Atlee szykuje się do wygrania wyborów - zauważył. - No więc, Lii, co tu się wydarzyło?

- Inspektorze, przecież świetnie pan wie, co się wydarzyło

- odparła, a peruka zakołysała się gwałtownie. - Wszystko napisałam w zgłoszeniu. W obecnych czasach każdą sprawę załatwia się za pomocy cholernych formularzy. Niedługo trzeba będzie wypełnić formularz, żeby iść do kibla.

- Osobiście wolę wypełniać co innego - mruknął Frost.

- Lii, mój zarośnięty kolega ma kłopoty z czytaniem, więc lepiej sama mu opowiedz, co tu się stało.

Obrzuciła Webstera badawczym spojrzeniem i najwyraźniej doszła do wniosku, że można mu zaufać.

- Tylko słuchaj uważnie, młody człowieku, bo nie powtórzę.

Poprzedniego dnia Lii wybrała się w podróż do Felby

- miasteczka oddalonego od Denton mniej więcej o piętnaście mil - żeby odwiedzić chorą siostrę. Wyszła z domu dokładnie o trzeciej, żeby złapać pociąg, który odjeżdża z Denton o trzeciej trzydzieści dwie. Kilka minut przed wyjściem sprawdziła, że jej suwereny są bezpieczne. Z powrotem dotarła do domu około dziesiątej wieczorem tego samego dnia, ale była tak zmęczona podróżą, że poszła prosto do łóżka.

- Gdybym wiedziała, że skradziono oszczędności mojego życia, nie zmrużyłabym oka nawet na ułamek sekundy - oznajmiła. - Następnego dnia zaraz po śniadaniu zajrzałam do skrytki i o mało nie dostałam apopleksji. Puszka była pusta. Wszystko przepadło - moje pieniądze, które zbierałam i oszczędzałam na każdym kroku, mój jedyny majątek, jedyne środki na godny pochówek... Moim zdaniem powinni przywrócić karę śmierci przez powieszenie.

Biedna starowinka, pomyślał Webster.

- Gdzie trzymała pani tę puszkę? - W pianinie.

Kołysząc się jak kaczką, podeszła do instrumentu, zgarnęła z wierzchu pokaźne sterty papierzysk i otworzyła górną klapę, a następnie wspinając się na palce, zagłębiła dłoń w czeluści. Struny zadźwięczały żałośnie, kiedy wyciągała spomiędzy nich puszkę po ciasteczkach, ozdobioną wizerunkami króla Jerzego V i królowej Marii. Otworzyła wieczko i przytrzymując je w górze, zademonstrowała wszem wobec kompletny brak czegokolwiek.

- Zgadza się, jest pusta - mruknął Frost. - Nigdy nie widziałem puszeki, która byłaby równie pusta jak ta. Kto jeszcze wiedział, gdzie ją trzymasz?

- Nikt! - zawołała z przejęciem.

- No cóż, złodziej wiedział.

- Czy zginęło coś jeszcze? - zainteresował się Webster. Peruka zachwiała się i przesunęła się z jednego boku na drugi.

- Dzięki Bogu nic więcej. Sprawdziłam wszystko. Zginęło jedynie siedemdziesiąt dziewięć złotych suwerenów.

- Lii, jakie to były suwereny? - spytał Frost.

- Wszystkie z królową Wiktorią - odparła. - Moja mamusia, świeć Panie nad jej duszą, dała mi je na łożu śmierci.

- Czy rozpoznałabyś je, gdyby ci je pokazano?

- Oczywiście! Znam każdy znak na nich, każdą najdrobniejszą rysę... Znam je tak dobrze, jak gdyby były moimi własnymi dziećmi i tęsknię za nimi dokładnie tak samo...

Lii wytarła oczy, a potem głośno wydmuchała nos w chustkę sporych rozmiarów, która sądząc z wyglądu, również pochodziła z epoki królowej Wiktorii, a w dodatku od tamtego czasu ani razu nie była prana. Peruka zsunęła się na jedno oko.

- Czyli puszka była schowana w pianinie. Skinęła głową.

Frost w zamyśleniu skubał bliznę. Ten sam sposób działania co zawsze, szybkie wejście i wyjście z okradanego domu, ale tym razem złodziej dokładnie wiedział, po co przyszedł i gdzie należało tego szukać. Ale jak się tutaj dostał? Może przez okno?

Przecisnął się obok stołu, odsunął zasłony i spróbował podnieść jedno z okiennych skrzydeł. Nawet nie drgnęło. Na samym początku swego istnienia zostało pokryte grubą warstwą gęstej farby, która przywarła do framugi, sklejjąc okno na amen. Złodziej na pewno nie wszedł tą drogą. Bardziej niż prawdopodobne wydawało się, że wykorzystał w tym celu drzwi frontowe.

Drzwi prawie ugiwały się pod ciężarem rozmaitych zabezpieczeń - rygli, żelaznych sztab i całego zestawu łańcuchów - lecz wszystkie zamontowane były od wewnątrz, więc kiedy Lii wyjechała odwiedzić siostrę, zamknęła drzwi na zwykły zamek. Wyglądał dość solidnie, ale jak w wielu starych domach model był tak prosty, że dawał się otworzyć kawałkiem giętkiego plastiku.

- Wszystko wskazuje na to, że złodziej dostał się do środka przez drzwi, ale lepiej będzie, jeśli trochę się rozejrzysz, czy nie ma gdzieś śladów włamania - powiedział do Webstera, a potem odwrócił się do starej przyjaciółki i uśmiechnął od ucha do ucha. - Lepiej z nim idź, Lii, na wypadek gdyby chciał ci coś podwędzić. Wiesz przecież, że gliniarzom wszystko klei się do rąk.

Webster wcale nie uważał, żeby to było śmieszne, zwłaszcza że Lii chyba wzięła sobie do serca radę inspektora, bo szła za nim krok w krok przez wszystkie pomieszczenia, mierząc go podejrzliwym spojrzeniem.

Frost, gdy tylko został sam w salonie, natychmiast zaczął otwierać szuflady i bacznie przyglądać ich zawartość. Potem podniósł leżące na klapie pianina pakunki gazet, żeby rzucić okiem na klawiaturę. Na pożółkłych klawiszach spoczywały wyciągi z rachunków bankowych, pocztowe książeczki oszczędnościowe i zaświadczenia o udziałach w spółdzielni mieszkaniowej. Pospiesznie przekartkował wszystkie dokumenty, żeby zorientować się, jak wielki majątek zdążyła zgromadzić starowinka. Po uporaniu się z tym zadaniem przyjrzał się odcinkom zasiłku rodzinnego, które - ułożone w pokaźny plik i związane grubą recepturką - zajmowały przeciwny koniec klawiatury. Także chciał je dokładnie przestudiować, ale

przeszkodziły mu w tym odgłosy kroków na schodach. Natychmiast ułożył wszystko w idealnym porządku i z całkowicie niewinną miną przysunął się do okna.

Webster nie znalazł co prawda żadnych śladów włamania, ale zaszokowała go bieda, w jakiej żyła starsza pani. W sypialni brakowało ogrzewania, na podłodze leżały gołe deski, a na łóżku miejsce koca zajmowały stare, podarte palta.

Zapukali jeszcze do kilku sąsiednich segmentów, ale żaden z mieszkańców nie chciał się przyznać, że poprzedniego dnia widział w pobliżu kogoś podejrzanego. W związku z tym niewiele można było zrobić - oprócz powiadomienia Interpolu, co zresztą zasugerowała im sama Lii.

Puszka po ciasteczkach wylądowała w plastikowej torebce na dowody, bo należało poddać ją badaniu na obecność odcisków palców. Nadszedł czas, żeby jechać dalej. Lii zobaczyła, że zbierają się do wyjścia, i w ostatniej chwili złapała Frosta za ramię.

- Proszę, inspektorze, niech pan odzyska moje pieniądze.

Frost wzruszył ramionami.

- Jeśli dam radę, Lii... Na razie nasze osiągnięcia w tej dziedzinie wyglądają dość nędznie. Krótko mówiąc, jeśli chodzi o te kradzieże, do tej pory nie udało nam się odzyskać ani pensa.

Z drżącymi ustami spoglądała żałośnie na Frosta, zupełnie jakby przed chwilą ją powiadomił, że cała jej rodzina zginęła w katastrofie lotniczej.

- To były pieniądze na mój pogrzeb - szepnęła, mrugając mocno, żeby powstrzymać czarne od tuszu łzy, które cisnęły się do oczu.

Webster wślizgnął się za kierownicę. Czuł, jak w gardle rośnie mu kłęb waty.

- Biedaczka - mruknął. - Tak mi jej żal... Powinien pan zobaczyć resztę tego mieszkania. Wygląda na to, że nie bardzo ma z czego żyć.

- Za to ty powinienesz zobaczyć wyciągi z jej rachunków - odparł Frost. - Ma przynajmniej dwadzieścia tysięcy w spółdzielni mieszkaniowej, piętnaście w banku i Bóg wie ile na innych kontach.

- Chyba pan żartuje! - wykrzyknął Webster.

- Ani trochę, synu. Powęszyłem sobie tam na dole, kiedy ty i ona byliście zajęci w sypialni. Wiele lat temu zajmowała się przeprowadzaniem nielegalnych aborcji - pięćdziesiąt szylingów za zabieg, włączając w to filiżankę herbaty i ciasteczko, którymi częstowała już po. Miała ksywkę Krawcowa. Gdyby nie Lii i jej szydełko, obecnie groziłoby nam przeludnienie... Jak tylko przerywanie ciąży stało się zgodne z prawem, Lii przerzuciła się na udzielanie pożyczek. Głównie chodziło o krótkoterminowe pożyczki na wysoki procent dla

osób desperacko potrzebujących gotówki - na przykład dla gospodyń domowych, które przegrały w bingo kasę na utrzymanie domu i chciały ten fakt zachować w tajemnicy przed swoimi mężusiami, albo dla organizatorów różnych imprez, którym cudza forsa kleiła się do palców. Tak samo za plecami rodziców pożyczala pieniądze młodym ludziom, jako zabezpieczenie wiarygodności zabierając im książeczki renty rodzinnej. Lii trzyma w pianinie całe mnóstwo takich książeczek. Naprawdę nie musisz z jej powodu ronić łez, mój owłosiony chłopcze o tkliwym serduszku.

Czas pędził na łeb, na szyję. Wizyta u pani Cornish musiała poczekać, aż zakończy się sekcja jej syna. W drodze do prosektorium Webster pobił wszelkie rekordy prędkości i z piskiem opon zatrzymał się tuż za zderzakiem karawanu rolls-royce, który lśnił czernią i srebrem, zupełnie jak nowy mundur Mulletta.

Niemal w biegu wysiadali z cortiny i spieszyli w górę wzniesienia, gdzie za podwójnymi drzwiami mieścił się niewielki hol z wielkim napisem na ścianie: *Przed zabraniem zwłok wszyscy przedsiębiorcy są zobowiązani zameldować się u portiera*. Przy kontuarze dwóch odzianych w stosowną czerń pomocników przedsiębiorcy pogrzebowego kłóciło się z niedużym, łysym jegomościem, który pełnił dziś dyżur dozorca kostnicy. Łysy z zapalem kręcił głową, kartkując gruby plik leżących przed nim dokumentów.

- Mówię panu przecież, że ten cholerny pogrzeb ma się zacząć za godzinę - zirytowanym tonem rzucił jeden z pomocników. - Chowamy faceta o dwunastej.

- Niech pan przestanie się na mnie wydzierać. - Dozorca wyciągnął się na pełną wysokość. - Bez aktu zgonu możecie się pieprzyć.

- Najmocniej przepraszam. - Frost utorował sobie drogę łokciami, jak sędzia rozdzielający na ringu dwóch zawodników. - Przyjechaliśmy na sekcję Bena Cornisha - powiedział, podtykając dozorce pod nos legitymację.

Dozorca wyciągnął szyję, żeby zerknąć na zegar.

- Trochę się pan spóźnił, inspektorze.

- Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że już zaczęli? - zaniepokoił się Frost.

- Według mnie za chwilę skończą. Wie pan przecież, jak punktualny jest doktor Bond. Nie lubi pieprzyć się z robotą.

Przecisnęli się przez następne podwójne drzwi, prosto w biały chłód wyłożonej zielonymi kafelkami sali sekcyjnej, gdzie ostra woń środków antyseptycznych mieszała się z zapachem czegoś paskudnego.

Pod ścianą na lewo od wejścia stał przykryty prześcieradłem wózek. Frost uniósł rąbek materiału i spojrział w wyschniętą, woskową twarz jakiejś staruszki.

- Och, wybacz, kochanie - mruknął i z powrotem naciągnął prześcieradło. - Wydawało mi się, że to ktoś znajomy.

W odległym kącie pomieszczenia ubrany w gumowy fartuch i wysokie buty z cholewami pracownik polewał wodą z węża perforowany blat stołu do sekcji. Nagle woda wezbrała, jakby coś zatkało jeden z odpływów, ale mężczyzna palcem usunął blokadę i powrócił do swojej roboty. Webster zadrżał na samą myśl, co to mogło być.

Frost popukał w ramię pracownika prosektorium.

- Przyjechaliśmy na sekcję Bena Cornisha.

- Już po wszystkim - odparł tamten, zbyt zaabsorbowany swoją robotą, żeby przerwać ją choćby na chwilę. - Lekarz sądowy już odjechał, ale doktor Slomon jest w biurze i czeka na pana.

Slomon przechadzał się po gabinecie wielkimi krokami, jakby coś nie dawało mu spokoju. Na widok Frosta popędził w jego stronę i chwycił za ramię.

- Dzięki Bogu, że pan przyjechał, inspektorze... Kto to jest? - dodał, marszcząc brwi.

Frost przedstawił swojego pomocnika. Slomon się zawahał.

- To dość delikatna sprawa - mruknął. Wyraźnie miał ochotę wyprosić Webstera za drzwi.

- Jeśli dotyczy policji, dotyczy także jego - odparł Frost. Slomon zasnuował usta. Wyjrzał na korytarz, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie kreci się ktoś niepowołany, kto mógłby podsłuchać rozmowę, a potem zatrzaskał drzwi.

- Mamy kłopoty, inspektorze - oznajmił, na wszelki wypadek ścisząc głos do szeptu.

- Kłopoty to moja specjalność - odparł Frost i znalazł sobie wolne krzesło.

Nie podobał mu się ton tej wypowiedzi ani fakt, że doktor użył liczby mnogiej. Wszystko wskazywało na to, że to Slomon wpadł w tarapaty, ale chętnie przerzuci większą część odpowiedzialności na barki inspektora. Frost nadstawił uszu i ostrożnie chłonał każde słowo.

- Musi pan przyznać, inspektorze, że nikt nie może we właściwy sposób przeprowadzić badania w takich okolicznościach, w jakich musieliśmy to robić wczoraj wieczorem. Warunki były wręcz fatalne i nawet jeśli coś przeoczyliśmy, to absolutnie nie ma w tym naszej winy. To bardzo ważne, żeby w raportach podkreślać ten fakt. Ludzie zawsze chętnie oskarżają innych o zaniedbanie obowiązków.

Teraz Frost naprawdę się zaniepokoił. Do diabła, czego nie zauważyli zeszłej nocy?

- Co wykazała sekcja, doktorze?

- Proszę za mną, to sam pan zobaczy.

Slomon ujął Frosta za ramię i pociągnął w stronę przylegającej do sali operacyjnej chłodni, gdzie w specjalnych ścianach kryły się starannie oznakowane segmenty. Wyglądały zupełnie jak rząd szuflad w szafie na dokumenty.

- Hmm, gdzie jest mrożony groszek? - mruknął Frost, ale Slomon nie był w nastroju do żartów. Szarpnął za jedną z szuflad i otulone oparami zamrożonego dwutlenku węgla ciało wyjechało bezszelestnie na rolkach.

Wymizerowana, dziwnie czysta twarz Bena Cornisha spoglądała w górę z zastygłym w oczach wyrazem przerażenia, jakby chciała zaprotestować przeciwko poniżeniu, które stało się jego udziałem.

- Proszę popatrzeć na to. - Slomon wskazał paskudnie wyglądający, zielonkawy siniak pod lewym okiem nieboszczyka.

Frost przykucnął obok ciała.

- Jak to możliwe, że nie zauważyliśmy tego zeszłej nocy, doktorze? Sprawa wydaje się aż nadto oczywista.

- Ostatniej nocy zwłoki były pokryte warstwą brudu i wymiocin - wyjaśnił Slomon. - To ukazało się dopiero po tym, jak ciało zostało rozebrane z tych szmat i porządnie umyte. Wtedy nie było sposobu, żebym mógł cokolwiek zauważyć.

Opuścił niżej prześcieradło, odsłaniając tors i górną część ud. Prawa ręka nieżywego mężczyzny była jedną wielką raną, zaognioną i pokrytą mnóstwem ropiejących wrzodów w miejscach, gdzie wbijał strzykawkę. Na piersi i brzuchu zostały czerwone ślady po rozległych nacięciach wykonanych podczas sekcji, naprędce zaszyte po usunięciu z jamy brzusznej narządów wewnętrznych. Ogromny, rozlany siniak w żółtozielonym kolorze obejmował całą powierzchnię brzucha.

Slomon przejechał czubkiem palca po granicy zasinienia.

- Jak widzicie, biedak tuż przed śmiercią dostał niezłe lanie.

Frost poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Powoli zaczęło do niego docierać, co zaraz się wydarzy.

- Czy to jest skutek uderzenia pięścią?

- Nie - odpowiedział Slomon. - Butem. Najpierw ktoś go walnął i powalił na ziemię, a kiedy delikwent leżał już na podłodze, napastnik podniósł nogę i z całej siły nadepnął mu na podbrzusze.

Frost zacisnął zęby i skrzywił się. Niemal czuł, jak niehumanitarny ból przeszywa jego własne ciało. Ale Slomon jeszcze nie skończył. Ze stalowej szafki stojącej w kącie chłodni wyjął dwa zapieczętowane słoje na próbki, w których znajdowały się zmasakrowane ludzkie

wnętrznosci, na wpół zanurzone w krwawym płynie. Na sam ich widok Webster odruchowo cofnął się o krok, a jego żołądek raz i drugi skurczył się w gwałtownym proteście. Jednak Slomon zwrócił się do nich beznamiętnym tonem, zupełnie jakby prowadził wykład dla studentów.

- Jak widzicie, jego wątroba właściwie eksplodowała. Podczas całej kariery zawodowej nigdy nie widziałem tak strasznych uszkodzeń narządów wewnętrznych. Co więcej, ciosy rozwały trzustkę i rozerwały główne naczynie krwionośne, które prowadzi wprost do serca... Te obrażenia są naprawdę szokujące.

- Czy właśnie to go zabiło, doktorze? - spytał z lękiem Frost. Bał się, że doktor zaraz ściągnie prześcieradło, odkrywając następne okropności.

- To i tak by go zabiło, prędzej czy później - odparł Slomon. - Nie ma sposobu, żeby wyleczyć się z takich ran... Nawiasem mówiąc, pierwsze uderzenie w podbrzusze wywołało nagły atak wymiotów i facet udusił się własnymi rzygami. Przynosi mi to zaszczyt, gdyż proszę zauważyć, że moja diagnoza okazała się w stu procentach słuszna, mimo że badanie zostało przeprowadzone w warunkach wołających o pomstę do nieba.

Zaszczyt? - pomyślał Frost. Ta sprawa nikomu nie przyniesie zaszczytów, doktorze Slomon. Wsadził ręce głęboko do kieszeni i w cichości ducha klął sam siebie. Do diabła, dlaczego nie zauważyłem tego zeszłej nocy? Bo cholerny Slomon nie chciał zamoczyć eleganckich bucików, a poza tym ja sam okazałem się niekompetentnym durniem. Tak strasznie śpieszyło mi się na to zawieszony przyjęcie, że odwałem prawdziwą fuszerkę. To ja powinienem był dopilnować, żeby Slomon zrobił wszystko jak należy.

- Nie chcę, żeby dotykano ciała - powiedział. - Trzeba będzie zrobić kilka zdjęć. Przyślę tu kogoś z aparatem... Poza tym muszę dostać jego ubranie, żeby wysłać je do laboratorium.

Ponownie spojrzął w martwą twarz i przywołał z pamięci scenę, która rozegrała się w toalecie poprzedniego wieczora. Kabina z roztrzaskanymi drzwiami. Bez trudu mógł to sobie wyobrazić. Drżący ze strachu Ben kuca wewnątrz i widzi, jak napastnik celnym kopnięciem rozwała drzwi, żeby wyciągnąć go z kryjówki i zdeptać na śmierć. Zakrył prześcieradłem twarz zmarłego i popchnął szufladę, która natychmiast się zamknęła.

- Chodź, synu. Mamy mnóstwo roboty.

- Proszę nie zapomnieć podkreślić w raporcie, że wczoraj wieczorem zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy! - zawołał za nimi Slomon, kiedy już wychodzili.

Frost tylko machnął ręką. Opisz wszystko, co się wydarzyło. Nic więcej, nic mniej. Nie miał wątpliwości, że Slomon w swoim raporcie zwali całą winę na policję, ale szkoda mu było czasu na tak przyziemne gierki.

Przepchnęli się przez wahadłowe drzwi do głównego holu. Boczne wejście było otwarte na oścież, bo dwaj pomocnicy przedsiębiorcy pogrzebowego właśnie wynosili trumnę prosto do karawanu. Za kontuarem recepcji strażnik odnotowywał w dzienniku fakt wydania ciała i poprawiał dane, jeśli chodzi o liczbę leżących w kostnicy nieboszczyków. Gwizdał pod nosem jakąś wesołą melodyjkę, zupełnie jakby przed chwilą w jego kieszeni wylądował pięciofuntowy banknot. Wśród leżących na wierzchu dokumentów nadal brakowało aktu zgonu.

*

Powietrze na zewnątrz było cudownie świeże i nieskazitelnie czyste. Czekając na odjazd karawanu, Frost zastanawiał się głośno nad czymś, co wyraźnie nie dawało mu spokoju.

- Dlaczego komuś zależało, żeby wyrządzić krzywdę takiemu biednemu skurczybykowi jak Ben?

- Może chodziło o kradzież - zasugerował Webster.

- Przecież on nie miał złamanego pensa.

- Narkotyki? - kontynuował Webster. - Może inny ćpun chciał się dostać do działek heroiny, ale przedtem musiał zabić Bena?

Przez kilka sekund Frost niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Webster już zaczął się zastanawiać, czy inspektor w ogóle go słucha, kiedy Frost nagle odwrócił się i spojrzał na niego.

- Byłem cholernym głupcem, synu. Wiedziałem, że umknęło mi coś istotnego.

- Co?

- Reklamówka. Ben trzymał w plastikowej torbie cały swój dobytek: żarcie, strzykawkę i inne duperele. Nigdzie się bez niej nie ruszał. Jednak zeszłej nocy obok ciała nie znaleźliśmy żadnej torby. Ten, kto go zabił, zabrał jego rzeczy.

Zabębnił palcami o deskę rozdzielczą, a następnie pochylił się, wziął do ręki słuchawkę z mikrofonem i wywołał Johnny'ego Johnsona, który właśnie miał dyżur na posterunku. Chciał się dowiedzieć, czy Wally Peters wciąż siedzi w celi.

- Dzięki Bogu, już nie - brzmiała odpowiedź. - Wykopaliliśmy go stąd jakieś pół godziny temu. Zaraz potem trzeba było otworzyć wszystkie okna, zapalić świece siarkowe i zeszkrobać gówno z podłogi.

- Chcę, żebyście z powrotem go ściągnęli - powiedział Frost. - Nadaj to do wszystkich patroli.

- Z powrotem, Jack? Dlaczego, na litość boską?

- Właśnie wracamy z sekcji. Cornish został zamordowany.

- Zamordowany? - sapnął Johnson. - Czemu ktoś miałby go zamordować?

- Pewnie z powodu tych paru śmieci, które nosił w torbie... - odparł Frost. - Torba gdzieś znikła... A Wally'ego widziano wczoraj wieczorem, jak kręcił się w pobliżu miejskich szaletów. Chcę go przesłuchać.

- W porządku. Uważaj, że sprawa załatwiona. Nawiasem mówiąc, Jack, przyjedziesz niedługo, prawda? Pan Mullett ściągnął tu sir Charlesa Millera, jego syna i adwokata. We czterech siedzą sobie teraz w gabinecie i marzą, żeby porozmawiać z tobą na temat wczorajszego wypadku.

- Cholera jasna! - wrzasnął Frost. - Na śmierć o tym zapomniałem! Już jedziemy, powinniśmy być za jakieś dziesięć minut.

Odłożył na miejsce mikrofon.

- Biegiem wracamy na posterunek, synu - polecił, ale wtedy Webster zauważył, że mieli zajrzeć do rodziny Bena Cornisha.

- Psiakrew - mruknął Frost. - Faktycznie, to trzeba załatwić w pierwszej kolejności.

Zaraz potem przypomniał sobie, że jeszcze w szpitalu postanowił zajrzeć do Toma Crolla, żeby zadać mu kilka dodatkowych pytań na temat napadu w „The Coconut Grove”, i ze zdenerwowania zaczął skubać bliznę na policzku. Tyle spraw czekało na niego, a on nie miał pojęcia, kiedy i jak wszystko załatwić.

I wtedy ją zobaczył.

- Zatrzymaj się!

Webster wdepnął w hamulec, aż opony zapiszczały.

Młoda dziewczyna w szkolnym mundurku stała przed wystawą sklepową i gapiała się na sukienki. Frost już wyciągał rękę do klamki, kiedy nagle dziewczyna odwróciła się i spojrzała wprost na niego.

Miała blond włosy, na nosie okulary i w najmniejszym stopniu nie przypominała Karen Dawson.

- Jedź dalej, synu - rzekł z rezygnacją.

ŚRODA, DZIENNA ZMIANA (3)

Frost kilka razy zastukał kołatką, co wywołało wewnątrz domu serię rozmaitych hałasów. Najpierw zaszczekał pies, odpowiedziało mu kwilenie niemowlęcia, a następnie na

nieosłoniętych wykładziną schodach załomotały czyjeś kroki. Po chwili ze środka dobiegł krótki, gniewny okrzyk, potem bolesny skowyt psa, a zaraz potem uchyliły się na parę centymetrów drzwi frontowe.

- Policja - powiedział Frost. Nie musiał szukać legitymacji służbowej. Danny Cornish znał go od dawna.

Danny w niczym nie przypominał swojego brata. Był cztery lata młodszy od Bena, ale mocno zbudowany, a rumiane policzki i czarne, gęste włosy zdradzały cygańskie korzenie rodziny. Na widok gości zacisnął mięsistą dłoń na obroży masywnego, brązowo-czarnego kundla, który najwyraźniej miał ambicję zatopić kły w gardłach obydwu policjantów.

Webster odruchowo cofnął się kilka kroków, bo zęby kłapnęły złowrogo. Frost mierzył gospodarza ostrożnym wzrokiem, bo w jego oczach malowała się taka sama nienawiść i okrucieństwo jak w spojrzeniu psa. Przez moment nawet miał wrażenie, że Danny gotów jest rozluźnić zacisnięte na obroży palce. Kundel prawie toczył pianę z pyska, a jego wysiłki, żeby rozerwać intruzów na strzępy, zaczynały graniczyć z szaleństwem.

Nie spuszczając psa z oka, z nogą gotową do odparcia ewentualnego ataku, Frost zwrócił się do Cornisha.

- Lepiej będzie, jeśli wpuścisz nas do środka, Danny. Chodzi o twojego brata.

Mężczyzna szturchnął psa, który od razu przestał szczekać. Teraz zadowolił się złowrogimi pomrukami i obnażaniem żółtawych, ostrych kłów.

- O Bena? A co, znów narozrabiał?

- Nie wpuszczaj tu tych bandytów!

Z głębi korytarza za plecami Danny'ego wyłoniła się młoda kobieta, wyglądająca na nie więcej niż dziewiętnaście lat. Na ręku niosła niemowlę, którego wrzaski prawie utonęły w złowrogim warkocie bliskiego już apopleksji psa. To była Jenny, żona Danny'ego poślubiona według prawa cywilnego. Niegdyś musiała być ładna, ale teraz jej rysy stwardniały i wykrzywiła je nienawiść.

Gwałtownie odwrócił głowę w jej kierunku.

- Idź stąd, na litość boską! I ucisz tego cholernego bachora!

Niemowlę zareagowało jeszcze głośniejszym płaczem, a wtedy kundel podwoił wysiłki. Cornish szarpnął go za obrozę i powłókł przez korytarz w stronę tylnego wejścia, po czym wypchnął na podwórze. Jeszcze nie zdążył dobrze zamknąć drzwi, kiedy zwierzę uderzyło w nie całym ciężarem, usiłując wdrzeć się z powrotem.

- Tutaj.

Z korytarza wprowadził gości do malutkiej kuchni, w której panował jeszcze większy hałas. Stojący na palniku gazowym czajnik buchał kłębamii pary i gwizdał wściekle, jakby chciał iść w zawody o palmę pierwszeństwa z tranzystorowym radiem ustawionym na pełną moc, które wyrzucało z siebie mocny rytm muzyki pop. Cornish zdjął czajnik z ognia, a potem pstryknięciem wyłączył radio.

Przy zlewie stała koścista, wyprostowana kobieta około sześćdziesiątki, o kruczoczarnych włosach i takich samych oczach, i mechanicznie kroila warzywa, od czasu do czasu zaciągając się zwisającym z ust papierosem. Nawet nie podniosła głowy, kiedy weszli, jakby to, kto przyszedł, zupełnie jej nie interesowało.

- Panowie są z policji, mamusi - powiedział Danny. - Chodzi o Bena.

Dopiero wtedy się odwróciła, mierząc ich wrogim spojrzeniem. Chyba musiała wyczytać coś w twarzy Frosta, bo ostrożnie ułożyła nóż na ociekaczu i wytarła ręce o spódnice.

- Siadajcie, jeśli macie ochotę - mruknęła.

Zajęli miejsca przy poplamionym stole, gdzie za obrus służyła warstwa starych gazet. Frost pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu papierosa. Musiał zapalić, żeby dodać sobie odwagi.

Webster, siadając, zaczepił o coś nogą. Pod stołem schowane było spore kartonowe pudełko. Schylił się i wyciągnął je na wierzch. Okazało się, że to nowiuteńki magnetowid. Podejrzliwie zerknął na gospodarza.

- Przypuszczam, że ma pan dowód zakupu? Frost skrzywił się.

- Na litość boską, synu, nie czas teraz na takie...

Ale już było za późno. Danny porwał z półki starą puszkę po czekoladkach i z wściekłością wyrzucił na stół jej zawartość, prosto przed posterunkowego.

- Owszem, mam - warknął.

Przez chwilę grzebał wśród poślizniętych papierków, a potem triumfalnie podniósł jeden z nich i podetknął Websterowi pod nos.

- Proszę. Najlepiej niech pan dokładnie go obejrzy, na wypadek gdyby był sfalszowany.

Webster wziął do ręki paragon, pospiesznie zapoznał się z jego treścią i oddał Danny'emu.

- Przepraszam.

- Za co pan przeprasza? Za to, że nie przyłapał nas pan na gorącym uczynku? - Danny z powrotem schował paragon do puszki po czekoladkach. - A teraz mówcie, co macie do powiedzenia, i wynoście się stąd do wszystkich diabłów!

Webster zachował kamienną twarz. Wstał i wyjrzał przez kuchenne okno na podwórkę zaśmieconą porzucanymi po całym terenie częściami motocyklowymi. Pies wyraźnie zrezygnował już z prób włamania się do domu, bo teraz węszył w stosie zardzewiałych puszek. Przez korytarz niosło się nieustanne zawodzenie niemowlęcia.

- Chodzi o Bena, mamó - odezwał się miękko Frost.

- O tego gnoja - burknął Danny. - Już dosyć nieszczęść na nas sprowadził. Jeśli dał się na coś przyłapać, to jeśli o mnie chodzi, może pan go zamknąć w pierdlu i wywalić klucz.

Frost podniósł się z krzesła i zaproponował starszej kobiecie, żeby usiadła.

- Może lepiej usiądź, kochana.

- Gadaj, co masz do powiedzenia, i spadaj stąd - odparła krótko.

Inspektor odetchnął głęboko.

- Pani Cornish, on nie żyje. Bardzo mi przykro.

Przez chwilę stała jak wmurowana, a potem sięgnęła po krzesło i opadła na nie całym ciężarem.

- Umarł wczoraj w nocy - dodał inspektor.

Danny położył rękę na ramieniu matki, ale ją strząsnęła.

- Jak to się stało? Zaćpał się na śmierć?

Nie było sposobu, żeby taką wiadomość ubrać w piękne słówka. Frost szczerze opowiedział o pobiciu i o tym, jak Ben zadusił się własnymi wymiocinami.

Twarcz kobiety nie zdradzała żadnych emocji.

- W publicznej toalecie? - powtórzyła beznamiętnie. - Nawet nie potrafił godnie umrzeć.

- Chwała Bogu, że tak się stało - dodał jej syn. Frost opuścił wzrok na gazety, które zakrywały stół.

- Staramy się dowiedzieć, co robił pod koniec życia, aż do chwili śmierci. Kiedy państwo widzieli go po raz ostatni?

Kątem oka zauważył, jak Danny i jego matka wyraźnie drgnęli, a potem błyskawicznie wymienili pełne wyrzutu spojrzenia. Ale wszystko stało się tak nagle, że być może tylko mu się zdawało.

- Nie widzieliśmy go od dobrych kilku miesięcy i wcale nam tego nie brakowało - odpowiedział mężczyzna. Jego matka skinęła głową na znak, że w pełni się z tym zgadza.

Ciekawe, czemu wam nie wierzę, pomyślał Frost.

- Czy Ben miał wrogów, którzy mogli chcieć go skrzywdzić? - zapytał.

Danny roześmiał się drwiąco.

- Wrogów? To tak, jakby pan pytał, czy pies ma pchły. Ben łągał na potęgę, oszukiwał albo kradł, żeby zdobyć pieniądze na prochy. I gównu go obchodziło, czy robi komuś krzywdę... Inspektorze, Ben miał wrogów nawet w tym domu, bo na przykład ja jestem całkiem zadowolony, że on nie żyje.

- I ja także - dorzuciła jego matka, choć nie odrywała oczu od zdjęcia zawieszzonego na kuchennym kredensie. Fotografia przedstawiała młodszą wersję jej samej - uśmiechniętą kobietę, która trzymała za rączkę małego, cztero - albo pięcioletniego chłopczyka o poważnej twarzyczce. Chłopiec przyciskał do piersi drewniany wóz strażacki. Czując, że Frost ją obserwuje, zmusiła się do zwrócenia spojrzenia gdzie indziej, a potem z wysiłkiem dźwignęła się z krzesła. - Proszę mi wybaczyć, ale mam mnóstwo pracy - powiedziała, zмирzając w stronę wyjścia. W progu odwróciła się raz jeszcze. - Nie chcemy go tu z powrotem. Niech zostanie pochowany na koszt państwa. Już dość się przez niego nacierpieliśmy.

I delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

Frost zgasił niedopałek w stojącym na stole spodku.

- Będziemy potrzebowali kogoś do oficjalnej identyfikacji - oznajmił, zwracając się do Danny'ego.

- Pieprzę to - brzmiała odpowiedź. - Nie zmusi mnie pan, żebym przyglądał się jakimś trupozom.

Frost wstał.

- Trzeba to zrobić, Danny. To zajmie ci tylko parę minut.

Dał znak Websterowi, że pora stąd wyjść.

- Jeszcze się zastanowię - mruknął gospodarz, odprowadzając ich do wyjścia.

Frostowi wydawało się, że z pokoju na piętrze dobiega cichy płacz kobiety, ale po raz kolejny nie był tego pewien.

- Dzięki Bogu, że mamy to już za sobą - mruknął Frost, kiedy wsiadali do cortiny.

Webster przesunął się nieco na fotelu kierowcy, żeby było mu jak najwygodniej. Miał wrażenie, że ostatnio zajmuje się wyłącznie wsiadaniem do tego poobijanego wraka i wysiadaniem, i wysłuchiowaniem nedorzeczości, które wygadywał Frost.

- Dokąd jedziemy? - zapytał mechanicznie. Boże, jak strasznie był zmęczony! Minęło wiele dni od czasu, kiedy ostatni raz wyspał się jak należy.

- Do szaletów, gdzie zginął Ben - odparł Frost. - Powinniśmy byli pojechać tam z samego rana, bo od ósmej ludzie obsikują nam resztki dowodów.

Wtedy Webster ośmielił się przypomnieć, że komendant okręgu czeka na posterunku na powrót inspektora, podobnie jak członek parlamentu i jego syn.

Frost otwartą dłonią rąbnął się w czoło.

- Niech to jasny szlag trafi! Mullett nigdy mi nie wybaczy, że jego drogi druh Charlie musiał trochę poczekać. Racja, synu, właśnie tym trzeba się zająć w pierwszej kolejności. Teraz podrzucę cię pod miejskie toalety. Masz wywalić stamtąd każdego, kogo spotkasz, wszystko jedno, czy zdążył się wysikać czy nie, i zamknąć wejście na cztery spusty. Następnie zajrzesz w każdy kąt, żeby sprawdzić, czy nie ma gdzieś torby Bena, śladów krwi albo czegośkolwiek, co powinienem był zauważyć zeszłej nocy. Aha, tylko wcześniej połącz się przez radio z dyspozytornią, żeby przesłali ci do pomocy specja od zabezpieczania śladów. On sfotografuje graffiti na ścianach i obsypie proszkiem sedesy, bo może gdzieś tam są interesujące odciski palców. Ja pojedę na posterunek, żeby poprowadzić przesłuchanie w sprawie tego nieszczęsnego wypadku. Kiedy się spotkamy, pamiętaj, że masz mi przypomnieć o przesłuchaniu drugiego strażnika z „The Coconut Grove” - tego, któremu Harry Baskin rozkwaśił nos. Aha, a potem trzeba będzie się spotkać z mamuszką Karen Dawson.

Webster ze znużeniem pokiwał głową. Nigdy nie przyzwyczał się do tak chaotycznych metod pracy. Zawsze lubił porządek i planowanie wszystkiego naprzód, podczas gdy Frost najlepiej czuł się w kompletnym bałaganie, kiedy mógł w najbardziej krytycznej chwili przeskakiwać od jednej sprawy do drugiej. Przez moment zastanawiał się, czy należy przypomnieć inspektorowi o raportach w sprawie nadgodzin, nie wspominając o statystykach przestępstw, ale czy to miało jakiś sens?

*

Frost precyzyjnie przeszedł przez wahadłowe drzwi prowadzące do holu, ściskając w ręku sporą plastikową torbę, w której znajdowały się brudne, przesiąknięte wymiocinami ciuchy Bena Cornisha.

- Co, kupiłeś sobie nowy garnitur, Jack? - zawołał Johnny Johnson. - Założę się, że jest znacznie lepszy od tego, który masz na sobie.

- Przede wszystkim znacznie ładniej pachnie. Chyba zaraz się przebiorę - odparł Frost. Podetknął torbę prosto pod nos kolegi i z zadowoleniem patrzył, jak tamten cofa się z obrzydzeniem.

Już miał czmychnąć do swojego biura, żeby wydać polecenie wysłania ubrania Bena do laboratorium, ale sierżant zatrzymał go i sięgnął po telefon.

- Mullett od pół godziny wrzeszczy, żeby natychmiast cię znaleźć. Kazał się zawiadomić, jak tylko się zjawisz.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogło zatrzymać przez tak długi czas inspektora Frosta - powtórzył Mullett po raz szósty z rzędu. Czuł, jak od wysiłku wkładanego w sztuczny uśmiech zaczynają go boleć usta. Nagle telefon zadzwonił i Mullett chwycił słuchawkę.

- Co takiego? Nie, proszę go tu nie przysyłać. Zaraz zejdę.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Pan Frost właśnie przyjechał. Sir Charles, jeśli zechce mi pan wybaczyć na chwilę, pójdę po niego osobiście.

Przechodząc przez sekretariat, polecił panie Smith, żeby zaparzyła następną porcję kawy, tylko tym razem znacznie mocniejszej. Miał przeczucie, że będzie jej potrzebował.

Zanim jeszcze wszedł do holu, słyszał ochryply śmiech Frosta, który niósł się gromkim echem po całym korytarzu. Ten bęcwał po prostu stał tam, niedbale oparty o kontuar, i wymieniał jakieś ordynarne uwagi z pełniącym służbę sierżantem, jakby miał w nosie fakt, że czeka na niego komendant okręgu i ważny przedstawiciel miejscowej elity.

- Inspektorze, proszę do pańskiego biura - rzucił w przelocie ostrym tonem i pomaszerował w stronę klatki schodowej. O tym, że idzie sam, przekonał się dopiero przed drzwiami biura Frosta i to doprowadziło go do białej gorączki. Musiał czekać jeszcze ładnych kilka chwil, aż inspektor skończy opowiadać jakąś świetną anegdotkę.

- Inspektorze, sir Charles, jego syn i ich prawnik czekają na pana od ponad pół godziny. Specjalnie prosiłem, żeby był pan obecny...

Frost wiercił się na krześle. Nienawidził wrzasków Mulletta i rozmaitych obelg rzucanych pod swoim adresem. W takich wypadkach zawsze miał problem z zachowaniem należytej powagi. Nagle dostrzegł na swoim biurku napisaną odręcznie notatkę, że pani Clare Dawson pragnie z nim porozmawiać na temat zaginionej córki. Już sięgał po telefon, ale uprzytomnił sobie, że Mullett dopiero się rozkręca, więc pospiesznie cofnął rękę, jednocześnie przybierając skruszoną minę. W myślach starał się odtworzyć wizerunek apetycznej, ciepłutkiej Clare Dawson, jej skóry w kremowym odcieniu, jej wspaniałych krągłości odzianych w skąpe bikini bez biustonosza, jej zmysłowych warg i migającego tuż za nimi języka... Nieoczekiwanie w biurze zapanowała cisza. Frost nadstawił uszu i przekonał się, że Mullett już zakończył przemowę i teraz rozpiera się na krześle, gotów do przyjęcia unizonych przeprosin.

- Proszę o wybaczenie, szefie, ale w ostatniej chwili wyskoczyło mi coś ważniejszego.

Mullett już otworzył usta, żeby dowiedzieć się, co może być ważniejszego od wypełnienia polecenia przełożonego, ale Frost nie dał mu dojść do słowa.

- Ten sztywniak, którego znaleźliśmy zeszłej nocy...

- Mówi pan o włóczędzie znalezionym w publicznej toalecie? - Skrzywił się z niesmakiem, jakby Frost był osobiście odpowiedzialny za to, że ciało zostało znalezione w tak niegodnym miejscu.

Frost skinął głową.

- Zdaje się, że facet został zamordowany. Sekcja wykazała, że przed śmiercią dostał niezłe lanie, a kiedy już leżał na podłodze, ktoś skoczył mu na brzuch. Powinien pan zobaczyć, w jakim stanie były jego narządy wewnętrzne. Nasz doktorek powiada, że wątroba denata dosłownie eksplodowała.

Sama wizja rozrywanej na części wątroby wywołała u Mulletta nieprzyjemny dreszcz. Ta sprawa z każdą chwilą stawała się coraz bardziej niesmaczna. Zaciskając zęby, słuchał, jak Frost wtajemnicza go w mało przyjemne szczegóły, włączając w to opis ludzkich wnętrzności pływających w słoju na próbki. Kiedy dzięki Bogu Frost wreszcie skończył, Mullett był zmuszony przyznać, że zgodnie z zasadami panującymi w policji śledztwo w sprawie morderstwa miało pierwszeństwo przed wszelkimi innymi sprawami.

Z kolei Frost zmówił w duchu dziękczynną modlitwę za Bena Cornisha, że dał się zamordować i tym samym oszczędził mu porządnej reprimendy. Ale zaraz wyszło na jaw, jak bardzo się mylił. Mullett nie zamierzał tak łatwo ustępować.

- Nie rozumiem, inspektorze, jak to się stało, że żaden z tych faktów nie wyszedł na jaw zeszłego wieczora. Od znalezienia ciała upłynęło już ponad dwanaście godzin, a my wciąż nie mamy fotografii zwłok ani laboratoryjnej ekspertyzy otoczenia. W dodatku dopiero teraz zarządził pan poszukiwanie należącej do denata torby, która wczoraj gdzieś się zawieruszyła. W związku z tym muszę sobie zadać pytanie, czy jest pan wystarczająco kompetentny, żeby prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa, nawet tak beznadziejne jak to.

- Ciało blokowało rurę odpływową - wyjaśnił cierpliwie Frost. - Wszędzie stała brudna woda. Kiedy człowiek jest przemoczony po pachy, nie bardzo chce mu się sprawdzać wszystko tak dokładnie, jakby należało. Żeby było śmieszniej, facet zdążył przed śmiercią zarzygać się od góry do dołu. - Na dowód prawdziwości swoich słów podetknął Mullettowi pod nos plastikową torbę z ciuchami Cornisha.

- W porządku, w porządku. - Mullett poczuł, że zbiera mu się na mdłości, i od razu wywiesił białą flagę. - Porozmawiamy o tym później.

Zabrzączał wewnętrzny telefon. Frost odebrał, a potem wręczył słuchawkę komendantowi.

- Pańska sekretarka.

Panna Smith dzwoniła, by przypomnieć, że sir Charles coraz bardziej się niecierpliwi.

- Zrób mu następną kawę - odparł Mullett. - Już idziemy.

Dopiero wtedy zauważył, w jakim stanie są buty Frosta, zdarte i poplamione od brudnej wody, w której ich właściciel brodził zeszłej nocy. Gdyby miał trochę czasu, kazałby Frostowi je wyczyścić i wyszczotkować garnitur. Ale czasu brakowało. Sir Charles będzie musiał spotkać się z detektywem w pogniecionym ubraniu, zabłoconych butach i w dodatku upiękzonego pokazną kolekcją pryszczy... Udało mu się jedynie nakłonić Frosta do pozostawienia w biurze plastikowej torby.

*

Sprzątaczkę nie zdążyły przywrócić porządku w sali przesłuchań, ponieważ Mullett zatrudnił je wszystkie do sprzątnięcia własnego gabinetu, który błyszczał teraz i lśnił czystością. Nad przenikliwą wonią środków czyszczących górował mocny zapach dymu z cygara.

Sir Charles Miller, członek parlamentu - postawny mężczyzna, który rozciągał wokół siebie aurę dostatniego życia - zajmował jeden z niebieskich, obitych pluszem foteli zarezerwowanych dla szczególnie wybitnych osobistości i z coraz większą irytacją spoglądał na zegarek. Nie wydawał się szczególnie poruszony widokiem niechlujnie odzianego osobnika, którego uśmiechnięty jak kretyn Mullett przedstawił jako detektywa inspektora Jacka Frosta. Jeśli ten śmieć był naprawdę najlepszym śledczym, jakiego mogli mu zaproponować, to...

- Proszę mi wybaczyć, sir Charles, że kazałem panu czekać, ale przede wszystkim musiałem się zająć dochodzeniem w sprawie morderstwa - oświadczył beztrząsco Frost.

- W sprawie morderstwa? - wykrzyknął Miller i pochylił się w stronę rozmówcy. - Jakież to interesujące!

Mullett podsunął inspektorowi zwykle twarde krzesło.

- Niech pan siada - powiedział pospiesznie, w nadziei, że uda mu się powstrzymać Frosta przed zagłębianiem się w niezbyt przyjemne szczegóły, a następnie postawił na rogu biurka dużą szklaną popielniczkę, tak żeby łatwo było do niej sięgnąć. Zakazywanie Frostowi palenia zupełnie mijало się z celem. Mullett świetnie wiedział, że Frost zapali niezależnie od zakazów, a jeśli w pobliżu nie będzie żadnego naczynia, w którym mógłby zgasić niedopałek, to po prostu rzuci go na błękitny dywan Wiltona i dodatkowo rozgniecie obcasem.

- Może byłoby lepiej, gdybym sam wyjaśnił inspektorowi, o co chodzi - oznajmił członek parlamentu, najwyraźniej zdecydowany pokierować sprawą wedle własnej woli. Mullett ledwo dostrzegalnym ruchem skłonił głowę.

Miller posażał cygaro.

- Postaram się streszczać, inspektorze. Mój syn, Roger, został absolutnie nie ze swojej winy wplątany w ten paskudny wypadek, którego sprawca zbiegł. To nie on siedział za kierownicą, nawet nie było go w aucie, ale jak można sobie wyobrazić, moi polityczni oponenti już szykują się do ataku. Niech pan pomyśli o tych nagłówkach w gazetach: „Syn zwolennika surowego przestrzegania prawa morduje emeryta, a następnie ucieka z miejsca wypadku”. Proszę mnie dobrze zrozumieć - nie żądam specjalnego traktowania, ponieważ przypadkiem tak się składa, że jestem prominentnym politykiem. Chcę jedynie rzetelnego śledztwa, które będzie prowadzone bez jakichkolwiek uprzedzeń.

- Tak czy inaczej może pan liczyć na rzetelne śledztwo

- wtrącił Frost.

- Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem - mówił dalej Miller swoim szczerym, starannie modulowanym głosem.

- Komendant główny policji, który - tak się składa - jest moim bliskim przyjacielem, już mnie o tym zapewnił. Mój syn z własnej i nieprzymuszonej woli przyjechał tu dziś ze mną, żeby pomóc panu, w czym tylko będzie mógł. Najważniejsze to dowieść jego niewinności w tak niezbity sposób, żebyśmy mogli uciszyć szkodliwe plotki, zanim zdążą się rozprzestrzenić.

Po tych słowach zapadła cisza, którą przerwał trzask zapalki. To Frost postanowił się uraczyć czternastym tego dnia papierosem. Mullett szybko podsunął popielniczkę, ale było już za późno. Inspektor starannie przydeptał zużyty zapalkę, a do wiszących w powietrzu aromatów dołączył smród przypalonej wełny.

Przylepiony do ust papieros poruszył się i Frost zabrał głos.

- Jeśli pański syn jest niewinny, sir Charles, to z pewnością uda mi się to udowodnić. Ale jeśli to on popełnił przestępstwo...

- Oczekuję jedynie rzetelnego śledztwa - przerwał mu polityk. - Proszę wykonywać swoje obowiązki, inspektorze.

Na chwilę zamilkł, a potem dodał z naciskiem: - Jeśli uda się panu oczyścić z zarzutów mojego syna, nie będzie pan narzekał na moją niewdzięczność.

Oczy Frosta zwężyły się w dwie szparki, bo w mig zrozumiał ukryte znaczenie tej wypowiedzi, ale zanim wymyślił stosowną odpowiedź, Mullett zdążył już ująć go za ramię i zręcznie wypchnąć za drzwi.

- Inspektorze, Roger Miller razem ze swoim prawnikiem czekają w pokoju przesłuchań. Chcę, żeby teraz poszedł pan do nich, a potem powiadomił mnie o wyniku waszej rozmowy.

*

Sierżant Johnny Johnson uciszył burczący żołądek, bo zegar ścienny poinformował go, że zostało jeszcze czterdzieści dziewięć minut do upragnionej przerwy na lunch. Lekki podmuch wiatru przemknął przez hol, kiedy Jack Frost uchylił drzwi i głośno tupiąc, zmierzał do pokoju przesłuchań. Dobrze, że akurat się napatoczył, pomyślał sierżant.

- Inspektorze!

Frost spokojnym krokiem zawrócił w jego stronę. - Johnny, jestem piekielnie zajęty.

- Tak bardzo zajęty, że nos ci przestał działać?

Frost ostrożnie wciągnął powietrze, a następnie uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Udało się wam z powrotem ściągnąć Wally'ego Petersa?

- Siedzi na dole w celi i czeka na przyjemność spotkania z tobą.

- Już tam idę! - zawołał Frost, w jednej sekundzie zapominając o Rogerze Millerze i jego prawniku. Bez namysłu skręcił do aresztu.

- Proszę zaczekać! - zawołał za nim Johnson. - Mam dla ciebie stertę liścików.

Zebrał je wszystkie razem.

- Po pierwsze, od pana Baskina z „The Coconut Grove”. Pan Baskin chciałby wiedzieć, czy ma pan coś nowego na temat rabunku w jego klubie.

Frost wziął karteczkę i nawet nie spojrzawszy na nią, zmiął ją w kulkę i cisnął do kosza na śmieci.

- Jeśli zadzwoni jeszcze raz, powiedz mu, że prowadzimy w tej sprawie energiczne śledztwo.

Sierżant podsunął drugą notatkę.

- Pan Max Dawson pytał, czy znaleźliśmy już jego córkę. Chciałby osobiście z panem porozmawiać.

Tę karteczkę Frost schował do kieszeni.

- Odezwę się do niego, gdy tylko Webster wróci. Coś jeszcze?

- Tak. Wiadomość ze szpitala. Tommy Croll wyszedł dziś rano na własną prośbę.

Frost gwizdnął cichutko.

- Cholera... A zostawił nowy adres? Las Vegas czy Bahamy?

Johnny pochylił się w jego stronę i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Więc zakładasz, że to on podwędził tamtą kasę?

- Mam szczerą nadzieję, że tak, ponieważ na razie jest jedynym podejrzanym. - Frost podrapał się po głowie. - Podeślij wóz patrolowy do niego do domu i niech go tu przywiozą. To wszystko?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się, żeby odejść, ale okazało się, że sierżant najgorszą wiadomość zostawił na sam koniec.

- Dzwonił niejaki pan Gordon. Strasznie zawracał nam głowę. Zdaje się, że brak statystyk przestępstw z okręgu Denton wstrzymuje przygotowanie danych z całego hrabstwa.

Niech to diabli, pomyślał Frost. Ciekawe, kiedy wreszcie będę miał czas, żeby się tym zająć? Odwrócił się i zbiegł po schodach na sam dół.

Areszt miał swój specyficzny zapach. Z celi dla alkoholików unosił się smród zwiertzałego piwa, uryny i wymiocin, a nad resztą dominowała woń niemytych ciał, zbyt długo noszonych skarpetek i środków dezynfekcyjnych. Jednak te wszystkie dobrze znane i cieszące się zasłużonym szacunkiem aromaty sromotnie przegrały walkę ze smrodem, który przywłókł ze sobą Wally Peters. Frost zatrzymał się przed drzwiami jego celi, zapalił papierosa, po raz ostatni wciągnął do płuc nieskażone powietrze, a potem odważnie wszedł do środka.

- Niech cię diabli, Wally! - wybełkotał od progu. - Śmierdzisz jak stado skunksów.

- Ja tam nie robię osobistych wycieczek na temat pańskiego wyglądu, panie Frost - zauważył Wally obrażonym tonem. Siedział na skraju pryczy, skulony nad emaliowanym kubkiem, z którego co chwila pociągał łyk herbaty, zabawnie poruszając przy tym jabłkiem Adama. - Czemu tu jestem?

Frost oparł się plecami o pokrytą farbą ścianę z cegły.

- Chodzi o Bena Cornisha - powiedział poważnie. - A raczej o to, co mu zrobiłeś. Wally nawet nie mrugnął. Odjął kubek od ust i czknął donośnie.

- Pycha, panie Frost.

- Też tak uważam, sądząc z odgłosów, jakie przy tym wydajesz... No to jak było z Benem, Wally? Lepiej sam mi powiedz.

Wally pociągnął nosem i twardo spojrzął na detektywa.

- Powiedział pan przecież, inspektorze, że Bez zadławił się na śmierć.

- Myliłem się, Wally. Został zamordowany. Najpierw dostał po pysku, a potem ktoś skakał po nim tak długo, aż umarł.

Włóczęga otworzył usta, a krople herbaty spłynęły na brudną, szarawą szczecinę na jego brodzie.

- Zamordowany?

- Zgadza się, Wally. W dodatku ktoś buchnął wszystkie jego rzeczy. Coś z nimi zrobił?

- Ja tam nie potrafiłbym skrzywdzić nawet muchy, panie Frost, i pan świetnie o tym wie. Nie skrzywdziłbym Bena... Byliśmy kumplami. Zamordowany? Wielki Boże, już nigdy nie będę spał w tym kiblu.

Frost strzepał popiół na kamienną podłogę.

- Wiem, że kręciłeś się tam zeszłej nocy. Widziałeś coś?

- Tylko tego gliniarza, jak węszył dookoła.

- Kiedy ostatni raz spotkałeś Bena?

- Wczoraj po południu, mniej więcej koło czwartej. Przy nasypie kolejowym. Cały się skręcał i pocił, i drapał, jakby go oblażło stado pcheł. Mówił, że wieczorem ma się spotkać na dole w kiblu z dwoma kolesiami, którzy sprzedadzą mu trochę prochów.

- Z jakimi kolesiami?

- Podobno przyjechało tu dwóch nowych. Ben mówił, że oni są od niedawna w Denton.

- Jak miał zamiar zapłacić za towar?

- Mówił, że chyba wie, skąd skombinować trochę kasy. Ale nie chciał mi powiedzieć. To wtedy widziałem go po raz ostatni, przysięgam na wzrok mojej nieżyjącej matki!

Frost wytrząsnął z paczki kilka papierosów.

- Dzięki, Wally. Możesz już iść, jeśli chcesz.

- Mam dostać kolację, panie Frost - wyjaśnił Wally. - Pójdę dopiero, jak zjem. Dzięki za fajki.

- Czym chata bogata - odparł Frost, łomocząc do drzwi, żeby go stąd wypuszczono. - Nie zapomnij powtórzyć tego kolegom.

Webster czekał na powrót inspektora w biurze. Przeszukanie toalety i najbliższej okolicy nie przyniosło niczego nowego - ani śladu plastikowej torby, wszystko jedno, pustej czy wyładowanej rupieciami Bena Cornisha. Oficer zajmujący się zbieraniem dowodów przeczołgał się przez cały szalet i odnalazł odciski palców prawdopodobnie wszystkich użytkowników, jacy przewinęli się tam od czasów jubileuszu królowej Wiktorii. Niestety, żadne z nich nie rokowały nadziei, że do czegoś mogą się przydać.

Frost opowiedział Websterowi o Wallym Petersie i o rzekomym spotkaniu Bena z dealerami narkotyków, które miało się odbyć w publicznej toalecie.

- Połącz się z wydziałem antynarkotykowym, synu. Chcę wiedzieć, czy faktycznie jacyś dwaj dealerzy przenieśli się w ostatnim czasie w nasze okolice. I poprosz, żeby sprawdzili wszystkich ćpunów, którym kiedykolwiek zdarzyło się użyć przemocy, gdzie byli wczoraj między dziewiątą a jedenastą wieczorem, kiedy Cornish został zabity.

Zanim Webster zdążył wykonać wszystkie połączenia, rozległ się dzwonek aparatu wewnętrznej linii. Dyspozytor przekazał informację, że jaguar, którego skradziono Rogerowi Millerowi, został odnaleziony. Charlie Alpha namierzył go na polanie we wschodniej części Denton Woods. Jego wygląd nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że samochód uczestniczył w wypadku. Jeden z reflektorów był rozbity w drobny mak, tak samo jak przednia tablica rejestracyjna, a na błotniku widniały ślady krwi. Dyspozytor już wysłał tam holownika, żeby ściągnął auto na dokładniejsze oględziny. Frost podziękował za wiadomość, a potem nabazgrał krótką notatkę, że należy sprawdzić, czy udało się odnaleźć plastikowe śruby przytrzymujące tablicę rejestracyjną.

Zerknął na statystyki z daremną nadzieją, że zeszłej nocy ktoś zakradł się do biura i skończył za niego tę pieprzoną robotę. Niestety, nic takiego się nie wydarzyło, więc inspektor wepchnął je z powrotem do szafy na dokumenty.

Webster właśnie skończył rozmawiać z kolegami z wydziału antynarkotykowego. Wiedzieli już, że na terenie Denton działają dwaj nowi dealerzy, ale do tej pory nie udało się ustalić żadnych szczegółów. Obiecali także sprawdzić alibi wszystkich narkomanów, którzy mieli na koncie akty przemocy, choć zdaniem specjalistów każdy uzależniony może popełnić najbardziej okrutny czyn, jeśli zostanie doprowadzony do ostateczności.

Frost przyjął te nowiny z dość ponurą miną.

- Na nich zawsze można liczyć, że wszystko skomplikują. - Odepchnął krzesło od biurka i wstał. - Trzeba będzie jakoś się stąd wymknąć i pójść na lunch.

Zanim jednak zdążył zrobić choć krok, w drzwiach ukazała się głowa Johnny'ego Johnsona.

- Jack, pamiętasz, że Roger Miller i jego prawnik czekają na ciebie w pokoju przesłuchań?

- Oczywiście - gładko skłamał Frost. - Właśnie mieliśmy tam iść, prawda, synu?

Z biura Frosta do pokoju przesłuchań można się było dostać w stosunkowo prosty sposób, ale inspektorowi najwyraźniej wpadła do głowy jakaś myśl. Już skręcali z głównego korytarza, kiedy zatrzymał się nagle, ostrożnie rozejrzał dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt ich

nie obserwuje, a następnie podzielił się z Websterem swoimi podejrzeniami dotyczącymi Dave'a Shelby'ego.

- Chciałbym się dowiedzieć, co zamierzał i po cholere zszedł na dół do publicznej toalety, synu. Podobno jadąc samochodem, zauważył wyłamaną kratę, ale już sprawdziłem, że to niemożliwe. Wczoraj wieczorem przyłapałem go, jak ukradkiem wpychał coś do swojej szafki.

Na Websterze ta informacja nie zrobiła żadnego wrażenia.

- To mogło być cokolwiek.

- Owszem - zgodził się Frost. - Ale czy nie byłoby to interesujące, gdyby się okazało, że chodzi o plastikową torbę Bena Cornisha, wypchaną działkami heroiny?

Wsadził rękę do kieszeni marynarki i wyłowił stamtąd okazały zestaw wytrychów.

- Możemy rzucić okiem, co on tam trzyma... Tylko żeby zaspokoić ciekawość.

Webster popatrzył na niego z przerażeniem.

- Chce pan przeszukać szafkę policjanta bez wiedzy właściciela? Bez jego zgody? Gdyby ktoś doniósł o tym do Związków Zawodowych Policji, chłopcy wpadliby w szał.

- Więc mam nadzieję, że się nie dowiedzą - odparł beztrudno Frost, szukając w zestawie klucza odpowiedniej wielkości.

Webster cofnął się o krok, jakby chciał podkreślić, że on nie ma nic wspólnego z tym zwariowanym pomysłem.

- To jest śledztwo w sprawie morderstwa. Nawet jeśli dzięki włamaniu uda się znaleźć jakiś dowód, sąd rozerwie pana na strzępy.

Jednak Frost skwitował te obiekcje machnięciem ręki.

- Jeśli faktycznie niczego tam nie ma, to nikomu nie stanie się krzywda. Ale jeśli coś znajdę, zostawię wszystko na miejscu, a potem postaram się o nakaz rewizji.

Dziarskim krokiem ruszył w stronę szatni, a trzymany w dłoni pęk wytrychów zadzwonił donośnie.

Webster nawet nie drgnął.

- Proszę mi wybaczyć, ale wolałbym nie brać w tym udziału.

- Och. - Frost wydawał się całkiem zbity z tropu. - Miałem nadzieję, że będziesz moim obserwatorem.

- Nie ma mowy - odparł zdecydowanie Webster. Frost skulił ramiona.

- W porządku, synu, nie mogę mieć o to do ciebie pretensji. Rozumiem, że wolisz nie ryzykować, że znów wpakujesz się w kłopoty. Zostań tutaj, to nie powinno potrwać długo.

I odszedł w głąb korytarza.

Złapią cię, ty cholerny głupcze, pomyślał Webster. Złapią cię i wywalą z policji na zbity pysk.

I trzeba przyznać, że sobie na to zasłużysz.

- Niech pan zaczeka! - zawołał nagle i popędził za Frostem.

Inspektor zatrzymał się przy drzwiach szatni. Uśmiechał się z wyraźną ulgą.

- Dzięki, chłopcze. Jedyne, co musisz zrobić, to stać tutaj na korytarzu. Jeśli ktoś nadejdzie, po prostu zagwiźdź.

Jeszcze rzucił okiem w jedną i drugą stronę, a potem cichutko otworzył drzwi i wślizgnął się do środka.

W szatni było pełno metalowych szafek w szarym kolorze, stojących w rzędach jedna obok drugiej. Szafka z nazwiskiem Shelby'ego znajdowała się na lewo od wejścia, mniej więcej w połowie ściany. Jak na wiecznego optymistę przystało, Frost nacisnął klamkę, ale drzwiczki nawet nie drgnęły. Spróbował pogmerać wybranym kluczem, ale wytrych okazał się za duży i nie pasował do niewielkiego zamka. Frost wybrał następny. Ten bez trudu wsunął się w szczelinę, ale za żadne skarby nie chciał się obrócić.

Na zewnątrz Webster oparł się o ścianę i słuchał gwałtownych uderzeń własnego serca. Czuł się tak, jakby stał na czatach przy prawdziwym włamaniu. Próbował wyglądać całkiem niewinnie, choć właściwie trudno byłoby mu wymyślić jakiś sensowny powód, gdyby ktoś zainteresował się, co on tutaj robi. Nagle wahadłowe drzwi na końcu korytarza rozdzieliły się i do środka wkroczyło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Szli zdecydowanym krokiem, zmierzając dokładnie w stronę szatni. Webster starał się zagwiźdać, ale wyschnięte ze strachu usta odmówiły posłuszeństwa. Dwaj mężczyźni byli już całkiem blisko. W przyptywie panicznego strachu chwycił za klamkę i wsadził głowę do środka. Frost klęczał przed szafką Shelby'ego. Pilniczkiem do paznokci dopasowywał któryś z wytrychów i co chwila próbował wsadzić go do zamka. Był tak pochłonięty tym, co robi, że nie zauważył nawet, że drzwi się otworzyły.

- Inspektorze! - zasyczał ostrzegawczo Webster.

Frost podskoczył, boleśnie uderzając głową o wystającą klamkę szafeczki. Donośny jak uderzenie w bęben dźwięk rozszedł się echem po całym pomieszczeniu.

Webster okręcił się na pięcie. Dwaj mundurowi minęli drzwi i poszli dalej, w stronę tylnego wyjścia na parking.

- Chyba nie nadajemy się na przestępców - powiedział Frost, rozcierając guza, kiedy Webster odwrócił się, żeby wrócić na miejsce. Delikatnie wsadził do zamka opiłowany klucz i spróbował przekrećić. Rozległo się ciche kliknięcie. Klucz łatwo dał się obrócić o trzysta

sześćdziesiąt stopni. Coś pstryknęło, a po naciśnięciu klamki okazało się, że drzwiczki są otwarte.

Wewnątrz wisiało palto Shelby'ego, a na podłodze stały jego buty. W upchniętej obok nich skórzanej torbie znajdował się kosztowny polaroid z autofocusem, lampą błyskową i samowyzwalaczem. Frost przesunął ręką po kieszeniach palta. Wewnątrz wyczuł niewielkie zgrubienie. Rękawiczki do prowadzenia samochodu. Przyszło mu do głowy, że nadaremnie tracił czas, ale na wszelki wypadek postanowił zajrzeć jeszcze na metalową półeczkę z tyłu szafki, zasłoniętą przez palto. Na oślep badał znajdujące się tam rzeczy. Nic... Nic... Jest! Jakaś paczuszka. Heroina? Wyciągnął ją, żeby z bliska obejrzeć zawartość.

W środku znajdował się plastikowy portfel zabezpieczony gumką recepturką. Frost zajrzał do środka. Zdjęcia. Plik kolorowych fotografii, wykonanych polaroidem przy wykorzystaniu flesza i samowyzwalacza. Shelby i różne kobiety. W różnych sypialniach. W różnych pozycjach w trakcie miłosego zbliżenia. Widać Shelby lubił na bieżąco rejestrować swoje osiągnięcia w tej dziedzinie.

Z korytarza dobiegł ostrzegawczy gwizd. - Ktoś nadchodzi - zasyczał Webster. Frost wpełznął fotografie z powrotem na miejsce, choć oporne palce odmawiały posłuszeństwa. Jedno ze zdjęć sfrunęło na podłogę. Szybko schylił się, żeby je podnieść, i spojrzał na nie jeszcze raz. Sypialnia podobna do dziesiątków innych sypialni. Leżący na plecach Shelby patrzył prosto w obiektyw aparatu, podczas gdy balansująca nad nim kobieta odwracała się plecami. Obydwoje byli nacy. Nie było sposobu, żeby zidentyfikować tę damę, choć pewne elementy wyposażenia sypialni wydawały się Frostowi dziwnie znajome.

Na dalsze oglądanie zabrakło czasu. Frost wcisnął zdjęcie między pozostałe i zabezpieczył portfel recepturką. Z najwyższym pośpiechem - bo głosy na zewnątrz przybierały na sile - wpełznął portfel na tylną półkę i zatrzasnął drzwiczki. Zadźwięczały jak przy uderzeniu młotem. Nie zdążył jeszcze dobrze odsunąć się od szafki, kiedy w progu stanął Johnny Johnson. Johnson najpierw popatrzył na szafkę, potem na Frosta, a w końcu wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Co ty tu wyrabiasz, Jack?

- Nic - odparł Frost z miną aniołka, choć czuł się jak gospodyni domowa, którą mąż zastał bez majtek przy myciu okien.

- Pan Mullett kazał mi cię znaleźć, wziąć za kark i siłą przyprowadzić do pokoju przesłuchań.

- Już tam idę - zapewnił Frost.

Kiedy inspektor wyszedł, sierżant przeczytał nazwisko na szafce. Spróbował nacisnąć klamkę, ale szafka okazała się zamknięta. Instynktownie czuł, że Frost coś knuje.

W porządku, Jack, pomyślał. Będziesz się musiał wytłumaczyć.

- I co? - spytał Webster, kiedy szybkim krokiem pokonywali niewielką odległość dzielącą ich od pokoju przesłuchań.

- Nic - odparł Frost. - Zupełnie nic.

ŚRODA, RANNA ZMIANA (4)

Roger Miller siedział rozwalony na jednym z krzeseł w pokoju przesłuchań i w ponurym milczeniu palił papierosa za papierosem. Pod wpływem delikatnej sugestii swojego prawnika zdecydował się porzucić modne wdzianko i włożyć skromny szary garnitur, który miał sprawiać wrażenie, że jego właściciel jest człowiekiem statecznym i odpowiedzialnym.

Siedzący obok wyprostowany sztywno mężczyzna, Gerard Moore, był otyłym, nadętym i całkowicie pozbawionym poczucia humoru osobnikiem. Dla zabicia czasu przeglądał zawartość swojej teczki i po raz n-ty przekładał znajdujące się w niej papiery.

Wreszcie Roger podniósł się z krzesła.

- Mam dość tego czekania. Wychodzę.

Gerard Moore uniósł brew z łagodnym wyrzutem.

- Pański ojciec życzył sobie, żeby pan został. - Powiedziawszy to, powrócił do przeglądania teczki.

Roger wyjął papierosa z ust i cisnął go na podłogę. Prawie od dwóch godzin siedział zamknięty w tym żalonym, malutkim pokoiku, choć nie był przyzwyczajony do czekania na kogokolwiek. Zwykle wystarczyło nadmienić, że jest synem sir Charlesa Millera, i to załatwiało sprawę.

Wreszcie drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się na oścież i do środka niedbałym krokiem wkroczyło jakieś rozczochrane indywiduum w pogniecionym garniturze. Za nim krok w krok szedł elegancko ubrany młody człowiek z brodą. Z pewnością to policjant po cywilnemu i jego więzień, doszedł do wniosku mecenas. Zmarszczył brwi niezadowolony, że ktoś im przeszkadza, i przelotnie zastanowił się, czy intruz jest potencjalnie niebezpiecznym przestępcą. Właśnie miał zwrócić im uwagę, że chyba pomylili pokoje, kiedy niechłujny kryminalista wyciągnął spod stołu krzesło, klapnął naprzeciwko jego klienta i przedstawił się jako detektyw inspektor Jack Frost.

Detektyw, pomyślał z przerażeniem Moore. Ten włóczęga! Nic dziwnego, że liczba przestępstw rosła w zastraszającym tempie.

- Wybaczcie mi, panowie, że tak długo kazałem wam czekać, ale pochłonęło mnie bez reszty dochodzenie w sprawie morderstwa - oznajmił Frost. - Rozumiem, panie Miller, że chce mi pan coś powiedzieć?

Miller już otworzył usta, ale prawnik chrząknął znacząco, żeby przypomnieć swojemu klientowi, kto tu jest od mówienia. Trzeba ostrożnie ważyć każde słowo, które się wypowiada w obecności policjanta.

- Mój klient przygotował oświadczenie. Oto ono.

Wyjął z teczki wypełnioną starannym drukiem kartkę papieru i posunął po stole w kierunku inspektora. Frost nawet nie pofatygował się, żeby wziąć ją do ręki.

- Zanim to przeczytam, panie Miller, chcę przekazać panu dobrą nowinę. Odnaleźliśmy pańskiego jaguara. Stał zaparkowany w zatoczce w pobliżu Denton Woods. Wydaje się prawie nieuszkodzony. Trzeba tylko zmyć krew ze zderzaka i zdrapać resztki mózgu, i powinien być jak nowy.

Prawnik zasnurował usta.

- Naturalnie bardzo cieszymy się z odzyskania auta - odparł, żeby wreszcie stało się jasne, że to on bierze na siebie ciężar rozmowy. - Jednak niezmiernie martwi nas fakt, że auto zostało skradzione mojemu klientowi i że w tym czasie stało się przyczyną czyjejś śmierci.

- Skradzione? - zdziwił się Frost. - Czy naprawdę chodziło o kradzież?

Roger Miller wysunął się naprzód. Postawa tego niechlujnego wypierdka ani trochę mu się podobała.

- Jestem tu po to, żeby odpowiadać na pytania, a nie słuchać pańskich bezczelnych insynuacji - warknął.

- Racja - odparł Frost uprzejmie, obrzuciwszy dwudziestoletniego smarkacza krzywym uśmiechem. - Najpierw przeczytam pańskie oświadczenie, a potem poproszę o odpowiedź na kilka pytań.

Wróciłem z biura do domu około godziny osiemnastej dwadzieścia pięć. Musiałem załatwić kilka pilnych spraw służbowych, więc pracowałem nad nimi w swoim mieszkaniu do godziny dwudziestej trzeciej piętnaście. Wówczas zorientowałem się, że dokumenty potrzebne do ukończenia pracy zostały w teczce w samochodzie.

O godzinie dwudziestej trzeciej dwadzieścia wyszedłem z mieszkania i skręciłem za narożnik budynku w stronę Norman Grove, gdzie zostawiłem zaparkowane auto - jaguara, o numerach rejestracyjnych ULU 63A. Ku swej konsternacji przekonałem się, że samochód znikł, więc natychmiast zadzwoniłem na posterunek policji w Denton, żeby zgłosić kradzież.

Potem wróciłem do domu i od razu poszedłem do łóżka. O smutnym fakcie śmierci pana Hickmana dowiedziałem się rano od reportera gazety codziennej „Echo”, który zadzwonił do mnie do biura dwie minuty po dziewiątej rano. Byłem ogromnie zestresowany, kiedy mi powiedziano, że najwyraźniej mój samochód uczestniczył w tym tragicznym zdarzeniu, więc od razu skontaktowałem się z moim prawnikiem i ustaliłem, że przyjedziemy na policję, żeby zaproponować naszą pomoc we wszelkim możliwym zakresie.

- Pięknie napisane - zachwycił się Frost, kiedy skończył czytać. Upuścił kartkę na stół i odwrócił się do młodzieńca. - Rozumiem, panie Miller, że pracuje pan dla swojego ojca?

I znowu zamiast Millera odezwał się Moore.

- Tak jest. Pan Miller pracuje w centralnym oddziale Miller Properties Ltd, towarzystwie akcyjnym.

- No tak... - mruknął Frost, kiwając głową z boku na bok. - Czy pan zatwierdził to oświadczenie, panie Moore?

- Oczywiście. Mój klient jest gotów je podpisać.

- Chcę to zrobić zaraz - wtrącił Roger Miller, wyciągając z kieszeni pióro pokryte warstwą złota i brązu. - Straciłem już ponad dwie godziny i szkoda mi czasu na sterczenie tutaj. Mam ciekawsze zajęcia.

- Jestem pewien, że pan Hickman też miał zaplanowane na dziś ciekawsze zajęcia niż leżenie w kostnicy - mruknął Frost. - No cóż, nie zawsze jesteśmy panami własnego losu.

- Muszę przyznać, że jak na funkcjonariusza służby publicznej jest pan cholernie bezczelny - parsknął młody człowiek, jednocześnie składając pod oświadczeniem zamasyisty podpis. Rzucił podpisaną kartkę w kierunku Frosta. - Czy mogę już iść? - Szarpnięciem głowy wskazał swojemu prawnikowi drzwi, jakby chciał zaznaczyć, że niezależnie od odpowiedzi inspektora ma zamiar się stąd wyrwać.

- Jeszcze tylko kilka drobiazgów, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Miller - odparł Frost. Jednocześnie pokazał palcem Websterowi, żeby na wszelki wypadek stanął przy drzwiach. - Proszę na chwilę usiąść. To nie powinno potrwać długo.

Uśmiechnął się rozbijając, kiedy obaj panowie zajmowali poprzednie miejsca.

- Cały kłopot w tym, panowie, że nie jestem bardzo bystry. W pańskim oświadczeniu znalazło się parę rzeczy, których nie rozumiem. Jestem przekonany, że to tylko kwestia mojej głupoty, więc gdyby pan zechciał mi wyjaśnić...

- Ja też odniosłem wrażenie, że jest pan głupi jak but - rzucił Miller tonem pełnym pogardy. - Ale proszę spróbować szybko myśleć, jeśli to w ogóle możliwe.

Frost podrapał się po głowie, jakby zupełnie nie orientował się, o co chodzi.

- Po pierwsze, zastanawiam się, jak to się stało, że pańska teczka znalazła się w jaguarze.

Miller uśmiechnął się z wyższością.

- Czemu pana to zastanawia, inspektorze?

- Zgodnie z zeznaniami świadka, z którym rozmawiałem, nigdy nie jeździ pan do biura jaguarem. Zawsze wykorzystuje pan do tego celu służbowy wóz, porsche. Więc jakim cudem teczka znalazła się w jaguarze?

Prawnik z dobrze wystudiowaną pewnością siebie zwrócił pytające spojrzenie na swojego klienta, ale ku swej konsternacji przekonał się, że młody człowiek zaczyna się plątać. Sam próbował podsunąć mu jakąś sensowną odpowiedź, jednak Roger bezradnie pokręcił głową.

- Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, inspektorze, chciałbym zamienić z moim klientem parę słów na osobności - powiedział szybko.

Frost z Websterem posłusznie wyszli na korytarz i czekali. Po pięciu minutach wezwano ich z powrotem.

- Błąd pamięciowy - wyjaśnił Moore, zdejmując skuwkę z wiecznego pióra, gotów poprawić w oświadczeniu ten drobiazg. - Mój klient zamierzał następnego dnia pojechać do biura swoim samochodem, więc wcześniej zabrał z porsche teczkę z dokumentami i włożył ją do jaguara.

- Przepraszam, ale chyba nie zrozumiałem - przerwał Frost. Odruchowo zaczął wodzić palcem dookoła blizny na policzku. - Pański klient przyjechał porsche, zaparkował go w podziemnym garażu, zabrał teczkę z ważnymi dokumentami, a potem wyszedł na zewnątrz, skręcił w Norman Grove, gdzie włożył teczkę do jaguara, a następnie wrócił do mieszkania, tak?

- Tak - odparł słabo Moore. Teraz, kiedy inspektor zaczął stawiać pytania, ta wersja nie brzmiała już tak wiarygodnie jak chwilę wcześniej.

- To bardzo logiczne, proszę pana. Więc jeśli zechce pan zmienić pod tym kątem oświadczenie, będziemy mogli przejść do istotniejszych kwestii.

Moore zaczął nanosić na papier konieczne poprawki, jednak słowa za nic nie chciały układać się w zdania. Wciąż musiał coś wykreślać i zmieniać tekst.

- Och, jeszcze jedna sprawa... - wtrącił nagle Frost. - Jak już powiedziałem, udało się nam odzyskać jaguara, ale teczki nie było w środku.

Miller parsknął szyderczym śmiechem.

- Pewnie złodziej ją zabrał.

Ta uwaga została przyjęta przez Frosta z pełnym zrozumieniem.

- Oczywiście, panie Miller, nie pomyślałem o tym. Teczka pełna biurowych dokumentów musiała być cenną zdobyczą... - Umilkł na moment, a potem dodał z wystudiowaną obojętnością: - Jeszcze jedno...

Pióro Moore'a zamarło w połowie słowa, a on sam starał się za wszelką cenę ukryć zaniepokojenie. Jaką bombę zostawił sobie Frost na sam koniec? Nie miał doświadczenia w kontaktach z policją kryminalną i wcale nie był już pewien, że jego klient powiedział całą prawdę i tylko prawdę. Czekał w napięciu, a jego wzrok przeskakiwał z Frosta na Millera i z powrotem.

- Panie Miller, w swoim oświadczeniu nadmienił pan, że zgłosił kradzież na policję, a potem wrócił do mieszkania i poszedł prosto do łóżka.

- Tak jest - potwierdził Miller.

- Być może nie wie pan o tym, ale we wczesnych godzinach rannych dostaliśmy anonimowy telefon, że jakiś mężczyzna próbuje się włamać przez balkon do apartamentu na czwartym piętrze w Halley House. Natychmiast udaliśmy się na miejsce zdarzenia, żeby przeprowadzić w tej sprawie śledztwo. W należącym do pana mieszkaniu nikt się nie zgłaszał, więc w obawie o pańskie bezpieczeństwo wykorzystaliśmy zapasowe klucze będące w posiadaniu dozorca, żeby wejść do środka. Na szczęście wewnątrz nie było śladu intruza. Ale dziwnym trafem nie było również śladu pańskiej obecności... Łóżko było zasłane i najwyraźniej nieużywane minionej nocy.

Miller skoczył na równe nogi, ciskając krzesłem w poprzek pokoju. Jego twarz była czerwona z gniewu.

- Ty bezczelna świnio! - ryknął. - Chcesz powiedzieć, że ośmieliłeś się wtargnąć do mojego mieszkania?! Ze bez mojej wiedzy odważyłeś się mnie sprawdzać?

Prawnik także wstał i syknął do Rogera, żeby się uspokoił. Miller, z zaciśniętymi pięściami i falującą pierśią, walczył z całych sił, ale w końcu udało mu się odzyskać panowanie nad sobą. Kiwnął głową w stronę Moore'a i z powrotem usiadł, jednak gdyby spojrzenie mogło zabijać, Frost padłby już trupem.

Moore schował wieczne pióro i zgarnął ze stołu oświadczenie, które od razu wsadził do teczki.

- Inspektorze, mój klient i ja musimy na nowo zastanowić się nad zaistniałą sytuacją. W chwili obecnej nie mamy nic więcej do powiedzenia.

Ale Frost jeszcze nie skończył.

- Przykro mi, że naraziłem pana na nieprzyjemności, ale jest jeszcze coś - zwrócił się do młodzieńca. - Myślę, że powinienem o tym wspomnieć, bo lepiej będzie wyjaśnić wszystkie kłamstwa za jednym zamachem. Mamy świadka, który widział, jak wczoraj wieczorem odjeżdżał pan jaguarem z Norman Grove.

Napotkał zdziwione spojrzenie Webstera, więc uśmiechnął się do niego promiennie. Co prawda w sprawie tego świadka Frost kłamał jak z nut, ale kto powiedział, że w tym towarzystwie tylko Miller ma prawo kłamać?

Moore drżącą ręką zasunął zamek błyskawiczny teczki i z poczuciem, że ostatnie kilka minut poważnie nadwerżyły mu psychikę, popchnął swojego klienta w stronę drzwi.

- Mam nadzieję, że będziemy mogli tu wrócić mniej więcej za godzinę - powiedział na odchodnym.

- Niestety, obawiam się, że nie możemy wypuścić stąd pańskiego klienta - odparł Frost. - Zarzuty, które na nim ciążyą, są zbyt poważne.

- W takim razie żądam, żeby na jakiś czas zostawiono mnie z nim sam na sam.

- Oczywiście. - Frost zabrał ze stołu papierosy i zapalki. Już sięgał po klamkę, kiedy Miller się załamał.

- Proszę poczekać, inspektorze.

Frost opuścił rękę, a potem powoli się odwrócił.

Cała arogancja Millera gdzieś się ulotniła. Drżąc jak liść, wyciągnął z kieszeni cieniutką papierośnicę, inkrustowaną złotem i czarną emalią, i wyjął z niej papierosa, ale zamiast go zapalić, nerwowo postukiwał nim o elegancki pojemniczek.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli powiem wam całą prawdę. Moore natychmiast przepchnął się do przodu.

- Proszę nie mówić ani słowa, dopóki nie przedyskutuje pan tego ze mną.

Odwrócił się do Frosta.

- Nie mamy nic do powiedzenia, dopóki nie rozeznamy się na nowo z sytuacji.

- Nie zaparkowałem jęga na Norman Grove - kontynuował zawzięcie Miller. - Ostatniej nocy nawet nie zajrzałem do swojego mieszkania.

Moore zatrząsł się z niepohamowanego gniewu. Złapał chłopaka za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Panie Miller, jeśli życzy pan sobie, abym nadal reprezentował pańskie interesy, proszę milczeć aż do chwili, gdy porozmawia pan ze mną - wyrzucił jednym tchem.

- Jeśli chcesz nadal być prawnikiem mojego ojca, to lepiej się zamknij, cholerny jełopie - warknął Miller. - I zabierz ode mnie te tłuste łapska.

Nieszczęsny prawnik opadł ciężko na krzesło i białą chusteczką zaczął wycierać zroszone potem czoło.

Upewniwszy się, że Webster otworzył notes i że jego pióro zawisło wyczekująco nad czystą kartką, Frost zwrócił się do młodego człowieka.

- Więc gdzie był pan ostatniej nocy, proszę pana?

- U dziewczyny... Nie mogłem wspomnieć o niej wcześniej, ponieważ jest to ktoś, kogo mój ojciec absolutnie nie aprobuje.

- W takim razie już zaczynam ją lubić - zażartował inspektor. - Jak długo był pan u niej?

- Od siódmej wieczorem do trochę po ósmej rano następnego dnia. Samochód został skradziony sprzed jej mieszkania. Psiakrew, inspektorze, nie mogłem dopuścić, żeby mój stary dowiedział się, gdzie byłem, więc udawałem, że auto znikło z Norman Grove. Oczywiście, kiedy dzwoniłem na policję, nie miałem pojęcia, że moim autem potracono człowieka, bo w takim razie nie próbowałbym kłamać.

Frost nic nie powiedział. Pióro Webstera z zawrotną szybkością śmigało po papierze, a Moore zdjął okulary i popatrzył na nie pod światło, żeby sprawdzić, czy szkła są zabrudzone, a następnie nałożył je z powrotem.

- Rozumiem, że był pan u niej całą noc, od siódmej wieczorem aż do ósmej rano? I nigdzie pan nie wychodził?

Roger bez słowa skinął głową.

- Czy ta dziewczyna potwierdzi pańskie zeznanie?

- Oczywiście.

Z piersi prawnika wyrwało się westchnienie ulgi, a potem na jego ustach zagościł uśmiech triumfu.

- W takim wypadku, inspektorze, nie ma możliwości, żeby mój klient był zamieszany w śmierć tamtego nieszczęśnika. Ma niepodważalne alibi.

Westchnienie Frosta brzmiało nieco inaczej - zdradzało głębokie rozczarowanie. Miał nadzieję, że zaraz usłyszy przyznanie się do winy, a zamiast tego okazało się, że bezzwłocznie musi zweryfikować następną wersję wydarzeń.

- Czy zechce pan nam podać nazwisko oraz adres owej damy? - zapytał ze słodyczą w głosie. - Tak na wszelki wypadek, gdybyśmy chcieli sprawdzić pańską wersję.

Dziewczyna nazywała się Julie King i mieszkała w jednej ze starych kamienic, podzielonej na sześć dwupokojowych apartamentów. Kamienica mieściła się przy Forest View - spokojnym, cichym zaułku, wychodzącym na Denton Woods. Niezamykane na zamek

drzwi frontowe umożliwiały każdemu wstęp do niedużego holu, w którym znajdowały się skrzynki na listy, automat telefoniczny i gaśnica. Julie King zajmowała mieszkanie na pierwszym piętrze.

Schodami weszli na podest, gdzie obok siebie znajdowało się dwoje drzwi. Na pierwszych z brzegu przyczepiona pinezką karteczka głosiła: „J. King”. W drzwiach prowadzących do sąsiedniego mieszkania ze skrzynki na listy wciąż sterczała poranna gazeta, a na progu stała nietknięta butelka na wpół skwaszonego mleka.

- Mieszkanka dwóch prostytutek - zauważył Frost, jak zwykle skłonny do wygłaszania pochopnych osądów. - Jedna pracuje w dzień, a druga w nocy. Spróbujmy zadzwonić do tej z rannej zmiany. - Mówiąc to, nacisnął dzwonek przy drzwiach Julie King.

- To wcale nie jest taka zła okolica - odparł Webster, kiedy czekali na otwarcie drzwi.

- Tak, dopóki nie masz nic przeciw temu, że mogą cię zgwałcić. Kilka przecznic dalej zaczyna się las.

Drzwi, blokowane przez solidny łańcuch, ostrożnie uchyliły się na kilka cali.

- Czego chcecie? - zapytał kobiecy głos.

- Policja - odparł Webster i podsunął swoją legitymację.

Za drzwiami wysunęła się szczupła ręka o długich, pomalowanych na pomarańczowo paznokciach, zabrała legitymację i wycofała się do wnętrza mieszkania. Po chwili drzwi zatrzasnęły się z hukiem, z wnętrza dobiegł odgłos odblokowywanego łańcucha, a potem drzwi otworzyły się na całą szerokość. Na progu stało ucieleśnienie seksualnych fantazji nastoletnich chłopców. Dżinsy w szaro-niebieskawym kolorze ciasno opinały zgrabne pośladki, a cytrynowy T-shirt przylegał do ciała jak druga skóra, ukazując pełną urodę jędrnych piersi. Figura dziewczyny przypominała literę X, a bujne blond włosy mieniły się złotym połyskiem.

- Tak? - spytała lekko schrypniętym głosem.

Frost usiłował coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobył się tylko jakiś niekontrolowany pisk, więc odchrząknął i spróbował jeszcze raz.

- Czy panna Julie King? Skinęła głową.

- Chcielibyśmy zadać pani parę pytań. Czy możemy wejść?

Wprowadziła ich do oszczędnie umeblowanego pokoju, w którym jednak nie brakowało niczego, co umożliwia wygodne życie. Na pierwszy rzut oka znać było, że w tym mieszkaniu nikt nie przebywał na tyle długo, żeby odcisnąć tutaj piętno swojej osobowości. Zielona sofa - która pamiętała lepsze dni - pokryta imitacją skóry stała przed elektrycznym kominkiem o dwóch żeberkach. Tuż obok sztucznego ognia na dwóch solidnych śrubach

wisiał należący do właściciela wrzutowy licznik elektryczności, pomalowany na gustowny oliwkowy kolor, bo akurat taką farbę miał na składzie administrator kamienicy. Uchylone drzwi na przeciwległej ścianie pozwalały dostrzec kawałek zlewu, lodówkę i malutką kuchenkę. Sąsiednie wejście prowadziło zapewne do sypialni. Na samą myśl, że tędy szedł Roger Miller, prowadząc do łóżka tę gorącą panienkę, Webster poczuł, jak wzbiera w nim nienawiść.

- Miłe mieszkanie i nieduże - zauważył Frost. Zasiadł na oparciu kanapy i wyciągnął pudełko papierosów. - Może ty zadasz pani parę pytań, synu? Ja przez cały boży dzień nie robię nic innego.

Julie wzięła podsuniętego przez Frosta papierosa, pochylając się przy tym tak, żeby mógł zajrzeć w rowek między olśniewającymi piersiami. Odrobinę drżącą ręką podał jej ogień. Następnie usiadła na sofie i pogłaskała sąsiednią poduszkę, zachęcając w ten sposób Webstera do zajęcia miejsca obok. Bez sprzeciwu przyjął zaproszenie. Sofa była raczej mała i w ten sposób obydwójce znaleźli się niebezpiecznie blisko siebie. Czuł promieniujące od niej zwierzęce ciepło i oszałamiający zapach perfum. Jego nienawiść do Rogera Millera wzrastała z każdą chwilą.

Odchrząknął i postarał się zebrać myśli.

- Panno King, czy zechce nam pani opowiedzieć, co wydarzyło się wczorajszego wieczora, powiedzmy od godziny szóstej?

W odpowiedzi obdarzyła go uśmiechem. Był to ten rodzaj uśmiechu, który wślizguje się mężczyźnie pod koszulę i gładzi go w okolicach dolnych partii brzucha.

- Tak naprawdę niewiele mam do opowiadania. Przez cały czas byłam tutaj, w swoim mieszkaniu.

Webster skrupulatnie zapisał w notatniku tę informację.

- Czy była pani sama?

Wydęła kształtne usta i składając je jak do pocałunku, wypuściła maleńki obłoczek dymu.

- Nie. Spędziłam ten wieczór w czyimś towarzystwie.

- Czy mogłaby pani podać mi jego nazwisko... Zakładając oczywiście, że mówimy o mężczyźnie?

- Miller. Roger Miller.

- Mistrz Roger, syn członka parlamentu? - wtrącił Frost, który odbywał przechadzkę po mieszkaniu i właśnie skręcał w stronę kuchni. Gdzie postawił swój samochód?

Webster popatrzył na niego spode łba. Podobno to ja miałem zadawać pytania, pomyślał ze złością.

- Czy chce pan przejąć prowadzenie przesłuchania, inspektorze? - zapytał na głos.

- Ja? Wielki Boże, ależ skąd! Rób dalej swoje, synu. Świetnie ci idzie.

Teraz Frost podsunął się do drzwi sypialni i bezszelestnie starał się przekręcić gałkę.

Webster wrócił do dziewczyny.

- O której godzinie przyjechał pan Miller?

- Dwadzieścia pięć po szóstej. Pamiętam, że spojrzałam na zegarek, kiedy zadzwonił do drzwi.

Poruszyła ręką, żeby zaprezentować Websterowi swój zegarek - śmiesznie małe cacko ze złota i czarnej emalii, w którym zamiast cyfr kwadransy wyznaczały prawdziwe diamenty.

- I jak długo tu zostałeś? Znów wydeła usta, wypuszczając obłoczek dymu. - Wyszedł gdzieś około ósmej rano. Leżałam jeszcze w łóżku.

Za plecami dziewczyny Frost cichutko otworzył drzwi sypialni i zniknął w środku. Webster z całych sił starał się nie patrzeć w tamtym kierunku. Nie chciał, żeby wzrok dziewczyny podążył za jego spojrzeniem.

- Czy pan Miller przyjechał samochodem?

- Tak - odparła bez wahania. - Swoim błękitnym jaguarem. Miał zamiar wyjść mniej więcej dwadzieścia po jedenastej, ale kiedy zszedł na dół, okazało się, że samochód został skradziony. Wtedy zaproponowałam, żeby został u mnie do rana.

Frost wyłonił się z głębi sypialni, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Gdzie był zaparkowany samochód pana Millera?

- Po drugiej stronie ulicy.

- Zastanawiam się, czy mogę zadać pani osobiste pytanie? - spytał nagle Frost.

Webster jęknął w duchu. Jak miał prowadzić przesłuchanie, skoro ten kretyń co parę minut wtrącał swoje trzy grosze?

- Czy to coś ważnego, inspektorze? - zapytał z rezygnacją.

- Och, to sprawa najwyższej wagi - odparł Frost, odwracając się do dziewczyny z rozbijającym uśmiechem. - Proszę mi powiedzieć, panienko, czy ma pani na prawym pośladku taki mały pieprzyk?

Webster dosłownie zaniemówił. W kompletnym osłupieniu gapił się na inspektora. Ten facet zwariował, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Dziewczyna wydawała się zupełnie oszołomiona.

- Mały pieprzyk, takie znamię piękności... - odpowiedział jej Frost. - O, dokładnie tutaj. - Dziabnął się palcem w tylną część uda.

Zerwała się z miejsca i wściekłym ruchem zgmiotła papierosa w niewielkiej popielniczce stojącej na obramowaniu kominka.

- A jeśli tak, to co? Czemu tak cię to interesuje, ty obleśny, stary dziadu?!

Sam nie ująłbym tego lepiej, pomyślał Webster. Zauważył, że w chwili stresu dziewczyna zaczynała mówić akcentem charakterystycznym dla wschodnich obrzeży Londynu.

W odpowiedzi Frost wyciągnął z kieszeni płaszcza fotografię wielkości pocztówki.

- Po prostu jestem ciekaw. Nie mogę się zdecydować, czy to muszka, czy pieprzyk.

Odwrocił fotografię przodem w ich stronę. Zdjęcie przedstawiało akt. Dziewczyna, ubrana jedynie w wysokie kozaki sięgające do połowy ud, trzymała w ręku bicz. Jej twarz zakrywała maska, natomiast piersi nie zakrywało nic. Za plecami modelki znajdowało się stojące lustro, w którym w całej okazałości odbijało się piękno jej pupy i pleców. Jak na dłoni widać tam było filigranowy pieprzyk na prawym pośladku, prawdziwe znamię piękności.

Dziewczyna wyrwała mu z ręki fotografię.

- Skąd pan to wytrzasnął?

- Chciałem pójść do łazienki - wyjaśnił mało przekonująco. - Przez pomyłkę wszedłem do pani sypialni. Jedna z szuflad w komodzie była otwarta, a to zdjęcie leżało na samym wierzchu. Przypadkiem je zauważyłem.

- Przypadkiem jest pan cholernym kłamcą! - odparła. - Szuflada była zamknięta, a zdjęcia leżą na samym spodzie. Jeśli koniecznie chce pan wiedzieć, te fotografie zostały zrobione dla celów reklamowych.

- Reklamowych?

- Pracuję w show-biznesie. Jestem tancerką i występuję w „The Coconut Grove”.

- „The Coconut Grove”? - powtórzył jak echo Frost. - Oczywiście! Pani jest jedną ze striptizerek Harry’ego Baski-na. W takim razie musi pani znać tę kobietę... Paulę Grey... Tę, która o mały włos nie została zgwałcona...

- Oczywiście, że ją znam - przerwała mu w pół zdania.

- Mieszka w sąsiednim lokalu. Pańscy koledzy kręcili się tu przez cały ranek i wypytywali, czy przypadkiem nie widziałam w pobliżu jakiegoś podejrzanego typu. Ta kretynka chyba postradała rozum. Sama prosiła się o kłopoty, jeśli poszła skrótem przez las... W takich miejscach można spotkać różnych zbrojców i Bóg jeden wie, kogo jeszcze.

- Za późno wyszła do pracy, dlatego pobiegła skrótem - wyjaśnił Webster. - Bała się, że jeśli się spóźni, Baskin wyleje ją z roboty.

- No tak. - Ze zrozumieniem skinęła głową. - Ten pieprzony skurwiel potrafi wyciąć taki numer.

- Ten pieprzony skurwiel został zeszłej nocy obrabowany z ładnej sumki... - mruknął Frost. - Wiedziała pani o tym?

- Obrabowany? Harry Baskin został obrabowany? - Odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się radosnym śmiechem, od którego drżało całe jej ciało i podskakiwały jędrne piersi.

- Co za wspaniały dzień!

Ja też uważam, że to wspaniały dzień, pomyślał Webster, życząc sobie, żeby dziewczyna śmiała się jak najczęściej. Ale oni nie przyszli tutaj w sprawie gwałtu ani rabunku, więc czemu Frost nie potrafił trzymać się tematu?

- Przyjechaliśmy tu w sprawie wypadku - przypomniał inspektorowi.

- Masz rację, synu - zgodził się Frost. - Gdzie jest telewizor? - spytał, rozglądając się dookoła.

Zamrugła, jakby to wyrwane z kontekstu pytanie całkiem zbiło ją z tropu.

- Nie mam telewizora.

- I chce pani, żebym uwierzył, że we dwoje z Mistrzem Rogerem siedzieliście w tej udającej mieszkanie kanciapie od wpół do siódmej wieczorem do ósmej rano następnego dnia bez telewizora, który mógłby wam dostarczyć minimum rozrywki? Nie widzę tu nawet książek, które można poczytać. Więc co robiliście, żeby zabić czas?

- Przypadkiem tak się składa, że się kochamy - odpowiedziała zwyczajnie. - Więc jak pan uważa, co robiliśmy przez całą noc?

Ale Frost nie dał się na to nabrać.

- Ależ panienko! Są pewne granice. Gdyby trafiło to na mnie, to mógłbym przez całą noc gapić się na pani pieprzyk i nie pragnąć niczego więcej poza smaczną kanapką i kubkiem mocnej herbaty. Ale Mistrz Roger? On nie należy do mężczyzn, którzy lubią siedzieć w domu. Po prostu nie potrafiłby godzinami tkwić w takiej cholernej dziurze jak to mieszkanie. Z pewnością chciałby gdzieś wyjść, pojechać dokądkolwiek, po drodze trzepnąć swoim kosztownym samochodem jakiegoś biedaka, a potem namówić małą, głupią dziwkę, żeby dostarczyła mu fałszywe alibi.

Z jej oczu tryskał prawdziwy ogień.

- Uważam, że zachowuje się pan w ohydny sposób.

- W takim razie znalazła się pani w doborowym towarzystwie, panno King. Proszę zapamiętać, że według mnie ohydne jest to, że synalek bogatego tatusia zabija niewinnego człowieka i może mu to ująć na sucho.

Dziewczyna z wrażenia wstrzymała oddech. Teraz wyglądała na przerażoną. Mocno przerażoną.

- Zabić? Chce pan powiedzieć, że ten człowiek nie żyje? Frost popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Więc pani nie wiedziała, że on umarł? Pewnie pani chłopak zatrzymał dla siebie ten pikantny kąsek, zanim poprosił, żeby dostarczyła mu pani fałszywe alibi?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, a następnie zwróciła błagalny wzrok na Webstera, jakby chciała go prosić, żeby powiedział, że to wszystko nieprawda.

- Umarł wczoraj późno w nocy - potwierdził posterunkowy.

Opadła na sofę, jakby nagle zabrakło jej sił, a jej twarz zbieleła jak szpitalne prześcieradło. Bezwiednie zwijała w palcach chusteczkę, aż utworzył się z niej cienki, jedwabny sznurek.

- Sama więc pani widzi, że to bardzo poważna sprawa - dodał łagodnie Webster.

- On nie jest wart, żeby dla niego kłamać - dorzucił Frost. - Na pewno sam nie kłamałby w pani obronie.

Pociągnęła za końce chusteczki, jakby chciała rozerwać ją na dwoje, a potem buntowniczym ruchem szarpnęła głową.

- Wcale nie kłamię. Roger naprawdę przyjechał tu wczoraj wieczorem i został ze mną aż do ósmej rano. Nigdzie nie wychodziliśmy. Nie mogliśmy wyjść, nawet gdyby chciał. Roger nie ma pieniędzy. Jest kompletnie splukany.

- Splukany? Daj spokój, skarbie. Roger tarza się w forsie.

- Ma sporo długów do spłacenia... Na przykład jest winien kupę forsy Harry'emu Baskinowi. Możecie go spytać, jeśli mi nie wierzycie. To właśnie dlatego musieliśmy tu zostać... Przez tę całą przekłętą noc. Czy teraz jest pan zadowolony?

Słoneczko, jest tylko jeden sposób, w jaki mogłabyś mnie zadowolić, pomyślał Frost. Ale to wymagałoby pokazania mi tego pieprzyka... Popatrzył jej prosto w oczy. Próbowwała wytrzymać jego spojrzenie, ale po chwili opuściła głowę. Kłamiesz, kochanie, a ja nie potrafię udowodnić ci kłamstwa, pomyślał. Westchnął głęboko.

- W porządku, panienko. Chcielibyśmy prosić, żeby dziś o dowolnej porze zajrzała pani na posterunek i tam podpisała swoje zeznanie. To nie powinno zająć wiele czasu.

Wyprostował obolałe plecy i zapiął płaszcz przeciwdeszczowy. Jeden z guzików wisiał na pojedynczej nitce. Będzie musiał kogoś poprosić, żeby go przyszył, zanim guzik całkiem odpadnie. Jednak Julie King nie wyglądała na dziewczynę, która wie, do czego służy igła z nitką.

- Jeśli chce pan znać moje zdanie, to ona kłamie - oznajmił Webster, kiedy tylko znaleźli się z powrotem w samochodzie.

- Prawdopodobnie masz rację - zgodził się Frost. Właśnie przed chwilą wyciągnął z kieszeni wymiętą notatkę, którą nabazgrał wcześniej. - Jednak jest pewna sprawa, która nie daje mi spokoju i przez którą zacząłem się zastanawiać, że być może pannica jednak powiedziała prawdę. Chodzi mi o tę pieprzoną tablicę rejestracyjną. To był cholernie wygodny dla nas zbieg okoliczności, nie uważasz? Zupełnie jakby włamywacz napisał na ścianie swój adres albo gwałcieł zostawił w widocznym miejscu fotografię swojego fiuta.

- Tablica odpadła, kiedy jaguar wałnęła w kosz na śmieci

- przypomniał Webster, który za cholerę nie widział w tym nic nielogicznego.

- Ile razy zdarzyło ci się słyszeć o tym, że ktoś zgubił tablicę rejestracyjną? - Frost sięgnął po radio, żeby połączyć się z posterunkiem.

Na dźwięk jego głosu Johnny Johnson ucieszył się jak głupi.

- Inspektor Frost! Właśnie staramy się nawiązać z tobą kontakt. Pan Mullett życzy sobie pilnie cię widzieć. Zdaje się, że chodzi o statystyki przestępstw.

- Przepraszam, ale bardzo źle cię słyszę - odparł Frost.

- Coś nam przerywa.

- A ja cię słyszę doskonale - zdziwił się sierżant.

- Dobrze. W takim razie chcę, żebyś mi o czymś powiedział. Prosiłem, żebyście wysłali kogoś w to miejsce, gdzie znaleziono tablicę rejestracyjną, żeby poszukał takich plastikowych śrub. Czy coś znaleziono?

- Nie, Jack. Charlie Bravo przeszukał dokładnie cały teren, ale nie trafił na nic, co przypominałoby śruby. Więc pan Mullett...

- Cholera, znowu cię nie słyszę - rzucił szybko Frost.

- Bez odbioru.

Wyłączył radio na wypadek, gdyby dyspozytor próbował go wywołać, a potem głęboko zadumany podrapał się w podbródek.

- Jeśli odpada tablica rejestracyjna, to śruby, którymi jest przykręcona do samochodu, powinny odpaść tuż przedtem

- myślał głośno. - Więc gdzie się podziały?

- Nie mam pojęcia. - Webster wzruszył ramionami.

- Należy przyjąć, że obie śruby odpadły jednocześnie - kontynuował Frost.

- Czemu?

- Bo gdyby odpadła tylko jedna, to tablica wciąż trzymałaby się na drugiej. Musiałaby obrócić się i opaść, a ponieważ samochód wciąż pędził z zawrotną prędkością, szorowałby nią po nawierzchni jezdni. A jednak na tablicy nie było żadnych zadrapań.

- Niekoniecznie musiała opaść - wtrącił Webster. - Być może druga śruba trzymała tak mocno, że tablica została w poprzedniej pozycji.

- Gdyby tak było, synu, to nie ma siły, nie odkręciłaby się sama i tablica w ogóle by nie odpadła. Nie, ona została celowo zdjęta, przywieziona samochodem, a potem porzucona w pobliżu miejsca wypadku, żeby durne gliny mogły się cieszyć, że ją znalazły.

Webster poparzył na Frosta z politowaniem.

- Chyba pozostawienie wizytówki w postaci tablicy rejestracyjnej to ostatnia rzecz, jaką Miller mógłby zrobić.

- Zgoda, jeśli to on prowadził. Ale jeśli za kierownicą siedział ktoś inny? Ktoś, komu zależało, żeby wpakować Millera w kłopoty?

Posterunkowy mógł jedynie rozpaczliwie kręcić głową. Nie nadał za tokiem myślenia inspektora.

Frost z powrotem usadowił się wygodnie w fotelu.

- „Proszę dla odmiany spróbować tego”, jak powiedział biskup do aktorki... Dziewczyna zdradziła nam, że Miller robi zakłady u Harry’ego Baskina i że jego sytuacja finansowa nie wygląda najlepiej. Załóżmy, że Miller ma poważne długi hazardowe i że nie może ich spłacić. Wspominałem ci już, że Harry wypracował własne, wielce dowcipne sposoby, które pomagają mu skłonić opornych dłużników do uregulowania należności - podpala im samochody albo ucina łebki ukochanym kotkom... Przypuśćmy, że Harry zdecydował się nieco przycisnąć Rogera i wysłał któregoś ze swoich kompanów, żeby zwinął mu jaguara, przejechał się przez miasto z zawrotną prędkością, po drodze rozwalił kilka pojemników na śmieci i wreszcie zgubił w widocznym miejscu tablicę rejestracyjną - tak żeby nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, czyja to robota... To miała być forma ostrzeżenia, że jeśli gość nie wybuli kasy, może się spodziewać wszystkiego najgorszego. Taki był plan, ale niestety nie wypalił. Kumpel potracił na jezdni starszego człowieka i go zabił. Porzucił więc jaguara i czym prędzej wrócił do „The Coconut Grove”... Jeśli pamiętasz, samochód został odnaleziony całkiem niedaleko klubu.

Webster przez dłuższą chwilę myślał nad tym, co usłyszał.

- W tym wszystkim jest mnóstwo znaków zapytania, ale ogólnie rzecz biorąc, pańska wersja wydaje się możliwa - przyznał niechętnie.

- Tak... - mruknął Frost. - Jedyne problem w tym, że jeśli mam rację, to Mistrz Roger jest niewinny, a to kłóci się z moim naturalnym poczuciem sprawiedliwości.

Szarpnął pas bezpieczeństwa, przeciągnął go ponad kolanami i zapiął.

- No cóż, na szczęście są jeszcze inne sprawy, którymi możemy zająć nasze płodne umysły. Jedźmy zobaczyć, co tam słyhać u mateczki o ruchliwym tyłeczku.

- Jak sądzę, ma pan na myśli panią Dawson? - spytał Webster, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Inspektor skinął głową, ale zaraz potem zagryzł dolną wargę, jakby właśnie dopadła go kolejna wątpliwość i nie chciała dać mu spokoju.

- Wiesz, synu, pewna rzecz poważnie mnie niepokoi. Wczoraj po południu na mieście wiało jak sto diabłów.

- Naprawdę? - Webster wykrzywił usta w grymasie, który miał udawać uśmiech. Ciekawe, dokąd tym razem zmierzał ten stary dureń?

Frost wyrzwał przez okno na wysokie drzewa Denton Woods, bo samochód właśnie jechał biegnącą wzdłuż lasu obwodnicą.

- Tak, była prawie wichura. Na pewno potargałaby ci brodę. Gdybyś był elegancką kobietką z uroczym tyłeczkiem i właśnie wyszedł od fryzjera, który ułożył ci włosy na ważną wieczorną imprezę, to czy ryzykowałbyś całość fryzury, włączając się przez parę godzin po mieście?

- Nie - zdecydowanie odparł Webster.

- No widzisz, a mateczka Dawson nie bała się zaryzykować... Zanim się z nią zobaczymy, wpadniemy do miasta, żeby pogadać z paroma fryzjerkami. Być może nawet u którejś z nich ufarbujesz sobie brodę na niebiesko.

ŚRODA, RANNA ZMIANA (5)

Max Dawson ostatni raz przesunął miękką ściereczką do kurzu po lśniącej lufie karabinu, a następnie ostrożnie oparł kolbę na ramieniu i ustawił przyrząd celowniczy tak, że muszka znalazła się na środku czoła śpiącej spokojnie żony. Bardzo delikatnie nacisnął spust. Rozległo się metaliczne kliknięcie. Kobieta poruszyła się lekko i natychmiast znów zapadła w sen.

Opuścił broń, niemal żałując, że nie była naładowana. Jak to możliwe, że Clare spała tak spokojnie? Jej jedyna córka zaginęła, być może nawet leżała gdzieś bez życia, a ona uciniała sobie drzemkę.

Karabin wylądował z powrotem w skórzanej walizeczce, zamykanej na zamek błyskawiczny. Zaniósł ją do metalowej szafy, która zgodnie z certyfikatem upoważniającym go do posiadania broni palnej była przymocowana do ściany pod schodami za pomocą kołków wpuszczonych w beton. Właśnie przekręcał klucz w zamku, kiedy zabrzączał telefon.

To była Karen. To musiała być Karen.

Popędził do salonu i poderwał słuchawkę z widełek.

- Tak? - wycharczał.

Dźwięk dzwonka wybił Clare ze snu.

- Czy to Karen? - zawołała.

Niecierpliwym machnięciem ręki nakazał jej milczenie. Przez chwilę słuchał, a jego twarz poczerwieniała z gniewu. Z niedowierzaniem odwrócił się do żony.

- Czy uwierzysz, że to jakaś pinda z biura, która dzwoni, żeby zadać mi głupie pytanie?

Doprowadzony do wściekłości ryknął do słuchawki:

- Spieprzaj z tej linii, cholerna dziwko! Spróbuj jeszcze raz zadzwonić do mnie do domu!

Rzucił słuchawkę na widełki z taką siłą, że przez moment bał się, że roztrzaskał ją w drobny mak. Na wszelki wypadek sprawdził, ale ze środka wciąż wydobywało się uspokajające mruczenie sygnału centrali. Drżącą ręką odłożył ją z powrotem, tym razem spokojnie.

Clare dźwignęła się z fotela, na którym leżała skulona w niespokojnym śnie. Przeciągnęła się, żeby rozluźnić zeszywniałe plecy. Przelotnie rzuciła okiem w lustro nad kominkiem i palcami napuszyła nieco oklapniętą fryzurę, a potem płynnym krokiem podeszła do męża, żeby delikatnie ucisnąć mu ramię.

- Zrobić ci kawy?

Ze złością wyszarpnął rękę. Nie życzył sobie, żeby go dotykała. Zniknięcie Karen było jej i tylko jej winą, powtarzał sobie. Gdyby wczoraj po południu siedziała w domu, kiedy Karen wróciła wcześniej ze szkoły, nic złego by się nie wydarzyło.

- Nie chcę kawy - warknął.

Przyjęła tę odmowę wzruszeniem ramion i uklękła na wyściełanym krześle stojącym przy oknie, wpatrując się w pięknie utrzymany ogród. Blask słońca sączył się z nieba, a ostry wiatr czochrał gałęzie krzewów i marszczył wodę na dekoracyjnym stawie.

Ciszę przerwał głośny dźwięk klaksonu. Jakiś samochód skręcił z drogi na podjazd. Clare poczuła, jak przeszywa ją zimny dreszcz.

- Max, samochód!

Prawie skoczył przez całą szerokość pokoju, żeby zająć miejsce przy oknie obok niej. Na pierwszy rzut oka rozpoznał poobijaną cortinę.

- To policja - oznajmił. - Ci sami dwaj idioci, którzy byli tu zeszłej nocy.

Wyciągnęła rękę, żeby ciepło jego dłoni nappełniło ją spokojem, ale on zdążył się już odsunąć i teraz patrzył, jak ford parkuje przed frontowymi drzwiami i dwaj policjanci wysiadają z auta. Obaj stróże prawa mieli śmiertelnie poważne miny.

Dzwonek u drzwi zadźwięczał donośnie. Nie wykonał najlżejszego ruchu. Nie chciał. Jeśli nie otworzy drzwi, nie będzie musiał słuchać tych strasznych nowin i dla niego Karen wciąż będzie żyła.

Drugi dzwonek był znacznie dłuższy i bardziej natarczywy.

Clare ponownie obejrzała w lustrze swoje odbicie, poprawiła zawinięty brzeg sweterka, a następnie poszła otworzyć. Wściekłym spojrzeniem śledził każdy jej ruch. Spójrzcie tylko! Jedyna córka nie żyje, a jej w głowie tylko wdziękzenie się do byle kogo!

Usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi, a potem szmer głosów. Dostyc głośny szmer, nie przyciszony jak wtedy, gdy człowiek ma do przekazania złe wieści.

W jego umyśle zabłysła iskierka nadziei. Wreszcie obaj policjanci weszli do salonu. Najpierw odezwał się ten parszywy niechluj.

- Dzień dobry, panie Dawson - zagrzmiął. - Niestety nie wiemy niczego nowego. Rozumiem, że córka nie dała znaku życia?

- Gdyby zadzwoniła, na pewno powiadomiłbym pana o tym, inspektorze - burknął Dawson. Teraz zamiast ulgi czuł jedynie urazę, że tak bardzo pozwolił się im wystraszyć.

- Oczywiście, proszę pana - rzekł Frost. - W każdym razie puściliśmy w obieg jej fotografię i prosimy, żeby wszyscy mieli oczy szeroko otwarte, więc przy odrobinie szczęścia wkrótce powinniśmy ją namierzyć.

- Puściliście w obieg zdjęcie Karen? - zapytał piskliwym głosem, otwierając szeroko usta w przesadnym zadziwieniu. - Czy mam rozumieć, że to wszystko, na co was stać? Wielki Boże! Człowieku, gdyby Karen przebywała w miejscach, gdzie ludzie mogą ją widzieć, to przecież zadzwoniłaby do mnie, nie sądzisz? Spójrzmy prawdzie w oczy. Karen została uwięziona gdzieś wbrew swojej woli, może jest ranna albo nawet gorzej... A co z tym lasem, gdzie napadnięto kobietę? Karen też może gdzieś tam leżeć, bezradna i bezbronna.

- Mamy ekipę, która przeszukuje las - zapewnił Webster.

- Na dowódcę tej operacji wyznaczyłem jednego z moich najlepszych ludzi - dorzucił Frost. - To detektyw inspektor Allen. Nie należy może do najbystrzejszych, ale za to jest bardzo dokładny.

- Prawdę mówiąc, panie Dawson, przyjechaliśmy tu, żeby przeszukać posiadłość - oznajmił Webster. - To zwykła rutyna, ale dzieci znane są z tego, że lubią się ukrywać i czasami przypadkiem wpadają gdzieś w pułapkę. W tym domu jest mnóstwo zakamarków.

Dawson pomyślał, że to strata czasu. Sam przejrzał już każdy cal kwadratowy budynku mieszkalnego i zabudowań gospodarczych.

- Nigdy nie zaszkodzi być pewnym w stu procentach - oświadczył Frost i zaproponował, żeby Webster z Dawsonem zaczęli szukać na poddaszu, podczas gdy on z panią Dawson zajmą się parterem.

Czekając, aż kroki obydwu mężczyzn ucichną nad ich głowami, Frost obrzucił panią Dawson przyjaznym uśmiechem. Ten uśmiech znaczył, że powinna mieć się na baczności. Ale chyba nie zrozumiała, bo odwzajemniła uśmiech. Dziś miała na sobie pomarańczowy sweterek z angory i obcisłe spodnie w krzykliwym, cytrynowym kolorze. Sweter trochę stracił pierwotny fason, ale Clare starannie go rozprostowała i dotąd się prężyła, aż znowu zaczął podkreślać jej ponętne kształty.

- Od czego zaczniemy?

Frost połączył oba końce szalika, a potem raz i drugi skubnął zniekształcony przez bliznę policzek. Nadszedł czas, żeby rzucić się na głęboką wodę, choć nie wiedział, jak bardzo jest głęboka.

- Pani Dawson... Jeśli pani córka wróciła wczoraj do pustego domu, a w środku ukrywał się obcy mężczyzna, to sprawa jej bezpieczeństwa niepokoi mnie w najwyższym stopniu. Będę musiał zorganizować poszukiwania na ogromną skalę, prawdopodobnie angażując do pomocy policjantów z innych okręgów. To zajmie ludziom cholernie dużo czasu i będzie kosztować Bóg jeden wie ile, ale jeśli w grę wchodzi życie dziewczynki, żadne koszty nie są zbyt wysokie.

Sięgnęła na obramowanie kominka po zapalniczkę w kształcie rycerza i razem z nią zapadła w głęboki fotel, kuląc przy tym ramiona. W zupełnej ciszy rozlegał się jedynie cichy trzask, kiedy płomień pojawiał się nagle i równie nagle zamierał.

- Jednak zanim podejmę tak radykalne kroki - ciągnął Frost śmiertelnie poważnym tonem - chciałbym się upewnić, czy niegodna myśl, która co chwila kielkuje mi w głowie, nie jest przypadkiem zgodna z prawdą.

- Niegodna myśl? - zająknęła się.

- Proszę mi wybaczyć, pani Dawson, ale będę mówił bez ogródek. To oszczędzi nam mnóstwo czasu. Jest pani młodą i seksowną kobietą. Jest pani o wiele młodsza od swojego małżonka i przez większą część dnia siedzi pani sama w tym domu. Ogólnie wiadomo, że w takich okolicznościach kobiety dla zabicia czasu szukają sobie odrobiny rozrywki.

Zerwała się na równe nogi i teraz stała przed nim, a jej pierś falowała z oburzenia. - Jak pan śmie!

Delikatnie popchnął ją z powrotem na miejsce.

- Jeśli to pomoże odnaleźć pani córkę, to będę sobie pozwalał tyle, ile będzie trzeba. Chcę się tylko przekonać, czy możemy wyeliminować z naszego śledztwa owego tajemniczego mężczyznę.

Odruchowo pstrykała zapalniczką, a płomień pojawiał się i znikał... W końcu Frost miał ochotę zrobić to samo, co poprzedniego wieczora zrobił jej mąż - po prostu odebrać jej tę nieszczęsną zapalniczkę.

- Pytam panią wprost, bez żadnych osłonek: Czy możemy wyeliminować ze śledztwa tego mężczyznę?

Zabawa zapalniczką zdawała się pochłaniać ją bez reszty.

- Obiecuję, pani Dawson, że jeśli on był tutaj wyłącznie dla pani, będę trzymać go z dala od tej sprawy. Czy mogę tak postąpić?

- Tak, do jasnej cholery, może pan!

Frost westchnął ciężko. Udało się bezpiecznie przeskoczyć przez pierwszy płotek.

- Rozmawiałem z pani fryzjerką. Początkowo wizyta była umówiona na drugą, ale wczoraj rano zadzwoniła pani, żeby przesunąć spotkanie na piątą. Zgadza się?

- Skoro sprawdził pan u fryzjerki, to znaczy, że tak było - odparła buntowniczym tonem.

- W porządku. W takim razie zakładamy, że przełożyła pani wizytę z powodu niespodziewanej randki ze swoim chłopakiem.

- Tak.

- Byliście tutaj, kiedy Karen wróciła ze szkoły? - Tak.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Siedzieliśmy tutaj, na tej kozetce. Całowaliśmy się... Miałam rozpiętą sukienkę. Żadne z nas nie słyszało, kiedy weszła. Nie spodziewaliśmy się jej. Powinni zadzwonić z tej choleralnej szkoły, że odwołano lekcje... Karen zobaczyła nas i wybiegła z domu.

- Ma pani jakiś pomysł, dokąd mogła pójść?

- Nie. Ale jestem pewna, że wróci. Mój mąż o niczym nie ma pojęcia, ale podobne sytuacje zdarzały się już wcześniej. Karen wcale nie jest taka niewinna, jak on sądzi.

Odstawiła zapalniczkę na podłogę i podeszła do baru, gdzie jednym ruchem wlała do kieliszka setkę wódki i patrząc wyzywająco na inspektora, podniosła kieliszek do ust. Zaraz potem coś w niej pękło.

- Ale nie powie pan o tym mojemu mężowi? Zabije mnie, jeśli dowie się prawdy.

Frost wzruszył ramionami.

- Oczywiście, że mu nie powiem, jeśli nie będzie takiej potrzeby. Ale pani córka z pewnością się wygada, kiedy tylko wróci.

- Dam sobie radę z Karen - odparła znacząco.

- Dobrze. - Frost owinął szyję szalikiem. - Będziemy jej szukać, ale rozumiem, że przez dzień lub dwa nie ma się czym martwić. Jeśli czegoś się pani dowie, proszę nas powiadomić.

Drzwi do salonu otworzyły się i na progu stanął Max Dawson oraz zakurzony, pokryty pajęczynami posterunkowy Webster.

- Tutaj jej nie ma - wyjaśnił szybko Frost. - Szukaliśmy wszędzie.

Gdy wrócili do samochodu, Frost postanowił zaryzykować i włączył radio. Tak jak się spodziewał, dyspozytor próbował się z nim połączyć. Charlie Bravo pojechał do domu Toma Crolla, żeby przywieźć go na przesłuchanie, ale w mieszkaniu nie zastał właściciela. Za to drzwi nosiły ślady włamania, a wszystkie meble zostały systematycznie rozbite i rozprute.

- Już tam jedziemy! - zawołał Frost.

*

Detektyw inspektor Allen zastukał energicznie do gabinetu komendanta i wszedł do środka. Mullett, który tkwił za mahoniowym biurkiem w sztywnej postawie służbisty, uśmiechnął się na jego widok i wskazał miejsce naprzeciw siebie.

- Wygląda pan na zmęczonego, inspektorze.

Allen usiadł i znużonym ruchem rozciągnął zeszywniałe ze zmęczenia mięśnie.

- Pomyślałem, panie komendancie, że lepiej będzie, jeśli zapoznam pana z bieżącymi wynikami śledztwa w sprawie gwałtu. Przykro mi to mówić, ale do tej pory nie udało się poczynić żadnych postępów. Dojrzała kobieta ubrana w szkolny mundur wychodzi z domu i idzie w stronę lasu, a my nie potrafimy znaleźć choćby jednego świadka, który ją widział. Pytaliśmy dosłownie wszędzie. Sam dokładnie sprawdzałem...

- Jestem pewien, że starannie wykonał pan swoją robotę, inspektorze. To się rozumie samo przez się - przymiłnym tonem dorzucił Mullett.

- Przepuściłem przez sito wszystkich znanych zbrodniarzy, którzy mają na koncie przestępstwa na tle seksualnym... Jeszcze parę osób zostało nam do sprawdzenia, ale na razie nie trafiliśmy na nic konkretnego.

- A czy ogłoszenia w radiu i telewizji przyniosły jakieś rezultaty?

- Och tak, mnóstwo osób odpowiedziało na nasz apel. Sprawdzaliśmy każdy trop, choć większość była całkiem bez sensu - na przykład telefonowały stare panny, którym zdaje się, że gwałcicielem jest ich sąsiad, ponieważ zawsze zerka przez płot, kiedy wieszają w ogrodzie swoje majtki. Przykro mi to powiedzieć, panie komendancie, ale w tym momencie wydaje mi się, że utknęliśmy w martwym punkcie i musimy czekać, aż gwałciciel znów zaatakuje. Wypada tylko mieć nadzieję, że tym razem zostawi jakiś ślad.

Mullett wyraźnie się skrzywił.

- Nie można postępować w ten sposób, inspektorze. Ten facet musi zostać unieszkodliwiony, zanim dopadnie następną ofiarę. Czy udało się wam wytropić tego anonimowego informatora?

- Nie. Wzywaliśmy go, żeby się odezwał, ale na razie cisza. W związku z tym chciałbym coś zasugerować, jeśli można. - Popatrzył z nadzieją w pochmurną twarz komisarza.

- Tak? - zapytał Mullett z niepokojem. Czuł, że za chwilę zostanie zmuszony do podjęcia decyzji.

- Możemy zastawić pułapkę... Wysłać kogoś jako przynętę, na przykład policjantkę ubraną jak dziewczyna lekkich obyczajów, żeby skusić go do pójścia za nią.

Mullett poprawił wąsy i przyglądał się szczecinie na głowie.

- Nie podoba mi się to, Allen. Zbyt ryzykowne.

- Proszę pozwolić, że przedstawię panu plan.

Allen podniósł się z krzesła i podszedł do dużej mapy ściennej, która wisiała za biurkiem komisarza.

- Ukryjemy naszych ludzi tu i tu, a na sąsiadujących z lasem ulicach będą się kręcić wozy patrolowe. Część ludzi zatrzymam tu, a dwóch dodatkowych będzie zabezpieczało to miejsce... - Szturchnął palcem mapę. - Przebrana kobieta...

- Tylko jedna? - przerwał mu Mullett. Allen skinął głową.

- Tak będzie bezpieczniej. Chciałbym utrzymać całą operację na możliwie ograniczonym terenie, żebyśmy zdążyli dotrzeć do przynęty, zanim zrobi jej krzywdę.

Ponad ramieniem Allena Mullett przyglądał się uważnie mapie.

- Wszystkie pańskie nadzieje sprowadzają się do tego, że gwałcieł wybierze to samo miejsce co zeszłej nocy. Ten las jest naprawdę ogromny i może się zdarzyć, że pan będzie czatował od strony zachodniej, podczas gdy on napadnie na kolejną ofiarę gdzieś w części wschodniej.

- Żeby zabezpieczyć cały obszar, musiałbym zaangażować tylu ludzi, że nasz gwałcieł miałby problemy, żeby w ogóle wejść do lasu... Mam nadzieję, że jeśli przynęta okaże się atrakcyjna, to sam do nas przyjdzie.

- Ilu ludzi będzie pan potrzebował?

- Mniej więcej piętnastu. Może dwudziestu.

- No nie wiem - odparł wykrętnie Mullett, wracając na krzesło. - Według mnie za wiele rzeczy pozostawia pan przypadkowi. Poza tym proszę pomyśleć, jak wysoki będzie koszt takiej operacji - piętnastu albo dwudziestu ludzi, którym musimy zapłacić za nadgodziny. Mądrale z kwatery głównej mocno mnie naciskają, żebym ograniczył koszty. Pokażę panu memorandum, jakie ostatnio mi przysłano.

Otworzył zameczek szuflady i wyciągnął stamtąd stosowny dokument. Na samym wierzchu czerwonymi drukowanymi literami napisane było: POUFNE.

Allen ledwo rzucił okiem na memorandum. Nie miał zamiaru czytać tych głupot.

- Więc mam rozumieć, panie komendancie, że nie powinniśmy nic robić? Że należy siedzieć z założonymi rękoma i spokojnie czekać, aż nasz gwałcieł zaatakuje następną dziewczynę? Czy właśnie to chciał pan powiedzieć?

Mullett czuł się tak, jakby ściana z tyłu całym ciężarem na niego napierała.

- A co mogę zrobić? - spytał słabo, machając memorandum jak białą flagą. - Zostaliśmy zobowiązani do cięcia wydatków. To znaczy, ja mogę zaaprobować ten plan. Będzie pan marnował noc za nocą, piętnastu czy dwudziestu ludziom będą się należały dodatkowe pieniądze, i koszty wzrosną niebotycznie. W dodatku gdyby te pieniądze okazały się wyrzucone w błoto, to władze hrabstwa mnie rozszarpia.

- W takim razie ograniczmy operację tylko do pięciu nocy.

- Do trzech - sprzeciwił się Mullett, czując, że szala zwycięstwa przechyla się na jego stronę.

- Zgadzam się, panie komendancie. Niech będą trzy noce. A potem zdecydujemy, czy przedłużać operację, czy dać sobie spokój.

- Ale najpierw muszę zobaczyć zestawienie kosztów! - zawołał Mullett, kiedy Allen ruszył w stronę drzwi.

- Oczywiście, panie komendancie. - Inspektor uśmiechnął się. - Za pół godziny wszystko będzie na pańskim biurku. Już zacząłem robić obliczenia.

*

- Właśnie tak to zastaliśmy, inspektorze - oświadczył poważnym tonem posterunkowy Kenny, wprowadzając Frosta do mieszkania Tommy'ego Crolla.

W obydwu pokojach panował nieopisany chaos - wszystkie tapicerki były rozprute, szuflady powyciągane, szafy otwarte na oścież, a ich zawartość wałała się po podłodze. W sypialni materac został ściągnięty z łóżka i pocięty nożem, a z rozdarć wysuwały się smętne kępki końskiego włosia. Stos zmiętych ubrań, wywalonych byle jak z garderoby, pokrywała śnieżna kołderka puchu z poduszek. Na kuchennej terakocie leżała gruba warstwa mydła w proszku i płatków kukurydzianych, które głośno skrzypiały pod podszewami butów.

- Całkiem nowa aranżacja wnętrza - zauważył Kenny. - Śmieszna rzecz, ale to samo przyszło mi do głowy!

- Frost kopnął puszkę groszku, która potoczyła się w kąt, żeby tam spocząć obok połamanych kromek chleba. - I co, ani śladu Crolla?

- Nie, panie inspektorze. Jego gospodyni, która mieszka na dole, mówi, że nawet nie wiedziała, że wyszedł ze szpitala.

- Wie, kto to zrobił?

- Nie. Podobno to się stało, kiedy nie było jej w domu. Frost podniósł z podłogi rozbite radio.

- No cóż, to chyba nietrudno zgadnąć, pewnie wpadli tu członkowie gwardii przybocznej Harry'ego Baskina, żeby poszukać skradzionych pieniędzy, a przy okazji napędzić Crollowi trochę strachu...

Wcisnął wtyczkę do kontaktu i pstryknął włącznikiem. Radio najpierw zatrzeszczało przeraźliwie, a potem w środku coś błysnęło i zgasło. Frost od razu je wyłączył.

- Trzeba znaleźć Tommy'ego, zanim dopadną go chłopcy Baskina. Chyba nie chcemy, żeby skończył jak jego materac, to znaczy z flakami na wierzchu.

Kazał Kenny'emu połączyć się z dyspozytornią i poprosić, żeby do wszystkich patroli wysłano specjalny rozkaz poszukiwania Toma Crolla, którego należy dostarczyć na posterunek w związku z przesłuchaniem w sprawie rabunku w „The Coconut Grove”.

Następny przystanek wypadał w domu drugiego ochroniarza, Berta Harrisa. Harris mieszkał w jednym z nowo wybudowanych domów na wschód od Main Road. Dwudziestoparoletni przysadzisty mężczyzna z czupryną w kolorze dojrzałego zboża paradował po domu z podbitym okiem i rozkwaszonym nosem - pamiątkami po

reprimendzie, jaką otrzymał poprzedniej nocy od Harry'ego Baskina. Widok policjantów wcale go nie ucieszył.

- Pańska wizyta całkiem mi nie pasuje, panie Frost - protestował, ale inspektor przepchnął się obok niego.

- Nawet jeśli masz w mieszkaniu trochę bałaganu, Bert, wcale nam to nie przeszkadza.

Frost otworzył drzwi do salonu i zerknął do środka. Wnętrze pokoju wyglądało jak wierna kopia salonu Crolla

- wszystkie wyściełane meble były poprute, a zawartość szaf wywalona na podłogę.

- Zupełnie jak moje mieszkanie w najlepszych czasach

- zachwyił się Frost. Z trudem udało mu się znaleźć jedno całe krzesło, na którym dało się usiąść. - Rozumiem, że kilku kolegów pana Baskina wpadło tu z przyjacielską wizytą.

- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat - odparł Harris.

Frost ze stoickim spokojem zapalił papierosa.

- Czy znaleźli pieniądze, zanim stąd odjechali?

- Nie mogli niczego znaleźć, bo ja ich nie mam. - Harris roześmiał się nieszczerze. - Nie mam nic wspólnego z tamtą kradzieżą.

- Bert, obaj wiemy, że to musiał zrobić ktoś, kto tam pracował, a to oznacza, że krąg podejrzanych ogranicza się do ciebie i Crolla.

Harris wyciągnął z kieszeni pudełko z tytoniem i zajął się skręcaniem papierosa.

- Panie Frost, rozmawiamy o zasranych pięciu tysiącach runciaków. Gdybym podzielił tę kasę między siebie i Toma, to na każdego z nas wypadłoby po dwa i pół tysiąca. Czy pan na serio myśli, że połakomiłbym się na nędzne dwa i pół tysiąca, ryzykując, że chłopcy Baskina wyprują ze mnie flaki? Gdybym naprawdę miał zamiar gwizdnąć mu trochę kasy, to poczekałbym na noc, kiedy w biurze jest przynajmniej dziesięć tysięcy, a potem nie zobaczyłby mnie już pies z kulawą nogą. Na pewno nie kręciłbym się w pobliżu, żeby Harry mógł sobie zrobić ze mnie worek treningowy.

Frost był zmuszony przyznać, że to, co powiedział Harris, miało sens.

- Więc kto twoim zdaniem zabrał te pieniądze? Tommy Croll?

- Inspektorze, to chyba nie ja powinienem odpowiedzieć na takie pytanie... Ale moim zdaniem jest na to wystarczająco głupi. Najbardziej mnie bawi, że ten kretyn podobno nawiał ze szpitala.

*

W pustym samochodzie radio bez przerwy wykrzykiwało natarczywe wezwania.

- Dyspozytornia do pana Frosta. Proszę się zgłosić. Frost wziął do ręki mikrofon i sztucznym, głębokim barytonem odrzekł:

- Przecież słyszę, skarbie, że mnie wołasz.

Po drugiej stronie ktoś parsknął i zaraz rozległ się pełen nagany głos:

- Inspektorze, proszę meldować swoją obecność zgodnie z procedurą.

To był Mullett!

- Przepraszam, szefie - odparł natychmiast Frost. - Zdaje się, że to ktoś obcy odezwał się na tej samej częstotliwości.

Okazało się, że urzędnicy z kwatery głównej wsiedli Mullettowi na kark, bo jeszcze nie dotarły do nich statystyki przestępstw, a księgowi żądali wyjaśnień, gdzie się podziały raporty z rozliczeniem nadgodzin. Pełen werwy Frost zapewnił, że oba raporty wyjdą z biura jeszcze tego samego dnia, i to na sto procent, a potem szybko się rozłączył.

- Następnym postój przy „The Coconut Grove”, synu. Chyba powinniśmy zamienić parę słów z uroczym Harrym Baskinem.

*

Podobnie jak starzejąca się prostytutka, która ma za sobą ciężką i pracowitą noc, w szorstkim świetle dnia „The Coconut Grove” utraciło większość swojego uwodzicielskiego czaru. Plamy ostrego blasku wlewały się do środka przez brudne okna i bezlitośnie ujawniały każdą niedoskonałość wnętrza. Po pytaniu, gdzie można znaleźć pana Baskina, Frost i Webster zostali skierowani przez tylne drzwi na podwórze, zawałone pustymi butelkami po piwie, i dalej, do następnego budynku, skąd dolatywały dźwięki maltretowanego pianina.

Wepchnąwszy się przez drzwi z napisem: WEJŚCIE SŁUŻBOWE - OBCYM WSTĘP WZBRONIONY!, znaleźli się na końcu mrocznej sali. Po drugiej stronie pomieszczenia, na rzęsiście oświetlonej estradzie, jakaś młoda blondyneczka z długimi włosami, ubrana jedynie w jaskrawoczerwony staniczek i skąpe figi w takim samym kolorze, wyginała się i wirowała w takt powtarzającego się w kółko, dudniącego rytmu *Bolera* Ravela, które na stojącym w kącie instrumencie grzmocił przystojny młodzieniec z blond czupryną.

- Jest pan pewien, że trafiliśmy we właściwe miejsce? - zapytał szeptem Webster.

- Zdecydowanie tak.

Zdążyli dojść do połowy rzędów, kiedy muzyka osiągnęła punkt kulminacyjny; blondynka nagle obróciła się dookoła własnej osi, szerokim gestem zerwała z siebie staniczek i stanęła z rozłożonymi w triumfalnym geście rękoma, dysząc z wysiłku i uśmiechając się do pograżonej w ciemności widowni.

- Nie, nie, nie! - wrzasnął z pierwszego rzędu męski głos.

- Tak, tak, tak! - zawołał Frost i na widowni zadudniły jego kroki.

- Och, to pan, inspektorze Frost! - zawołał Baskin.

Dziewczyna sprawiała wrażenie zaskoczonej, potem zawstydzonej, a w końcu rozcapierzyła dłonie i zakryła nimi piersi.

- Zabieraj te łapy, ale już! - ryknął Baskin. - Musisz się przyzwyczajać, skarbie, że ludzie oglądają cię bez ubrania. Trzeba się popisywać tym, co się ma najlepszego.

Baskin siedział skulony w jednym z foteli na środku widowni, a olbrzymie cygaro sterczało mu z ust prawie pionowo, jak gotowa do startu rakiet.

- Wprowadzamy nową dziewczynę - wyjaśnił, kiedy Frost i Webster zajęli miejsca po obu stronach. - Wciąż trochę się wstydzi.

- Pewnie przeraża ją widok pańskiego cygara - odparł Frost.

- Jeszcze raz od początku! - wrzasnął Baskin. Dziewczyna nałożyła stanik, a pianista na nowo zaczął grać Ravela. - Odzyskaliście moje pieniądze?

- Jeszcze nie - przyznał Webster.

Trzej mężczyźni siedzieli jeden obok drugiego, prowadząc ożywioną konwersację, ale zgodnie patrzyli przed siebie. Nie odrywali oczu od sceny, gdzie blondyneczka zaczynała całkiem zręcznie symulować erotyczny trans. Cała sala zdawała się być przepojona zapachem cygar zmieszanych z podniecającą wonią kobiecego potu.

- Słyszę, Harry, że znowu zaczynasz wracać do swoich starych zagrywek - odezwał się Frost. - Nasyłasz na ludzi goryli. Rozwalasz im mieszkania.

- Nie zdejmuj tak szybko stanika - polecił dziewczynie Baskin. - Niech capy na widowni zaczną się ślinić, zanim pokażesz, co masz pod spodem. Trochę im podokuczaj, tak samo jak zeszłej nocy robiłaś to ze mną.

Dopiero wtedy odwrócił się do Frosta.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, inspektorze. Na nikogo nie nasyłam swoich goryli. Jestem szanowanym biznesmenem. Ależ ona ma wspaniałe cycki, prawda, panowie?

- Naprawdę? - Frost obrzucił dziewczynę przelotnym spojrzeniem. - Tak się zasłuchałem, że nawet nie zwróciłem na nią uwagi. Chcę cię o coś zapytać, Harry... Czy znasz Rogera Millera?

Baskin jednym pstryknięciem rzucił przynajmniej pół funta popiołu, który zebrał się na końcu cygara.

- To ten synalek gościa, który zasiada w parlamencie? Jasne, że go znam. Uwielbia grać w koniki i włóczy się z jedną z dziewczuch, która robi u mnie za striptizerkę.

- Ma trochę szczęścia na tych wyścigach? Baskin wzruszył ramionami.

- Czasami uda mu się wygrać, ale nie za często. Zwykle przegrywa. Problem polega na tym, że nigdy nie wie, kiedy przestać. W ostatnim miesiącu nieźle poparzył sobie paluchy, bo podwoił stawkę. Gdyby wygrał, kosztowałoby mnie to okrągłą sumkę, ale dzięki Bogu stało się inaczej.

- Czy jest ci winien jakieś pieniądze?

Baskin z wyrzutem pogroził Frostowi cygarem.

- Osobiste sprawy moich klientów są objęte ścisłą tajemnicą.

- Bardzo pocieszające - odparł Frost. - Powinieneś być doktorem w klinice chorób wenerycznych. O rany, popatrzcie tylko!

Dziewczyna dotarła do końca programu i teraz stała na środku sceny w pełni swej olśniewającej nagości. Punktowe reflektory odbijały się w drobnutkich kropelkach potu, którym zroszone było całe jej ciało; w ich blasku lśniły jak drogocenne klejnoty.

Frost trącił łokciem Harry'ego Baskina.

- Styler do Miejsc Intymnych znowu w akcji! - skomentował ochryplym szeptem.

Baskin zerwał się z miejsca, bijąc brawo.

- Doskonale, skarbie, absolutnie doskonale! Teraz idź odpocząć.

Dziewczyna zarzuciła na ramiona czerwony szlafrok, usiadła okrakiem na stołku i wdała się w poważną rozmowę z pianistą. Na wpół okryta wyglądała jeszcze bardziej erotycznie niż całkiem naga.

- Wiesz, jak wygląda jaguar Rogera Millera? - pytał dalej Frost, z niechęcią odwracając spojrzenie od ponętnej striptizerki.

- Taki concord na czterech kółkach? Oczywiście, że wiem. Czemu pan pyta?

- Bo zeszłej nocy ten samochód potrafił pewnego starszego mężczyznę. - Frost z bliska obserwował reakcję Baskina.

- Och, tak? - mruknął Baskin, najwyraźniej bardziej zainteresowany własnym cygarem niż słowami inspektora.

- Ten człowiek zmarł - kontynuował Frost. Serpentina dymu popłynęła w górę i teraz leniwie wiła się w strumieniu światła z reflektora.

- Zawsze wiedziałem, że on w końcu kogoś zabije. Jeździł jak szaleniec.

- Czy Miller należy do dobrych klientów? - pytał Frost.

- Tak, ale tylko wtedy, kiedy wygrywa - brzmiała odpowiedź. - Cały kłopot w tym, że kiedy szczęście go opuszcza, nie lubi płacić. Trzeba dać mu kuksańca.

- To znaczy przestraszyć? Czy to właśnie chciałeś powiedzieć?

Baskin wybuchnął śmiechem, wypuszczając przy tym potężny siwy obłok.

- Przestraszyć? Słowo daję, inspektorze, chyba ma pan obsesję na punkcie tego słowa. Po prostu wysłałem do mieszkania pana Millera jednego z pracowników działu księgowości, żeby dyskretnie przypomnieli mu o konieczności uregulowania zobowiązań. Pan Miller przeprosił za to pożałowania godne zaniedbanie i natychmiast wypisał czek na pełną sumę.

- Kiedy to było?

- Dwa dni temu. Czemu pan pyta? Czy to pański interes?

Za cholere nie powinno mnie to interesować, pomyślał Frost. Jeszcze jedna z jego teorii właśnie rozpadła się w drobny mak. Jeśli Miller nie był nic winien Baskinowi, to Baskin nie miał powodu, żeby kraść mu samochód i robić sobie rajd po mieście.

- Chodź, synu - odwrócił się do Webstera. - Czas stąd spadać.

Byli już w połowie podwórza i przeciskali się między pustymi skrzynkami po piwie, kiedy nagle Frost stanął jak wryty. Popatrzył przez ramię na salę prób, a na jego ustach pojawił się chytry uśmiešek.

- Czy wiesz, synu, kim jesteśmy, ty i ja? - Szturchnął palcem Webstera. - Wiesz?

Co znowu, pomyślał ze znużeniem Webster i pokręcił głową. - Tak?

- Parę skończonych półgłówków, ot co! Rozwiązanie samo pchało nam się w ręce, a my, cholera, wyszliśmy stamtąd jak gdyby nigdy nic! Styler do bikini, synu! Pieprzona maszynka do golenia cipy!

Webster oparł się o wieżę ze skrzynek, żeby z rezygnacją wysłuchać, jak Frost w mało subtelny sposób wylewa z siebie nadmiar emocji. Stary dureń dostał bzika na punkcie tej golarki już w chwili, gdy znaleźli ją pod łóżkiem Karen, teraz zaś zachowywał się jak nad wiek wyrośnięty, rozchichotany chłopak.

Inspektor w końcu zauważył, że młodszy kolega jeszcze nie załapał, o co chodzi, więc wyjął z kieszeni kolorowe zdjęcie Karen Dawson.

- Zapomnij o tych blond włosach, synu. Są utlenione. Przyjrzyj się twarzy. Uważnie spójrz na twarz.

Webster gapił się na zdjęcie, ale wciąż nie rozumiał, do czego Frost zmierza. I nagle klapka się otworzyła. Chwycił fotografię i spojrzał jeszcze raz. Blondynka, przed chwilą tańcząca nago na scenie, nazywała się Karen Dawson i miała piętnaście lat. Dziewczyna, którą Harry Baskin obmacywał swoimi lepkiemi łapami, całował namiętnie i obrabiał w łóżku, była dzieckiem. Niepełnoletnią uczennicą. Co za świnią. Brudna, cuchnąca świnią, pomyślał i już biegł z powrotem do sali prób, a Frost deptał mu po piętach, starając się dotrzymać mu kroku.

Baskin stał już przy drzwiach sali, a na jego sprośnej gębie malowała się niczym nieskrywana lubieżność. Kroki Webstera zadudniły po drewnianej posadzce; ze zwiniętymi w pięści dłońmi pędził wprost na niego. Za późno Frost zorientował się, co się święci.

- Webster, stój! - wrzasnął, ale Webstera nic nie mogło powstrzymać. Chwył Baskina za kłapy marynarki i z całych sił rąbnął nim o ścianę.

- Ty draniu! Ty plugawy, rozpustny draniu!

Zanim Frost zdążył złapać go za ramię, twardą jak kamień pięścią przyłożył Baskinowi prosto w twarz. Krew polała się wartkim strumieniem.

- Głupi sukinsynu! - warknął Frost, wciskając się między obydwu mężczyzn i odpychając Webstera. Twarz Baskina była biała jak płótno w przeciwieństwie do jaskrawoczerwonej krwi, która ciekła mu z nosa i rozpryskiwała się na marynarce i na podłodze. Jeden z ochroniarzy biegł już na pomoc, więc Frost wyszarpnął z kieszeni legitymację.

- Policja! Odpieprz się! - zawył, a mięśniak zawahał się, a potem wrócił, skąd przyszedł.

Webster wciąż drżał z wściekłości, a ramiona trzęsły mu się jak w febrze, kiedy starał się odzyskać panowanie nad sobą. Dygoczący z przerażenia Baskin z niedowierzaniem spoglądał na własną krew, wciąż lejącą się obfitym strumieniem. Pogrzebał w kieszeni w poszukiwaniu chusteczki, żeby nią zatamować krwotok.

- Mój Boże! - zaskrzeczał, gdy chusteczka raptownie zmieniła kolor. - Wykrwawię się na śmierć!

- Odchyl głowę do tyłu! - polecił Frost. Wziął go pod rękę i poprowadził do biura. Webster drgnął, jakby chciał pójść za nimi.

- Zostań - wysyczał Frost. - I nie ruszaj się stąd. Nawet na krok.

W biurze Frost posadził Baskina na krzesło, odchylił mu głowę na oparcie i przytknął do nosa przemoczoną na wylot chusteczkę. Potem delikatnie obmacał uszkodzone miejsce.

- Nic nie jest złamane, Harry.

- Nawet nie mam zamiaru dziękować za to tamtemu bydlakowi - parsknął Baskin. - Nalej mi drinka.

Frost posłusznie spełnił to żądanie, ale napełnił również drugą szklaneczkę, ponieważ uważał, że sam również zasłużył na poczęstunek.

Baskin powoli zaczynał brać się w garść. Jednym haustem wlał w siebie whisky, cisnął zakrwawioną chusteczkę do kosza na śmieci i z szuflady wyciągnął następną.

- Zapłacicie mi za to, pieprzone dranie. Podam do sądu ciebie, tamtego skurwiela, którego zostawiłeś pod drzwiami, i całą zasraną policję od ministra spraw wewnętrznych w dół.

Chwycił słuchawkę i zaczął wybierać numer swojego prawnika. Frost szybko wyciągnął rękę, nacisnął widełki i przerwał połączenie.

- Zapomnij o tym, Harry.

- Zapomnij? - wrzasnął Baskin. - Nie ma mowy! Wyjął z szuflady lusterko, żeby z bliska obejrzeć obrażenia.

- Popatrz tylko, co ten sukinsyn mi zrobił!

- Nie zrobił nic gorszego niż ty wczoraj wieczorem swojemu ochroniarzowi - mruknął Frost. - Można wiec powiedzieć, że rachunki zostały wyrównane.

Baskin szarpnął głową tak gwałtownie, że z nosa znów pociekła krew.

- Nie ma o czym mówić, inspektorze. Ten pański goryl tym razem stanowczo przesadził.

Przestawił telefon na drugą stronę biurka, poza zasięg rąk Frosta.

- Mam zamiar zadzwonić do mojego prawnika i polecić mu, żeby podjął odpowiednie kroki.

Teraz na Frosta przyszła kolej na kręcenie głową.

- Nie zrobisz tego, Harry. Jeśli złożysz pozew przeciwko mojemu funkcjonariuszowi za czynną napaść, ja z wielką niechęcią będę musiał uciec się do kłamstwa. Złożę zeznanie pod przysięgą, że to ty pierwszy rzuciłeś się na niego z pięściami, a on zmuszony był działać w obronie własnej. Moje słowo przeciwko twojemu - słowo bohaterskiego oficera policji, odznaczonego Krzyżem Świętego Jerzego, przeciwko słowu właściciela klubu ze striptizem, który w dodatku deprawuje piętnastoletnie uczennice.

Baskin gapił się na niego takim wzrokiem, jakby podejrzewał, że Frost stracił rozum.

- Piętnastoletnie uczennice? Do diabła, o czym pan bredzi?

W odpowiedzi Frost zaprezentował kolorową, szkolną fotografię. Położył ją spodem do góry i posunął po blacie biurka w stronę Baskina, a następnie zręcznym ruchem odwrócił, jakby to zdjęcie było ostatnim asem, który decydował o zwycięstwie.

- To ta striptizerka, z którą sypiasz, Harry... Ona nazywa się Karen Dawson, chodzi do szkoły i ma dopiero piętnaście lat.

Baskin porwał fotografię i zaraz rzucił ją z powrotem, jakby przypadkiem dotknął rozpalonego do czerwoności żelastwa. Błagalnym wzrokiem spojrzął na Frosta, jakby czekał na potwierdzenie, że to wszystko jest jakąś cholerną pomyłką.

- Piętnaście... Nie mogę w to uwierzyć...

- Nie dalej jak w zeszłym tygodniu miała tylko czternaście. Według mnie zasłużyłaś sobie przynajmniej na siedem lat, Harry. Wiesz przecież, jak bardzo w sądach nienawidzą facetów, którzy wykorzystują seksualnie dzieci. Choć sądząc z tego, co widziałem dziś po południu, ta dziewczynka bez wątpienia jest tego warta.

Harry znalazł na chusteczce skrawek czystego materiału i przetarł zroszone potem czoło. Napełnił szklaneczkę i znów jednym haustem opróżnił jej zawartość.

- Nie miałem o tym pojęcia, panie Frost. Musi mi pan uwierzyć. Psiakrew, kto mógłby się domyśleć, kiedy na nią patrzy? Nieraz widziałem dwudziestoosmioletnie kobiety, które miały mniejsze cycki niż ona!

- Harry, nigdy nie oceniaj wieku kobiety po rozmiarze jej biustu! To fundamentalna zasada angielskiego prawa kryminalnego.

Butelka whisky stała w zasięgu ręki, więc Frost bez pytania uzupełnił swoją szklaneczkę.

- No to zdrowko!

- Niech pan posłucha, to wszystko jest jakimś kretyńskim nieporozumieniem. Jestem pewien, że znajdziemy sposób, żeby to naprostować...Harry jeszcze nie skończył mówić, kiedy nie wiadomo skąd w jego ręku znalazł się gruby, pękaty portfel. Znacząco przesunął kciukiem po pliku pięćdziesięciofuntowych banknotów.

Frost zeszywniał.

- Czy jeszcze nie dość masz kłopotów, Harry? Portfel pospiesznie wrócił na miejsce.

- Musi mi pan pomóc wypłatać się z tego, panie Frost. Z głową przekrzywioną na jedną stronę i wydętymi ustami, Frost zdawał się nad czymś zastanawiać.

- Jest pewna sprawa... To oskarżenie o napaść, które zamierzasz wnieść przeciwko mojemu posterunkowemu...

- O jaką napaść? - Baskin wydawał się szczerze zaskoczony. - Przecież potknąłem się i uderzyłem nosem o ścianę!

- Rozumiem, że nie będziesz więcej sam wymierzał sprawiedliwości swoim ochroniarzom? Chcielibyśmy widzieć Tommy'ego Crolla w jednym kawałku, i to nadającym się do użytku.

Baskin uniósł otwartą dłoń, jakby zamierzał złożyć przysięgę.

- Słowo honoru.

- I ostatnia rzecz... Ta biedna zdzirowata striptizerka, która dostała w lesie baty... To byłby bardzo szlachetny gest z twojej strony, gdybyś zostawił ją na liście płac, dopóki nie odzyska zdrowia na tyle, żeby znowu pracować.

- O nie, tego już za wiele - zaprotestował Baskin. - To może potrwać całe wieki... To znaczy miesiące.

- Ale i tak dużo krócej niż siedem lat, prawda? - zauważył Frost.

Odpowiedziało mu głębokie westchnienie. Baskin poddał się zupełnie.

- W porządku. Zatrzymam ją.

Frost wysączył do końca whisky, wierzchem dłoni wytarł usta i wstał.

- Nie mogę niczego obiecać, Harry. Po prostu powiem rodzicom, że dziewczyna ubiegała się tu o przesłuchanie na tancerkę i że właśnie wtedy ją znaleźliśmy. Mam przecucie, że będzie trzymała buzię na kłódkę, ale oczywiście w żaden sposób nie mogę jej do tego zmusić.

- Będę pańskim dłużnikiem - odparł Baskin.

- Gdzie ją teraz można znaleźć?

- W garderobie dla artystów, na końcu korytarza.

*

Webster czekał na zewnątrz. Wciąż jeszcze był wściekły, ale teraz nie dawała mu spokoju myśl, że oto nadszedł koniec jego kariery w policji. Dlaczego nie nauczył się nad sobą panować? Na widok zbliżającego się Frosta spojrział na niego z gorzką urazą człowieka, który wie, że popełnił niewybaczalny błąd. Gdybym mógł powiedzieć choć słowo, jedno cholerne słowo, pomyślał.

Frost zdecydowanym ruchem głowy nakazał mu iść za sobą. Kiedy wreszcie przemówił, jego słowa okazały się zaskakująco łagodne.

- Wierz mi, to było cholernie głupie z twojej strony, synu.

- Wielkie dzięki. Tyle zdążyłem już wymyślić - parsknął Webster. - Przypuszczam, że nie może się pan doczekać, kiedy złożę na mnie doniesienie do Mulletta?

- Doniesienie do Mulletta? - zdziwił się inspektor. - Ja przecież niczego nie widziałem. Baskin powiedział mi, że się potknął i walnął nosem o ścianę. Sądząc z rozmiarów jego kinola, to bardziej niż prawdopodobne.

W pierwszej chwili Webster nie zrozumiał, co inspektor mówi. Jednym uderzeniem pięścią przekreślił całą swoją przyszłość, a tu nagle, kiedy już stał pod szubienicą, w ostatniej chwili uzyskał odroczenie wyroku. Ulga była tak ogromna, że zimny pot zrosił mu plecy i

zaczął spływać wzdłuż kręgosłupa wielkimi kroplami. Chciał dziękować Frostowi, ale nie mógł się pozbierać.

- Jak udało się panu zmusić Baskina, żeby przystał na takie rozwiązanie?

- Obiecałem mu, że nie będziemy wnosić żadnych oskarżeń w związku z tą dziewczyną.

Webstera nagle wmurowało w ziemię.

- Żadnych oskarżeń? Po tym, co ten skurwiel zrobił? Przecież on zdeprawował nieletnią!

- Zdeprawował? - powtórzył Frost. - Czy naprawdę uważasz, że Baskin był pierwszym mężczyzną w życiu tej małej? Twoja słodka, niewinna, piętnastoletnia dziewczyna łykała pigułki antykoncepcyjne od Bóg jeden wie jak długiego czasu.

Webster gapił się na niego, jakby niczego nie rozumiał.

- Pigułki?

- Tak jest, synu. Wczoraj wieczorem znalazłem pudełko w sypialni Karen. Oczywiście recepta była wypisana na matkę, która dała córeczce ten cudowny środek.

Ta wiadomość zupełnie ogłuszyła Webstera.

- Czemu mi pan nie powiedział?

- Bo nie sądziłem, że to ma cokolwiek wspólnego ze sprawą. Zniknęło dziecko. Zostaliśmy wezwani, żeby odnaleźć dziewczynkę. Coś innego łączyło Karen z jej matką. Ach, to musi być ta przebieralnia.

Skręcili za róg i znaleźli się w krótkim korytarzyku z trojgiem drzwi. Na jednych wisiała tabliczka „Toaleta dla pracowników - Mężczyźni”, na drugich „Toaleta dla pracowników - Kobiety”, a drzwi środkowe oznaczone były jako „Garderoba artystów”. Tak właśnie wyglądał blask show-biznesu, pomyślał Frost.

- W porządku, synu. Ona jest w środku. Wejź tam i zabierz ją.

Cofnął się o krok. Webster załomotał w drzwi.

- Karen, policja.

Frost jęknął w duchu. Webster nie powinien był zdradzać, kim są. Powinien wtargnąć do środka i chwycić dziewczynę, nie dając jej szans na ucieczkę. Wszystkie jego obawy znalazły potwierdzenie, bo nagle rozległy się dwa głośne kliknięcia, kiedy czyjaś ręka błyskawicznie zamknęła zasuwy.

- Karen, tu policja - powtórzył Webster. - Otwieraj.

- Odpierdol się - odpowiedziała nastolatka.

- Kopnij te drzwi - poradził Frost. - Harry Baskin nie będzie miał ci tego za złe.

Webster odsunął się i kopnął, a jego stopa wylądowała tuż pod klamką. Jeden raz wystarczył, żeby drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wpadł do wnętrza brzydkiego pomieszczenia, gdzie nad blatem z forniki znajdowało się wysokie, poplamione tłustymi śladami palców lustro. Nigdzie ani śladu Karen. Nagle kątem oka dostrzegł w lustrze jakieś poruszenie. Odwrócił się i zobaczył dziewczynkę, naga jak ją Pan Bóg stworzył, ze zwiniętym ubraniem w rękę. Skradała się w stronę drzwi. Wyciągnął rękę, żeby ją złapać, a wtedy cisnęła kłęb szmat prosto w jego twarz, jednocześnie zadając okrutnie celny cios kolanem. Zgiął się wpół i odebrało mu dech. Cierpienie było tak wielkie, że niewiele brakowało, a zaczęłyby wrzeszczeć. Słodka, niewinna Karen świetnie wiedziała, jak zadać mężczyźnie ból. Sięgnął na oślep, aż poczuł pod palcami jej nagie ciało, i zaraz potem szarpnął w tył głowę, bo czerwone i ostre jak szpony paznokcie wydrapały mu na policzkach krwawe linie. W mocnym uścisku zamknął oba jej nadgarstki i na siłę rozsunął ręce, znajdując jeszcze w płucach tyle powietrza, żeby krzyknąć, kiedy dziewczyna zatopiła zęby w jego przedramieniu.

- Inspektorze, na pomoc! - ryknął, strząsając ją z siebie. Głowa Frosta pojawiła się w drzwiach. Widząc, co się dzieje, inspektor przezornie wycofał się na korytarz.

- Stań tu na straży, synu. Idę zadzwonić po jakąś policjantkę.

Kwadrans później wóz patrolowy Dave'a Shelby'ego utorował sobie drogę przed główne wejście do klubu. Ze środka wygramolił się Shelby w towarzystwie posterunkowej Susan Harvey. Oboje pewnym krokiem wkroczyli do holu, gdzie czekał na nich Frost.

- Jesteśmy, inspektorze - oznajmił Shelby. - Dostarczyłem posterunkową całą i zdrową, tak jak było w rozkazie.

- Dziękuję, Shelby - odparł zimno Frost. Nie w smak mu były dowcipy Shelby'ego. Miał zamiar zamienić z nim kilka słów w cztery oczy, kiedy znajdą się sam na sam - słów, które na pewno pozbawią go zwykłej pewności siebie.

Ale Shelby nie dał się zbić z tropu.

- Czy dalej zajmuje się pan śledztwem w sprawie gwałtu, inspektorze?

- Nie - odparł szorstko Frost. - Jeśli chce się pan przyznać, proszę poszukać inspektora Allena.

Shelby pstryknięciem otworzył swój dziennik.

- Czy mogę podać panu szczegóły tej sprawy? Chodzi o to, że już wiem, kto wykonał zeszłej nocy ten anonimowy telefon. Właśnie przeprowadziłem z nim rozmowę.

Frost odepchnął podsunięty pod nos notes. - Więc proszę zgłosić się z tym do inspektora Allena. Chwilowo mam po dziurki w nosie gołych piętnastolatek.

- Niektórzy to mają szczęście - mruknął Shelby, wracając do samochodu.

Frost patrzył, jak odchodzi.

- Strasznie mu się spieszy - zauważył. - Można by pomyśleć, że na ulicy czeka na niego tłum nagich panienek.

Odwrócił się do pani policjant.

- Jak tam, Sue? Czy udało mu się trzymać ręce z dala od ciebie?

Uśmiechnęła się.

- On wie, że ze mną lepiej nie zadzierać. Frost uniósł brwi w udawanym zdziwieniu.

- W takim razie źle cię oceniałem, kochanie. Zawsze sądziłem, że wystarczy cię polaskotać po policzku wąsikami a la Errol Flynn, żebyś natychmiast wyskoczyła z majtek.

Susan śmiała się od ucha do ucha.

- Słyszałam, panie inspektorze, że macie jakiś problem?

Szybko wprowadził ją w szczegóły sprawy, a potem zaprowadził do korytarzyka, gdzie ranny Webster z poświęceniem pełnił straż pod drzwiami garderoby. Na widok Susan wyraźnie się rozpromienił.

- Karen podparła krzesłem klamkę - poinformował nowo przybyłych.

Susan spróbowała poruszyć klamką, a w końcu zdecydowała się zapukać.

- Karen, jestem policjantką. Otwórz, proszę.

- Odpierdol się! - odkrzyknęła dziewczynka.

- To po francusku znaczy „proszę odejść” - wyjaśnił Frost. - Kopnij jeszcze raz w te drzwi, synu.

Pod wpływem mocnego uderzenia drzwi ustąpiły. Karen - z płonącymi nienawiścią oczami i pazurami gotowymi do ataku - przycupnęła na środku, jak karateka przygotowany na spotkanie przeciwnika. Wciąż była bez ubrania i nie zamierzała poddać się bez walki.

Sue wsunęła się do garderoby; Karen w ułamku sekundy rzuciła się w jej stronę. W ostatniej chwili policjantka odsunęła się na bok i wyciągnęła nogę, a Karen jak długa rozłożyła się na podłodze. Sue natychmiast wylądowała na jej plecach i wbiła kolano w kręgosłup, jednocześnie szarpnięciem unosząc prawą rękę małej wysoko ponad łopatki. Teraz Karen mogła jedynie wykrzykiwać na cały głos sprośne obelgi i walić w podłogę wolną ręką.

- Ubierz się, skarbie - powiedziała uprzejmie Sue. - Albo zakuję cię w kajdanki i zaprowadzę do samochodu nagusieńką jak cię Pan Bóg stworzył. Co wybierasz?

Ku rozczarowaniu Frosta Karen zgodziła się ubrać.

*

Wystarczył krótki telefon do Clare Dawson, zanim uciekiniarka została zwrócona rodzinie. Frost miał nadzieję, że Clare zdoła jakimś cudem wyprawić męża z domu, tak żeby matka i córka mogły uzgodnić zeznania. Kiedy przyjechali, Max Dawson krążył po ulicach, wypatrując zaginionego dziecka, i miało go nie być przynajmniej przez najbliższe pół godziny. Najwyraźniej żona nie podzieliła się z nim dobrymi nowinami, chcąc go mile zaskoczyć, kiedy wróci do domu.

Z posępnym lekceważeniem Karen strząsnęła z ramienia rękę Clare, która próbowała ją przytulić. Po prostu stała na środku pokoju i patrzyła matce prosto w oczy, a na jej twarzy gościł przebiegły, chytry uśmieszek - uśmieszek osoby, która wie, że ma nad kimś przewagę. Poczekaj tylko, aż tatuś wróci do domu, mówił ten uśmiech. Poczekaj, aż mu powiem, dlaczego uciekłam.

Ale nauczona długą praktyką Clare wiedziała, jak sobie dać radę z córką.

- Skarbie, czy nadal chcesz chodzić do szkoły baletowej?

W jednej sekundzie Karen z powrotem przeistoczyła się w piętnastoletnią uczennicę, która ma bzika na punkcie tańca. Jej oczy rozblęskły podnieceniem.

- Chcę tego najbardziej na świecie, mamo.

- Myślę, że w takim razie da się to załatwić - odparła pewnym siebie tonem Clare.

- Ale tata zawsze się sprzeciwiał.

- Zostaw to mnie, kochanie - odpowiedziała jej matka. - Ale najpierw musimy chwilę porozmawiać, żeby mu wyjaśnić, co się właściwie stało.

Clare odprowadziła całe towarzystwo do drzwi.

- Tyle panu zawdzięczam - powiedziała na pożegnanie. Frost mruknął coś na znak podziękowania i wyszedł razem z Susan do samochodu. Kiedy Webster odwrócił się, żeby pójść w ich ślady, Clare delikatnie ujęła go za rękę i obdarzyła potajemnym uściskiem, przy okazji czule muskając palcami jego otwartą dłoń.

- Zwykle popołudniami siedzę w domu sama - wyszeptwała. - Będzie mi miło, jeśli wpadniesz z wizytą.

Wsiadając razem z innymi do auta, Webster nie mógł się zdecydować, czy słowa pani Dawson zezłościły go, czy raczej mu pochlebiły. Ale wiedział jedno: to była najmiłsza propozycja, jaka spotkała go od przyjazdu do Denton.

- Wyglądasz na całkiem szczęśliwego, synu - zauważył Frost, gdy Webster sadowił się za kierownicą. - Nawet broda jakoś dziwnie ci zeszywniała.

ŚRODA, DZIENNA ZMIANA (6)

Kiedy skończyli objazd, zbliżała się trzecia po południu. Żadne z nich od rana nie miało niczego w ustach, więc zapadła decyzja, że należy sobie zrobić przerwę na lunch. Wstąpili do malutkiej kafejki przy bocznej ulicy. Jedzenie okazało się niespecjalnie smaczne, ale dla Webstera i tak był to przyjemnie spędzony czas, bo odkrył, że nadaje na tych samych falach co Susan Harvey.

Gdy wrócili do auta, dochodziło właśnie dziesięć po czwartej. Webster miał nadzieję, że urocza policjantka zajmie miejsce na sąsiednim fotelu, więc poczuł się mocno rozczarowany, gdy ujrzał, że Frost sadowi się z tyłu i sadza ją obok siebie.

- Panie kierowco, poprosimy do meliny gliniarzy - rzucił Frost uroczyście. - Tylko proszę jechać tą uroczą drogą przez fabrykę snów.

Webster przyjął ten rozkaz pełnym rozdrażnienia pomrukiem. Jego zdaniem żalosne dowcipy Frosta od dawna nikogo nie śmieszyły.

- Dyspozytornia do wszystkich patroli. Webster podkreślił głośność.

- Napad z bronią w ręku na lombard Glickmana przy North Street pod numerem dwudziestym trzecim. Podobno właściciel został zastrzelony. Charlie Alpha ma się zająć tą sprawą, ale wszelka pomoc jest pilnie potrzebna. Frost pochylił się do przodu, żeby wziąć mikrofon.

- Witam serdecznie, tutaj inspektor Frost. Jesteśmy mniej więcej dwie minuty od North Street. Już tam jedziemy. Odbiór.

Webster z piskiem opon brał kolejne zakręty, wpadając w boczne uliczki i wypadając z nich, żeby za wszelką cenę zmieścić się w brawurowym i niemożliwym do osiągnięcia czasie dwóch minut, o których wspominał inspektor. Frost i dziewczyna ślizgali się z jednej strony siedzenia na drugą, a w ślad za nimi po tylnej półce latały kalosze inspektora, wożone w aucie tak na wszelki wypadek. Na High Street zwolnili nieco, żeby wysadzić Susan, a potem z rykiem silnika pomknęli w kierunku North Street, przecznicy głównej drogi o Bath Road.

- Tutaj w lewo! - zawołał Frost.

Cortina utorowała sobie drogę w wąskiej uliczce i przycupnęła tuż za wozem patrolowym Charlie Alpha.

Monotonny pisk alarmu przeszywał powietrze, a mały tłumek gapiów cisnął się przy wejściu do nędznego, zasłoniętego żaluzjami sklepiku, choć policjant w mundurze dokładał wszelkich starań, żeby odepchnąć ciekawskich na stosowną odległość. Nad drzwiami pysznił się solidny kinkiet z brązu, wsparty na trzech mosiężnych kulach - międzynarodowym znaku handlowym lombardów. Wyblakły napis na desce głosił: S. GLICKMANN, JUBILER I

LOMBARD. Lokal sprawiał wrażenie mocno podupadłego i absolutnie nie wyglądał na dobrze prosperujący obiekt, który mógłby przyciągnąć uwagę uzbrojonego napastnika.

Pobiegli w kierunku sklepu. Umundurowany funkcjonariusz skinął głową na znak, że rozpoznaje inspektora, i odsunął się na bok. Kiedy wpadli do środka, pod podeszwami butów zatrzeszczało rozbite szkło pokrywające całą powierzchnię dywanu.

Sklepek był maleńki i dość obskurny. Wystarczyło kilka kroków, żeby obaj policjanci znaleźli się tuż przed przeszkloną ladą, której półki zostały ogołoczone z wystawionych tam kosztowności. Na lewo od lady znajdowała się roztrzaskana gablotka, teraz wypełniona odłamkami szkła, tanimi zegarkami i plastikowymi zapalniczkami. Ścienna gablota na prawo pełna była złotych łańcuszków i wisiorów, i na pierwszy rzut oka nie została okradziona.

Tłusty mężczyzna w błyszczącym garniturze z niebieskiej serży, który właśnie przykładał chusteczkę do poranionej twarzy, nazywał się Sammy Glickman i był właścicielem całego interesu. Łysiejący, w średnim wieku, z rozbieganymi oczkami, które spoglądały podejrzliwie zza grubych szkielec, i z kilkoma podbródkami, Glickman siedział skulony na krześle przed ladą, a młody funkcjonariusz, posterunkowy Keith Sutton, zadawał mu pytania i natychmiast notował odpowiedzi.

Przenikliwy pisk alarmu w ograniczonej przestrzeni sklepika wydawał się jeszcze głośniejszy.

- Czy ktoś może wyłączyć to cholerstwo? - odezwał się Frost błagalnym tonem.

Przyciskając do czoła zakrwawioną i mokrą chusteczkę, właściciel lombardu wyłowił z kieszeni pęk kluczy, wyszukał jeden z nich, a następnie podał Websterowi.

- Wyłącznik jest pod ladą... Po lewej stronie - wyszeptał.

Webster wyłączył alarm. Ucichł natychmiast, ale jego echo długo jeszcze świdrowało w uszach wszystkich obecnych.

Sklep był zbyt mały, by wygodnie pomieścić cztery osoby, więc Frost wydał polecenie Websterowi, żeby do spółki z drugim oficerem przeszedł się po sąsiednich domach i przepytął sąsiadów, czy ktoś przypadkiem nie widział napastnika.

- Zerknij na drogę, może leży tam tablica rejestracyjna! - zawołał w ślad za nim. - Nigdy nie wiadomo, kiedy do człowieka uśmiechnie się szczęście.

Kiedy zrobiło się luźniej, Frost podsunął się do sklepiarza, żeby obejrzyć jego obrażenia. Rana na czole nie wydawała się groźniejsza od zwykłego skaleczenia.

- Przez radio powiedzieli mi, Sammy, że nie żyjesz - zauważył Frost głęboko rozczarowanym tonem. - Spodziewałem się, że znajdę cię tu z odstrzeloną głową.

- Jeszcze parę cali i tak by było, panie Frost - odparł poważnie Glickman.

- Wezwałem ambulans, choć rany nie wyglądają na poważne - wtrącił Sutton.

Małe oczka z niemym oburzeniem spoczęły na twarzy posterunkowego.

- Nie wyglądają na poważne? Przecież krwawię jak zarzynana świnia. To cud, że w ogóle jeszcze żyję. Ten gnojek wypalił mi prosto w twarz.

- Ale spudłował, mam rację? - Frost wsunął się za ladę, żeby przyjrzeć się uszkodzonej gablotce. - A musisz przyznać, że nie jesteś małym celem.

Wśród kawałków szkła i potłuczonych zapalniczek zauważył spłaszczony fragment ołowiu. Ostrożnie podniósł jeden z nich, trzymając go między palcem wskazującym i kciukiem, i pokazał posterunkowemu.

- Tak jest, panie inspektorze, też je zauważyłem. - Sutton pociągnął nosem. Ci cholerni detektywi wyraźnie uważali, że jak człowiek włoży mundur, to od razu staje się ślepy. - To są łuski po pociskach. Napastnik oddał ostrzegawczy strzał tuż przed tym, jak wybiegł ze sklepu. Pan Glickman oberwał w czoło kawałkiem potłuczonego szkła.

- Mógł mnie trafić w oko - zajęczał Glickman. - Mogłem oślepnąć!

- Równie dobrze mógł cię trafić w dupę, ale tego nie zrobił, więc trzymajmy się faktów - parsknął Frost.

Wydlubał z paczki papierosa, puścił ją w obieg, żeby poczęstować obecnych, a potem zaczął rozglądać się po sklepie, otwierając szuflady i grzebiąc w gablotach. Otworzył drzwi za kontuarem, ale zaraz skrzywił się niemiłosiernie, ponieważ uderzył go smród stęchłego materiału. Po włączeniu światła przekonał się, że na zakurzonych półkach w niewielkim pomieszczeniu piętrzą się stosy paczek w brązowym papierze, stare walizki i wieszaki pełne staromodnych ubrań, wrócił więc do sklepu, żeby tam sprawdzić kraty w oknach i zamki w głównych drzwiach.

- Wygląda na to, że z wystawy niczego nie zabrał, co?

- Tylko z kontuaru - powiedział Sutton. - Pan Glickman zeznał, że to była błyskawiczna akcja. Facet wpadł i wypadł w mgnieniu oka.

Frost skinął głową, a potem usadowił się na ladzie i zaczął machać nogami.

- W porządku, panie Glickman. Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło.

- A cóż tu jest do opowiadania? - odparł Glickman. - Siedzę sobie w sklepie, aż tu nagle brzęczy dzwonek nad drzwiami, który zawsze informuje mnie o przybyciu klienta. Podnoszę głowę, żeby go przywitać, i widzę na wysokości oczu czarny otwór lufy, a tuż za nim niezdarnego niedźwiedziowatego faceta, który na głowę włożył maskę z pończochy.

Kiedy Glickman mówił, Frost skupił się na prześledzeniu wzoru, jaki na ścianie pozostawiły pociski. Uszkodzenia wydawały się koncentrować na stosunkowo niewielkiej

powierzchni, co świadczyło o tym, że do napadu wykorzystano strzelbę z normalną, długą lufą.

- Ta broń, Sammy... Czy to była strzelba z pełną lufą, czy obrzyn?

Glickman wzruszył ramionami.

- Panie Frost, kiedy ktoś szturcha człowieka czymś takim, to raczej trudno jest myśleć o tym, żeby się fatygować i mierzyć jakąś długość.

- To samo mówiła ta dziewczyna, która została zgwałcona - mruknął Frost.

Posterunkowy Sutton skulił ramiona, bo cały trząsł się od tłumionego śmiechu.

- Inspektorze, to prawie pewne, że to nie był obrzyn. Ślady po pociskach za bardzo są skoncentrowane w jednym miejscu. Zresztą niedługo powinien tu się zjawić ktoś z kryminalistyki. Pewnie powie nam coś konkretniejszego.

- Tak, tam pracują naprawdę mądrzy skurwiele - skomentował inspektor, któremu szkoda było czasu na rozmowę z geniuszami z wydziału kryminalistyki.

- Nie odezwał się jednym pieprzonym słowem, tylko dźgnął mnie w brzuch tą swoją strzelbą i na migi pokazał, żebym wyszedł z za lady i położył się twarzą do podłogi. Nie musiał powtarzać mi tego dwa razy. Padłem na podłogę i tylko słyszałem, jak wślizgnął się przez drzwiczki za kontuar i zgarniał do reklamówki mój najlepszy asortyment.

- Co to było, Sammy?

- Pierścionki, bransoletki, broszki... Same wytworne rzeczy, warte ze dwadzieścia tysięcy funciaków.

Frost parsknął śmiechem, przy okazji opróżniając płuca z dymu.

- Dwadzieścia tysięcy! Sammy, okaż nam pewne względy. Jesteśmy z policji, a nie z towarzystwa ubezpieczeniowego.

- W porządku - niechętnie przyznał Glickman. - Być może faktycznie całość była warta gdzieś bliżej sześciu tysięcy. W każdym razie gość wbił mi końcówkę lufy w kark i powiedział, żebym nie śmiał się ruszyć przed upływem dziesięciu minut, bo w przeciwnym razie będzie zmuszony odstrzelić mi głowę. Toteż posłusznie leżałem, ale gdy tylko usłyszałem trzaśnięcie drzwi, podskoczyłem i wybiegłem na ulicę, wrzeszcząc na cały głos: „Łapać złodzieja!”.

Znów przetarł chusteczką czoło. Wydawał się mocno rozczarowany, kiedy przekonał się, że krwotok ustąpił.

- Proszę sobie wyobrazić tę sytuację, panie Frost: wybiegam na ulicę, wołam o pomoc i kto mnie słyszy? Nikt! Dosłownie nikt! Jedyłą oprócz mnie osobą na całej ulicy jest napastnik, który właśnie gramoli się do auta, jednocześnie zrywając maskę z twarzy.

Frost wysunął się zza kontuaru.

- Czy widziałeś go bez maski? Widziałeś jego twarz?

- To była jedyna cholerna gęba w całej okolicy! Oczywiście, że ją widziałem.

- Czy potrafiłbyś go rozpoznać?

Glickman starannie złożył chusteczkę i schował ją do kieszeni.

- Proszę posłuchać, panie Frost. Kiedy jakiś człowiek okrada mnie z pierwszorzędnego towaru, wartego co najmniej trzydzieści tysięcy funtów, to uroczyście zapewniam, że jego twarz zapamiętuję na zawsze.

- Przypuszczam, że nie wpadł pan na to, żeby zapisać numery rejestracyjne jego auta?

- spytał Frost, starając się nie rozbudzać w sobie daremnych nadziei.

- Oczywiście, że zapisałem ten zasrany numer! To był czerwony vauxhall cavalier o numerze rejestracyjnym CBZ 2303. Bardzo miłe autko. Mój brat jeździ takim samym.

Frost nie wierzył swemu szczęściu. Z jaguarów odpadają tablice rejestracyjne, a sprawca napadu pozwala oglądać się bez maski i zapisać szczegóły dotyczące samochodu. Nakazał Suttonowi jak najszybciej skontaktować się z dyspozytorem, żeby ten przekazał dane auta do wszystkich patroli.

- Już to zrobiłem, panie inspektorze - odparł obojętnie Sutton.

Naprawdę nikt nie musiał mu przypominać o załatwieniu podstawowych spraw.

- Czy uprzedził pan dyspozytora, że facet jest uzbrojony i niebezpieczny?

- Oczywiście, panie inspektorze.

Kolejna rzecz, która normalnemu policjantowi wydaje się oczywista.

Glickman poczuł się dotknięty do żywego tym, że nikt się nim nie zajmuje.

- Czy chce pan wiedzieć, co zdarzyło się potem, czy już pana to nie interesuje, kiedy dzięki mnie odwalił pan połowę roboty? - spytał z irytacją.

Frost z powrotem uczeplił się kontuaru i machnięciem ręki zachęcił Sammy'ego, żeby kontynuował.

- Jak już mówiłem, wołałem o pomoc, ale ulica świeciła pustkami. Chyba musiał mieć dość tego krzyku, bo nagle odwrócił się do mnie ze strzelbą gotową do strzału i po prostu nacisnął spust. Ale jakimś cudem nie trafił we mnie, tylko w tę nieszczęsną gablotkę.

Frost popatrzył na gablotkę i połączył kąty.

- Albo facet kompletnie spałał ten strzał, albo chciał tylko cię wystraszyć.

- Oczywiście, że mnie wystraszył, inspektorze! Dziś wieczorem przetestuję biologiczny proszek do prania, obiecuję to panu. W każdym razie rzuciłem się na chodnik twarzą w dół i zostałem w tej pozycji, dopóki nie doleciał do mnie ryk silnika. Dopiero wtedy

ludzie wybiegli, żeby zobaczyć, co się dzieje. Kiedy krzychałem „Łapać złodzieja!” i kiedy do mnie strzelano, na ulicy nie było żywego ducha, ale jak tylko ten bandyta odjechał, natychmiast dookoła mnie zebrał się dziki tłum. Ludziska pchali się jeden przez drugiego.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Webster z jednym z umundurowanych policjantów, żeby zameldować, że nie udało się znaleźć nawet jednego świadka widzącego coś więcej niż znajdujący się w pewnej odległości czerwony, niebieski albo czarny samochód, który odjechał z rykiem silnika. Mnóstwo ludzi twierdziło, że słyszało coś w rodzaju wystrzału z broni palnej, ale sądzili, że to przedwczesny zapłon.

- Nawet gdyby ktoś zdetonował tu bombę atomową, to powiedzieliby, że to gaźnik - zamruczał Glickman.

Należące do Frosta pudełko papierosów krążyło po sklepieniu któryś raz z rzędu i wkrótce małe pomieszczenie zrobiło się siwe od dymu.

- Jedno wydaje się pewne - zdecydował Frost. - Ktokolwiek to zrobił, był albo drobnym złodziejaskiem, albo zupełnym nowicjuszem.

- Można wiedzieć jak pan do tego doszedł? - zainteresował się Webster.

- No cóż... - Frost wypuścił serię zgrabnych kółeczek w gęste od dymu powietrze. - Jeśli ktoś robi napad z bronią w rękę, na początek dostaje za to minimum siedem lat. Więc czemu ryzykować siedmioletnią odsiadkę za obrabowanie jakiegoś gównianego kurnika, kiedy przy takim samym ryzyku można napaść na bank albo na przyzwoity salon jubilerski?

- Bardzo panu dziękuję, panie Frost - odparł Glickman urażonym tonem.

- Proszę bardzo - odparł Frost. - Po drugie, nie odpiłował lufy, jak zrobiłby każdy szanujący się strzelec, a to oznacza, że nie mógł schować broni w kieszeń, tylko na ulicy musiał ukrywać ją pod połą płaszcza albo wymachiwać nią na wszystkie strony. Wreszcie co robi nasz zuch po dotarciu na miejsce? Wbiega do środka, zgarnia do torby na śmieci jakieś duperele i po paru sekundach wybiega. Mógł trochę zwolnić i zabrać stąd wszystkie przedmioty, które przedstawiały jakąś wartość, ale jemu bardzo się spieszyło. Dlaczego?

Frost rozejrzał się wokół jak nauczyciel w szkole, który czeka na odpowiedź.

- Może dlatego, że był śmiertelnie przerażony? - podsunął Sutton.

Inspektor skinął głową na znak aprobaty.

- Dokładnie to samo pomyślałem, panie Sutton. To mi wygląda na zupełną amatorszczyznę.

- Amatorszczyznę? Trzeba było widzieć, jak do mnie strzelał! - sprzeciwił się Glickman. - Spudłował dosłownie o kilka cali.

- O trzydzieści sześć pieprzonych cali! - nie wytrzymał Frost. Odepchnął się od kontuaru i podszedł do kasy. - Jak przypuszczam, nie pomyślał, żeby zabrać wpływy kasowe?

Nacisnął guzik i szuflada odskoczyła.

- Nie, zabrał tylko biżuterię. - Glickman wyciągnął szyję, żeby śledzić poczynania inspektora. Wiadomo, że niektórym gliniarzom wszystko klei się do palców.

W kasie było około siedemdziesięciu funtów. Nic szczególnego, ale zabranie tych pieniędzy mogło zwiększyć zysk napastnika o jakieś dziesięć procent. Frost już miał wepchnąć szufladę na miejsce, kiedy jego wzrok przykuła mała biała koperta, wetknięta pomiędzy banknoty. Widywał już takie koperty. Dokładnie takie same. Zabierał je narkomanom, którzy właśnie nabyli u dealera świeżą działkę heroiny.

Sammy Glickman bywał w przeszłości zamieszany w różne ciemne interesy, ale nigdy nie miał do czynienia z biznesem narkotykowym. Frost wyciągnął kopertę z przegródki. Była stanowczo za ciężka jak na heroinę. Brzeg koperty był starannie zaklejony, więc Frost podważył go palcem i rozerwał, a następnie wysypał na otwartą dłoń zawartość koperty. Złoto. Złote monety. Pięć złotych suwerenów, a na każdym z nich widniało popiersie królowej Wiktorii.

- Czekam na dzwonek, który mi powie, że kasa została zamknięta! - zawołał właściciel lombardu. Ogarnął go niepokój, bo przez gęstniejącą z każdą chwilą chmurę dymu nie bardzo mógł zobaczyć, co Frost tam robi. Inspektor wyświadczył mu tę grzeczność i zdecydowanym ruchem wepchnął szufladę, żeby dzwoneczek się odezwał. Ale nie odłożył na miejsce suwerenów. Obszedł dookoła kontuar i wyciągnął w stronę Sammy'ego otwartą dłoń.

- Co to jest, Sammy?

Ukryte za szklami oczka zamrugały gwałtownie.

- Skupuję wszelkie przedmioty ze szlachetnego kruszcu... Monety, medaliony, złote zęby. Widział pan tabliczkę na zewnątrz. „Płacimy najwyższe ceny”. To nie jest żadnym przestępstwem.

- Nie powiedziałem, że jest.

Webster wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co inspektor znalazł. W pierwszej chwili nie skojarzył, co to za monety. Wyglądały na małe i niewiele warte, niewiele większe od nowego pensa. A potem zauważył na rewersie wizerunek świętego Jerzego ze smokiem. Oczywiście! Skradzione suwereny z czasów królowej Wiktorii.

- Skąd to masz? - zapytał gwałtownie. Właściciel lombardu wiercił się na krześle.

- Zostałem okradziony, doznałem poważnych obrażeń, jestem w szoku! Żądam, żeby natychmiast odwieziono mnie do szpitala.

- Skąd je masz? - powtórzył ostro Webster.

- Kupiłem je dziś rano. Najzupełniej legalnie.

Jeśli wszystko odbyło się zgodnie z prawem, to czemu wyglądasz na tak cholernie winnego? - pomyślał Frost z rozbawieniem.

- Od kogo je kupiłeś, Sammy?

- Od takiego młodego faceta, na oko dwudziestopięcioletniego, z ciemnymi, krótko przystrzyżonymi włosami i w czarnej skórzanej kurtce. Nigdy wcześniej go nie widziałem. O co właściwie chodzi, panie Frost? Jestem niewinną ofiarą brutalnego przestępstwa. Należy mi współczuć, a nie dokuczać.

Wezwany przez Suttona ambulans właśnie zatrzymał się przed sklepem. Sammy odetchnął z ulgą. Zaraz zabiorą go w ciszę i spokój szpitalnej sali, gdzie nikt nie będzie go dręczył drobiazgowymi pytaniami.

- Odeślijcie karetkę, a potem wracajcie do patrolu - polecił Frost dwóm policjantom. - Tym tutaj zajmę się ja i Webster.

Twarz Glickmana wyraźnie się wydłużyła.

- Panie Frost, muszę jechać do szpitala. Źle się czuję. To spóźniona reakcja na szok.

- Poproszę policyjnego lekarza, żeby cię obejrzał, kiedy tylko cię przymkniemy - odparł Frost. Powiedział to tak zwyczajnie, że w pierwszej chwili Glickman nie wierzył własnym uszom. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie tych słów i wtedy zupełnie się załamał.

- Przymkniecie mnie? O czym pan mówi, na litość boską?!

- Strasznie mi przykro, Sammy, ale te suwereny są kradzione. Zostaniesz pociągnięty do odpowiedzialności za współudział w przestępstwie.

Oczka Glickmana, powiększone przez grube szkła okularów, otworzyły się szerzej w udawanym zdumieniu.

- Skradzione rzeczy w moim sklepie? Nie mogę w to uwierzyć! Ten chłopak powiedział, że to część rodzinnego spadku.

- Owszem - potwierdził Frost. - Część spadku rodziny, której zostały skradzione.

- Chryste, panie Frost, przysięgam na grób mojej matki, że gdybym miał najmniejsze podejrzenie, że zostały skradzione, nawet bym ich nie tknął!

- Ile za nie zapłaciłeś? - chciał wiedzieć Frost. Właściciel lombardu przesunął językiem po wargach, które nagle zrobiły się bardzo, ale to bardzo suche.

- Trzydzieści funtów za sztukę... Razem okrągłe sto pięćdziesiąt funciaków w pięćofuntowych banknotach.

- Zastrane trzydzieści funtów! - wykrzyknął Frost. - I chcesz mi wmówić, że nie wiedziałeś, że pochodzą z kradzieży! Toż to znacznie mniej niż połowa ich wartości rynkowej!

- Panie Frost, zaproponowałem niską cenę, bo spodziewałem się, że klient będzie chciał ją podbić. Tak to już jest w tym biznesie. Ale on powiedział, że jeśli dostanie kasę w używanych pięcioletnich banknotach, to możemy uznać, że dobiliśmy targu. Jeśli on był zadowolony, to ja również. Wylczyłem mu te pięcioletnie banknoty, a on wręczył mi suwereny - wszystko jak trzeba, rzetelnie i sprawiedliwie.

- Opowiedz mi resztę, Sammy.

- Resztę, panie Frost?

- Trzydzieści funtów to cena hurtowa. Musiał ci powiedzieć, że ma więcej tych monet.

- Proszę mi wierzyć, panie Frost, gdyby powiedział, że ma ich więcej, od razu bym się zorientował, że coś tu nie gra.

Frost z rozczarowaniem pokręcił głową.

- W porządku, Sammy. W takim razie zatrzymujemy cię pod zarzutem paserstwa.

- Proszę zaczekać, panie Frost... Nagle Sammy opuścił ramiona.

- Dobrze, on mnie uprzedził, że ma jeszcze około pięćdziesięciu takich samych monet. Obiecał je sprzedać za tę samą cenę, jeśli znowu postaram się o używane banknoty pięcioletnie. Nie miałem przy sobie półtora tysiąca gotówką, więc powiedziałem, że muszę skoczyć do banku. Odparł, że w takim razie przyjdzie tu jutro.

Frost uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Teraz powiem ci, Sammy, co dalej zrobisz. Jak tylko facet przekroczy ten próg, zadzwonisz na posterunek, a potem upewnisz się, że nie wyjdzie ze sklepu, dopóki nie przyjadą tu gliniarze. Jeśli go złapiemy, nie wniosę oskarżenia o paserstwo; jeśli nie, przez długi czas będziesz jadał owsiankę Jej Królewskiej Wysokości.

- Będę współpracował w każdy możliwy sposób, panie Frost.

- Wiem, Sammy, wiem... A teraz włóż płaszcz. Idziemy na małą przechadzkę do speluny gliniarzy.

- Na posterunek? Ale pan powiedział...

- Chcę, żebyś przyjrzał się paru zakazanym mordom - wyjaśnił Frost. - Może uda ci się wyłowić z tego tłumu znajomego kolesia ze strzelbą. Wszystko w ramach współpracy w każdy możliwy sposób, tak jak obiecałeś.

*

Glickman siedział skulony na krześle w biurze Frosta i oglądał kolejny album z fotografiami, które brodaty pomocnik inspektora rzucił mu na biurko. Głowa pękała mu z bólu, a zbyt długo parzona herbata - której filiżankę podano mu po długich ceregielach, żeby mógł łatwiej przełknąć aspirynę - teraz burzyła się w żołądku, wzniesając nieprzyjemne, kwaśne fale. Szkoda, że się przyznał, że może zidentyfikować napastnika, bo teraz mógłby spokojnie siedzieć we własnym mieszkaniu, w maleńkim, przytulnym pokoiku nad sklepem, i wypełniać formularz wypłaty odszkodowania, który powinien zostać wysłany do towarzystwa ubezpieczeniowego.

Westchnął na myśl, jak niesprawiedliwe potrafi być życie, i otworzył ostatni album, skręcając się na widok rzędów monottonnych do obrzydliwości fotografii, ostrych i pozbawionych ostrości, na których widniały urocze buźki kryminalistów zarejestrowanych w policyjnych kartotekach. Widział już tak wiele zdjęć, że zaczynał wątpić, czy potrafiliby rozpoznać mężczyznę ze strzelbą, nawet gdyby spotkali się twarzą w twarz. Znaczące pokasływanie brodatego policjanta dodało mu animuszu, więc szybko przejrzał bieżący album i otworzył następny. Po niedługim czasie cały świat zdawał się wypełniony mnóstwem paskudnych mord.

Drzwi zaskrzypiały i do środka wsunął się Frost, niosąc przed sobą jeszcze trzy kubki trującej policyjnej herbaty.

- No co, udało się? - zapytał bez ogródek, stawiając jeden z nich przed właścicielem lombardu.

Glickman energicznie pokręcił głową.

- Nigdy w życiu nie widziałem tylu okropnych gąb naraz.

- Poczekaj, aż zobaczysz zdjęcia ze ślubu pana Mulletta - odparł Frost.

Glickman nie zdobył się nawet na zdawkowy uśmiezek. Odwrócił stronę i ze zmarszczonymi brwiami wpatrzył się w rząd twarzy, które także spoglądały na niego wilkiem. Czy oszuści i bandyci nigdy się nie uśmiechają? - pomyślał. Pewnie fotografie zostały zrobione zaraz po tym, jak poczęstowano ich tą okropną herbatą!

To było naprawdę nie lada zadanie, żeby w takich warunkach skupić się na czymkolwiek. Przez cały czas panowało zamieszanie, bo co chwila ktoś wchodził do maleńkiego biura Frosta albo z niego wychodził. Najpierw rozpętała się awantura w związku ze sprawą dotyczącą jakiejś zaginionej dziewczynki. Okazało się, że w sąsiedniej jednostce zatrzymano pewną uczennicę, sądząc, że jest to nastoletnia Karen Dawson, której zaginięcie zgłosił im inspektor Frost. O ile Glickman mógł się zorientować, chodziło o to, że Frost już odnalazł tę dziewczynkę, lecz zapomniał powiadomić o tym drobnym fakcie kolegów z

sąsiednich okręgów. Potem jak burza wpadł malutki, tłuściutki sierżant, Arthur Hanlon, żeby złożyć raport dotyczący przesłuchań rozmaitych mętów. Zdaje się, że Frost mocno interesował się ostatnimi godzinami życia kogoś, kto udusił się własnymi wymiocinami w publicznej toalecie. Słuchając tych wszystkich niesmacznych szczegółów, Glickman poczuł się tak, jakby za chwilę sam miał dostać torsji.

Hanlon został odesłany z zadaniem znalezienia kolejnych włóczęgów chętnych do rozmowy, ale zanim zdążył wyjść, zaczął się rozgardiasz związany z jakimiś raportami, które inspektor powinien był wysłać poprzedniego wieczora, ale tego nie zrobił. W przerwach Glickman usiłował koncentrować się na oglądaniu setek kolejnych twarzy, które powoli zaczynały wyglądać tak samo. Ledwie rzucił okiem na kolejną stronę i od razu przeszedł do następnej, ale krótkie klepnięcie w ramię uświadomiło mu, że brodaty czuwa.

- Nie obejrzałeś tamtej strony - upomniał go Webster.

Pieprzona policja. Sammy czuł, że za chwilę zidentyfikuje kogokolwiek, byleby tylko z tym skończyć. Odwrócił kartkę.

Frost wysączył herbatę do ostatniej kropelki, wytarł usta i wsadził do ust papierosa. Pstryknął zapalniczką, ale płomień się nie pojawił, więc pogrzebał w szufladzie biurka w poszukiwaniu zapalek.

- Może pan kupić u mnie ładną pozłacaną zapalniczkę z wygrawerowanym pańskim nazwiskiem za jedyne dwadzieścia dziewięć funtów dziewięćdziesiąt pięć pensów - zaproponował Glickman. - To taniej niż w hurtowni.

- Ale o wiele drożej niż pudełko zapalek - odparł Frost. - Wsadź ten swój wielki nochal w album, Sammy, i nie próbuj zarabiać na biednym, przepracowanym oficerze policji.

Rozwalił się na krześle i położył nogi na biurku, przy okazji strącając na podłogę kubek po herbacie. Wtedy zadzwonił telefon. Frost chwycił słuchawkę i wysłuchał, co ma mu do powiedzenia ktoś po drugiej stronie.

- Powiedziałem ci przecież, że te cholerne statystyki wyjdą z mojego biura dziś wieczorem. Na pewno... jeśli przestaniesz zawracać mi głowę takimi głupimi telefonami!

I rzucił słuchawkę na widełki. Nie zdążył cofnąć ręki, kiedy drzwi stanęły otworem i do środka wkroczył jakiś wysoki, wyglądający na ważniaka facet w nienagannie skrojonym mundurze z pełnym zestawem guzików, ze starannie przystrzyżonymi wąsikami i nienaruszonym garniturem bieluteńkich zębów. Brodaty z marsem na czole natychmiast stanął na baczność, a Frost w mgnieniu oka zdjął nogi z biurka, złapał pierwszy z brzegu plik papierów i udał, że pilnie sumuje rząd liczb.

- Czekałem na następny raport w sprawie wypadku drogowego - zauważył Mullett cierpkim tonem.

- Proszę o wybaczenie, szefie - odparł Frost. - Wydarzyło się mnóstwo rzeczy. Udało się odnaleźć tę zaginioną dziewczynkę.

- Tak, słyszałem... Słyszałem również o tym, że zapomniał pan powiadomić o tym inne posterunki.

- Bo byłem zajęty napadem z bronią w rękę na sklep jubilerski - tłumaczył Frost. Miał nadzieję, że komendant nie dowie się o tym małym *faux pas*.

- Nie chcę, żeby brał pan na siebie dodatkowe sprawy

- odparł szorstko Mullett. - Chcę, żeby się pan skoncentrował na tamtym wypadku. Co pięć minut dzwonią do mnie z Izby Gmin i pytają, czy są jakieś postępy w śledztwie. A co z tą Julie King? Rozumiem, że potwierdziła, że Roger Miller spędził całą noc w jej mieszkaniu.

- Julie King wygląda mi na osobę, która za parę funtów powie albo zrobi wszystko, czego sobie pan zażyczy

- odparł Frost, strząsając popiół z papierosa. Nie wcelował w popielniczkę i popiół wylądował na czubkach lśniących butów Mulletta.

Mullett z niedowierzaniem popatrzył w dół, a potem z obrzydzeniem strzepnął odrobinę pyłu.

- Jeśli, jak twierdzi Roger Miller, samochód został skradziony sprzed mieszkania tej dziewczyny, to ktoś z sąsiadów mógł coś zauważyć. Czy przeprowadził pan rozmowy z mieszkańcami najbliższej okolicy, żeby zasięgnąć informacji?

Psiakrew, pomyślał Frost. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

- To następny punkt w planie na dzisiaj, szefie - skłamał gładko. - Zaraz się tym zajmiemy, jak tylko uda nam się skończyć z tym panem tutaj. To właśnie pan padł ofiarą zbrojnego napadu na sklep.

- Pocisk minął mnie dosłownie o parę cali - wyjęczał Glickman, który po prostu musiał wtrącić swojej trzy grosze.

- W dodatku dzięki temu udało się nam wpaść na trop skradzionych suwerenów - dodał Frost z determinacją, żeby za wszelką cenę zaakcentować wszystkie pozytywne aspekty tej sprawy.

Mullett ze świstem wciągnął powietrze.

- Jedyne, co mnie interesuje, inspektorze Frost, to tamten wypadek. Muszę dostać od pana coś pozytywnego, co mógłbym przekazać sir Charlesowi Millerowi. Proszę jak najszybciej przeprowadzić rozmowy z mieszkańcami sąsiednich budynków.

- Natychmiast, panie komendancie - zapewnił Frost. Gdy tylko za komendantem okręgu zamknęły się drzwi, zagrał mu na nosie, a potem wstał i dramatycznym tonem wygłosił fragment sprośnego wierszyka:

Była córką zwykłej dziwki.

Lecz dobrą jak anioleczek.

Miała duszyczkę bez skazy.

Pieprzyk zdobył jej tyleczek.

Mars na czole Webstera znacznie się pogłębił. Jak bardzo można jeszcze zdziecinnieć? Kątem oka zerknął na zegarek. Prawie pięć po siódmej. Zdusił ziewnięcie, czując, jak zmęczenie rozchodzi się po całym jego ciele. Zeszłej nocy prawie nie zmrzył oka, od pełnych dziesięciu godzin był na służbie, a jeszcze czekało ich chodzenie od domu do domu i wypytywanie o skradzionego jaguara. Szybko obliczył, że przed północą pewnie nie uda mu się dotrzeć do wynajmowanego pokoju. Dopiero później miał się przekonać, jak optymistyczne były te założenia.

Zadzwoił telefon. Frost odebrał go i słuchał ze zmarszczonymi brwiami.

- Dzięki - mruknął. - Właśnie czegoś takiego się spodziewałem. Chodzi o czerwonego vauxhalla cavalier - oznajmił, odkładając słuchawkę i odwracając się do Webstera. - Właśnie przyjęto zgłoszenie, że został skradziony dziś po południu około trzeciej.

Ziewnął jak smok i z trudem rozprostował ramiona.

- Gdy tylko Sammy zidentyfikuje człowieka ze złotym pistoletem, idziemy do domu. Przyda się choć raz wcześniej położyć spać.

Webster przypomniał, że mieli przeprowadzić przepytanie sąsiadów Julie King, ale Frost nie wydawał się zainteresowany tematem.

- To może poczekać, synu. Szkoda czasu. Mamy ważniejsze sprawy na głowie, niż starać się za wszelką cenę oczyścić z podejrzeń tego zarozumiałego gówniarza. Nie, dziś wieczorem kończymy wcześniej.

Wpatrzył się w bujny zarost Webstera, a potem zanucił pod nosem piosenkę o Świętym Mikołaju, który nie wiadomo, czy sypia z brodą na kołdrze, czy pod nią?

Glickman cały trząsał się od tłumionego śmiechu. Pomyślał, że inspektor to naprawdę fajny gość, za to ten z brodą zupełnie nie ma poczucia humoru i z byle powodu wpada w gniew. Jego wzrok przesunął się po karcie wypełnionej podobiznami szyderczo uśmiechniętych punków i skinheadów strojących groźne miny. Polizał palec i przewrócił stronę.

Spojrzał. Zamrugął. Spojrzał raz jeszcze.

- To on!

Frost i Webster pochylili się ponad jego ramieniem.

- To ten! - wołał Glickman, dziabiąc tłustym paluchem błyszczącą, czarno-białą fotografię.

- Jesteś pewien? - spytał Frost z powątpiewaniem.

- Na sto pięćdziesiąt procent! - zaklinał się właściciel lombardu. - Nie można być bardziej pewnym!

Fotografia przedstawiała raczej beznadziejnie wyglądające indywiduum z gęstymi, kręconymi włosami i wyrazem żalości na twarzy. Webster odczytał szczegóły.

- „Stanley Eustace, lat czterdzieści siedem...”.

- Wiem, kto to jest - przerwał mu Frost, który właśnie znalazł zapalki, ale zgubił paczkę z papierosami. - Nazywamy go Eustace Fajtłapa. To taki pomniejszy oszust. Ma na koncie kradzieże w sklepach, włamania, uprowadzenia samochodów, zdzieranie ołowiu z dachów kościołów... Zwykle bywał łapany na gorącym uczynku, ponieważ jest beznadziejnie głupi. Ale nigdy w życiu nie miał w ręku broni palnej.

- No cóż, miał ją w ręku dzisiejszego popołudnia - oświadczył Glickman z przekonaniem. - Czy teraz mogę wreszcie iść do domu?

Wszystkie auta służbowe były w terenie, więc Glickman, gorzko skarżąc się na swój los, musiał dostać się do domu na własną rękę. Gdy wyszedł, Frost poprosił Webstera, żeby podprowadził cortinę pod główne wejście do budynku. Zamierzał jechać po Stanleya Eustace'a.

Webster zawahał się.

- Ten facet jest uzbrojony i niebezpieczny. Może lepiej będzie zapewnić sobie jakieś wsparcie... Na przykład kilku strzelców wyborowych?

Jednak Frost z pogardą odrzucił tę sugestię.

- Znam go, synu. Już wiele razy go łapałem i odstawiałem do kicia. On jest zupełnie nieszkodliwy, a ta broń była tylko na pokaz.

- Na pokaz! - wykrzyknął Webster. - O mało co nie rozwalił szklanej gablotki wiszącej na ścianie!

- Przypuszczalnie palec mu się omsknął i przypadkiem nacisnął na spust - oświadczył Frost beztrąsko. - Możesz zostać w samochodzie, jeśli chcesz. Sam wejdę do domu i wyciągnę lisa z nory.

Właśnie wkładał płaszcz przeciwdeszczowy, gdy do środka wsadził głowę Johnny Johnson.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy podczas dzisiejszych wojaży widziałeś gdzieś Dave'a Shelby'ego?

- Nie - odparł Frost. - Ostatni raz widziałem go w „The Coconut Grove”, kiedy przywiózł nam seksowną Sue. To było około drugiej po południu. A czemu pytasz?

Sierżant ze znużeniem przesunął rękoma po twarzy.

- Bo strasznie się martwię, Jack. Nie zadzwonił ani razu, odkąd wyjechał, choć to standardowa procedura, nie skontaktował się w inny sposób ani nie odpowiedział na wezwania. Miał się zameldować u mnie z raportem o siódmej wieczorem, bo dziś wziął tylko część dyżuru, ale nie pojawił się.

Zdaniem Frosta nie było żadnego powodu do niepokoju.

- Pewnie znów wylądował w łóżku z jakąś babką i zapomniał, która godzina.

- Ale ja naprawdę się martwię - upierał się Johnson. - Niezależnie od wszystkich swoich przywar Shelby nigdy nie zapominał o meldowaniu się. Machnięciem ręki podziękował za papierosa.

- A czy rozmawiał pan z detektywem Allenem, sierżancie?

- wtrącił się Webster. - Shelby mówił nam, że ma zamiar pojechać do niego w sprawie tego gościa, który anonimowo poinformował nas o dziewczynie w lesie.

- Zaraz dostaniesz odpowiedź - powiedział Frost i wysłał swojego pomocnika na poszukiwania inspektora Allena, sam zaś obwiązał szyję szalikiem. Po kilku minutach do biura wkroczył inspektor Allen w towarzystwie nieodłącznego sierżanta Ingrama.

- Co z tym Shelbym? - warknął Allen. - Nie widziałem go dziś przez cały dzień.

- Ja widziałem go rano, ale po południu nie było mnie na służbie - wtrącił Ingram.

- Wygląda więc na to, że Dave Shelby zaginął - oświadczył Frost i w skrócie opowiedział, co zaszło. - Johnny bardzo się niepokoi.

- Od pięciu godzin nie dał znaku życia - dorzucił sierżant Johnson.

- Od pięciu godzin? - z niedowierzaniem zawołał Allen.

- Wielkie nieba, czemu czekał pan tak długo z powiadomieniem kogoś z nas?!

Sierżant wydawał się mocno zakłopotany.

- Shelby wykonywał pewne zadanie dla pana Frosta... To znaczy zawiózł do „The Coconut Grove” pewną policjantkę. Myślałem, że pan Frost wyznaczył mu inne zadanie i dlatego polecił nie odpowiadać na wezwania przez radio.

Tym razem to Frost wyglądał na zawstydzonego. Nie po raz pierwszy zdarzało mu się w ten sposób omijać procedurę.

- Na litość boską - powtórzył Allen. - Dave Shelby jeździ służbowym samochodem. Nie można za jednym zamachem stracić z oczu policjanta i zgubić wozu patrolowego.

- Wysłałem polecenie do wszystkich patroli, że mają go szukać - mruknął Johnson. - Na razie bez rezultatu.

- Sprawdziłeś w szpitalach? - spytał Frost. Sierżant potakująco skinął głową. - A w domu? Może pojechał prosto do domu?

- Najpierw by się podpisał, że wychodzi - upierał się Johnson.

- Tak czy inaczej spróbuj zadzwonić do domu - zdecydował Allen. - Tylko zrób to taktownie. Lepiej nie denerwować jego żony.

Patrząc z niepokojem na pozostałych, Johnson wybrał domowy numer Shelby'ego.

- Nie, jeszcze nie wrócił - odpowiedziała pani Shelby. - Ale spodziewam się go lada moment. Czy coś powtórzyć?

- Nie, nie ma potrzeby. - Johnson starał się mówić swobodnym tonem. - Pewnie wykonuje jakieś zadanie dla inspektora Frosta, a ja chciałem go złapać, zanim wyjdzie. Proszę mu powtórzyć, żeby do mnie zadzwonił, dobrze?

Powoli, ze zwieszoną głową, odłożył słuchawkę.

- Martwię się - powiedział. - Cholernie się martwię. Ingram podszedł do rozwieszonej na ścianie mapy.

- Przyszło mi do głowy coś okropnego - powiedział i wskazał na mapę. - North Street jest tutaj. Uzbrojony mężczyzna po napadzie na jubilera uciekał samochodem w tym kierunku... Co oznacza, że wpadł prosto na obszar patrolowany przez Shelby'ego.

Allen precyzyjnie wskazał obok Webstera, żeby osobiście rzucić okiem na mapę.

- Czy chcesz powiedzieć, że Shelby mógł zauważyć uciekający samochód i że próbował go zatrzymać?

- To całkiem możliwe, panie inspektorze - odparł Ingram. - Napastnik miał przy sobie broń. Shelby mógł wpakować się w niezłe tarapaty.

Allen w zamyśleniu skubnął kilka razy dolną wargę, a potem odwrócił się do Frosta.

- Co pan o tym sądzi?

W odpowiedzi Frost schował rękę do kieszeni i zacisnął palce na pudełku papierosów.

- Nawet jeśli Shelby dostrzegł kradziony samochód, to z pewnością nie od razu rzucił się w pościg. Chyba wpadł na to, że przede wszystkim powinien skontaktować się przez radio z dyspozytorem.

Johnny Johnson skinął głową na znak, że całkowicie się z tym zgadza.

- Ale radio mogło się zepsuć, co tłumaczy, dlaczego nie zgłaszał się wcześniej - powiedział Allen. - Być może starał się zatrzymać uciekający samochód, a wtedy napastnik sięgnął po broń... Zranił Shelby'ego albo wziął go jako zakładnika.

- Tym napastnikiem jest nie kto inny, jak Eustace Fajtłapa, to znaczy Stan Eustace - wtrącił Frost. - Glickman go zidentyfikował. Stan nigdy w życiu nie strzeliłby do gliniarza.

- I nigdy nie popełniłby przestępstwa przy użyciu broni palnej - zauważył z przekąsem Allen. - Najwyraźniej dziś po południu zdarzył się ten pierwszy raz.

Jeszcze raz popatrzył na mapę.

- To zupełnie bezcelowe stać tutaj i snuć domysły. Zaginął oficer policji, więc nie można ryzykować. - Podsunął się w stronę Johnny'ego. - Wszystkie wyjścia zostają odwołane, Johnny. Możesz zacząć dzwonić do ludzi, którzy dzisiaj mają wolny dzień, żeby stawili się na posterunek. Musimy jak najszybciej zorganizować poszukiwania na wielką skalę.

- Skoro pan się tym zajmuje, to znaczy, że wszystko będzie jak należy - odparł Frost, kierując się mu drzwiom. - Ja i Włochata Morda wpadniemy z wizytą do domu Stana Eustace'a. Jeśli nie wie, że został zidentyfikowany, być może uda nam się dostarczyć go tutaj, jedynie w niewielkim stopniu ryzykując utratę życia.

Skinął na Webstera, żeby szedł za nim, i zniknął za drzwiami.

- Zaczynj ściągać tu ludzi - polecił Allen Ingramowi. - Ja idę powiadomić o całej sprawie komisarza Mulletta.

ŚRODA, DZIENNA ZMIANA (7)

Małeńki ogródek przed bliźniaczym domem Stanleya Eustace przy Merchants Lane był porośnięty gęstym kozuchem chwastów, a na trawniku kwitły najbardziej dorodne osty, jakie Frost kiedykolwiek widział. Na parterze paliło się światło i z wnętrza dobiegały dźwięki radia. Dwurodzinny budynek nie miał tylnych drzwi, przez które można by uciec, więc dwaj detektywi nie musieli się rozdzielać.

Frost nacisnął dzwonek. Nie działał, więc inspektor załomotał w drzwi. Najpierw starał się zapukać delikatnie, tak jak zrobiłby to agent ubezpieczeniowy, nie zaś wpadająca z niespodziewaną wizytą zgraja gliniarzy.

Webster celowo trzymał się z tyłu, bo w każdej chwili spodziewał się ujrzeć czarny otwór lufy wysuwającej się z któregoś z okien. Frost mógł sobie gadać do woli o rzekomej nieszkodliwości Eustace'a, ale Webster wiedział swoje. Dobrze zapamiętał opowiadanie Johnny'ego Johnsona, jak tamtego ranka w banku Bennington Frost myślał, że facet z pistoletem jest całkiem niegroźny, a zaraz potem został postrzelony w twarz.

Nikt nie wydawał się chętny do otwarcia drzwi, więc Frost zapukał ponownie, tym razem znacznie mocniej, a następnie podniósł klapę skrzynki na listy, żeby przez wąską szczelinę zajrzeć do środka mieszkania. Jego wysiłek został nagrodzony szerokokątnym obrazem zbliżającego się krocza, opiętego ciasno białym materiałem spodni. Szybko wyprostował się, a zaraz potem drzwi otworzyły się i stanęła w nich Sadie Eustace, żona Stanleya - dobrze zbudowana, niewysoka brunetka w białych legginsach, czarnym swetrze z długimi rękawami i z olbrzymimi, kolistymi niebieskimi kolczykami. Na widok obu mężczyzn wyzywająco oparła ręce na biodrach i niezbyt uprzejmie zapytała, czego, do diabła, sobie życzą.

- Czy Stan jest w domu, Sadie? - Frost przepchnął się obok niej i ruchem głowy wskazał Websterowi schody, co należało rozumieć jako polecenie przeszukania pokoi na piętrze.

- Gdzie masz nakaz?! - wrzasnęła Sadie. Deptała inspektorowi po piętach, kiedy otwierał drzwi do kolejnych pomieszczeń, szukając w nich śladów obecności jej męża.

- Nakaz? - Frost zaczął gładzić wszystkie kieszenie, jakby starał się zlokalizować żądany dokument. - Gdzieś powinienem go mieć...

Zanim zakończył tę opracowaną w najdrobniejszych szczegółach pantomimę, zdążył obejrzeć cały parter. Z góry doleciał jakiś łomot.

- Co ten łajdak tam robi? - krzyknęła Sadie i popędziła po schodach na piętro, gdzie Webster - wciąż pełen strachu, żeby ktoś nie nafaszerował go ołowiem - otwierał znieczeka drzwi, a potem przywierał do ściany w sposób prezentowany w serialu *Starsky i Hutch*. Ostatnim pomieszczeniem okazała się łazienka, gdzie wstrząs wywołany trząśnięciem drzwiami zwałił z półki lustro, które rozbiło się na podłodze. W tym samym momencie Webster rzucił się na podłogę i przywarł twarzą do dywanika, wdychając wtarty w niego kurz.

- Czy coś się stało, synu? - zawołał Frost, podbiegając do schodów.

- Nie - odrzekł krótko Webster. Wstał i otrzepał pył z ubrania. - Poślizgnąłem się - wyjaśnił i zbiegł po schodach do kuchni, gdzie ze skrzyżowanymi rękoma stała Sadie, rzucając inspektorowi nienawistne spojrzenie.

- Wtargnął pan do mojego domu bez nakazu...

- Naprawdę sądziłem, że mam go przy sobie - wyjaśnił Frost bez najmniejszych oznak skrępowania. - Mój błąd. Więc gdzie jest Stan? Wyszedł, żeby spieniężyć zdobycz?

- O cokolwiek go pan posądza, Stan tego nie zrobił. Przez cały dzień ani na krok nie ruszył się z domu... A właściwie o co chodzi?

- O napad z bronią w ręku - powiedział Frost. Za plecami Sadie widział drewniany pojemnik na papierowe ręczniki, który Stan przybił do ściany. Teraz wisiał krzywo.

- Napad z bronią w ręku? Mój Stan? - Roześmiała się wzgardliwie. - Proszę mieć dla mnie względy! Chyba postradał pan swój niewielki rozumek!

- Przykro mi, Sadie, ale tym razem sprawa jest jasna. - Frost spróbował poprawić podajnik, ale zaraz się poddał, bo okazało się to trudniejsze, niż sądził. - Twój Stan wszędzie zostawił odciski palców... Słowem, jak zwykle spieprzył wszystko od początku do końca.

Z holu dobiegł dźwięk telefonu. Sadie zeszywniała.

- Proszę mi wybaczyć - oznajmiła najbardziej swobodnym tonem, na jaki było ją stać, ale Frost zagroził jej drogę.

- Odbierz, synu - polecił Websterowi.

Aparat stał na stolyczku pod schodami. Webster wziął do ręki słuchawki i przycisnął ją do ucha.

- Halo... Sadie, czy to ty? - spytał męski głos. W tle słyhać było hurgot samochodów przejeżdżających obok budki telefonicznej. - Sadie, to ja, Stan. Zdaje się, że wpadłem w tarapaty. Potrzebuję twojej pomocy.

- Stan, to cholerna policja! - doleciał z kuchni krzyk Sadie. Rozległo się kliknięcie, a potem sygnał wolnej linii. Webster odłożył słuchawkę, a potem wrócił do Frosta.

- Stanley? - spytał inspektor, a Webster potwierdził skinieniem głowy. - No cóż, już wie, że go namierzaliśmy.

Odwrócił się do Sadie. Jej pierś falowała ze wzburzenia, a w oczach wciąż płonął ogień.

- To miło z twojej strony, Sadie, ale czy to miało sens? Przecież Stan nie może uciekać przez całe życie.

Nie odezwała się ani słowem, ale w jej spojrzeniu pojawił się błysk nienawiści.

Sami poszli do wyjścia, a gdy zamykali drzwi, usłyszeli kobiecy płacz.

Siedząc w samochodzie, Frost przez chwilę się zastanawiał, czy nie należałoby zaczekać w którejś z bocznych uliczek, na wypadek gdyby Stan wrócił do domu, ale po namyśle odrzucił to rozwiązanie. Nawet Eustace Fajtłapa nie był na tyle głupi.

Nagle w radiu odezwał się głos Johnny'ego Johnsona. Policjant wydawał się śmiertelnie poważny.

- Tak, Johnny?

- Przed chwilą mieliśmy telefon. Dzwonił niejaki pan Charles Fryatt, żeby poinformować nas, że widział wóz patrolowy, który wygląda na porzucony.

Frost zeszywniał.

- Gdzie?

- Na Green Lane, prostopadłej do głównej drogi. Frostowi zabiło mocniej serce.

- A Shelby?

- Pan Fryatt mówił, że nie widział śladu kierowcy, choć przyznał, nie bardzo się przyglądał. Pomyślał, że lepiej będzie, jeśli szybko dotrze do telefonu i nas zawiadomi. Czy możesz tam pojechać?

- Już jedziemy - odparł Frost. - Bez odbioru.

*

Green Lane była czymś niewiele lepszym od zwykłej gruntowej szosy, która skręcała od Bath Road i prawie zupełnie nikła, zanim zdążyła dotrzeć do Denton Road. Cortina trzęsła się i podskakiwała, torując sobie drogę między wybojami, ale dzielnie parła do przodu wijącą się dróżką, która wiodła w dół zagłębienia terenu całkowicie niewidocznego z obydwu głównych dróg.

- Uwważaj! - krzyknął Frost i Webster z całej siły nacisnął hamulec, kiedy światła reflektorów wydobyły z mroku jakiś kształt, który znajdował się dokładnie na ich drodze. Po chwili okazało się, że to samochód Shelby'ego. Porzucony ford escort na ciemnej drodze sprawiał wrażenie opuszczonego i nieszczęśliwego stworzenia.

Ostrożnie zbliżyli się do zaciemnionego auta. Drzwi od strony kierowcy były otwarte na oścież; z radia nastawionego na policyjny kanał płynął nieustanny gwar. Strumień światła z latarki Frosta omiół wnętrze auta, wydobywając z ciemności jego sekrety: kluczyki tkwiące w stacyjce i notes z rozkładem bieżącego dnia leżący na siedzeniu pasażera. Frost połączył się przez radio z dyspozytorem, żeby przekazać, że już dotarli na miejsce.

- Znaleźliście Shelby'ego? - dopytywał się z niepokojem Johnson.

- Jeszcze nie.

- Niech się pan nie rusza! - zakrzyknął Webster. - Niech pan spojrzy w dół! Przy pańskim bucie!

Mniej więcej o cal od miejsca, gdzie stał Frost, na ziemi coś błyszczało w świetle latarki Webstera. Ziemia w tym miejscu wydawała się mokra, poplamiona jakąś czerwoną substancją. Frost kucnął, żeby przyrzeć się temu z bliska. Ostrożnie potarł palcem mokre miejsce. Krew. Mnóstwo krwi.

- I proszę spojrzeć tam! - zawołał Webster, wskazując latarką w stronę szyby tylnych drzwi auta.

Tylna szyba wyglądała jak jakaś upiorna pajęczyna, namalowana na mlecznym tle. W strzaskanym szkłe, tak samo jak w lakierze w dolnej części drzwi, tkwiły maleńkie drobinki spłaszczonego metalu. Ołowiane kulki, bliźniaczo podobne do tych, które zostały znalezione w ścianie sklepiu jubilerskiego. Nagle teoria Ingrama przestała wydawać się tak nieprawdopodobna, jak dotąd sądzili.

- Psiakrew!

Frost chwycił mikrofon i połączył się z dyspozytorem.

- Johnny, przykro mi, ale to wcale nie wygląda różowo. Dookoła jest mnóstwo krwi i łusek po pociskach. Najlepiej będzie, jeśli zaraz przyślesz tutaj pełny zespół.

*

W ciągu dwudziestu minut cały obszar został otoczony, a wieczorną ciszę zakłócało brzęczenie przenośnych generatorów zasilających reflektory, dzięki którym miejsce było skąpane w powodzi światła. Ludzie z wydziału kryminalistycznego cal po calu badali wnętrze auta, robili zdjęcia w oślepiającym, niebieskawym blasku fleszy, sypali proszek wykrywający odciski palców i białą kredą obrysowywali plamy krwi oraz wgłębienia pozostawione przez kulki ołowiu. Grupa policjantów, którzy jeszcze do niedawna mieli dzień wolny, a większą część poprzedniej nocy i dzisiejszego poranka spędzili, przeszukując na kolanach gęstwiny Denton Woods, teraz w tej samej pozycji przeszukiwała pobliskie zarośla.

Frost stał, opierając się o maskę cortiny, i ponurym wzrokiem śledził ich poczynania, a spirale dymu z papierosa szybowały w stronę ciemnego nieba. Nadszedł czas dla ekspertów i specjalistów, czas, w którym przede wszystkim liczyło się zwracanie uwagi na szczegóły, więc on starał się trzymać na uboczu. Webster poszedł zamienić parę słów z kolegami z wydziału śledczego, ale zaraz potem wrócił i stanął obok.

- Chłopcy z kryminalistyki powiedzieli mi, że ziemia jest zbyt twarda, żeby zostały na niej jakieś wyraźne odciski, ale i tak dobrze widać ślady opon drugiego samochodu. Ten samochód znajdował się przed wozem patrolowym Shelby'ego i prawdopodobnie stał w poprzek drogi, blokując przejazd. Wygląda na to, że Shelby zatrzymał się, wysiadł z auta i został trafiony, gdy szedł w kierunku tamtego samochodu.

- Więc gdzie jest teraz? - zapytał Frost.

- Prawdopodobnie zabrał go tamten drugi samochód. Na ziemi są koleiny, jakby ktoś ciągnął coś ciężkiego.

- Ale dlaczego? - Frost podrapał się w głowę. - Dlaczego go tu nie zostawili?

Podniósł głowę i spojrzał wprost przed siebie.

- Dzień dobry... Czego chce ten idiota?

Jeden z funkcjonariuszy z wydziału kryminalistycznego, mężczyzna z długimi siwymi włosami, machał ręką w ich stronę, jakby chciał zachęcić Frosta, żeby podszedł do porzuconego wozu.

- Mamy wstępny raport, inspektorze - oznajmił. - Krew na ziemi i krew rozprysnięta po samochodzie są grupy B i jest to grupa zgodna z krwią posterunkowego Shelby'ego. Jej ilość sugeruje, że obrażenia odniesione przez posterunkowego Shelby'ego muszą być dość rozległe. Oczywiście nie można stwierdzić nic konkretnego, nie znając miejsca zranienia. Sądząc z liczby śrucin, które udało się nam odzyskać, można powiedzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że wystrzelono tylko jeden pocisk, a stopień spłaszczenia i zasięg rozprysku świadczą o tym, że strzelec znajdował się nie dalej niż jakieś dziewięć stóp od wozu patrolowego. Innymi słowy, w przybliżeniu stał gdzieś tutaj...

Podsunał się do miejsca odległego mniej więcej o dziewięć stóp i zrobił obcasem głęboki ślad.

- Podczas rekonstrukcji zdarzeń przyjmujemy, że ten drugi samochód już tu stał, gdy nadjechał wóz patrolowy. Shelby wysiadł i szedł w kierunku tamtego obcego samochodu. Wówczas napastnik także opuścił auto i strzelił do policjanta, który osunął się na ziemię, obficie krwawiąc. Wtedy napastnik zaciągnął bezwładnego Shelby'ego do własnego samochodu i odjechał w nieznanym kierunku.

Frost popatrzył na ciemną plamę, która leniwie odbijała światło z wiszących nad nią reflektorów.

- Czy wiecie, ile czasu minęło od tamtego zdarzenia?

- Och, najmocniej przepraszam, inspektorze. Powinienem być od tego zacząć. To stało się cztery do pięciu godzin temu.

Frost z ponurą miną skinął głową. Mniej więcej w tym samym czasie Stan Eustace uciekał z lombardu.

- Chcielibyśmy zabrać ten samochód, żeby dokładnie go zbadać w laboratorium - powiedział jeden z techników.

- Proszę bardzo - odparł inspektor, jednocześnie zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Wszyscy szukali czerwonego vauxhalla cavaliera i dopóki go nie znajdą, on mógł jedynie czekać.

Dwa kolejne samochody zatrzymały się na poboczu. Mullett wynurzył się ze srebrnoszarego rovera dokładnie w tej samej chwili, w której Allen i Ingram wygramolili się z czarnego forda. Teraz zbliżali się do Frosta idealnie równym, marszowym krokiem, zupełnie jakby byli oddziałem wojska, które bierze udział w jakiejś cholernej paradzie.

- Paskudna sprawa - mruknął Mullett, kiedy zjrzał do opuszczonego forda escorta i przyjrzał się gęstej, czerwonej kałuży. Allen, najwyraźniej nie mając zaufania do pokrętej wersji, jaką usłyszałby od Frosta, najpierw podszedł do kryminalistyków, żeby z nimi porozmawiać i dopiero potem stanął u boku komendanta.

- Każdy, kto stracił tyle krwi, będzie wymagał interwencji medycznej, i to cholernie szybko - warknął do Frosta. - Rozumiem, że uprzedził pan lekarzy i okoliczne szpitale?

- Tak, udało mi się samemu wymyślić, że być może zajdzie taka potrzeba - odparł Frost. - Lekarze i szpitale zostali postawieni w stan gotowości.

Pierwszy strzał okazał się chybiony, więc Allen spróbował po raz drugi.

- I zostawił pan samochód ze swoim człowiekiem przed domem Eustace'a? On na pewno będzie próbował dostać się tam ukradkiem.

Gówny prawda, pomyślał Frost.

- Prawdę mówiąc, właśnie mieliśmy tam jechać. Ruszył w kierunku swojego auta.

- Nie, pan zostanie tutaj! - zawołał Allen, który już myślał, jaką okryje się chwałą, gdy aresztuje Eustace'a. - Tam potrzebny będzie dobry strzelec, taki jak sierżant Ingram.

Pełen zapału odwrócił się do Mulletta.

- Musimy pobrać rewolwer z magazynu, panie komendancie. Czy zechciałby pan podpisać upoważnienie?

Mając w ręku zgodę dowódcy, wrzasnął na Ingrama, żeby szedł za nim, i kłusem popędził w stronę swojego samochodu.

A idźże z Panem Bogiem, myślał Frost, patrząc, jak odjeżdżają.

- Paskudna sprawa - powtórzył Mullett.

W radiu coś zaskrzeczało. Któryś z mundurowych odebrał, a potem machnął ręką, jednocześnie krzyząc nazwisko inspektora.

- Panie Frost! Dyspozytor pragnie pilnie z panem rozmawiać.

- Już idę - odparł Frost i ruszył do samochodu, zostawiając Mulletta razem z Websterem. Zapadła niezręczna cisza, bo żaden z nich nie miał pomysłu, co powiedzieć drugiemu. Wreszcie Mullett wysilił umysł i wymyślił całkiem nieszkodliwy temat.

- Jak się panu u nas powodzi? Wszystko w porządku?

- Tak jest, bardzo dziękuję, panie komendancie - odparł Webster bezbarwnym tonem. Nie odrywał wzroku od Frosta, który stał oparty o samochód, trzymając w ręku słuchawkę, a jego mina świadczyła o tym, że coś jest mocno nie w porządku. Wolnym krokiem Frost wrócił do komendanta. Wydawał się niezwykle poważny.

- Panie komendancie... - zaczął ponuro.

Mullett poczuł lodowaty chłód nadchodzącej tragedii i cały zdrzął.

- Tak, inspektorze Frost?

- Chodzi o posterunkowego Shelby'ego. Został znaleziony w rowie, mniej więcej trzy mile stąd, niedaleko od tej nowej Lexington Road.

- Czy wszystko z nim w porządku? - wyszeptał Mullett. Głupie pytanie, bo właściwie komendant znał już odpowiedź. Wyraz twarzy Frosta nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Frost popatrzył w dół, na kałużę krwi stojącą na dróżce.

- Nie, panie komendancie. Shelby nie żyje.

*

- To musi być on - mruknął Webster, gdy strumień światła z reflektorów wydobył z mroku sylwetkę mężczyzny, który wymachiwał rękoma, żeby się zatrzymali. Ubrany w grube palto i zabłocone buciory facet wyglądał na robotnika rolnego. To właśnie on znalazł ciało.

- Zwłoki leżą tam - powiedział i ciężko stąpając, poprowadził ich wijącą się dróżką w stronę farmy, na której pracował. W milczeniu szli za nim. Wysoki żywopłot rosnący po obu stronach rzucał na dróżkę głęboki cień. Jeszcze parę kroków i usłyszeli chłupot wody. To przypomniało Frostowi poprzedni wieczór, kiedy w ślad za Shelbym schodził po betonowych schodach, żeby na dole znaleźć ciało Bena Cornisha. Nagle tupot buciorów ustał. Mężczyzna wskazywał miejsce, gdzie dróżka skręcała leniwie, a rów odprowadzający wodę, głęboki mniej więcej na dwie stopy, okrążał otoczone przez żywopłot pole. Zza żywopłotu poprzez ciemność płynął żaloszny ryk bydła.

- On jest tam - odezwał się robotnik. - W rowie.

Nie poszedł ani kroku dalej. Już widział, co tam jest, i nie miał zamiaru oglądać tego jeszcze raz.

Dwaj detektywi wysunęli się naprzód. Wąski nasyp, porośnięty mizerną trawą, oddzielał rów od ścieżki. Spłaszczony łądygi pochylały się nisko, przeczesując powierzchnię zamulonej wody, która wezbrała lekko powyżej zwykłego poziomu, ponieważ coś zatarasowało jej odpływ. Webster poszukał w kieszeni latarki i nacisnął guzik.

Z zielonego szlamu wysuwała się woskowa ręka i podskakiwała na wodzie jak korek. Ciało leżało płasko na mulistym dnie, twarzą do dołu. Przemoczony policyjny mundur wydawał się całkiem czarny.

- Staralem się go wyciągnąć - odezwał się stojący na dróżce robotnik. - Pomyślałem, że być może jeszcze żyje. Ale gdy zobaczyłem jego twarz...

Frost przyklęknął na mokrej murawie. Zanurzył rękę w zielonej zawieszynie, żeby chwycić nieboszczyka za włosy i podnieść mu głowę. Kiedy wyciągnął ją ponad

powierzchnię wody, z piersi Webstera wydarł się stłumiony okrzyk, a Frost poczuł, jak żołądek skręca mu się w gwałtownym proteście.

Ociekająca wodą i krwią głowa miała tylko pół twarzy. Lewa strona była jedną krwawą miazgą, z nienaruszonym fragmentem policzka i resztką dolnej wargi, która odsłaniała zęby i kawałek kości. Lewe oko znikło; na jego miejscu widniała gąbczasta, czerwona wklęsłość, a całe czoło upstrzone było drobkami ołowiu. Frost nie mógł dłużej patrzeć. Rozprostował palce, głowa opadła z powrotem, z głuchym pluskiem rozchlapując zielonkawą wodę, a następnie starannie wytarł dłoń w połę płaszcza przeciwdeszczowego. Webster pierwszy zdołał wydobyć z siebie głos.

- Czy nie powinniśmy go wyciągnąć?

- Nie - odparł Frost, wpatrując się w dal. - Nie, dopóki nie obejrzy go policyjny lekarz. Wiesz przecież, jaki z niego drobiazgowy skurwiel.

Cóż to? - pomyślał nagle. To samo zdanie powiedziałem zeszłej nocy.

Zapytali robotnika o parę szczegółów, a potem pozwolili mu wracać do domu. Kilka chwil później na miejsce dotarł człowiek z wydziału kryminalistyki ze swoim kosztownym, japońskim aparatem fotograficznym i kolorowym filmem, żeby w świetle błysków flesza uwiecznić wizerunek rowu, trawy i podskakującej jak korek ręki. Niestety, nic innego nie nadawało się do fotografowania - przynajmniej do chwili, gdy przybędzie policyjny lekarz.

- Już jedzie! - zakrzyknął Webster.

Rzeczywiście, jakiś samochód ostrożnie przepychał się wąską dróżką, aż wreszcie zatrzymał się zaledwie kilka stóp od detektywów. Ze środka wygrzebał się Slomon, w przelocie kiwnął głową w kierunku Frosta, a następnie wpatrzył się w czarną czeluść rowu.

- Czy naprawdę muszę tam złączyć? - spytał z obrzydzeniem.

- Tak - odparł Frost. - Zdaje się, cholera, że musisz. Niech tylko Slomon spróbuje sfuszerować to badanie, tak jak to zrobił poprzedniego dnia!

Doktor wrócił do samochodu po kalosze, następnie zdjął płaszcz i podwinął rękawy koszuli. Dopiero wtedy ostrożnie zsunął się z nasypu.

- Byłbym wdzięczny za odrobinę światła - warknął. Strumienie światła z trzech latarek zgodnie skierowały się w jego stronę, gdy zajmował się swoimi instrumentami i termometrami. Pomimo niesprzyjających warunków Slomon wcale się nie spieszył, zdecydowany zrobić wszystko, żeby nie powtórzyło się fiasko z poprzedniej nocy.

Starannie obejrzał ciało i dopiero wtedy wygramolił się na brzeg.

- Denat przypuszczalnie nie żyje od czterech do sześciu godzin - zakomunikował, wycierając ręce w ręcznik wyjęty z samochodu. - W tych warunkach trudno o precyzyjne rozpoznanie, ale sekcja na pewno przyniesie dokładną odpowiedź.

Opuścił rękawy i zarzucił na ramiona płaszcz.

- Pewnie sekcja to potwierdzi, ale wydaje mi się, że już nie żył, kiedy wrzucano go do rowu. W każdym razie z takimi obrażeniami nie miał wielkich szans na przeżycie.

Biedny skunks na pewno nie chciałby żyć z tak zniekształconą twarzą, pomyślał Frost.

- Czy możemy go stamtąd wyciągnąć, doktorku?

- Nie widzę przeciwwskazań. Lekarz sądowy i tak niewiele mógłby zdziałać, kiedy ciało leży w wodzie.

Slomon wrócił do auta, obiecując, że w ciągu godziny dostarczy im pisemny raport.

Kryminalistyk wydawał się bardzo zajęty swoim aparatem, więc Frost z Websterem ściągnęli buty i skarpetki, podwinęli nogawki spodni i zsunęli się do rowu. Chlupocząca dookoła łudek woda wydawała się lodowato zimna, a stopy natychmiast ugrzęzły w miękkim, czarnym mule. Frost złapał za ramiona, Webster za stopy i we dwóch starali się dźwignąć ofiarę, jednak Shelby okazał się za ciężki i w dodatku uparty jak osioł. Za nic nie chciał oderwać się od dna. Obaj detektywi zacisnęli zęby i spróbowali jeszcze raz. Nagle zwłoki wyrwały się z mulistego uścisku i przedarły przez zieloną kołdrę wodorostów. Głowa nieboszczyka opadła i spod oddartych fragmentów skóry wylały się strumienie brudnej, zatechłej wody. Wszystkie czynności odbywały się przy oślepiających błyskach flesza, bo pstrykano zdjęcie za zdjęciem.

Davida Shelby'ego ułożono na trawiastym brzegu, spory kawałek od miejsca, gdzie go znaleziono, żeby ekipa kryminalistyczna mogła cał po calu przeszukać tamtą okolicę. Oficer z aparatem wyjął z bagażnika swojego auta plastikową płachtę, którą starannie okryli ciało.

Z daleka dobiegło zawodzenie syreny ambulansu, a potem nad górną krawędzią żywopłotu ujrzeli niebieskie migające światelko, które to pojawiała się, to znów znikalo, w miarę jak karetka torowała sobie drogę przez wyboistą i krętą dróżkę. Jednak zanim zdążyła dojechać na miejsce, mrok przeszył blask reflektorów dwóch innych pojazdów, rovera i forda. Wysiedli z nich Mullett, Allen i Ingram, i z uroczystymi minami zmierzali w stronę czekającego na nich inspektora Frosta.

Frost cofnął się o krok od nakrytego plastikiem ciała. Mullett pochylił się nad zwłokami, uniósł brzeg folii i zaraz odwrócił głowę. Twarz wykrzywił mu okropny grymas, jakby przed chwilą doświadczył nieludzkiego cierpienia.

- Boże, co za straszny widok... Taki młody, przystojny mężczyzna. Co za okropność!

Odsunął się na bok, żeby zrobić miejsce Allenowi, który przyklęknął z latarką w ręku i patrzył na poszarpaną twarz tak beznamiętnym wzrokiem, jakby oglądał w sklepie rzeźnika podejrzany kawałek mięsa. Wreszcie opuścił prześcieradło i podniósł się z klęczek.

Mullett nie zdołał zapanować nad własnymi emocjami.

- Ktokolwiek to zrobił, chcę go dostać! - zawołał ze wzburzeniem. - I nie obchodzi mnie, ilu dodatkowych ludzi trzeba będzie zaangażować. Chcę, żeby drań wpadł w nasze ręce.

Odwrócił się do Frosta.

- Wyznaczam pana Allena do prowadzenia tej sprawy. Pan przejmie od niego wszystkie pozostałe śledztwa.

- Rozumiem - odparł Frost, który wcale nie spodziewał się, że Mullett pozwoli mu prowadzić dochodzenie o tak wielkim znaczeniu.

Nagle Mullett odchrząknął i nerwowo zaczął przestępować z nogi na nogę. Wyraźnie zwracał się do Frosta, choć starał się na niego nie patrzeć.

- Ktoś będzie musiał powiedzieć żonie Shelby'ego - wykrztusił wreszcie.

Jego żonie! Młodej pani Shelby, która całkiem niedawno przestała być nastolatką, a teraz sama miała już dwoje dzieci, trzyletnie i osiemnastomiesięczne. Trzecie było w drodze.

- Uważam, że to pan powinien osobiście zawiadomić ją o tym nieszczęściu - oznajmił Frost.

Mullett bez słowa gapił się przed siebie i uderzał o otwartą dłoń skórzaną rękawiczką.

- Trzeba to zrobić bardzo delikatnie - powiedział w końcu. - Jeśli pani Shelby zobaczy, że sam komendant okręgu pofatygował się do ich domu... Z tego, co wiem, ona jest w ciąży... Przeżyje szok... Może będzie lepiej, jeśli pan...

Nie dokończył zdania, pozwalając, żeby Frost domyślił się reszty.

- Rozumiem, że to polecenie służbowe - rzekł Frost, zdecydowany nie zgłaszać się na ochotnika.

- Ee... No tak... - mruknął Mullett. Z całego serca pragnął, żeby inspektor nie zapędzał go w ten sposób w kozi róg. - Tak będzie najlepiej.

Dla ciebie, ty pieprzony kutasie, ale na pewno nie dla mnie, pomyślał gorzko Frost, ale na głos powiedział coś zupełnie innego.

- W porządku, szefie. Jeśli pan tak zdecydował... Mullett, uszczęśliwiony, że wykręcił się od nieprzyjemnego obowiązku, mówił dalej całkiem szczerze.

- Proszę powiedzieć pani Shelby, że jeśli jest coś - cokolwiek - co mógłbym zrobić dla niej w tym tragicznym momencie, to wystarczy, że o tym powie. Jej mąż był jednym z moich najlepszych ludzi.

Frost odwrócił się, żeby odejść, ale Mullett jeszcze nie skończył.

- I proszę powiedzieć, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby dorwać tego bydlaka, który go zabił.

- Tak, to z pewnością ją uszczęśliwi - mruknął z przekąsem Frost, wołając Webstera i otwierając drzwi cortiny.

Ze zmęczeniem opadł na fotel pasażera i wytrząsnął z paczki ostatniego papierosa.

- Tego właśnie najbardziej nienawidzę, synu. Wystarczająco często to robiłem, więc wiem.

Strumień dymu uderzył o przednią szybę i natychmiast rozszedł się na boki.

- Najpierw wracamy na posterunek, synu. Jest coś, czym muszę zająć się jak najszybciej.

Miał na myśli robione z ukrycia zdjęcia, które znalazł w szafce Shelby'ego. Nie chciał, żeby jakaś dobra dusza zapakowała je razem z pozostałymi rzeczami zmarłego tragicznie policjanta i przesłała do pogrążonej w żałobie wdowy.

*

Nastrój panujący na posterunku był mieszaniną szoku i zimnej wściekłości.

- Wiesz, Jack, to był cholernie dobry kumpel - powiedział Bill Wells. - Jeden z najlepszych.

Frost nic nie odpowiedział. Śmierć Shelby'ego wstrząsnęła nim tak samo jak pozostałymi, ale ani trochę nie zmieniła jego opinii na temat kolegi. Shelby wcale nie był cholernie dobrym kumplem. Był chytry, leniwy, rozpustny i zakłamanym.

W pośpiechu przemknął do szatni. Ani śladu żywej duszy. Znalazł wytrych, który tak dobrze posłużył mu poprzednim razem, i otworzył szafkę Shelby'ego. Aparat fotograficzny leżał na miejscu, ale fotografie zniknęły. Frost zaklął pod nosem i zablokował zamek, a potem dołączył do czekającego w samochodzie Webstera.

Pędzili głównymi ulicami. Jak na złość wszędzie zapalało się zielone światło, choć Frost z całego serca życzył sobie, żeby dotarli na miejsce jak najpóźniej, żeby maksymalnie odsunęli moment, kiedy żona Shelby'ego otworzy im drzwi.

Dwupiętrowy bliźniaczy dom Shelby'ego stał na samym rogu - światła na parterze, ukryte za jasnoczerwonymi zasłonami, mrugały zachęcająco. Webster wślizgnął się na wolne miejsce parkingowe po przeciwnej stronie ulicy i wyłączył silnik. Frost nie wykonał żadnego

gestu świadczącego o tym, że zamierza ruszyć się z fotela. Wygrzebał z kieszeni świeżą paczkę papierosów i powoli zaczął oddzierać celofan. Niespiesznie zapalił, a gdy skończył, zgasił niedopałek w wypełnionej po brzegi popielnicze.

- Niech to wszyscy diabli porwą! - wybuchnął. - Właśnie za takie rzeczy Mullett bierze swoją rozdętą do wszelkich granic przyzwoitości pensję! Żeby przyzwoicie załatwiać takie zawszone sprawy!

Potarł rękoma rozpaloną twarz. Teraz, kiedy wreszcie zrzucił z siebie ciężar, który go przygniatał, zdawał się na nowo odzyskiwać zwykły dobry nastrój.

- Chodź, chłopcze, czas to załatwić i mieć z głowy. Idź i poszukaj w sąsiedztwie jakiejś miłej kobiety, która mogłaby dotrzymać towarzystwa pani Shelby, a ja w tym czasie ją zawiadomię.

Przez pomalowaną czerwoną farbą furtkę i wąską ścieżkę dotarł do drzwi frontowych. Bez wahania nacisnął dzwonek. Z wnętrza dobiegł gwar podekscytowanych głosików, a potem na korytarzu zatupały lekkie, szybkie kroczki i drzwi powoli się uchyliły. Trzyletni chłopczyk w błękitnej piżamce, roztaczający dookoła woń mydła dla dzieci, spoglądał na niego ze zmarszczonym ze zdziwienia czołkiem.

- Myślałem, że to mój tatuś - powiedział.

- Czy zastałem mamusię? - zapytał Frost, przeklinając w myślach Mulletta, że okazał się takim cholernym tchórzem. To będzie trudniejsze, niż się spodziewał.

Młoda kobieta otworzyła drzwi na końcu korytarza. Spodziewała się chyba ujrzeć męża, bo na widok inspektora Frosta stanęła jak wryta, a cała krew odpłynęła jej z twarzy. Przez krótką chwilę musiała mocno przytrzymać się futryny, żeby nie upaść.

- Idź do drugiego pokoju, Tommy, i pobaw się przez chwilę sam - zwróciła się do synka, starając się z całych sił, żeby jej głos zabrzmiał normalnie. Dopiero gdy chłopczyk przecisnął się obok, wolnym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

- Witaj, skarbie - powiedział Frost, bo dopiero teraz uprzytomnił sobie, że nie dowiedział się na posterunku, jak dziewczyna ma na imię. - Jak myślisz, czy mogę wejść? Mam ci coś do powiedzenia.

Zaprowadziła go do kuchni, po drodze zaglądając do salonu, żeby upewnić się, że z dziećmi wszystko w porządku. Kuchnia okazała się małym, przytulnym i ciepłym pomieszczeniem. Frost z przyjemnością wciągnął w nozdrza apetyczny zapach czegoś, co niedawno się gotowało - potrawki z mięsa, którą godzinami można trzymać na małym ogniu bez obawy, że się zepsuje. Idealna sprawa, jeśli mąż miał zwyczaj wracać do domu o nieprzyzwoicie późnych porach. Na niedużym stoliku, zasłanym czystym, białym obrusem,

stały dwa nakrycia. Pani domu zaprosiła gościa, żeby usiadł, a potem odwróciła się do schowka przy piekarniku, gdzie w cieple przechowywała gotową potrawkę, żeby zamieszać w rondelku. Frost nie usiadł.

- Czy on jest ranny? - zapytała znienacka, bardzo zajęta mieszaniem czegoś, co wcale nie potrzebowało mieszania.

- On nie żyje, skarbie - powiedział prosto z mostu. Mieszała dalej, a w ciszy rozległo się jedynie miarowe postukiwanie łyżki o bok garnka.

- Wiedziałam, że stało się coś złego, gdy tylko zadzwoniłam na posterunek - wyszeptała w końcu. - Usiłowali mi wmówić, że Dave musiał zostać po godzinach, ale ja i tak wiedziałam swoje.

- Wolałbym, żeby zaczęła pani płakać. Żeby wylała pani z siebie cały ten cholerny ból.

I nagle jej twarz skurczyła się, a ciałem wstrząsnęło niekontrolowane łkanie.

Frost wyciągnął ramiona i mocno przycisnął ją do siebie.

- Tak jest, skarbie. Po prostu płacz.

Czuł, jak jej gorące łzy spływają mu po twarzy i kapią na kołnierz koszuli. Trzymał ją mocno w objęciach, nie mówiąc ani słowa, choć dzielił z nią jej ból. A potem szlochanie ucichło.

- Jak to się stało? - wyszeptała.

- Dave został zastrzelony. Starał się zatrzymać bandytę uzbrojonego w strzelbę.

Odsunęła się od niego i otarła łzy brzegiem fartucha, a potem wyłączyła prąd pod piekarnikiem i ciężko osunęła się na krzesło. Frost wyciągnął spod stołu drugie i usiadł obok niej, wciąż czując na skórze wilgotne i kłujące ślady po jej łzach.

- Czy dobrze się pan czuje? - zapytała. - Ja? - zdziwił się. - Znakomicie.

Ale jego ręce przez cały czas drżały jak w febrze.

- Wie pan, on był cudownym mężem. Naprawdę cudownym. Uwielbiał mnie i dzieciaki. Byliśmy dla niego wszystkim. Nigdy w życiu nie spojrzął nawet na inną kobietę, choć one wciąż nie dawały mu spokoju. Wszystkim się podobał, bo, rozumie pan, był taki przystojny... Ale należał tylko do mnie. Bardzo się kochaliśmy.

- Rozumiem - odpowiedział. Z holu dobiegło brzęczenie telefonu. - Ja odbiorę.

Głos po drugiej stronie wydawał się suchy i rzeczowy.

- Tu „Echo”. Czy mógłbym rozmawiać z panią Shelby?

- Odpierdol się - warknął Frost.

Po chwili telefon znów zabrzączał, więc Frost wyrwał przewód z gniazdka. Na pewno pismaki nie dadzą jej spokoju. Każdy będzie chciał wiedzieć, jak to jest być wdową po policjancie, któremu ktoś odstrzelił połowę twarzy. Zapisał sobie w pamięci, żeby zlecić przekazywanie jej rozmów i poprosić na posterunku o postawienie strażnika przed domem. Ten pieprzony Mullett przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić.

- Trzeba będzie powiedzieć o tym ludziom - oznajmiła, kiedy wrócił do kuchni. - Jego rodzicom... To złamie im serca.

Frost przytaknął na znak, że rozumie. Pani Shelby starała się mówić spokojnie, ale widział, że znajduje się na granicy hysterii. Do diabła, gdzie się podziewa Webster z jakąś sąsiadką?

Z sąsiedniego pokoju dobiegł okrzyk podekscytowania, a potem seria chichotów.

- Czy dzieci dobrze to zniosą? - zaniepokoił się. Skinęła głową.

- Zaraz położę je do łóżka. Zabrzączał dzwonek przy drzwiach. No nareszcie, pomyślał.

- To mój kolega z pani sąsiadką - wyjaśnił. - Pomyśleliśmy, że być może będzie pani potrzebowała towarzystwa. Zawsze może ją pani odesłać, jeśli nie jest potrzebna - dodał szybko, widząc w jej oczach niemy protest.

- Dziękuję, że pan przyszedł. Dobrze, że właśnie pan. Objął ją raz jeszcze, a potem wrócił do wejścia. Płaszcz i palta wisiały na wieszaku pod schodami, a na ostatnim drążku wisiał służbowy płaszcz Davida Shelby'ego. Frost spojrział przez ramię, żeby upewnić się, czy kuchenne drzwi są zamknięte, a potem szybko przeszukał kieszenie płaszcza. Westchnął z ulgą, gdy pod palcami wyczuł kopertę ze zdjęciami. Z pośpiechem wsunął ją do własnej kieszeni, a następnie otworzył drzwi, żeby wpuścić do środka Webstera i tłustawą kobietę o macierzyńskim wyglądem, która mieszkała w sąsiednim domku.

- Ona jest w kuchni - wyszeptał konspiracyjnie i przepuścił nieznajomą.

- Jak to przyjęła? - zainteresował się Webster, kiedy z powrotem znaleźli się w samochodzie.

- Fatalnie. Zdaje się, że Shelby był najwspanialszym mężem na świecie... Nigdy nawet nie spojrzął na inną kobietę.

Informację o znalezionych w szafce Shelby'ego fotografiach postanowił zatrzymać dla siebie. Webster przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Wracamy na posterunek?

- Nie sądzę, żebym mógł to wytrzymać, synu... - Frost pokręcił głową. - Tam wszyscy są w wisielczych humorach. Ponieważ Mullett zwał na nas wszystkie sprawy prowadzone

dotąd przez Allena, więc najlepiej będzie, jak wpadniemy do szpitala pogawędzić trochę z tą biedną kurwą, której zeszłej nocy nie udało się zostać zgwałconą.

*

Tym razem Webster nie potrzebował wskazówek, któredy jechać. Prawdę mówiąc, prowadził jak automat i nagle z przerażeniem zorientował się, że głowa opada mu na kierownicę. Ostatkiem sił szarpnął ją do tyłu, żeby nie zasnąć, a potem opuścił szybę, bo wpadające do środka zimne powietrze trochę go orzeźwiło.

Wewnątrz szpitala czekała ich wędrownka przez te same długie, opustoszałe korytarze i ten sam zatęchły zapach gotowanego jedzenia zmieszany z wonią środków dezynfekcyjnych. Po drodze minęli młodziutką pielęgniarkę z pasmem jasnych włosów uparcie opadającym na czoło, która biegła załatwić jakąś sprawę. Była to ta sama dziewczyna, z którą zeszłej nocy flirtował Dave Shelby. Teraz na zawsze straciła szansę znalezienia się w jego kolekcji intymnych zdjęć.

Paula Grey leżała na oddziale Sinclair. Frost nie musiał nawet pytać o drogę. Jego żona także przebywała na tym oddziale. Jego żona! Na samo wspomnienie obudziły się w nim wyrzuty sumienia, że nie potrafił szczerze opłakiwać jej śmierci. Każdy powinien mieć kogoś bliskiego, kogo po swoim odejściu pozostawiłby w żałobie. Nawet Ben Cornish.

Siostra z nocnego dyżuru spodziewała się ich przyjścia i od razu wskazała łóżko przy oknie. Paula Grey siedziała wyprostowana, podparta na dwóch wykrochmalonych na sztywno poduszkach, które trzeszczały przy każdym poruszeniu. Okolice jej oczu były mocno spuchnięte i sinoczerwone. Poza tym cała twarz była obandażowana, z wyjątkiem szczeliny pozostawionej w okolicy ust. Z tej szczeliny sterczał zapalony papieros. Paula chciwie wciągała w płuca dym. Szafka nocna przy łóżku załadowana była misą z owocami i wazonem brązowych chryzantem, które podpierała kartka z dedykacją: *Wracaj szybko do zdrowia, Paula - pozdrowienia od dziewczyn z „The Coconut Grove”*. Na widok zbliżających się obcych mężczyzn podbite oczy zmrużyły się podejrzliwie.

- Czy to prezent od pana Baskina? - spytał Frost, kiwnąwszy głową w stronę miski z owocami. Przyciągnął krzesło do łóżka i usiadł na nim.

Papieros zakołysał się gwałtownie.

- Baskin? Ten zawszony kutas? Nigdy w życiu nie zrobił nikomu najmniejszego prezentu. Kim jesteś, do diabła?

- Nazywam się Frost. Detektyw inspektor Frost, a ten Święty Mikołaj obok mnie to posterunkowy Webster... Chyba nie dasz rady ze złamaną szczęką zjeść tylu owoców, prawda?

Machnęła ręką w stronę szafki.

- Poczestujcie się, jeśli macie ochotę.

Webster nie miał ochoty, za to Frost wybrał dorodnego banana i powoli obierał go ze skórki.

- Chcielibyśmy ci zadać kilka pytań na temat wydarzeń zeszłej nocy.

- Wszystko, co miałam do powiedzenia, już powiedziałam Ważnemu Sztyniakowi.

- Ale Ważny Sztyniak został wykluczony z tej sprawy. Teraz ja ją prowadzę - wyjaśnił Frost. - Opowiedz mi, co się wydarzyło.

- Nie ma co opowiadać. Szłam przez las, kiedy na mnie skoczył. Ale powiem ci jedno: niech ten sukinsyn więcej nie próbuje, bo następnym razem będę lepiej przygotowana do spotkania.

Sięgnęła do szafeczki i po chwili w jej ręku błysnął nóż sprężynowy.

- Posiekam tego skurwysyna na kawałki! Wykastuję gnoja!

Mówiła to tak gwałtownie i z takim zaangażowaniem, że Frost uwierzył jej bez zastrzeżeń.

- Widziałaś go? Jak sądzisz, czy udałoby ci się go rozpoznać? Byłoby szkoda, gdybyś obcięła kutasa niewłaściwemu mężczyźnie.

- W tym cały problem. Nie udało mi się zobaczyć skurwiela. Napadł na mnie z tyłu.

- Ale przecież musisz coś pamiętać - upierał się inspektor. - Czy był młody i dobrze zbudowany tak jak ja, czy stary i niedołężny jak obecny tu Bernard Shaw?

Cholera, mam dość tych żartów na temat mojej brody, zapienił się Webster. Nawet nie starał się uśmiechnąć na znak, że bawią go dowcipy inspektora. Podbite oczy zwróciły się ku niemu i ze szczeliny między bandażami wymknęła się długa smuga dymu.

- Jest całkiem miły, mam rację? - odezwała się Paula.

- Owszem, jeśli lubisz owłosionych - odparł Frost i ukrył skórkę po bananie za wazonem z kwiatkami. - Paula, skarbie, musisz nam pomóc. Jesteś szóstą ofiarą, a my wciąż nie mamy przyzwoitego rysopisu tego osobnika. Wiemy jedynie, że jest jednonogim Chińczykiem. Zastanów się, kochanie. Może jednak coś ci się przypomni?

Pogrążyła się w myślach i przez moment siedziała w bezruchu, ale w końcu pokręciła głową.

- Przykro mi.

- W takim razie opowiedz nam, jak to się stało, ale ze wszystkimi szczegółami. Być może coś ci wpadnie do głowy.

- Byłam już spóźniona na swój numer w klubie. Wyciągałam nogi ile się da, ale i tak wiedziałam, że nie zdążę, więc pobiegłam skrótem przez las. Nagle jakaś ciemna szmata spadła mi na głowę.

- Szmata?

- To było coś plastikowego. Przestałam cokolwiek widzieć. Nie mogłam oddychać. Próbowałam krzyczeć, ale wtedy zacisnął mi palce na szyi i zaczął dusić. Sięgnęłam do jego twarzy, żeby wydrapać mu te cholerne ślepia, ale ścisnął mnie mocniej i kompletnie straciłam oddech. Wtedy zemdlalam.

- Powiedziałaś, że udało ci się dotknąć jego twarzy, tak?

- spytał Frost podekscytowanym tonem. - Czy miał zarost jak mój kolega, czy gładką, świeżo ogoloną skórę jak na przykład ja?

- Miał na twarzy maskę... Coś plastikowego. Wszystko, czego udało mi się dotknąć, było z plastiku. Miał nawet plastikowe rękawiczki... - Z powrotem opadła na poduszki.

- Nie chcą mi przynieść lusterka. Powiedzcie, jak ja wyglądam? Bardzo źle?

- Jak dupa pawiana - walnął Frost prosto z mostu. - Ale nie martw się, na pewno uroda wróci do normy. Czy zauważyłaś jakieś drobne wady cielesne, dzięki którym łatwiej byłoby nam go zidentyfikować? Na przykład drewnianą nogę albo kutasa z plastiku, albo jakieś mechaniczne akcesoria?

Papieros był tak krótki, że istniało niebezpieczeństwo, że od niedopałka zajmą się bandażem, więc Paula wyjęła go z ust i wcisnęła do wazonu z kwiatkami. Bratnia dusza, pomyślał z uciechą inspektor. Od razu poczuł do niej sympatię. Przez pewien czas nad czymś się zastanawiała.

- Spodnie - oznajmiła po dłuższej chwili. - Było w nich coś dziwnego.

- Co takiego? - spytał szybko Frost.

- Być może się mylę, bo już wtedy mdlałam. Wyciągnęłam rękę... No wie pan, żeby go złapać za jaja. Odniosłam wrażenie, że jego spodnie były z czegoś w rodzaju ręcznika.

Frost wyprostował się, pełen radosnego podekscytowania. Nareszcie coś nowego.

- Coś w rodzaju spodni do joggingu? Czy może część stroju do uprawiania biegów?

- Być może.

- Coś jeszcze?

- Przepraszam - odrzekła ze znużeniem. - Nie mogę już w niczym pomóc. Czy ma pan przypadkiem przy sobie fajki i może mnie poczęstować?

Frost znalazł jej usta pod warstwą bandażu, wsadził w nie papierosa i zaraz go zapalił.

- Czy wiesz, że on wcale cię nie zgwałcił?

- Wiem. To także cholerna obraza, ot co!

Zaciągnęła się głęboko i zaraz złapał ją atak kaszlu. Głowa Pauli podskakiwała jak piłka, rytmicznie uderzając o poduszki.

- Bardzo żałuję, ale nie potrafię powiedzieć wam nic więcej.

- I tak bardzo nam pomogłeś - pocieszył ją Frost i wstał z krzesła. - Zostawiam wizytówkę, na wypadek gdyby cokolwiek ci się przypomniało.

Położył lepiący się od brudu kartonik obok wizytówki dziewcząt z „The Coconut Grove”.

- Poza tym zostawię ci parę fajek.

Wcisnął jej do ręki nienapoczętą paczkę. Pomachał na pożegnanie i był już w połowie drogi do drzwi, kiedy nagle przypomniało mu się, że miał ją o coś zapytać. Powiedział Websterowi, żeby zaczekał na niego, a sam spokojnym krokiem wrócił do łóżka.

- Szybko! - zawołała, unosząc pościel. - Wskakuj, zanim przyjdzie siostra oddziałowa.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Gdybym tylko miał czas, kochanie, już bym tam kopał jak fretka, która dorwała się do króliczej nory. Jeszcze parę krótkich pytań. Mieszkasz w tym samym domu co Julie King, zgadza się?

- Owszem. Dlaczego pan pyta?

- Może wiesz przypadkiem, czy zeszłej nocy była u siebie?

- Była. Przyjechał ten jej szykowny elegancik, synalek jakiejś zarozumiałej szczyhy z parlamentu. Akurat wyjrzałam przez okno i widziałam, jak parkował.

- O której godzinie wyszłaś, żeby dotrzeć do „The Coconut Grove”?

Z zamyśleniem popukała się w podbródek.

- Mniej więcej za dziesięć jedenasta.

- Czy Roger Miller wciąż był w mieszkaniu twojej sąsiadki?

- Z tego, co wiem, to tak.

- Och... - Frost wyglądał na wyraźnie rozczarowanego.

- Owszem, Julie wychodziła, ale Roger nie.

Frost poczuł, jak jego serce zatrzymało się na moment, a później zaczęło szybciej bić. Jeśli Julie naprawdę opuściła mieszkanie, nie mogła zapewnić alibi swojemu kochankowi.

- Skąd wiesz, że wychodziła?

- Bo ją widziałam, rozumie pan? Biegłam ulicą, zdenerwowana jak cholera, że znowu się spóźnię i co ten skunks Baskin na to powie, kiedy z rykiem silnika minął mnie jaguar, za którego kierownicą siedziała Julie.

- Jaguar Rogera?

- Tak.

- Czy Roger był z nią?

- Nie, w samochodzie była tylko Julie. Krzyknęłam, żeby się zatrzymała i mnie podwiozła, ale nie słyszała, jak wołam. Gdyby usłyszała, nie byłabym dzisiaj na tym zawieszonym oddziale.

- Więc widziałaś, jak wczoraj wieczorem, mniej więcej za dziesięć jedenasta, Julie King odjeżdża jaguarem Rogera Millera? - powtórzył Frost, pełen obaw, czy nie zaszło tu jakieś nieporozumienie.

Skinęła głową na znak potwierdzenia.

- Ile razy mam to powtarzać, do jasnej cholery? Frost dosłownie promieniał.

- Paula, kochanie ty moje! Ile razy poczujesz ochotę, żeby ktoś cię zgwałcił, wszystko jedno, o jakiej porze dnia czy nocy, dzwoń do mnie, a ja natychmiast się stawię się do twojej dyspozycji.

Tupiąc jak słoń, przemknął przez cały oddział i chwytając za ramię Webstera, zmusił go do przyspieszenia kroku. Po drodze wtajemniczył go w nowy obrót sprawy. Kiedy tylko znaleźli się w samochodzie, połączył się przez radio z dyspozytornią, żądając, żeby jak najszybciej ściągnięto na przesłuchanie Julie King.

ŚRODA, NOCNA ZMIANA

Gdy tylko weszli na posterunek, Frost poczuł zapach jej perfum, wywołujący przyjemny dreszczyk gdzieś w okolicach łędźwi. Natychmiast wywietrzały mu z głowy wszystkie nieszczęścia poprzednich paru godzin.

- Posadziłem ją w pokoju przesłuchań! - zawołał Bill Wells, który właśnie rysował linię pod ostatnim wpisem w Dzienniku Wypadków. - Jordan i Simms przywieźli ją dosłownie przed chwilą.

Webster został odesłany z poleceniem uwolnienia dwóch mundurowych od uciążliwego obowiązku pilnowania panny Julie, podczas gdy Frost, powłócząc nogami, podszedł do sierżanta.

- Ładna laseczka z tej panny King - skomentował Wells.

- Owszem - przytaknął Frost. - Pod warunkiem że nie masz nic przeciw temu, żeby cię rozjechała. Są jakieś postępy w śledztwie w sprawie morderstwa Shelbyego?

Wells ze smutkiem pokręcił głową.

- To naprawdę paskudna sprawa, Jack. Taki cholernie dobry policjant.

- Taaak... - mruknął Frost beznamyślnie. - Szkoda, że nie był tak cholernie dobry za życia... Więc Allen niczego jeszcze nie znalazł?

- Postawił w stan gotowości wszystkie jednostki i nakazał pościg za Stanem Eustace'em. Na pewno go złapiemy.

- Zakładając, że to właśnie on popełnił ten straszny czyn.

- Frost miał wyraźne wątpliwości.

Wells popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Pan Allen jest o tym przekonany.

- Ach, w takim razie sprawa jest przesądzona, prawda? Przynajmniej nie musimy zwracać sobie głowy procesem - parsknął Frost.

Wtedy Wells nieoczekiwanie zmienił temat.

- Ludzie pytają, co z ich nadgodzinami.

- Powiedz im, że to dla mnie absolutny priorytet. - Frost okręcił szalik dookoła szyi i skierował się w stronę pokoju przesłuchań, gdzie czekała śliczna Julie King. I prawie mu się udało tam dotrzeć.

- Panie Frost!

To był Mullett. Na jego twarzy malował się wyraz przygnębienia.

Co znowu, pomyślał w popłochu inspektor. Postanowił rzucić na pierwszy ogień najbardziej obiecującą nowinę.

- Dowiedzieliśmy się, panie komendancie, że to nie Roger Miller prowadził samochód, kiedy doszło do tamtego wypadku. Za kierownicą siedziała jego przyjaciółka. Właśnie wezwaliśmy ją na przesłuchanie.

Mullett wykrzywił się w uśmiechu.

- To doskonała wiadomość, inspektorze. Sir Charles będzie zachwycony.

Nagle uśmiech zgasł.

- Widział się pan z panią Shelby?

- Tak jest, panie komendancie. Zaniósłem jej tę smutną wieść.

- I jak to przyjęła?

- Była zupełnie załamana. Postarałem się o strażnika, który stoi przed jej domem, żeby trzymać z daleka telewizję i żądnych sensacji pismaków.

Mullett zacisnął usta.

- Oczywiście, inspektorze, miał pan całkowitą rację... - Opuścił głowę i przez chwilę oglądał czubki własnych butów. - Bardzo nam go brakuje, panie Frost. To był cholernie dobry policjant.

- Wszyscy to powtarzają, panie komendancie - odparł Frost, myśląc jednocześnie o kolorowych fotografiach, których większość została zrobiona w czasie, gdy Shelby teoretycznie pełnił służbę. Odwrócił się, żeby odejść, ale nie był wystarczająco szybki. Mullett chował w zanadru jeszcze jedną bombę.

- Czy statystyki przestępstw zostały odesłane?

- Tak jest, panie komendancie - skłamał Frost i natychmiast pożałował kłamstwa. Z powodu Rogera Millera Mullett był w tak dobrym nastroju, że z pewnością wybaczyłby mu gorzką prawdę.

*

W pokoju przesłuchań Julie King przysiadła na brzegu twardego krzesła, zarzucając na oparcie płaszcz ze sztucznego futerka udającego skórę lamparta. Dziś miała na sobie pomarańczowe legginsy, żółty sweterek i biały berecik. W jej duszy tliła się nienawiść, w rękę trzymała papierosa, a pomalowane na pomarańczowo paznokcie gotowe były drapać z lada powodu. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby jej wytłumaczyć, dlaczego tu się znalazła. Nie pozwolili jej zadzwonić do Rogera, nie powiedzieli, o co właściwie chodzi, a ten brodaty cudak nawet się nie pofatygował, żeby zamienić z nią dwa słowa. Niewiele brakowało, żeby wybuchnął gniewem, kiedy wszedł ten obleśny facet ze szramą na policzku, tak samo niechlujny jak zawsze. Za sobą ciągnął po podłodze długi brudny szalik.

- Dlaczego tutaj jestem? - zawołała z irytacją. - Nikt nie raczył mi wyjaśnić, o co chodzi. Co to ma być, jakieś cholerne gestapo?!

- Tylko kilka pytań, Fraulein - odparł Frost. Usadowił się przy stole i ułożył na blacie papierosy i zapalki.

Wymownie zerknęła na swój maleńki, wysadzany brylancikami zegareczek.

- Za trzydzieści pięć minut muszę być w klubie. Jednym pstryknięciem kciuka Frost zapalił zapalkę i przytknął do niej papierosa.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe, panno King. Wyszło na jaw, że uraczyła nas pani stekiem kłamstw.

Pogrzebała w torebce w poszukiwaniu pilnika i gwałtownie opiłowała długi, pomarańczowy paznokciec.

- Wszystko w moim oświadczeniu było zgodne z prawdą. Roger był ze mną przez cały czas.

Odpowiedziało jej przesadne westchnienie.

- Lepiej niech jej pan powie, posterunkowy Webster. Nie lubię przekazywać złych nowin dziewczynom, które mają taki śliczny pieprzyk na tyłeczku.

Webster przyciągnął sobie krzesło i usiadł obok niej.

- To pani prowadziła jaguara, panno King, a nie Roger Miller.

Z zainteresowaniem oglądała paznokcie. Widocznie doszła do wniosku, że pewne drobne poprawki są niezbędne, bo ostrożnie zaczęła je opilać.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Widziano, jak prowadziła pani jaguara.

- Naprawdę?

Zdmuchnęła z palców odrobinę pomarańczowego pyłu.

- Tak - potwierdził Webster.

Obrzuciła go słodkim, pełnym politowania uśmiechem.

- Chyba musi mnie pan uważać za skończoną idiotkę. Nikt nie mógł widzieć, jak wsiadałam do tego samochodu z tej prostej przyczyny, że wcale w nim nie byłam.

Wrzuciła pilnik do torebki i zatrzasnęła zameczek.

- Nie muszę tu siedzieć ani minuty dłużej, a wy nie macie prawa mnie zatrzymywać. -

Wstała z krzesła. - Proszę mnie nie odprowadzać. Sama znajdę drogę.

Frost wysunął nogę, zagradzając przejście.

- Nie mamy czasu na głupoty, panienko. W tym samochodzie widziała panią pani sąsiadka, Paula Grey. Krzyczała, żeby pani się zatrzymała i ją podwiozła, ale pani nie mogła jej usłyszeć, bo z rykiem silnika pędziła pani ulicą. Wcale nie blefuję. Paula Grey złożyła pisemne zeznanie.

Na dowód machnął jej przed nosem kartką papieru. Co prawda było to napisane na maszynie wezwanie z hrabstwa dotyczące zaległych statystyk, ale wyglądało dość imponująco.

Powoli osunęła się na krzesło i widać było, że ma kompletny zamęt w głowie.

- Racja - wykrztusiła wreszcie. - Teraz sobie przypominam. Pojechałam po papierosy. Kupiłam i od razu wróciłam do domu.

Frost zaczął wykonywać swoją zwykłą sztuczkę z krzesłem: rozbijał je, a potem utrzymywał równowagę, balansując na dwóch tylnych nogach. Uśmiechnął się po ojcowsku i spojrzał życzliwie na dziewczynę.

- Wiedziałem, że będzie pani mogła przedstawić nam absolutnie logiczne wytłumaczenie. Dokąd pani pojechała?

- Do pubu - odparła po chwili zastanowienia. - Do „Black Swan”.

- To mniej więcej dwudziestominutowa przejażdżka. Dziesięć minut w jedną stronę, dziesięć z powrotem... Plus czas, jaki potrzebny był na obsłużenie pani.

- Więc? - spytała ostrożnie.

- Tak właśnie myślałem, że to będzie coś cholernie oczywistego - oznajmił Frost. - W ciągu tych dwudziestu minut wydarzył się wypadek, w którym poszkodowany został starszy człowiek. To właśnie pani przejechała Hickmana. To pani go zabiła.

Zadrżała i potarła ręce, a potem naciągnęła na ramiona sztuczne futerko.

- Strasznie tu zimno.

- W kostnicy jest jeszcze zimniej - odparł Frost, wypuszczając dym przez nos. - Czemu przedłużać tę agonię, skarbie? Nie ma sposobu, żebyś zdołała się z tego wykręcić. Zrzuć ze swoich ślicznych piersi ten ciężar i powiedz nam prawdę.

Usadowił się wygodnie na krześle, podczas gdy Webster zaczął zapisywać w notatniku szczegóły zeznania.

- Nigdy wcześniej nie prowadziłam jaguara... Poprosiłam Rogera, żeby pozwolił mi na małą przejażdżkę wzdłuż Bath Road. Zgodził się i dał mi kluczyki. Wyjechałam jakieś dziesięć minut przed jedenastą. Roger został w mieszkaniu. Być może jechałam zbyt szybko wokół tego osiedla staruszków, ale na pewno nie przekroczyłam dozwolonej prędkości. Było ciemno i kiedy skręciłam, poczułam uderzenie. Nic nie widziałam i nie miałam pojęcia, że kogoś potrąciłam.

Kiedy wróciłam do domu, Roger zaczął jęczeć, ponieważ okazało się, że jeden z reflektorów jest stłuczony. Wtedy zauważyliśmy krew na zderzaku. Przeraziłam się. To Roger wpadł na pomysł, żeby zgłosić kradzież auta, więc ukryliśmy jaguara w bocznej uliczce i wróciliśmy do mieszkania, skąd Roger zadzwonił na policję. Nie zauważyłam, że przejechałam człowieka, bo przecież bym się zatrzymała. Nie byłam pijana. Nic nie piłam przez cały wieczór.

Skończyła i spojrzała na Frosta, żeby zobaczyć jego reakcję. Miał nieprzeniknioną minę.

- Czy to wszystko? - zapytał tylko. Skinęła głową.

- W porządku. Teraz napiszemy to na maszynie, a potem podpiszesz. Niestety, obawiam się, że trochę będziesz musiała posiedzieć w celi.

Widząc jej konsternację, dodał szybko:

- Niedługo, tylko do czasu, gdy ustalimy kaucję.

Gdy dziewczyna została zabrana, przeciągnął się i ziewnął.

- No dobrze, synu. Teraz jedź i przywieź tu Mistrza Rogera. Zobaczymy, czy potwierdzi jej historyjkę.

Z początku Roger Miller próbował się stawiać - żądał natychmiastowego uwolnienia i straszył procesami, po których Frost i Webster zostaną bez pracy, bez grosza i bez perspektyw, ale kiedy powiedziano mu, że Julie King złożyła oświadczenie, w którym przyznała, że podczas wypadku była w samochodzie sama, natychmiast się uspokoił i bez dalszego ponaglania potwierdził w najdrobniejszych szczegółach przedstawioną przez nią wersję wydarzeń.

Webster pożyczył od Colliera wysłużoną maszynę Underwooda, ustawił ją na biurku i mozolnie zaczął wystukiwać zeznanie Millera. Frost właśnie znalazł paczuszkę solonych orzeszków, która gdzieś zapodziała się po wczorajszej uczcie, więc zgarbił się na krześle, położył nogi na blacie biurka i zaczął podrzucać po jednym orzeszku, starając się je złapać ustami.

Nagle drzwi się otworzyły i do środka wpadł Mullett. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zapukać, pomyślał ze złością Frost. Zdjął nogi z biurka, po drodze zahaczając butem o stos dokumentów, które z hukiem runęły na podłogę. Papiery rozsypały się po całym biurze, ale komendant nawet nie zmarszczył brwi, bo był dziś w niezwykle uprzejmym nastroju.

- Doskonała robota, Frost. Właśnie przed chwilą skończyłem rozmawiać z sir Charlesem. Był absolutnie uszczęśliwiony, kiedy dowiedział się, że zdołał pan oczyścić z zarzutów jego syna. Prawdę mówiąc, ma zamiar niedługo do mnie przyjechać. Czy zeznania są już gotowe?

- Już prawie skończyłem - powiedział Webster, wycierając gumką błąd i zdmuchując z papieru jej resztki.

- Znakomicie. - Mullett uśmiechnął się od ucha do ucha. - W takim razie pozwoli pan, że je zabiorę.

Ostrzegawcze światełko w głowie Frosta zapaliło się i zaraz zgasło. O co tym razem chodziło temu cwaniakowi?

- Chce pan je zabrać, szefie?

- Tylko żeby pokazać sir Charlesowi. Powiedział, że przywiezie ze sobą prawnika.

Stał Websterowi nad głową, zupełnie wybijając go z rytmu, przez co jego palce wciąż trafiały w niewłaściwe klawisze. Wreszcie ostatnia strona została ukończona. Mullett dosłownie wyrwał ją z maszyny, zgarnął resztę zeznań i jak wicher pomknął z nimi do swojego gabinetu. Godzinę później wezwał do siebie Frosta - godzinę, którą inspektor strawił na mocowaniu się ze statystykami przestępstw, które rzekomo odesłał już wczoraj. Webster, jeszcze bardziej naburmuszony niż zwykle, bezskutecznie starał się odnaleźć jakiś sens w bałaganie danych dyktowanych przez inspektora, aż w końcu doszedł do wniosku, że ma na

dziś więcej niż dość. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Frostem, rzucił pióro i wcisnął stos papierów z powrotem do szafy.

Był wykończony. Minęła już pierwsza w nocy, a ostatecznie istniały pewne ograniczenia w liczbie godzin, które człowiek może wytrzymać bez snu. Jeśli chodziłoby o coś naprawdę ważnego, a nie o te pieprzone statystyki przestępstw, mógłby zacisnąć zęby i robić swoje. Wszystkie opóźnienia spowodowane były wyłącznie przez niekompetencję Frosta i jeśli inspektor chciał, żeby te statystyki zostały ukończone na czas, to równie dobrze mógł sam się tym zająć, do jasnej cholery.

Chwycił płaszcz wiszący na wieszaku i pospiesznie zarzucił go na ramiona. Przez brudne okna noc sprawiała wrażenie potwornie zimnej, wietrznej i nieprzyjemnej. Webster podniósł kołnierz i postanowił jednak zaczekać na powrót inspektora. Zdecydowanie nadszedł czas, żeby wyrazić sprzeciw.

*

Frost zapukał do drzwi gabinetu Mulletta i gdy tylko usłyszał zaproszenie, wszedł do środka. Zaraz za progiem dopadł go atak kaszlu, a oczy zaczęły nieprzyjemnie szczypać. W pokoju było siwo od dymu, a w powietrzu unosił się smród cygar i duszna woń wody kolońskiej - spuścizna po sir Charlesie, który dopiero co stąd wyszedł.

- Proszę wejść. - Komendant rozpromienił się, całkowicie pochłonięty walką z cygarem, wielkością przypominającym cygara Churchilla. Frost, szurając, zbliżył się do biurka, zapalił papierosa i skrzywił się, bo doleciał do niego zapach, który Mullett roztaczał wokół siebie.

- Śmierdzi tu u pana, szefie, jak w jakimś zawszonym sklepiku na Limehouse.

- To bardzo droga woda po goleniu - urażonym tonem zauważył Mullett. Starał się wypuszczać jak najmniejsze kółeczka dymu i co chwila zanosił się kaszlem, od którego łzy mu napływały do oczu.

- Byłby pan zaskoczony, słysząc, jakie rejonu ciała goli się w dzisiejszych czasach - zaczął Frost, ale Mullett nie pozwolił mu rozwinąć tematu.

- Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli od razu przedstawię panu, jak wyglądają nasze sprawy. Po pierwsze, niech mi będzie wolno przekazać najszczerze gratulacje od sir Charlesa. Był zachwycony, że udało się nam kompletnie oczyścić z zarzutów jego syna.

- No, niezupełnie - skorygował inspektor. - Wciąż możemy go oskarżyć o ukrywanie prawdy przed organami wymiaru sprawiedliwości, o składanie fałszywych zeznań, o niezgodne ze stanem faktycznym poinformowanie policji o kradzieży samochodu... I to tylko na początek.

Mullett zdjął okulary i zaczął je czyścić - wolno i dokładnie, a ta czynność pochłaniała go do tego stopnia, że nie miał czasu spojrzeć na Frosta.

- Zastanawiam się, czy to konieczne, żeby we wszystko mieszać syna sir Charlesa - wydusił wreszcie. - Oczywiście, to zależy wyłącznie od pana.

- Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli - odparł inspektor, strząsając popiół z papierosa na resztki dwóch grubaśnych cygar, które już spoczywały w sporych rozmiarów popielnicze.

- Dziewczyna przyznała się do wszystkiego. Roger tylko usiłował jej pomóc. Czy powinien zostać za to ukarany?

- Owszem - odparł Frost.

Mullett westchnął ciężko, wypuszczając potężny obłok dymu. Inspektor okazał się niedomyślny jak wszyscy diabli. Postarał się uśmiechnąć i postanowił jeszcze raz delikatnie zasugerować, o co chodzi.

- Nie śmiem wtrącać się w pański sposób prowadzenia śledztwa, inspektorze, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że gdyby udało się zatuszować fakt, iż Roger Miller skłamał w sprawie kradzieży swojego samochodu, to wszystkim by to wyszło na dobre. To tylko niepotrzebnie skomplikuje całą sprawę.

- Tak? - mruknął Frost.

- Tak. - Mullett z coraz większą śmiałością zapuszczał się na głęboką i niebezpieczną wodę. - Jeśli usuniemy ten element, to będziemy mogli wyłączyć osobę Rogera z jakiegokolwiek związku z tamtym wypadkiem. Można przecież powiedzieć, że dziewczyna prowadziła samochód i spowodowała wypadek, ale nie opowiedziała Rogerowi o tym, co się stało, bo nie chciała go do tego mieszać. To zupełnie wyeliminuje go ze śledztwa i nie będzie można wysunąć żadnych oskarżeń pod jego adresem.

Klasnął w dłonie i uśmiechnął się do Frosta, pewien, że inspektor musiał zrozumieć sens tej kombinacji.

Frost spokojnie położył niedopałek obok zwłok dwóch cygar.

- To bardzo ładna bajeczka, szefie, ale nie ma nic wspólnego z prawdą. Poza tym nie zgadza się z tym, co oboje podali w swoich zeznaniach.

Mullett chrząknął znacząco.

- Owszem, jeśli ma pan na myśli ich stare zeznania. Rozległo się niemal słyszalny trzask, kiedy Frost poderwał głowę.

- Co miał pan na myśli, mówiąc „stare zeznania”?

- To, że mam w ręku świeże, złożone całkiem niedawno. W pierwszej chwili Frost nie wierzył własnym uszom. Jak oniemiały gapił się na Mulletta, który właśnie znalazł na biurku nóż do papieru i zaczął się nim bawić. Frost miał ochotę wyrwać mordercze narzędzie z ręki przełożonego i zatopić aż po rękojeść w lśniącym blacie biurka. Ledwo udawało mu się kontrolować własne emocje.

- Czy dobrze słyszałem? - krzyknął. - Czy chce pan powiedzieć, że za moimi plecami skłonił ich pan do złożenia nowych zeznań, całkiem innych niż poprzednie?

Mullett cały się skurczył. Nie spodziewał się tak gwałtownego ataku.

- To niezupełnie tak, inspektorze. Prawnik sir Charlesa zamienił parę słów z każdym z nich i na skutek tej rozmowy oboje zdecydowali nieco zmienić pierwotną wersję.

Frost wpadł w szal.

- Ty cholerny draniu! Jaki masz interes w tym, żeby bez mojej wiedzy knuć ze swoimi bogatymi kumplami i namawiać moich świadków na zmianę zeznań?!

Pięść Mulletta wylądowała na blacie biurka i to z taką furią, że popielniczka podskoczyła.

- Czy zechce pan łaskawie pamiętać, z kim pan rozmawia, inspektorze Frost?!

Pogardliwy wyraz twarzy Frosta nie zmienił się ani odrobinę. Z pewnością ten facet rozumiał, co wszystkim wyjdzie na dobre. Spróbuje jeszcze raz przemówić mu do rozsądku.

- Proszę mnie posłuchać, inspektorze. Sir Charles pokryje wszelkie koszty obrony tej dziewczyny.

- To właśnie była jej łapówka - cisnął Frost. - A jaka była pańska?

Komisarz otworzył usta i zaraz je zamknął. Wściekłość odebrała mu mowę. Dosłownie trząśł się ze złości.

- Jak pan śmie? - zdołał wreszcie wykrztusić. - Tym razem posunął się pan stanowczo za daleko, Frost.

Ale Frost nie miał zamiaru zaprzestać ataku.

- No więc co zamierza pan z tym zrobić, panie komendancie? - parsknął z pogardą. - Może złoży pan na mnie skargę u szefa policji?

Chwycił słuchawkę i podsunął Mullettowi. - Proszę bardzo, niech pan dzwoni! Niech pan poda mnie do raportu! Może pomóc panu wybrać numer? Komendant bez przekonania odsunął rękę inspektora.

- Proszę posłuchać. Sir Charles nie tylko pokrywa koszty obrony tej dziewczyny, lecz także gwarantuje, że stosowna suma zostanie wypłacona nieszczęśliwej żonie ofiary wypadku.

Zamilkł na moment, a potem z naciskiem dodał:

- W dodatku, co z pewnością powinno pana najbardziej zainteresować, wielkodusznie ofiarował pięć tysięcy funtów na nowo otwarty fundusz, który ma zapewnić środki utrzymania żonie i dzieciom posterunkowego Shelby'ego.

Oparł się wygodnie o tył fotela, pewny, że ten as nie zostanie przebity.

- Tutaj czuć smród czegoś więcej niż tylko tej cholernej wody po goleniu - zauważył Frost.

Mullett zignorował tę ostatnią uwagę i mówił dalej tonem, w którym pobrzmiwała wiara w rzetelność własnych argumentów.

- Jak już powiedziałem, to pan prowadzi tę sprawę. Decyzja należy do pana i tylko do pana. Chodzi wyłącznie o lekkie naginanie prawa. Sądzę, że pani Shelby i jej małe dzieci byłyby ogromnie wdzięczne za pomoc materialną, lecz jeśli pańskim zdaniem możemy ją pozbawić tych pieniędzy... No cóż, jak już nadmieniałem, to pan tutaj decyduje.

Ty gnoju, pomyślał Frost. Ty cholerny, śmierdzący gnoju! Już wiedział, że został pokonany. Ostrożnie podniósł się z krzesła.

- W porządku, panie komendancie. Wszystko jedno, jaki szwindel wymyślił pan ze swoim kumplem, sir Charlesem. Może pan działać dalej. Ja po prostu nie chcę o niczym wiedzieć.

Wychodząc z gabinetu, tak mocno trzasnął drzwiami, że wszystkie stojące luzem przedmioty zagrzechotały.

Mullett skwitował lekkim zmarszczeniem brwi ten wyraźny brak ogłady, a potem westchnął zadowolony, że nieprzyjemną rozmowę ma już za sobą. Podniósł słuchawkę i wybrał prywatny numer, który zostawił mu sir Charles.

- Halo, sir Charles, tu Mullett. Chodzi o tę drobnostkę, o której dyskutowaliśmy. Już to załatwiłem... Nie ma za co, sir Charles. Cała przyjemność po mojej stronie.

Rozłączył się i lekko popukał opuszkami palców w słuchawkę. Znakomicie. Sir Charles należał do osób, które nie zapominają o długach wdzięczności.

Frost, pieniąc się ze złości i ogarnięty potrzebą kopnięcia czegoś, wyszedł do swojego biura. Kosz na śmieci wyraźnie kusił los, bo bezczelnie stanął mu na drodze, więc zarobił solidnego kopniaka, przez co potoczył się prosto pod biurko. Cała jego zawartość znalazła się na podłodze, tuż przed Websterem, który z pochmurną miną obserwował zachowanie inspektora. Właśnie wybierał się do domu i nie miał zamiaru z tego zrezygnować.

- Przepraszam, synu - mruknął inspektor, opadając ciężko na pierwsze z brzegu krzesło. - Po tym posterunku kręci się kupa gówna. Nazywa się Mullett. Nigdy w życiu nie uwierzysz, co przed chwilą usłyszałem. Zamknij drzwi.

Opowiedział posterunkowemu o swojej rozmowie z Mullettem. Webster chwilowo zapomniał, że miał zamiar pojechać do domu. Siedział na krześle i z rosnącym niedowierzaniem słuchał.

- Chce pan powiedzieć, że on zniszczył te zeznania, które stąd zabrał?

- Tak jest, synu. Wydaje mi się, że takie coś nosi miano deprawacji systemu sprawiedliwości, ale jeśli jest się członkiem parlamentu i można lekką rączką ofiarować pięć tysięcy funtów, to tego typu postępowanie określane jest jako naginanie prawa, dopuszczalne w usprawiedliwionych wypadkach. Pieprzę te cholerne statystyki, pieprzę raport z wyliczeniem nadgodzin i pieprzę naszego ukochanego komendanta okręgu. Idę do domu.

Właśnie w tym momencie zadzwonił telefon. Dyspozytor informował o kolejnym gwałcie w Denton Woods.

Tym razem chodziło o siedemnastoletnią dziewczynę.

Obolali, zmęczeni, brudni i źli skierowali się do auta, które podczas tego bardzo długiego dnia niemal stało się ich domem. Jak zwykle Webster prowadził zbyt szybko, ale o tej porze pogrążone w ciemności ulice świeciły pustkami. Po drodze nie spotkali ani jednego samochodu.

Gdy dotarli na skraj lasu, przekonali się, że ambulans zdołał wcześniej dotrzeć na miejsce; migające światelko doprowadziło ich do zatoczki, gdzie stał zaparkowany Charlie Alpha. Tylne drzwi ambulansu były otwarte; właśnie wsuwano nosze z leżącą na nich dziewczyną.

Wiatr zawodził i wstrząsał gałęziami drzew, sypiąc konfetti z zeschniętych liści wprost na Frosta i Webstera, którzy biegli do karetki. Dziewczyna miała zamknięte oczy, a część jej twarzy była spuchnięta i posiniaczona. Przez cały czas jęczała cicho, a całym ciałem wstrząsały dreszcze. Bardzo ostrożnie Frost ściągnął koc, żeby obejrzeć szyję ofiary. Tak jak się spodziewał, zobaczył znajome, głębokie odciski w miejscach, gdzie gwałciiciel zaciskał palce.

- Chyba już najwyższy czas, żebyście złapali tego drania - zauważył jeden z sanitariuszy, który sam miał córkę w podobnym wieku.

Frost nic nie odrzekł. Co, do diabła, można było powiedzieć w tej sytuacji?

Ambulans ostro ruszył z miejsca i popędził w stronę Denton Hospital, a wyjąca głośno syrena ostrzegała innych kierowców, żeby nikt nie wjeżdżał mu w drogę.

Gdzieś z boku dobiegły czyjeś głosy. Odwrócili głowy i ujrzeli dwóch posterunkowych, Simmsa i Jordana, a między nimi jakiegoś młodzieńca w wieku mniej więcej dziewiętnastu lat. Chłopak miał ciemne, mocno poskręcane włosy i ubrany był w szarą marynarkę i czarne spodnie. Roztaczał wokół siebie aurę pewnej zuchwałości, co Frostowi natychmiast przypomniało Dave'a Shelby'ego. Kiedy podeszli bliżej, zauważył świeże zadrapanie, które biegło wzdłuż prawego policzka aż poniżej podbródka. Simms wypchnął chłopaka przed siebie.

- To jest Terry Duggan, inspektorze. Przyjaciel tej dziewczyny. To właśnie on ją znalazł.

- Cześć, Terry - powiedział Frost. Natychmiast zauważył, że oprócz zadrapania na twarzy świeże ślady paznokci znajdowały się także na wierzchu dłoni.

- Dziewczyna nazywa się Wendy Raynor, ma siedemnaście lat i pracuje w niepełnym wymiarze godzin w sklepie. Dziś wieczorem poszli na dyskotekę... - zaczął Simms.

- Pozwól, niech Terry sam nam o wszystkim opowie - przerwał mu Frost.

- Więc było tak: wyszliśmy z dyskoteki gdzieś około wpół do dziesiątej - powiedział młody człowiek. - Musieliśmy wyjść tak wcześnie, bo jej rodzice nie zgadzają się, żeby późno wracała do domu. W czasie drogi powrotnej trochę się posprzeczailiśmy, więc Wendy wyskoczyła z samochodu i zawołała, że sama wróci do domu.

- Zaczekaj, synku - przerwał Frost. - O tej porze mój umysł pracuje na nieco zwolnionych obrotach. O co się pokłóciliście?

Chłopak popatrzył na niego z cielęcym uśmiechem, zarumienił się, a w końcu wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką.

- No wie pan... Powód był całkiem przyziemny. Różnica zdań.

- Więc kazała panu zatrzymać samochód? - zainteresował się Webster.

Terry przesunął spojrzenie z inspektora na jego brodatego kolegę.

- Nie, zatrzymaliśmy się już wcześniej. Zaparkowałem samochód...

- Gdzie? - zapytał ten w złachmanionym płaszczu.

- Tam. - Terry machnął ręką w ciemność. - Z tyłu tego wielkiego drzewa.

- Dlaczego? - zapytał brodaty. Następny, który nie lubił używać zbyt wielu słów.

- Dlaczego? - powtórzył Terry takim tonem, jakby odpowiedź wydawała się oczywista. - A dlaczego zabiera się panienkę w nocy do lasu?

- Rozumiem - odparł inspektor i machnął ręką, żeby Terry mówił dalej.

- W każdym razie na tylnym siedzeniu przebrnęliśmy szczęśliwie przez grę wstępną, ale kiedy chciałem zsunąć z niej rajstopy, zrobiła się sztywna i zaczęła mnie wyzywać od

świntuchów. Mówię panom, walczyła jak lwica... O, proszę, jak mnie podrapała! Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wcześniej znalazła się w podobnej sytuacji. Ale ja wydałem kupę forsy na dyskotekę i nie miałem zamiaru marnować takiej okazji, więc spróbowałem jeszcze raz. Wtedy wpadła w popłoch. Wyskoczyła z auta, wrzeszcząc wniebogłosy, a potem popędziła tamtą ścieżką, po drodze podciągając rajstopy.

- Pobiegniesz za nią? - spytał Webster.

- Nie, do jasnej cholery!

- Dziewczyna ma siedemnaście lat. - Webstera zaczynał ogarniać gniew. - Nigdy wcześniej tego nie robiła, minęła jedenasta w nocy, a ty puściłeś ją samą do lasu jak gdyby nigdy nic?

- Wrzeszczała, że chciałem ją zgwałcić. - Terry wzruszył ramionami. - Gdybym pobiegł za nią, pomyślałaby, że chcę dokończyć to, co już zacząłem.

Wiatr zerwał się, potrząsnął drzewami, aż gałęzie zaskrzypiały. Frost wzdrygnął się i ciałniej otulił szyję szalikiem.

- Co potem zrobiłeś?

- Pojechałem do domu i położyłem się spać. Mniej więcej o wpół do pierwszej zadzwonił telefon, więc zwlokłem się z wyra, żeby go odebrać. Okazało się, że to staruszek Wendy. Od razu zaczął na mnie się wydzierać, bo okazało się, że Wendy jeszcze nie wróciła. Powiedziałem mu, że się kłóciliśmy i że Wendy postanowiła zrezygnować z mojego towarzystwa, ale on wydawał się tak zgnębiony, iż powiedziałem, że się ubiorę i pójdę jej poszukać. Przyjechałem tutaj i poszedłem tamtą ścieżką.

- Pokaż nam - zażądał Frost.

Poprowadził ich wąską ścieżynką, która w miarę zagłębiania się w las stawała się jeszcze węższa. Gęste krzaki rosnące po obu stronach ocierały się o ramiona, kiedy przeciskali się na oślep. Mniej więcej po czterdziestu krokach Terry się zatrzymał.

- Doszedłem tutaj i wtedy usłyszałem czyjeś jęki. Z początku wydawało mi się, że to jakaś parka zabawia się z zaroślach, ale nagle dotarło do mnie, że to głos Wendy. Przedarłem się przez krzaki aż tam.

Wskazał na przerwę między krzewami, gdzie gałęzie były wygięte i połamane.

- To nie wyglądało tak od samego początku, kiedy ją znalazłem. Te gałęzie połamali sanitariusze z ambulansu...

W każdym razie kiedy ją znalazłem, leżała na ziemi całkiem naga, z posiniaczoną twarzą, a jej ciuchy wały się dookoła. Na przemian jęczała i łkała. Zebrałem całe ubranie,

żeby ją przykryć, i pogałem do samochodu. Jeździłem po okolicy tak długo, aż znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem na posterunek.

Frost precyzyjnie się między krzakami i poświecił sobie latarką. Polanka okazała się dość nieduża, a rosnąca na niej trawa została dokładnie zdeptana, prawdopodobnie przez ludzi z karetki, przyjaciela dziewczyny oraz Jordana i Simmsa. Zwinięta w kulkę para podartych rajstop utknęła w kępie pokrzyw, które rosły wokół okazałego buka. Nie wydawały się ważnym dowodem, więc Frost zostawił je tam, gdzie były. Wyłączył latarkę i wrócił do pozostałych.

- Chyba powinienem poszukać jej ojca i powiedzieć, co się stało - zasugerował młody człowiek.

- Lepiej tego nie rób, chłopcze. Na jego miejscu ukatrupiłbym cię z zimną krwią.

Jordan odszedł kilka kroków w głąb ścieżki, żeby porozmawiać przez radio. Widząc spojrzenie Frosta, przywołał go do siebie.

- Charlie Bravo pojechał pod dom rodziców dziewczyny i zabrał ich do szpitala. Wydaje się, inspektorze, że są pewne rozbieżności w zeznaniach. Nasz młody zuch twierdzi, że pojechał do domu i w okolicach jedenastej wylądował w łóżku. Ojciec dziewczyny zaklina się, że wydzwaniał do niego co pięć minut, ale bez rezultatu, więc w końcu wziął taksówkę i pojechał tam osobiście. Był pod domem chłopaka tuż po północy. Zauważył, że nie ma samochodu Terry'ego, ale i tak zaczął dobijać się do drzwi. Nikt nie odpowiadał, więc wrócił do siebie. Kiedy ponownie zadzwonił do pierwszej, Terry odebrał telefon już po drugim sygnale i wcale nie sprawiał wrażenia kogoś, kto został wyrwany z głębokiego snu.

- Strasznie skomplikowane - mruknął ponuro Frost. - Jak sądzisz, kto mówi prawdę?

- Moim zdaniem, inspektorze, to Terry ją zgwałcił. Jeszcze w samochodzie nieźle się napalił, a kiedy uciekła, poszedł za nią. Założę się, że ją znalazł i skwapliwie skorzystał z okazji, a potem pojechał do domu i postanowił udawać, że od jedenastej był w łóżku.

Frost pociągnął nosem i przez chwilę milczał, żeby sobie to wszystko przemyśleć.

- Szczerze w to wątpię, Jordan, choć daleki jestem od osłabiania entuzjazmu młodych funkcjonariuszy. Niech Duggan pojedzie z wami na posterunek - powiedzcie, że chodzi o złożenie zeznań - a potem pod byle pretekstem ściągnijcie z niego ubranie i wyślijcie do laboratorium. I niech nasz doktorek koniecznie go przebadaj. Chcę wiedzieć, czy chłopak uprawiał seks w ciągu ostatnich kilku godzin.

Wrócili do reszty. Frost usiłował zapalić papierosa, ale wiatr uparcie zdmuchiwał zapalną, więc po kilku próbach niechętnie zrezygnował.

- Terry, chciałbym, żebyś pojechał z panami na posterunek i złożył zeznanie. Potem poprosimy naszego lekarza, żeby rzucił okiem na te zadrapania, skoro i tak będziesz na miejscu. Być może grozi ci zakażenie.

Zaczekał, aż znajdą się poza zasięgiem głosu, a następnie opowiedział Websterowi o szczegółach sprawy. Webster słuchał w napięciu.

- Więc Jordan uważa, że to Terry jest sprawcą gwałtu?

- To tylko przypuszczenie, synu. - Frost przykucnął za pniem potężnego dębu i tym razem udało mu się zapalić.

- Całkiem możliwe, choć tak naprawdę wcale nie jestem przekonany. Nie wierzę, żeby Terry chciał narobić sobie kłopotów, zdzierając z panienki ubranie. Raczej widzę go, jak zdejmuje z niej rajstopy, podciąga spódnicę, rozpina swoje stare lewisy i raz dwa - kilka mocnych pchnięć i po sprawie. To tego typu facet. Oczywiście mogę się mylić. Być może to zagorzały romantyk i lubi najpierw podduścić kobitkę i rozebrać ją do naga.

Wyjął z ust papierosa i przyjrzał mu się, marszcząc brwi. Wiatr sprawił, że papieros z jednej strony palił się nierówno, osmalając bibułkę, przez co tytoń nabierał ohydneho smaku.

- Stawiam wszystkie swoje pieniądze, że to robota naszego starego gwałciela z Denton.

- Czy w takim razie nie powinniśmy przeszukać terenu? - zasugerował Webster.

- Przeszukać? Nie, synu, wielkie dzięki. Na to jest stanowczo za zimno. Niech ci z kryminalistyki węszą sobie tutaj, jeśli mają ochotę, ale ja wracam na posterunek, bo tam przynajmniej można się ogrzać.

- Gdybym to ja był tu dowódcą, nie zastanawiałbym się, tylko zorganizował ekipę, tak jak pan Allen zeszłej nocy

- wypalił Webster.

- I nic mu z tego nie przyszło - zauważył Frost. - Ale jeśli masz chęć coś organizować, to proszę bardzo, nie krępuj się. Nie będę ci przeszkadzał, oczywiście jeśli nie zamierzasz mnie angażować.

W oddali ktoś zawołał i machnął latarką na znak, że przyjechali kryminaliści. Było ich dwóch. Jeden wyglądał jak zabiedzona ofiara losu, drugi zaś sprawiał wrażenie małego, tłuściutkiego wesołka. Frost zaprowadził ich na polanę; tłuściutki z wyraźną uciechą zabrał się do sprawdzania terenu.

- Mnóstwo fajnych śladów - zauważył.

- Och, tak - odparł Frost. - Dwaj sanitariusze, dwaj policjanci, mój posterunkowy, podejrzany, ja sam i dziewczyna. Jeśli znajdzie pan coś jeszcze, proszę dać mi znać.

*

Zły nastrój Webstera dał o sobie znać podczas jazdy. Posterunkowy był wściekły na Frosta, że ten nie chciał organizować zespołu poszukiwawczego. Frost zawsze szukał drogi na skróty, ale pewne sprawy wymagały innych metod niż brak jakiegokolwiek planu i ogólne niechlujstwo. Tak właśnie było w tym wypadku.

- Więc co pan właściwie zamierza? - spytał mało uprzejmym tonem, gwałtownie kręcąc kierownicą, gdy wjeżdżali na Market Square.

- Najpierw musimy wykluczyć udział Terry'ego, a potem pomyślimy, co dalej - odparł Frost i ze zdumieniem podniósł głowę, bo samochód z impetem uderzył w krawężnik. - Uważaj, synu! Prowadzisz tak samo jak ja.

Korytarz na posterunku sprawiał wrażenie równie zmęczonego jak oni.

- Jack, Susan Harvey czeka na ciebie w biurze! - zawołał za nimi Wells. Webster poczuł, że znużenie go opuszcza.

Susan siedziała na miejscu Webstera, obejmując szczupłymi palcami kubek z rozpuszczalną kawą. Niedawno wróciła ze szpitala, gdzie rozmawiała z siedemnastoletnią Wendy Raynor.

- Ma pękniętą szczękę i kilka sporych siniaków - oznajmiła. - Poza tym doznała silnego szoku. Została wykorzystana seksualnie, a przedtem była dziewicą.

Frost usadowił się na swoim krześle i zaczął się obracać to w jedną, to w drugą stronę.

- Czy powiedziała, kto ją zgwałcił? Susan odstawiła kubek na blat biurka.

- Terry Duggan. Próbował dobierać się do niej już w samochodzie. Uciekła, ale pobięł za nią i ją zgwałcił.

Oczy Webstera błysnęły.

- Co za skurwiel!

- Prawda, Sue, że on wygląda całkiem interesująco, kiedy się wścieka? - mruknął Frost do młodej policjantki. Zastanowił się przez chwilę, postukując o kciuk papierosem. - Powiedziałem, że moim zdaniem ten chłopak nie ma z tym nic wspólnego.

- Więc przyjmijmy, że się pan pomylił - parsknął Webster z ledwo skrywaną drwiną.

- Zawsze się mylę - przyznał Frost. Obejrzał papierosa i widocznie uznał, że już nadaje się do użytku, bo wsadził go do ust. - Czy ona jest absolutnie pewna, że to Terry?

- Wydaje się całkiem zagubiona, ale przysięga na wszystkie świętości, że to on. Nie sądzę, żeby faktycznie go widziała. Ktoś zaatakował ją od tyłu, zarzucił na głowę szmatę i zaczął dusić. Kiedy odzyskała przytomność, zobaczyła, że nad nią stoi Terry.

- Ale to mogło być wtedy, kiedy Terry wrócił do lasu, żeby jej poszukać. - Frost zamyślił się. - Ale jeśli rzeczywiście to był Terry, to naruszył prawa autorskie „Diabła w kapturze” - szmata zarzucona na twarz, duszenie ofiary...

- Może starał się go naśladować - rzekł Webster, który za wszelką cenę próbował udowodnić, że Frost się myli. - Przeczytał o tym w gazecie i skopiował.

Zadzwoił telefon. Odebrał Webster. Okazało się, że dzwonią ze szpitala. Wymaz pobrany z pochwy Wendy Raynor był już w drodze do laboratorium.

Frost otworzył drzwi i wrzasnął do Billa Wellsa:

- Czy doktor badał już Terry’ego Duggana?

- Właśnie teraz jest u niego! - krzyknął sierżant.

- Zaraz będziemy wiedzieć. - Frost znów kręcił się na krześle z boku na bok. - Cały problem w tym, że ona tak naprawdę nie widziała gwałciciela.

Nagle uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Czy opowiadałem wam taki stary wojenny dowcip o dziewczynie pracującej przy produkcji amunicji, która została zgwałcona podczas zaciemnienia?

Dowcip, pomyślał z pasją Wells. Siedemnastolatka padła ofiarą okrutnego gwałtu, a jemu się zebrało na dowcipy!

- Policja spytała dziewczynę, kto to zrobił, a ona odrzekła, że nie wie, bo było ciemno. „Ale jedno jest pewne - powiedziała - gwałciciel na pewno był jednym z naszych kierowników”. „A skąd wiesz?”, pyta gliniarz. „Bo przez cały czas przytrzymał na głowie melonik, a ja musiałam odwalać za niego całą robotę”.

Parsknął rubasznym śmiechem. Webster milczał jak głaz, Susan zaś o mało nie udławiła się kawą.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili do środka wszedł dyżurny lekarz - mały, tustawy Walijczyk.

- Ominął cię świetny kawał! - zawołał Frost, wycierając załzawione ze śmiechu oczy.

- Dziewczyna, która została zgwałcona podczas zaciemnienia...

- Tak, tak, i okazało się, że to kierownik - przerwał doktor, rzucając torbę na biurko Frosta. - Opowiadasz mi to za każdym razem, gdy zdarzy się jakiś gwałt.

Zrzucił z krzesła stertę papierów i usiadł.

- Zbadałem tego młodego człowieka, Duggana. Na twarzy i rękach ma ślady po zadrapaniach paznokciami, ale to już na pewno zauważyłeś. Pobrałem próbki krwi, które już jadą do laboratorium razem z jego ubraniem. Nie ma wątpliwości co do tego, że uprawiał seks w ciągu ostatnich kilku godzin.

- To więcej, niż mnie udało się ustalić - mruknął Frost, szczypiąc się w czubek nosa. - No cóż, młody panie Webster, wygląda na to, że może miał pan rację. Chyba lepiej będzie, jeśli się przekonamy, co chłopak ma nam do powiedzenia.

*

Terry Duggan, ubrany jedynie w policyjny, czerwono-szary koc i pożyczone tenisówki, za duże na niego przynajmniej o cztery numery, podskoczył gniewnie, kiedy tylko Frost z Websterem weszli do pokoju przesłuchań.

- Co to za cholerne gierki? - zawołał. - Zostałem rozebrany do naga, zabrano moje ubranie, nie wolno mi nigdzie się ruszyć i w dodatku nikt nie raczy odpowiedzieć na żadne pytania.

Przerwał na moment dla zaczerpnięcia oddechu.

- I jeszcze jedno. Ten pieprzony lekarz obejrzał nie tylko zadrapania. Posunął się znacznie dalej.

- No cóż, widocznie dał się ponieść uczuciom - odparł Frost. Otworzył skoroszyt i wyjął zapisaną gęsto kartkę papieru. - Czy to jest twoje zeznanie?

- Tak - przytaknął Terry, spoglądając na papier.

- Czy dalej podtrzymujesz to, co nam powiedziałeś? Młody człowiek wyzywająco wysunął podbródek.

- Oczywiście, że tak.

- W takim razie proszę, żebyś to podpisał. - Frost pożyczył od Webstera wieczne pióro i podał Dugganowi, który naskrobał na dole swoje imię i nazwisko. Frost i Webster złożyli swoje podpisy jako świadkowie.

Frost z powrotem wsadził zeznanie do skoroszytu, a potem z wyrzutem potrząsnął głową.

- Jesteś strasznie głupim sukinsynem, wiesz?

- Dlaczego? - Młody człowiek utkwiał w nim bezczelne spojrzenie.

- Znalazłeś się w poważnych tarapatach, chłopcze, i jeszcze pogarszasz swoją sytuację, częstując nas stekiem bzdur.

Kiwnął na Webstera, żeby to on powiedział Terryemu nieprzyjemną nowinę.

- Wendy zeznała, że to ty ją zgwałciłeś, słoneczko. Duggan najpierw popatrzył na Webstera, a potem na Frosta. Obaj mierzyli go lodowatym spojrzeniem. Próbował się roześmiać, ale wypadło to mało przekonująco.

- Zgwałciłem? Ja? Chyba żartujecie. W życiu nie musiałem wymuszać tego siłą. Jeśli dziewczyna nie chce mi dać z własnej woli, to ja też jej nie chcę.

- Staraleś się wziąć ją siłą w samochodzie - zauważył Frost.

Duggan wzruszył ramionami.

- One zawsze na początku udają takie niedotykalne... Po prostu nie chcą, żeby facet widział, że mają na to ochotę tak samo jak on. Ale jak tylko Wendy zaczęła mnie drapać, od razu dałem sobie spokój.

- I pojechałeś prosto do domu, tak? - przeczytał w zeznaniu Frost.

- Zgadza się.

- Zaparkowałeś przed domem i podniecony, lecz niezaspokojony wślizgnąłeś się do swego małego łóżeczka, żeby udać się na spoczynek?

- Zgadza się.

- A więc o jedenastej trzydzieści byłeś u siebie w mieszkaniu i leżałeś w łóżku, a twój samochód cały czas stał pod domem?

Duggan zawahał się, ale po chwili potwierdził, że tak właśnie było.

- Mimo to, kiedy pan Raynor, ojciec Wendy, przyjechał do ciebie o północy, pod domem nie było samochodu, i chociaż walił w drzwi z całych sił, nikt nie odpowiadał.

- Nie miałem pojęcia, że jej stary pofatygował się do mnie do domu! - wykrzyknął Terry.

- No cóż, cholernie dobrze zrobił - wtrącił się Webster. - Ale ciebie nie było w domu, prawda? Byłeś w lesie, gdzie gwałciłeś jego siedemnastoletnią córkę, która do tej pory była dziewicą. Nie próbuj zaprzeczać. Badanie lekarskie to potwierdziło.

Terry ciężko opadł na krzesło i poprawił na sobie koc. Koc kłuł i drapał, wywołując na całym ciele nieprzyjemne uczucie swędzenia.

- No więc dobrze, nie wróciłem od razu do domu. Pojechałem z powrotem na dyskotekę, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie pęta się tam jakaś panienka bez przydziału. Nie chciałem, żeby cały wieczór zupełnie poszedł na marne.

- Może masz jakiegoś świadka, który może potwierdzić twoją obecność na dyskotecę? - spytał Webster.

- Nie. W ogóle tam nie dotarłem. Na parkingu spotkałem tamtą laseczkę. Nie wyglądała szczególnie atrakcyjnie, prawdę mówiąc, wyglądała na ordynarną dziewczuchę, ale przynajmniej była do wzięcia, więc zaprosiłem ją do samochodu i tam przeleciałem.

- Jej nazwisko i adres - warknął Webster.

- Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej jej nie widziałem i mam nadzieję, że więcej nie zobaczę. Gdybym nie był tak zdesperowany, nawet bym na nią nie spojrział.

- Nie odwiozłeś jej potem do domu?

- Do domu? Chyba pan żartuje. Ona sypia gdzie popadnie. Jak się rozstawaliśmy, poprosiła, żebym podrzucił ją do głównej drogi, bo chce złapać stop i pojechać na północ.

Webster z trzaskiem zamknął swój notes. Podszedł do chłopaka, chwycił krawędź koca i jednym szarpnięciem zmusił Terry'ego do poderwania się na równe nogi.

- Chyba uważasz nas za skończonych durniów, Duggan. Próbowaleś przelecieć Wendy. Nie chciała oddać ci się z własnej woli, co musiało być potworną obrazą dla twojej męskości, więc puściłeś się za nią w pogoń, przydusiłeś ją, złamałeś jej szczękę, a potem zgwałciłeś.

- Nie zgwałciłem! Jeśli tak ma wyglądać cholerna współpraca z wami, to mam to w dupie! - zawołał Duggan. Próbował odsunąć się, ale Webster trzymał skraj koca w żelaznym uścisku.

- Zanim pozwolę ci wyjść z tego pokoju, podpiszesz zeznanie, w którym przyznasz się do wszystkiego.

- Żądam prawnika - odparł młody człowiek. Webster z impetem odrzucił koc.

- Dopiero kiedy złożysz zeznanie, skurwielu! Zadzwonił telefon. Webster zajęty był przesłuchaniem, więc to Frost musiał go odebrać. Wysłuchał informacji, podziękował swojemu rozmówcy i rozłączył się.

Webster, czerwony z gniewu jak burak, stał nos w nos z rozebrany do naga Dugganem i zaciskał pięści. Młody człowiek sprawiał wrażenie mocno przerażonego.

Frost podniósł się z krzesła i wcisnął do kieszeni pudełko papierosów i zapalniczki.

- Dzwonili z laboratorium, synu - powiedział do Webstera. - Są już wyniki testów. Człowiek, który zgwałcił Wendy, miał grupę zero, a nasz młody zuch ma grupę A...

Uśmiechnął się słodko.

- Czekam na ciebie w biurze.

Wyszedł, zostawiając posterunkowego sam na sam z podejrzanym, żeby mógł go przeprosić.

Kiedy Webster wrócił do biura, dosłownie dusił się ze złości. Nie dość, że Frost zrobił z niego durnia przed tym zarozumiałym gówniarzem, to jeszcze musiał gnoja przeproszać.

Inspektor siedział przy biurku i przekładał papiery. Webster już był gotów mu napyskować, kiedy drzwi otworzyły się i do środka weszła Susan Harvey.

- Cześć, Sue! - zawołał Frost. - Jeszcze tu jesteś? W odpowiedzi popatrzyła pytająco na Webstera.

- Obiecałem, że odwiozę ją do domu - wyjaśnił Frostowi.

- Do domu? - odparł ze zdziwieniem. - Chyba jeszcze nie nadeszła pora, żeby jechać do domu, mam rację?

- Już jest prawie druga w nocy, inspektorze. Jestem na służbie bez przerwy od ponad szesnastu godzin. Gdybym miał złudzenia, że uda się wydębić z hrabstwa jakieś pieniądze za nadgodziny, od razu wypełniłbym formularz z wyliczeniem.

Powiedziawszy to, ugryzł się w język, bo myśli Frosta od razu poszybowały w kierunku raportu z zestawieniem nadgodzin, który spokojnie leżał na biurku Webstera.

- Dzięki, synu, że mi o tym przypomniałeś! - Podrapał się w podbródek. - Wiesz co? Nie będziemy zawracać sobie głowy dodawaniem. Ostatecznie w hrabstwie mają te wielkie, paskudne komputery i niech one zrobią to za nas. Po prostu nagryzmiemy parę liczb w odpowiednich rubrykach i wyślemy im to w takiej formie.

- Ale i tak zajmie nam to ładnych parę godzin - ostrożnie zauważył Webster.

- Nie, jeśli zabierzemy się do tego we troje. Pomożesz nam, Sue, prawda?

I nie czekając na odpowiedź, podzielił stos wyciągniętych z akt zestawień na trzy mniej więcej równe kupki, jakby rozdzielał karty do gry.

Przysunęli krzesła i strona po stronie wypełniali rubryki słupkami cyfr przepisanych z raportów poszczególnych funkcjonariuszy, przydzielając je do rozmaitych kategorii przestępstw kryminalnych. Frost co chwila wydawał z siebie rozpaczliwe jęki, palił papierosa za papierosem i darł błędnie wypełnione formularze, a robił to tak często, że więcej ich niszczył, niż odkładał na bok. Czas włókł się w nieskończoność. Webster w końcu zwrócił uwagę, że cyfry zaczynają mu się zamazywać przed oczyma, więc z trudem dźwignął się z krzesła i zrobił sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy, która tylko trochę pomogła. A potem znów zauważył, że od pięciu minut gapi się na tę samą kolumnę cyfr. Wyciągnął rękę po następną kartkę, ale dotknął pustego blatu. Na biurku nie było już ani jednego formularza. Skończył pracę. Po paru minutach skończyła ją także Sue.

- Znakomicie. - Frost rozpromienił się i wręczył każdemu z nich po sporej porcji z tych, które mu jeszcze zostały do zrobienia. Po dziesięciu minutach raporty zostały zapakowane do wielkiej, urzędowej koperty, opatrzone napisem „Zestawienia nadgodzin - pilne!”, i przygotowane do doręczenia w hrabstwie, żeby stosowne czeki mogły zostać dołączone do następnych wynagrodzeń.

- Zasłużyliśmy na solidną pochwałę - oświadczył Frost, spoglądając na kopertę w taki sposób, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Tak - stęknął Webster i pospiesznie włożył płaszcz, gotów do wyjścia, zanim Frost przypomniał sobie o statystykach przestępstw.

Nagle inspektor pstryknął palcami.

- Cholera jasna... Czekaj, synu, zapomnieliśmy o czymś!

- Tak? - Webster wziął Sue pod rękę i skierował ją ku drzwiom.

- O tym anonimowym rozmówcy, który dzwonił wczoraj wieczorem, żeby powiedzieć nam o leżącej w lesie dziewczynie. Dave Shelby powiedział, że wie, kto to jest.

Webstera dzieliło od wolności pół obrotu gałką u drzwi.

- Ale Dave Shelby nie żyje - rzekł pośpiesznie.

- Moja pamięć jeszcze nie jest aż tak kiepska, synu - odparł inspektor. - Shelby mówił, że widział się z tym gościem, a w takim razie na pewno umieścił wzmiankę o tym w swoim dzienniku.

Zdjął z gałki dłoń Webstera, otworzył drzwi i ryknął w głąb korytarza:

- Sierżancie Wells!

Wells pojawił się po paru sekundach i złożył przed nimi drwiący ukłon.

- Pan mnie wzywał, milordzie?

- Proszę się nie wygłupiać, kiedy rozmawia pan ze starszym stopniem oficerem! - skarcił go Frost. - Gdzie się podział dziennik Shelby'ego?

- Myślałem, że już wiesz - odparł Wells. - Zaginął. Dzięki Bogu, pomyślał Webster. Wreszcie będzie można iść do domu.

Ale Frost zmarszczył brwi.

- Zaginął?

- Nie było go obok ciała, Jack, ani w samochodzie. Pan Allen przeprowadził specjalne poszukiwania, ale bez powodzenia. Uważa, że być może wypadł Shelbyemu z kieszeni, kiedy znalazł się w samochodzie, którym uciekał przestępca.

- A czy pojawiło się coś nowego w sprawie tego samochodu? Ostatecznie do tej pory ktoś powinien wysledzić czerwonego vauxhalla.

- Jack, Stan Eustace zawsze umiał wynajdywać dziuple, gdzie ukrywał skradzione samochody.

- Jedyne, co naprawdę dobrze potrafił robić.

Frost wziął z biurka brązową kopertę i podał Wellsowi.

- Idę do domu. Tu masz te swoje cholerne zestawienia nadgodzin. Wsadź je do worka z pocztą.

Wells popatrzył na kopertę. Wysoko uniósł brwi.

- Jack, minęła trzecia nad ranem. Termin składania wyliczeń upłynął całe wieki temu. Jeśli urzędnicy w hrabstwie nie dostaną tego do rąk jutro rano, to nie zdążą wystawić czeków i znowu będziemy mieć bunt na pokładzie.

Frost z lekceważeniem machnął ręką.

- Nie podniecaj się. Webster może wrzucić im to bezpośrednio do skrzynki pocztowej. Webster od razu się najeżył.

- Co takiego? To przecież godzina jazdy w jedną stronę! Frost znowu machnął ręką.

- Nie przesadzaj, najwyżej pięćdziesiąt minut. Nawet mniej, jeśli nie będziesz skrupulatnie zatrzymywał się na każdym świetle. Weź mój samochód. Możesz od razu zabrać Sue i w drodze powrotnej podrzucić ją do domu.

Wczolgując się do auta, Webster doszedł do wniosku, że nie da rady wykonać rozkazu. Był za bardzo zmęczony. Mógł zasnąć za kierownicą. Susan chyba zorientowała się, o co chodzi, bo wysiadła z samochodu i przeszła na drugą stronę.

- Przesiądź się - powiedziała, wskazując fotel pasażera. - Ja poprowadzę. Lepiej będzie, jeśli spędzisz tę nędzną resztkę nocy w moim mieszkaniu. Nie nadajesz się do tego, żeby jechać z powrotem.

Webster szybko dokonał w myślach przeglądu wyposażenia małego mieszkania Susan. Nie przypominał sobie, żeby stała tam jakaś kanapa. Pamiętał jedno, jedyne łóżko. Nagle całe zmęczenie gdzieś się ulotniło, ale oczywiście nie miał zamiaru tego okazać. Wepchnął pękatą kopertę do schowka na rękawiczki.

- Nie wziąłem piżamy - zauważył.

- A ja nawet nie mam koszuli nocnej - powiedziała półgłosem Susan, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Webster oparł się wygodnie o zagłówek i cicho mrucał z ukontentowania. Wyglądało na to, że ta noc jednak nie będzie taką kompletną katastrofą, na jaką się zapowiadała.

W drodze powrotnej z kwatery głównej hrabstwa dał za wygraną w walce ze snem. Kiedy otworzył oczy, na niebie jaśniały pierwsze oznaki zbliżającego się świtu.

- Gdzie jesteśmy? - spytał nieprzytomnie.

- Prawie na miejscu. Pojechałam skrótem.

Skrót okazał się wąską, wyboistą dróżką łączącą dwie podrzędne ulice. Krótka, lecz urozmaicona przejażdżka.

- Uważaj! - wrzasnął Webster.

W ciemności przed nimi zamajaczył jakiś kształt.

Reflektory wydobyły z mroku sylwetkę samochodu zaparkowanego dokładnie na środku dróżki, w dodatku zupełnie nieoświetlonego. Niewiele brakowało, żeby na niego wjechali.

Sue wykonała ostrożny manewr, żeby precyzyjnie się cortiną obok tamtego auta. Webster odwrócił głowę, żeby zapamiętać numery rejestracji. Szaleniec, który naraża na niebezpieczeństwo innych kierowców, zasługuje na to, żeby znaleźć się w policyjnej kartotece. Nagle serce na moment przestało mu bić.

Tym samochodem był czerwony vauxhall cavalier o numerach rejestracyjnych CBZ 2303.

- Och, tylko nie to - wycharczał Webster z niedowierzaniem.

- Co się stało? - zainteresowała się Sue.

- Dlaczego wszystkie cholerne sprawy muszą zdarzać się w tym samym momencie?! - zawołał, z desperacją sięgając po radio. Połączył się z dyspozytornią posterunku w Denton, żeby zawiadomić, że znalazł samochód, którym uciekał Stanley Eustace.

CZWARTEK, DZIENNA ZMIANA

Webster siedział w samochodzie razem z Sue i czekał. Detektyw inspektor Allen dotarł na miejsce w ciągu dwudziestu pięciu minut. Musiał spać, kiedy otrzymał wiadomość, a mimo to szybko zdążył wziąć prysznic, ogolić się i włożyć świeżo wyprasowany garnitur. Wyglądał nieskazitelnie. Zupełnie inaczej prezentował się sierżant Ingram - wymięty i w wyjątkowo podłym nastroju, sprawiał wrażenie człowieka, który nie spał od tygodnia, co potwierdzało plotki o jego kłopotach małżeńskich. Jeszcze bardziej się zirytował, kiedy inspektor Allen wydusił z siebie kilka niechętnych słów pochwały pod adresem Webstera.

- Dobra robota, posterunkowy. Jesteście spostrzegawczy.

Potem Allen z Ingramem zbliżyli się do vauxhalla i dokładnie obejrzeni auto, zwracając uwagę na to, żeby niczego nie dotykać. Webster miał nadzieję, że teraz on i Sue dostaną zgodę na pojechanie do domu i pójście do łóżka, ale Allen wciąż nie wydawał się gotów do podjęcia takiej decyzji.

Allen stanął na czubkach palców, żeby coś zobaczyć ponad otaczającym dróżkę żywopłotem. Okazało się, że po drugiej stronie rozciąga się łąka z wysoką trawą, mokra od porannej rosy. Odsunął skrawek mankietu, żeby sprawdzić godzinę na zegarku. Jeśli on potrafił dotrzeć tutaj w ciągu dwudziestu pięciu minut, to co mogło zatrzymać chłopców z kryminalistyki?

Nagle przysła krucha cisza poranka, kiedy na dróżce pojawiły się wozy pełne odwołanych z dnia wolnego funkcjonariuszy i gdy przyjechał zespół do zabezpieczenia

śladów. Wkrótce cała okolica zarośla się od mężczyzn, którzy cal po calu badali wnętrze odnalezionego vauxhalla i jego najbliższe otoczenie. W środku i na zewnątrz wszystko posypano proszkiem do wykrywania odcisków palców, a cała tapicerka została poddana drobiazgowym badaniom na obecność śladów krwi i fragmentów ludzkiej tkanki. Następnie wyjęto pokrycie foteli oraz dywaniki i odkurzono je specjalnym odkurzaczem, dzięki czemu można było odzyskać wplątane w materiał włosy i włókna z ubrania.

Inni członkowie zespołu poruszali się wyłącznie na kolanach i niemal szorując nosami po ziemi, przeczesywali okolicę w poszukiwaniu czegokolwiek, co mógł zgubić morderca. Wciąż jeszcze panowały ciemności, ale ten niewielki obszar zalewała powódź światła. Pierwszym sukcesem okazało się odnalezienie kilka jardów dalej niewielkiej plamy oleju silnikowego - znak, że w tym miejscu przez pewien czas stał inny samochód. Bardziej niż prawdopodobne wydawało się, że Stan Eustace przesiadł się do tego samochodu ze skradzionego cavaliera. Sądząc z ilości oleju, ten drugi samochód musiał być starym gruchotem.

Jeden z zespołów otrzymał zadanie przeprowadzenia krótkiej rozmowy z mieszkańcami najbliższej okolicy - chodziło o to, czy ktoś przypadkiem nie widział poprzedniego dnia zaparkowanego na dróżce samochodu albo nadjeżdżającego vauxhalla.

- Wiem, jest jeszcze dość wcześnie i pewnie ludzie wciąż wylegują się pod ciepłymi kołderkami, ale trudno, czasami los bywa okrutny - oświadczył Allen swoim podwładnym. - Dziś dla odmiany obejrzą sobie wschód słońca. Nie obchodzi mnie, w jaki sposób ich obudzicie. Macie to zrobić, i już. A jeśli ktoś będzie się skarżył, że jego sen jest ważniejszy od odnalezienia mordercy policjanta, to powiedzcie, żeby napisał skargę do szefa policji. I proszę pamiętać, że chcę, żebyście rozmawiali z każdym z domowników, a nie tylko z biedakiem, który zwlecze się z wyrażeniem, żeby otworzyć wam drzwi. Ruszajcie!

Ingram z dwoma policjantami przeszukiwał odcinek pola w pobliżu żywoplotu. Nikt nie spodziewał się, że przyniesie to jakiegokolwiek rezultaty, ale inspektor Allen w przeciwieństwie do Frosta zawsze wszystko robił dokładnie.

Webster starał się ściągnąć na siebie uwagę inspektora w nadziei, że uzyska upragnione zwolnienie, ale Allen zupełnie go zignorował i podszedł prosto do dwóch mężczyzn zajmujących się szukaniem odcisków palców.

- Macie coś?

Jeden z nich pokręcił głową.

- Na razie nic nie udało się znaleźć, inspektorze. Facet wytarł wszystko do czysta.

Gdy tylko Allen się poruszył, Webster zrobił krok w jego kierunku na znak, że chce o coś spytać.

- Dzień dobry, synu. Cała okolica aż śmierdzi od gliniarzy, co?

Na dźwięk znajomego głosu Webster dosłownie się skulił. Do diabła ciężkiego, skąd tu się wziął ten Frost?! Było stanowczo za wcześnie, żeby mógł znosić obecność tego faceta.

Frost powitał swego pomocnika szerokim uśmiechem i przyjaźnie skinął mu głową. Choć sam wyglądał tak, jakby spędził tę noc w rynsztoku, bez wahania ruszył w stronę nieskazitelnie ubranego Allena.

- Dzień dobry, Frost. - Allen nie okazał ani krzty entuzjazmu na widok Frosta. Na razie wszystko układało się po jego myśli, więc wcale nie pragnął, żeby niemiła obecność kolegi zakłóciła tę sielankę. - To trochę wcześnie jak na ciebie, co?

- Raczej późno. - Frost ziewnął i podrapał się po nieogolonej brodzie. - Przez całą noc nie zdążyłem wpaść domu. Zasnąłem w biurze.

Przechylił głowę na bok i rzucił okiem na vauxhalla, jednocześnie przez kieszeń płaszcza drapiąc się po brzuchu, bo akurat coś go zaczęło swędzieć.

- Więc to właśnie tutaj nasz Eustace Fajtlapa podmienił sobie środek lokomocji?

- Na to wygląda - odparł krótko Allen. - Znalazł go twój posterunkowy.

Właśnie zaczął się zastanawiać, czy Webster nie byłby lepszym pomocnikiem niż Ingram, który ostatnio jakoś mało przykładał się do pracy.

- Staram się trenować ich jak najlepiej - skromnie odrzekł Frost i podsunął się do samochodu, żeby zajrzeć do środka. Dwaj kryminaliści natychmiast odsunęli się na bok. - Nie widzę tu śladów krwi - zauważył.

- Na razie niczego nie udało się znaleźć - przyznał jeden z ludzi zabezpieczających ślady. - Jednak wciąż szukamy.

- Nie sądzę, żebyście musieli strasznie się wysilać. Shelby miał odstrzelone pół głowy, więc całe wnętrze auta powinno być skąpane we krwi, mózgu i resztkach tego, co wyciekło mu z uszu.

Allen skrzywił się. Niedelikatność Frosta trudno było znieść nawet w najbardziej sprzyjających warunkach, a cóż dopiero o tak wczesnej porze dnia.

- Eustace mógł zwinąć ciało w wodoodporną płachtę. Właśnie taka płachta zginęła z bagażnika wozu patrolowego, którym jeździł Shelby.

Frost wytrząsnął z paczki pierwszego w tym dniu papierosa i od razu go zapalił. A potem złapał go pierwszy tego dnia atak kaszlu.

- Mam gdzieś twoje zdanie - wykrztusił wreszcie. - Eustace Fajtłapa nie pasuje mi do roli zabójcy policjanta.

Allen już otworzył usta, żeby odpowiedzieć coś równie niegrzecznego, ale jego uwagę odwrócił czyjś okrzyk.

- Inspektorze Allen!

Podniósł głowę. Znad żywoplotu sterczała ręka, która machała, przyzywając go do siebie. Ingram coś znalazł.

- Przepraszam - mruknął do Frosta i popędził, żeby sprawdzić, co to jest.

Frost niespiesznym krokiem podszedł do cortiny, gdzie Webster, zwinięty w kłębek na przednim siedzeniu obok Sue, z całych sił walczył z ogarniającą go sennością. Sue coś mu mówiła, ale on zdawał się nie rozumieć ani słowa. Co za cholerny pech, że to akurat on musiał zauważyć ten samochód! Gdyby wtedy nie otworzył oczu, leżałby teraz w wygodnym, małym łóżeczku Sue, z rękoma oplecionymi wokół nieosłoniętego koszulą nocną ciała i pieścił jej wspaniałości... Ale czemu zadawał sobie takie męczarnie? Ziewnął jak hipopotam. Perspektywa następnego długiego, ponurego dnia, który w dodatku trzeba będzie spędzić u boku Frosta, wydawała się wręcz nie do zniesienia.

Frost zauważył to ziewnięcie i, oczywiście, opacznie je zrozumiał, bo w głowie miał wyłącznie jedno.

- Jesteś zmęczony, synu? Sue trochę cię podniszczyła, co? Powinieneś być spróbować trochę pospać, a nie brykać z nią przez całą noc.

Webster był tak wykończony, że nawet nie miał siły zmarszczyć brwi na znak protestu.

- Jednak posiadanie brody ma pewne zalety - mamrotał dalej inspektor, drapiąc się po niechlujnie wyglądającym podbródku. - Przynajmniej człowiek nie musi się martwić popołudniowym zarostem... Hej! Czemu nasz Marudny Mądrała ma taką zadowoloną minę?

Allen zważym krokiem zmierzał w ich stronę, a Ingram deptał mu po piętach.

- Pomyślałem, że może będziesz chciał to zobaczyć, Frost. Zwłaszcza że nie widzisz Eustace'a w roli zabójcy policjanta.

Podniósł wysoko jakiś przedmiot, umieszczony w plastikowej torebce na dowody.

- Znaleźliśmy dziennik Shelby'ego - oświadczył z dumą. Frost zabrał torebkę i odwracał ją na różne strony.

- Gdzie on był?

- Na tamtym polu. - Ingram pokazał. - Tuż za żywoplotem. W pobliżu miejsca, gdzie parkował cavalier.

- Skąd się tam znalazł, do diabła? - Frost zrobił zdziwioną minę.

Allen wciągnął do płuc powietrze, a potem westchnął. Niektórzy naprawdę mają problemy ze zrozumieniem najprostszych spraw.

- Wydaje mi się, inspektorze, że to oczywiste. Eustace znalazł go w samochodzie, kiedy wyrzucił stamtąd ciało Shelby'ego. Musiał wypaść z kieszeni. To bardzo obciążający dowód, więc szybko chciał się go pozbyć.

- Och, teraz rozumiem - rzekł Frost takim tonem, jakby nagle wszystko stało się jasne.

- Facet czyści samochód z najdrobniejszych śladów, nie zostawia w nim nawet ociupinki krwi, a potem wyrzuca za najbliższy żywopłot dowód o podstawowym znaczeniu.

- A według pana co miał z nim zrobić? - parsknął Allen. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. - Zjeść go? Wsadzić sobie w dupę? Nie ośmielił się go zabrać, bo to łączyło jego osobę ze sprawą zabójstwa. Co innego mógł zrobić?

Umundurowany funkcjonariusz podszedł do Allena i zasalutował.

- W tamtym domu mieszka pewna pani, która twierdzi, że wczoraj po południu widziała czarnego morrisa minora, zaparkowanego przy tej dróżce.

Oczy Allena pojaśniały z zadowolenia.

- Dobra robota. Za kilka sekund pójde tam, żeby z nią porozmawiać.

Zabrał Frostowi torebkę z dziennikiem Shelby'ego i oddał ją Ingramowi.

- Chcę, żeby sprawdzono to na obecność odcisków palców. Raczej wszystko będzie wytarte do czysta, ale nigdy nie wiadomo, kiedy szczęście się do nas uśmiechnie.

Odwrócił się do Frosta, który wciąż zwlekał z odejściem.

- Jestem pewny, że ma pan dość własnej pracy, inspektorze. Nie mogę pana zatrzymać.

- Szczerze mówiąc, chciałbym rzucić okiem na ten dziennik. Dave Shelby podobno odkrył, kim był tamten anonimowy rozmówca, który poinformował nas o dziewczynie leżącej w lesie. Jestem przekonany, że tak istotną rzecz zanotował w dzienniku i że zapisał nazwisko i adres faceta.

Ingram otworzył torebkę, żeby Frost mógł ostrożnie wyjąć dziennik, trzymając go przez chusteczkę do nosa. Elastyczna gumka oddzielała nie zapisane strony, dzięki czemu Frost otworzył książeczkę na ostatnim wpisie - ostatnim, jakiego dokonał Shelby, zanim umarł. „Desmond Torley, Dove Cottage. Przesłuchany w sprawie zgłoszenia telefonicznego sprawy gwałtu w Denton Woods”.

- Bingo! - wrzasnął Frost. Zatrzasnął dziennik i z powrotem wrzucił go do torebki, a następnie klusem powrócił do cortiny. Ani Webster, ani Sue nie okazali chęci ruszenia się z przednich foteli, więc inspektor wsunął się na tylne siedzenie auta.

- Nareszcie coś konkretnego, synu! Mamy nazwisko i adres faceta, który anonimowo dzwonił w sprawie tamtego gwałtu. Podrzucimy Sue do domu, a potem pojedziemy, żeby złożyć mu niezapowiedzianą poranną wizytę.

Webster zupełnie się załamał.

- Jest dopiero czwarta rano, inspektorze - wyjęczał. - On na pewno śpi jak kamień... Ziewnął jak hipopotam.

- Szczęśliwy sukinsyn - dorzucił z nieukrywaną zazdrością.

- Na pewno się obudzi, jak kopniemy w drzwi raz a dobrze. Jedźmy, synu, tylko szybko. Czeka nas mnóstwo roboty.

Nawet dla Webstera, którego zmysły przytępione były przez zmęczenie i brak snu, Dove Cottage w niczym nie przypominał domku. Kształt wydawał się całkiem inny. W przyćmionym świetle budzącego się poranka wyglądał raczej jak wagon kolejowy i dopiero kiedy podeszli bliżej, Webster przekonał się, że tak było w istocie. Rozklekotany wagon, należący niegdyś do Great Western Railway, pamiętał jeszcze przedwojenne czasy. Potem zostawiono go na pastwę losu na kawałku opuszczonej ziemi przy północnym skraju Denton Woods, gdzie wsparty na filarach z cegieł wznosił się dumnie ponad wyspami pokrzyw, które wyrastały z morza szorstkiej, wysokiej po pas trawy. Monotonny krajobraz urozmaicały gustownie rozrzucone tu i ówdzie hałdy rozpadających się, zatłuszczonych olejem cylindrów, przerdzewiały wrak dziecięcego samochodu i różne, pokryte rdzą resztki urządzeń mechanicznych, pochodzących z dawno opuszczonej farmy.

Jak odkrywcy, którzy wyrąbują sobie ścieżkę w dziewiczej puszczy, brnęli przez mokrą trawę, aż zatrzymali się przed kilkoma rozchwianymi schodkami, prowadzącymi do drzwi wagonu zamykanego na klamkę z brązu.

- Moim zdaniem to właśnie nasz pociąg - mruknął Frost, podejmując ryzyko wejścia po schodkach. Poruszył klamką, ale drzwi okazały się zaryglowane z drugiej strony, więc załomotał w nie otwartą dłoń. Łoskot był tak potężny, jakby ktoś walnął w bęben, lecz ze środka nie dobiegło żadne poruszenie. Uderzył jeszcze raz, tylko znacznie mocniej, aż wszystko zadrżało w posadach.

Wewnątrz przewróciła się jakaś butelka i potoczyła po podłodze; potem ktoś wpadł na coś, bo zaklął jak szewc, aż w końcu ochryply głos zapytał:

- Kto tam, do diabła?!

- Dwaj przystojni faceci z policji! - zawołał Frost. - Otwieraj, Desmond.

Drzwi otwierały się na zewnątrz, czego Frost nie przewidział; mało brakowało, a zleciałby na złamanie karku z ostatniego stopnia. Desmond Thorley, na oko pięćdziesięcioparoletni, łysy jak kolano i nieco tłustawy, przetarł zaropiałe oczy i spojrzał spode łba na nieoczekiwanych gości. Na sobie miał nieświeży szlafrok, którego przód i rękawy dosłownie zeszywniały z brudu. Spomiędzy fałd szlafroka wychylała się poplamiona jedzeniem pizama, ze spodniami spiętymi zardzewiałą agrafką. Gość wyglądał na skończonego flejtucha. Śmierdział jeszcze gorzej.

- Webster, przedstawiam ci pana Desmonda Brudasa - powiedział Frost uroczystym tonem.

Thorley złapał poły szlafroka i przyciągnął do siebie, żeby ukryć pizamę.

- Och, to pan, panie Frost. Jak przypuszczam, chce pan wejść.

- Nie, wcale nie chcę. Niestety, w moim zawodzie trzeba być przygotowanym na różne niebezpieczeństwa.

Weszli w gęstą ciemność, która śmierdziała zatechłym potem, niepranymi skarpetkami i zepsutym żarciem. Błysnęła zapalka i Thorley zapalił starą lampę naftową z brązu, która zatrzeszczała, wypluwając chmurę czarnego dymu, lecz przynajmniej smród oleju przytłumił pozostałe przykre zapachy. Gospodarz podkręcił knot i ustawił na miejscu szklany klosz. W niewyraźnym świetle mogli teraz dostrzec łóżko polowe, kilka wyściełanych krzeseł, zapewne pochodzących z wysypiska śmieci, i stolik do kart, na którym stały cztery talerze z zaschniętym jedzeniem i kilka na wpół zjedzonych puszek z fasolą i sardynkami. Podłogę przykrywał gruby dywan z nieświeżych skarpetek, brudnych gaci i pustych butelek po wysokoprocentowych trunkach.

- Żyję skromnie, jak zawsze - powiedział Desmond, zauważywszy ich zde gustowane spojrzenia.

- Skromnie? - parsknął Frost. - To jakiś cholerny sracz, a nie mieszkanie.

- Jest pan bardzo niegrzeczny. - Desmond pociągnął nosem i machnął ręką w stronę krzeseł. - Siadajcie, jeśli macie ochotę, tylko ostrożnie. Kot się gdzieś tam wyrzygał, ale nie wiem dokładnie, w którym miejscu.

Usiadł na pierwszym z brzegu krześle, ale obaj detektywi woleli stać.

- Czy wczoraj złożył ci wizytę jeden z naszych funkcjonariuszy? - zapytał Frost.

Desmond wykonał nieokreślony ruch ręką.

- Być może tak było, inspektorze, ale o tak nieprzyzwoitej godzinie moja pamięć nie funkcjonuje najlepiej...

Przesunął językiem po wargach.

- Nie macie przypadkiem czegoś, co pomaga rozjaśnić myśli?

Wysławiał się i zachowywał jak kiepski aktor, którym bez wątpienia był.

Frost wyciągnął z kieszeni płaszcza miniaturkę whisky Johnny Walker - część wczorajszego łupu. Trzymając buteleczkę za szyjkę, zahuszał nią przed nosem Desmond, który dosłownie przywarł do niej wzrokiem, jakby była pociskiem szukającym celu.

- Najpierw informacja, potem napitek - obiecał Frost. - Był wczoraj u ciebie jakiś policjant?

Na ustach Thorleya pojawił się radosny uśmiech, kiedy przywoływał z pamięci tamto wydarzenie.

- Taki śliczny chłopiec, moja dawna miłość... Nazywał się Shelby. Przystojny i w dodatku prawdziwy macho... Zasugerował, że to ja dzwoniłem na policję tamtego wieczora, kiedy ktoś brutalnie poturbował biedną kobietę.

- I faktycznie to byłeś ty? - Webster przysunął się do drzwi, bo tam przez szpary sączył się wąski strumień świeżego powietrza.

Thorley wędrował spojrzeniem od butelki do inspektora i odwrotnie.

- Och, tak. Wyznałem mu wszystko. Jak mógłbym kłamać komuś, kto ma tak precudownie długie rzęsy? - Pochylił się w stronę Webstera. - Ale nie tak długie jak twoje, kochanie.

Frost pociągnął Webstera za rękaw, żeby przypomnieć mu, kto prowadzi przesłuchanie.

- Potem będziesz miał czas na zaloty, synu - szepnął mu na ucho.

- Nie na wiele się przydałem waszemu posterunkowemu - przyznał Thorley. - Rzeczywiście to ja znalazłem tę dziewczynę i jak każdy przestrzegający prawa obywatel poinformowałem o tym organa ścigania. To wszystko.

- Widziałeś kogoś w lesie tamtej nocy? - pytał Frost.

- Nawet jednej żywej duszyczki, kochanieńki. Frost schował butelkę do kieszeni.

- Widziałem jedną osobę - pospiesznie powiedział pękaty człowieczek. - Ale nie w lesie. Kiedy biegłem do telefonu, zobaczyłem przed sobą jakiegoś faceta. Szedł dość szybko.

Buteleczka znów wyrzała na świat.

- Możesz go opisać?

- Widziałem go tylko od tyłu. Był średniego wzrostu, ubrany na ciemno.

- Co robiłeś w lesie o tak późnej porze? - zainteresował się Webster.

- Poszedłem na spacer.

- Chyba chodziło o coś więcej niż spacer - wtrącił Frost. - Pewnie wężysz po krzakach i podglądasz parki, które przychodzą tu pokochać się na łonie natury, co? Mam rację, Desmond?

Grubasek uśmiechnął się błogo.

- To takie niewinne hobby. Właśnie dlatego znalazłem tamtą dziewczynę. Łaziłem po lesie, nadstawiając uszu, czy nie usłyszę odgłosów nagłej namiętności, kiedy nagle zobaczyłem tę biedaczkę, całkiem nagą i nieruchomą jak głaz. Naprawdę pomyślałem, że nie żyje.

- Czy podczas wczorajszej włóczęgi widziałeś kogoś, kto uprawiał jogging?

Desmond wyduł wargi i przez chwilę się zastanawiał.

- Nie, inspektorze. Nikogo nie widziałem. Człowiek często spotyka w lesie jakiś zapaleńców w samych szortach, za to z koślawymi kolanami, albo biegaczy w dresach, którzy kręcą się w kółko po tych samych ścieżkach, ale nie przypominam sobie, żebym zeszłej nocy widział kogoś takiego.

Stało się jasne, że Desmond nie powie niczego więcej, toteż Frost wręczył mu obiecaną buteleczkę i obaj z Websterem zebrawi się do wyjścia. Jak na dobrego gospodarza przystało, Desmond odprowadził ich do drzwi.

- Podoba mi się ten twój przyjaciel - szepnął w przelocie do inspektora.

- Niestety, nie jest przyzwyczajony do takiego traktowania ze strony mężczyzn - odparł Frost, popychając zirytowanego posterunkowego w stronę czystego, świeżego powietrza.

Po chwili przedzierali się przez wysoką trawę do samochodu.

- Która godzina? - zapytał Frost. Webster zbliżył do oczu zegarek.

- Czwarta pięćdziesiąt sześć.

- Podrzucić mnie do domu, a potem jedź trochę się przespać. Spotkamy się na posterunku punktualnie o dwunastej.

- Tak jest. - Webster ziewnął.

Niebo wyraźnie pojaśniało. Gdzieś daleko zapiał kogut, a potem zaszczekał pies. W oknach niektórych domów zapaliły się światła. Denton budziło się do życia. Frost i Webster właśnie kładli się spać.

*

Komisarz Mullett jeszcze raz spojrzął na zegarek, a następnie nerwowym ruchem sięgnął po słuchawkę eleganckiego telefonu w kolorze kości słoniowej.

- Nie, panie komendancie. Inspektor Frost jeszcze nie przyjechał - odpowiedział sierżant Johnson.

Mullett odłożył słuchawkę i porwał z biurka egzemplarz dentońskiego „Echa”, otwarty na wewnętrznej stronie, na której rzucał się w oczy artykuł pod tytułem: „Uciekający po napadzie na sklep jubilera złodziej zastrzelił policjanta”. Z zamieszczonego poniżej względnie aktualnego zdjęcia, szerokiego na cztery kolumny, uśmiechał się David Shelby. Ale to nie ta historia tak bardzo zdenerwowała Mulletta. Sprawa Shelby’ego została zepchnięta na drugą, mniej ważną stronę. Mullett złożył gazetę. Na pierwszej stronie nagłówek na całą szerokość szpalty krzyczał wielkimi literami: SIEDEMNASTOLETνια DZIEWCZYNA ZOSTAŁA ZGWALCONA. „DIABEL W KAPTURZE” SIĘGNAŁ PO SIÓDMĄ OFIARĘ! Obok, również wytłuszczoną czcionką, wydrukowano komentarz redakcji: „Czy coś jest nie w porządku z policją w Denton?”. Ogólnie rzecz biorąc, tematem komentarza była niekompetencja sił policyjnych, które pomimo siedmiu ataków dokonanych na terenie Denton wciąż nie miały żadnego tropu mogącego pomóc w zidentyfikowaniu gwałciela. Sugerowano, że być może należy ściągnąć doświadczonego oficera z innej jednostki, żeby przejął śledztwo w tej sprawie, skoro miejscowa policja zawiodła w tak oczywisty sposób.

Gdy tylko Mullett przeczytał ten komentarz, od razu pomaszerował do śmietnika udającego biuro Frosta, tylko po to, żeby się przekonać, że inspektor jeszcze nie raczył się zjawić. Na blacie leżał nieprzeczytany raport z laboratorium, dotyczący gwałtu popełnionego poprzedniej nocy. Specjaliści sugerowali w nim, że ich zdaniem warto byłoby wykorzystać wszelkie dostępne środki, żeby dokładnie przeszukać teren. Mullett natychmiast skontaktował się w tej sprawie z sierżantem Johnsonem i przeraził się, bo sierżant oznajmił, że żadne tego typu akcje nie były prowadzone ani nawet planowane. Jednak szczytem niekompetencji Frosta okazało się to, że on - odpowiedzialny za prowadzenie śledztwa oficer - nawet nie zadał sobie trudu, by przesłuchać ofiarę gwałtu!

Skulił się na krześle przy biurku inspektora i z konsternacją pokręcił głową. I wtedy dostrzegł kątem oka coś, co leżało na samym środku, przytrzymywane przez brudny kubek po herbacie - statystyki przestępstw. Frost bezczelnie go okłamał, że zostały wysłane poprzedniego dnia.

Po powrocie do gabinetu naprędce nagryzmolił na kartce listę spraw, które należało poruszyć w rozmowie z Frostem, a potem zadzwonił do inspektora Allena i poprosił, żeby zajrzał do niego do biura.

Inspektor Allen, nienagannie ubrany, profesjonalny w każdym calu i tak różny od tamtego okropnego typu, przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Widział pan to? - Mullett posunął w stronę Allena dzisiejsze wydanie „Echa”, jednocześnie szturchając palcem wskazującym komentarz, który tak bardzo go uraził.

Allen uśmiechnął się blado, dziękując w duchu opatrności, że zanim gazety dobrały się im do skóry, Mullett przerzucił odpowiedzialność za to nieszczęsne śledztwo na barki Frosta.

- Tak, widziałem.

- Chcę, żeby z powrotem przejął pan to śledztwo, i to jak najszybciej.

Wtedy inspektor przypomniał komendantowi, że przede wszystkim powinien doprowadzić do szczęśliwego finału śledztwo w sprawie morderstwa policjanta.

- Tak, tak... - Mullett westchnął. - To oczywiście musi pozostać naszym priorytetem. Czy są jakieś postępy?

Allen opowiedział o szczegółach dotyczących odnalezienia vauxhalla.

- Jakież odciski palców?

- Nie, panie komendancie. Nie ma żadnych odcisków i, jak na razie, żadnych śladów krwi.

Mullett oderwał wzrok od okularów, które właśnie wycierał, i popatrzył na inspektora.

- Nie ma śladów krwi?! Przecież Shelby musiał dosłownie ociekać krwią!

Inspektor wyjaśnił swoją teorię na temat wykorzystania wodoodpornej płachty, która znikła z bagażnika wozu patrolowego.

Mullett sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego.

- Żadnych odcisków palców ani śladów krwi... Ale to oznacza, że nie da się udowodnić, że ciało Shelby'ego było w samochodzie, którym uciekał przestępca.

Allen uśmiechnął się.

- Za to można to zrobić dzięki odnalezieniu dziennika Shelby'ego. Leżał w trawie po drugiej stronie żywopłotu, w pobliżu miejsca, gdzie stał opuszczony samochód.

- Czy na dzienniku były odciski Eustace'a?

- Nie, panie komendancie. Podobnie jak samochód dziennik został wytarty do czysta. Ale to nie ma znaczenia. To niepodważalny dowód. Teraz trzeba tylko złapać Eustace'a, a to nie powinno potrwać długo - dzień, góra dwa. Niedługo skończą mu się pieniądze, a ma przy sobie jedynie tandetną biżuterię skradzioną w sklepie Glickmana. Wzięliśmy pod lupę wszystkie miejscowe meliny paserów. Zarządziłem dwudziestoczworgodzinną obserwację

jego domu i kazałem założyć podsłuch na telefonie. Złapiemy go, panie komendancie, i to niedługo. Obiecuję panu.

Mullett oparł się wygodnie o zagłówek krzesła i pozwolił sobie na odrobinę relaksu. Niewiele brakowało, a zacząłby mrużyć jak zadowolony kot. Jak wspaniale jest dla odmiany usłyszeć dobre wieści. Szybkie postępy w śledztwie w sprawie morderstwa na pewno odwrócą uwagę mediów od tych nieszczęsnych gwałtów. Dzięki Bogu, że ma do dyspozycji przynajmniej jednego oficera, na którym można polegać. Wylewnie podziękował Allenowi i wysłał go, żeby dopilnował pościgu za Stanem Eustace'em.

Gdy tylko Allen zamknął za sobą drzwi, Mullett nacisnął przycisk interkomu, żeby zapytać, czy Frost już przyjechał.

*

Minutowa wskazówka zegara wiszącego na ścianie w holu drgnęła spazmatycznie i przesunęła się bliżej godziny dwunastej. Wysoka, chuda kobieta w zielonym płaszczu od dłuższego czasu siedziała na niewygodnej ławce. Teraz zacisnęła palce na pasku od torebki, jednocześnie wbijając przeszywające spojrzenie ciemnych oczu w nieszczęsnego sierżanta Johnsona, który kręcił się na wszystkie strony, byle uniknąć jakiegokolwiek kontaktu. No, dalej, Jack, powiedział sam do siebie. Szef chce cię widzieć, starsza dama czeka niecierpliwie, zresztą wszystkim nam brakuje twojej obecności, więc gdzie się podziewasz, do diabła ciężkiego? Ostatnie słowa musiał chyba mruknąć nieco głośniej, bo kobieta popatrzyła na niego podejrzliwie. Jak ostatni kretyn śmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie sądzę, madame, żeby musiała pani długo na niego czekać.

Wysunęła naprzód ostry podbródek.

- To nie wystarczy. Jak to możliwe, żeby kobieta została brutalnie napadnięta i zgwałcona, a potem spotkała się z kompletnym lekceważeniem ze strony policji?

- Jeśli zechce pani podać mi szczegóły, wszystko zanotuję i przekażę inspektorowi, kiedy tylko się zjawi - zasugerował Johnson.

Kobieta zerwała się z ławki.

- Mam podać szczegóły?! - zawołała podniesionym głosem. - Czy dobrze słyszałam, sierżancie? Żądam rozmowy ze starszym stopniem oficerem i żądam, żeby była przy tym obecna jakaś policjantka.

Mullett, który właśnie wracał przez hol do swojego gabinetu, zatrzymał się w pół kroku. Wyglądało na to, że szykują się kłopoty.

- Kim jest ta pani? - zapytał, podchodząc bliżej.

- To panna Norah Gibson, panie komendancie. Twierdzi, że jakoby została zgwałcona.

Johnson specjalnie podkreślił słowo „jakoby”, ale Mullett nie dostrzegł tej subtelnej aluzji.

- Zgwałcona? A pan każe jej tu siedzieć i czekać?! - zawołał z niedowierzaniem. - Wielki Boże, sierzancie, czy pan jest przy zdrowych zmysłach? Jeśli pismaki z „Echa” wyniuchają tę sprawę...

- Eee... Czy mógłbym zamienić z panem słówko na osobności? - poprosił Johnson, zniżając głos do szeptu, żeby zainteresowana nie mogła go usłyszeć. Ale Mullett już szedł w stronę tej kobiety.

- Dzień dobry, madame. Nazywam się Mullett, jestem komisarzem i komendantem posterunku w Denton. Czy dobrze zrozumiałem, że została pani... - Zastanowił się przez moment, zanim zmusił się do wyszeptania słowa „zgwałcona”.

Jeszcze mocniej zacisnęła palce na rzemyku torebki. - To prawda, ale zdaje się, że nikt nie ma ochoty się tym zająć.

Właśnie ten moment wybrał sobie Frost, by z wdziękiem wpaść na posterunek. Zobaczył komisarza, przyjrzał się kobiecie i szybko wykonał odwrót, ale już było za późno.

- Inspektorze Frost! - ryknął Mullett.

- Tak, panie komendancie? - Frost wszedł do środka takim krokiem, jakby zrobił to dziś po raz pierwszy. Na widok damy udał zupełne zaskoczenie. - Witaj, Norah. Co ty tu robisz?

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Dla pana jestem panna Gibson i proszę tak się do mnie zwracać.

- Ta pani została zgwałcona - dopowiedział Mullett.

- Pewnie chciałaby, żeby tak się stało - odparł Frost.

Mullett poczerwieniał. Musiał zacisnąć pięści, żeby opanować gniew. Przysunął twarz blisko twarzy Frosta i przez zaciśnięte zęby wysyczał:

- Proszę sprowadzić tu jakąś policjantkę i kogoś, kto będzie mógł spisać zeznania. Potem natychmiast proszę przyjść do pokoju przesłuchań.

- Czy zechce pani łaskawie pójść ze mną, madame? - dodał całkiem innym tonem, odwracając się w stronę kobiety. Panna Gibson, wychodząc z holu, popatrzyła na Frosta, a na jej ustach pojawił się wąski, nieprzyjemny uśmiech, który chyba miał oznaczać, że czuje się całkiem usatysfakcjonowana.

Frost z ubolewaniem wzniosł oczy do nieba.

- Dlaczego ten durny kutas w rogowych okularkach zawsze i wszędzie musi wtrącić swoje trzy grosze?

Opuścił głowę, kiedy Webster pograżony w konwersacji z Susan Harvey przeciskał się przez wahadłowe drzwi.

- Zaczekajcie, wy dwoje! - zawołał. - Czekają na nas w pokoju przesłuchań. Pewna dama została zgwałcona.

*

Mullett usadowił pannę Gibson na krześle, zadzwonił, żeby przyniesiono jej filiżankę herbaty, podkreślając wyraźnie, że chodzi o filiżankę, a nie jeden z wyszczerbionych, służbowych kubków, a następnie zerknął na zegarek, żeby przekonać się, ile czasu zajmie Frostowi wykonanie kilku prostych poleceń. Tym razem nie musiał długo czekać. Najpierw zjawiała się taca z herbatą, a zaraz potem Frost w towarzystwie tego wyrzutka z Braybridge i miejscowej laseczki, Susan Harvey. Frost taszczył pod pachą jakąś niebieską teczkę.

Susan przyciągnęła krzesło do krzesła panny Gibson, żeby wspierać ją duchowo, Frost zaś niedbale oparł się o ścianę, nie zwracając uwagi na dopalającego się papierosa, który zwisał mu z ust. Nagle Mullett zapragnął, żeby inspektor choć trochę się oparzył. I żeby nie zachowywał się w tak nieelegancki, prostacki sposób. Bardziej przypominał obiboka, który całymi dniami włóczy się po ulicy niż szacownego detektywa inspektora.

Kiedy Frost zauważył, że Webster już przygotował notatnik do stenografowania, wypluł niedopałek na podłogę i uśmiechnął się rozbajająco do panny Gibson. Ale żaden uśmiech nie mógł poprawić jej humoru.

- Czy zechce nam pani opowiedzieć, panno Gibson, co się właściwie stało?

Wbiła wzrok w podłogę i oblała się rumieńcem.

- Więc cóż, znowu? - zapytał Frost.

Gwałtownie poderwała głowę, obrzucając go nienawistnym spojrzeniem.

- Tak, znowu! Niektóre kobiety przyciągają do siebie zboczonych mężczyzn i ja, niestety, najwyraźniej należę tego typu.

Pogrzebała w torebce, wyciągnęła chusteczkę i przytknęła ją do oczu.

- Proszę mi powiedzieć... - Frost pstryknął o ścianę zapalką, a potem zapalił następnego papierosa - ...ile razy została pani zgwałcona w ciągu ostatnich trzech miesięcy?

Zacisnęła gniewnie usta.

- To nie są sprawy, które sumiennie się liczy, inspektorze.

- Ale my musimy to robić, panno Gibson. Za każdym razem, gdy ktoś przemocą ściąga z pani majtki, nasz stary komputer notuje to w pamięci. Proszę pozwolić, że sprawdzę...

Otworzył niebieską teczkę i szybko przejrzał jej zawartość.

- Proszę bardzo. Ostatnio naliczyliśmy siedemnaście zgłoszeń, a jednak przy każdym badaniu lekarskim nasz doktor potwierdzał, że jest pani dziewicą. Więc proszę nam powiedzieć, kto panią gwałcił? Archanioł Gabriel?

Mullettowi powoli zaczynało świtać, że być może sprawy nie wyglądają tak, jak zrozumiał na samym początku. Do diabła, dlaczego nikt go nie uprzedził? Chrząknął znacząco i zerknął na zegarek.

- O cholera... - mruknął, jakby zdziwiło go, że jest tak późno. - Proszę mi wybaczyć... Nie siląc się na dalsze tłumaczenia, wymknął się z pokoju.

- Czy mamy kontynuować bez pana, panie komendancie?! - zawołał za nim Frost. Mullett udał, że nie słyszy.

Kobieta siedziała na krześle wyprostowana jak struna, ściskając kurczowo leżącą na kolanach torebkę.

- Być może w przeszłości mi się wydawało, ale zeszłej nocy to stało się naprawdę. Znowu podniosła chusteczkę do oczu.

- Pan musi mi uwierzyć, inspektorze. Frost usiadł na krześle obok niej.

- Jeśli mówi pani, że została zgwałcona, to oczywiście ja pani wierzę, panno Gibson. Proszę tylko opowiedzieć nam, jak do tego doszło.

Sięgnęła po dłoń Susan i zacisnęła na niej palce.

- Wczoraj wieczorem szłam przez Denton Woods. Było parę minut po jedenastej. Nagle z krzaków wyskoczył nagi mężczyzna, powalił mnie na ziemię i okrutnie zgwałcił. Mówię szczerą prawdę, inspektorze. - Wpatrzyła się w niego błagalnie.

Frost podrapał bliznę na policzku.

- Jestem przekonany, panno Gibson, że nie przyszła pani po to, żeby nas okłamać. - Ku zdumieniu Webstera głos inspektora był niezwykle delikatny. - Czy potrafiłaby pani opisać tego mężczyznę?

Upuściła chusteczkę z powrotem do torebki.

- Nie. Bardzo mi przykro.

- Proszę się tym nie martwić - powiedział Frost i pogłaskał ją po rękę. - Żadna z pozostałych ofiar także nie potrafiła go opisać.

Z trudem powstrzymała cisnące się do oczu łzy, a potem dzielnie się uśmiechnęła.

- Czy zechce pani poddać się badaniu lekarskiemu? Jeśli pani sobie życzy, możemy postarać się, żeby to była kobieta.

Oczy panny Gibson rozszerzyły się z przerażenia. Energicznie potrząsnęła głową.

- Och, nie! To byłoby zbyt upokarzające.

- Rozumiem - odezwał się Frost ze współczuciem. - Dziękuję, że mimo wszystko pani przyszła, panno Gibson. Bardzo nam pani pomogła. Jestem pewien, że dzięki pani uda się nam go złapać. Jednak do tego czasu proszę trzymać się z daleka od Denton Woods.

Szepnął do Susan, żeby odwiozła pannę Gibson do domu, i przyjaźnie skinął im ręką na pożegnanie, kiedy zamykały za sobą drzwi.

- Ta biedaczka zawsze chce rozmawiać wyłącznie ze mną - powiedział do Webstera. - Chyba tylko ja mam dość cierpliwości, żeby jej słuchać.

Webster z trzaskiem zamknął notatnik.

- Głupia suka. Przez nią na próżno straciliśmy tyle czasu.

- Nie bądź dla niej zbyt surowy - odparł łagodnie Frost.

- Wyobraź sobie, jak ty byś się czuł, gdyby opowiadanie bzdurnych historyjek było jedyną formą przeżywania tego, o czym marzysz.

Rzucił niedopałek do kosza.

- Chodź, synu. Napijemy się herbaty.

*

Sierżant Johnson machał ręką jak oszalały, kiedy przechodzili przez hol.

- Pan Mullett chce się widzieć z tobą, Jack, i to jak najszybciej. Mam wrażenie, że chodzi o brak postępów w sprawie tych gwałtów.

- Psiakrew! - zawołał Frost. - Przecież dostałem to śledztwo zaledwie wczoraj!

Zadzwoił telefon.

- Posterunek policji w Denton - powiedział Johnson. Słuchał przez chwilę, a potem się uśmiechnął. - Tak, proszę pani, akurat jest tutaj.

Wyciągnął słuchawkę do Frosta.

- Chyba któraś z twoich kochanek, Jack. Nie chciała podać nazwiska.

Frost zastanowił się przez moment.

- To musi być Shirley. Zdaje się, że wczoraj miałem zaprosić ją na kolację.

Wysłał Webstera do kantyny, żeby przyniósł dwie herbaty. Podniósł słuchawkę do ucha, ale widząc, że Johnny zamierza podsłuchiwać, zdecydował, że lepiej będzie odbyć tę rozmowę w zaciszu własnego biura.

*

Usiadł przy biurku i intensywnie starał się wymyślić jakieś usprawiedliwienie, które rozgrzeszyłoby go w oczach Shirley. Na samym środku biurka leżał raport z laboratorium, więc szybko przejrzał treść.

- Do diabła, jeśli koniecznie chcą poszukiwań, to będą je mieli - mruknął, odpychając go od siebie. Dopiero wtedy odebrał telefon.

- Cześć, Shirley.

Po drugiej stronie przez chwilę nikt się nie odzywał, a potem niepewny kobiecy głos zapytał:

- Czy to pan Frost?

To wcale nie była Shirley!

- Tak, mówi Frost. Z kim mam przyjemność?

- Tu Sadie... Sadie Eustace.

Frost z powrotem wślizgnął się na krzesło. Sadie! Żona Eustace'a Fajtlapy!

- Czego chcesz, Sadie?

- Czy możemy porozmawiać na osobności?

- Oczywiście, że nie! - wybuchnął Frost. - Twój stary jest poszukiwany za morderstwo!

- On tego nie zrobił, panie Frost.

- No jasne, że nie! Nie zrobił żadnej z tych rzeczy, za które siedział w pierdlu. Jest wzorowym obywatelem! - Nie zabił tamtego gliniarza. Przysiągł mi, że to nie jego sprawka. Niech pan posłucha, panie Frost, bo to, co powiem, jest przeznaczone tylko dla pańskich uszu. Stan wciąż kontaktuje się ze mną.

Frost usiadł prosto.

- Nie, to ty mnie posłuchaj, Sadie. Po pierwsze, nie ja prowadzę to śledztwo, więc tracisz czas, rozmawiając akurat ze mną. Po drugie, wszystko, co powiesz, trafi prosto do raportu. Każde słowo. Jeśli tego nie chcesz, odłóż słuchawkę i zapomnij, że ta rozmowa kiedykolwiek się odbyła.

- Stan chce z panem rozmawiać, panie Frost. Mówi, że tylko panu może zaufać.

- Więc powiedz mu, żeby tu przyszedł i oddał się w ręce policji. Zaraz potem z nim porozmawiam.

- Nie, proszę! Nie chcę rozmawiać przez telefon. Czy może pan wpaść do mnie do domu?

- Zaczekaj chwilę.

Przerwał rozmowę i wyszedł na korytarz, żeby zobaczyć, co się dzieje w holu. Słuchawka telefonu przy recepcji leżała na widelkach, a sierżant Johnson przyjmował właśnie zgłoszenie od jakiejś pani, której kot został zamknięty w komórce sąsiadów. Frost, zadowolony, że sierżant nie podsłuchuje, wrócił do siebie.

- Posłuchaj, Sadie. Nie mogę przyjść do was do domu. Za takie coś mógłbym wylecieć z roboty. Nawet teraz nie powinienem z tobą rozmawiać.

- Kafeteria w Woolworth na High Street.

- Co z tą kafeterią?

- Będę tam za pięć minut. Przy stoliku w kącie. Przyjdź, proszę.

- Nie! - odparł zdecydowanie Frost.

- Proszę... - powtórzyła Sadie i przerwała połączenie.

- Nie - powiedział Frost znacznie ostrzej, choć po drugiej stronie brzęczał już tylko sygnał centrali. Odłożył słuchawkę i z miną winowajcy odwrócił się do Webstera, który właśnie wszedł do środka z dwiema filiżankami herbaty.

- Zamknij drzwi, synu.

Webster oparł się plecami o drzwi, aż się zatrzasnęły. Postawił jedną z filiżanek na biurku inspektora.

- Taaak... - Frost rysował ołówkiem zgrabne kółeczka, wciąż niezbyt pewien, co powinien zrobić z tym telefonem. - Właśnie skończyłem rozmawiać z żoną Stanleya Eustace'a. Chce, żebyśmy za pięć minut z nią się spotkali.

Webster unióśł brwi.

- Powiedział pan o tym panu Allenowi? W odpowiedzi Frost pokręcił głową.

- Ona prosiła, żeby nikomu o tym nie mówić. Żeby to się odbyło poza oficjalnymi kanałami. Co o tym sądzisz?

Webster opróżnił swoją filiżankę, a następnie odstawił ją na parapet okna.

- Sądzę, że to szaleństwo iść na takie spotkanie.

- Ja też tak uważam - odparł Frost ponuro. - To kompletne, jaskrawe, cholerne szaleństwo. Wstał i szurając, podszedł do wieszaka.

- Gdyby ktoś mnie szukał, to nie wiesz, gdzie jestem.

*

W porze lunchu w kafeterii słychać było kakofonię dźwięków - brzęczały talerze, dzwoniły sztućce, a nad tym wszystkim unosił się gwar podniesionych głosów. Sadie siedziała skulona w najdalszym kącie i gapiała się na blat z brązowego plastiku, upstrzony plamami z rozlanej herbaty. Frost kupił w automacie dwie kawy i zaniósł je do stolika.

- Czy to miejsce jest wolne? - zapytał, sadowiąc się na wyściełanej ławeczce obitej winylem. Posunął kubeczek w stronę Sadie. Dopiero wtedy podniosła głowę, uśmiechnęła się z przymusem i mechanicznie zamieszała kawę.

- Dzięki, że pan przyszedł.

- Nie ma za co - odparł. - Już się czuję tak, jakby wykopali mnie z policji.

Oddał brzeg torebeczki z cukrem i wsypał go do kubka.

- Z jakiego to powodu ryzykuję utratę wszystkiego, co dotąd osiągnąłem?

Sadie pochyliła się w jego stronę.

- On tego nie zrobił. - Jubiler go rozpoznał.

Machnęła ręką na znak, że nie o to chodzi.

- Wiem, że napadł na sklep jubilera. Ja mówię o tym, że to nie on zastrzelił tamtego gliniarza. - Zakryła rękoma twarz. - Żałuję, że w ogóle kupił tę pieprzoną broń. Od samego początku mówiłam mu, że przez tę cholerną strzelbę będą same kłopoty, ale on twierdził, że to tylko ma być taka dodatkowa pomoc, taki straszak... Przysięgał, że nigdy w życiu nie pociągnie za spust, ale ja wiedziałam... Wiedziałam, że będzie inaczej. Stan wcale nie chciał zrobić krzywdy temu jubilerowi. Chciał tylko go nastraszyć.

- Udało mu się to w stu procentach - oświadczył Frost. - Facet o mało się nie zesrał ze strachu.

- Stan też wpadł w popłoch.

- Tak. Jeszcze bardziej się przeraził, kiedy zatrzymał go posterunkowy Shelby. Przeraził się do tego stopnia, że odstrzelił mu pół głowy.

Sadie dalej mieszała kawę, a potem nagle odsunęła filiżankę na bok, nawet nie próbując pić.

- Stan przysięgł mi, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią policjanta.

- Gdybym kogoś zabił, Sadie, to także bym przysięgał, że to nie ja.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ale ja mu wierzę, panie Frost. Uśmiechnął się smutno.

- Kochanie, moja żona też mi wierzyła, chociaż na ogół łągałem jak pies.

Nagle ogarnął go niepokój. Poczul się tak, jakby ktoś go obserwował. Przesunął wzrokiem po ludziach, którzy siedzieli przy sąsiednich stolikach, ale wszyscy wydawali się o wiele bardziej zajęci zawartością swoich talerzy niż jego skromną osobą. W pewnej chwili zorientował się, że Sadie coś mówi, a on wcale jej nie słucha.

- Stan chce się z panem zobaczyć, panie Frost. Chce się umówić na spotkanie.

- Czy jesteście w kontakcie? Skinęła głową.

- Posłuchaj, Sadie. Kiedy odezwie się do ciebie następnym razem, powiedz mu, że nie chcę o niczym wiedzieć. Z początku mu wierzyłem, ale dziś rano znaleźliśmy notes tego zabitego policjanta. Leżał za żywoplotem w pobliżu miejsca, gdzie Stan zostawił samochód,

którym uciekał po napadzie na jubilera. Jeśli nie potrafi tego wytłumaczyć, może zapomnieć o jakichkolwiek spotkaniach czy pomocy z mojej strony.

Już miał wysunąć się z ławki, żeby odejść, kiedy nagle na stół padł czyjś cień. Ktoś stał nad nimi i patrzył, uśmiechając się ironicznie. Frost skulił się i jęknął w duchu. Nie musiał nawet podnosić głowy, żeby wiedzieć, kto to jest. Detektyw Allen wykrzywił usta z wyższością, a w jego oczach błysnęła radość. Nareszcie udało mu się przyłapać Frosta na gorącym uczynku.

- No, no, kogo my tu mamy?

Niech to szlag, pomyślał Frost. Rozejrzał się po kafeterii. Wszędzie sami gliniarze po cywilnemu. Nic dziwnego, że czuł się tak nieswojo.

- Sądziłem, że umówiła się ze swoim mężem - wyjaśnił Allen. - Śledziliśmy ją, odkąd wyszła z domu.

- Proszę wybaczyć - powiedziała Sadie. - Nie miałam pojęcia, że te sukinsyny idą za mną.

Frost siedział zgarbiony i w milczeniu palił papierosa. Przynajmniej miał się czym zająć, dopóki nie uda mu się pozbierać myśli.

- Powinienem był wiedzieć - powiedział w końcu. - Ale ze mnie osioł.

- Powiedziałbym nawet, że zbrodniczy osioł. - Allen siadł ciężko na ławce obok Frosta. - No więc, Frost, jak wytłumaczysz swoją obecność tutaj? Umówiłeś się na spotkanie z żoną człowieka, który zamordował młodego policjanta?

- Poprosiłam pana Frosta, żeby porozmawiał ze mną prywatnie - warknęła Sadie.

- Prywatnie? - przedrzeźniał ją Allen. - A więc niektóre aspekty śledztwa w sprawie morderstwa nagle stały się „prywatne”?

Gwałtownie odwrócił się do Frosta.

- Nie masz prawa widywać się z tą kobietą bez mojego pozwolenia!

Frost nie odezwał się ani słowem. Cały kłopot w tym, że Allen miał stuprocentową rację i w dodatku świetnie o tym wiedział. Na pewno będzie chciał wyciągnąć z tej sytuacji maksimum korzyści. Do diabła z tym, pomyślał Frost. Pochylił się do Sadie i lekko przycisnął jej rękę.

- Postaraj się nie martwić na zapas, kochanie. Potem wstał i przycisnął się obok Allena.

- Hej, a ty dokąd się wybierasz?! - wrzasnął Allen, ale Frost dalej szedł w kierunku wyjścia, jakby wcale go nie słyszał.

W porządku, powiedział sobie Allen. Mnie możesz olewać, Frost, ale poczekaj, aż Mullett o wszystkim się dowie.

- No i jak, przyjemnie było? - spytał Webster, kiedy Frost wrócił do biura i rzucił zwinięty płaszcz w stronę wieszaka.

- Więcej z tego nieszczęścia niż przyjemności, synu. Cwany Mądrała przyłapał mnie, kiedy rozmawiałem z Sadie.

No i dobrze, pomyślał Webster. Przyda ci się taka nauczka.

- Czego chciała?

- Stanley chciałby zobaczyć się ze mną. Powiedziałem, że nie ma mowy.

- Więc ona musi wiedzieć, gdzie on się ukrywa.

- Oczywiście, że wie.

- Powiedział pan o tym panu Allenowi?

- Nie. Skoro jest tak cholernie sprytny, niech sam na to wpadnie.

Rzucił się na krzesło przy biurko i cisnął całą świeżą pocztę na tacę z napisem „dokumenty do zniszczenia”, nawet nie fatygując się, żeby ją przejrzeć.

- Czy Arthur Hanlon ma jakieś nowiny dotyczące naszego ópuna?

- Pytał o pana - zakomunikował Webster. - Mówi, że rozmawiał chyba ze wszystkimi niemytymi i zapchlonymi obywatelami Denton, ale żaden z nich nie widział Bena Cornisha później niż o czwartej po południu.

Frost westchnął z rozczarowaniem.

- Coś nie bardzo nam idzie ta sprawa, prawda, synu? Nikt nie ma czasu ani chęci, żeby się przyłożyć. Wszyscy krążą po mieście, szukając nieszczęsnego Stana Eustace'a, a ja mam do dyspozycji tylko małego, tłuściutkiego Hanlona i muszę znaleźć skurwiela, który zdeptał Bena na śmierć.

Gałka u drzwi zagrzechotała, a potem ktoś kopnął dół drzwi. Webster otworzył, żeby wpuścić sierżanta Ingrama, który taszczył stos jakichś dokumentów.

- Kazano mi to przynieść do pana - wyjaśnił. - To są materiały dotyczące gwałtów w Denton, zgromadzone przez inspektora Allena.

- Połóż je na biurku Webstera - powiedział prędko Frost, który najwyraźniej nie chciał mieć nic wspólnego z tą stertą papierów. Zauważył, że sierżant wyraźnie zmizerniał i że wygląda na zmęczonego. - Zdaje się, że inspektor Allen solidnie goni pana do roboty, co?

- Owszem - przyznał Ingram. - Inspektor Allen prosi, żeby był pan łaskaw nie zniszczyć tych akt.

- Powiedz mu, że będę je traktował jak własne - odparł Frost.

Ingram zmusił się do uśmiechu.

- Chyba właśnie tego się obawia.

Uśmiech natychmiast zgasł. Wychodząc, sierżant Ingram zderzył się z podekscytowanym Johnnym Johnsonem. Frost ruchem głowy wskazał korytarz.

- Ingram nie wygląda na zadowolonego z życia, co?

- Ma kłopoty z żoną - wyjaśnił Johnny. - Powiem ci w zaufaniu, Jack, że jest jeszcze ktoś, kto nie wygląda na szczęśliwego. Pan Mullett. Siedzi w swoim gabinecie i od ponad godziny czeka, aż raczysz przyjść.

Frost otworzył usta.

- Cholera, całkiem zapomniałem o tym starym durniu, - zawołał, uderzając się w czoło otwartą dłonią. - Właśnie do niego szedłem, kiedy zadzwoniła Sadie Eustace.

- On już wie o waszej randce, Jack. Inspektor Allen postarał się, żeby maksymalnie namącić.

- Co za uroczy człowiek - odparł Frost i ruszył do gabinetu komendanta posterunku.

Był już w połowie drogi, kiedy złapał go za rękę posterunkowy Kenny, najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie.

- Złapaliśmy go dla pana, panie Frost. Czeka w pokoju przesłuchań.

Inspektorowi natychmiast poprawił się humor.

- Kto? - spytał pełen nadziei. - Gwałciciel z Denton?

- Nie, panie inspektorze. Tommy Croll, ochroniarz z „The Coconut Grove”. Mówił pan, żeby go przywieźć.

- Ach, tak. - Frost starał się nie okazać, jak bardzo jest rozczerowany. Tyle spraw miał ostatnio na głowie, że rabunek pieniędzy w „The Coconut Grove” umknął mu z pamięci. - Gdzieście go znaleźli?

- Usiłował zakraść się do swojego mieszkania po czyste ciuchy.

Frost poklepał posterunkowego po plecach.

- Dobra robota, Kenny. Potrzymajcie go trochę, dobrze? Pan Mullett czeka, żeby urwać mi jaja, więc nie mogę pozbawiać go tej przyjemności. To nie powinno potrwać dłużej niż dziesięć minut. Zanurzył się w ciemność korytarza, żeby zdążyć na umówione spotkanie z komisarzem.

*

- Wejść! - ryknął Mullett, nie podnosząc głowy znad południowej porcji poczty. Słyszał, jak drzwi się otworzyły, a potem zamknęły. Kiedy spojrzął, przy wejściu stał Frost w swoim wyświechtanym garniturku z workowatymi spodniami. Ledwo łapał powietrze i

wyglądał na czymś zaniepokojonego. Dobrze. On też ma dla niego coś, co powinno do reszty wytrącić go z równowagi.

- Wzywałem pana do siebie już ponad godzinę temu, inspektorze - zauważył lodowato.

- Bardzo przepraszam, szefie - odparł Frost, nerwowo szukając w kieszeni papierosów. Cholera, chyba zostały w biurze. Z nadzieją popatrzył na leżącą na biurku srebrną papierośnicę, która lśniła kusząco w promieniach słońca. Mullett chyba zauważył to spojrzenie, bo jednym ruchem zgarnął papierośnicę do przepastnej szuflady i zamknął na klucz. Czasami człowiek powinien mieć trochę tupetu i poczęstować się bez pytania, pomyślał inspektor z goryczą.

- To ostatnie ostrzeżenie, Frost. Kiedy następnym razem wezwę pana na rozmowę, ma się pan zjawić natychmiast. Biegiem.

Frost zachował milczenie, ale jego mina świadczyła o tym, że bardzo się wstydzi. Dobrze. Kiedy Mullett skończy, będzie się wstydził jeszcze bardziej. Komendant wydobyl z szuflady egzemplarz „Echa” z zakreślonym na niebiesko komentarzem redakcyjnym i podsunął inspektorowi pod nos.

- Widział pan ten artykuł? - Jeszcze nie, panie komendancie.

Przelotnie przejrzał tekst, a potem odłożył gazetę na bok.

- Stek bzdur - oświadczył lekko.

- Wręcz przeciwnie, inspektorze - warknął Mullett. - Napisali szczerą prawdę, choć ta prawda jest dla nas bolesna. Wczoraj wieczorem została zgwałcona następna dziewczyna. Czy pan ją przesłuchał?

- No cóż, nie. - Frost przestępował z nogi na nogę. - Zrobiła to posterunkowa Susan Harvey. Specjalnie pojechała do szpitala, żeby spisać jej oświadczenie...

Ale Mullett nie pozwolił mu skończyć.

- Mamy do czynienia z gwałtem. Dziewczyna zostaje zgwałcona, a prowadzący śledztwo oficer nawet nie pofatyguje się, żeby osobiście ją przesłuchać.

- Wczoraj wieczorem zajmowaliśmy się jej chłopakiem

- odparł Frost. - Dziewczyna twierdziła, że to właśnie jego sprawka. Najpierw musieliśmy go oczyścić z zarzutów.

- Oczyszczanie z zarzutów niewinnego nie ma nic wspólnego ze zmniejszeniem liczby przestępstw, podczas gdy schwywanie winnego jak najbardziej - prychnął Mullett.

- Rozumiem, że jeszcze nie miał pan czasu zorganizować przeszukania terenu?

- Właśnie miałem się tym zająć, kiedy dostałem pańskie wezwanie - odparł Frost, bez zmruczenia oka wytrzymując pełne niedowierzania spojrzenie przełożonego.

- Pozwoli pan, że to później sprawdzę. Czy przesłuchał pan podejrzanych z listy ułożonej przez inspektora Allena?

Nawet nie zajrzałem do tych cholernych akt, pomyślał Frost, choć na głos powiedział coś całkiem przeciwnego.

- To dla mnie priorytetowa sprawa, panie komendancie.

Ale Mullett miał jeszcze spory zapas amunicji. - Jakież postępy w śledztwie dotyczącym śmierci tego włóczęgi?

- Na razie nie ma się czym chwalić - przyznał inspektor.

Mullett popatrzył na niego twardym wzrokiem na znak, jak bardzo jest niezadowolony. Frost coraz częściej szurał nogami i zerkał na błękitny dywan. Jeśli człowiek wygląda na skruszonego, to zazwyczaj egzekucja trwa krócej, a Frost dosłownie umierał z tęsknoty za papierosem.

- Jeśli to wszystko, szefie... - Podsunął się ku drzwiom.

Mullett otwierał i zamykał szuflady. Pamiętał, że było mnóstwo innych rzeczy, ale kartka, na której wszystko zapisywał, gdzieś się zapodziała.

- Co z rabunkiem w „The Coconut Grove”? - warknął w końcu.

- Podejrzany czeka w pokoju przesłuchań, szefie.

- Dobrze. Chcę zobaczyć pańskie konkretne działania, Frost. Chcę się przekonać, że zrobił pan jakieś postępy, bo jak dotąd jest ich żałośnie mało.

Pstryknął palcami na znak, że inspektor może odejść. Za późno przypomniał sobie o Sadie Eustace i tych cholernych statystykach przestępstw.

Frost skulony wrócił do swojego biura, gdzie na samym wstępie dla poprawy nastroju kopnął kosz na śmieci.

- Wielka szkoda, że to nie są jaja naszego ukochanego komendanta - burknął, widząc zdziwione spojrzenie Webstera.

Zaraz potem siadł ciężko na krześle i poszukał papierosów. Podniósłszy głowę, spojrzał na Webstera, który z chłodną pogardą obserwował ten dziecinny atak złości.

- Mullett bredził coś na temat listy podejrzanych w sprawie o gwałt. Masz jakiś pomysł, synu, o co mu chodziło?

Webster wyjął jedną z przysyłanych przez Allena teczek, który zawierał kilka zszytych razem kartek papieru, i wręczył go inspektorowi. Frost pobieżnie przejrzał kartki. Od razu się skrzywił, widząc, ile umieszczono w spisie nazwisk.

- To ma być lista podejrzanych? - prychnął. - Wygląda raczej na Tajną Książkę Telefoniczną Miejscowych Zboczeńców. Allen chyba wpisał tu każdego, kto miał na sumieniu przestępstwo na tle seksualnym.

Zatrzymał się przy czyimś znajomym nazwisku.

- Freddy Gleson! Freddy Migacz. Allen musiał chyba postradać zmysły, jeśli sądzi, że Freddy może być naszym gwałcicielem. Freddy używa kutasa wyłącznie do wystawiania go na pokaz. Inne formy działania są mu całkowicie obce.

Upuścił listę na biurko i odsunął na bok.

- Zapomnij o tym, synu. Sprawdzenie tych wszystkich typków zajęłoby nam ładnych kilka tygodni.

- Czy nie możemy przynajmniej zająć się tymi bardziej prawdopodobnymi? - zaproponował Webster.

Frost jeszcze raz przejrzał listę i wzdrygnął się.

- To tylko cholerna strata czasu. Allen wypisał ludzi, którzy figurują w naszych kartotekach, a mnie przecucie podpowiada, że nasz koleś jeszcze nigdy nie dał się przyłapać, więc nie ma szans, żeby jego nazwisko znalazło się na liście znanych zboczeńców.

Niecierpliwie spojrzął na drzwi, bo ktoś właśnie zapukał. - Tak?

Do środka zajrzał posterunkowy Kenny.

- Tommy Croll czeka na pana w pokoju przesłuchań - przypomniał.

- Właśnie się tam wybierałem, kiedy zapukałeś - odparł Frost.

*

Tommy Croll był nieogolony i nieumyty, a jego ubranie sprawiało wrażenie bardziej wygniecionego niż ubranie inspektora Frosta. Zamrugnął nerwowo, kiedy Frost wszedł do środka w towarzystwie swojego brodatego anioła stróża.

- Cześć, Tommy! - zawołał na powitanie, sadowiąc się na twardym krześle. - Jak miło, że wpadłeś nas odwiedzić.

Tommy nic nie powiedział. Już dawno przekonał się, że w kontaktach z policją najlepiej jak najmniej się odzywać.

Frost skrzyżował ramiona i uśmiechając się życzliwie, wyłowił z kieszeni paczkę papierosów. Palił bardzo powoli, wydmuchując dym prosto w twarz siedzącego po drugiej stronie stołu człowieka.

- Jesteś odpowiedzią na moje modlitwy, Tommy. Ostatnio mam same kłopoty z naszym czcigodnym komendantem okręgu. Żeby wrócić do łask, muszę mieć przyznanie się do winy i to bez żadnego pieprzenia.

- Ale ja naprawdę tego nie zrobiłem - zaskamlał Croll.

- To wielka szkoda - odparł Frost. - Bo to oznacza, że będziemy musieli się uciec do drastycznych środków, na przykład do użycia przemocy.

Kciukiem wskazał drzwi na znak, że życzy sobie, by umundurowany funkcjonariusz opuścił pomieszczenie.

Croll starał się nie pokazać po sobie, jak bardzo się boi. Teraz był w pokoju sam z Frostem i tym brodatym zbirem, o którym słyszał mnóstwo niepokojących historii. Krążyły plotki, że facet dał w pysk samemu Harry'emu Baskinowi, a trzeba być naprawdę supertwardzielem, żeby nawet rozważać taką możliwość.

- Pewnie słyszałeś, że mój brodaty kolega wyleciał z jednostki w Braybridge za złe traktowanie zatrzymanych - powiedział Frost, zupełnie jakby czytał w jego myślach. - Ja osobiście nigdy nie pozwoliłbym mu na takie zachowanie w stosunku do ciebie, Tommy... Przynajmniej nie w mojej obecności.

Podniósł się z krzesła i przeciągnął.

- Więc chyba będę musiał wybrać się na małą przechadzkę po najbliższej okolicy... Tylko postaraj się nie zostawiać żadnych śladów, synu - dodał, odwracając się do Webstera.

Tommy próbował się uśmiechnąć na znak, że uważa to za blef, ale uśmiech za nic nie chciał się pojawić.

- Pan musi mi uwierzyć, panie Frost. Ja tego nie zrobiłem.

- Mam gdzieś, czy to zrobiłeś czy nie! - wrzasnął Frost. - Już ci powiedziałem, że interesuje mnie tylko przyznanie się do winy.

Nagle zastanowił się, jakby przyszła mu do głowy nowa myśl.

- Zgoda, posłucham jednej bajeczki, Tommy, ale tylko jednej, a potem poleci parę zębów. Croll błagalnie rozpostarł ręce.

- Było tak, jak już panu mówiłem, inspektorze... Usłyszałem właściwy kod, otworzyłem drzwi i nagle łup! Ktoś walnął mnie pałką i straciłem przytomność.

- Gówno prawda! - prychnął Frost. - Taki cios nie ogłuszyłby nawet czteroletniego dzieciaka.

Croll przez chwilę ssał dolną wargę, mierząc ostrożnym spojrzeniem postać brodatego zbója.

- W porządku, panie Frost. Powiem panu całą prawdę.

- Dobrze. - Frost rozpromienił się, jednocześnie dając znak swojemu pomocnikowi, żeby z mięśniaka przeistoczył się w stenotypistę.

- Tak jak powiedziałem, panie Frost, gdy tylko usłyszałem sygnał, otworzyłem drzwi. Otworzyłem, a tam stał jakiś gość w masce Stana Laurela i trzymał w ręku coś w rodzaju maczugi. Walnął mnie tym prosto w jaja, ale założę się, że robił to po raz pierwszy, bo nie uderzył zbyt mocno. W każdym razie doszedłem do wniosku, że jeśli nie udam, że straciłem przytomność, to gość rąbnie mnie po raz drugi i to znacznie mocniej, więc osunąłem się na ziemię. Leżałem tam nieruchomo jak kłoda, dopóki nie zabrał pieniędzy i nie poszedł sobie.

- A kiedy poszedł, nie zacząłeś wrzeszczeć i łomotać w drzwi?

- Chciałem tak zrobić, naprawdę. I przyszło mi do głowy, co ze mną zrobi pan Baskin, jeśli odkryje, że nie chciałem walczyć w obronie jego forsy. Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie dalej udawać. Nie krzyknąłem nawet wtedy, kiedy pan Baskin kopnął mnie w zębra.

Frost wypuścił przez zaciśnięte wargi wąziutki strumień dymu.

- Opowiedz mi coś o tym Stanie Laurelu. Spróbuj go opisać.

Croll nieznacznie wzruszył ramionami.

- Średniego wzrostu, przeciętnej budowy ciała. Prawie nie zdążyłem mu się przyjrzeć. Chciwie wciągnął w nozdrza dym z papierosa palonego przez inspektora.

- Dłużej już nie wytrzymam bez papierosa, panie Frost.

- Zaraz ci go wetknę w dupę, jeśli nie podasz mi konkretów, mój słodki Tommy - odparł Frost.

Croll zamrugał i z wysiłkiem przełknął ślinę, jakby bardzo starał się przypomnieć sobie coś, co usatysfakcjonowałoby inspektora.

- No cóż... Ten facet czymś intensywnie pachniał... To chyba była woda po goleniu... Ach, i miał takie szpanerskie buty.

Frost wstrzymał oddech. - Jakie buty?

- Wyglądały na dość drogie. Od razu było widać, że są w bardzo dobrym gatunku. Musiały kosztować fortunę. Kiedy leżałem na podłodze, facet stał obok, dosłownie parę cali od mojej twarzy. Na pewno bym rozpoznał te buty. Takie brązowo-kremowe z plecionką.

Inspektor wyciągnął ręce nad głowę, a potem pomasaował zeszywniały kark.

- Może będziesz mógł nam pomóc, Tommy. - Dźwignął się z krzesła. - Być może nawet bardzo. A teraz albo cię przymkniemy, albo puścimy wolno i damy znać panu Baskinowi, gdzie ma cię szukać. Co wolisz?

- Wolę, żeby mnie pan przymknął, panie Frost.

- No cóż. - Frost uśmiechnął się dobrotliwie, jakby chodziło o wyświadczenie komuś przysługi. - Na dowód naszej przyjaźni.

Wytrząsnął z paczki kilka papierosów, podał Crollowi, a następnie zawołał umundurowanego policjanta i poprosił, żeby odprowadzić aresztanta do celi. Po pozbyciu się Crolla z powrotem usiadł, splótł dłonie na karku i mrucząc z ukontentowaniem, wpatrzył się w sufit.

- Czy coś mi umknęło? - spytał Webster. Odpowiedział mu uśmiech od ucha do ucha.

- Coś mnie tknęło, synu. Jedno z moich słynnych przeczuć.

- Doprawdy, pan mnie zadziwia - odparł Webster bez entuzjazmu.

- Te szpanerskie buty, synu... Brązowo-kremowe, luksusowe buty. W garderobie Rogera Millera stoi cała masa takich butów. Widziałem na własne oczy, kiedy weszliśmy trochę w jego mieszkaniu.

- Tysiące ludzi nosi buty w brązowo-kremowym kolorze - oznajmił Webster, ukradkiem spoglądając na zegarek. Bardzo chciał trafić na lunch w kantynie o tej samej porze co Susan Harvey i miał nadzieję, że ten półgłówek udający inspektora nie będzie go dłużej zatrzymywał.

Ale Frost wcale nie zamierzał się spieszyć.

- Wyobraź sobie taki scenariusz, synu. Roger jest winien Baskinowi mnóstwo forsy. Wie, że Baskin potrafi być bardzo nieprzyjemny, jeśli nie dostanie kasy na czas.

- Już to przerabialiśmy. - Webster westchnął.

- Ale to było wtedy, kiedy sądziłem, że to Baskin podprowadził samochód Rogera. Lepiej mnie wysłuchaj - upierał się Frost. - Roger nie ma forsy, żeby spłacić swoje długi hazardowe, więc wpada na genialny pomysł, że je ukradnie, i to właśnie Baskinowi. Ściąga do pomocy swoją przyjaciółkę z pieprzykiem na pupci - dziewczyna świetnie się orientuje, jakie zwyczaje panują wewnątrz klubu, i to właśnie ona udaje pielęgniarkę, podczas gdy Roger wkłada maskę Staną Laurela i wykonuje brudną robotę.

- To tylko pańskie przypuszczenia. - Webster prychnął pogardliwie. Wywody Frosta nie wywarły na nim najmniejszego wrażenia; wciąż myślał tylko o tym, jak zakończyć tę głupią rozmowę i wyrwać się stąd.

- Jeszcze nie skończyłem, synu. - Frost podniósł się z krzesła i teraz wielkimi krokami przechadzał się po pokoju. - Od początku nie dawało mi spokoju, w jaki sposób odpadła z jaguara ta tablica rejestracyjna. A co byś powiedział, gdyby się okazało, że została celowo odkręcona?

- Przepraszam, ale nie nadążam.

- Wiedzieli, że jeśli Baskin zacznie coś podejrzewać, to obedrze ich ze skóry, więc za wszelką cenę musieli zdobyć alibi. Alibi, które wyłączyłoby z tej sprawy Rogera. Wszyscy

wiedzą, że Roger ma szybki wóz. Więc dziewczyna wkłada którąś z czapek Rogera i jeździ w kółko po osiedlu staruszków, wywala kosze na śmieci, trąbi... Słowem, robi wszystko, żeby obecność jaguara została zauważona. Na wypadek gdyby nikt z emerytów nie zapisał numerów auta, podrzuca w widocznym miejscu tablicę rejestracyjną, żeby gliniarze ją znaleźli. Potem, gdy policjant zgłosi się do Rogera, on będzie mógł powiedzieć: „Tak jest, panie oficerze, to ja zakłóciłem porządek publiczny”. Następnie zapłaci mandat i za nędzne pięćdziesiąt funciaków kupi sobie niepodważalne alibi na czas, w którym dokonano napadu w „The Coconut Grove”. Ale oczywiście nie wszystko się udało, bo dziewczyna potrąciła starszego człowieka i cały misterny plan spalił na panewce. Teraz Roger za żadne skarby nie mógł się przyznać, że to on prowadził. Ukradkiem zerknął na Webstera, żeby przekonać się, jak to zostało przyjęte.

Ale reakcja Webstera była daleka od zachwytu. Natychmiast zauważył słaby punkt w rozumowaniu Frosta.

- Bardzo odkrywcz... Z wyjątkiem tego, że Miller nie był winien Baskinowi żadnych pieniędzy. Spłacił długi dwa dni przed napadem.

Frost nagle zatrzymał się.

- Niech to jasny szlag! - zawołał głośno. - Całkiem mi to wyleciało z głowy!

Drzwi otworzyły się i do środka wkroczył sierżant z parku samochodowego.

- Wszędzie pana szukam, inspektorze. Dziś rano wypożyczył pan od nas samochód.

- Naprawdę? - spytał Frost. Po plecach przeszły mu ciarki, bo nie mógł się oprzeć wrażeniu, że szykują się kolejne kłopoty.

- Tak jest, inspektorze. Kiedy odnaleziono skradzionego vauxhalla, chciał pan jak najszybciej dostać się na miejsce. Powiedział pan, że pomocnik zabrał pański wóz i wziął pan jeden z naszych samochodów, obiecując jak najszybciej odstawić go na miejsce.

- Wróciliśmy stamtąd pańską cortiną - przypomniał Webster.

Cholera, pomyślał Frost. Ten pieprzony samochód musiał zostać przy tamtej dróżce. Pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków, ale bez wątpienia nie miał ich przy sobie.

- Chyba zostały w stacyjce - przyznał z zakłopotaniem. - Ale nie ma problemu. Pojadę tam i przyprowadzę samochód. Wiem, gdzie on jest.

- Chyba jednak pan nie wie, panie Frost - rzekł z ponurą miną sierżant. - Właśnie w tej chwili wyciągają go z dna kanału w Lexington. Policja z Lexington aresztowała dwóch amatorów przejażdżki cudzym autem.

- Psiakrew! - mruknął Frost, całkiem smutny i przybity. - Dziś mam stanowczo zły dzień.

CZWARTEK. DZIENNA ZMIANA/ NOCNA ZMIANA

Webster również nie mógł zaliczyć tego dnia do szczególnie udanych. Nie zdążył wyjaśnić, że chciał w porze lunchu spotkać się w kantine z Susan, a już został wyciągnięty za łeb przez tylne drzwi na parking. Frost był zdecydowany ulotnić się z posterunku, zanim do Mulletta dotrze wiadomość o wpadce ze służbowym samochodem.

Najpierw pojechali do Denton Hospital, żeby przesłuchać siedemnastoletnią ofiarę wczorajszego gwałtu, jednak dziewczyna nie dodała nic nowego do oświadczenia, które już wcześniej złożyła przed Susan Harvey. Co więcej, wciąż była przekonana, że sprawcą napadu jest jej chłopak, mimo że badania medyczne to wykluczyły.

Po odrobieniu tego niewdzięcznego zadania Frost zaprowadził Webstera do jakiejś odrażającej, podrzędnej kafejki dla kierowców, gdzie zjedli przypalone kielbaski, ociekające tłuszczem frytki i groszek z puszki. Jakby tego było mało, Webster musiał z własnej kieszeni zapłacić za nich obu, ponieważ Frost poniewczasie zorientował się, że zapomniał pobrać z banku gotówkę. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że pogłębiający się na czole Webstera mars stanie się jego zwykłą, codzienną miną.

Wracając w ponurym nastroju do samochodu, z żołądkiem wypełnionym kwaśną herbatą i nieświeżym tłuszczem z frytek, Webster zapytał Frosta, dokąd sobie życzy teraz pojechać. Jemu było to zupełnie obojętne. Miał wrażenie, że życie składa się wyłącznie z wożenia Frosta z miejsca na miejsce i przeskakiwania od jednego kryzysu do następnego. Od czasu do czasu pewne urozmaicenie wprowadzała konieczność znoszenia mało śmiesznych dowcipów inspektora na temat bród i bokobrodów.

- Do Denton Woods - odparł Frost. - Komisarz Mullett był bardzo zły na nas, że wczoraj w nocy nie przeszukaliśmy terenu.

- Do tego potrzeba więcej niż dwóch ludzi - warknął Webster i zbyt mocno trzasnął drzwiami. Zaraz skrzywił się niemiłosiernie, bo problemy z trawieniem dały o sobie znać próbnym ukłuciem gdzieś w głębi żołądka.

- Tylko jeśli zależy nam, żeby zrobić to jak Pan Bóg przykazał - oświadczył Frost ochoczo. Wygodnie rozparł się w fotelu i z zadowoleniem smakował papierosa. - Całkiem niezłe było to jedzenie prawda?

Słabiutkie, żółtawe słońeczko ledwie ogrzewało gęsty las, więc podążający ścieżką detektywi coraz bardziej kulili się w swoich płaszczach.

- Wiesz co, synu - powiedział Frost, kiedy precyzyjnie się między krzakami na polankę pokrytą mokrą, przydeptaną trawą. - Znowu mam przecucie. Coś mi mówi, że nasz gwałcień jeszcze dziś w nocy spróbuje szczęścia.

- A tak? - mruknął Webster. Szczerze mówiąc, guzik go to obchodziło. Miał po dziurki w nosie towarzystwa Frosta i odliczał już godziny dzielące go od chwili, gdy skończy służbę i pomknie do małego mieszkania Susan Harvey, gdzie zamknie drzwi na klucz i wyłączy telefon.

- Robi się coraz zimniej - ciągnął Frost. - Facet będzie chciał wykorzystać ostatnich kilka względnie ciepłych dni, bo jeśli później przyjdzie mu chęć rozebrać się w lesie do naga, to ryzykuje, że odmrozi sobie ptaszka.

Trącił butem źdźbło trawy i już zbierał się do odejścia, gdy Webster nagle po coś się schylił. Do dolnych gałęzi krzaka przyczepił się strzęp ubrania. Webster wyciągnął materiał w stronę Frosta, ale ten się odsunął.

- To chyba nie jest żaden ważny ślad, prawda, synu? Nie jestem dziś w odpowiednim nastroju do tropienia czegokolwiek.

Sądząc z wyglądu, strzępek materiału musiał tu wisieć od ładnych kilku lat, ale mimo to Webster wsunął go do małej koperty z plastiku.

- Chciałbym wysłać to do laboratorium... Chyba że ma pan coś przeciwko temu? - spytał takim tonem, że Frost nie ośmielił się sprzeciwić.

- Jeśli to cię uszczęśliwi... A teraz wynośmy się stąd do diabła, zanim ci przyjdzie do głowy zbierać inne śmieci.

Z powrotem precyzyjnie się przez szparę między gałęziami, zanim Webster zdążył zaprotestować, że jeszcze nie zaczęli na dobre przeszukiwać terenu.

- Nie mamy czasu na takie bzdury - mówił, pędząc do samochodu. - Nigdy w życiu nie uda nam się namierzyć drania, jeśli ograniczymy się do węszenia i szukania śladów. Jedyń sposób to złapać go na gorącym uczynku - *in flagranti*, jak mówią prawnicy.

- A jak zamierza pan to osiągnąć? - zapytał Webster.

- Mam pewien plan - odparł Frost, z wdzięcznością wślizgując się po przechadzce po wilgotnym lesie do ciepłego wnętrza samochodu. - Powiem ci, jak wrócimy do biura. Następny postój w banku. Muszę wyjąć z konta trochę gotówki.

Webster zdążył przekręcić kluczyk w stacyjce, kiedy nagle pędzący z rykiem silnika samochód zajechał im drogę i zablokował wyjazd. Ze środka wyskoczył jakiś mały, tustawy jegomość w niebieskim, nieprzemakalnym płaszczu i filcowym kapeluszu z podwiniętym rondem, i co sił w nogach pospieszył w ich kierunku.

- Wszędzie pana szukałem, inspektorze - wydyszał resztką tchu sierżant Arthur Hanlon. - Pan Mullett wpadł w szal

- chodzi o jakiś zniszczony wóz służbowy - a Johnny Johnson powiada, że nie można skontaktować się z panem przez radio.

- Bo radio jest zepsute - oznajmił szybko Frost.

- Radio jest wyłączone - z wyrzutem odparł Hanlon i pstryknął włącznikiem.

- Ja tam nie rozumiem tych technicznych określeń.

- Frost zdecydowanym ruchem znów wyłączył odbiornik i odwrócił się do Arthura. - Mów, co masz do powiedzenia, Arthurze. Muszę jechać do banku.

- Znalazłem kogoś, kto widział Bena Cornisha we wtorek wieczorem. Nazywają go Joe Smieciarz, więc może pan sobie wyobrazić, jaką woń ten gość roztacza dookoła. Widać było, że ledwo kontaktuje, bo potwornie zionął metamfetaminą. Nie wiem, na ile można mu wierzyć, ale podobno spotkał Bena około ósmej wieczorem. Ben właśnie wybierał się do matki, żeby spróbować wydebić od niej trochę pieniędzy.

- To bardzo interesujące, co mówisz, ponieważ jego rodzina powiedziała nam, że nie widzieli Bena od ładnych kilku tygodni. - Frost z zamyśleniem podrapał się po podbródku.

- Zeznanie leży na pańskim biurku - powiedział Hanlon.

- Proszę pociągnąć nosem, to je pan znajdzie.

- Jesteś prawdziwym skarbem, Arthurze. - Frost się rozpromienił. - A teraz, gdyby ktoś pytał, to w ogóle mnie nie widziałeś. Jestem człowiekiem, który nigdy nie istniał.

Zamknął drzwi auta.

- Mała zmiana planów, synu - zwrócił się do Webstera.

- Jedziemy prosto do pani Cornish.

Pani Cornish, która okazała taką obojętność na wieść o śmierci syna, nosiła teraz czarną wełnianą suknię, pamiętającą jeszcze dzień pogrzebu męża. Frost powstrzymał się od skomentowania tego faktu. Razem z Websterem usiadł w maleńkiej kuchni, przesyconej smrodem smażonej cebuli, choć żołądek Webstera stanowczo zaprotestował przeciw takiemu nieludzkiemu traktowaniu i zagroził dalszą rewolucją. Wrzaskliwy kundel zamknięty na tylnym podwórku bez przerwy skakał do okna i jak szalony uderzał nosem w szybę, gotów w każdej chwili rozerwać ich na strzępy.

Pani Cornish była w wojowniczym nastroju. - Już wam mówiłam, że nie widziałam go od Bóg wie jak długiego czasu - oświadczyła, krzyżując ręce. - Nie widziałam i nigdy nie chciałam widzieć.

- Ben spotkał we wtorek wieczorem, gdzieś koło ósmej, jednego z kolegów, i powiedział mu, że właśnie wybiera się do państwa - powiedział Frost.

- No cóż, w takim razie tu nie dotarł - odparła beznamiętnie. - Zresztą gdyby przyszedł, nie wpuściłabym go do domu.

Drzwi wejściowe trzasnęły, a potem w korytarzu zadudniły czyjeś kroki. Danny wszedł do kuchni i na widok detektywów stanął jak wryty.

- O co chodzi, do diabła? - zawołał. Przez moment wyglądał tak, jakby za chwilę miał się obrócić na pięcie i uciec.

- Panowie przyszli zapytać o Bena - jego matka pospieszyła z wyjaśnieniami. - Najwyraźniej uważają, że Ben był u nas we wtorek wieczorem. Powiedziałam, że nie kontaktował się z nami od kilku miesięcy.

- Tak było - potwierdził Danny, ale wciąż kręcił się obok otwartych drzwi.

- To wszystko, co mamy do powiedzenia - oświadczyła pani Cornish. - A teraz chciałabym wyjść, jeśli panowie nie mają nic przeciwko temu.

I żeby przyspieszyć zakończenie wizyty, poprosiła syna, żeby wpuścił do domu psa.

*

Webster wycofał się z bocznej uliczki na wstecznym biegu i skierował samochód w stronę miasta.

- I co pan dzięki temu osiągnął?

Frost siedział pogrążony w głębokich myślach i z wyraźnym trudem powrócił do rzeczywistości.

- Moim zdaniem oni kłamią, synu. Wszystko wskazuje na to, że Ben był we wtorek wieczorem w swoim domu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło piętnaście po trzeciej.

- Wdepnij gaz, synu. Muszę dotrzeć do banku, zanim go zamkną. Tabliczka nad okienkiem kasowym w banku Bennigton głośno głosiła, że młody kasjer nazywa się Gerald Kershaw. Z ponurą miną wziął od Frosta czek i przybił na nim pieczętkę. Stanowczo nie wyglądał na zadowolonego z życia.

- Poproszę w pięciofuntowych banknotach - powiedział Frost, obserwując uważnie, jak kasjer odlicza nowiutkie, szeleszczące banknoty.

- Dziś wieczorem mam się zgłosić na posterunek, panie Frost - oznajmił smutno młody człowiek.

- A co, podebrałeś trochę pieniędzy z czyjegoś konta? - Frost wziął banknoty i przeliczył je powtórnie. - Na twoim miejscu zwałbym gdzieś daleko i tyle by mnie widzieli.

Kasjer uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie, nie jest aż tak źle. Mam tylko dostarczyć prawo jazdy i polisę ubezpieczeniową. Pański kolega z drogówki namierzył mnie, jak jechałem pasem przeznaczonym dla autobusów.

Frost z dezaprobatą pokręcił głową nad powagą wykroczenia.

- Za takie coś grozi mandat w wysokości przynajmniej trzydziestu funtów plus piętnaście funtów kosztów manipulacyjnych. Taniej wychodzi obrabować bank - wtedy wyznaczą ci okres próbny.

Młodzieniec pochylił się w stronę inspektora, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu.

- Panie Frost, czy nie ma sposobu, żeby wycofać ten zarzut? Wiem, że w takich sprawach policja może postąpić według uznania, a to było moje pierwsze wykroczenie.

Frost aż wstrzymał oddech, bo tak go zaskoczyła bezczelność tej sugestii.

- Nie ma mowy - mruknął. Wepchnął plik banknotów do portfela i już odwrócił się, żeby odejść, kiedy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Kiwnął na młodzieńca, żeby przysunął się bliżej.

- Powiem ci coś, Gerald. Być może będę mógł ci to załatwić w zamian za pewną drobną przysługę.

- Drobną przysługę? - powtórzył z powątpiewaniem młody kasjer.

- Właśnie tak; chodzi o oficjalne dochodzenie, ale sprawa jest ściśle poufna. Chcę poznać kilka szczegółów dotyczących konta pewnej osoby.

Kasjer ukradkiem rozejrzał się dookoła. Nikt ich nie obserwował.

- Jak się nazywa właściciel rachunku? - zapytał, przysuwając się do monitora i wstukując hasło umożliwiające dostęp do bieżących informacji.

*

W samochodzie - dobrze ukrytym w bocznej uliczce, na wypadek gdyby w pobliżu przejeżdżał wóz patrolowy - Webster czekał coraz bardziej zniecierpliwiony. Czuł się tak, jakby brał udział w napadzie na bank i miał robić za kierowcę bandytów uciekających z miejsca przestępstwa. Minęło już przynajmniej dziesięć minut od chwili, gdy Frost, zasłaniając twarz wysoko podniesionym kołnierzem płaszcza, przekroczył próg banku Bennington. Ile czasu może zająć temu idiotcie zrealizowanie zwykłego czeku?

Upłynęła kolejna minuta i wreszcie Frost się pojawił. Uśmiechnięty od ucha do ucha, w podskokach biegł w stronę samochodu, a poły płaszcza powiewały za nim jak olbrzymie skrzydła. Po chwili wsunął się na fotel obok Webstera i z uciechą machnął rękoma.

- Zawsze byłem wyznawcą teorii, synu, że jeśli człowiekowi przytrafi się w życiu jakiś pech, to los mu to potem rekompensuje. Już dawno zasłużyłem sobie na jakiś ochłap i właśnie go dostałem. Chcesz wiedzieć, o co chodzi?

Webster nic nie odpowiedział. Stanowczo nie miał ochoty na zabawę w durne zgadywanki.

- Kiedy Roger Miller wypisywał czek dla Harry'ego Baskina, opiewający na cztery tysiące osiemset sześćdziesiąt pięć funtów, jako spłatę hazardowych długów, na koncie nie miał złamanego pensa. Prawdę mówiąc, już wcześniej przekroczył stan konta o trzydzieści dwa funty. Ale rankiem następnego dnia po napadzie wpłacił gotówką pięć tysięcy sto trzydzieści funtów, akurat na czas, żeby czek miał pokrycie.

Webster powoli odwrócił się w jego stronę.

- Dzień po napadzie?

Frost z uciechą klepnął się po udach.

- Tak jest, synu. Jedźmy po tego sukinsyna, żeby go zgarnąć na posterunek.

*

Mimo tępego bólu rozrywającego mu czaszkę komisarz Mullett zdobył się na dzielny uśmiech, żeby podziękować swojej sekretarce, pannie Smith, która przyniosła mu filiżankę gorącej, słodkiej herbaty i dużą butelkę z aspiryną. Ból stawał się coraz dokuczliwszy, więc Mullett zdjął okulary i uszczypnął się w czubek nosa, żeby nieco złagodzić napięcie, a potem skupił uwagę na tym, co mówi stojący przed nim sierżant.

- Od godziny pierwszej bez przerwy staramy się nawiązać kontakt z inspektorem Frostem, panie komendancie. Niestety, bez skutku.

Mullett mruknął coś z dezaprobatą, a następnie wsadził do ust dwie aspiryny i popił je solidnym łykiem herbaty.

- Być może radio w jego samochodzie jest zepsute - zasugerował sierżant.

- Oczywiście - warknął Mullett, odstawiając filiżankę na spodeczek. - Wszyscy wiedzą, że radio pana Frosta psuje się bardzo często i zazwyczaj w dogodnym dla niego momencie. Inspektor Frost ma się u mnie zameldować natychmiast po przyjeździe na posterunek.

Po odprawieniu sierżanta Mullett pozwolił sobie na chwilę odprężenia - wyciągnął z szuflady kopertę z herbem Izby Gmin. W środku znajdowało się wydrukowane złotymi literami zaproszenie oraz krótki liścik, odręcznie napisany przez samego sir Charlesa, w którym sir Charles dziękował za pomoc przy wyjaśnianiu okoliczności wypadku i zapraszał

komendanta wraz z małżonką na towarzyskie spotkanie w swojej rezydencji. Spotkanie przewidziane zostało na następny wieczór i również miał być na nim obecny szef policji.

Radość Mulletta z otrzymania zaproszenia była tak wielka, że prawie wymazała mu z pamięci nieszczęsną sprawę ze zniszczonym policyjnym samochodem. Już miał za sobą przykre rozmowy telefoniczne z prasą z prośbą o komentarz i drżał na myśl o jutrzejszym porannym wydaniu „Echa”, które ostatnimi czasy ze szczególną zawziętością tropiło wszelkie potknięcia miejscowej policji.

Przesunął opuszką palca po pozłacanym brzegu zaproszenia. Od razu poczuł się lepiej. W liście znajdował się prywatny telefon sir Charlesa oraz prośba o osobiste potwierdzenie przybycia, więc Mullett wybrał numer i zanurzył się w fotelu, czekając, aż kamerdyner, który odebrał telefon, znajdzie swojego pana. I właśnie wtedy ktoś zapukał do drzwi.

- Czekać! - zawołał Mullett władczo, ale jego polecenie zostało kompletnie zignorowane. Drzwi się otworzyły i do gabinetu wtargnął Frost uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Powiedziałem, żeby czekać - warknął Mullett. Typowe, pomyślał z irytacją. Nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny, za to kiedy człowiek prosi, żeby chwilę poczekał, wchodzi do środka, nie zważając na nic.

- Hello, Mullett - po drugiej stronie rozległ się rozpromieniony głos sir Charlesa.

- Właśnie aresztowałem Rogera Millera - oznajmił Frost. Mullett otworzył usta i zaraz je zamknął. Patrzył to na Frosta, to na trzymaną w prawym ręku słuchawkę.

- Co takiego? - wyskrzecztał.

- Mullett, czy jest pan tam? - dopytywał się coraz bardziej zdziwiony sir Charles.

- To Miller podwędził zeszłej nocy te pięć kawałków w „The Coconut Grove” - mówił z dumą Frost. - Wspólniczką była jego przyjaciółka. Właśnie złożyła pełne zeznanie.

Mullett zdobył się na blady uśmiech pochwały, choć kosztowało go to wiele wysiłku. Nagle z bólem uświadomił sobie, że głos po drugiej stronie staje się coraz bardziej zirytowany, więc wziął głęboki oddech.

- Sir Charles - powiedział w końcu. - Obawiam się, że mam dla pana złe wieści.

Cisnął do kosza na śmieci zaproszenie ze złożonymi brzegami. Upadło na samo dno z głuchym odgłosem, który w uszach Mulletta zabrzmiał jak podzwonne dla jego towarzyskich aspiracji.

- Świetnie się spisales, Jack! - zawołał Johnny Johnson, kiedy inspektor klusem podążył do swojego biura. - Jak Mullett to przyjął?

- No cóż, nie rzucił mi się do stóp, żeby je ucałować, ale przynajmniej udało się odwrócić jego uwagę od samochodu, który straciliśmy z mojej winy.

Zagranie Frosta jak zwykle polegało na mydleniu oczu, w tym wypadku dwóm osobom naraz, a dodatkowo w tej ryzykownej grze dopisało mu szczęście, co normalnie rzadko się zdarzało. Zaczął od dziewczyny, Julie King. Powiedział jej, że Roger został rozpoznany jako sprawca napadu i że przyznał się do winy, wskazując ją jako współniczkę.

- Co za pieprzony skurwysyn! - zawołała z oburzeniem. - Obiecał przecież, że będzie mnie krył.

Zaraz potem złożyła oświadczenie, opowiadając ze szczegółami wszystko, co Frost z Websterem chcieli usłyszeć. Uzbrojony w jej przyznanie się do winy Frost aresztował Millera i gdy młody człowiek siedział już w celi, uzyskał nakaz przeszukania jego apartamentu. Podczas rewizji znaleziono kosztowne, robione na zamówienie buty z brązowo-kremowej skóry, na co Frost zareagował, odgrywając zasługującą na Oscara scenę absolutnego zaskoczenia. Croll zidentyfikował je później jako buty, które miał na nogach sprawca napadu. Natomiast za tylną ścianą szafy tkwiła schowana maska Staną Laurela.

Teraz czekała Frosta masa nudnej roboty - wypełnianie stert papierów i łączenie w całość rozmaitych wątków śledztwa. W pewnym momencie od pracy oderwał go telefon od Harry'ego Baskina, z którym niewątpliwie zdążył się skontaktować sir Charles Miller. Baskin oświadczył, że nie zamierza wnosić oskarżenia.

- To nie jest sprawa z powództwa cywilnego, Harry - odparł Frost. - To sprawa kryminalna, więc praktycznie nie masz tu nic do powiedzenia.

Przez następną dwie godziny w biurze Frosta panowało zamieszanie - prawnik Rogera Millera wchodził i wychodził, mijając się w drzwiach z dyrektorem Biura Oskarżyciela. Dopiero później Frost mógł się skupić na istotniejszych sprawach.

- Teraz zamierzam się zająć śledztwem w sprawie gwałtu, synu - poinformował Webstera. - Dziś wieczorem chcę to ruszyć z miejsca.

- Dziś wieczorem? - powtórzył Webster z nadzieją, że się przesłyszał. Planował spędzić tę noc w wąskim El Dorado pojedynczego łóżka Susan Harvey.

- Tak. Mój instynkt podpowiada mi, że Król Kutas ciągle krąży w pobliżu i szykuje na dzisiejszy wieczór kolejne uderzenie. Podstawmy mu więc kogoś, na kogo będzie mógł zapolować.

- Kogoś na wabia?

- Właśnie. Kogoś młodego i atrakcyjnego, z ogromnymi cyckami...

Otworzył drzwi i wrzasnął w stronę pokoju dyżurnych funkcjonariuszy.

- Sue! Masz chwilę czasu?

Och, nie, pomyślał z konsternacją Webster. Proszę, tylko nie Sue!

Frost popchnął krzesło w jej kierunku, żeby mogła usiąść.

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? - zapytał. Zawahała się, rzucając ukradkowe spojrzenie na Webstera, który mógł jedynie bezradnie kręcić głową.

- Jeśli nie, to co myślisz o tym, żeby zostać zgwałconą? - kontynuował Frost.

To oczywiście jeden z dowcipów inspektora, pomyślała i w oczekiwaniu na puentę zaczęła chichotać. Nagle spostrzegła, że inspektor jest śmiertelnie poważny.

- Potrzebuję cię w charakterze przynęty, Sue. Dla tego cholernego gwałciciela. Dziś wieczorem chcę go zwabić w pułapkę.

Zastanawiała się tylko przez moment.

- Jak wygląda pański plan?

- Szczerze mówiąc, to plan inspektora Allena. Znalazłem go w aktach sprawy. Wyposażymy cię w dwuzakresowe radio i obstawimy cały teren. Będziesz włóczyć się po lesie, emanując seksapilem i kiedy on połknie haczyk, błyskawicznie złapiemy drania, a potem pojedziemy do domu napić się herbaty. Co ty na to?

Uśmiechnęła się.

- Może pan na mnie liczyć. Po tym, co wczoraj wieczorem zrobił tamtemu dziecku, wykonam każde zadanie, byle złapać tę świnię.

Frost pogłaskał ją po ręku.

- Grzeczna dziewczynka. A teraz posłuchaj: wiemy, że on lubi młode, niewinne dziewczynki o wilgotnym spojrzeniu. Żadnego biustonosza, zmysłowych majteczek czy makijażu. Proste, zwykłe ubranie. I pamiętaj zabrać z sobą egzemplarz *Kamasutry*.

Zerknął na zegarek.

- Dochodzi wpół do siódmej. Jedź do domu. Spróbuj się przekimać, bo jeśli szczęście dopisze, to czeka nas pracowita noc. O dziesiątej przyślę Webstera, żeby zabrał cię z domu i przywiózł tu na ostatnią odprawę.

Webster ziewnął niedwuznacznie. Gdyby mógł teraz urwać się ze służby, odwiózłby Sue do domu, położył do łóżka i mogliby obydwójce nieco wypocząć, a co ważniejsze, wynagrodzić sobie wczorajszą nieudaną noc.

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy poszli się zdrzemnąć - zasugerował.

- Racja - zgodził się Frost. - Ale najpierw musimy załatwić parę pilnych spraw.

Lepiej, żeby naprawdę były pilne, pomyślał Webster. Szepnął Susan na ucho, że postara się być o dziewiątej, może nawet wcześniej, dzięki czemu będą mieli całą godzinę, zanim nadejdzie pora, żeby przebrać się za przynętę.

- Co konkretnie mamy robić? - spytał niecierpliwie, kiedy Susan wyszła.

- Mmm?

Frost wcale go nie słuchał. Wyciągnął skądś paczkę ze zdjęciami z kolekcji Davida Shelby'ego i teraz całą uwagę skupiał na jednym z nich. Zdjęcie przedstawiało Shelby'ego i pewną kobietę. Obydwoje byli nadzy. Shelby leżał na wznak, uśmiechając się od ucha do ucha, podczas gdy kobieta siedziała na nim okrakiem, odwrócona plecami do aparatu, wystawiając na pokaz swoje wspaniałe pośladki. Frostowi nagle przyszło do głowy zakończenie starego, znanego wszystkim dowcipu.

- Wiem, że to był kierownik - mruknął do siebie. - Bo to ja musiałam odwalić za niego całą cholerną robotę.

Poczuł na sobie spojrzenie Webstera.

- Coś nie daje mi spokoju, synu. Dlaczego mam wrażenie, że wiem, gdzie zostało zrobione to zdjęcie, i czuję, że to istotne?

Jak to możliwe, że ten stary dureń nie potrafi się skupić na jednej rzeczy? - pomyślał z irytacją Webster, schylając się, żeby rzucić okiem na zdjęcie. Cholera! Szczęśliwy Shelby! Nieznana kobieta wyglądała na prawdziwą małą seksoholiczkę, a erotyczna pozycja sprawiła, że Webster tym bardziej niecierpliwie wyglądał chwili, gdy wyrwie się ze służby i wyląduje w małym łóżeczku Sue, żeby uśmiechać się do niej tak samo, jak Shelby uśmiechał się do swojej kochanki.

- Nie jestem pewien, kim jest ta kobieta - odezwał się Frost. - Być może to sekretarka Mulletta. Jednak jestem pewien, że już widziałem tę sypialnię. Byliśmy tam... I to całkiem niedawno.

Webster oderwał wzrok od ponętnych pośladków i przyjrzał się temu, co znajdowało się na fotografii. Kochankowie uwiecznieni zostali na tle żółtawej, niewyraźnej płaszczyzny. Po jednej stronie znajdowała się jakaś rozmazana brązowa plama, która mogła być nocną szafką, a na niej stało coś, co połyskiwało na czerwono. Pokręcił głową. Te szczegóły z niczym mu się nie kojarzyły.

Nagle Frost wydał okrzyk triumfu.

- Mam! - Dziobnął palcem w zdjęcie. - To sypialnia pani Dawson!

Webster wziął do ręki fotografię i przyjrzał się jej jeszcze raz, starając się porównać to, co widział, z tym, co pamiętał. Oczywiście. Żółtawe tło, zmienione nieco przez rozbłysk

flesza, było skórzanym zagłówkiem łóżka w ciepłym, kremowym kolorze. Kiedy to ustalili, pozostałe przedmioty również nabrały ostrości, łącznie ze stojącym na szafce budzikiem z ogromnymi, podświetlanymi na czerwono cyframi. Nie było wątpliwości - Dave Shelby uprawiał seks z panią Dawson, słynną z wyjątkowo urodziwych pośladek.

- A może jej stary o wszystkim się dowiedział? - zapytał cicho Frost.

Webster gwizdnął przeciągle. Jeśli tak, to cena, jaką zapłacił Shelby, była diabelnie wysoka. Max Dawson znany był z gwałtownego usposobienia i miał niezłą kolekcję broni palnej. Ta myśl uderzyła go, bo nagle odwrócił się do Frosta.

- Chyba pan nie chce zasugerować, że...? - Dlaczego nie? - odparł Frost. - Według mnie jest o wiele bardziej prawdopodobne, że to Dawson zastrzelił Shelby'ego, niż że zrobił to Eustace Fajtłapa. Poza tym wciąż nie daje mi spokoju, że w samochodzie, którym uciekał, nie znaleziono śladów krwi.

- Ale znaleziono dziennik Shelby'ego. Frost odruchowo włączył i wyłączył długopis.

- Musi być jakieś inne wytłumaczenie, w jaki sposób ten dziennik znalazł się w tamtym miejscu - powiedział po dłuższej chwili i wsadził długopis z powrotem do górnej kieszeni marynarki.

- Powinien pan powiedzieć o tym panu Allenowi. Ale Frost przecząco pokręcił głową.

- On nawet nie zechciałby mnie wysłuchać, synu. Jak rzep psiego ogona uczepił się myśli, że to robota Stana Eustace'a. Nawiasem mówiąc, wolałbym, żeby nikt nie oglądał tych zdjęć, dopóki nie będę miał całkowitej pewności. Musimy najpierw sami przesłuchać Maksa Dawsona.

- Ale to nie jest nasze śledztwo - zwrócił mu uwagę Webster.

Frost włożył zdjęcie pomiędzy pozostałe i schował do kieszeni.

- Obiecałem żonie Stana, że pomogę mu, jeśli będę mógł.

- Nie jest pan jej nic winien. I tak mamy dość roboty z tym śledztwem w sprawie gwałtów. Zresztą komendant ukrzyżuje pana, jeśli się przekona, że pan znowu się wtrąca.

Jednak jego przemowa na nic się nie zdała. Kiedy Frost wbił sobie coś do głowy, nie pomagały ani logiczne argumenty, ani odwoływanie się do zdrowego rozsądku.

- To nie potrwa długo, synu - powiedział tylko.

*

Drzwi otworzyła Clare, ubrana w przezroczystą bluzkę i obcisłe białe spodnie, ale uśmiech na jej twarzy od razu zgasł, jakby spodziewała się zobaczyć kogoś innego.

- Max wyjechał - oznajmiła, obrzucając ich zdziwionym spojrzeniem. - Pojechał do Londynu na jakieś spotkanie i będzie z powrotem dopiero jutro rano.

- Więc może pani mogłaby nam pomóc. - Inspektor uśmiechnął się. Właściwie pasowało mu, że najpierw porozmawia z nią.

Poszli w ślad za sławnymi, fotogenicznymi pośladkami przez wyłożony dębowymi panelami salon, na którego ścianach wisiała imponująca kolekcja broni należąca do pana domu. Być może któraś z nich została użyta do pozbawienia życia Davida Shelby'ego. Pani Dawson czekała, wyraźnie podenerwowana, i pocierała ręką kark, podczas gdy Frost niespiesznie rozplątywał owinięty dookoła szyi szalik. W salonie było gorąco i duszno. Sztuczny kominek grzał na cały regulator.

- O co chodzi? - spytała z niepokojem.

- Co słyszeć u Karen?

Frost zwinął szalik w kłębek i wcisnął go do kieszeni. Potem rozpiął płaszcz i nie czekając na zaproszenie, usadowił się na kanapie.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała Clare. - Mąż zgodził się, żeby po zakończeniu semestru przeniosła się do szkoły baletowej.

Frost popatrzył na nią z uśmiechem.

- Rozumiem więc, że tajemnice nie wyszły na jaw? - Nie.

Czekała, aż inspektor wreszcie przejdzie do sedna.

Frost otworzył portfel, wyciągnął stamtąd czarno-białą fotografię uśmiechniętego Davida Shelby'ego - tę samą, która została opublikowana w prasie - i podsunął pani domu.

- Czy zna pani tego człowieka?

Ledwie rzuciła okiem na zdjęcie i od razu pokręciła głową.

Ale Frost wciąż trzymał tę fotografię przed jej oczyma.

- Sądzę, że pani go zna, pani Dawson. To Dave Shelby, był policjantem, miał żonę i dwoje małych dzieci... Wczoraj został zastrzelony.

- Och! - Wzięła fotografię i udała, że dopiero teraz poznaje przedstawionego na niej mężczyznę. - Oczywiście. Czytałam o nim w prasie.

Podala zdjęcie Frostowi, ale inspektor nie wyciągnął ręki.

- Więc już pani wie, dlaczego tu jesteśmy? Jej ręce leciutko zdrząły.

- Nie mam zielonego pojęcia.

W tym czasie Webster wędrował po salonie. Podszedł do stojaka ze strzelbami i karabinami i przyglądał się lśniącym łożyskom i czarnym, matowym lufom. Jeśli śmiertelna broń w ogóle może być piękna, to ta właśnie taka była. Z pobieżnego oglądania trudno było wywnioskować, czy z którejś z nich ostatnio strzelano, a nawet jeśli tak, to przed powrotem na stojak z pewnością została dokładnie wyczyszczona.

Frost wyjął z dłoni pani Dawson czarno-białą fotografię i zastąpił ją zdjęciem z polaroidu. Cała krew odpłynęła z jej twarzy.

- Dlaczego pan mi to robi? - wyszeptała.

- Ponieważ prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, pani Dawson. Debbie widziała, jak jakiś mężczyzna zaciąga zasłony w sypialni, ale to nie była sypialnia Karen... Chodziło o sąsiedni pokój - o pani sypialnię. Była pani w łóżku z Davidem Shelbym, kiedy Karen niespodziewanie wróciła ze szkoły, mam rację? Zobaczyła was razem. Czy właśnie dlatego wybiegła z domu?

Clare oddała zdjęcie inspektorowi, a potem bez słowa powoli podeszła do barku i naląła sobie pełną szklankę wódki. Gestem zaproponowała Frostowi, żeby się przyłączył, ale podziękował. Opierając się łokciem o blat, jednym haustem przełknęła połowę zawartości szklanki, a następnie odstawiła ją na bok.

- W porządku. Tak jest, byłam w łóżku z waszym policjantem. Ale nie wiedziałam, że on ma żonę i dzieci.

- Czy zrobiłoby to pani jakąś różnicę, gdyby pani wiedziała? - zainteresował się Webster.

Ze zmarszczonym czołem przez chwilę zastanawiała się nad tym, a potem pokręciła głową. Ten ruch był tak nieznaczny, że niemal niezauważalny.

- Nie. Nie sądzę, żeby mi to robiło różnicę. Nic na to nie poradzę, że potrzebuję mężczyzny. Davida poznałam w pubie, już zapomniałam którym. Czułam się wtedy bardzo samotna.

Podniosła głowę i przesunęła spojrzeniem po ogromnej przestrzeni salonu.

- Ten dom jest taki wielki, taki pusty... Ani Karen, ani Max tak naprawdę mnie nie potrzebują. Dave zwykle przychodził do mnie popołudniami, kiedy miał środkową zmianę. Był bardzo przystojny i zabawny. Lubił niekonwencjonalny seks. Poza tym miał bzika na punkcie robienia zdjęć. Obiecywał, że je spali. W przeciwnym razie nigdy bym mu nie pozwoliła na coś takiego.

- Kiedy zostało wykonane to zdjęcie? - zapytał Frost. - Właśnie tamtego popołudnia. Tuż przedtem, zanim Karen wpadła do sypialni. Kiedy to się stało, oboje przeżyliśmy największy szok w życiu. - Clare zadrżała na samo wspomnienie. - Dave powiedział, że już więcej nie będzie przychodził, ale jakoś zdołałam go przekabacić. A potem, kiedy przeczytałam w gazecie, że został zabity...

Dokończyła drinka i od razu naląła sobie następnego.

- Kiedy pani mąż się dowiedział? - od niechcienia zahaczył Frost.

Popatrzyła na niego z przerażeniem, kręcąc energicznie głową.

- Mój mąż? Boże święty, on o niczym nie wie! Zabiłby mnie, gdyby się dowiedział. Nawet nie potraficie sobie panowie wyobrazić, jak potrafi być gwałtowny, kiedy wpadnie w gniew.

- Chyba jednak potrafimy - odparł Frost. - Naszym zdaniem tak się dał ponieść wściekłości, że kiedy Karen opowiedziała mu o tym, co widziała, pani mąż wziął jedną ze swoich kosztownych strzelb, pojechał poszukać Shelby'ego, a następnie odstrzelił mu połowę głowy. Czy chce pani zobaczyć na zdjęciu, jak wyglądał pani kochanek po tym nieszczęsnym spotkaniu?

Szklanka zadzwoniła, gdy pani Dawson gwałtownie postawiła ją na blacie barku.

- Max nic nie wie o mnie i Davidzie. Gdyby wiedział, najpierw zabiłby mnie, a zaraz potem jego.

Frost wyciągnął z kieszeni zwinięty w kłębek szalik i dokładnie zapiął płaszcz.

- No cóż, miejmy nadzieję, że pani mąż ma na wczoraj wiarygodne alibi.

Kurczowo chwyciła go za rękaw.

- Chyba nie zamierza pan mu powiedzieć? Na litość boską, przecież nie powie mu pan o mnie i Davidzie! - Zamilkła na chwilę. - Proszę poczekać. O jaką porę dnia chodzi?

- Od piątej wzwyż.

Zastanowiła się, a potem jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Nie ma problemu. Mój mąż był w tym czasie na zawodach strzeleckich w swoim klubie - w Stowarzyszeniu Broni Krótkiej Denton. Mieli rozegrać jakieś zawody z członkami innego klubu. Max wyszedł stamtąd sporo po dziewiątej.

- Jaką broń zabrał? - spytał Webster.

- Pistolet automatyczny i dubeltówkę.

- Sprawdzimy to w tym klubie - powiedział Frost. - Jeśli potwierdzą jego obecność, nie będziemy więcej zawracać głowy ani jemu, ani pani. Proszę się nie fatygować, sami wyjdziemy.

Gdy otworzyli drzwi, na progu stał młody, przystojny mężczyzna. W ręku trzymał coś, co wyglądało na małą walizeczkę, jaką zwykle zabiera się na jedną noc.

- Och, strasznie przepraszam - powiedział. - Musiałem pomylić domy.

- Nie wydaje mi się - odparł Frost. - Ona czeka na pana w salonie. Czy pamiętał pan, żeby zabrać aparat fotograficzny?

*

Z niewyjaśnionych powodów Frost uparł się, że sam sprawdzi alibi Maksa Dawsona, i zostawił zniecierpliwionego Webstera, żeby poczekał na niego przed ekskluzywną siedzibą klubu strzeleckiego. Mniej więcej po piętnastu minutach wynurzył się z budynku i przygarbiony niezdatnym krokiem ruszył w dół schodów.

- No i co? - zapytał Webster, kiedy inspektor wślizgnął się na fotel pasażera.

- Dawson przyjechał przed piątą i wyszedł grubo po dziesiątej wieczorem - odparł Frost ponurym tonem. - Nie ma sposobu, żeby on to zrobił... Cholernie żałuję.

Webster uniósł brwi.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Bo jeśli to nie on, to w takim razie musiał to być ktoś inny, zgadza się? - mruknął Frost, jeszcze głębiej zapadając się w fotel.

W milczeniu pojechali na posterunek. Nagle Frost uprzytomnił sobie, że nie uzyskał zgody komendanta okręgu na dzisiejszą nocną operację z wykorzystaniem podstawionej osoby w charakterze przynęty.

Czym prędzej pobiegł do gabinetu Mulletta, gdzie sekretarka szefa, siwowłosa panna Grey, siedziała pochylona nad maszyną do pisania i z niebywałą szybkością wystukiwała jakiś raport.

- Słucham, inspektorze? - powiedziała, nie odrywając oczu od przepisywanego tekstu.

- Chciałbym się spotkać z Harrym Okularnikiem. Panna Smith prychnęła pogardliwie.

- Jeśli ma pan na myśli komendanta okręgu, to musiał pojechać do kwatery głównej. Może ja mogłabym coś dla pana zrobić?

- To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony, Ida. - Frost uśmiechnął się od ucha do ucha. - U mnie czy u ciebie?

Zaśmiewając się rubasznie, zostawił zarumienioną po uszy i nieco oburzoną jego wątpliwym poczuciem humoru pannę Smith, i poszedł do swojego biura.

Po drodze wstąpił do recepcji, gdzie za biurkiem siedział sierżant Johnny Johnson.

- Ilu ludzi możesz mi odstąpić na noc, Johnny?

- Żadnego - odparł sierżant, zajęty rysowaniem linii kończącej zapis w dzienniku. - A do czego są panu potrzebni?

- Do operacji „Pułapka na myszy”. Chodzi o zwabienie w pułapkę naszego gwałciciela.

Johnson skinął głową. Trochę pamiętał szczegóły planu, ale z tego, co się orientował, na razie ten pomysł nie uzyskał oficjalnej aprobaty przełożonego.

- Czy rozmawiałeś na ten temat z komisarzem Mullettem? - zapytał podejrzliwie.

Frost wyciągnął w jego stronę otwarte pudełko papierosów.

- Właśnie wracam z gabinetu pana Mulletta - oświadczył zgodnie z prawdą.

Johnny skorzystał z zapalanej zapałki, a następnie sprawdził rozkład dyżurów.

- Na jak długo są ci potrzebni?

- Na tyle, na ile będzie trzeba, Johnny. Dwie godziny, może trzy. Jeśli facet nie połknie haczyka do, powiedzmy, pierwszej w nocy, to odwołam operację.

- Coś ci powiem - odparł Johnson. - Zakładając, że będziesz mógł ich zwolnić, gdyby się zdarzył jakiś nieprzewidziany wypadek, mogę wysłać z tobą czterech ludzi i wóz patrolowy.

Frost wyraźnie się skrzywił. To stanowczo za mało. Plan Allena przewidywał udział przynajmniej piętnastu osób.

- Psiakrew, Johnny! Próbuję obstawić Denton Woods, a nie jakąś cholerną skrzynkę z kwiatami!

Sierżant tylko wzruszył ramionami i wrócił do wypełniania dziennika zgłoszeń.

- Nie możesz dostać tego, czego po prostu nie ma. Zdecyduj się, czy ich bierzesz, czy dajesz sobie spokój.

Wydawało się nieprawdopodobne, żeby plan mógł odnieść sukces przy tak niewystarczającej obsadzie. Z góry był skazany na klęskę.

- Biorę ich - powiedział jednak Frost.

*

Webster usiadł w fotelu w swoim pokoju i na kilka minut zamknął oczy. Zaraz potem miał wskoczyć do cortiny i popędzić do Sue, żeby spędzić u niej prawie godzinę, zanim będą musieli wyruszyć na operację „Pułapka na myszy”. Sam nie wiedział, kiedy zapadł w głęboki sen.

On i Susan - nadzy, spoceni i pełni fantazji - razem z Davidem Shelbym i panią Dawson zabawiali się we czworo w ogromnym łożu z zagłówkiem z kremowej skóry, kiedy nagle drzwi do sypialni otworzyły się na oścież. W progu stał wykrzywiony z wściekłości Max Dawson z dubeltówką w ręku. Gdy naciskał spust, Webster szarpnął się i w mgnieniu oka się obudził, a huk wystrzału zmienił się w natrętny dzwonek telefonu.

Dzwoniła Sue. Była zła jak osa. Nieznoszącym sprzeciwu tonem zapytała, gdzie on się podziewa, do wszystkich diabłów. Webster spojrzął na zegarek. Psiakrew! Za dziesięć dziesiąta, a odprawa miała się zacząć za dwadzieścia pięć minut.

Opryskał twarz zimną wodą i przeskakując po kilka stopni naraz, popędził po schodach do samochodu. Przeciskając się przez kilka skrzyżowań w ostatniej sekundzie przed

zmianą świateł, wylądował pod domem Sue dokładnie za trzy dziesiąta. Zatrąbił, a wtedy Sue zbiegła na dół i nie zaszczycając go choćby jednym spojrzeniem, wsiadła do samochodu. Wyglądała olśniewająco. Zmyła z twarzy cały makijaż, dzięki czemu jej skóra lśniła teraz łagodnym, naturalnym blaskiem. Włosy ułożyła z tyłu głowy w zwykły, prosty kok. Na sobie miała spłowiałe dzinsy i białą nylonową wiatrówkę, zarzuconą na T-shirt w czerwono-białe paski. Masz wyglądać dziewiczo i niewinnie, zapowiedział jej Frost. Wykonała jego polecenie tak dokładnie, że Webster był gotów zaciągnąć ją z powrotem do mieszkania, wpełznąć do łóżka i niech diabli porwą Denton, Frosta i jakąś pieprzoną „Pułapkę na myszy”!

Siedziała obok z zaciśniętymi ustami i ściągniętą twarzą, a w jej spojrzeniu wciąż tlił się gniew.

- Wybacz mi, Sue - powiedział potulnie. - Usiadłem na chwilę w fotelu i przysnąłem. Byłem cholernie zmęczony.

Otwartą dłonią uderzył w klakson, bo jakiś idiota rowerzysta skręcił mu prosto pod koła.

Sue bawiła się rzemykiem od torebki.

- Nie ma sprawy - powiedziała w końcu, patrząc wprost przed siebie.

- Posłuchaj, mówię ci przecież, że cholernie mi przykro...

- A ja mówię, że nie ma sprawy - powtórzyła. Zakręcił ostro kierownicą i wjechał w jakąś kiepsko oświetloną, boczną uliczkę. Wcisnął hamulce, a potem chwycił Sue za ramiona i zaczął całować, szukając jej języka i siłą zmuszając do otwarcia ust. Kiedy się rozdzielili, obojgu brakowało w piersiach tchu. Łapali powietrze krótkimi haustami jak wyrzucone na brzeg ryby.

- Zadzwoń do Frosta i powiedz, że nie przyjedziesz. Że się rozmyśliłaś. Zresztą i tak wyjdzie z tego żalosna farsa, skoro to on ma dowodzić.

Zdecydowanym ruchem odsunęła jego rękę. - Ja zawsze dotrzymuję słowa.

Z powrotem włączył silnik i po chwili wtopili się w rzekę samochodów płynącą po głównej ulicy.

- Kiedy operacja „Pułapka na myszy” dobiegnie końca, czy będę mógł zostać u ciebie na resztę nocy?

Nieskalane szminką usta Sue ułożyły się w niewinny, prosty i emanujący erotyzmem uśmiech.

- Zgoda.

Webster wcisnął pedał gazu, zostawiając resztę aut daleko z tyłu. Miał nadzieję, że dziś w nocy nie będzie spał samotnie.

Oczywiście, jeśli cała operacja w wykonaniu inspektora Frosta nie okaże się kolejnym wielkim niewypałem.

*

Do sali odpraw udało im się dotrzeć jedynie z pięciominutowym opóźnieniem. Gdy otworzyli drzwi, powitała ich salwa ochryplego śmiechu. Siedzący przy stole na podium Frost właśnie skończył opowiadać jeden ze swoich mało subtelnych dowcipów i teraz dławił się ze śmiechu, czyniąc znacznie więcej hałasu niż ktokolwiek z jego słuchaczy. Zresztą tych słuchaczy była naprawdę garstka - pięciu mężczyzn, w tym czterech ubranych po cywilnemu. Z początku Webster miał kłopoty z poznaniem, kto przed nim siedzi, bo bez mundurów wyglądali inaczej niż zwykle. Czy gość z opadającymi wąsami i ten drugi, o twarzy okrągłej jak księżyc, obaj ubrani w golfy z polaru, to nie byli przypadkiem Jordan i Simms, załoga wozu patrolowego Charlie Alpha? Dzieciak w zapinanej na zamek błyskawiczny skórzanej kurtce nazywał się Collier. Wydawał się bardzo zadowolony, że choć na jedną noc udało mu się wyrwać spod kurateli sierżanta Wellsa. Obok Colliera, także w kurtce ze skóry, siedział posterunkowy Burton, dwudziestopięcioletni byczek o wyglądzie rzezimieszka, z obciętymi na jeża włosami. Dobrze było go mieć po swojej stronie na wypadek, gdyby doszło do walki. Piąty mężczyzna, posterunkowy Kenny, był jedynym w tym gronie, który nosił mundur.

Gdy Susan pojawiła się w swoim stroju, którym miała zwabić gwałciciela, rozległy się okrzyki zachwytu i kilka gwizdów wyrażających akceptację. Webster od razu się najeżył. To miało być poważne zadanie, a nie wypad z kolesiami z pubu. Udało mu się zerknąć na zegarek. Dwadzieścia jeden po dziesiątej. Do diabła, gdzie się podziewała reszta grupy? Spodziewał się, że w akcji weźmie udział przynajmniej piętnaście do dwudziestu osób.

- To już wszyscy - oświadczył Frost, widząc jego spojrzenie. Wszyscy? Czteryście akrów lasu, całe mile ścieżek i tylko siedmiu mężczyzn? To było absurdałne, groteskowe, nieodpowiedzialne, niebezpieczne!

- Sue nie będzie brać w tym udziału - powiedział do Frosta.

Inspektorowi natychmiast zrzędła mina.

- Naprawdę, Sue? Spojrzała ostro na Webstera.

- Oczywiście, że wezmę udział w akcji.

- W takim razie wszystko w porządku. - Frost wyraźnie się odprężył. Wsadził do ust dwa palce i gwizdnął przeraźliwie, żeby zebrani zechcieli się uciszyć.

- Zapraszam do mapy - powiedział.

Wszyscy stłoczyli się dookoła wiszącej na ścianie mapy.

- Ta masa zieleni to Denton Woods - zaczął inspektor. - Nie ma mowy, żeby udało nam się pilnować cały obszar, więc skoncentrujemy się na terenie, na którym zdarzyły się dwa poprzednie napady. Liczymy, że seksapil naszej Sue okaże się nie lada atrakcją i że zwabi go prosto w nasze objęcia, rozgrzanego i dyszącego z pożądania. Miejmy nadzieję, że nie tylko język będzie miał na wierzchu. Teraz już wiemy, jaki to ostrożny sukinsyn. Najpierw dokładnie węszy i wszystko sprawdza, a jeśli choć z daleka zobaczy gliniarza, od razu daje nogę. To pewnie dlatego poprzednie próby zwabienia go w pułapkę, podjęte przez pana Allena, spaliły na panewce. Więc my zastosujemy podwójną przynętę. Posterunkowy Kenny pojedzie na akcję w mundurze. Kenny w wozie patrolowym z włączonym kogutem będzie krążył po lesie, zataczając koła po zewnętrznym obwodzie. Mam nadzieję, że nasz gwałcieł na widok Kenny'ego pomyśli, że to już wszystko i że jeśli postara się trzymać z dala od trasy patrolu, to będzie całkiem bezpieczny. W tym czasie, na długo przedtem zanim Sue wyruszy na swoją romantyczną, nocną przechadzkę, reszta nas zajmie pozycje tutaj, dookoła tego niewielkiego, ściśle określonego obszaru. - Popukał znacząco w mapę. - Czy jak dotąd wszystko jasne? Webster podniósł rękę.

- A co będzie, jeśli on pójdzie tropem Sue, lecz zdecyduje się na atak wcześniej, zanim ona zdoła go doprowadzić w pobliże miejsca, gdzie będziemy czekali?

- To dobre pytanie, synu. Jednak dopóki Sue będzie się trzymała głównych ścieżek, dopóty nic jej nie grozi. Nigdy nie zdarzyło się, żeby napadł na jakąś dziewczynę przy uczęszczanej drodze.

- Co pan na myśli, mówiąc „nigdy”? - wyszydził go Webster. - Trudno jest ustalać jakiś wzorzec tylko dlatego, że dwa poprzednie ataki zdarzyły się z dala od głównych dróg.

- Nie gwałci się kobiet tam, gdzie lada chwila ktoś może nadejść - upierał się Frost. - Główna ścieżka to miejsce publiczne. Nawiasem mówiąc, on czatuje w krzakach i atakuje znienacka, gdy ofiara przechodzi obok. Główne ścieżki są za szerokie. Moim zdaniem, jeśli Sue będzie szła środkiem, będzie całkiem bezpieczna.

- Pańskim zdaniem... - parsknął Webster. - A jeśli pańskie zdanie okaże się błędne? To nie pan padnie ofiarą gwałtu, lecz ona!

Frost spokojnie otrząsnął popiół z papierosa.

- Wiem o tym, synu - powiedział łagodnie. - W każdym działaniu jest odrobina ryzyka. Jedyne, co możemy zrobić, to postarać się je zminimalizować. Może Sue woli się wycofać? Unosząc pytająco brew, popatrzył na panią detektyw, która w milczeniu pokręciła głową.

- Tak czy inaczej Sue przez cały czas będzie z nami w kontakcie radiowym. Jeśli zostanie napadnięta na którejś z głównych ścieżek, to mimo wszystko będziemy mogli się do niej dostać, choć przyznaję, że potrwa to nieco dłużej.

Jednak Webster nie zamierzał dać za wygraną.

- Dodatkowa odległość może przesądzić o całej sprawie. Sue może stracić przytomność i zostać zgwałcona, zanim do niej dobiegniemy.

- Nie zapominaj, że Sue nie jest bezradną dziewczynką. Przeszła kurs karate i innych walk wręcz. Zanim do niej dobiegniemy, zdąży połamać mu kutasa na sześć kawałków. Czy teraz wszyscy czują się usatysfakcjonowani?

Głowy obecnych na odprawie mężczyzn odwróciły się ku Websterowi, jakby wszyscy czekali, czy ośmieli się mieć jeszcze jakieś zastrzeżenia, ale on tylko skrzyżował ramiona i wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Na jego twarzy zastygł grymas niezadowolenia.

- Nie słyszę głosów sprzeciwu. W takim razie przechodzimy do ostatniego punktu. Podejrzewam, że nasz gwałciciel udaje zwykłego biegacza, więc zwracajcie uwagę na mężczyzn w dresach albo w szortach.

Wskazał na kilka zestawów walkie-talkie leżących na stole.

- Teraz każdy zabierze jeden odbiornik i sprawdzi, czy wszystko działa jak należy.

Kiedy zespół zgromadził się dookoła stołu i dzielił wyposażenie, Frost odciągnął Sue na bok.

- Wiem, skarbie, że ta operacja wygląda na fatalnie przygotowaną, ale mimo to wierzę, że może się udać. Najważniejsze, żebyś nie podejmowała zbędnego ryzyka. Jeśli coś wzbudzi twoje podejrzenia, masz natychmiast wszcząć alarm, nawet jeśli to miało oznaczać ostrzeżenie gwałciciela. Wolę, żeby wszystko wzięło w łeb, niżby cokolwiek miało ci się stać.

Odpowiedziała mu słodkim uśmiechem.

- Myślę, że mogę panu zaufać, inspektorze.

- Jesteś szalona, jeśli naprawdę tak uważasz - odparł szczerze Frost. - Sam sobie ani trochę nie ufam. Teraz chodź, dopasujemy ci nadajnik.

Nadajnik Susan został ukryty w jej torebce, a przewód od anteny schowany pod rękawiczką na ramieniu. Małe urządzenie, podobne do aparatu słuchowego, umożliwiało jej odbieranie wiadomości, a miniaturowy mikrofon, udający odznakę działacza walczącego o rozbrojenie atomowe i przypięty do wiatrówki, pozwalał na przekazywanie informacji.

Sue została wysłana na korytarz w celu przetestowania ekwipunku, mężczyźni zaś trzymali odbiorniki tuż przy uszach, żeby maksymalnie ściszyć głośność. Woleli nie ryzykować, że echo policyjnych komunikatów wystraszy faceta, na którego polowali.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Raz jeszcze sprawdzili odbiorniki i dostroili je, ale bez rezultatu. W końcu Frost otworzył drzwi i krzyknął, czy Susan już zaczęła nadawać.

- A co, nie słyszycie mnie? - odrzyknęła z odległego końca korytarza. Pogmerała przy odznace i nagle rozległo się głośnie kliknięcie i poprzez szmer nadajników dobiegł jej jasny i czysty głos. - Halo, halo, próba mikrofonu...

Frost odpowiedział przez swój nadajnik i Susan potwierdziła, że odbiornik działa prawidłowo.

- Może należałoby zmienić jej radio? - zapytał Webster. Zaniepokoił się, że początkowe trudności mogą się powtórzyć w najmniej odpowiednim momencie.

- To jedyne radio, jakie udało mi się skombinować - przyznał Frost. Ponownie wysłał Sue na korytarz i tym razem wszystko zadziało bez zarzutu. Ale Webster wciąż nie był zadowolony. Ta cała operacja została sklecona byle jak i łamana w ostatniej chwili. Ryzyko wydawało się stanowczo za duże. Zbyt wiele spraw zależało od łutu szczęścia, a jak wiadomo, szczęście zwykle nie dopisuje tym, którzy najbardziej go potrzebują.

Frost popatrzył na zegar ścienny. Do godziny dwudziestej trzeciej brakowało osiemnastu minut.

- Czas się zbierać - zdecydował.

Collier i Burton pojechali cortina. Webster pienił się ze złości, ponieważ znowu skończyło się na tym, że musiał robić za szofera. Do diabła, czy dla odmiany ktoś inny nie mógł usiąść za kierownicą?

Kenny znajdował się przed nimi w swoim wozie patrolowym; jechał z włączonym kogutem przy akompaniamencie ćwierkania syreny. Sue miała odbyć podróż w towarzystwie Jordana i Simmsa w służbowym, nieoznakowanym vanie, który powinien wyruszyć nieco później, żeby dać czas zespołowi Frosta na dotarcie do wyznaczonych kryjówek. Wszystkich ogarnęło niezdrowe podekscytowanie. Chłopcy co chwila wybuchali śmiechem, opowiadając sobie pieprzne dowcipy. Najwyraźniej nikt z wyjątkiem Webstera nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

Gdy cortina ruszyła z parkingu, Burton odwrócił głowę i przez tylną szybę zerknął na Susan, stojącą obok vana w swoich obcisłych dżinsach i dopasowanym T-shircie. Pomachał jej, a potem trącił Colliera w bok.

- Cor, jeśli okaże się, że nasz gwałcieł nie wywiąże się ze swoich obowiązków, to jestem gotów go zastąpić. Krążą słuchy, że Sue jest świetna w łóżku.

Twarz Webstera przybrała interesującą krwistoczerwoną barwę. Wdepnął w hamulec i odwrócił się do tyłu.

- Zamknij tę pieprzoną jadaczkę, cholerny bydlaku! - wrzasnął.

Burton podniósł się z siedzenia. Zacisnął pięści, a górna warga podwinęła mu się jak u warczącego wściekłego psa.

- Skoro z ciebie taki chojrak, to może sam spróbujesz mi ją zamknąć, ty włochaty gorylu!

Frost wsadził rękę pomiędzy nich, zanim awantura rozkręciła się na dobre.

- Zabierajcie się, ale obaj! Zachowujecie się jak para rozwodzonych bachorów!

Dalszą drogę odbyli w niezręcznym milczeniu. Od czasu do czasu Burton szeptał coś do Colliera i obaj zaczęli chichotać. Zaciśnięte na kierownicy palce Webstera stawały się coraz bielsze.

Frost ignorował ich zupełnie i spokojnie palił papierosa. W myślach wciąż przerabiał swój plan, wyszukując w nim słabe punkty, których po pewnym czasie zebrało się całkiem sporo. Samochód zwolnił. Frost wyjrzał przez okno i ujrzał żółtawy blask lamp sodowych na ulicy otaczającej jasnym pierścieniem głębię Denton Woods. Skinął na Webstera, żeby się zatrzymał, i wypuścił Burтона razem z Collierem. Obaj mieli dojść na miejsce akcji z tej właśnie strony, podczas gdy on i Webster będą się zbliżali z przeciwnego kierunku. Lepiej, żeby gwałcieciel nie zauważył grupy czterech mężczyzn, która idzie dokądś tą samą ścieżką.

- Trzymaj na wodzy swój cholerny temperament, synu - powiedział Frost, gdy zostali sami. - Skończy się na tym, że komuś przyłożysz.

Owszem, a zacznę od ciebie, pomyślał z pasją Webster, wjeżdżając w zatoczkę. Wcisnął cortinę w cień gęstego żywopłotu, a potem podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę przemówienia inspektorowi do rozsądku.

- Niech pan odwoła tę pieprzoną operację, zanim będzie za późno. To za cholere się nie uda.

- A ja sądzę, synu, że się uda - odparł Frost, odpinając pas bezpieczeństwa.

- W takim razie jest pan o wiele większym wariatem, niż myślałem! - zawołał Webster, choć czuł, że rzuca słowa na wiatr. - Nie przygotował pan przyzwoitego planu, nie dostał wystarczającej liczby ludzi i nie zapewnił sobie wsparcia na wypadek, gdyby coś poszło źle. Susan może zostać zaatakowana, pobita, zgwałcona, a nas nie będzie w pobliżu, żeby pospieszyć jej z pomocą. To szczyt zbrodniczej głupoty.

Tym razem to Frost stracił cierpliwość. Przysunął twarz blisko twarzy Webstera.

- Posłuchaj mnie, ty wygadany głupku. Susan Harvey jest nie tylko atrakcyjną panią, dla której straciłeś głowę. Tak się składa, że jest również cholernie dobrą policjantką. Wie, że cena może być wysoka. Wszyscy wiemy. Oczywiście istnieje pewne

ryzyko. Społeczeństwo oczekuje od nas, że będziemy podejmować ryzyko - to dlatego rzucają w nas butelkami z benzyną albo kopia w twarz, kiedy dojdzie do rozróby na stadionie. Jeśli mimo to Susan pomoże nam złapać skurwysyna, który gwałci siedemnastoletnie dzieci, to uważam, że gra jest warta świeczki, nawet jeśli miałoby to przekreślić twoje szanse na stosunkowo udaną noc w jej towarzystwie. Więc zamknij wreszcie tę cholerną gębę, bo twoje skamlenie zaczyna działać mi na nerwy.

Z rozmachem otworzył drzwi auta na całą szerokość i wysiadł, pozostawiając w środku pieniącego się ze złości posterunkowego. Webster musiał nieźle się natrudzić, by odzyskać panowanie nad sobą. Dopiero po dłuższej chwili zamknął za inspektorem drzwi pasażera i wygrzebał się z auta. Być może Frost miał rację. Niewykluczone, że faktycznie był nadmiernie ostrożny, gdy chodziło o Susan. Ale przez to ta nieszczęsna operacja nie stawała się ani trochę bezpieczniejsza.

Delikatny wiatr kołysał czubkami drzew, które tańcząc przy każdym podmuchu, zdawały się zapraszać do wejścia głębiej w las. Ale ten wiatr nie niósł ze sobą ciepła. Frost popatrzył w górę. Zrobiło się ciemno jak w piekle, bo gęste chmury przysłoniły tarczę księżycą. Teraz leśny gąszcz wydawał się nieprzenikniony i niebezpieczny.

Inspektor zadrżał, ale nie dlatego, że zrobiło mu się zimno. Nagle ogarnęło go przecucie, że sprawy zmierzają w złym kierunku. Webster miał rację. Nie zapewnił sobie wystarczającej liczby ludzi, sam plan wydawał się nie do końca przemyślany, a cała akcja rzeczywiście była niebezpieczna. Gdyby Webster nie okazał się takim upierdliwym dupkiem, Frost być może by go posłuchał, jednak widok tej nachmurzonej, pogardliwej miny i poruszającej się brody tylko wzmacniał jego upór.

W lesie panował o wiele gęstszy mrok, niż się spodziewali. Dopóki szli główną drogą, dokąd przesączał się blask lamp sodowych, nie było jeszcze tak źle, ale kiedy skręcili na rozwidleniu ścieżek w jakąś boczną dróżkę, gdzie gałęzie krzaków dosłownie ocierały się o nich, musieli zwolnić, bo posuwali się po omacku. Potrzebna była latarka, ale na tym etapie nie odważyli się jej włączyć, żeby nie ściągać na siebie uwagi.

Latarka! Frost kliknięciem włączył radio.

- Frost do vana. Czy jest tam seksowna Sue?

- Tu seksowna Sue - rozległa się odpowiedź. Przez głośnik jej głos brzmiał jak głos dziecka i wydawał się nieco zadyszany, zupełnie jak u młodej Marilyn Monroe.

- Sue, zabierz ze sobą latarkę. Łatwiej znajdziesz drogę, a poza tym, jeśli nasz kumpel gdzieś tu grasuje, to łatwiej go zwabisz.

Uradowany, że w porę o tym pomyślał, nieco złagodniał w stosunku do Webstera, który jak ponury cień kroczył u jego boku.

- Dziś w nocy go złapiemy, synu. Czuję to w kościach.

- Mam nadzieję - mruknął bez przekonania Webster. Nie podzielał entuzjazmu Frosta co do latarki. Jeśli Susan oświetli sobie drogę, gwałcieł będzie mógł się trzymać w pewnej odległości i obserwować, sam pozostając niewidoczny.

- Moim zdaniem powinniśmy skrócić w bok - mruknął Frost, usiłując wzrokiem przeniknąć ciemność. - To właśnie tutaj została wczoraj napadnięta ta siedemnastolatka.

Najpierw Frost, a potem Webster precyzyjnie się między dwoma krzakami, żeby dotrzeć do wybranego wcześniej miejsca. Frost usadowił się pod drzewem i oparł wygodnie o szorstki pień, zostawiając Webstera samemu sobie, żeby dalej brnął w nieprzeniknionej ciemności przez leśne poszycie. Zaciął zęby, bo Webster poruszał się z takim wdziękiem, jakby po lesie buszował ranny nosorożec. Wreszcie trzaski umilkły, co oznaczało, że posterunkowy dotarł na wyznaczoną pozycję.

- Pozostaje mieć nadzieję, że tamten sukinsyn ma poważne kłopoty ze słuchem - mruknął pod nosem Frost. Zaraz potem sprawdził, czy wszyscy są już tam, gdzie być powinni.

- Collier do Bazy. Jestem na miejscu. Odbiór.

- Burton do Bazy. Jestem na miejscu. Odbiór.

- Webster. Jestem na miejscu. Odbiór. A potem nieoczekiwanie:

- Burton do Bazy. Ktoś idzie ścieżką. Za ciemno, żeby na razie cokolwiek zobaczyć.

Cisza. Przez głośnik dobiegało jedynie głośnie posapywanie Burtona.

- Teraz go widzę - powiedział nagle. - To taki facet w średnim wieku, z przerzedzającymi się włosami. Prowadzi na smyczy psa.

- Wczoraj też kręcił się tu facet z psem - odezwał się głos Jordana.

Frost nie bardzo potrafił sobie wyobrazić gwałcieła z psem, ale postanowił nie ryzykować.

- Dokąd facet idzie?

- W kierunku północnej ścieżki. Wydaje mi się, że zamierza wyjść na główną drogę - zameldował Burton.

- To w takim razie nie należy mu przeszkadzać - zdecydował Frost.

Potał zapalką o korę i skulił dłoń, żeby zamknąć w niej wąty płomynek, wsadził do ust papierosa i przytknął do niego ogień. Następnie usiadł, żeby czekać na rozwój sytuacji.

Woń dymu papierosowego wkrótce dotarło do miejsca, gdzie czatował Webster. Skulony siedział w wysokiej, wilgotnej trawie i zerkał przez krzak jeżyn na wąską, zarośniętą ścieżkę.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - wyszeptał do radia.

- Straszny skunks z ciebie, ale masz rację - mruknął w odpowiedzi Frost.

Posłusznie zagaszył rothmansa i wsadził z powrotem do paczki. Co chwila przestępował z nogi na nogę, żeby zmienić pozycję. Stanie bez ruchu w ciemności i wyczekiwanie było stanowczo zbyt nudne i za bardzo męczące. Nagle las wypełnił się skrzypieniem, jękami i pomrukiem. Wiatr muskał liście, które ocierając się o siebie, wydawały szmer podobny do ostrożnych kroków. Nie wiadomo dlaczego trzaskały łamane gałązki.

Po pewnym czasie Frost doszedł do wniosku, że tęskni za papierosem, i to do tego stopnia, że oddałby duszę diabłu za jedno marne zaciągnięcie się. Wyjął paczkę z kieszeni, żeby wciągnąć w nozdrza mocną woń tytoniu, ale to tylko pogorszyło tęsknotę. Czekanie było gorsze niż piekło. Zerknął na zegarek. Dwanaście po jedenastej. Wskazówki wydawały się tkwić w miejscu... Nagle rozległ się głos Jordana.

- Van do bazy.

- Frost. Odbiór.

- Przynęta gotowa. Odbiór.

- Czy facet z psem już się pokazał? - Jakies dwie minuty temu, inspektorze.

- Cholera, czemu od razu nie mówileś - warknął Frost. - Nie jestem jakimś pieprzonym jasnowidzem. Sue, sprawdźmy, czy wszystko działa.

- Mary ma małą owieczkę - wyszeptała Sue prosto do wpiętej w klapę odznaki.

- Słyszę jasno i wyraźnie - potwierdził Frost. Jeszcze raz sprawdził nadajniki pozostałych członków ekipy, a potem dał znak dziewczynie.

Czas - jedenasta piętnaście. W lesie panowały zupełne ciemności, bo księżyc ciągle krył się za chmurami. Słowem, idealne warunki do gwałtu.

Siedzący w vanie Simms mógł obserwować Susan przez noktowizor aż do miejsca, gdzie główna droga zakręcała w prawą stronę. Potem zupełnie znikła z oczu obu siedzącym w vanie mężczyznom.

Sue szła wolnym krokiem, starając się wyglądać na rozluźnioną. Od czasu do czasu włączała latarkę i świeciła po ścieżce, tak jak sugerował Frost. W pewnej chwili odniosła wrażenie, że ktoś jest tuż za nią, że prawie jej dotyka. Słyszała jego kroki, oddech muskający jej kark... Gwałtownie odwróciła się w tył. Na ścieżce nie było nikogo.

Słuchawka od czasu do czasu wydawała z siebie jednostajny szum.

- Idę główną ścieżką prowadzącą z północy na południe - powiedziała bardzo cicho do odznaki. - Jak dotąd wszystko w porządku.

- Powtórz jeszcze raz - poprosił głos ze słuchawki. - Straciliśmy łączność.

- Jak dotąd w porządku - wyszeptała.

- Zrozumiano.

Ten znajomy głos powinien był działać na nią uspokajająco, ale teraz rozumiała, jak muszą się czuć astronauty, oddaleni od Ziemi o tysiące mil. Mogą rozmawiać z Houston. Houston może rozmawiać z nimi. Ale jeśli coś pójdzie nie tak, to wszystko jedno, ile głosów słychać, człowiek wysoko w górze i tak zdany jest tylko na siebie. Ona teraz też czuła się bardzo samotna. Na głównej ścieżce nie było żywej duszy. Zeschłe liście skrzypiały przy każdym kroku pod podszwami. Przynajmniej ten trzask powinien ją ostrzec, gdyby ktoś próbował podkraść się z tyłu. Nie przerywając marszu, zapaliła latarkę i od razu poczuła się pewniej. Na razie miała za sobą łatwiejszą część zadania. Gwałciciel nie da o sobie znać, dopóki ona nie opuści względnie bezpiecznej głównej ścieżki. A będzie musiała to zrobić, i to całkiem niedługo.

- Frost do przynęty. Wszystko w porządku?

- Tak - odparła bez wahania.

- Cały czas nie możemy cię namierzyć. Żebyśmy nie sikali w gacie ze strachu, melduj się co pięć minut, dobrze, Sue? Oczywiście, jeśli wcześniej nie zostaniesz zgwałcona.

- Zrozumiano.

Pstryknęła przełącznikiem. Właśnie znalazła się w najbezpieczniejszym punkcie trasy - w miejscu, gdzie główna ścieżka obejmowała szerokim uściskiem otaczającą las ulicę i gdzie docierał ciepły, żółty blask lamp sodowych. Potem ścieżka skręcała ostro wprost do środka lasu, gdzie ciemna masa drzew i krzewów pochłaniała uliczne światło i tłumiała uspokajające odgłosy cywilizacji.

Zeszła z głównej ścieżki na mniejszą, boczną dróżkę. Krzaki po obu stronach łapały ją za ubranie i ciągnęły w swoją stronę. Uszła już spory kawałek, kiedy nagle się zatrzymała. To nie była dróżka, którą wyznaczył dla niej Frost. Za wcześnie skręciła. Teraz oddalała się od zastawionej zasadzki, a nie szła w jej kierunku.

Zawróciła. I wtedy ujrzała przycupniętego przy drodze mężczyznę.

Odskoczyła jak oparzona, zaciskając rękę na nadajniku, a drugą podnosząc latarkę. W jej silnym blasku przycupnięty mężczyzna zmienił się w krzak o dziwnym kształcie. Sue parę razy odetchnęła głęboko i skierowała się z powrotem ku głównej ścieżce.

Z bardzo daleka dobiegł przeciągły gwizd pociągu ruszającego ze stacji w Denton - żalobny dźwięk potęgujący uczucie osamotnienia, po którym poczuła się bardziej odseparowana od reszty ludzi niż kiedykolwiek przedtem. Przyspieszyła kroku. A potem się zatrzymała.

Kroki. Wolne. Szuranie.

Ktoś szedł ścieżką w jej kierunku!

Kciukiem nacisnęła włącznik nadajnika.

- Przynęta do bazy! Słyszę kogoś!

Głos Frosta był nagłący, pełen niepokoju.

- Gdzie jesteś?!

Nie wiedziała, gdzie jest. Ta cholerna pomyłka z wyborem ścieżki zupełnie wybiła ją z rytmu. Oszalałym wzrokiem rozejrzała się dookoła, starając się dostrzec jakieś charakterystyczne cechy tego miejsca, które pozwoliłyby jej precyzyjnie określić swoją pozycję.

- Nie jestem pewna - wyszeptwała. - Chyba jakąś milę od was. Przy jednej z bocznych dróżek odchodzących od głównej ścieżki. Nie jestem pewna, przy której.

Kroki wyraźnie zwolniły, ale były coraz bliżej. Głos Webstera przerwał w połowie nadawaną wiadomość.

- Niech pan pozwoli, że pójde i jej poszukam.

- Zostań, gdzie jesteś, cholera jasna - warknął Frost. - I przestań wreszcie zawracać mi dupę!

Tysiące myśli galopowało mu po głowie. Będzie szybciej, jeśli Jordan i Simms pojedą vanem w poblize miejsca, gdzie przypuszczalnie znajdowała się Susan, i w ten sposób do niej dotrą. Pozostali mogli pójść w ich ślady. Ostрым głosem wydał odpowiednie rozkazy.

Sue zacisnęła dłoń na latarce, żeby w razie czego użyć jej jako broni, i czekała. Upłynie przynajmniej kilka minut, zanim Jordan i Simms zdołają dojechać gdzieś blisko. Krzewy na wprost przed nią zahuściły się i zaszeleściły, a szuranie stało się jeszcze wolniejsze. On już wiedział, że ją ma... Że jest coraz bliżej, bliżej...

Starszy człowiek, niewysoki i słabowity, prowadził rower. Przepisnął się obok i skinął uprzejmie głową, a potem ruszył w swoją stronę.

Sue odezwała się do mikrofonu, starając się nie dać poznać, jak bardzo drży jej głos.

- Fałszywy alarm. To był starszy mężczyzna z rowerem. Już po strachu.

Ze słuchawki dobiegły westchnienia ulgi. Van otrzymał polecenie powrotu na poprzednią pozycję.

Sue czuła wstyd na myśl, że tak łatwo dała się ponieść panice. Teraz tylko należało wrócić do miejsca, gdzie skręciła z głównej ścieżki, i spróbować jeszcze raz odnaleźć właściwą drogę, którą Frost wykreślił dla niej na mapie, a potem zgłosić swoją pozycję i ruszyć w dalszą drogę...

Malutka, ledwo widoczna w trawie ścieżynka skręcała na lewo. Zawahała się, czy z niej skorzystać. Ta ścieżynka powinna doprowadzić ją do głównej ścieżki. Już ruszyła w jej kierunku, kiedy znów dopadły ją wątpliwości. Frost wiele razy podkreślał, że musi się trzymać wyznaczonej marszruty, bo w przeciwnym razie jej nie znajdą. I właśnie wtedy gwałciciel zaatakował.

*

Hałas. Gdzieś z daleka. Webster poderwał głowę. Czy to był krzyk? Natychmiast połączył się przez radio z Frostem.

- Czy ktoś jeszcze słyszał ten krzyk? - spytał inspektor, ale wszyscy inni zaprzeczyli. - Zostałeś przegłosowany, synu.

Powoli zaczynał żałować, że w ogóle włączył Webstera w skład zespołu. Facet stanowczo za bardzo zaangażował się uczuciowo. Przesząpił z nogi na nogę i rozciągnął zeszywniałe mięśnie. Od trwania w bezruchu bolało go całe ciało. Już prawie miał nie posłuchać Webstera i pozwolić sobie na ukradkowe zapalenie papierosa, kiedy odbiornik zabręczał i po drugiej stronie znowu odezwał się ten cudak z brodą.

- Czy Sue nie powinna była wysłać sygnału?

Frost podniósł wysoko przegub i zmrużył oczy, żeby dostrzec godzinę.

- Ile czasu upłynęło od chwili, gdy kontaktowała się po raz ostatni?

- Pięć minut - odparł Webster. - Może wywołam ją, żeby się dowiedzieć, czy wszystko w porządku?

- Daj jej jeszcze pół minuty. Przecież ona nie może gapić się na zegarek i odliczać co do sekundy.

- Wie, że powinna się meldować co pięć minut - zasyczał Webster. - Jaki sens ma ustalanie rozkładu meldunków, jeśli potem ignorujemy fakt, że Sue się nie zgłasza?

Frost prychnął z rozdrażnieniem. Webster naprawdę zaczynał działać mu na nerwy. Pstryknął włącznikiem nadajnika.

- Baza do przynęty, zgłoś się.

Przełączył się na odbiór i czekał na odpowiedź, ale słyszał jedynie jednostajny szum.

- Halo, Sue! Tutaj Frost! Zgłoś się, proszę! Gwałtownie naciskał kciukiem włącznik, jakby mógł w ten sposób zmusić urządzenie do udzielenia odpowiedzi. Ale w odbiorniku nadal panowała głucha cisza. Znów przełączył się na nadawanie.

- Frost do wszystkich jednostek! Sue powinna być gdzieś w pobliżu głównej ścieżki. Trzeba natychmiast ją znaleźć!

Webster rzucił się do biegu, nie zważając na hałas, jaki przy tym robi. Frost deptał mu po piętach, choć przygięte przez Webstera gałęzie co chwila uderzały go w twarz. Słyszał, jak po obu stronach pędzą Burton i Collier, wyrabując sobie przejście przez gęste poszycie. Mało nie krzyknął przez nagły atak kolki, ale tylko zacisnął zęby i zmusił nogi do dalszego biegu.

Wreszcie wypadli na główną ścieżkę. Webster rozejrzał się w obydwu kierunkach.

- Którędy teraz?

- Na prawo - wydyszał Frost.

Pognali w prawą stronę, ostatkiem sił łapiąc w płuca powietrze. Pierwsza odnoga. Burton otrzymał rozkaz sprawdzenia, co tam się dzieje. Druga. Strumień światła z latarki Webstera wyłowił z mroku porzuconą na dróżce odznakę.

- Tutaj! - wrzasnął.

Tuż przed nim leżało coś białego. A potem coś trzasnęło, jakby ktoś zerwał się do ucieczki. Mężczyzna. Nagi mężczyzna. Biegł zakosami, oddalając się coraz bardziej i bardziej. Na ziemi Frost ujrzał Sue. Jej ubranie zostało podarte na strzępy, a po twarzy ciekła krew.

Gdzieś daleko zatrzęsły się krzaki, znacząc szlak uciekającego gwałticiela.

- Biegnij za nim, synu. Ja zajmę się Sue.

Webster rzucił się naprzód. Frost połączył się przez radio z załogą vana, żeby spróbowali odciąć odwrót uciekającemu mężczyźnie, a potem kazał Burtonowi i Collierowi przyłączyć się do pościgu. Dopiero potem uklęknął przy leżącej bez ruchu dziewczynie.

- Sue?

Podniosła się do pozycji siedzącej, choć krzywiła się z bólu przy każdym poruszeniu. Ostrożnie dotknęła palcami zakrwawionej twarzy.

- Wszystko w porządku, inspektorze.

- Chyba jednak niezupełnie. Wygląda na to, że parę razy musiał mocno przyłożyć ci w buzię. Ale niczym się nie przejmuj, zaraz wezwiemy ambulans.

Podniósł nadajnik do ust, ale Sue pociągnęła go za rękaw.

- Nie chcę żadnego ambulansu, inspektorze. Naprawdę. Nic mi nie jest. Chcę tylko, żeby ktoś odwiózł mnie do domu.

- Zabierzemy cię na ostry dyżur. Jeśli tam powiedzą, że możesz wracać do domu...

- Nie... Proszę. Naprawdę dobrze się czuję.

Z rozciętej wargi wciąż spływała krew. Sue znalazła w torebce chusteczkę i przycisnęła ją do ust.

Frost poczuł ulgę, ale nie mógł opędzić się od myśli, że Sue zdecydowała się nie jechać do szpitala ze względu na niego. Jeśli policjant zostaje ranny i wymaga leczenia szpitalnego, to automatycznie oznacza to wszczęcie specjalnego śledztwa w celu ustalenia, kto jest temu winien. Mullett z pewnością byłby uszczęśliwiony, mogąc wyciągnąć konsekwencje służbowe wobec Frosta, zwłaszcza że ta chybiona i źle przygotowana operacja doszła do skutku bez jego wiedzy i pozwolenia.

Sue spróbowała wstać, ale Frost ją powstrzymał.

- Mogę stać - upierała się.

- Ja też mogę - powiedział łagodnie i usiadł na ścieżce obok niej. - Ale jestem tak cholernie padnięty, że chętnie trochę odpocznę. Więc jak to się stało?

- Nie spodziewałam się go akurat wtedy. Nagle coś czarnego spadło mi na głowę. Chyba coś plastikowego... - Zastanowiła się. - To coś miało guziki. Wyraźnie czułam guziki.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że to był plastikowy płaszcz?

- Tak - odparła. - Zdecydowanie tak. To był plastikowy płaszcz. Zarzucił mi go na głowę, a potem zaczął uderzać na oślep, prosto w twarz. Nagle poczułam, że jego ręce przesuwiają się na moją szyję i zaraz potem zaczął mnie dusić. - Dotknęła ręką szyi i zadrżała.

- Udało mi się oderwać mu ręce, ale wtedy od razu zaczął z powrotem mnie bić. Nic nie widziałam. Bardzo mi przykro.

Frost wsadził papierosa między jej pokrwawione wargi, drugiego wziął sam, a potem oba zapalił.

- Nie, kochanie, to ja powinienem powiedzieć, że bardzo mi przykro. Spieprzyłem sprawę. Byliśmy za daleko od ciebie, a poza tym należało odwołać akcję, kiedy twoje radio zaczęło szwankować.

Chciwie wciągnęła w płuca dym.

- Zupełnie nic nie widziałam. Nie mogłam oddychać. A on cały czas bił mnie i bił...

Wziął ją za rękę i pogłaskał.

- Wiem, kochanie. Wiem.

Webster wrócił, słaniając się na nogach. Oparł się o pień drzewa i natychmiast osunął. Otworzył szeroko usta, jakby chciał od razu zaspokoić żądanie własnych płuc, kategorycznie domagających się powietrza.

- Udało się, synu?

Między kolejnymi haustami Webster zdołał tylko pokręcić głową.

- Wydawało mi się, że jeszcze chwila, a go dorwę - powiedział w końcu. - Chyba musiał w pewnej chwili przycząć się pod jakimś krzakiem, bo nagle usłyszałem go gdzieś z tyłu, za moimi plecami... Próbowałem go dogonić, ale był już za daleko. Słyszałem tylko, jak rusza jakiś samochód.

- Jesteś pewien, że to był nasz gwałciciel?

- Absolutnie. Gość był nagusieńki jak go Pan Bóg stworzył. Co z Sue?

- Trochę ją pobił, ale nie za mocno. Zabierz ją do szpitala na ostry dyżur, a potem odwieź do domu.

Sue dźwignęła się z ziemi i zaczęła otrząsać zeschnięte liście i żdzbla trawy przyklepione do ubrania.

- Nie chcę jechać do szpitala - oświadczyła stanowczo. - Proszę mnie odwieźć do domu.

Podniosła torebkę i rozejrzała się w poszukiwaniu latarki.

- No cóż, tak czy inaczej odwieź ją do domu - powiedział Frost do Webstera.

Nadał przez radio komunikat do wszystkich członków zespołu, żeby zaprzestali poszukiwań w lesie i skoncentrowali wysiłki na kontrolowaniu wszystkich samochodów przejeżdżających w pobliżu Denton Woods. Właśnie we dwóch z Websterem pomagali Sue dojść do auta, kiedy dio zabełkotało radośnie.

- Kenny do inspektora Frosta. Proszę się zgłosić.

- Tutaj Frost.

W głosie posterunkowego brzmiał prawdziwy triumf.

- Mam go, inspektorze! Udało nam się go złapać!

CZWARTEK, NOCNA ZMIANA

Ułga, jakiej Frost doświadczył, była tak ogromna, że zalała go niczym potężna, ciepła fala. Ledwie rozumiał, co Kenny do niego mówi. Kenny zauważył mężczyznę, który wypadł z lasu w cholernym pośpiechu, jakby ścigało go całe stado szatanów. Był całkiem nagi. Wskoczył do samochodu i ruszył z piskiem opon, ale wóz patrolowy zdołał go wyprzedzić i zablokować przejazd.

- Gdzie jesteście? - zdołał wykrztusić po dłuższej chwili.

- W zatoczce, jakieś czterysta jardów na południowy zachód od pana.

Ruszyli biegiem, dopóki nie ujrzeli miękkiego blasku lamp sodowych i migającego na niebiesko koguta. Służbowy wóz stał w poprzek drogi, osaczając metalicznego, srebrzystego

mercedesa z miejscową rejestracją. Szyby mercedesa zasnuwała gruba warstwa skroplonej pary wodnej.

Kenny trzymał faceta w żelaznym uścisku, zgiętego wpół na masce auta i z rękoma wykręconymi do tyłu. Okazało się, że to nieprawda, że mężczyzna jest całkiem nagi. Miał na sobie czerwone skarpetki i czarne buty.

- Ty cholerny draniu! - warknął Webster.

Frost szybko przesunął się do przodu, żeby uniemożliwić Websterowi zaatakowanie więźnia.

- Skuj go - polecił Kennyemu. Kenny posłusznie odwrócił zatrzymanego i sprawnie zatrzasnął kajdanki na jego nadgarstkach.

- No, no, no... - Frost przesunął uważnym spojrzeniem po sylwetce aresztanta, który wyglądał na trzydzieści pięć lat, był niewysoki, przysadzisty i sprawiał wrażenie śmiertelnie wystraszonego. - Czy to on, Sue?

- Nie mam pojęcia, inspektorze. Wcałe go nie widziałam.

- Czy zechcą mi państwo wyjaśnić, o co właściwie chodzi? - zapiszczał mężczyzna, opuszczając ręce, żeby zakryć swą nagość.

- Czyżby? Naprawdę pan nie wie? - Frost zaczął go przedrzeźniać, ale nagle kątem oka dostrzegł wewnątrz mercedesa jakieś poruszenie. - Kogo pan tam ukrywa?

Jednym szarpnięciem otworzył tylne drzwi i odskoczył jak oparzony.

- Cholera jasna!

Na tylnym siedzeniu siedziała młoda kobieta, zupełnie naga, jeśli nie liczyć skąpych majteczek, i w panice usiłowała wciągnąć na siebie sukienkę. Dmuchawa była rozkręcona na pełny regulator, więc w środku panował niesamowity upał, wypełniony zapachem perfum i wonią spoconych ciał. Na widok Frosta kobieta porwała sukienkę i zwinąwszy ją w kłębek, obronnym ruchem przycisnęła do piersi.

- Zamknij drzwi, ty baranie - syknęła.

Frost posłusznie wykonał jej polecenie. Pierwsze wątpliwości zmały nieco jego dobre samopoczucie.

- Kim jest ta pani na tylnym siedzeniu? - zwrócił się do zatrzymanego.

- To nie pańska sprawa, panie oficerze. Czy będzie pan tak uprzejmy i pozwoli mi się ubrać? Inaczej dostanę zapalenia płuc.

Frost postanowił nie zwracać uwagi na dąsy tajemniczej pasażerki i ponownie otworzył tylne drzwi.

- Czy przypadkiem nie została pani zgwałcona, madame? - zapytał uprzejmie.

- Nie, do jasnej cholery! - warknęła. - A teraz odpieprzcie się ode mnie, cholerne dranie!

Inspektor znów zamknął drzwi.

- Sposób bycia pańskiej przyjaciółki zupełnie mnie oszołomił. Czy zechce pan nam wytłumaczyć obecność państwa w tym miejscu?

Mężczyzna wznosił oczy w stronę ciemnego, bezksiężycowego nieba.

- Czy aby na pewno jest pan detektywem? To proszę pomyśleć: siedzimy w samochodzie. Ja jestem rozebrany. Ona jest rozebrana. Co tam robimy, według pana? Gramy w bingo? To ja chciałbym się dowiedzieć, co pan tu robi, do diabła ciężkiego, i o co właściwie chodzi?!

- Chodzi o usiłowanie gwałtu. Jakies pięć minut temu.

- No cóż, z pewnością nie usiłowałem nikogo gwałcić. Cały mój wysiłek skierowany był na dotrzymanie kroku tej nimfomance na tylnym siedzeniu. Czy teraz mogę się wreszcie ubrać?

Ale Frost pokręcił głową.

- Pan nie był w samochodzie, kiedy funkcjonariusz zauważył pana. Biegł pan, całkiem nagi, od strony lasu, w którym przed chwilą ktoś próbował zgwałcić naszą koleżankę.

Mężczyzna parsknął z rozdrażnieniem.

- W porządku. Skoro życzy pan sobie zagłębiać się w szczegóły, to w takim razie mówmy o wszystkim. Wszedłem z samochodu, ponieważ musiałem ulżyć pęcherzowi. Poza tym czułem, że potrzebuję chwili przerwy. Mówię panu, człowiek musi nieźle się napocić, żeby ta kobieta poczuła się usatysfakcjonowana. No więc stoję sobie pod gwiazdami i spokojnie sikam, kiedy nagle ktoś na mnie wpada. Najpierw pomyślałem, że to jej mąż, więc pędzę do samochodu, żeby jak najprędzej stąd zwiewać. W następnej chwili wydaje mi się, że biorę udział w jakiejś scenie ze *Starsky'ego i Hutch'a*... Wycie syren, blokada, policja... Ktoś wyciąga mnie za łeb i rozpląszcza na masce mojego auta. Nie popełniłem żadnego przestępstwa i nie widzę powodu, dla którego ktoś miałby mnie właśnie tak traktować.

Frost dał znak Kenny'emu, żeby rozpiął kajdanki. Mężczyzna roztarł nadgarstki, a potem porwał z przedniego siedzenia swoje ubranie i szybko je włożył.

- Proszę powiedzieć, kim jest ta dama? Mężczyzna rozejrzał się dookoła.

- To moja sekretarka - odparł, zniżając głos do szeptu. - Oboje jesteśmy w związkach małżeńskich, więc na litość boską, błagam o dyskrecję.

- Oczywiście, proszę pana.

Frost cofnął się o krok, żeby umożliwić Kenny'emu spisanie danych i adresu z prawa jazdy należącego do kierowcy mercedesa.

- Czy mogę już jechać? - spytał zniecierpliwiony mężczyzna, jednocześnie zapinając spodnie. Frost popatrzył pytająco na Kenny'ego, który przez radio sprawdzał, czy dane na prawie jazdy zgadzają się z danymi w centralnym komputerze. Kenny skinął głową. Wszystko się zgadzało.

Mężczyzna wepchnął prawo jazdy do tylnej kieszeni spodni i zerknął do samochodu, gdzie w tym czasie szyby zdążyły już odparować.

- Spójrzcie tylko - wysyczał. - Nawet nie pofatygowała się, żeby się ubrać. Jeśli ona uważa, że po tym fiasku pojedziemy gdzie indziej w ustronne miejsce, żeby dalej się pieprzyć, to będzie musiała zmienić plany.

Wpakował się do mercedesa i zatrzasnął drzwiczki. Ze środka dobiegły odgłosy prowadzonej podniesionymi głosami rozmowy, potem jakaś opryskliwa uwaga mężczyzny, aż w końcu samochód drgnął i powoli ruszył z miejsca.

- Musimy pamiętać, żeby sprawdzić jej adres - mruknął Frost, obserwując niknące w oddali światła. - Może się przydać, jeśli jakaś noc na służbie będzie się wlokła w nieskończoność.

Wepchnął ręce głęboko do kieszeni i zapatrzył się w ciemne niebo. Operacja „Pułapka na myszy” okazała się totalną klapą. Gwałciiciel uszedł cało, policjantka została poturbowana, potem nastąpiła farsa z tą parką w samochodzie, a na domiar złego skończyły mu się fajki.

Przenikliwy wiatr dopadł ich wreszcie i wysmagał nieprzyjemnym podmuchem. Susan zadrżała. Zrobiło się zimno, a poza tym wszystkich ogarnęło zniechęcenie. Frost polecił Kenny'emu, żeby odwiózł Sue i Webstera do jej mieszkania. Sam postanowił wrócić własnym autem.

Collier zameldował się akurat wtedy, gdy inspektor zastanawiał się, gdzie stoi cortina. W szale podekscytowania całkiem zapomniał o reszcie zespołu.

- Ciągłe przeszukujemy las, inspektorze, ale na razie nie udało się znaleźć nic ciekawego.

W pierwszej chwili miał zamiar powiedzieć im, żeby sobie dali spokój. Zaraz potem pomyślał, że nikomu nie stanie się krzywda, jeśli pokręcą się tam odrobinę dłużej. Przez radio połączył się z Jordanem i Simmsem i polecił, by przyłączyli się do pozostałej dwójki i dokładnie przejrzeni wyznaczony sektor. Jeśli w ciągu godziny niczego nie znajdą, mają się zameldować na posterunku. Przyszło mu do głowy, że jako starszy oficer powinien wykazać

niecio inicjatywy i dać swoim ludziom dobry przykład, ale naprawdę nie był dziś w odpowiednim nastroju.

*

Wóz patrolowy podjechał pod dom, w którym mieszkała Sue. Webster pomógł jej wsiąść i otoczył ramieniem szczupłą kibić. Zadrzała.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytał z troską.

- Na pewno. - Uśmiechnęła się. - Wezmę kilka proszków przeciwbólowych, położę się do łóżka i jutro będę jak nowo narodzona.

Wyjął z jej torebki klucz do mieszkania, otworzył drzwi i odwrócił się, żeby pomachać Kenny'emu, który właśnie otrzymał wezwanie do włamania gdzieś przy Beech Crescent. Odpowiedział w ten sam sposób, dodatkowo urozmaicając pożegnanie donośnym trąbieniem.

Mieszkanko okazało się przytulne i ciepłe. Sue, wychodząc, zostawiła włączony kominek gazowy i posłane łóżko, a odrzucona kołdra zapraszała do zajęcia miejsca. Nigdzie ani śladu koszuli nocnej, pomyślał Webster. Susan opadła na fotel i wyciągnęła ręce do kominka. Całą sobą chłonęła ciepło.

- Zrobię ci gorącego mleka - zaproponował i otworzył lodówkę. Na stojaku chłodziło się białe wino, a na półce stał półmisek z pieczonym kurczakiem. Wszystko zostało przygotowane na tę wspianą noc, która nie miała się już zdarzyć.

Sue wytrząsnęła na otwartą dłoń kilka pastylek aspiryny i przełknęła je, popijając mlekiem. Siedziała skulona przed ogniem, a przez jej ciało wciąż przebiegały dreszcze, jakby nie mogła się rozgrzać.

- Proszę, zrób mi ciepłą kąpiel - poprosiła.

Webster odkręcił kran i wrzucił do wanny parę kryształków soli do kąpeli. Sue weszła do łazienki razem z nim. Wpatrzyła się w zasnute parą lustro, a potem wytarła je wierzchem dłoni.

- Powiedz, czy nie wyglądam po prostu strasznie?

Żałował, że nie może jej uspokoić. Sue naprawdę wyglądała okropnie. Miała obrzmiałą twarz i zielonoczarne sińce pod oczyma.

- Możesz zostać, jeśli masz ochotę - powiedziała, sprawdzając temperaturę wody i ściągając T-shirt. - Ale pamiętaj, że ja chcę tylko spać.

- Tak, oczywiście - odpowiedział mechanicznie. Wyszedł z mieszkania.

Niech cię diabli, inspektorze Frost, myślał z pasją. Niech cię diabli porwą.

*

Jack Frost siedział w samochodzie. Jego ręce dokładnie przeszukały zawartość schowków w drzwiach, ale niestety, nie znalazły tam żadnych papierosów. Cholera. Opróżnił popielniczkę w poszukiwaniu niedopałka przyzwoitej wielkości i trafił na jakąś resztkę, ale o mały włos nie przypiekl sobie nosa. Papieros z odzysku był gorący i gorzki w smaku, ale przynajmniej pasował do nastroju inspektora.

Dopiero po jakimś czasie zauważył wybrzuszenie w schowku od strony pasażera. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby tam zajrzeć. Trafił ręką na coś zimnego i twardego. Butelka. Mnóstwo butelek, reszta łupu wyniesionego z przyjęcia, które odbyło się zaledwie dwa dni temu... W noc, podczas której znaleziono ciało Bena Cornisha. To było party na cześć odchodzącego na emeryturę kolegi. Od czasu do czasu Mullett pozwalał sobie na mało subtelne uwagi na temat emerytury Frosta. No cóż, trzeba się liczyć z tym, że odtąd będzie pozwalał sobie na znacznie więcej... Wystarczy, że dowie się o dzisiejszej kompromitacji.

Oderwał metalową opaskę od kapsla buteleczki z wódką i pociągnął spory łyk. Spirytus przemknął po języku z aksamitną delikatnością podobną do muśnięcia kociej łapy, ale zaraz po dotarciu do żołądka pokazał pazury. Frost poczuł, jak przechodzą go ciarki. Czysta wódka nie należała do jego ulubionych trunków. Wyszukał w schowku malutką buteleczkę whisky. Odchylił do tyłu głowę i jednym haustem wlał w siebie całą zawartość, żeby splukać smak poprzedniego napitku. W jego żołądku rozgorzało małe piekło, ale po chwili zrobiło mu się całkiem dobrze. Po następnej flaszcze poczuł się jeszcze lepiej. Prawdę mówiąc, humor poprawił mu się na tyle, że był gotów podjechać pod dom Mulletta, wrzucić mu przez okno cegłę i wrzasnąć na cały głos: „No dalej, draniu, spróbuj mnie zwolnić!”. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej kuszący wydawał się ten pomysł.

- Dyspozytornia do inspektora Frosta. Proszę się zgłosić!

Co to było, do diabła? Skoncentrował spojrzenie na zestawie i zdecydował, że najpierw odpowie na wezwanie, a zaraz potem pojedzie z wizytą do Mulletta. Niepewną ręką poszukał słuchawki i nacisnął przycisk.

- Tutaj Frost. Odbiór.

Bill Wells sprawiał wrażenie mocno podekscytowanego.

- Jack, czy możesz przyjechać na posterunek? Burton i Collier złapali gwałciciela!

Serce Frosta na moment przestało bić. Momentalnie wytrzeźwiało.

- Jesteś pewien, że złapali właściwego faceta? Już raz wydawało nam się, że go przymknęliśmy.

- Na pewno, Jack. Przyskrzynili go w lesie jakieś dziesięć minut temu. Miał przy sobie czarny plastikowy płaszcz. Poplamiony krwią.

*

Burton czekał na niego w holu. Uśmiechał się od ucha do ucha, a w ręku trzymał tani płaszcz przeciwdeszczowy z czarnego plastiku.

Zadzwoił telefon recepcji. Odebrał go Bill Wells. W miarę jak słuchał, wyraźnie rzedła mu mina.

- Jack, to do ciebie! - zawołał, wyciągając słuchawkę na całą długość ramienia, jakby bał się, że lada chwila może eksplodować. - Komendant.

Mullett już słyszał o niepowodzeniu nocnej operacji. To, co miał do zakomunikowania, było zwięzłe i lodowato oficjalne.

- Jutro rano o dziewiątej w moim biurze.

Zaraz potem rozległo się kliknięcie, a później sygnał wolnej linii.

- Czemu się nie wypchasz, ty żałosny stary durniu - powiedział Frost, udając, że komendant wciąż jest na linii. Zaraz potem odwiesił słuchawkę. - To powinno trochę zepsuć mu humor - oświadczył pozostałym, którzy słuchali tej rozmowy z nieukrywanym przerażeniem. Potem odwrócił się do Burtona. - Chodźmy zobaczyć, jak wygląda nasz Pan Kutas.

Czekający w pokoju przesłuchań mężczyzna siedział zgarbiony przy stole, odwrócony plecami do drzwi. Pilnował go posterunkowy Collier. Gdy Frost z Burtonem wkroczyli do środka, podniósł głowę i popatrzył na nowo przybyłych. Na jego widok cała euforia Frosta wyparowała bez śladu, a serce znalazło się gdzieś w okolicy dolnych partii żołądka. Rzekomym gwałcicielem, obrzuconym błotem i otoczonym powszechną nienawiścią, okazał się Desmond Thorley, mieszkaniec wagonu stojącego na obrzeżach Denton Woods.

- Żądam wyjaśnień, inspektorze Frost - odezwał się aresztant. - To prawdziwa zniewaga. -

- Jestem tak samo oburzony jak ty, Desmond - powiedział Frost i ze znużeniem osunął się na krzesło. - Obaj zostaliśmy tu ściągnięci pod fałszywym pretekstem.

Poszukał w kieszeni papierosa, ale zaraz przypomniał sobie, że papierosy się skończyły. Za jego plecami Burton z Collierem wymieniali zdumione spojrzenia, bo w żaden sposób nie mogli zrozumieć, w którym miejscu popełnili błąd.

- Posłuchajcie, pajace - odezwał się Frost śmiertelnie zmęczonym głosem. - Cały dowcip polega na tym, że nasz gwałciciel z Denton gwałci kobiety. Desmond nie miałby pojęcia, co zrobić z cholerną babą, nawet gdyby sama weszła mu do sypialni i rozebrała się do naga. Desmond zadrżał na samą myśl.

- Co za obrzydliwość!

- Ale on niósł ten płaszcz - upierał się Burton. - Na nim jest krew!

Rozłożył czarny plastik, żeby Frost mógł go obejrzeć.

Jack Frost wziął płaszcz do ręki i dokładnie obejrzał.

- Zgoda, są plamy krwi - przytaknął. Złożył starannie płaszcz i położył na stole. - No więc jak, Desmond? Czy to ty jesteś naszym gwałcicielem? Czyżbyś był dwururką i wsadzał ptaszka w każdą dziurkę, jakie się nawinie?

Thorley oblał się krwistym rumieńcem.

- Cóż za niedorzeczny pomysł!

Frost znów przeszukał kieszenie. Ani śladu papierosa. Desmond także nie miał fajek, a Burton i Collier w ogóle nie palili. Wspomnienie srebrnej skrzyneczki na biurku Mulletta pojawiło się w jego głowie, tak jak obraz zielonej oazy pojawia się przed oczyma umierającego z pragnienia człowieka. Przeprosił na chwilę obecnych, zakradł się do gabinetu komendanta i z pęku kluczy bezbłędnie wyłowił ten, który otwierał szufladę biurka, a potem nieco uszczuplił starannie wyselekcjonowane zapasy Mulletta.

Do pokoju przesłuchań wrócił z uśmiechem na twarzy.

- No dobrze - oznajmił, zaciągając się dymem drogiego papierosa. - Możemy wrócić do sprawy. Desmond, skąd to wytrzasnąłeś? - Palcem pokazał płaszcz.

- Jakiś facet go wyrzucił. Gdyby ten dureń z policji zechciał mnie posłuchać, tobym mu o tym powiedział. Ale nie - dopadł mnie, zawlókł do tego starego, obskurnego vana, a kiedy próbowałem zaprotestować, ryknął, że mam trzymać mordę na kłódkę!

- To taka forma policyjnej kurtuazji - wyjaśnił Frost. Powoli wypuścił z płuc wonny dym. - Widziałeś, kto go rzucił?

- Nie. Wpadł na mnie jak burza i o mało nie zwałił z nóg.

- Zacznij od początku.

- Mogę najpierw dostać papierosa?

Frost dmuchnął mu prosto w twarz, żeby Desmond z drugiej ręki mógł posmakować tych rozkoszy.

- One są stanowczo za dobre dla ciebie, Desmond, ale jeśli opowiesz mi o wszystkim, co widziałeś tej nocy i niczego nie pominiesz, to być może cię poczęstuję.

- No cóż. - Desmond złączył dłonie. - Nocną porą wyszedłem na swój zwykły, mały spacer, żeby poszukać wdzięczących się parok, kiedy zauważyłem zaparkowany na uboczu ten wielki samochód. Od razu pomyślałem, że jest w tym coś podejrzanego, bo podskakiwał rytmicznie w górę i w dół, a ze środka dobiegały wielce osobliwe odgłosy. Podkradłem się na paluszkach, zerknąłem przez tylną szybę, i jak pan myśli, co tam ujrzałem?

- Nieprzyzwoicie roznegliżowaną młodą damę, a na niej przysadzistego osobnika płci męskiej, ubranego w czerwone skarpetki?

Desmond uniósł brwi na znak podziwu.

- No proszę, i kto tu jest mądrym chłopczykiem? W każdym razie, kiedy tak gapilem się na nich, w pewnej chwili ten facet oderwał się od swojej roboty, popatrzył prosto na mnie i pomachał mi pięścią.

- Jesteś pewien, że to czym machał, to była pięść? - zamruczał Frost.

- Tak czy owak wycofałem się stamtąd w pośpiechu. Zaraz potem okazało się, że dobrze zrobiłem, bo rozległy się trzaski, okrzyki i policyjne gwizdki. Pomyślałem, że pewnie mnie szukają, więc pobiegłem jednym ze skrótów. Nagle nie wiadomo skąd pojawił się tamten facet. Pod pachą trzymał jakieś zawiniątko. Wpadł prosto na mnie i zwałił mnie z nóg, ale zanim się pozbierałem, zniknął. Zobaczyłem, że na ziemi leży ten płaszcz, więc podniosłem, naturalnie wyłącznie po to, żeby go odnieść na posterunek...

- Och tak, jedynie po to - zakpił Frost.

- Zaraz potem rzucił się na mnie ten wasz kretyń. To wszystko święta prawda, przysięgam.

Frost cisnął w jego stronę jednego papierosa Mulletta, a potem podsunął zapaloną zapalstkę.

- Jak sędę, kieszenie były puste, tak? - zapytał Burtona. Burton wyraźnie się zawstydział.

- Nie wiem, panie inspektorze. Nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić.

- No cóż, w takim razie sprawdź teraz.

Burton podniósł płaszcz i ostrożnie obmacał kieszenie. Ta z lewej strony była pusta, ale w drugiej... Najpierw pomyślał, że to specjalnie uformowane dno kieszeni, ale zaraz okazało się, że to zgnieciona, plastikowa torba. Wyciągnął ją na zewnątrz, a gdy to zrobił, poczuł pod palcami coś twardego. Coś, co zostało ukryte głęboko na samym spodzie. Klucz. Stary, zniszczony yale. Nie oryginał, lecz kopia, bez numerów serii i znaków identyfikacyjnych.

Collier został wysłany po proszek do wykrywania odcisków palców, na wypadek gdyby gwałcieł zapomniał starannie wytrzeć klucz. Nie zapomniał.

Zwinięta plastikowa torba została rozprostowana. Po jednej stronie widniały dwie okrągłe dziury. Inspektor naciągnął torbę na głowę Colliera i okazało się, że dziury zostały wycięte po to, żeby przez nie patrzeć. Mieli w ręku słynną maskę „Diabła w kapturze”. Pierwotnie przeznaczona do zbierania śmieci, nie wyglądała groźnie ani imponująco.

Frost skoncentrował uwagę na znalezionym kluczu. Położył go na środku stołu i wpatrywał się w niego uporczywie.

- To może być klucz do domu gwałciciela - zasugerował Collier.

- Owszem - zgodził się Frost. - Teraz musimy jedynie sprawdzić wszystkie drzwi wejściowe w całym hrabstwie. I jeśli uda się nam gdzieś go dopasować, mamy gada w rękę.

- To prawie jak pantofelek Kopciuszka - zauważył Desmond.

- Na pewno uda ci się wymyślić jakąś ładną historyjkę - powiedział Frost. - Jutro spróbuję nim otworzyć drzwi w domu Mulletta. Nigdy nic nie wiadomo.

Wstał z krzesła, czując, jak całe zmęczenie i zniechęcenie na nowo biorą górę nad jego wrodzonym optymizmem.

- Czy mogę już odejść? - zapytał Thorley.

- Spiszcie jego zeznania, a potem go wypuście - polecił Frost. - Aha, trzeba wysłać ten płaszcz do laboratorium.

Wyszedł z pokoju przesłuchań i przygarbiony powłókł się wzdłuż korytarza, ciągnąc za sobą wymiętoszony szalik.

- Dobrze się czujesz, Jack? - spytał Bill Wells. - Nie wyglądasz najlepiej.

- Po prostu jestem zmęczony - uspokoił go Frost. - Muszę się trochę przekimać.

- Nie zapomnij, że masz się zameldować u Mulletta punktualnie o dziewiątej.

- Nie zapomnę - odparł Frost, wychodząc w zimną, nieprzyjazną noc.

PIĄTEK, DZIENNA ZMIANA

Wyjął klucz z czarnego plastikowego płaszcza i próbował wsadzić do zamka. Wszedł nadszpiewanie łatwo. Przekręcił go, a wtedy rozległo się ciche kliknięcie i drzwi stanęły otworem, ukazując długi, wąski korytarz. Na końcu tego korytarza stała młoda kobieta, całkiem naga, z szeroko rozpostartymi ramionami, jakby chciała go zwabić do siebie. Popędził w jej kierunku, ale niespodziewanie drogę zagroził mu Mullett. Wściekły, opryskliwy Mullett.

Nagle obudził się i ujrzał oślepiający blask słońca. Słońca? Usiadł na łóżku i złapał budzik, wpatrując się z niedowierzaniem w godzinę, którą wskazywał. Jedenasta trzydzieści. Niemożliwe! Alarm miał go obudzić o siódmej rano! O dziewiątej powinien być zjawić się u Mulletta. Sprawdził kluczyk. Sprężyna była całkiem poluzowana. Albo zapomniał wczoraj wieczorem nakręcić budzik, albo był tak wyczerpany, że nie słyszał dzwonka. Psiakrew!

Spuszczając stopy na podłogę, przymknął powieki przed kłującą w oczy jasnością. Dlaczego akurat dziś świeci słońce? Komu to potrzebne? Jeśli za chwilę miał dostać od Mulletta cios prosto w jaja, to wolał, żeby lał paskudny deszcz.

Pobił wszystkie rekordy prędkości, wciskając na siebie ubranie, które leżało niedbale porzucone na środku sypialni. Nagle zatrzymał się, usiadł na łóżku i zapalił jednego z wyśmienitych papierosów zabranych ze skrzyneczki Mulletta. Co, do diabła? Po co aż tak się spieszyć? Nawet jeśli się nie ogoli i nie zje śniadania, a potem będzie pędził jak wariat, to i tak na posterunku zjawi się spóźniony prawie o trzy godziny.

Więc może lepiej spóźnić się o cztery? Niespieszna kąpiel i golenie, potem spokojne śniadanko na ciepło i mnóstwo czasu na wymyślenie całkowicie nowej wymówki. To musi być jakaś chwytająca za serce historia, która natychmiast ostudzi mordercze zapęły Harryego Okularnika.

Pogwizdując pod nosem wesołą melodyjkę, zbiegł ze schodów, zgarnął z wycieraczki dwa listy i zaniósł je do kuchni. W pierwszym bez wątplenia znajdował się wyciąg z konta w banku Bennington. Jeszcze nie czuł się gotów na przyswojenie niemiłych wiadomości, więc nie otwierając koperty, cisnął ją do kosza na śmieci. Drugi list okazał się całkowitą zagadką. Koperta zaadresowana była ręcznie, w dodatku nieznanym charakterem pisma. Oparł ją o pojemnik z pieczywem, a następnie nalał wody do czajnika elektrycznego i wcisnął włącznik. W odległym kącie lodówki natrafił na dwa wątpliwej świeżości plasterki bekonu, ale wyciągnął je na światło dzienne, powąchał i zdecydował, że jednak da im szansę.

Bekon wylądował na patelni w towarzystwie sporej ilości odzyskanego tłuszczu spod pieczenia, a zaraz potem dołączyły do nich dwa jajka. Po chwili wszystko skwierczało, przyskało i wypełniało kuchnię tłustawym dymem. Teraz Frost zajął się robieniem herbaty. Cholera, w puszcze nie została ani jedna torebka. Niech to szlag!

Pomyszkował w koszu na śmieci i znalazł napuchniętą, rozmiękłą torebkę, która z wyglądu przypominała utopioną mysz. Jak ktoś jest dziadem, to nie może być zbyt wybredny, pomyślał, wkładając ją do kubka i zalewając wrzątkiem. Posmarował kromkę chleba masłem, przełożył zawartość patelni na talerz, ze zlewozmywaka wyciągnął nóż i widelec, i zasiadł do jedzenia.

Nagle coś białego przykuło jego wzrok. List. Wsuwając pod zagięcie koperty umazany w maśle nóż, rozciął papier i zajrzał do środka. Kartka z życzeniami urodzinowymi. Zmarszczył brwi i jeszcze raz rzucił okiem na kopertę, dzięki czemu sprawa od razu stała się jasna. List zaadresowany był do pani J. Frost. Oczywiście, dziś przypadały urodziny żony, a kartkę wysłał ktoś, kto nie miał pojęcia, że ona nie żyje. W środku znajdowało się parę słów skreślonych obcą ręką: „Najlepsze życzenia od Glorii... wciąż mam ten sam adres... będzie mi miło, jeśli do mnie napiszesz...”. Zamknął oczy i próbował sobie przypomnieć. Gloria? Kim,

do diabła, mogła być ta Gloria? Wydawało mu się, że zawiadomił wszystkich znajomych. Po chwili zrezygnował i z powrotem wsunął kartkę do koperty.

Na śmierć zapomniał, że dziś wypadały jej urodziny... Ale przecież zawsze o tym zapominał. Rok po roku uświadamiał sobie ze wstydem ten fakt, gdy rano schodził ze schodów i widział na wycieraczkę stos kartek z życzeniami.

Przywołał z pamięci jej ostatnie urodziny. Leżała w szpitalu i wyglądała dwa razy starszej, niż to wynikało z metryki... A potem przypomniały mu się jej urodziny we wczesnym okresie ich małżeństwa, kiedy ona była inna, kiedy wszystko było inne, kiedy jego dowcipy doprowadzały ją do śmiechu i kiedy we dwoje czuli się naprawdę szczęśliwi... Jak to się stało, że wszystko uległo zmianie? On przecież wcale się nie zmienił. Nigdy się nie zmieniał. W tym cały problem. Ona pragnęła, żeby się zmienił, żeby odniósł w życiu sukces, ale nie potrafił tego dokonać.

Powrócił do rzeczywistości i do jedzenia, które powoli stygło na stojącym przed nim, wyszczerbionym talerzu.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie - zamruczał, upuszczając urodzinowe życzenia na leżący na wierzchu kosza wyciąg z banku. Przyszło mu do głowy, że być może powinien zajrzeć na cmentarz i postawić kwiaty na jej grobie, udając, że tym razem pamiętał... Odsunął talerz i zapalił ostatniego papierosa z kolekcji Mulletta. Nie zanieś żadnych kwiatów, zdecydował. To byłoby zbyt obłudne.

*

Mullett kolejny raz nacisnął brzęczyk interkomu.

- Czy inspektor Frost już przyjechał?

To pytanie zdumiewająco szybko stało się rutynowe.

- Wydaje mi się, że nie, panie komendancie - odparł ostrożnie sierżant Johnny Johnson. Zupełnie jakby miał co do tego jakiegokolwiek wątpliwości! Cholernie dobrze wiedział, że Frost jeszcze nie raczył się zjawić. Czyż nie wydzwaniał do niego do domu od piątej do dziewiątej po to tylko, żeby usłyszeć sygnał zajętej linii? Inspektor musiał zdjąć słuchawkę z widełek, ale oczywiście Mullett nie mógł się o tym dowiedzieć.

- Chcę, żeby się zgłosił do mnie natychmiast, kiedy przyjdzie... Dokładnie w tej samej chwili!

- Dokładnie w tej samej chwili - powtórzył jak echo Johnson, który znał już ten tekst na pamięć. Rzucił słuchawkę na widełki i ryknął na Webstera:

- Posterunkowy Webster, czy byliście w domu inspektora Frosta?!

- Tak jest, sierżancie - odparł zapytany. - Jak już mówiłem, przed domem nie było samochodu.

- Ale zapukaliście do drzwi?

- Nie było sensu pukać, sierżancie. Jeśli nie ma samochodu, inspektora także nie ma.

- W takim razie proszę pojechać tam z powrotem i pukać, walić albo kopać w te cholerne drzwi. Jeśli nikt się nie odezwie, trzeba będzie inspektora poszukać. A następnym razem, kiedy dostaniecie jakieś polecenie, postarajcie się wykonać je jak należy!

- Idę już, idę! - rozległ się znajomy głos. - Witam wszystkich!

- Gdzieś ty się podziewał, do diabła?! - wrzasnął Johnson. - Czy wiesz, że komendant dostaje kompletnego świra?

- Świra? - zatroskał się Frost. - A już myślałem, że udało mi się go z tego wyleczyć.

Sierżant mógł jedynie złapać się za głowę.

- To wcale nie jest śmieszne, Jack! Spójrz, która godzina! Minęła dwunasta, a ty miałeś być u niego o dziewiątej!

Frost odegrał wspaniałą scenkę, sprawdzając na zegarku, która godzina.

- Mogę mu dać jeszcze parę minut, jeśli mu na tym zależy.

Johnson porwał słuchawkę wewnętrznego telefonu i wcisnął numer gabinetu Mulletta.

- Pan Frost właśnie przyjechał, panie komendancie. Tak jest. Natychmiast. - Odwrócił się do Frosta. - Jack, masz się zgłosić do gabinetu komendanta. I to zaraz!

Odłożył słuchawkę i z uprzejmym uśmiechem odwrócił się do kobiety, która przyszła poinformować policję o dziwnych wydarzeniach w domu po drugiej stronie ulicy.

Frost okręcił się na pięcie, żeby posłusznie wykonać polecenie, kiedy zawołał go posterunkowy Collier.

- Inspektorze Frost, ma pan pilny telefon. To jakaś pani, ale nie chciała podać nazwiska.

- Rozumiem. - Frost bez wahania ostro skręcił w prawo, do swojego biura.

Sierżant Johnson na moment oderwał się od wysłuchiwanie długiej listy skarg i zażaleń.

- Dokąd poszedł inspektor? - zapytał podejrzliwie.

- Mam wrażenie, że do siebie - odparł Collier.

- Do siebie?! - ryknął Johnson. - Komendant czeka na niego! Zajmij się tą panią, z łaski swojej - dodał, pchając Colliera w objęcia rozżalonej damy.

Znów zabrzączał wewnętrzny telefon. Mullett powoli zaczynał tracić cierpliwość.

- Zostaw to! - wrzasnął Johnson, ale było już za późno. Collier podniósł słuchawkę i trzymając ją na długość ramienia, podał sierżantowi. - Komendant do pana.

- Biegnij i przyprowadź tu inspektora Frosta - zapiszczał sierżant i popchnął Colliera w stronę korytarza.

- A co ze mną? - poskarżyła się kobieta.

- Za moment się panią zajmę, madame - odparł Johnson, szybko odwracając się do telefonu. - Tak jest, panie komendancie - powiedział do słuchawki. - Tak jest, przekazałem mu pańskie polecenie. Wydaje mi się, że akurat ktoś zadzwonił do niego w sprawie niecierpiącej zwłoki... Tak jest, panie komendancie. Natychmiast, panie komendancie.

Odłożył słuchawkę i pełnym zmęczenia ruchem przesunął dłonią po twarzy.

- One są tam zawsze... Rano, w południe i wieczorem... - powiedziała kobieta. - Hej! Dokąd pan idzie?! Frost mocniej przycisnął słuchawkę do ucha.

- Nie, jeszcze nie odzyskaliśmy twoich suwerenów, Lii... Tak, wiem, że jesteśmy bandą beznadziejnych nierobów i leni. Czy kiedykolwiek mówiłem, że jest inaczej? Kiedy będę miał dla ciebie jakieś nowiny, natychmiast zadzwonię... I życzę ci tego samego, Lii.

Odłożył słuchawkę, rozejrzał się dookoła i zadrzał. Biurko było zavalone papierzyskami. Skąd one się tu wzięły, do diabła? Ostrożnie zgarnął je na stertę i przeniósł na sąsiednie biurko, żeby Webster miał powód do niezadowolenia, kiedy tylko wejdzie do środka. Następnie wsadził do ust papierosa i wygrzebał zapalniczkę, którą tego ranka odkrył w jednej z kuchennych szuflad. Zaraz potem odskoczył jak oparzony, kiedy płomień wysokości sześciu cali oparzył mu czubek nosa. Od razu przypomniało mu się, dlaczego przestał jej używać.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem, a w progu pojawił się zadyszany sierżant Johnson.

- Jack, na litość boską!

- O cholera! - zawołał Frost. - Zupełnie zapomniałem o Harrym Okularniku!

Skoczył na równe nogi, gotów biec do gabinetu szefa, i dopiero wtedy ujrzał za plecami Johnsona jakiś cień. Z tyłu stał Mullett we własnej osobie, a jego twarz była czerwona z gniewu i oburzenia.

- Do mojego biura, Frost... Natychmiast! Komendant okręcił się na pięcie i wyszedł na korytarz.

Temperatura w pomieszczeniu spadła co najmniej o trzydzieści stopni.

- Próbowałem cię ostrzec, Jack - zasyczał Johnny Johnson. - Chyba zacznę zbierać kasę na zapomogę dla ciebie.

- Nie martw się na zapas - odparł Frost i z podniesionym dumnie podbródkiem pomaszerował do gabinetu szefa.

*

Panna Smith - lustrzane odbicie nastrojów Mulletta - siedziała przy maszynie do pisania, z trudem powstrzymując wybuch złości. Gniew komendanta był jej gniewem. W przelocie ujrzała wściekłą minę szefa i to wystarczyło, żeby czuła się w obowiązku obrzucić Frosta lodowatym spojrzeniem, kiedy w drodze do gabinetu przechodził obok jej biurka.

- Komendant powiedział, że ma pan od razu wejść - oznajmiła opryskliwym tonem.

Ale Frost nie dał się już na to nabrać. Zapukał i czekał na wezwanie.

Z sanktuarium dobiegło głuchoe warknięcie. - Wejść!

Mullett siedział sztywno za mahoniowym biurkiem, wykończonym na wysoki połysk. Przed nim leżała otwarta teczka z aktami Frosta. Najwyraźniej miał zamiar przywołać na nowo wszystkie błędy inspektora z przeszłości, żeby bez owijania w bawełnę dać mu do zrozumienia, że powinien poszukać pracy gdzie indziej, ponieważ brak odpowiedzialności i dyscypliny dyskwalifikują go jako oficera policji. Z uporem wpatrywał się w dokumenty, całkowicie ignorując obecność Frosta, ale zanim zdążył odpalić pierwszy pocisk, Frost wkroczył do akcji.

- Proszę wybaczyć mi dzisiejszy ranek, szefie, ale nagle przypomniałem sobie, że dziś przypadają urodziny mojej żony nieboszczki. Pomyślałem, że przede wszystkim należy zanieść kwiaty na jej grób.

To błyskotliwe posunięcie kompletnie rozbroiło Mulletta.

- Drogi kolego - odparł ze wzruszeniem. - Proszę usiąść.

Zapisał sobie w pamięci, że panna Smith ma sprawdzić, czy data faktycznie się zgadza, a potem zamilkł na parę sekund i pochylił głowę, żeby okazać, jak bardzo szanuje zmarłą żonę inspektora. Zaraz potem wziął się w garść, bo należało załatwić także mniej przyjemne sprawy.

- Operacja „Pułapka na myszy” poniosła zupełną klęskę, a w dodatku wszystko odbyło się bez mojej wiedzy i zgody. Wiedział pan, że ta zgoda ma w tym wypadku podstawowe znaczenie i że mógł ją pan uzyskać jedynie wtedy, gdyby mnie pan przekonał, że plan ma jakiegokolwiek szanse powodzenia. Dlaczego nie zostałem o niczym poinformowany?

- Proszę o wybaczenie, szefie - powiedział Frost. Założył nogę na nogę i nie przejmując się niczym, beztrąsko machał niewyczyszczonym butem. - Chciałem się z panem zobaczyć, ale pan chyłkiem wymknął się z posterunku.

Mullett milczał.

- Byłem w kwaterze głównej hrabstwa - odezwał się po chwili. - Wystarczyło jedynie wziąć do ręki telefon, ale pan wolał w skandaliczny sposób ominąć obowiązujące procedury i zrobić to, co pan zamierzył. Jakby tego nie było dość, zasugerował pan sierżantowi Johnsonowi, że uzyskał pan moją zgodę.

- W takim razie sierżant musiał źle mnie zrozumieć - beczelnie oświadczył Frost. - Najważniejsze, że nikomu nie stała się krzywda.

Mullett oparł się o zagłówek, rozszerzając oczy ze zdumienia.

- Jak to nie stała się krzywda? O ile wiem, jedna z naszych policjantek została poważnie ranna.

- Ranna? - Frost wzruszył ramionami. - Wyszła z tego z kilkoma siniakami i podbitym okiem. Widywałem panny młode, które wracały z miesiąca miodowego z poważniejszymi obrażeniami.

- Inspektorze, ona mogła zginąć.

- Tak samo mogła wygrać w totka pięćdziesiąt tysięcy funtów, panie komendancie, ale nie wygrała.

Mullett zakrył twarz dłońmi. Czuł, że za chwilę się rozplacze. Jak można używać racjonalnych argumentów w dyskusji z kimś takim jak Frost? Wziął do ręki świeżo zaostrzony ołówek i zaczął nim kręcić młynka.

- Odbieram panu prowadzenie tej sprawy, inspektorze - oświadczył stanowczo.

Frost otworzył usta ze zdziwienia. Przez chwilę spoglądał na szefa z niedowierzaniem, jakby obawiał się, że komisarz postradał zmysły.

- Co mi pan tu pieprzy?! - warknął w końcu. Ołówek trzasnął jak zapalka, kiedy Mullett ścisnął go między palcami. Nagły atak gniewu odebrał mu mowę.

- Niech pan nigdy nie waży się mówić do mnie w ten sposób, Frost - wyskrzecztał, ale z gardła wydobył mu się ledwie słyszalny szept.

- Och, najmocniej przepraszam, szefie! - zawołał Frost tonem człowieka, który jedynie w niewielkim stopniu naruszył zasady dobrego wychowania. - Chciałem tylko nadmienić, że bardzo zależy mi na prowadzeniu tego śledztwa. Wydaje mi się, że jestem o krok od rozwiązania.

- Tak... Plastikowy płaszcz i klucz do drzwi - mruknął Mullett, zaglądając do notatek.

- Proszę je przekazać panu Allenowi. Nawiasem mówiąc, jak tam postępy w sprawie o morderstwo... Mam na myśli tego narkomana?

- Nie za dobrze - przyznał Frost. Świetnie o tym wiesz, cholerny głupku, dodał w myśli.

- W takim razie dobrze się składa. Kiedy odpadnie panu śledztwo w sprawie gwałtu, będzie pan miał więcej czasu, żeby się skoncentrować na innych dochodzeniach. - Mullett uśmiechnął się. Na znak, że rozmowa dobiegła końca, przyciągnął do siebie tacę z listami, żeby złożyć na każdym z nich zamaszty podpis. - Ach, jeszcze jedno... Szef policji bardzo się niepokoi wzrastającą liczbą włamań do domów... Niech to będzie dla pana absolutnym priorytetem, panie Frost. To wszystko.

Zdjął skuwkę z wiecznego pióra i właśnie podpisywał pierwszy list, kiedy pióro podskoczyło mu w rękę i na wypisaną uprzednio przez pannę Smith stronę wytrysnęła fontanna atramentu. To Frost trzasnął drzwiami, wychodząc z gabinetu, choć zamknięcie ich wcale nie wymagało użycia siły.

Mullett odłożył na bok list, żeby panna Smith przepisała go jeszcze raz, a potem zadzwonił i poprosił o przyniesienie mu kilku tabletek aspiryny. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd pozbyć tego człowieka.

*

Drzwi trzasnęły raz jeszcze, kiedy wściekły Frost dotarł do własnego biura, które z wyglądu raczej przypominało chlew. Zaraz potem, żeby dać upust złości, zadał prawą ręką morderczy cios tacy z przychodzącymi dokumentami. Jej zawartość pofrunęła na podłogę, a Frost okręcił się na pięcie i naskoczył na Webstera, który z pełnym pobłażania rozbawieniem obserwował poczynania inspektora.

- Posterunkowy Webster, nie siedźcie tak, jakby ktoś wam przykleił tyłek do krzesła. Pomóżcie mi to zbierać.

Bez słowa komentarza Webster schylił się i zaczął podnosić dokumenty. Uśmiechał się przy tym pod nosem, jakby widok rozwścieczonego Frosta sprawiał mu prawdziwą przyjemność. Najwyraźniej inspektor dostał po uszach za wczorajszą nieudaną eskapadę. Zdaniem Webstera taka nauczka na pewno mu się przyda.

Frost właśnie klęczał na podłodze, usiłując zebrać parę raportów w sprawie włamań, które uciekły głęboko pod biurko. Parę razy szturchnął je linijką i wreszcie udało mu się wyłowić jeden egzemplarz.

- Nawiasem mówiąc, synu, od dziś już nie odpowiadam za śledztwo w sprawie gwałtów.

Webster mruknął coś wymijającego. - Jak się czuje twoja dziewczyna? - spytał Frost, jednocześnie przeglądając zawartość formularza.

- Na tyle dobrze, że przyszła do pracy. Włożyła ciemne okulary, żeby ukryć podbite oko, ale poza tym wszystko jest chyba w porządku.

Choć wcale nie dzięki tobie, cholerny idioto, dodał po cichu.

Frost rzucił się na krzesło i jeszcze raz odczytał trzymany w ręku raport.

- Czy wiesz coś na temat tego niedoszłego włamania przy Beech Crescent?

- Szczerze mówiąc, niewiele - odparł Webster. - Posterunkowy Kenny otrzymał wezwanie w tej sprawie, kiedy odwoził mnie i Sue do jej mieszkania.

Zgodnie z raportem, niejaka pani Shadbolt spod numeru trzydziestego drugiego ujrzała mężczyznę, który wspinał się przez płot do ogródka na tyłach jej domu, więc natychmiast wykręciła numer alarmowy. Kenny przeprowadził śledztwo na miejscu i odkrył, że tylne drzwi do domu położonego nieco dalej zostały wyważone siłą. Obudził więc właściciela i razem z nim przeszukał cały dom od piwnicy aż po strych, ale okazało się, że nic nie zginęło.

- Hmm... - mruknął Frost i zamyśliwszy się głęboko, potarł podbródek. Po chwili odwrócił się do wiszącej na ścianie mapy, żeby odszukać Beech Crescent. Większość ulic otaczających Denton Woods nosiła nazwy drzew, więc inspektor znalazł tę ulicę. Znajdowała się całkiem niedaleko od miejsca, gdzie gwałcieł zaatakował Sue. Nagle ogarnęło go przecucie, że warto pójść tym tropem.

- Przyrowadź samochód, synu. Wychodzimy.

Ledwo ruszyli, gdy odezwała się dyspozytornia. Przed sekundą dzwonił Sammy Glickman, właściciel lombardu. Mężczyzna, które sprzedał mu kradzione suwereny, zjawił się z następną partią towaru.

- Możemy tam być za pięć minut - oświadczył Webster, rozglądając się za boczną uliczką, w którą mógłby skręcić.

- Nie - odparł zdecydowanie Frost. - Teraz zajmujemy się tamtym włamaniem.

Przekazał dyspozytorowi, żeby natychmiast skierował do lombardu wóz patrolowy z poleceniem zatrzymania wymienionego mężczyzny. Przesłucha go po powrocie na posterunek. Webster nie mógł zrozumieć, dlaczego jakieś bezsensowne włamanie nagle stało się tak istotne, ale ostatecznie to Frost był tu szefem.

*

Pani Shadbolt - dama z siwymi włosami w odcieniu lawendy - nosiła jasnopomarańczowe korale do fiołkoworóżowego sweterka. Pod pachą taszczyła małego, spasionego pekińczyka, do którego zwracała się per „kochanie mamusi”. Było to zwierzę o wiecznie skrzywionej mordce, z wywalonym na wierzch językiem, stale charczące i posapujące, jakby bez przerwy miało problemy z zatrzymaniem uciekającego z płuc powietrza. Pani miała jeszcze drugiego psa, francuskiego pudła - jego histeryczne ujadanie

atakowało bębni w uszach z taką częstotliwością, że gość odczuwał niemal fizyczny dyskomfort. Pies wpadł w szal, kiedy przekonał się, że nie ma szans na ugryzienie któregokolwiek z policjantów, a chwilę później pani odciągnęła go za obrozę i zamknęła w kuchni. Od tej pory w całym domu rozlegał się piskliwy psi wrzask, co groziło potłuczeniem wszystkich kieliszków, jakie pani Shadbolt przechowywała w przeszklonej szafce w kuchni.

- Biedaczek strasznie się denerwuje, kiedy przychodzą goście - wyjaśniła gospodyni.

- Proszę nam opowiedzieć, co pani widziała zeszłej nocy! - wrzasnął Frost, żeby przekrzyczeć ten piekielny hałas.

- No cóż, byłam na górze w sypialni... Frost dźwignął się z pokrytej perkalem sofy.

- Może spróbujemy odtworzyć to w naturze - zaproponował. Był gotów na wszystko, byle jak najdalej uciec od tego cholernego jazgotu.

Wspięli się na piętro po schodach - ściany zdobiły zdjęcia uroczych kotków bawiących się kłębkami wełny - i weszli do maleńkiej, wychodzącej na ogród sypialni. Na małżeńskim łożu leżała saszetka na koszulę nocną w kształcie foksteriera, rzucona byle jak między dwie identyczne poduszki.

- To moje łóżko - powiedziała pani Shadbolt.

- Posterunkowy Webster, koniecznie proszę to zanotować - mruknął Frost.

- Każdego wieczora przychodzę tu dokładnie o dziesiątej, inspektorze. Jestem bardzo przywiązana do swoich przyzwyczajęń i punktualna jak zegarek. Codziennie kładę się do łóżka o dziesiątej i wstaję o szóstej czterdzieści pięć.

- A gdzie jest pan Shadbolt? - spytał Frost, mierząc wzrokiem dwie poduszki.

Dama sięgnęła po miniaturową chusteczkę i przytknęła ją do oczu. Pekinńczyk głośniejszym sapaną, co zapewne miało być wyrazem współczucia.

- Zmarł ponad sześć lat temu.

- Och, jak mi przykro to słyszeć, madame. A więc była pani w łóżku, i...?

- Szybko zasnęłam. Zwykle zasypiam, zanim zdążę dotknąć głową poduszki. A potem Fifi zaczęła szczekać jak szalona. Natychmiast się ocknęłam.

- Tak, mogę to sobie wyobrazić - odparł Frost. - Gdzie wówczas była Fifi?

- Na górze, ze mną. Fifi sypia na podłodze, a Kochanie Mamusi na łóżku obok Diddums.

- Diddums? - zdziwił się Frost.

Pani Shadbolt uśmiechnęła się wdzięcznie i pogłaskała saszetkę w kształcie foksteriera.

- To właśnie jest Diddums. Fifi zaczęła skakać do okna i szczeakać jak szalona, więc w końcu podniosłam się i otworzyłam okno.

We trójkę przesunęli się do okna. Frost otworzył jedno skrzydło i wyjrzał na zewnątrz. Na dole znajdował się miniaturowy ogródek, z dwóch stron otoczony drewnianym płotkiem. Ściana z cegły odgradzała go od takich samych ogródków, które należały do domów stojących przy ulicy równoległej do Beech Crescent. Na trawniku pani Shadbolt aż roilo się od zielonych i czerwonych krasnali z plastiku; niektóre wychylały się z krzaków, inne siedziały po turecku na olbrzymich, gipsowych muchomorach albo rzucały pieniądze do plastikowych magicznych studni.

- O rany, jak tu pięknie - mruknął Frost, myśląc jednocześnie, że chyba nigdy w życiu nie widział czegoś równie upiornego.

- Wyjrzałam i zobaczyłam mężczyznę, który gramolił się przez płot do mojego ogródka... O tam, przy samym końcu, obok krasnala na muchomorze. Zaczęłam krzyczeć i wzywać pomocy, a wtedy on natychmiast uciekł.

- Co, wrócił tam, skąd przyszedł? - zainteresował się Frost, wsuwając głowę z powrotem do mieszkania.

- Och, nie! - zawołała pani Shadbolt. - Przebiegł przez mój ogródek i przeskoczył przez płot z drugiej strony, dzielący moją działkę od sąsiedniej posesji.

Bez wahania wskazała płot po prawej stronie.

Frost odwrócił się w tamtą stronę.

- Jest pani pewna? - spytał, marszcząc brwi.

- Oczywiście, że jestem pewna. Co prawda było bardzo ciemno, ale go widziałam. Poza tym płot zatrzęsł się, kiedy na niego wlaził.

Frost znowu wyjrzał przez okno.

- W którym domu mieszka ten gość, któremu włamywacz wyłamał drzwi?

- Właśnie w tym na prawo. To tam wlaził ten intruz. Sąsiedni dom ma numer trzydzieści sześć.

Inspektor usiadł na łóżku, ale sekundę później zaczął się wiercić, bo było mu strasznie niewygodnie. Wyciągnął spod siebie Diddumsa i rzucił na podłogę.

- To zupełnie nie ma sensu - oświadczył.

- Dla mnie ma - sprzeciwił się Webster, który znów nie mógł zrozumieć, czemu inspektor traci czas na takie głupoty. - Facet wspiął się przez płot do ogródka pani Shadbolt. Pani Shadbolt zaczęła krzyczeć, więc szybko zwiął na następną posesję. Gdzie tu problem?

- Prawdopodobnie nigdzie. - Frost powoli wydawał się tracić zainteresowanie sprawą.
- Pani Shadbolt, czy zna pani tych państwa spod numeru trzydzieści sześć?

- Trudno mi coś o nich powiedzieć, inspektorze. Przeprowadzili się całkiem niedawno. Wyglądają na dość sympatyczne małżeństwo.

- Rozumiem. - Frost wstał i skierował się ku drzwiom. - Musimy zamienić z nimi parę słów. Jestem pani bardzo wdzięczny za pomoc, pani Shadbolt.

Już na ulicy, kiedy skręcili w stronę domu pod trzydziestym szóstym, Frost odwrócił się do Webstera.

- Czy zdarzyło ci się kiedyś poczuć, synu, że nagle sprawy zaczęły zmierzać w dobrym kierunku?

- Często miewam takie wrażenie, ale potem nic z tego nie wynika.

- Ja też - przyznał inspektor. - Ale mam nadzieję, że dzisiejszy dzień okaże się wyjątkiem od tej reguły. Jak się nazywa ten facet, do którego idziemy?

- Price - odparł Webster. - Charles Price.

Charles Price okazał się nieśmiałym mężczyzną dobijającym czterdziestki, o ciemnych włosach i pokornym uśmiechu. Właśnie malował drzwi wejściowe i był tak pochłonięty tym, co robi, że nie usłyszał, jak dwaj policjanci weszli przez furtkę na prowadzącą do domu dróżkę.

- Czy pan Price? - zapytał Frost. - Jesteśmy z policji.

Okręcił się dookoła i popatrzył na nich z przerażeniem. Ręka trzymająca pędzel wyraźnie drżała.

- Ale mnie pan zaskoczył - powiedział po chwili. - Wcale was nie słyszałem. Czy chodzi o wczorajszą noc?

Frost skinął głową.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

- Nic nie zostało skradzione - rzekł Price. - Ktoś musiał wystraszyć włamywacza. Zresztą posterunkowy był na miejscu już po kilku minutach od wezwania.

- Do pańskich usług. - Frost uśmiechnął się. - Moglibyśmy wejść?

Price z niezwykłą starannością nakrył wieczkiem puszkę z żółtą farbą, wytarł pędzel w szmatę i zanurzył go w słoiku wypełnionym do połowy białym spirytusem.

- Próbuje skończyć grubsze porządki, zanim żona wróci - wyjaśnił, wycierając ręce w szmatę. - Przeprowadziliśmy się zaledwie przed trzema tygodniami i wciąż zostało wiele do zrobienia, żeby ten dom zaczął jako tako wyglądać.

Uprzedzając, żeby uważali na świeżo położoną farbę, poprowadził ich korytarzem do niewielkiego salonu, w którym panował nienaganny porządek. Podłogę zaścielała podwójna warstwa gazet - tak na wszelki wypadek, żeby chronić dywan przed zabrudzeniem.

- Gdybym rozlał tu choćby jedną maleńką kropelkę farby, moja żona nigdy nie przestałaby mi suszyć głowy.

Zauważywszy brudny płaszcz inspektora, Price szybko rozłożył gazetę na kanapie i dopiero wtedy zaprosił do zajęcia miejsc.

- Moja żona jest strasznie drobiazgowa, jeśli chodzi o meble - wyjaśnił.

Przyniósł sobie z kuchni stołek i skromnie przycupnął na brzeżku.

- Tylko parę pytań, panie Price, i zaraz będzie pan mógł wrócić do malowania - oświadczył Frost. Próbował wygodnie się usadowić, ale przy każdym ruchu rozlegał się szelest gazety. - Mówi pan, że mieszka w tej okolicy zaledwie od trzech tygodni?

- Tak jest. Wcześniej mieszkaliśmy na Appian Way, w okolicach Meads Park, ale musieliśmy się wyprowadzić. Moja żona nie potrafiła dogadać się z sąsiadami.

- A gdzie się podziewa pańska piękniejsza połowa? - zainteresował się inspektor. Jednocześnie zastanawiał się, czy dałoby się zapalić tu papierosa, nie ryzykując przy tym, że wypełniony gazetami dom zmieni się w jedno wielkie piekło.

- Pojechała we wtorek do Darlington, żeby zająć się chorą matką. Moja czcigodna teściowa ma osiemdziesiąt siedem lat i nie może już nic koło siebie zrobić. Nawet nie daje rady sama pójść do toalety. Zwykle zajmuje się nią szwagierka, ale akurat teraz sama musiała pójść do szpitala na operację żyłaków.

Frost doszedł do wniosku, że najwyższy czas interweniować, bo inaczej Price uraczy ich opowiadaniem o wszelkich chorobach występujących w rodzinie.

- Rozumiem. Bardzo panu dziękuję.

- Spodziewam się, że wróci dopiero jutro, ale ponieważ nie było jej w domu, kiedy nastąpiło to nieszczęsne włamanie, więc nie sądzę, żeby mogła panom pomóc. Czy to nie przeszkodzi, że przed powrotem żony naprawię tamte tylne drzwi? Dostanie szafu, kiedy zobaczy, w jakim są stanie.

- Zgoda, ale mój brodaty kolega i ja powinniśmy je przedtem obejrzeć.

Depcząc kolejne gazety, przeszli obok listew błyszczących od nowiutkiej białej farby do niedużego pomieszczenia gospodarczego, gdzie mieściła się zamrażarka oraz liczniki gazu i elektryczności. Na tylnej ścianie znajdowało się wyjście do ogrodu. To właśnie te drzwi zostały sforsowane przez intruza. Zamek chwilowo był bezużyteczny, więc drzwi zostały zaryglowane u dołu i u góry, żeby w ogóle można było je zamknąć. Teraz Price usunął

zabezpieczenia i otworzył je na całą szerokość. Ogródek był mniej więcej podobny do ogródka pani Shadbolt, tylko o wiele bardziej zarośnięty i bez krasnali.

Frost wyszedł na zewnątrz i nappełnił płuca świeżym powietrzem, żeby pozbyć się z ust ohydneho smaku farby. Razem z Websterem dokładnie obejrzeni drzwi. Framuga została zmiżdżona i rozłupana w miejscu, gdzie włamywacz łomem podważył skrzydło.

- Strasznie mu zależało, żeby się dostać do środka... - mruknął inspektor. - Może jednak zabrał coś z mieszkania? Dobrze pan policzył, czy nie brakuje jakiejś puszkę z farbą?

- Posterunkowy, który był tu zeszłej nocy, uprzejmie przejrzał ze mną cały dom, ale wszystko stało na swoim miejscu. My naprawdę nie mamy niczego, na co warto się połaščzyć, ale być może ten człowiek myślał, że wciąż mieszkają tu poprzedni właściciele. Z tego, co wiem, mieli ładną kolekcję cennych sreber.

- Tak, to prawdopodobnie jest właściwa odpowiedź! - zawołał z zachwytem inspektor.
- Powinien pan wstąpić do policji, panie Price.

Price zamrugał i wyraźnie się rozpromienił. Z kuchni dobiegł cieniutki, przeraźliwy gwizd.

- O Boże, czajnik! Czy napiją się panowie herbaty?

- Z przyjemnością - odparł Frost. - Za moment do pana dołączymy.

Gdy tylko Price zniknął w kuchni, Frost podrapał się po policzku i podsunął w stronę zamrażarki.

- Kiedyś trafił mi się taki przypadek, synu, że gość zadusił żonę i pochował ją pod deskami podłogi, a sąsiadom powiedział, że wyjechała odwiedzić chorą matkę. Kiedy ciało zaczęło nieco cuchnąć, a odświeżacz powietrza nic nie mógł już działać, facet wsadził zwłoki do zamrażarki i zabrał się do malowania domu, żeby zapach farby przyćmił inny smród...

Webster jęknął z rozpaczą.

- Chyba nie chce pan zasugerować...

- Zakładam się o dwa pensy, że ona jest w zamrażarce. Poderwał przykrywę, zajrzał do środka, a potem z hukiem opuścił ją na miejsce.

- Dwa pensy są twoje.

Jego uwagę przyciągnęło coś schowanego między zamrażarką a ścianą. Pochylił się i wyteżył wzrok, żeby dostrzec cokolwiek w ciemnej przestrzeni.

- Coś tam jest, synu. Pomóż mi to wyciągnąć.

Co mu znowu strzeliło do łba, do jasnej cholery, pomyślał ze złością Webster i wyteżył wszystkie siły, żeby odsunąć od ściany w pełni załadowaną zamrażarkę. W końcu

udało się zrobić wystarczająco dużo miejsca, żeby Frost mógł tam wsadzić rękę. Za zamrażarką leżała para zardzewiałych nożyc ogrodniczych. Drewniane rękojeści gdzieś się zapodziały.

- Hura! - zawołał z sarkazmem Webster.

- Ja tu udaję Sherlocka Holmesa, a ty mi rzucasz kłody pod nogi - odciął się Frost. - Widzisz małe drzazgi przyklejone do ostrza? Pochodzą z drzwi prowadzących do ogródka. To właśnie tych nożyc użył włamywacz w charakterze łomu.

Webster wziął nożyce i przymierzył je do uszkodzonej framugi.

- Może ma pan rację - przyznał opryskliwie.

- Nie musisz się aż tak wysilać - mruknął pod nosem Frost. Zabrał nożyce, wyszedł do ogródka i ze schyloną głową uważnie oglądał ziemię. Z okrzykiem triumfu wskazał wyraźny ślad w kształcie nożyc, odciśnięty na grządce z kwiatami, która biegła wzdłuż ogrodzenia.

- Właśnie stąd wziął je nasz włamywacz. - No i?

- Nie przyniósł ich ze sobą - tłumaczył cierpliwie Frost. - Gość był niezbyt dobrze wyekwipowany jak na włamywacza, zgadzasz się ze mną? Nie zabrał ze sobą niczego, co mogłoby posłużyć mu do otwarcia drzwi, i w końcu biedaczek musiał się zadowolić parą zardzewiałych nożyc, które przypadkiem leżały w ogrodzie. Sam powiedz, czy to nie był prawdziwy łut szczęścia, że znalazł je po ciemku?

- Herbata gotowa! - zawołał z kuchni Price.

Frost odłożył nożyce na klapę zamrażarki, a następnie z powrotem zablokował drzwi. - Już idziemy! - odkrzyknął.

*

Herbatę wypili w salonie. Price podał ją w maleńkich filiżankach z wykwintnej chińskiej porcelany, a oprócz nich postawił na tacy dzbanuszek z mlekiem, cukier i talerzyk pełen ciasteczek. Najwyraźniej żona nauczyła go, jak należy przyjmować gości. Frost pochwalił herbatę.

Gospodarz przyjął wyrazy uznania skinieniem głowy i skromnie się uśmiechnął.

- Potrafię zrobić większość rzeczy, które potrzebne są w domu. Proszę poczęstować się ciasteczkami.

Frost wybrał jednak krem z mleka i jaj.

- Zapomniałem zapytać, panie Price, kim pan jest z zawodu? Chyba nie jest pan malarzem pokojowym, jak nie przymierzając Hitler?

- Pracuję jako inżynier konserwator na nocnej zmianie w Broughtons Engineering Work w Industrial Estate, ale w tym tygodniu jestem na urlopie.

- Pracuje pan w nocy? W jakich godzinach?

- Zaczynamy o ósmej wieczorem i pracujemy aż do szóstej rano następnego ranka. Maszyny są w ruchu przez cały dzień, więc wszelkie naprawy i konserwacja muszą być robione nocą, kiedy fabryka jest zamknięta.

Frost odstawił filiżankę na oparcie kanapy. Price porwał ją w mgnieniu oka i umieścił na tacy.

- Czy to znaczy, że jest pan w pracy całkiem sam? - spytał inspektor, wyjmując z kieszeni papierosy.

Price skoczył na równe nogi, żeby postawić tuż przed nosem inspektora olbrzymią popielniczkę. Zaraz potem otworzył szeroko okno.

- Moja żona nie znosi zapachu dymu - powiedział, wracając na miejsce. - Nie, nie pracuję sam. Jest nas dwóch: starszy inżynier i jego zastępca. Ja jestem zastępcą... Czy zechce pan pamiętać, żeby ostrożnie strząsać popiół? - dodał z niepokojem.

- Będę go łykał, jeśli pan sobie życzy - odparł z przekąsem Frost, bo drobiazgowość Price'a zaczęła go irytować.

- The Industrial Estate... - odezwał się po chwili namysłu.

- To całkiem blisko tych pól golfowych, gdzie zgwałcono dwie pierwsze dziewczyny.

- Owszem - zgodził się Price, machając gazetą, żeby skierować dym w stronę okna. - Pielęgniarka została zgwałcona czwartego kwietnia, a urzędniczka piątego.

Frost zeszytniał. Price bez wahania podał właściwe daty.

- Ma pan dobrą pamięć do dat.

- Właściwie to nie. Te akurat pamiętam, bo policja już mnie przesłuchiwała w tej sprawie. Myślę, że okazałem się pomocny.

Webster i Frost wymienili pospieszne spojrzenia. - W jaki sposób, proszę pana?

- Wszystko znajdzie pan w aktach - odparł Price. Nawet nie zdążyłem zajrzeć do tych cholernych akt, pomyślał Frost.

- Jestem pewien, że tak, ale mimo to chciałbym, żeby nam pan powiedział.

- Prowadzący śledztwo oficer podejrzewał naszego starszego inżyniera. On nazywa się Len Bateman. W przeszłości miał jakieś zatargi z policją z powodu swojej skłonności do młodych dziewcząt. Byłem przesłuchiwany przez detektywa inspektora Allena. Czy zna go pan, panie Frost?

- To jeden z naszych młodszych oficerów.

- Tak czy owak powiedziałem panu Allenowi, że Len Bateman pracował razem ze mną w czasie, gdy doszło do obu napadów, więc w żaden sposób nie mógł być sprawcą któregoś z nich.

- Czy Bateman wciąż pracuje w pańskiej firmie?

- Och, nie. Kilka tygodni później kierownik przyłapał go na kradzieży części do silników i od razu wyrzucił z pracy. Na jego miejsce został przyjęty nowy pracownik.

- Kiedy został zwolniony?

- Mniej więcej w połowie kwietnia.

- Właśnie wtedy nastąpiła przerwa w napadach na młode dziewczyny... - powiedział Frost z zamyśleniem i poczęstował się kawałkiem czekolady. Zaraz potem Price odsunął tacę poza zasięg rąk inspektora.

- Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę na ten zdumiewający zbieg okoliczności - ciągnął Frost, ze smakiem chrupiąc czekoladę. - Do trzech gwałtów doszło w pobliżu fabryki, w której pan pracuje, a do dwóch w Meads Park, czyli obok pańskiego miejsca zamieszkania. Dokładnie wtedy, gdy przeprowadził się pan w te okolice, napady zdarzyły się w Denton Woods, niemal na progu pańskiego domu.

- Mam nadzieję, że nie sugeruje pan, że chodzi o coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności? - spytał Price, zajęty wycieraniem maleńkiej plamki z białej farby, którą właśnie zauważył na nodze krzesła. - Ja nie mogłem tego zrobić, bo byłem wtedy w pracy. Proszę zapytać Lena Batemana, który pracował razem ze mną.

- Ma pan rację - odparł Frost. - Kolega może panu zapewnić żelazne alibi.

Zastanowił się przez moment, a potem mówił dalej.

- Miałem kiedyś kumpla, który pracował na nocnej zmianie, dokładnie tak jak pan. I podobnie jak pan pracował wspólnie z kolegą. Między nimi istniał pewien układ - jeśli jeden chciał się urwać na konkretną noc, drugi odbijał za niego kartę wejścia. Nikt nigdy nie odkrył tego procederu.

- Nawet nie wpadłbym na podobny pomysł.

Frost popatrzył na niego z promiennym uśmiechem.

- Oczywiście, że by pan nie wpadł. To przecież strasznie nieuczciwe. Ale załóżmy, że jednak umówiliście się w ten sam sposób. Że zdarzały się noce, kiedy był pan w fabryce całkiem sam i bez przeszkód mógł się pan stamtąd wymknąć, jeśli akurat nasza pana ochota, żeby zgwałcić jakąś dziewczynę. I jeśli ktoś zapytałby Lena Batemana, czy pracował z panem przez cały czas, on zaklinałby się na wszystkie świętości, że tak właśnie było, ponieważ pańskie alibi było także jego alibi.

Webster z coraz większym niepokojem wiercił się na krześle. Miał nadzieję, że Frost nie zamierza rzucać bezprawnych oskarżeń na Boga ducha winnego człowieka, nie mając w ręku żadnych dowodów.

Jednak Frost wydawał się nie tracić dobrego samopoczucia. Z przekonaniem mówił dalej.

- Kiedy Bateman wyleciał z roboty i na jego miejsce przyszedł nowy gość, nie mógł już pan uciekać się do dawnych manipulacji. To pewnie dlatego prawie przez cztery miesiące nie odnotowaliśmy ani jednego przypadku zgwałcenia.

Price sprawiał wrażenie kompletnie ogłuszonego.

- Chryste, to jakiś koszmar! - wyjęczał. - Nie dość, że włamano się do mojego domu, to jeszcze oficer śledczy prawie oskarża mnie o wielokrotny gwałt!

- Jak to „prawie”? - zawołał Frost. - Wcale nie zamierzałem bawić się w jakieś dwuznaczności. Price wstał.

- Jestem zmuszony poprosić panów, żebyście opuścili mój dom - oświadczył z całą mocą. - To zupełnie wytrąciło mnie z równowagi.

Frost nawet nie drgnął.

- Czy pańska żona często ma zwyczaj odwiedzać swoją matkę?

- Dwa albo trzy razy do roku.

- I zostawia pana samego w domu. Wcale bym się nie zdziwił, że gdybyśmy zaczęli porównywać daty, okazałoby się, że w czasie, gdy doszło do gwałtów, akurat był pan sam w pracy albo sam w domu.

- Boże, nie wierzę własnym uszom! - wykrzyknął Price, mrugając nerwowo.

- Na przykład wczorajsza noc - powiedział Frost i zapalił następnego papierosa. - W lesie, dokładnie po drugiej stronie drogi, usiłowano zgwałcić pewną kobietę, policjantkę - naprawdę atrakcyjną laskę, młodą i z wielkimi cyckami, czyli dokładnie taką, jakie pan lubi. Napadł pan na nią, ale ona zaczęła walczyć. Potem nadbiegli koledzy z policji, więc musiał pan dać drapaka.

Price kręcił głową przy każdym słowie, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś może być tak głupi albo tak bardzo okrutny.

Webster wciąż zachowywał niewzruszoną minę i z wielkim zainteresowaniem przyglądał się czemuś przez okno, na wypadek gdyby inspektorowi wpadło do głowy wciągnąć go do tej idiotycznej zabawy.

W tym czasie Frost uparcie drażył temat.

- Na te wyprawy wkładał pan dres i krótkie spodenki do biegania oraz bluzę, w których nie ma kieszeni. Pod pachą nosił pan plastikowy, nieprzemakalny płaszcz - płaszcz, który zarzucał pan na głowę swoim ofiarom, zanim zaczynał je pan dusić. Ale wczoraj, kiedy biegł pan jak szalony, wpadł pan na kogoś i zgubił płaszcz.

Jabłko Adama na szyi Price'a wędrowało w górę i w dół jak ekspresowa winda.

- To zupełny nonsens!

- Kłopot w tym - ciągnął inspektor - że gdy zgubił pan płaszcz, zgubił pan również ten drobiazg.

Frost wyjął z kieszeni opatrzony nalepką klucz yale i wyciągnął rękę w stronę Price'a, żeby mógł go zobaczyć.

- To klucz do drzwi frontowych pańskiego domu. Właśnie on stał się przyczyną pańskich kłopotów. W jaki sposób dostać się do mieszkania? Nie mógł pan zapukać, żeby obudzić żonę, bo żona wyjechała do Darlington.

Price zwrócił się do Webstera.

- Nie wychodziłem z domu przez całą noc - oświadczył błagalnym tonem. - Musicie mi uwierzyć.

- Czy może pan to jakoś udowodnić? - odparł Webster. - Jak udowodnić? - W głosie Price'a zabrzmiała rozpacz.

- Byłem tutaj zupełnie sam. Boże, to chyba jakiś koszmar!

- Koszmarem było to, co zgotował pan tamtym biednym dziewczynom - powiedział Frost. - Ale wróćmy do naszego starego kolegi gwałciciela, który - jak pan twierdzi - nie ma z panem absolutnie nic wspólnego... Ta noc stanowczo nie należała do udanych. Kutasa spotkało rozczarowanie, całkiem dobry płaszcz diabli wzięli, a w dodatku przepadł klucz do drzwi wejściowych. W jaki sposób wrócić do mieszkania? Rozbicie okna nie wchodziło w grę - za dużo hałasu. Drzwi frontowe są zbyt solidne i w dodatku dobrze widoczne od strony ulicy. Pozostają drzwi prowadzące do ogrodu, a to oznacza, że trzeba przeskoczyć przez parę płotów... Na nieszczęście wrzaskliwy piesek starej mamuśki Shadbolt obudził swoją panią, a ona wszczeła alarm i zadzwoniła na policję.

- Nie wiem, kogo widziała pani Shadbolt, ale to z pewnością nie byłem ja - upierał się Price. - To był włamywacz.

- Cholernie dziwny włamywacz, pozwolę sobie zauważyć. Jakaś baba zaczyna wrzeszczeć na jego widok, a on, zamiast zrobić to, co każdy szanujący się włamywacz zrobiłby w podobnej sytuacji - to znaczy wynosić się w diabły jak najszybciej - spokojnie przeskakuje przez kolejne płoty i wyważa tylne drzwi w pańskim domu za pomocą pary

zardzewiałych nożyc, które jakimś cudem znalazł na grządce w ogródku, mimo że dookoła panowały egipskie ciemności. Następnie spokojnie wchodzi do środka, ukrywa nożyce za zamrażarką, a potem ulatnia się, niczego ze sobą nie zabierając... To nie był żaden włamywacz, panie Price. To był pan. Musiał pan sforsować drzwi do własnego domu, ponieważ w Denton Woods zgubił pan klucz.

Price wpatrywał się w niego baraním wzrokiem, a potem przeniósł spojrzenie na Webstera. Po chwili położył świeżą gazetę na wysycielanym krześle z jadalni i usiadł.

- Co mam powiedzieć? - wymamrotał bliski łez. - Jestem niewinny. To nie byłem ja. Co mam powiedzieć?

Frost z niekłamanym zachwytem pokręcił głową.

- Muszę przyznać, panie Price, że jest pan cholernie dobrym aktorem. Ale może lepiej sprawdzić pańską prawdomówność, co?

Mówiąc to, cisnął klucz w stronę Webstera.

- Synu, idź i zobacz, czy ten klucz pasuje do zamka w drzwiach wejściowych do domu tego dżentelmena.

Webster wyszedł z pokoju. Frost z powrotem usadowił się na swojej podkładce z gazet i spod przymkniętych powiek obserwował Price'a, który niespokojnie wiercił się na krześle, jakby nie mógł usiedzieć w jednym miejscu.

Słyszeli kroki Webstera, kiedy szedł w stronę otwartych drzwi frontowych. Ciche kliknięcie oznajmiło, że klucz został włożony do zamka. Potem zapadła cisza. Po chwili Webster wrócił do pokoju i wręczył klucz inspektorowi.

Frost poczuł wzdłuż kręgosłupa niepokojące, lodowate ciarki.

- I cóż, synu?

- Nie pasuje. To nie jest właściwy klucz.

Frost wyraźnie się skulił. Na ten widok Webster poczuł coś w rodzaju współczucia. Wszystkie elementy wzniesionej przez inspektora misternej konstrukcji pasowały do siebie jak ulał, z wyjątkiem tego ostatniego drobiazgu, który niestety okazał się najważniejszy. To nie był właściwy klucz.

- Jesteś pewien? - zapytał Frost bezbarwnym tonem.

- Absolutnie. Klucz nie pasuje do zamka.

- No cóż, panie Price - powiedział inspektor. - Zdaje się, że znów zrobiłem z siebie durnia. Mogę jedynie powiedzieć, że strasznie mi przykro.

- To nie pańska wina - wspaniałomyślnie oświadczył Price. - Pan po prostu wykonuje swoją pracę. Jestem wdzięczny, że zostałem wyeliminowany z grona podejrzanych. A teraz,

jeśli panowie zechcą mi wybaczyć, chciałbym wrócić do malowania, bo naprawdę mam dużo do zrobienia, zanim żona wróci. Rozumiem, że teraz już mogę naprawić tylne drzwi?

Frost skinął głową. Webster podniósł się z krzesła, gotów już wyjść, ale Frost nawet nie drgnął. Tysiące myśli galopowało mu po głowie, kiedy jeszcze raz analizował wszystkie fakty. Był tak cholernie pewien, że się nie myli. Czuł to. Wiedział. W którym miejscu popełnił błąd? Jak to się stało, że w końcu był zmuszony uznać swoją porażkę? Powoli wstał i odwrócił się do Price'a.

- Dziękuję za pańską pomoc i za zrozumienie, panie Price.

Nagle rozległ się dźwięk dzwonka. Długi i natarczywy. Price skoczył na równe nogi.

- Ja otworzę. Proszę tu zaczekać.

Wypadając z salonu, pamiętał, żeby starannie zamknąć za sobą drzwi. Frost natychmiast zerwał się z miejsca i otworzył je na tyle, by móc obserwować, co się dzieje na korytarzu.

Price otworzył drzwi. Za nimi stała kobieta o surowym wyrazie twarzy i z kluczem w ręku, a obok niej walizka. Nieznajoma miała na sobie praktyczny tweedowy kostium, pantofle na płaskim obcasie, a jej siwe włosy zwinięte były z tyłu głowy w ciasny kok. Musiała być o dobre dwadzieścia lat starsza od Price'a.

- Maud! - wykrzyknął jej mąż. - Spodziewałem się ciebie dopiero jutro!

- Mama umarła - odparła kobieta, wnosząc walizkę do środka. - Co tu się dzieje, na litość boską?! Dlaczego nie mogłam otworzyć drzwi?! Zmieniłeś zamek czy jak?!

Frost wyskoczył z salonu i jak lew rzucił się w ich stronę. W pośpiechu zawadził butem o puszkę. Żółta farba rozlała się po podłodze.

Nie zważając na panią Price, która nadal żądała wyjaśnień, o co właściwie chodzi, wyrwał jej z ręki klucz i porównał z tym znalezionym w kieszeni plastikowego płaszcza. Tym razem nie było najmniejszych wątpliwości. Oba klucze były identyczne.

Cała krew odpłynęła z twarzy Price'a. Przysunął się w stronę otwartych drzwi, za którymi czekała wolność, ale Frost przewidział ten ruch i skoczył, żeby zablokować wyjście.

- Kim jest ten człowiek? - obrażonym tonem zapytała pani domu, zwracając się do męża, ale on jedynie otwierał i zamykał usta, i co chwila potrząsał głową.

- Jestem oficerem policji - wyjaśnił Frost. - Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani mamy, pani Price, ale obawiam się, że mam dla pani o wiele gorsze wiadomości.

*

- Ona nie była dla mnie jak żona - mówił Price bezbarwnym głosem, kiedy czekali w pokoju przesłuchań, aż Webster wróci z przepisany na maszynie zeznaniem, na którym

trzeba będzie złożyć podpis. - Roztoczyła nade mną ścisły nadzór i bez przerwy kładła mi do głowy, co powinienem robić, a czego nie... Byłem traktowany jak jakiś okropny bachor, nawet wtedy gdy uprawialiśmy seks. To było okropne, zupełnie jakbym kochał się z własną matką. Przez to czułem się nieczysty, zbrukany... Chciałem kochać się z kimś nieskalanym, niewinnym... W końcu zaczęło mnie ciągnąć do młodych dziewczyn i nic nie mogłem na to poradzić.

- Mógł pan ją zostawić - odparł Frost. - Mógł pan od niej odejść i związać się z kimś młodszym.

Gwałtownie potrząsnął głową, jakby sama sugestia wywołała w nim paniczne przerażenie.

- Och, nie! Ona nigdy by mi nie pozwoliła na coś podobnego. Od razu wpadłaby w gniew.

Frost zaczął się irytować. Oto miał przed sobą bydlaka, który bił, kopał i gwałcił nieszczęsne dziewczęta. Powinien czuć się podekscytowany, że wreszcie udało mu się go złapać. Powinien delektować się myślą, co z nim zrobią współwięźniowie, którzy zwykle uwielbiali mścić się na przestępcach seksualnych. Ale ten człowiek wydawał się tak nieudolny, tak żaloszny, że Frost z całych sił musiał walczyć z narastającą falą współczucia.

Wreszcie Webster wrócił z gotowym zeznaniem. Podsunął je Frostowi, który sprawdził treść, a potem wręczył zatrzymanemu.

- To jest przepisana na maszynie kopia zeznania, które złożył pan przed chwilą, panie Price. Proszę uważnie je przeczytać. Jeśli nie ma tam niczego, co chciałby pan zmienić, proszę postawić parafkę na każdej stronie, a potem podpisać na samym końcu.

Jednak Price, który jak najszybciej chciał mieć za sobą nieprzyjemne formalności, automatycznie parafował wszystko po kolei, ledwie rzucając okiem na treść dokumentu. Wreszcie z westchnieniem ulgi złożył na końcu zamaszty podpis, który do złudzenia przypominał nieporadną, dziecięcą bazgraninę. Frost i Webster podpisali się jako świadkowie.

- Jak sądzę, nie ma szans na zwolnienie za kaucją? - spytał z nadzieją.

- Nie ma - potwierdził Frost. Price wyraźnie się zawstydził.

- Pod łóżkiem schowałem parę książek... Bardzo nieprzyzwoitych książek... Byłoby źle, gdyby moja żona je znalazła. Czy może pan je stamtąd wyciągnąć, zanim ona to zrobi?

- Będę szczęśliwy, mogąc wyświadczyć panu tę przysługę. - Frost uśmiechnął się. - W żadnym wypadku nie chcemy przysporzyć panu kłopotów.

Zabrał ze stołu podpisaną kopię zeznania i z triumfem pomaszerował prosto do gabinetu Mulletta. Najpierw zatrzymał się w sekretariacie, żeby uciąć sobie krótką pogawędkę z panną Smith.

- Ida, kochanie, możesz już schować do szafy ten swój zardzewiały pas cnoty - oświadczył z afektacją. - Właśnie udało nam się przyskrzynić gwałciciela.

Z niewzruszoną miną spoglądała przez niego jak przez powietrze, nawet na moment nie przerywając zalepiania kopert z napisem „poufne”. Ale Frost nie dał się zbić z tropu.

- Czy nasz Dracula wciąż przebywa w swojej kryjówce?

- Komisarz wyszedł w ważnej sprawie - burknęła, przybijając pięścią brzeg ostatniej koperty. Nagle pożałowała, że to nie jest nos Frosta. - Będzie dopiero jutro.

Cholera, pomyślał Frost. Nigdy nie ma go na miejscu, kiedy uda mi się doprowadzić coś do szczęśliwego finału, za to zawsze zjawia się tam, gdzie z czymś nawalę.

Kiedy wrócił do biura, zastał tam sierżanta Hanlona pogrążonego w pogawędce z Websterem. Hanlon uśmiechał się od ucha do ucha.

Pieprzę twoje nowiny, pomyślał Frost. Ciekawe, jaką będziesz miał minę, kiedy posłuchasz moich.

- Złapaliśmy tego gwałciciela, Arthurze. Kwiat miejscowej kobiecości może spokojnie chodzić nocą po Denton Woods, w dodatku bez majtek, oczywiście jeśli ty akurat zostaniesz w domu.

- Dobra robota, Jack. - Hanlon zachichotał.

Frost opadł na swoje krzesło. Na środku biurka leżała lista składkowa na rzecz wdowy po posterunkowym Shelbym. Frost zobaczył, że Mullett zadeklarował wpłatę pięćdziesięciu funtów, więc żeby zrobić mu na złość, przy swoim nazwisku napisał sześćdziesiąt, choć na dobrą sprawę nie bardzo mógł sobie pozwolić na tak hojny dar, a następnie położył listę na tacy z dokumentami gotowymi do zabrania. Podniósł głowę, żeby przekonać się, że Hanlon przygląda mu się z promiennym uśmiechem.

- Co ty tu jeszcze robisz, Arthurze? Chcesz mnie poderwać czy jak?

Hanlon wysunął spod biurka krzesło. Miał mnóstwo do opowiadania. Charlie Bravo na pełnym gazie popędził do lombardu i zjawił się tam akurat na czas, by aresztować mężczyznę, który próbował sprzedać Glickmanowi następną partię skradzionych suwerenów.

- Wspaniale! - wykrzyknął Frost. Wcześniejsza informacja, którą otrzymał od dyspozytora, zupełnie wyleciała mu z głowy. - Ostatnio rozwiązuję równocześnie tyle spraw, że nie nadążam ze śledzeniem każdej z nich.

- Akurat tę sprawę nie ty rozwiązałeś, tylko ja - odparł Hanlon. - To ja wyciągnąłem z gościa masę informacji i to ja wsadziłem winnych do paki.

Wręczył Frostowi kserokopie dwóch zeznań.

- Dlaczego dwa?

- Ponieważ jest dwóch więźniów - wyjaśnił Hanlon. - To bracia.

W odpowiedzi na wezwanie Glickmana Charlie Bravo z rykiem silnika przemknął ulicami miasta i osaczył oszusta, który wciąż przebywał w sklepie jubilera. Okazał się nim dwudziestoletni Terry Fowler. Miał przy sobie trzydzieści trzy suwereny z wizerunkiem królowej Wiktorii, więc został zabrany na posterunek i tam poddany rewizji. W kieszeni jego kurtki znaleziono sześć paczuszek z pewną substancją, która z wyglądu przypominała heroinę. Natychmiast poinformowano o tym fakcie brygadę antynarkotykową. Oddział wysłany do kwatery Fowlera aresztował na miejscu jego starszego o rok brata, Kevina, i starannie przeszukał zajmowany przez nich pokój. Do tylnej ścianki szafy na ubrania była przyklejona plastikowa torba, wypchana białym proszkiem; proszek okazał się rodzajem heroiny, która w ciągu ostatnich kilku tygodni pojawiła się w obiegu na terenie Denton. Wśród funkcjonariuszy brygady antynarkotykowej zapanował szal radości. Przez zwykły przypadek udało się namierzyć dwóch nowych dealerów.

- Przekonasz się, Arthurze, że chłopcy z brygady antynarkotykowej będą chcieli przypisać całą zasługę wyłącznie sobie - uprzedził Frost, przeglądając pobieżnie zeznania obu braci. - Tak samo jak ty próbujesz pomniejszyć mój udział w tej sprawie.

Trevor i Kevin Fowlerowie pochodzili z Poplaru - wschodniej części Londynu - ale nie mieszkali na stałe pod żadnym adresem. Jeździli po całym kraju i właśnie przed dwoma tygodniami zawitali do Denton, zatrzymując się w pensjonacie w pobliżu dworca kolejowego. Stołeczna policja zdążyła dobrze poznać braci Fowlerów i teraz dalekopisem mogła przekazać pewne szczegóły z ich przeszłości, wśród których znalazły się drobne włamania, napady z użyciem przemocy oraz posiadanie narkotyków.

- Jeśli oni są w Denton od dwóch tygodni, to nie będzie można obarczyć ich winą za wszystkie włamania do mieszkań, jakie zdarzyły się w ostatnim czasie - zauważył Frost.

Spotkało go kolejne wielkie rozczarowanie, a już zaczynał mieć nadzieję, że za jednym zamachem uda mu się nadrobić zaległości w sprawie tajemniczych włamań.

- Oni przyznają się wyłącznie do kradzieży suwerenów, Jack. Z innymi rzeczami podobno nie mają nic wspólnego - powiedział Hanlon i wręczył Frostowi odzyskane suwereny. Dokładnie trzydzieści trzy.

Frost wysypał je na biurko i starannie porachował. Doliczył się jedynie trzydziestu dwóch sztuk, więc Webster jeszcze raz wykonał obliczenia. Okazało się, że są trzydzieści trzy suwereny, co razem z odzyskanymi wcześniej od Glickmana dawało trzydzieści osiem. Pani Carey złożyła oświadczenie, że skradziono jej siedemdziesiąt dziewięć monet, więc gdzie podziało się jeszcze czterdzieści dziewięć?

- Arthurze, wywróć kieszenie na lewą stronę - polecił. Hanlon uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Chłopcy z brygady antynarkotykowej przewrócili ich pokój do góry nogami, ale nie znaleźli ani jednego suwerena. Obaj bracia zgodnie zeznali, że to wszystkie, jakie mieli. Widocznie pani Carey musiała się pomylić.

Inspektor energicznie pokręcił głową.

- Ona nigdy się nie myli, gdy chodzi o pieniądze. Zebrał wszystkie monety i z powrotem włożył do woreczka.

- No cóż, mam ważniejsze zmartwienia na głowie... A teraz zabieraj ten złom z mojego biurka, Arthurze, i zajmij się dokończeniem papierkowej roboty. Teraz to ty prowadzisz tę sprawę.

- Pozwoli mu pan skończyć za siebie śledztwo? - zdziwił się Webster, ledwie Hanlon zamknął za sobą drzwi. - Przecież on wszedł w to w ostatnim momencie.

- I tak mam więcej spraw, niż daję radę załatwić, chłopcze.

W zamyśleniu tarł podbródek. Najwyraźniej jakaś myśl nie dawała mu spokoju.

- Ci dwaj kolesie przyjechali do Denton zaledwie dwa tygodnie temu. Mama Carey mieszka w małym, obskurnym domku w bocznej uliczce. Jak to się stało, że zdecydowali się włamać akurat do niej? Skąd wiedzieli, że ma w skrytce takie pieniądze?

- Być może podsłuchali, jak z kimś rozmawia na ten temat - zasugerował Webster.

- Też tak sądzę - odparł Frost, ale wcale nie wydawał się przekonany.

- Chyba nie przypuszcza pan, że przyznali się do przestępstwa, którego nie popełnili, prawda?

- Oczywiście, że nie, synu.

Webster wsunął do maszyny czystą kartkę papieru.

- Czy chce pan, żebym napisał raport w sprawie aresztowania gwałciciela?

Świetnie wiedział, że jeśli sam tego nie napisze, raport nigdy nie ujrzy światła dziennego.

- Tak, proszę.

Wychodząc, zabrał z tacy listę składek na rzecz pani Shelby i zaniósł do rezydującego w holu sierżanta Johnny'ego Johnsona, żeby tam jeszcze raz odebrać zasłużone gratulacje z okazji schwytania „Diabła w Kapturze”.

- Jutro będą o tobie pisać we wszystkich gazetach, Jack.

- Jeśli nie wydarzy się coś ważniejszego. Na przykład Allen odnajdzie mordercę Shelby'ego.

- Faktycznie, to nie powinno długo trwać - odparł sierżant. - Stan Eustace nie może przecież ukrywać się w nieskończoność.

Zadzwoił telefon. Sierżant odebrał.

- Kto mówi? - rzucił do słuchawki, a potem podał ją Frostowi. - Jakaś pani do ciebie, Jack. Nie chciała podać nazwiska.

Zanim dotknął słuchawki, wiedział, że po drugiej stronie usłyszy głos Sadie Eustace, choć wbrew wszelkiej nadziei miał nadzieje, że się myli.

- Inspektor Frost? - wyszeptała.

Zabrał z biurka aparat i oddalił się od Johnsona na tyle, na ile pozwalała długość sznura.

- Nie mogę z tobą rozmawiać, Sadie - wyszczał do mikrofonu. - Ostatnio miałem przez to sporo kłopotów.

- Musi nam pan pomóc. Stan ciągle kontaktuje się... Przerwał jej na ułamek sekundy przedtem, zanim zdążyła cokolwiek przekazać.

- Sadie, każde słowo, które powiesz, znajdzie się w raporcie.

- On jest śmiertelnie przerażony. Policja wymyśliła sobie, że to on jest winny morderstwa, i teraz Stan boi się, co z nim zrobią, kiedy go złapią. Obiecał, że podda się, jeśli to pan po niego przyjdzie. Tylko pan, nikt inny.

- Gdzie on jest?

- W... - urwała nagle, bo w telefonie rozległo się kilka cichutkich kliknięć. - Co to było?

- Nie mam pojęcia - skłamał Frost, który nagle zdał sobie sprawę, że Allen założył podsłuch w telefonie Sadie i nagrywa każdą rozmowę.

Ale Sadie już wiedziała, o co chodzi.

- Pieprzone kutasy! - wybuchnęła. - Wsadzili mi do telefonu pluskwę!

Na linii zapadła głucha cisza.

Frost powoli odłożył słuchawkę i postawił telefon z powrotem na biurku.

- To była Sadie Eustace - powiedział Johnsonowi. Nie było sensu ukrywać prawdy. Przez moment zastanawiał się nad czymś, a następnie skierował kroki do pokoju, w którym znajdowało się centrum operacyjne inspektora Allena.

W środku nie było nikogo poza sierżantem Ingramem, który przycupnął nad sporych rozmiarów magnetofonem szpulowym marki Revox i ze znużeniem przysłuchiwał się powtórce rozmowy między Sadie Eustace a Jackiem Frostem. Na widok Frosta zerwał słuchawki z głowy, potarł uszy, a następnie szybko naskrobał parę słów i wrzucił karteczkę na tacę z napisem „Inspektor Allen - pilne”.

- Szkoda, że się skapowała - oznajmił swobodnym tonem. - Jeszcze chwila i byśmy wiedzieli, gdzie Eustace znalazł sobie kryjówkę.

- Faktycznie szkoda - przytaknął Frost, rozglądając się po pokoju. - Gdzie się podziała reszta?

- Poszli na herbatę. Lada chwila powinni wrócić. Pokręcił głową, kiedy Frost chciał poczęstować go papierosem.

- Będziemy dalej działać, jeśli uda się zdobyć jakąś wskazówkę - mówił dalej. - Zdaje się, że facet zabunkrował się na dobre.

- Więc pan Allen szuka wyłącznie Stana Eustace'a? Nie bierze pod uwagę żadnej innej możliwości?

- A dlaczego miałby szukać kogoś jeszcze? - spytał Ingram ze zdziwieniem.

Frost nic nie odpowiedział. Podeszedł do przeciwległej ściany, gdzie na korkowej tablicy wisiała masa różnych karteczek: rozkład dyżurów, podział obszaru miasta na sektory, telefony do funkcjonariuszy, którzy mieli wolne, lista policyjnych snajperów razem z numerami telefonów. Frost zauważył na ostatniej liście nazwisko Ingrama.

- Po co wam snajperzy? - zapytał.

- Eustace jest uzbrojony - odparł ostrożnie Ingram. Chciał, żeby inspektor już sobie poszedł. Był zmęczony i nie miał ochoty rozmawiać ani odpowiadać na pytania. Marzył, żeby zaszyć się gdzieś w przytulnym miejscu i odpocząć. Przez ostatnie trzy noce prawie nie zmrużył oka.

- Nie chcę, żebyście go zabijali - powiedział Frost. Ingram skinął głową.

- Powtórzę to panu Allenowi.

Mignęło zielone światelko i szpule magnetofonu zaczęły się wolno obracać. Ktoś dzwonił do Sadie. Ingram podkręcił głośność. Najpierw usłyszeli kilka sygnałów, a potem kliknięcie. To Sadie podniosła słuchawkę.

- Tu Denton dwadzieścia dwa trzydzieści cztery - powiedziała.

Po drugiej stronie rozległ się przygnębiony, męski głos.

- Sadie? Tu Stan. Rozmawiałaś z nim?

- Rozłącz się! - krzyknęła. - Telefon jest na podsłuchu! Kliknięcie. Sygnał wolnej linii.

Cisza. Magnetofon sam się wyłączył.

Za ich plecami drzwi otworzyły się i zamknęły. Do pokoju wszedł detektyw inspektor Allen.

- Znaleźliśmy stary samochód Staną Eustace'a - oznajmił. - Zostawił go pod wiaduktem kolejowym, więc z pewnością ukradł następną bryczkę. Powiadom wszystkie patrole.

Kiedy Ingram dzwonił do dyspozytorni, Allen z wyraźną niechęcią powitał Frosta skinieniem głowy i od razu podszedł do tacy z pilnymi dokumentami.

- „Telefon o szesnastej trzydzieści siedem - przeczytał. - Sadie Eustace do inspektora Frosta. Numer nagrania zero trzydzieści trzy”.

Z kpiącym uśmiechem odwrócił się do Frosta.

- O co chodziło tym razem, inspektorze? Czyżby Sadie umówiła się z panem na następne potajemne tête-à-tête?

- Wolałbym, żebyś nie używał takich skomplikowanych słów - odparł Frost. - Wiesz przecież, jaki ze mnie ignorant.

PIĄTEK, NOCNA ZMIANA

Siedzący za kierownicą Ken Jordan ostrożnie zjechał na luzie w boczną uliczkę, minął publiczne toalety i dostojnie wtoczył się na wolne miejsce na parkingu obok czterech innych aut. Dochodziła siódma wieczorem - czas na nieoficjalną przerwę na kawę. Odchylił się do tyłu i wyciągnął rękę, podczas gdy jeżdżący razem z nim w zespole Ron Simms odkręcał termos. Po samochodzie rozszedł się zapach mocnej, aromatycznej kawy.

Zabierając ze sobą kubki, wygramolili się z wozu, żeby trochę rozprostować nogi. Noc zapowiadała się chłodna, bo dał rzeński, zimny wiatr.

- Czy to właśnie tu znaleziono ciało tego włóczęgi? - zapytał Simms, kiwając głową w stronę budynku z czerwonej cegły, nad którym skrzypiała emaliowana tabliczka.

- Tak - mruknął Jordan. Nawet nie spojrzał w tamtym kierunku. Jego zawsze czujne oczy wyśledziły jakiś ruch w środku jednego z zaparkowanych samochodów - w szarej hondzie. Zupełnie jakby siedzący w nim człowiek dostrzegł ich w ostatniej chwili i schylił głowę, żeby nie być widzianym. Jordan wysączył kawę do ostatniej kropli, a potem wolnym krokiem ruszył w tamtym kierunku. Strumień światła z latarki omiótł przednią szybę. Tajemniczy nieznajomy poderwał głowę i zaraz potem silnik zakasłał, ryknął, i honda

skoczyła w przód, zmuszając Jordana do uskoczenia jej z drogi. Odwrócił się na pięcie; kiedy samochód nabierał prędkości, w ułamku sekundy mignęła mu twarz siedzącego w nim mężczyzny.

- Za nim! - wrzasnął z całych sił do Simmsa, wdrapując się do radiowozu.

- Czemu taki pośpiech? - zawołał Simms, gdy policyjny wóz przy akompaniamencie wyjącej syreny ruszył w pościg.

- To Stanley Eustace! - krzyknął Jordan. - Połącz się przez radio z dyspozytornią i powiedz, że potrzebujemy maksymalnego wsparcia, jakie mogą nam zapewnić.

Czerwone punkciki tylnych świateł hondy rosły w oczach. Już prawie go dopadli. Z każdą sekundą byli bliżej i bliżej. Za chwilę wyprzedzą go, zajadą mu drogę i zmuszą do zatrzymania się.

Nagle światła hondy zniknęły. Przed sobą ujrzeli ostry zakręt. Wóz z pełną prędkością wpadł w łuk drogi i opony zapiszczały rozpaczliwie.

Ani śladu hondy. Teraz droga biegła prosto jak strzeł i widoczność sięgała ładnych kilku mil, ale mimo to honda rozplynęła się w powietrzu.

Simms wykręcił głowę, żeby zerknąć przez tylną szybę.

- Tam! - wrzasnął.

Honda została daleko za nimi. Auto tkwiło na trawiastym poboczu drogi; reflektory były wyłączone, a drzwi kierowcy otwarte na oścież. Jordan wdepnął na hamulec i sierra stanęła dęba.

- Charlie Alpha, jadą do was trzy jednostki - rozległ się głos dyspozytora. - Pamiętajcie, że podejrzany ma broń i jest niebezpieczny.

- Więc co mamy robić? - spytał Simms, ostrożnie mierząc wzrokiem szary samochód, który pozostawiono własnemu losowi.

- Przecież nie będziemy siedzieć na tyłkach jak dwa pieprzone dupki - warknął Jordan i wrzucił wsteczny bieg, żeby cofnąć się do hondy. Wysiedli z auta i krok za krokiem zbliżali się do hondy, kiedy gdzieś z boku dobiegł szelest trawy. Nie zdążyli nawet odwrócić się w tamtą stronę, gdy Jordan ujrzął przed nosem czarny wylot lufy.

- Nie zmuszajcie mnie, żebym zrobił coś głupiego - powiedział Stan Eustace. Ręka, w której trzymał strzelbę, wyraźnie drżała, a oparty na cynglu kciuk zaciskał się nerwowo. Eustace wyglądał na zmęczonego i przestraszonego, a przez to śmiertelnie niebezpiecznego.

Bez namysłu obaj policjanci rzucili się twarzą do ziemi na mokrą trawę.

- Jeśli któryś z was się ruszy, odstrzelę mu łeb - zaskrzeczał Eustace.

Posłusznie gapili się na trawę. Rozległ się jakiś szelest, więc Simms poderwał głowę i natychmiast ją opuścił, bo Eustace'a strzelił. Schował twarz i przytulił się do ziemi, przywierając do niej całym ciałem.

Trzasnęły drzwiczki i po chwili jeden z samochodów odjechał z dużą prędkością. Potem zapadła cisza. Simms ostrożnie podniósł głowę - akurat na czas, by zobaczyć niknącego w oddali Charlie Alpha. Bez namysłu obaj poderwali się z ziemi i skoczyli w stronę hondy, ale wystarczył jeden rzut oka, żeby zatrzymać ich w miejscu. Przednia opona leżała płasko na jezdni, podziurawiona jak sito.

- Kurwa mać! - zaklął Jordan.

Z oddali doleciało do nich słabiutkie z początku zawodzenie syren policyjnych. Jordan wyszedł na środek drogi, żeby zatrzymać nadjeżdżające wozy patrolowe.

*

Jack Frost spokojnie wszedł na posterunek około ósmej rano, w nadziei, że o tej porze uda mu się zastać Mulletta. Wczorajsze nowiny o aresztowaniu gwałciciela powinny wprawić komendanta okręgu w dobry nastrój, dzięki czemu być może uda się go namówić, żeby pozwolił inspektorowi zaangażować dodatkowych ludzi do śledztwa w sprawie śmierci Bena Cornisha. Jak dotąd nikt nie wydawał się zbytnio przejmować śmiercią wyrzutka i narkomana, który właściwie i tak żył na kredyt.

- Pan Mullett co chwilę wpada i wypada - poinformował go Johnny Johnson. - Teraz razem z panem Allenem pojechali do tamtego domu.

- Do jakiego domu? - zdziwił się Frost. - Do chatki Puchatka? Domku Baby Jagi? A może masz na myśli dom publiczny?

- Myślałem, że wiesz - odparł sierżant, uradowany, że trafił na kogoś, kogo może zaskoczyć tą nowiną. - Chodzi o Stanleya Eustace. Przygwoździli go w domu przy Farley Street. Allen jest w swoim żywiole - snajperzy, prasa, kamery... Stanley włamał się do tego domu i trzyma na muszce całą rodzinę. Wziął zakładników, rozumiesz?

*

Detektyw inspektor Allen niczego nie pozostawił przypadkowi. Otworzył dokładny plan ulic w najbliższym rejonie i razem z sierżantem Ingramem jeszcze raz przedyskutował rozmaite kwestie.

- Czy wszystkie sąsiednie domy są puste? Czy mieszkańcy zostali ewakuowani?

- Większość, panie inspektorze.

- Jak to „większość”, sierżancie? Wyraźnie kazałem panu ewakuować wszystkich!

- Tak, ale rodzina spod numeru dwudziestego piątego odmówiła opuszczenia domu.

Allen wyraźnie się zdenerwował.

- Odmówiła? - powiedział podniesionym głosem. - A kto im powiedział, że mają jakiś wybór? Proszę ich stamtąd usunąć. Wszystko jedno, w jaki sposób. Po prostu ma ich tam nie być.

Ingram przekazał wykonanie tego zadania jednemu z mundurowych, a potem podniósł wzrok, bo obok nich z piskiem opon zatrzymał się samochód z kwatery głównej, eskortowany przez dwa motocykle. Przywieziono z magazynu karabiny i pistolety.

- W porządku, sierżancie - rzekł Allen. - Proszę rozdać broń, a potem upewnić się, że nasi snajperzy znajdują się dokładnie w tych miejscach, które im wyznaczyłem. I proszę położyć nacisk na to, że nie wolno im - powtarzam, nie wolno - oddać nawet jednego strzału, dopóki nie dostaną ode mnie wyraźnego zezwolenia. Czy wszystko jasne?

- Tak jest, inspektorze - odparł Ingram. Wręczył pięciu strzelcom karabiny i sam też wziął jeden. Amunicja została starannie odliczona i rozdzielona, a jej odbiór każdy potwierdził własnoręcznym podpisem. Potem Ingram upewnił się, że wszyscy wiedzą, dokąd mają się udać, powtórzył instrukcje Allena i wysłał ich na wyznaczone pozycje.

Sam otrzymał rozkaz zajęcia miejsca na poddaszu w domu po drugiej stronie ulicy. Był to bardzo korzystny punkt, bo stamtąd przez celownik teleskopowy mógł zajrzeć do pokoju na górnym piętrze, gdzie Stanley Eustace trzymał zakładników.

Allen postarał się, żeby odcięto zasilanie miejskich latarni i teraz tylko baterie silnych reflektorów punktowych oświetlały tył domu, w którym ukrywał się podejrzany. Gdyby Eustace wyrzął przez okno, ujrzałby jedynie oślepiający blask, a za nim nieprzeniknioną ciemność. Inspektor sprawdził przez radio, czy wszyscy snajperzy dotarli na swoje miejsca, i jeszcze raz przypomniał, że wolno strzelać wyłącznie na jego wyraźny rozkaz.

Ze zniecierpliwieniem odwrócił głowę, kiedy czarny van chyłkiem wślizgnął się w boczną uliczkę, która już wcześniej została opróżniona z prywatnych pojazdów. Widocznie posterunkowy, którego zadaniem było zawracanie wszystkich aut, z niewiadomych przyczyn przepuścił ten samochód. Czy temu idiotcie nie przyszło do głowy, że najpierw należałoby się skontaktować z dowódcą operacji? Van zatrzymał się przy krawężniku i ze środka wynurzył się jakiś osobnik o wyglądzie nadmiernie gorliwego urzędasza.

- Kto tutaj dowodzi?

- Ja - warknął Allen. - Kim pan jest?

- Detektyw inspektor Emms z łączności. Jak wygląda sytuacja?

- Ano tak, że mamy tu zabójcę policjanta uzbrojonego w strzelbę, który wziął zakładników - kobietę z dwojgiem dzieci - i ukrył się z nimi na ostatnim piętrze tamtego

domu. Grozi, że wszystkich pozabija, jeśli nie spełnimy jego żądań... Chodzi o concorde'a, żeby mógł polecieć sobie do Rio albo o jakiś równie idiotyczny wymysł.

- Macie z nim jakiś kontakt?

- Tylko poprzez megafon. Nie zgadza się, żebyśmy podeszli bliżej.

- Musicie nawiązać kontakt głosowy - upierał się Emms.

- Tylko tak można osiągnąć porozumienie.

- Nie jesteśmy bandą pieprzonych rekrutów, żeby nas pan pouczał, co mamy robić, a czego nie - burknął Allen.

- Świetnie wiem, co powinienem zrobić, ale akurat w tej chwili jest to niemożliwe!

Emms podniósł głowę, żeby prześledzić kierunek, w jakim biegły kable napowietrznej linii telefonicznej.

- W tym domu jest telefon. Mogę pana podpiąć do linii. Jeśli porywacz podniesie słuchawkę, automatycznie połączy się z panem.

- Telefon jest na dole, a ten facet siedzi na ostatnim piętrze. Nie bardzo wierzę, by zechciał fatygować się na parter tylko po to, żeby sprawdzić, kto do niego dzwoni, ale mimo to jeśli chce pan nas podpiąć, to proszę bardzo.

- W porządku - odparł Emms uradowany, że będzie miał okazję pokazać swoje umiejętności, i zniknął z tyłu vana.

Zabrzączało walkie-talkie Allena.

- Inspektorze, reporter z „Echa” chciałby zamienić z panem kilka słów.

W pierwszym odruchu Allen miał ochotę wysłać pismaka do wszystkich diabłów, ale po namyśle doszedł do wniosku, że nic nie szkodzi, jeśli jego nazwisko pojawi się w prasie.

- Przyślijcie go tutaj - polecił.

Ekspert od łączności wynurzył się ze swojego auta. Trzymał w ręku telefon, a za sobą ciągnął kabel.

- Już dzwoni - oznajmił z dumą i podał Allenowi słuchawkę z wbudowanym mikrofonem.

- Do jasnej cholery, sam panu powiem, kiedy będę chciał do niego dzwonić - warknął Allen, wrywając mu słuchawkę. Przez chwilę słuchał świdrującego dźwięku dzwonka, a potem rozejrzał się za kimś, kto mógłby go wyręczyć.

- Hej! Posterunkowy!

Posterunkowy Collier przybiegł pierwszy. Allen wepchnął mu telefon do ręki.

- Proszę tego słuchać. Ten telefon dzwoni wewnątrz domu. Nie sądzę, żeby Eustace go odebrał, ale jeśli tak się zdarzy, proszę go zagadywać i natychmiast dać mi znak.

Jakiś gość w grubym bawełnianym płaszczu biegł ulicą w jego kierunku.

- Pan Allen? Nazywam się Lane i jestem szefem reporterów w dzienniku „Echo”. Czy może pan w skrócie powiedzieć, co tu się dzieje?

- Człowiek z bronią to Eustace, Stanley Eustace, ale nie chcę, żeby jego nazwisko ukazało się w prasie. Są przeciw niemu także inne zarzuty, o wiele poważniejsze.

Reporter oderwał długopis od kartki. - Jakie zarzuty?

- To ściśle poufna informacja, panie Lane. Eustace jest podejrzany o zamordowanie posterunkowego Davida Shelby’ego, ale na tym etapie śledztwa informacje o tym nie mogą przedostać się do opinii publicznej.

Lane skinął głową. Nic, co łączy uzbrojonego mężczyznę z innymi zbrodniami, nie zostanie opublikowane w prasie, bo taka rzecz mogłaby niekorzystnie wpłynąć na bezstronność procesu.

- Kim są zakładnicy?

- To pani Mary Bright, lat trzydzieści cztery, pozostająca w separacji z mężem, oraz dwójka jej dzieci, Bobby, lat siedem, i ośmioletni Scott.

Ponad ramieniem Lane’a Allen spojrział na Colliera, który wciąż przyciskał telefon do ucha.

- Mamy bezpośrednie połączenie. Telefon dzwoni, ale on go nie odbiera. Za chwilę jeszcze raz spróbuję porozmawiać z nim przez megafon.

Zmrużył oczy, bo właśnie oślepiły go reflektory następnego samochodu. Farley Street zaczyna przypominać parking, pomyślał z irytacją. Już miał wrzasnąć na kierowcę i zażądać, żeby wynosił się stąd do diabła, kiedy ujrzał wychodzącego ze środka Mulletta.

Teraz Mullett żwawym krokiem maszerował w ich stronę. Skinął głową Allenowi, a potem spojrział na reportera i pytająco uniósł brew.

- To jest pan Lane, szef zespołu reporterów z „Echa”

- Allen pospieszył z wyjaśnieniami.

Na ustach Mulletta pojawił się uśmiech profesjonalisty.

- Nazywam się Mullett - dwa „l” i dwa „t”. Komisarz Mullett, komendant posterunku w Denton. - Czekając, aż reporter zanotuje to, co usłyszał, zwrócił się do Allena:

- Jak pan zamierza to rozegrać, inspektorze?

- Dopóki zakładnicy nie znajdą się w prawdziwym niebezpieczeństwie, zamierzamy siedzieć tutaj i po prostu czekać. Mam nadzieję, że uda nam się nawiązać dialog z Eustace’em i namówić go, żeby wypuścił dzieciaki. Naszym celem jest pokojowe rozwiązanie.

Ostatnie zdanie wymówił głośno i wyraźnie, żeby dotarło do uszu reportera, i z przyjemnością ujrzał, że ten zapisuje całą wypowiedź słowo w słowo.

- Lepiej będzie, jeśli zapisze pan, że to ja powiedziałem

- wtrącił Mullett. - To jest moje zarządzenie, a pan Allen działa zgodnie z otrzymanymi rozkazami.

Allen sklął go w duchu, ale zachował kamienną twarz.

- Inspektorze, on wciąż nie odbiera telefonu - powiedział Collier, któremu zaczął już dokuczać ból ucha.

- Wszyscy są proszeni o zachowanie bezwzględnej ciszy!

- zawołał Allen. - Chcę spróbować nawiązać kontakt. Kciukiem przesunął włącznik i podniósł megafon do ust.

Wzmocniony metalicznie brzmiący głos odbił się echem po okolicznych ogródkach.

- Eustace! Mówi detektyw inspektor Allen. Chcę z tobą porozmawiać.

Ze swojego miejsca na strychu Ingram przez celownik teleskopowy dostrzegł wewnątrz pokoju jakieś poruszenie. Włączył radio, żeby porozumieć się z Allenem.

- Panie inspektorze, on za chwilę podejdzie do okna. Nagle w oknie pojawiła się sylwetka przerażonej kobiety, która odwracała twarz od oślepiającego blasku reflektorów. Eustace chował się za jej plecami; w jednym ręku trzymał strzelbę, a drugą otoczył szyję zakładniczki. Ingram przesunął lufę odrobinę w lewo i krzyżyk znalazł się na środku czoła Eustace'a.

- Mam wystarczająco dobry widok, inspektorze. Myślę, że mógłbym go zdjąć.

- Nie, sierzancie - warknął Allen. - Nie będzie tu żadnej strzelaniny. Proszę potwierdzić.

- Tak jest, panie inspektorze. Nie strzelać. Ingram sprawiał wrażenie nieco rozczarowanego.

- Słuchajcie, bo powiem to tylko raz! - wrzasnął Eustace wyraźnie drżącym głosem. - Macie pół godziny! Chcę, żeby pod drzwi podstawiono samochód z pełnym bakiem, a potem wszyscy macie się stąd wynieść!

- Zwolnij kobietę i dzieci, Stan, to będziemy mogli o tym porozmawiać.

- Nie. Oni pojedą ze mną. Macie pół godziny.

Allen postanowił zaryzykować. Jeszcze raz podniósł megafon do ust i nie przerywając rozmowy, powoli ruszył w kierunku domu. Chciał porozmawiać bez konieczności uciekania się do krzyku. Porozumiewanie się przez megafon stwarzało niepotrzebną barierę.

- Chcesz dostać coś do jedzenia, Stan? Możemy ci przysłać to, na co masz ochotę. Prawdę powiedziawszy...

Huknął strzał i pocisk roztrzaskał się wysoko na ścianie daleko położonego budynku. Kobieta krzyknęła, a ze środka pokoju dobiegło zawodzenie dzieci.

- Ani kroku dalej, panie Allen. Jestem przyparty do muru i doprowadzony do ostateczności, i nie mam nic do stracenia. Dajcie mi samochód i wyłączcie wreszcie ten pieprzony telefon.

Allen wycofał się na poprzednią pozycję.

- Przestać dzwonić - rozkazał krótko. Zakładniczka została odciągnięta od okna.

- Co pan o tym sądzi? - spytał Mullett. Allen podrapał się w głowę.

- Sam nie wiem, panie komendancie. Instynkt podpowiada mi, żeby pozwolić mu odjechać. Jestem przekonany, że nie skrzywdzi kobiety ani dzieci.

- Ale on może zrobić użytek z tej dubeltówki - upierał się Mullett. - Nawet jeśli nie strzeli do zakładników, to może zranić któregoś z naszych ludzi, a ja nie mam zamiaru ich narażać. Jakoś będzie trzeba przez to przebrnąć. Hej, a to kto?

Tuż obok nich z poślizgiem zatrzymał się wóz patrolowy. Wyskoczył z niego posterunkowy Kenny oraz jakaś kobieta.

- To Sadie Eustace, żona Staną. Mam nadzieję, że może jakoś przemówi swojemu staremu do rozsądku.

Sadie, ubrana w stary płaszcz, zarzucony byle jak na niebieską sukienkę, biegła w kierunku Allena. Na widok uzbrojonych mężczyzn, przedstawiciela prasy i ostrego światła reflektorów w jej oczach zapaliły się iskierki gniewu.

- Wy cholerne dranie, co chcecie mu zrobić?!

- Uspokój się, Sadie. - Allen starał się załagodzić sytuację. - Twój mąż ma przy sobie broń i wziął zakładników.

Sadie zwróciła się bezpośrednio do Mulletta. - Wyprowadzę go stamtąd. Pozwólcie mi wejść i z nim porozmawiać.

Mullett zerknął ponad jej ramieniem na Allena, który pokręcił głową na znak, że stanowczo się nie zgadza.

- Przykro mi, ale nie mogę pani pozwolić tam wejść.

- Dlaczego?! On przecież nie zrobi mi krzywdy. Jestem jego żoną.

- Sęk w tym, Sadie, że możesz chcieć mu pomóc - wtrącił się Allen.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Na litość boską, oczywiście, że chcę mu pomóc! Tylko o to mi chodzi!

Allen uśmiechnął się cierpko.

- A mnie chodzi o to, Sadie że może spróbujesz mu pomóc się stamtąd wydostać. Jeśli przyłączysz się do niego, będzie miał dodatkową zakładniczkę, jeszcze jeden argument przetargowy... W dodatku nie wiadomo, po czyjej byłabyś stronie.

- Musi pan komuś zaufać, inspektorze.

- Wybacz, ale akurat tobie nie mogę ufać. Możesz z nim porozmawiać przez telefon, jeśli sobie życzysz. Mamy bezpośrednie połączenie. Spróbuj go przekonać, żeby zwolnił zakładników, a potem wyszedł z podniesionymi rękoma.

Skinęła głową, że się zgadza. Allen włączył megafon.

- Stan! Zejdź na dół do telefonu. Sadie jest tutaj i chce z tobą rozmawiać!

Z ciemności dobiegł głos Staną.

- Sadie! Naprawdę tutaj jesteś?

- Tak! - odkrzyknęła. - I chcę pogadać!

Wzięła słuchawkę do ręki i czekała, aż jej mąż razem z zakładnikami zejdą na dół. Allen cofnął się i kiedy znalazł się na tyle daleko, że nie mogła go usłyszeć, włączył radio i cicho wywołał jednostkę trzecią i czwartą. Chciał, żeby policjanci spróbowali wślizgnąć się do środka tylnymi drzwiami, kiedy Eustace będzie skupiony na rozmowie z żoną. Wydał odpowiednie polecenia i wrócił na miejsce. Sadie właśnie mówiła coś do Staną.

- Stan, to ja, Sadie. Musisz się poddać.

- I spędzić resztę życia w pierdlu za coś, czego nie zrobiłem?!

- Posłuchaj, kochanie...

Nagle coś przyciągnęło jej uwagę. Najwyraźniej Allen dawał znak komuś, kto krył się w ogrodzie z tyłu domu. Odwróciła głowę. Trzej mężczyźni - jeden z nich z rewolwerem w rękę - podsuwali się cał po calu w stronę tylnych drzwi.

- Chyba powinnam ci o czymś powiedzieć, Stan - odezwała się spokojnym, opanowanym głosem. - Pod tylnymi drzwiami skrada się gliniarz z odbezpieczonym rewolwerem.

Allen odwrócił się do niej. W jego wzroku płonął gniew. Gestem pokazał Emmsowi, żeby natychmiast przerwał połączenie. W tej samej chwili zabrzączało tłuczone szkło. Pocisk roztrzaskał okno na parterze. Błysk wystrzału na moment rozdarł ciemność panującą w ogrodzie, a mały krzak na prawo od skradającego się policjanta przestał istnieć.

- Cofnąć się! - ryknął Eustace. - Następnym razem zastrzelę któregoś z zakładników!

Trzej mężczyźni pospiesznie się wycofali. Błady z wściekłości Allen odwrócił się do Sadie.

- Ty głupia krowo!

- Ty zasrany sukinsynu! Wykorzystałeś mnie, cholerny draniu!

Mullett wkroczył pomiędzy nich.

- Co się stało?

- Eustace strzelił do jednego z naszych ludzi. Walkie-talkie zabręczało, więc podniósł je do ucha.

- Na szczęście wszystko w porządku, panie komendancie. Nikt nie został nawet draśnięty.

- Dobrze - odparł Mullett. - W takim razie czekamy dalej. Trzeba to rozegrać na zimno i więcej nie wykonywać żadnego ruchu.

Ingram wywołał Allena przez radio.

- Eustace i zakładnicy z powrotem są w pokoju na górnym piętrze. Dzieciaki płaczą, a kobieta chyba straciła przytomność.

- Co robi Eustace?

- Trzyma się z dala od okna, panie inspektorze, i chodzi po pokoju tam i z powrotem. Wydaje mi się, że teraz mógłbym go zdjąć, bo jest daleko od pozostałych.

Allen widział, jak Sadie wyteża słuch, żeby nie uronić ani słowa. Celowo zniżył głos do szeptu.

- Na razie postaramy się rozegrać to spokojnie. Ale na wszelki wypadek bądź gotów.

Sadie odsunęła się i znikła w ciemności.

*

Frost właśnie przesłuchiwał handlarzy narkotyków - świetnie dobraną parę ponurych przystojniaczków, którzy dokładali wszelkich starań, żeby powiedzieć mu jak najmniej. Nie rozwodzili się nad sprawą suwerenów. Po prostu ukradli je i już. Wymijająco odpowiadali na pytania o szczegóły i żaden z nich nie mógł sobie przypomnieć, w którym domu znaleźli monety. Jeśli zaś chodzi o ich liczby... starucha kłamie jak bura suka.

Webster został oddelegowany w celu skontaktowania się z Lii Carey. Pani Carey nie miała wątpliwości co do tego, ile monet jej skradziono. Dlaczego Frost tak się uczepił tej sprawy, myślał Webster. Ostatecznie złapali złodziei i uzyskali pisemne przyznanie się do winy. Nie było żadnego powodu, dla którego obaj mieliby kłamać, ile sztuk ukradli. Wyrok za kradzież i tak będzie mało znaczący w porównaniu z wyrokiem za rozprowadzanie narkotyków, choć obydwa będą odsiadywać w tym samym czasie.

Jednak Frost przyczepił się do tego jak rzep do psiego ogona i wciąż na nowo drążył temat. Kiedy więc Wells wsadził głowę do biura, Webster ucieszył się, że szykuje się jakaś rozrywka.

- Panie Frost, jakaś pani pilnie życzy sobie widzieć się z panem - oznajmił sierżant oficjalnym tonem.

- Ale ja jeszcze nie zdążyłem się rozebrać - odparł inspektor. - Kto to jest?

To była Sadie Eustace. Zapłakana i z potarganym włosami wyglądała po prostu okropnie. Podziękowała za herbatę, ale z wdzięcznością przyjęła zaproponowanego przez Frosta papierosa.

- Stan został otoczony w tym domu przy Farley Street.

- Słyszałem o tym, Sadie. Niestety, obawiam się, że w niczym nie mogę pomóc.

- Te kutasy chcą go zabić. Nie mają zamiaru wypuścić go stamtąd żywego. Musi nam pan pomóc.

Frost złożył ręce i pochylił się nad biurkiem w jej stronę.

- To nie ja prowadzę tę sprawę, Sadie, tylko inspektor Allen. Faktycznie, on czasami zachowuje się jak ostatni kutas, ale ogólnie rzecz biorąc, to porządny człowiek. Na pewno nie pozwoli, żeby Stanowi przytrafiło się coś złego.

- Pan na mnie spojrz, inspektorze. Naprawdę jestem zdesperowana.

Podniosła głowę i zobaczył, że jej twarz ściągnięta jest bólem i zalana łzami.

- Proszę go stamtąd wyciągnąć, błagam! Frost otworzył drzwi.

- Co tam słyhać w sprawie obłączenia?! - krzyknął.

- Stan grozi, że jeśli do północy jego żądania nie zostaną spełnione, zacznie po kolei zabijać zakładników.

- On wcale nie ma zamiaru tego zrobić. To tylko blef - wyrzuciła jednym tchem Sadie, ale machnął ręką, żeby siedziała cicho.

- Jakie postawił warunki? - pytał dalej.

- Chce dostać szybki wóz, oczywiście z pełnym bakiem, i żeby nikt go nie ścigał. I chce zabrać ze sobą zakładnika. Nie ma sposobu, żebyśmy spełnili takie żądania.

Frost zamknął drzwi. Było już wpół do dwunastej. Wziął z tacy z dokumentami naderwaną torebkę pełną solonych orzeszków i wytrząsnął parę sztuk na otwartą dłoń. Niczego nie mógł zrobić dla Stana, absolutnie niczego. Ale gorąco pragnął, żeby Sadie przestała patrzeć na niego w taki sposób. Westchnął i wsadził orzeszki do ust.

- W porządku, Sadie. Co dokładnie mam zrobić, żebyś była zadowolona?

- Proszę wyciągnąć stamtąd Stana żywego i podać cenę.

- Zwykle biorę dwadzieścia funtów za jeden numerek i pięćdziesiąt za całą noc, ale jestem skłonny zrobić to za darmo, jeśli tylko będziesz delikatna.

Wstał.

- Więc zrobi pan to, o co proszę? - sapnęła.

- Jeśli tylko dam radę, skarbie. Tak naprawdę mnóstwo zależy od tego, jak zachowa się Stan. Jeśli odstrzeli mi łeb, kiedy będę wlaził do niego po schodach, może cię spotkać rozczarowanie.

- Bez obawy, Jack. On ci ufa.

- To znaczy, że jest większym wariatem, niż myślałem.

Zdjął z kołka płaszcz nieprzemakalny, a potem powoli zaczął okręcać szyję szalikiem, jakby miał nadzieję, że w ostatniej chwili wpadnie tu Wells, zupełnie jak kawaleria Stanów Zjednoczonych, i oznajmi im wielką nowinę, że Stan się poddał.

- Właśnie pakuję się w niezłe kłopoty, synu - mruknął do Webstera, zapinając ostatni guzik. - Chodź ze mną, jeśli chcesz się pośmiać, ale jeśli chcesz zachować twarz, to lepiej zostań tu z Sadie.

- Nie mam zamiaru nigdzie zostawać - odparła buntowniczym tonem. - Jadę z panem.

- Jaki ma pan plan? - zainteresował się Webster.

- Plan? Odkąd to robię jakieś plany? Po prostu wpakuję się w sam środek i będę miał nadzieję, że sprawy same się jakoś ułożą.

Webster także wyciągnął rękę po płaszcz.

- Jadę z wami.

- Więc ty też jesteś cholernym głupcem - podsumował Frost.

*

Sytuacja na Farley Street gwałtownie się pogorszyła, bo Eustace wykazywał objawy załamania nerwowego. Ostatnia próba rozmowy skończyła się tym, że zaczął wrzeszczeć i wymachując strzelbą, obrzucił Allena stekiem obelg, co najlepiej świadczyło o utracie kontroli nad własnym zachowaniem. Teraz bezpieczeństwo uwięzionej na górnym piętrze rodziny naprawdę było zagrożone. Eustace wciąż powtarzał, że czeka tylko do północy i jeśli samochód nie będzie gotowy, zacznie po kolei zabijać zakładników.

Wszystkie nadzieje Allena skupiły się teraz na planie wprowadzenia kilku ludzi do środka przez otwór zrobiony na poddaszu sąsiedniego domu, jednak postępy tej operacji były mizerne, ponieważ wszystko musiało odbywać się w absolutnej ciszy. A północ była coraz bliżej.

Jakby Allen nie miał dość zmartwień na głowie, musiał stoczyć batalię z tym półgłówkiem Frostem, który jak skończony kretyń wyskoczył z nedorzeczną propozycją, że wejdzie do środka i namówi Eustace'a do kapitulacji.

- Nie ma mowy, Frost. Wielkie dzięki, ale nie potrzebuję tu żadnych cholernych bohaterów. Facet sprawia wrażenie całkiem szalonego i pewnie z przyjemnością pociągnie za spust. Tylko czeka na pretekst, żeby kogoś zabić.

Odsunął się parę kroków i porozumiał się przez radio z ekipą pracującą na strychu, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja.

- Jakoś idzie, ale raczej powoli. Ciągłe natrafiamy na jakieś przeszkody. Tu wszędzie jest mnóstwo rur i wsporników.

Kiedy odwrócił się, Frosta już nie było.

- Dokąd poszedł inspektor Frost? - spytał policjanta pilnującego wejścia do tylnego ogródka.

Posterunkowy wskazał palcem na pogrążony w ciemności ogród.

- Jest tam, panie inspektorze. Będzie próbował włamać się do domu.

- Do diabła, dlaczego go nie zatrzymałeś?!

- Miałem go zatrzymać? Powiedział, że dostał od pana pozwolenie.

- Panie Allen! - zawołał przez radio Ingram. - „Widzę, że ktoś jest w ogrodzie.

- Wiem. To ten cholerny idiota Frost!

Frost leżał płasko, twarzą do ziemi, i cal po calu przesuwiał się w kierunku domu. Stan nie miał charakteru mordercy. Wiedział, że nie strzeli do niego, tak samo jak wiedział, że nie strzeli tamten naćpany po uszy dzieciak, którego niegdyś osaczył w banku - ten, po którym na pamiątkę została mu dziura w policzku.

Czołgał się przez mokrą trawę i żałował, że w ogóle dał się w to wciągnąć. Nagle coś szarpnęło go za kark. Zamarł, a potem bardzo powoli obejrzał się do tyłu. Tuż za nim czał się różany krzew, który zdołał drapieżnymi kolcami pochwycić skraj wełnianego szalika. Frost bez wahania odplątał z szyi szalik i go zostawił.

Inspektor Allen zdawał sobie sprawę, że ktoś krąży w pobliżu i stara się ściągnąć na siebie uwagę.

- Jestem zajęty - burknął opryskliwie i dopiero wtedy zauważył błysk srebrnych guzików. - Och, to pan, panie komisarzu... Nie miałem pojęcia, że pan wciąż tu jest.

- Jak wygląda sytuacja? Chryste, czy to Frost?! Chyba nie zgodził się pan na to, żeby Frost...

Allen przerwał mu w pół słowa.

- Powiedziałem, że się nie zgadzam... Specjalnie podkreśliłem, że pod żadnym pozorem nie wolno mu tego robić. Nie posłuchał rozkazu i teraz muszę tracić czas, żeby za swoją głupotę nie zapłacił życiem on i zakładnicy.

Mullett zacisnął szczęki. To było nie do zniesienia. Tym razem Frost przekroczył wszelkie granice.

- Proszę go stamtąd wycofać - warknął.

- Nie mogę, panie komendancie - odparł Allen. - Nie zabrał z sobą radia. Jeśli zacniemy krzyczeć, zwrócimy uwagę Eustace'a.

- Gównu mnie to obchodzi - parsknął Mullett. - Jeśli chce nadstawiać karku, proszę bardzo, to jego sprawa, ale nie chcę przez niego ryzykować życia zakładników. Proszę go odwołać.

Allen tylko westchnął i posłusznie sięgnął po megafon. Gdzieś z tyłu doleciał trzask drzwiczek samochodu. Nagle usłyszał brzęczenie radia. Nacisnął włącznik, wysłuchał, a potem odwrócił się do komisarza.

- Panie komendancie, przyjechał szef policji... Właśnie do nas idzie.

Mullett natychmiast pociągnął w dół zaciśniętą na megafonie rękę podwładnego.

- Proszę zaczekać, inspektorze. Nie chcę, żeby szef dowiedział się, że w naszych szeregach zdarzają się jakieś nieporozumienia.

Allen odłożył megafon na ziemię, a Mullett zajął się strzepywaniem niewidzialnych pyłków z munduru i przyglądaniem wąsów. Z kolei Allen nastroszył czuprynę i poluzował krawat. Na szefie policji większe wrażenie powinien zrobić funkcjonariusz, po którym widać, że pracuje w pocie czoła, niż wymuskany lalusz, który służy krawcom za manekin.

Szef policji zwawym krokiem maszerował w ich stronę, rytmicznie uderzając rękawiczkami o spodnie.

- Panie Mullett, proszę szybko podać mi bieżące informacje.

Mullett właśnie zaczął wyjaśniać, jak wygląda sytuacja, kiedy szef kątem oka zauważył Frosta.

- Wielkie nieba! Czy to inspektor Frost?

*

Frost, spocony jak mysz i obolały od czołgania się, w końcu dotarł do tylnych drzwi. Wyciągał rękę dopóty, dopóki nie natrafił dłonią na gałkę. Spróbował ją przekręcić, ale drzwi nie ustąpiły. Były zamknięte od wewnątrz na dwa osobne rygle. Stan nie był pełnym idiotą. Nagle Frost pożałował, że zanim zaczął tę szaloną wędrówkę, nie zastanowił się, w jaki sposób dostanie się do środka. Jednak gdyby teraz wycofał się, nawet nie próbując pokonać

pierwszej przeszkody, i stanął twarzą w twarz z rozgniewanym Allenem, słusznie zasłużyłby na miano ostatniego durnia.

Następną rzeczą wartą sprawdzenia było okno kuchenne. Przycisnąwszy się do ściany, pozwolił sobie na chwilę odprężenia, a potem krok po kroku przesunął się w tamtą stronę. Okno okazało się konstrukcją starego typu, z ramą przesuwaną pionowo. Przywierając twarzą do szyby, mógł dostrzec zablokowany zatrzask. Odblokowanie go oznaczało konieczność stłuczenia szkła, a jak miał tego dokonać, nie zwracając na siebie uwagi Stana? Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu czegoś, co mogło by się przydać. Na grzędce z kwiatami tuż u jego stóp leżało pół cegły. Wziął ją do ręki, a następnie zsunął z ramion płaszcz, żeby owinąć nim cegłę.

Allen, obserwując te poczynania przez noktowizor, nie bardzo mógł się zorientować, co Frost zamierza. To Ingram przez radio podsunął mu odpowiedź.

- Panie inspektorze, on chyba zamierza stłuc szybę.

Cholerny idiota! Jak tylko Eustace usłyszy brzęk, weźmie odwet na zakładnikach! Być może nawet wychyli się z okna i strzeli do tego kretyna... Szybko odsunął od siebie tę kuszącą wizję, zawstydzony, że coś podobnego w ogóle przyszło mu do głowy. Musi coś wymyślić, żeby odwrócić uwagę Eustace'a - i to szybko! Przez radio połączył się ze wszystkimi jednostkami i polecił, żeby na dany przez niego znak nacisnęli klaksony, włączyli syreny i hałasowali tak długo, aż pokaże im, że mogą przestać. Brzęk tłuczonego szkła powinien utonąć w tym huk, a przynajmniej dzięki temu Frost zyska trochę czasu na włamanie się do środka.

Przycisnął lornetkę do oczu i patrzył. Frost właśnie ważył cegłę w ręku.

- Uwaga, wszystkie jednostki...

Frost zamknął oczy, odwrócił głowę, wziął zamach... - Już!

Kakofonia dźwięków rozdarła nocną ciszę na tysiące drobnych kawałeczków.

- Przestańcie, do jasnej cholery! - ryknął z góry Eustace, znowu ciągnąc do okna nieszczęsną kobietę.

- Stać! - rozkazał Allen. Hałas momentalnie ucichł. Cisza zrobiła się tak gęsta, że niemal namacalna. Frost zacisnął zęby, przez stłuczone szkło wsunął rękę do środka i sięgnął do zatrzasku. Ostre krawędzie bezlitośnie cięły mu nadgarstek. Psiakrew. Czuł, jak po skórze zaczynają spływać gorące krople krwi. Uchwycił zatrzask, otworzył, a potem zacisnął palce na drewnianej ramie, która zaskrzypiała ze złości, gdy tylko szarpnął ją w górę. Nie zważając na następne, bolesne ukłucia, oparł kolana na parapecie i po chwili wślizgnął się do pograżonej w mroku kuchni.

- Frost jest w środku - rzekł Allen. Teraz wszelki kontakt urwał się na dobre. Mogli tylko czekać na rozwój wypadków.

- Świetna robota, panie Allen - powiedział z uznaniem szef policji.

- Tak jest... świetna! - z pośpiechem powtórzył Mullett. Ze swojego punktu obserwacyjnego po przeciwnej stronie ulicy odezwał się Ingram.

- Panie inspektorze, teraz doskonale widzę Eustace'a. Czy mogę strzelać?

- Nie, do jasnej cholery! - parsknął Allen. - Tylko na mój wyraźny rozkaz.

Odwrócił się do szefa policji.

- Staram się doprowadzić tę sprawę do szczęśliwego końca bez jednego wystrzału, przynajmniej z naszej strony.

- Całkowicie się z panem zgadzam. - Szef skinął głową.

- Na całej linii - jak echo odezwał się Mullett, który nagle poczuł się odstawiony na boczny tor.

*

Frost przycupnął w ciemnym pomieszczeniu i zapragnął, żeby rana na nadgarstku przestała krwawić. Miał wrażenie, że z każdym uderzeniem serca uciekają z niego galony krwi, co nasuwało nieprzyjemne skojarzenia ze sposobem, w jaki starożytni Rzymianie popełniali samobójstwa. Także kolano było mokre, lepkie i obolałe od tkwiących głęboko pod skórą kawałeczków szkła. Krótko mówiąc, zamiast popisać się spektakularnym wtargnięciem do okupowanego domu, jak zwykle wszystko schrzanił.

Przez sobą ujrzał jakieś drzwi. Pokuśtykał w ich stronę i ostrożnie je uchylił. Mimo wszechobecnego mroku dostrzegł za nimi pokryte miękką wykładziną schody, które prowadziły do pomieszczeń na wyższych piętrach. Dobrze. Wykładzina powinna stłumić odgłos kroków. Naprędce zaimprovizowany plan przewidywał, że Frost wślizgnie się do pokoju, ustawi się za plecami Eustace'a i powali go na ziemię - w taki sposób, żeby uniemożliwić mu wykorzystanie strzelby. Przez chwilę zmagął się z kilkoma różnymi wersjami tej sceny, ale każda z nich nieodmiennie kończyła się tym, że to on lądował na podłodze, a Stan siedział na nim i podsuwał mu pod nos czarny wylot lufy... Jednak na pesymistyczne rozważania stanowczo szkoda było czasu.

Podkraść się do schodów i wytyczył słuch. Na górze panowała cisza jak makiem zasiał. Ostrożnie podstawił stopę na pierwszym schodku, dokładając wszelkich starań, żeby nic nie skrzypnęło. Teraz druga noga. Przy każdym kroku krew znaczyła jego szlak. Po chwili znów się zatrzymał i zaczął nasłuchiwać. Nic!

Następny stopień, potem znów następny... Jego wędrówka odbywała się absolutnie bezszelestnie. Nawet spece z SAS nie zrobiliby tego lepiej.

Podniósł głowę, żeby wejść na ostatni schodek, i nagle zamarł. Na wprost ujrzał przerażone oczy nieznanym kobiecie i męskie ramię, ciasno opasujące jej szyję. I lufę strzelby, przyciśniętą do podbródka zakładniczki. Tuż zza jej pleców wychylała się wykrzywiona paskudnie twarz Stanleya Eustace'a. Spoczywający na spuście palec drgał nerwowo.

- Psiakrew! - zaklął Frost. - Nie miałem pojęcia, że mnie słyszysz.

- Jeśli spróbuje pan wykonać jakiś gwałtowny ruch, panie Frost, naciśnę spust.

Eustace jeszcze mocniej wcisnął lufę w podbródek kobiety.

- Teraz może pan wejść.

Frost nigdy dotąd nie widział go w takim stanie. Miał wrażenie, że Stanley jest bliski obłądu.

- W porządku, idę - odparł. - Tylko nie rób nic głupiego.

Odciągając kobietę w tył, Eustace wpuścił inspektora do pokoju. Na krzesłach pod ścianą kulili się dwaj kilkuletni chłopcy, nieprzytomni z przerażenia.

Eustace odsunął strzelbę od głowy zakładniczki i popchnął ją w tamtym kierunku.

- Siadaj obok swoich dzieciaków. Tylko nie próbuj się ruszyć, słyszysz mnie? Nie ruszaj się i trzymaj dziób na kłódkę.

Żwawym ruchem odwrócił się i wycelował strzelbę we Frosta.

- To Sadie mnie tu przysłała - oznajmił inspektor. - Mówiła, że ucieszysz się, jak mnie zobaczysz. Gdybym wiedział, że spotka mnie takie przyjęcie, to wcale bym nie przyszedł.

- Chcę dostać samochód - powtórzył Eustace. - Samochód, którym będę mógł stąd uciec. I chcę, żeby mi obiecano, że nikt nie będzie mnie ścigał.

- Sadie powiedziała, że jeśli przyjdę na górę, wypuścisz zakładników.

- Nie ma mowy! Są mi potrzebni.

Palec Eustace'a mimowolnie dotknął spustu, ale zaraz się odsunął.

- Wcale nie są ci potrzebni, Stanley. Jeśli koniecznie chcesz mieć zakładnika, to weź mnie. Nawiasem mówiąc, przecież i tak nie miałeś zamiaru zrobić im krzywdy, a dzieciaki już od dawna powinny być w łóżkach.

Allen odłożył słuchawkę.

- Eustace powiada, że zwalnia kobietę i dzieci, ale zatrzymuje na górze Frosta.

- To znakomite wieści! - zawołał Mullett.

- Naprawdę? To tylko oznacza, że teraz mamy jednego zakładnika. Dalej jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Spokojna głowa, Jack Frost na pewno namówi Stanleya, żeby stamtąd wyszedł - wtrąciła Sadie. - Nie pozwoli, żebyście go zabili, wy cholerne łajdaki.

Nagle od strony ogrodu dobiegł podekscytowany głos posterunkowego Colliera.

- Panie inspektorze, zakładnicy wychodzą z domu!

*

Frost właśnie sięgał po papierosy.

- Stan, czy możesz obiecać, że nie rozwalisz mi łba, jeśli będę chciał wyciągnąć z kieszeni fajki?

Lufa strzelby przesuwiała się w ślad za ręką inspektora. Na widok wyciągniętej w swoim kierunku paczki pokręcił głową.

- Rzuciłem.

Frost jednym pstryknięciem włączył zapalniczkę.

- Też chciałbym rzucić, Stanley.

Zaciągnął się, pozwalając, żeby dym wypełnił mu płuca, a następnie powoli go wypuścił.

- Wiesz, Stan, i tak kiedyś będziesz musiał się poddać. Czemu nie teraz?

- Chcę samochód, pełny bak... Frost niecierpliwie machnął ręką.

- Cholernie dobrze wiesz, tak samo jak ja, że oni nigdy się na to nie zgodzą. Tam na dole jest prasa, telewizja, i wszyscy czekają na szczęśliwe zakończenie - to znaczy na to, że przestępca się podda, a policja będzie górą. Co prawda pan Mullett ma nadzieję na inny, równie udany scenariusz - że odstrzelisz mi łeb. Ale zaręczam, że nikt nie bierze pod uwagę możliwości, żeby ci dać auto i pozwolić odjechać w siną dal.

Eustace zaczął drzeć na całym ciełe.

- Jeśli te sukinsyny koniecznie chcą walki, będą ją mieć. Okrążyli mnie jak wściekłego psa i przyparli do muru, choć nawet palcem nie tknąłem tamtego gliniarza.

*

Czekanie i krążenie bez celu w końcu wyczerpało cierpliwość Mulletta.

- Co tam się dzieje, Allen?

Allen zapragnął, żeby komendant wrócił do swojego biura i przestał mu dokuczać. To wiercenie się za plecami, nadmierna aktywność i żądanie, żeby coś się działo tylko dlatego, że wielki szef akurat zechciał się pofatygować, zaczynało mu działać na nerwy. Przez radio połączył się z Ingramem.

- Co słyszeć, sierżancie?

- Pan Frost właśnie stoi przy oknie. Eustace jest z tyłu i trzyma strzelbę wycelowaną w inspektora. Na razie nie mogę strzelać, bo mógłbym trafić pana Frosta. Chwileczkę, chyba coś zaczyna się dziać...

*

- Bóg mi świadkiem, że nie miałem nic wspólnego ze śmiercią tamtego gliniarza - mówił Eustace, a palec na spuście trząsł się niebezpiecznie. - Nawet nie widziałem go tamtego dnia. Musi mi pan uwierzyć.

- Stanley - odparł z niepokojem Frost. - Kiedy widzę strzelbę wycelowaną prosto w moje flaki, jestem gotów uwierzyć dosłownie we wszystko.

Stanley zaśmiał się. W tym śmiechu zabrzmiało przemęczenie i zdenerwowanie.

- Nawet nie jest naładowana, panie Frost.

- Co takiego?!

- Ostatni pocisk wystrzeliłem jakieś pół godziny temu. Jest pusta. Proszę spojrzeć... - Zaczął zaciskać palec na spuście, żeby potwierdzić prawdziwość swoich słów.

Frost błyskawicznie poderwał rękę, żeby odwrócić lufę - na wypadek gdyby Stan się mylił - lecz ułamek sekundy wcześniej ogłuszył go potężny huk eksplozji. Zastygły z przerażenia Stanley gapił się na niego z otwartymi ustami. Oskarżycielskim gestem wyciągnął palec wskazujący i wycelowował go w inspektora, po czym nagle przygarbił się i zwymiotował krwią, podczas gdy czerwona plama na jego piersi stawała się coraz większa i większa...

- Dawajcie tu ambulans! - ryknął Frost, gdy uzbrojona po zęby policja wtargnęła do pokoju. Siedząc na podłodze, kołysał w ramionach głowę Stanleya. Gdzieś z zewnątrz dobiegał niepohamowany kobiecy krzyk. Rozpoznał głos Sadie Eustace.

- Wy cholerne durnie! - zawołał z wściekłością. - Broń nie była naładowana! Cholerne durnie... To Ingram oddał fatalny strzał.

Wyniesiono na noszach ciało Stanleya, uprzednio zakrywając mu twarz czerwonym prześcieradłem. Gdy tylko Frost wynurzył się z wnętrza budynku, Sadie rzuciła się na niego z pięściami.

- Ty kutasie! Pozwoliłeś go zabić!

Webster i jedna z policjantek odciągnęli ją w tył. Frost nawet się nie zatrzymał. Nie miał jej nic do powiedzenia. Wrócił do pokoju, gdzie Stan wydał ostatnie tchnienie.

- Strzelba nawet nie była naładowana - powiedział.

- Nie wiedziałem o tym - bronił się Ingram. - Zobaczyłem, że naciska spust. Nie wiedziałem.

- I nikt nie oczekuje, że powinien pan wiedzieć - burknął Allen. - Jeśli zabójca kieruje broń w stronę funkcjonariusza policji i naciska spust, ma pan prawo przypuszczać, że jest naładowana.

- W zupełności się zgadzam - powiedział Mullett. - Osobą, która powinna robić sobie wyrzuty, jest pan, inspektorze Frost, nikt inny. Pańskie głupie zagrywki zagroziły powodzeniu całej operacji. Pomówimy o tym jutro z samego rana, w moim gabinecie. To będzie pierwsza rzecz w rozkładzie dnia.

- Tak jest, panie komendancie.

Stan nie żył. Sadie była wdową. Tylko to miało znaczenie. Usiadł na krześle i zapalił papierosa.

- Lepiej będzie, jeśli teraz porozmawiamy z dziennikarzami - powiedział Mullett do Allena i ciężko westchnął. - Szkoda, że ta pieprzona strzelba nie była naładowana. Mógł być z tego pierwszorzędny materiał dla prasy.

We dwóch wyszli z pokoju.

Frost nadal palił papierosa. Wolno wypuszczał obłoczki dymu i przez mgłę przyglądał się Ingramowi. Sierżant sprawiał wrażenie całkiem rozbitego.

- Naprawdę myślałem, że on chce pana zabić. Widziałem, jak naciska spust. Nie miałem pojęcia, że strzelba nie jest naładowana.

- Usiądź - powiedział spokojnie Frost. - Chyba musimy porozmawiać.

Ingram posłusznie wykonał polecenie.

- Zrobił się straszny bałagan, prawda, synu?

- Tak - mruknął Ingram.

- Miałem nadzieję, że to robota pewnego gościa o nazwisku Dawson. Dave Shelby pieprzył jego żonę. Ale Dawson miał alibi. Aż do późnego wieczora był na zawodach strzeleckich.

- Och - wykrztusił Ingram.

Frost zapalił od niedopałka następnego papierosa.

- Dawson należy do tego samego klubu co ty. Prawdę mówiąc, tamtego popołudnia obaj braliście udział w konkursie strzelania do glinianych gołębi, ale ty wyszedłeś wcześniej... Nawet nie zaczekałeś na eliminacje. Powiedział mi o tym sekretarz waszego klubu. Podobno opuściłeś klub tuż przed piątą, zabierając swoją dubeltówkę.

- Nie czułem się wystarczająco dobrze, żeby strzelać - mruknął Ingram.

- To samo powiedział sekretarz - przytaknął Frost. Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd paczuszkę ze zdjęciami, a następnie położył ją przed sobą na małym stoliku. - Shelby pieprzył także twoją żonę, zgadza się?

Sierżant skoczył na równe nogi. - Jak śmiesz, ty brudna świnio...

- Nie musisz odgrywać przede mną komedii, synu - przerwał mu Frost. - Nie warto się wysilać przed tak marną widownią.

Przeszukał plik fotografii i wyciągnął jedną z nich.

- To jest Shelby z żoną Dawsona. Zdjęcie zostało zrobione we wtorek po południu. Jeśli spojrzysz na spodnią stronę, przekonasz się, że na każdym z polaroidów jest wydrukowany numer. Akurat ten ma numer siedem.

Jeszcze raz przeszukał paczuszkę i wyjął następną fotografię. Położył ją na stole spodem do góry.

- To jest zdjęcie numer osiem, co oznacza, że zostało wykonane później niż poprzednie.

Pstryknięciem odwrócił cieniutki kartonik.

- Ta dama w ramionach Shelbyego to twoja żona, prawda?

Ingram przez dłuższą chwilę patrzył na zdjęcie, na splecione ze sobą dwie nagie postacie. Nie odezwał się ani słowem.

- To musiało się zdarzyć we wtorek wieczorem - mówił dalej Frost. - Nie mogło zdarzyć się wiele później, ponieważ następnego dnia Shelby już nie żył.

Sierżant wciąż nie mógł oderwać wzroku od fotografii. W tym czasie Frost mówił dalej.

- We wtorek wieczorem byłeś na party, więc Shelby miał pełną swobodę działania. Zostawił wóz patrolowy gdzieś na uboczu w pobliżu publicznych toalet i właśnie szedł do twojej żony, gdy zauważył wyłamaną kratę. Mimo wszystko był na tyle rzetelnym policjantem, że od razu chciał zbadać, co się stało. W ten sposób znalazł ciało Bena Cornisha. Tamtego wieczora Shelby był strasznie niespokojny. Pomyślałem, że pewnie wplątał się w jakąś paskudną historię, ale on po prostu nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zabawi się z twoją Stellą i swoim aparatem. Ingram wziął do ręki fotografię.

- Nie wiedziałem, że mnie z nim zdradzała - powiedział. Z pełnym zmęczenia smutkiem Frost pokręcił głową. - Wiedziałaś, synu, wiedziałaś... Właśnie dlatego go zabiłeś.

- To Eustace go zabił - odparł prędko Ingram. - Dziennik Shelby'ego został znaleziony w pobliżu samochodu Eustace'a.

Machnął ręką, kiedy Frost chciał go poczęstować papierosem.

- Trawa na tamtym polu była mokra od rosy... Podobno ten dziennik leżał tam przez całą noc, a mimo to był suchy jak pieprz. Nie od razu się skapowałem czemu, ale jak wiadomo, nie grzeszę bystrością umysłu. Dziennik został podrzucony na kilka minut przedtem, nim go znaleziono - i to przez ciebie, synu.

- Nie - rzekł Ingram.

Frost parę razy skubnął świeże zacięcie na przegubie.

- Raczej trudno jest pozbyć się wszystkich śladów krwi. Przypuszczam, że starałeś się wyskrobać do czysta wnętrze swojej maszyny, ale założę się, że nasi chłopcy z sądówki w ciągu kilku minut znaleźliby to, co przeoczyłeś. Shelby musiał krwawić jak zarżnięta świnia.

Na zewnątrz rozbłysły flesze. To Mullett i Allen pozowali do zdjęć dla prasy.

- Shelby i twoja żona spodziewali się, że w środę całe popołudnie spędzisz na zawodach strzeleckich. Ale ty podejrzewałeś, co się dzieje, więc postanowiłeś wyjść wcześniej. Wślizgnąłeś się do swojego domu i przyłapałeś ich, jak we dwoje testowali wytrzymałość sprężyn w waszym łóżku. Czy właśnie tak było, synu?

Ingram stał z opuszczoną głową i wpatrywał się w podłogę, ale musiał odwrócić wzrok. Zorientował się, że patrzy na zaplamiony krwią kawałek dywanu, na którym jeszcze niedawno leżał Stanley Eustace.

- Nie, panie Frost - powiedział głucho. - Nie złapałem ich na gorącym uczynku. Podejrzewałem, że dzieje się coś niedobrego, ale nie chciałem w to uwierzyć. Wtedy wróciłem wcześniej i w głębi jednej z bocznych uliczek natknąłem się na wóz patrolowy Shelbyego. Zaparkowałem tuż obok, a potem wolno poszedłem w kierunku domu. Żaluzje w oknie sypialni były opuszczone. Nie chciałem wchodzić. Nie chciałem tego oglądać. Ale chwilę później drzwi się otworzyły i on wyszedł na zewnątrz, z pełnym zadowolenia uśmiechem na tej swojej przeklętej gębie. Gdy mnie zobaczył, rzucił się do swojego samochodu i wystartował z rykiem silnika. Popędziłem za nim i w końcu na Green Lane udało mi się go zmusić, żeby się zatrzymał.

- To ta uliczka, gdzie policja znalazła porzucony wóz patrolowy? - podpowiedział Frost.

- Tak. Byłem nieprzytomny z wściekłości. Chciałem zrobić mu krzywdę. Śmiał się ze mnie, kpł w żywe oczy...

Mówił, że skoro nie potrafiłem zadowolić Stelli, to nic dziwnego, że musiała poszukać sobie prawdziwego mężczyzny...

Zawahał się, jakby nie miał ochoty mówić dalej.

- Zapaliłbym papierosa, jeśli ma pan jeszcze jednego. Frost wręczył mu całą paczkę, a potem sam zapalił papierosa i podał Ingramowi.

- Mów, synu... Podobno jestem dobrym słuchaczem.

- Dubeltówka leżała na tylnym siedzeniu... Chciałem, żeby zesrał się ze strachu. Teraz wydaje mi się, że tylko tyle zamierzałem. Nawet nie pamiętam, kiedy pociągnąłem za spust... Boże, jego twarz! W najgorszych koszmarach wciąż widzę jego twarz!

Zadrzał na samo wspomnienie.

- Dlaczego zawlokłeś go do swojego samochodu? - pytał Frost. - Czemu go nie zostawiłeś?

- Bo w pierwszej chwili chciałem wieźć go do szpitala, ale zaraz dotarło do mnie, że na to jest już o wiele za późno. Znalazłem jakieś odosobnione miejsce i tam porzuciłem ciało. Wysprzątałem auto, a potem pojechałem do domu. „Jak ci minął dzień, kochanie”, powiedziałem do Stelli. „Dobrze. Trochę chodziłam po sklepach i upiekłam ciasto”. Potem zapytała, jak mi poszło. „Wspaniale”, odparłem. Oboje kłamaliśmy jak najęci.

Frost wzruszył ramionami.

- Na twoim miejscu zrobiłbym tak samo, synu.

- Nie wiem, jak długo udałoby mi się zachować spokój. Chciałem wreszcie komuś o tym powiedzieć. Byłem przekonany, że prawda w końcu wyjdzie na jaw.

- A potem usłyszałeś o Stanie i napadzie z bronią w rękę.

- Tak. Wszyscy z wyjątkiem pana przypuszczali, że to Eustace zabił Shelby'ego. Chciałem, żeby nadal właśnie na nim skupiały się podejrzenia. Zresztą, tak czy inaczej, musiałem się pozbyć tego dziennika. Znalazłem go w swoim samochodzie.

- Więc postanowiłeś sfabrykować dowód?

Chwila milczenia.

- Tak.

- Więc dla ciebie to prawdziwa łaska niebios, że Eustace nie żyje i nie może powiedzieć niczego na swoją obronę.

- Musi mi pan uwierzyć, panie Frost. Ja naprawdę myślałem tylko o tym, że on chce pana zabić. Tylko dlatego strzeliłem... Wyłącznie dlatego. Musi mi pan uwierzyć.

- Zakładając, że udałoby mi się wyciągnąć go stąd żywego i że zostałby oskarżony o zamordowanie Shelby'ego. Co wtedy? Czy wystąpiłbyś i przyznał się do winy?

Ingram opuścił głowę. Był wyraźnie przygnębiony.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wiem jedynie, że nie zamierzałem zabić Shelby'ego, ale on nie żyje. Teraz Eustace także nie żyje i wszyscy sądzą, że właśnie on to zrobił. Czy nie możemy tego tak zostawić?

Frost uszczyptał się w bliznę na policzku, żeby poprzez ból tchnąć w nią trochę życia.

- To byłoby łatwe i przyjemne, prawda synu? Problem w tym, że jestem gliniarzem. Może niezbyt dobrym, ale jednak gliniarzem. Nie wiem tak do końca, dlaczego zdecydowałem się nim zostać, ale jednego jestem pewien - nie po to jestem gliniarzem, żeby przymykać oko na fałszowanie dowodów albo pozwalać, żeby nieżyjący człowiek, nawet jeśli był zwykłym złodziejaszkiem, został oskarżony o morderstwo, którego nie popełnił. Przyjęcie twojej propozycji oznaczałoby całkiem wygodne wyjście z sytuacji. Wszyscy by się ucieszyli. Ale to byłoby nie w porządku, synu, i ja po prostu nie mogę na to przystać.

Ingram wyjął papierosa z ust i wyrzucił przez otwarte okno.

- Musiałbym to samo zrobić z panem, panie Frost, prawda?

- Obawiam się, że tak, synu - mruknął Frost przepraszająco. - Zawsze pojawiaam się tam, gdzie nikt mnie nie chce.

- Co pan zamierza teraz zrobić... Aresztować mnie? Frost potrząsnął głową.

- Raczej nie, synu. Stanie się o wiele lepiej, jeśli będę się trzymał od tego z daleka. Ponieważ przypadkiem tak się złożyło, że to ty pozbawiłeś życia biednego Eustace'a Fajtlapę, twoje przyznanie się do winy z własnej i nieprzymuszonej woli sprawi, że pewni paskudni ludzie mniej dociekliwie będą cię pytać o motywę. Jak uważasz, mam rację?

Ingram przytaknął.

- Będę zadowolony, jeśli uda nam się pominąć fakt istnienia tych zdjęć. Wdowa po Shelbym i tak już dość wycierpiała.

Ingram znowu skinął głową.

- Więc nawet nie wspominaj mojego imienia. Powiedz, że przyznajesz się do winy z własnej woli, bo dręczyły cię wyrzuty sumienia. Dzięki temu łatwiej przez to wszystko przejdiesz.

Ingram dźwignął się z krzesła i podsunął ku drzwiom. W ostatniej chwili zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem pokręcił głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Frost westchnął, a później spojrzął na zegarek. Czyjeś szuranie sprawiło, że odwrócił głowę. W kącie pokoju stał Webster i opierał się o ścianę.

- Cześć, synu. Nie miałem pojęcia, że tu jesteś. Jak długo tam stoisz?

- Niezbyt długo, sir.

Sir? Pierwszy raz się zdarzyło, żeby Webster zwrócił się do niego w ten sposób.

- Jak sędzę, nie słyszałeś naszej rozmowy?

Webster zawahał się, a potem skłamał bez mrugnięcia okiem.

- Nie, sir. Nie słyszałem ani słowa.

- Właśnie tak myślałem. Chyba dziś trochę wcześniej pojedziemy do domu - powiedział, wstając z krzesła. - Jutro z samego rana mam się zgłosić do Mulletta, żeby mi urwał jaja, więc lepiej, żeby nie ziewał mu prosto w twarz.

SOBOTA, DZIENNA ZMIANA

Frost siedział w swoim biurze i paląc papierosa, spokojnie czekał, aż zostanie wezwany do gabinetu komendanta okręgu. Było już siedem po dziewiątej. Mullett celowo przedłużał tę udrękę, żeby inspektor spociał się ze strachu.

Wiść o aresztowaniu Ingrama była dla wszystkich szokiem. W środku konferencji prasowej Ingram podszedł do detektywa inspektora Allena i po prostu przyznał się do przypadkowego zabicia Davida Shelby'ego. Ten kolejny cios, niweczący prestiż jednostki w Denton, na nowo rozpałił gniew Mulletta, zwłaszcza że nastąpił bezpośrednio po fiasku, jakim było zastrzelenie podczas akcji oczyszczonego teraz z zarzutów Stana Eustace'a. Nic dziwnego, że Frost wcale nie czekał z utęsknieniem na rozmowę z szefem.

Ktoś zapukał do drzwi. Oho, wzywają mnie do sali tortur, pomyślał.

- Jakaś pani do pana - oznajmił sierżant Johnny Johnson.

Frost modlił się, żeby to nie była Sadie. Nie dziś, nie tego ranka. Dziś nie miał odwagi spojrzeć jej w twarz.

Tajemniczą panią okazała się pani Cornish. Ubrana w swoją żałobną czerń, stała w progu wyprostowana jak struna, ściskając w dłoniach brzydką brązową torebkę.

Frost zerwał się na równe nogi, żeby zrzucić z krzesła jakieś śmieci i zrobić jej miejsce.

- Co cię tu sprowadza?

W odpowiedzi otworzyła zameczek torebki i wyciągnęła mały papierowy woreczek, a następnie wysypała na biurko jego zawartość.

To były suweryny, wszystkie wybite w czasach królowej Wiktorii. Frost szybko je przeliczył. Czterdzieści jeden sztuk.

- Skąd je wzięłaś? - spytał, patrząc na nią ze zdumieniem.

- Ukradłam ze szkatułki schowanej w pianinie Lii Carey. W sumie było ich siedemdziesiąt dziewięć.

- Co się stało z resztą?

- Ben je zabrał. - Ben?

Skinęła głową.

- We wtorek wieczorem przylaźł do domii i błagał mnie o pieniądze na narkotyki. Był w strasznym stanie. Nie mógł powstrzymać drżenia i wyglądał tak, jakby nie jadł od kilku dni. Powiedziałam, że dostanie coś do zjedzenia, ale że pieniędzy nie dam. Zostawiłam go samego, żeby pójść do sklepiku na rogu po parę jajek. Kiedy wróciłam, cały dom był wywrócony do góry nogami. Ben już poszedł, zabierając jedną z torebek z suwerenami. Druga była dobrze schowana, bo inaczej też by ją zabrał.

- Która to była godzina? Zatrzasnęła torebkę.

- Parę minut po dziewiątej.

Parę minut po dziewiątej! Fragmenty układanki zaczynały łączyć się w całość. Bez trudu mógł je sobie wyobrazić.

Ben biegnie z domu matki na spotkanie z dealerami, pełen niepokoju, że się spóźni, a złote suwereny brzęczą w kieszeni jego brudnego płaszcza. Było ich wystarczająco dużo, żeby mógł kupić wiele paczuszek białego proszku. Ale nie kupił ani jednej.

O dziewiątej trzydzięci już nie żył.

Wczoraj dwaj dealerzy zostali aresztowani za posiadanie skradzionych suwerenów.

Teraz wszystko miało sens. O wiele lepiej było dla nich przyznać się do rzekomego włamania, niż ryzykować, że monety ściągną na nich podejrzenie o popełnienia morderstwa.

- Te dwa łajdaki zabiły mojego syna - rzekła pani Cornish.

Frost zgarnął monety z powrotem do torebki.

- Lepiej powiedzmy sobie, jak było naprawdę. To nie ty ukradłaś te monety z domu Lii Carey. Być może zrobił to Danny albo twoja synowa - widziałem jej książeczkę z rentą rodzinną na pianinie Lii - ale nie ty.

Napotkała jego spojrzenie i dumnie podniosła głowę.

- Ja to zrobiłam. Przysięgnę w sądzie.

Właśnie wtedy zabrzączał wewnętrzny telefon. Panna Smith przekazała informację, że komendant okręgu chciałby się z nim teraz zobaczyć.

- Powiedz mu, żeby chwilę zaczekał - rzucił Frost do słuchawki.